



Anthony  
Ryan  
Zew  
Wilka

Anthony Ryan

# W Zew Wilka

Krucze ostrze  
Księga pierwsza

Przełożyła  
Anna Reszka

Wydawnictwo MAG  
Warszawa 2022

Pamięci mojego nieżyjącego przyjaciela i dawnego szefa,  
doktora Robina Coopera,  
który byłby świetnym aspektem Trzeciego Zakonu

# Część I

Ostrze kruka  
tnie głęboko,  
odsłaniając moje grzechy.  
Wiersz w języku Seordahów, autor nieznany

# Relacja Luralyn

## Pierwsze pytanie

Dzisiaj wielu nazywa mojego brata potworem. Mówią o jego uczynkach, zarówno potwornych, jak i cudownych, że to działania nadnaturalnej bestii, która przybrała postać człowieka, żeby siać na świecie wielki zamęt. Inni, w bardziej ponurych i nieszczęsnych zakątkach Ziemi, nadal nazywają go bogiem, choć to słowo zawsze wypowiadają trwożliwym szeptem.

Dziwne, lecz ani ci, którzy uważają go za potwora, ani ci, którzy uznają go za bóstwo, nigdy nie wymawiają jego prawdziwego imienia, choć znają je równie dobrze jak ja. Kehlbrand, mój brat, którego mimo wszystkich bitew, podbojów i masakr nadal udaje mi się kochać. Słyszę jednak twoje pytanie, szanowny czytelniku: jak to możliwe? Jak można darzyć miłością człowieka, który skąpał pół świata we krwi?

Teraz, w spokojniejszych czasach, z dala od szaleństw i okropieństw wojny, mogę zastanawiać się nad takimi rzeczami. W miarę jak mijają lata i coraz więcej siwizny pojawia się w niegdyś kasztanowej grzywie i coraz więcej dolegliwości nęka moje stawy, a ja coraz bardziej garbię się nad stronicami, które zapisuję, nad tą kwestią dumam najwięcej.

Wiem, szanowny czytelniku, że nie otworzyłeś tego tomu, żeby znieść skargi starej kobiety. Nie, ty chcesz poznać mojego brata i dowiedzieć się, jak to się stało, że całkiem zmienił świat. Ale jego historii nie da się opowiedzieć, nie opowiadając również mojej, ponieważ byliśmy mocno ze sobą związani, on i ja. Łączyły nas krew i cel. Przez wiele lat było tak, jakbyśmy dzielili jedną duszę, gdyż nasze plany i oddanie świętej misji stanowiły lustrzane odbicia. Przekonałam się jednak, że lustro jest najgorszym z kłamców i żadne nie pozostaje nienaznaczone przez czas.

Potrzebowałam lat kontemplacji, by określić chwilę, w której połączyła mnie prawdziwa więź z Kehlbrandem. Może wtedy, gdy w wieku siedmiu lat spadłam z mojego pierwszego konia i przez dłuższą chwilę chlipałam nad kolanem zdartym do krwi. Podbiegł do mnie Kehlbrand, prawie dwunastoletni. Inne dzieci z naszego skeldu śmiały się i rzucały odchodami w bekse. Brat pomógł mi wstać. Już miał długie kończyny oraz smukłość

urodzonego wojownika, i był ode mnie wyższy o co najmniej trzydzieści centymetrów, tak jak przez resztę naszego życia.

– Druhr-tivarik, źrebaczku, nie płacz – powiedział z troską w głosie, używając określenia kapłanów na tych, którzy mają w sobie Boską Krew. Kciukiem wytarł mi łzy z oczu.

Potem uśmiechnął się przepraszająco, przywołał swój zwykły wyraz pogardy i uderzył mnie w twarz otwartą dłonią. Cios był dostatecznie silny, żeby powalić mnie na ziemię. Na języku poczułam smak krwi.

Przez dłuższą chwilę mrugałam oszołomiona, ale stwierdziłam ze zdziwieniem, że łzy przestały mi płynąć. Patrząc zamglonym wzrokiem, zobaczyłam, że Kehlbrand zbliża się do grupki dzieci. Skierował się prosto do najwyższego, o rok starszego krzepkiego chłopaka imieniem Obvar, którego zawsze można było zobaczyć na czele moich dręczycieli.

– Druhr-tivarik – powtórzył mój brat, wymierzając cios pięścią prosto w twarz Obvara – nie może być osądzany przez zwykłego śmiertelnika.

Bójka, jaka się między nimi wywiązała, była długa i krwawa. Stała się nawet legendą wśród dzieciaków ze skeldu. Mocno przyćmiła wyrządzoną dziecku Druhr-tivarik zniewagę, która wkrótce została zapomniana. Jak sobie później uświadomiłam, taki właśnie był cel mojego brata, bo kapłani mieli zwyczaj surowo karać podobne rzeczy. Po walce Obvar leżał na ziemi i jęczał, krwawiąc z licznych ran, podczas gdy Kehlbrand, tak samo zakrwawiony, stał na własnych nogach. Jak to często bywa z chłopcami, w następnych dniach on i Obvar zostali najbliższymi przyjaciółmi i braćmi od siodła aż do pewnego szczególnego, fatalnego dnia dwadzieścia lat później. Zdaje się jednak, szanowny czytelniku, że wybiegam naprzód.

A jednak nie, choć była to ważna lekcja, tamtego dnia nie połączyła nas prawdziwa więź. Ani, o dziwo, również w poranek po moim pierwszym Prawdziwym Śnie. Musisz zrozumieć, szanowny czytelniku, że moc Boskiej Krwi jest kapryśna. Choć ci z nas, których przeznaczeniem jest dołączenie do grona Druhr-tivarik, rodzą się z matek o potężnych darach, to te dary nie zawsze są przekazywane dalej. W wielu wypadkach pozostają uśpione przez całe dzieciństwo i ujawniają się dopiero w okresie dojrzewania. Tak się stało ze mną. Prawdziwy Sen ujawnił się na początku dwunastego lata mojego życia, w tygodniu pierwszej krwi.

Musisz mi wybaczyć skromne umiejętności pisarskie, szanowny czytelniku, gdyż trudno mi oddać słowami grozę tamtego pierwszego snu. Używam tego określenia, ponieważ słowo „wizja” jest trochę głupie, by nie

rzec nieodpowiednie. Prawdziwy Sen to stan poza rzeczywistością, choć wydaje się całkowicie realny temu, kto go doświadcza. Nieobecne są dezorientacja i przytępienie wrażeń ze zwykłego snu. Dotyk powietrza na skórze, zapachy niesione przez wiatr, żar płomienia czy ból skaleczenia. Wszystko to jest w pełni odczuwane.

Tamtej nocy, kiedy leżałam na matach w namiocie, który dzieliłam z innymi uprzywilejowanymi dziećmi ze skeldu, zapadłam w sen tak głęboki i absolutny, jakiego jeszcze nigdy nie zaznałam. Zupełnie jakby na moje oczy narzucono czarną zasłonę, odcinającą całe światło i doznania, a kiedy ją zdjęto, trafiłam do koszmaru.

Pamiętam przede wszystkim krzyki. Cierpienie ginącego człowieka jest trudne do zniesienia, zwłaszcza jeśli nigdy wcześniej się go nie słyszało. Widywałam już, jak umierają ludzie. Heretyków, niewolników i tych, którzy naruszyli odwieczne prawa, zwykle wiązano i zmuszano do uklęknienia pod ostrzem kata. Ale ich śmierć była szybka: błyskawiczny cios szabli i głowy toczyły się po ziemi. Ciała wpadały w drgawki, czasami również twarze. Upiorny widok dla dziecka, ale na szczęście wszystko trwało krótko. To, co ujrzałam w tym pierwszym Prawdziwym Śnie, nie było egzekucją. Zobaczyłam bitwę.

Skazaniec leżał obok martwego konia i oczami pełnymi przerażenia i niedowierzania wpatrywał się w plątaninę własnych wnętrzności. W krzyku otwierał i zamykał usta, ręce miał czerwone od krwi, kiedy próbował wepchnąć galaretowate trzewia z powrotem do brzucha. Otaczał mnie chaos: dudnienie kopyt, szczęk stali i dzikie rżenie spłoszonych koni, a wszystko spowijał gęsty tuman kurzu.

Bitwa była w owych czasach zwyczajnym wydarzeniem na Żelaznym Stepie. W tamtym okresie Stahlhast przechodził bolesną przemianę z rozproszonych i wiecznie walczących ze sobą skeldów w coś, co można nazwać prawdziwym narodem. Zdawało się, że co drugi miesiąc wojownicy przytraczą łuki do siodła i ostrzą kamieniami szable i lance, po czym dosiadają koni i wyruszają jednym wielkim zastępem. Wracali po wielu dniach albo tygodniach, zawsze zwycięscy, z głowami wrogów dyndającymi przy jukach. Gdy nadchodził wieczór, pili i opowiadali o swoich wielkich czynach, ale stwierdziłam, że te opowieści nie pasują do koszmaru, który teraz mnie nawiedził.

Mój wzrok biegał od jednej potworności do drugiej: pełznącego mężczyzny, który broczył krwią z kikutów nóg, konia miotającego się



w kałuży wnętrzności, które wypływały z jego rozplatanego brzucha. A pośród tego wszystkiego stał Kehlbrand, mój brat.

Jak miał w zwyczaju w czasie bitew, teraz też nie nosił hełmu. Długi warkocz powiewał za nim, podczas gdy on walczył osaczony przez przeciwników ze wszystkich stron. Musiały być ich dziesiątki, z wytłoczonym na zbrojach kardynałem szlachetnym, symbolem skeldu Rikar, naszego najbardziej znenawidzonego wroga. Atakowali go raz za razem, a on raz za razem ciął ich szablą. Poruszał się jak w tańcu: robił uniki przed pchnięciami lanca, uchylał się przed każdym siekącym ostrzem, zostawiając za sobą ślad w postaci trupów. Wydawał się niezwyciężony, niepowstrzymany, a moje serce puchło z dumy mimo otaczających mnie okropieństw. Ale jak się później przekonałam wiele razy, nie ma czegoś takiego jak niezwyciężony wojownik.

I kiedy Kehlbrand położył ostatniego ze swoich przeciwników, barczystego mężczyznę o brutalnej twarzy i z opaską na oku, z kurzu wyłonił się rikarski łucznik. Cwałował na wysokim białym ogierze i pochylony nisko w siodle celował z łuku z twarzą zastygłą w wyrazie skupienia. Krzyknęłam ostrzegawczo do brata, ale choć wyteżyłam głos, on mnie nie usłyszał. W Prawdziwym Śnie można być świadkiem, lecz nigdy uczestnikiem.

Strzała trafiła mojego brata w kark, przeszywając go na wylot, tak że stalowy grot wystawał z jego gardła na kilka cali. Gdyby Kehlbrand nosił hełm, mógłby przeżyć. Zobaczyłam, że się chwije, patrząc na karmazynowy grot z dziwną obojętnością i lekko zaskoczoną miną. Potem upadł. Runął na ziemię, a życie uciekło z jego ciała.

Obudziłam się z krzykiem ku rozdrażnieniu innych dzieci. Dwa dni później nadeszła wieść, że Rikar wciągnął w zasadzkę jedną z grup naszych myśliwych i że będzie konieczna bitwa, żeby odpłacić za zniewagę. Odszukałam Kehlbranda pośród gromadzących się wojowników. Istniał zwyczaj, że krewni dawali upominki tym, którzy wyruszali na wojnę, więc nie ściągnęłam na siebie niczyjej uwagi, kiedy zbliżyłam się do brata. On jednak zmierzył mnie wzrokiem z rozbawieniem i zaskoczeniem, bo wiedział, że zwykle unikam takich rzeczy.

– Dziękuję, źrebaczku – powiedział, kiedy wcisnęłam mu w dłoń małą drewnianą rzeźbę. Sama zrobiłam tego konia, a skromność nie powstrzymuje mnie przed stwierdzeniem, że zawsze byłam w tym świetna.  
– Bardzo ładny...

Kehlbrand umilkł, kiedy przysunęłam się bliżej, stanęłam na palcach i objęłam go, szepcząc mu cicho do ucha:

– Odwróć się, kiedy zabijesz człowieka z opaską na oku. Uważaj na łuczника na białym koniu. – Puściłam go i odeszłam, ale jeszcze na chwilę się zatrzymałam. – I naprawdę powinieneś w przyszłości nosić hełm.

Oddaliłam się z dudniącym sercem. Nikomu więcej nie powiedziałam o Prawdziwym Śnie ani nie zamierzałam tego robić. Inni mogli się cieszyć z ujawnienia w nich bożych darów i pobiec do kapłanów z radosną nowiną. Ja wiedziałam swoje.

Wojownicy wrócili siedem dni później, kiedy siedziałam sama w namiocie i zażawionymi oczami patrzyłam przez odchyloną klapę. Pamiętam, że wcale nie byłam zaskoczona, kiedy Kehlbrand wszedł do środka, pochylając się, i usiadł obok mnie. Czułam jedynie posępną pewność. Mój brat był prawdziwym wojownikiem Hastu i znał swoje obowiązki. Tych, u których ujawniły się dary, należało zaprowadzić do Wielkiego Toru i przekazać kapłanom.

Kehlbrand przez dłuższy czas patrzył na mnie w milczeniu. Jego mina wyrażała raczej namysł niż podziw i respekt. W końcu odezwał się bezbarwnym głosem:

– Zatrzymałem białego ogiera. To mój prezent dla ciebie.

Pokiwałam głową, przetykając ślinę. Gardło miałam suche jak piasek.

– Pojadę na nim, kiedy zabierzesz mnie do kapłanów. – Mój głos zabrzmiał cienko i chrapliwie.

– Dlaczego miałbym to zrobić, źrebaczku? – Brat ujął w dłonie moją twarz.

– Oni się dowiedzą. Zawsze wiedzą...

– Cii. – Kciukami starł łzy wzbierające w moich oczach i sięgnął do swojego plecaka. – Mam dla ciebie jeszcze jeden prezent.

Ząb był długi i biały, osadzony w srebrnej klamercie i zawieszony na łańcuszku. Zobaczyłam, że jest na nim jakiś czarny napis. Umiałam czytać litery języka Kupieckich Królestw, ale tych nie znałam.

– Wyrwałem go ze szczęki białego tygrysa – powiedział Kehlbrand. – Wiele pór roku temu odszukałem na północnych pustkowiach starą kobietę, o której mówiono, że zna się na Boskiej Krwi. Przysięgała, że ten ząb ukryje cię przed kapłanami, i wytargowała ode mnie trzy konie i samorodek złota, zanim mi go oddała. Podobnie jak ty martwiłem się, że kapłani po mnie przyjdą, jeśli w mojej krwi przyśpieszy moc. Ponieważ

wydaje się, że to nigdy nie nastąpi – przełożył łańcuszek przez moją głowę i umieścił chłodny metal na mojej szyi – daję go teraz tobie.

Ale nawet ten gest, choć nas zbliżył i uczynił bratem i siostrą bardziej niż pochodzenie z tego samego łona, nie przypieczętował ostatecznie więzi, jaka nas połączyła. Rzecz, która naprawdę spłotła ze sobą nasze dusze, wydarzyła się w dniu, kiedy nas wezwano, żebyśmy zobaczyli, jak mestra-dirhmar, wielki kapłan, zabija naszego starszego brata.

– Bądźcie świadkami sądu Niewidzialnych! – zaintonował starzec, ściskając w kościstych dłoniach nóż uniesiony nad głową. – I dobrze poznajcie ich lekcje! Miłosierdzie to słabość! Współczucie to tchórzostwo! Mądrość to fałsz! Jeśli krew jest słaba, niech zostanie przelana!

Tehlvar, nasz brat, leżał nagi na ołtarzu przed kapłanem, jego ciało z siecią blizn na wyrzeźbionych mięśniach było bladym, długim na sześć stóp świadectwem wielu bitew. Pamiętam, że tylko lekko drgnął, kiedy zawisł nad nim nóż. Kapłan czekał, aż cienie rzucane przez poszarpany majestat Wielkiego Toru znikną, wyznaczając dokładną chwilę, kiedy słońce zrówna się z tym miejscem pośrodku Żelaznego Stepu. Gdy od lekko zakrzywionego ostrza odbiły się promienie południowego słońca, starzec opuścił nóż. Jedno szybkie, wprawne pchnięcie trafiło prosto w serce Tehlvara. Patrzyłam, jak mój brat się wygina, jak wpada w konwulsje podczas kilku ostatnich uderzeń przebitego serca, a potem nieruchomieje.

– Druhr-tivarik! – rzekł mestra-dirhmar i lekko stęknął z wysiłku, wyciągając nóż z ciała Tehlvara i unosząc go wysoko.

Krew ściekała mu po ramieniu na obnażony tors. Jako jedna z Boskiej Krwi stałam wśród uprzywilejowanych między dwoma masywnymi kamieniami, które tworzyły wschodnią bramę. W rezultacie znajdowałam się dostatecznie blisko ołtarza, by być świadkiem ponurych, ale fascynujących szczegółów morderstwa brata. Pamiętam, jak krew kapłała na zwiotczałe mięśnie piersi kapłana i ostre żebra. Dziwna była myśl, że tak potężny wojownik jak Tehlvar mógł zostać zabity przez słabego starca, który nigdy nie poznał bitwy.

To jest mestra-dirhmar, upomniałam siebie, powtarzając jego słowa i spuszczać wzrok wraz z tysiącami świadków najbardziej uświęconego z rytuałów. On mówi w imieniu Niewidzialnych. Nawet wtedy te słowa brzmiały pusto, moja czołobitność była jedynie mechaniczną reakcją dobrze wytresowanego psa. Inna, prawdziwsza myśl kryła się pod moim hołdem, kiedy ja i zgromadzeni luminarze ze stu skeldów padliśmy na

kolana i skłoniliśmy głowy do ziemi. To tylko słaby starzec. Tehlvar był lepszy.

Powinieneś zrozumieć, szanowny czytelniku, że nie kochałam Tehlvara. Młodsza od niego o trzynaście lat znałam go jedynie z reputacji, ale co to była za reputacja. Mówiło się, że zabił ponad pięćdziesięciu ludzi w pojedynkach przed tym, jak został skeltirem. To pod przywództwem Tehlvara skeld Cova zdobył wysoką pozycję. Dzięki jego odwadze i umiejętnościom w bitwie Trzech Rzek heretyccy zdrajcy Boskiej Krwi zostali zabici albo pojmani. Choć między nimi przetrwało sporo niezgody, wiele skeldów Hostu zostało sojusznikami zamiast wiecznie zwalczającymi się rywalami. Ale te zasługi nie wystarczyły, żeby uratować Thelvara przed nożem wielkiego kapłana.

Wezwany do Wielkiego Toru został poproszony o odpowiedź na ostatnie z trzech pytań, co miało mu zapewnić ostateczne namaszczenie na mestra-skeltira, wielkiego pana Hastu. Wcześniej kapłani wzywali go dwa razy, żeby zadać mu pytanie, i dwa razy Tehlvar udzielił zadowolającej odpowiedzi. Nie wszyscy skeltirowie dostępowali tego zaszczytu, a jedynie ci, którzy zdobyli największą sławę. Czasami mijały lata i nikomu nie zadawano pytania, a tylko czterech skeltirów w całej długiej historii Hastu odpowiedziało prawidłowo na dwa i żaden na trzecie. Od dawna czekaliśmy na pojawienie się mestra-skeltira, przywódcy, który zapewniłby nam panowanie nie tylko nad Żelaznym Stepem, ale nad dużo bogatszymi ziemiami Kupieckich Królestw na południu.

Jednakże jakkolwiek brzmiała odpowiedź Thelvara, udzielona jedynie zgromadzeniu kapłanów, z dala od przybyłego tłumu, nie wystarczyła, żeby zapewnić mu władzę. Był druhr-tivarikiem, Boska Krew płynęła w jego żyłach, podobnie jak w moich, ale okazał się słaby, a jeśli krew jest słaba, musi zostać przelana.

– Kehlbrandzie Reyeriku! – zawołał mestra-dirhmar, opuszczając nóż i wskazując nim na młodego mężczyznę klęczącego obok mnie. – Wstań i daj się poznać!

Patrząc, jak mój brat wstaje, walczyłam z impulsem, żeby jakoś go powstrzymać. Choć młoda i przesiąknięta kapłańskimi kłamstwami, wiedziałam, że jego wybór jest przekleństwem, a nie błogosławieństwem. Zatrzymanie go w tej chwili oznaczałoby śmierć, ale nie tak szybką jak ta zadana Thelvarowi. Zakłócenie świętych rytuałów przyniosłoby mi najgorsze męki. Zatem może to strach pohamował wtedy moją rękę, bo

nigdy nie udawałam, że jestem najodważniejszą z dusz. Jednak nie sędzę. Myślę, że jak wielu innych tam obecnych chciałam, żeby to był Kehlbrand. Pragnęłam być świadkiem chwili, kiedy prawdziwy mestra-skeltir zajmie należne mu miejsce. Tak więc nie próbowałam go zatrzymać, nie wtedy. To stało się później.

– Zgodnie z prawem krwi jesteś teraz skeltirem skeldu Cova – rzekł kapłan. – Jak nakazują odwieczne prawa, jutrzejszy ranek będzie przeznaczony na wyzwania. Każdy wojownik odpowiedniej rangi, który cię pokona, zostanie skeltirem w twoje miejsce.

Kehlbrand skłonił głowę na znak zgody, a następnie podniósł ją i spojrzał wyczekująco w oczy kapłana. Zobaczyłam, że twarz starca czerwienieje z gniewu i niechęci. Mógł po prostu milczeć. Oficjalnie wyznaczony mojego brata do roli skeltira, nie miał obowiązku wzywać go na przesłuchanie, gdyby nie to, że Kehlbrand już zdobył dużo większą sławę niż większość innych, którzy kiedyś dostąpili tego zaszczytu, o czym każdy członek Hastu dobrze wiedział.

Usta kapłana rozchyliły się, odsłaniając pożółkłe zęby w kiepsko skrywanym półszyderyczym grymasie, po czym jego twarz znowu przybrała wyraz pewności.

– Jeśli przeżyjesz, wróć godzinę przed górowaniem słońca, żeby odpowiedzieć na pierwsze pytanie Niewidzialnych.

Mestra-dirhmar opuścił rękę i przyjrzał się ciału Tehlvara. Zobaczyłam, że wyraz jego twarzy nagle się zmienia i kontrastuje z zastygłą maską sprzed chwili. Teraz dostojnik wydawał się dużo starszy, w jego oczach na krótką chwilę pojawiły się smutek i żal, zanim odwrócił się i ruszył między rzędami pomniejszych kapłanów.

Mój lud nie lubi przedłużających się rytuałów, tak że wkrótce przedstawiciele stu skeldów rozeszli się do swoich obozowisk. Kehlbrand jednak został, więc ja również tak zrobiłam. Podszedł do ołtarza, zamknął oczy i położył dłoń na czole naszego brata, wypowiadając szeptem ciche pożegnanie. Spędził u boku Thelvara większość ostatnich kilku lat i zdobył dość rozgłosu, żeby mieć prawo do pojedynku o płaszcz skeltira, ale nigdy nie rzucił mu wyzwania.

Za mną rozległo się głośnie beknięcie. Zerknęłam przez ramię i zobaczyłam Obvara opierającego się o monolit, z bukłakiem wina w ręce. Mierzył mnie pytającym spojrzeniem.

– On się zęga – powiedziałam cicho.

– Pobożny dupek nie żyje – wymamrotał Obvar, podchodząc do mnie. – Nie może nic usłyszeć, więc jaki w tym sens? – Pytanie było najwyraźniej retoryczne, bo uprzedził moją odpowiedź, podając mi bukłak. – Napijesz się?

Obvar zawsze proponował mi coś do picia i oprócz tego jeszcze więcej. Minęło wiele lat, odkąd jego dziecięce tyranizowanie ustąpiło miejsca innemu rodzajowi zainteresowania. Często przychodziła mi do głowy myśl, że wolałam go jako łobuza niż jako zalotnika. Jednakże pierwszy impuls, żeby odmówić, uwiązał mi na języku, kiedy zauważyłam brak cielesnej żądzy w jego wzroku. Inaczej niż z Kehlbrandem, różnica wzrostu między nami powiększyła się przez lata, tak że musiałam zadzierać głowę, żeby wybadać wyraz jego twarzy. Po raz pierwszy Obvar wydawał się raczej zmartwiony niż pożądlivy.

– Daj mi to – powiedziałam, biorąc od niego bukłak.

Pierwszy łyk tak mnie zaskoczył, że wytrzeszczyłam oczy. Zamiast gęstego, kwiatowego wina z jagód pijanego przez Hast poczułam na podniebieniu coś dużo lżejszego. Smak był bogaty i złożony, z miłą nutą ziemistości, zrównoważoną przez gładkość, dzięki której bardzo łatwo się ten napój przełykało.

– Nie jest tanie – powiedział Obvar i zmarszczył grube brwi, kiedy wypiałam następny solidny łyk.

– Co to jest? – zapytałam, oddając mu bukłak.

– Nie jestem pewien nazwy. Robią je z jakichś owoców rosnących w krainie po drugiej stronie morza. Przynajmniej tak mówił kupiec, któremu je ukradłem. Pozwoliłem mu żyć pod warunkiem, że wróci następnego lata z większą ilością. Powiedziałem, że nawet mu za nie zapłacę. Czy to nie było miłe z mojej strony?

– Innym z jego karawany też pozwoliłeś żyć?

– Młodym. – Obvar wzruszył ramionami i napił się wina. – Niewolnicy są cenni.

– Ależ z ciebie odrażające zwierzę, Obvarze. – W moim głosie zabrzmiała szczerą pogardą, dostatecznie głośną, żeby bukłak zatrzymał się w drodze do jego ust rozciągniętych w uśmiechu.

– Osiemnaście wiosen – powiedział i przysunął się bliżej, a do jego wzroku wróciła znajoma żądza. – I nadal niezamężna. Zawsze mi się podoba, jak chłoszczesz mnie językiem, dziewczyno. Od razu się zastanawiam, co jeszcze on potrafi.

Wbiłam wzrok w jego oczy, najwyższą pogardą odpowiadając na lubieźność, jaką w nich dojrzałam. Nie bałam się ani nie czułam potrzeby sięgnięcia po długi nóż, który nosiłam przy pasie. Byłam druhr-tivarik i podczas gdy dziecięce prześladowanie karano laniem, każda zniewaga albo krzywda wyrządzona teraz, kiedy byłam w wieku zdatnym do rodzenia dzieci, oznaczałaby dla niego długą agonię i hańbę. Ale kiedy nasze spojrzenia się zwały i sekundy zmieniły się w minuty, zaczęłam się zastanawiać, czy to jest ten dzień, w którym jego żądza w końcu weźmie górę nad ostrożnością.

– Kiedy twój brat zostanie mestra-skeltirem – powiedział Obvar zachrypniętym głosem, obnażając zęby – podbijemy wszystkich. Spustoszymy ziemie Kupieckich Królestw aż po Złote Morze, a ja będę u jego boku w każdej bitwie. Kiedy skończy się ta wspaniała rzeź i spadnie ostatnia kropla krwi, on zapyta, jakiej pragnę nagrody za swoją służbę. Jak myślisz, o co go poproszę?

– Luralyn.

Na dźwięk głosu mojego brata nasze spojrzenia pomknęły ku ołtarzowi. Kehlbrand nie patrzył na nas, tylko nadal wpatrywał się w ciało Tehlvara.

– Mam radę. – Wreszcie spojrział na Obvara. – Idź, bracie, zaspokój swój apetyt z niewolnicą i zostaw moją siostrę w spokoju. Tylko nie upij się za bardzo. Możemy jutro potrzebować twojego ostrza.

Obvar zeszywniał, a ja zobaczyłam, że po jego szczupłej, brodatej twarzy przemyka lekkie drgnienie urazy. Ten wyraz jednak szybko zniknął, a on wydał ciche westchnienie zgody. Ci dwaj byli braćmi od siodła, ale teraz Kehlbrand został skeltirem.

– Proszę – burknął Obvar, wciskając mi w rękę bukłak. – Na znak szacunku dla siostry skeltira.

Patrzyłam, jak maszeruje w stronę obozowiska naszego skeldu, i współczułam pechowej niewolnicy, która przyciągnie jego uwagę. Niewolnicy nie są częścią Hastu. W duchu wyrecytowałam jedno z odwiecznych praw i podeszłam do Kehlbranda stojącego przy ołtarzu. Wszystko, co nie z Hastu, jest łupem.

– Napij się. – Podałam mu bukłak. – Naprawdę nie jest złe.

Brat mnie zignorował, nie odrywając wzroku od gładkiej, pustej twarzy naszego brata. Tehlvar miał usta rozciągnięte w parodii uśmiechu i obnażone zęby. Nie mogłam długo patrzeć na ten śmiertelny grymas. Pociągnęłam duży haust wina Obvara.

– Wiesz, dlaczego kapłani go zabili, Luralyn? – spytał Kehlbrand.

Jak zwykle mówił cichym głosem. Mój brat rzadko krzyczał. Nawet w czasie pojedynków nieliczne słowa, które wyrzucał z siebie pośród szczęku broni, były wypowiedzane spokojnym, niemal zatroskanym szeptem. Mimo to nie przypominam sobie, żeby ktoś go nie dosłyszał albo nie zrozumiał choćby jednego słowa z jego wypowiedzi.

– Źle odpowiedział na pytanie – odparłam, wycierając usta rękawem czarnej bawełnianej szaty.

– Nie słyszę smutku w twoim głosie, źrebaczku – stwierdził Kehlbrand, w końcu odwracając się do mnie. – Nie kochałaś naszego brata? Czy twoje serce nie pęka, że odszedł z tego świata?

Komuś słuchającemu z boku jego pytania wydałyby się poważne i szczerze, zabarwione nutą urazy z powodu mojej pozornej obojętności. Ja jednak znałam swojego brata dostatecznie dobrze, by rozpoznać w nich lekką drwinę.

– Wyszliśmy z tego samego łona – powiedziałam. – Ale nie jesteśmy z tego samego ojca. Tehlvar był mi obcy przez większość życia. Ale... – Zrobiłam pauzę i przyjrzałam się ciału spoczywającemu na ołtarzu. Znowu uderzyła mnie sama liczba bitewnych ran, niektórych od dawna wygojonych, innych nie starszych niż parę tygodni. Wiedziałam, że na ciele Kehlbranda jest niemal tyle samo blizn. – Mimo to przykro mi, że umarł. Był dobrym skeltirem, nawet jeśli trochę za bardzo lubił recytować nauki kapłanów.

– Nauki kapłanów – powtórzył Kehlbrand, wolno kiwając głową. – Zawsze kochał te lekcje. „Zapusiłem się poza Żelazny Step, bracie”, powiedział mi kiedyś. „Ludzie, którzy tam mieszkają, prowadzą życie pełne niepewności i chaosu. Czczą słabość i rozkoszują się chciwością. Z kłamstw czynią cnotę, z uczciwości grzech. Kiedy pojawi się mestra-skeltir, zmyje wszystko krwią. Właśnie to zobaczyli kapłani”.

Kehlbrand umilkł, położył dłoń na martwych oczach Tehlvara i zamknął mu powieki.

– Ale ty się mylisz, źrebaczku. Oni nie zabili go z powodu odpowiedzi, którą im dał. Zabili go, bo nie dał żadnej. Nie był mestra-skeltirem i o tym wiedział.

– Ustąpił ci miejsca – stwierdziłam.

– Tak. Powiedział mi to ostatniej nocy. Długo rozmawialiśmy i on zdradził mi wiele rzeczy, łącznie z pytaniem, które jutro mi zadadzą, i tym,



które zadadzą mi za rok, a ja powinienem odpowiedzieć na nie prawidłowo.

Patrzyłam na niego oniemiała. Bukłak omal nie wypadł mi z ręki, zanim się opanowałam. Uznałam, że konieczny jest kolejny łyk, jeśli mam odzyskać mowę.

– Zdradził ci? To herezja!

Zęby Kehlbranda, bardzo białe i bardzo równe, zalsniły, kiedy wybuchnął rzadkim u niego śmiechem.

– W swoim czasie, siostró, powiem ci, czego się dowiedziałem zeszłej nocy, a ty zrozumiesz absurdalność słów, które właśnie wygłosiłaś.

Jego rozbawienie nie trwało długo. Kehlbrand zabrał rękę z oczu Thelvara i chwycił mnie za ramię.

– Jutro zapytają mnie o moje imię.

– Już je znają. Kehlbrand Reyerik, skeltir skeldu Cova.

– Nie, zapytają o inne imię. Imię godne mestra-skeltira. Imię, które żołnierze Kupieckich Królestw będą wymawiać ze strachem, kiedy usłyszą tętent kopyt Stahlhastu na stepie. Imię, które zaprowadzi nas aż do Złotego Morza i dalej.

Przesunął dłoń z mojego ramienia na twarz, objął policzek. Kiedy się do mnie uśmiechnął, zobaczyłam w jego oczach żal i poczucie winy, bo znał doniosłość tego, o co zamierzał poprosić.

– Właśnie tego od ciebie potrzebuję: imienia. Luralyn, droga siostró, czas, żebyś znowu śniła.

Choć próbowałam się opierać, choć od przybycia do tego miejsca unikałam patrzenia w tamtą stronę, mój wzrok w nieunikniony sposób pomknął do Grobowca. Budowla stała w środku półokręgu z żelaza i skał tworzącego Wielki Tor. Nieozdobiony, szary kloc o szerokości dziesięciu kroków i wysokości dwunastu stóp, z otworem we wschodniej ścianie. Wejście było czarnym prostokątem na tle szarości, bo ze środka nie wydostawało się żadne światło. Kapłani nigdy go nie strzegli.

– Nie bój się – powiedział Kehlbrand, kiedy bez mrugania wpatrywałam się w czarne drzwi Grobowca. – Kapłani nic nie wiedzą. Zadbaliśmy o to.

– Dowiedzą się. – Stwierdziłam, że nie jestem w stanie zapanować nad drżeniem w głosie. Moja ręka z własnej woli wsunęła się pod szatę i zamknęła na zębie tygrysa, ścisnęła go mocno. – Nawet z tym, tak blisko... tego. Dowiedzą się.

– Przeceniasz ich możliwości. Oni mają zaledwie ułamek tej mocy, jaką udają. Ich prawdziwa władza bierze się z iluzji, które stwarzają, żeby zapanować nad duszami naszego ludu, a wszystkie iluzje z czasem blakną. To kolejna lekcja, jaką zeszłej nocy podzielił się ze mną Tehlvar.

– Dowiedzą się! – powtórzyłam z uporem, nienawidząc się za łzy w oczach.

Odbierałam jego żądanie jako zdradę, egoistyczną prośbę niszczącą zaufanie między nami. Bo z całego naszego skeldu, spośród mojego rodzeństwa i kuzynów Boskiej Krwi, tylko on znał prawdę. Gdyby kapłani kiedyś ją odkryli, weszłabym przez te czarne drzwi, a to, co by z nich wyszło, nie byłoby mną.

– Zmuszą mnie...

Zawiesiłam głos, a brat przyciągnął mnie do siebie i otoczył ramionami niczym konarami potężnego drzewa. Miały przyjść inne słowa, inne przysięgi i obietnice, ale ja już wtedy zrozumiałam, że nasza więź została przypieczętowana tym uściskiem. To była ta chwila, kiedy stałam się naprawdę jego. W objęciach brata wszystkie lęki pierzchły, a ja wiedziałam, że on nigdy nie pozwoli, żeby stała mi się jakaś krzywda, na ciele czy duszy.

– Zabiję każdego kapłana, jeśli choćby to zaproponują – wyszeptał mi do ucha. – Pomaluję ten tor ich krwią, nasadzę głowy na pale wbite kręgiem wokół Grobowca, żeby zobaczył je cały Hast. – Odsunął się i starł kciukami moje łzy, tak jak przez wszystkie minione lata, tyle że tym razem nie było policzka, który wymierzał po chwilach dobroci. – Wierzysz mi, źrebaczku?

– Tak, bracie – powiedziałam, przyciskając głowę do jego piersi i słuchając równomiernego bicia jego serca. – Wierzę ci.

\*\*\*

Wezwanie Prawdziwego Snu nie jest skomplikowanym procesem. To nie mistyczna ani rytualna rzecz. Wbrew wierzeniom nieoświeconych kultur nie wymaga żadnych inkantacji, cuchnących mikstur ani krwi nieszczęsnych zwierząt. Prawdę mówiąc, jak odkryłam w latach po pierwszej manifestacji mojego daru, wymaga jedynie bezpiecznego i wygodnego miejsca, cichego i spokojnego. Dlatego opuściłam tamtej nocy obozowisko Cavy. Zabawa zaczęła się wcześniej, normalna przyzwoitość została odrzucona na rzecz picia, odurzania się i nieskrępowanej kopulacji.

Eskortowana przez Kehlbranda i jego dwóch najbardziej zaufanych towarzyszy od siodła, zostawiłam za sobą gwar świętowania i pojechałam poza skupisko namiotów na bezkres Żelaznego Stepu. Pięćmilowa jazda pod gwiazdami przywiodła nas do małego wzniesienia w poza tym całkowicie płaskiej okolicy. Dwaj wojownicy rozbili na nim namiot, przywiązali wodze koni do nadgarstków długimi linami i wycofali się na stosowną odległość. Jeden zwrócił się twarzą na wschód, drugi na zachód. Obaj trzymali w pogotowiu łuki z nasadzonymi strzałami. Nie wiedziałam, czy Kehlbrand powiedział im, co się wydarzy tej nocy, ale byłam pewna, że nawet jeśli tak, żaden nigdy o tym nie będzie mówił. Tych, którzy zapewnili sobie jego przyjaźń, cechowała całkowita lojalność.

– Gdybyś się nudził. – Podałam Kehlbrandowi bukłak Obvara.

– Mmm – mruknął brat po spróbowaniu trunku, z uznaniem unosząc brwi. – Znam ten trunek. Robiony z owocu zwanego winogronem przez barbarzyńców zza Dużego Morza, którzy żyją w królestwie nękanym przez niekończące się wojny i irracjonalne przesady. – Położył bukłak przy małym ognisku, które wcześniej rozpałił. – Będą zadowoleni z pokoju, jaki z czasem im przyniesiemy.

– Zamierzasz jechać tak daleko?

– Zamierzam objechać cały świat. Bo czyż kapłani nie przepowiedzieli, że właśnie tak zrobi mestra-skeltir?

Przewróciłam oczami i wpełzłam do namiotu.

Zdjęłam szatę z bawolej skóry i wyciągnęłam się na futrach, które rozłożyli dla mnie towarzysze brata. Jak zwykle na stepie wiał silny wiatr i poły namiotu łopotwały. Ten znajomy refren mi nie przeszkadzał, kiedy dążyłam do uspokojenia umysłu, żeby sprowadzić czarną zasłonę i Prawdziwy Sen.

Po pierwszym doświadczeniu przez długi czas odrzucałam swój dar ze strachu, czego mogę się dowiedzieć, gdy zasłona się podniesie. Jednakże ciekawość, cecha być może najtrudniejsza do okiełznania, w końcu zwyciężyła. Moje próby z początku były nieudane: Prawdziwy Sen przynosił jedynie mgnienia miejsc i ludzi o tak obcych strojach i mowie, że wiadomość, którą mi przekazywano, stawała się niezrozumiała. Dopiero po wielu eksperymentach odkryłam, że Prawdziwy Sen wymaga celu, pytania naprowadzającego na prawdę.

„Imię mojego brata”, wyszeptałam w duchu, kiedy opadł na mnie czarny woal. „Jakie ono jest?”.

Zasłona posłusznie się rozstąpiła, a ja znalazłam się na szczycie niskiego wzniesienia. Wysoka trawa szumiała na wieczornym wietrze. Niebo przybrało ciemne barwy zmierzchu, zobaczyłam liczne ogniska płonące pode mną w płytkim obniżeniu terenu. Widząc istne miasteczko namiotów skupionych wokół ognisk, przy których siedzieli albo stali mężczyźni, uświadomiłam sobie, że to armia. Broń i zbroje piętrzyły się w stosach, zupełnie inne od czarnych żelaznych napierśników i kolczug Hastu. Te były zrobione z nakładających się na siebie stalowych płyt, a włócznie o zakrzywionych ostrzach należały do żołnierzy w służbie Kupieckich Królestw. Była to największa wataha, jaką w życiu widziałam, licząca tysiące ludzi.

– Kim jesteś?

Drgnęłam na dźwięk obcego głosu. Kilkanaście kroków ode mnie stała kobieta o wyglądzie bardzo zaskakującym w swojej całkowitej obcości. Jeszcze nigdy nie widziałam takiego stroju: sięgającej do kostek prostej szaty z czarnych piór, z małym białym znakiem w kształcie płomienia na piersi. Również jej rysy i cera były całkowicie inne niż u ludów Kupieckich Królestw, a raczej takie jak u członków Stahlhastu o niebieskich oczach i jasnej skórze. Ale najbardziej zaskoczyło mnie, wręcz przeraziło to, że kobieta patrzyła prosto na mnie. Widziała mnie.

– Kim jesteś? – powtórzyła, rozglądając się po otoczeniu szeroko otwartymi, przestraszonymi oczami. – Gdzie ja jestem?

Mogłam tylko gapić się na nią oszołomiona. Jeszcze nikt w czasie poprzednich Prawdziwych Snów nie zauważył mojej obecności. Jak to w ogóle możliwe? Przecież mnie tam naprawdę nie było.

– Wezwałaś mnie tutaj? – spytała kobieta, zbliżając się do mnie, nagle bardziej rozgniewana niż zdezorientowana.

Nie poruszyłam się, nadal dręczona niepewnością i zdziwiona, że nieznajoma w czarnej szacie nie nosi butów. Stopy miała czarne od brudu, a ja z jakiegoś powodu uznałam ten widok za dziwnie fascynujący.

– To nie jest wizja od Ojca – stwierdziła kobieta, rzucając się na mnie. – Jest inaczej. Czuję to!

Fascynacja jej stopami w połączeniu z przemożnym uczuciem całkowitego zaskoczenia opóźniła moją reakcję, kiedy nieznajoma chwyciła mnie za ramiona mocnym uściskiem. Kiedy jej twarz znalazła się kilka cali od mojej, zauważyłam przekrwione oczy. Było to urodziwe oblicze, a jego gładkość świadczyła, że kobieta ma około trzydziestu lat. Twarz wieńczyła

niesforna masa ciemnych, nieuczesanych włosów. Oddech miał znajomy cierpki zapach, co w połączeniu z zaczerwienionymi oczami prowadziło do jednego wniosku. Pijaczka. Mój sen nawiedziła pijaczka o brudnych stopach.

– Nie próbuj mnie oszukać, więdźmo! – wysyczała. – Co knuje Ciemność?

Otrzeźwił mnie jej lekki, ale kwaśny oddech. Skrzywiłam się z odrazą, gwałtownie szarpnęłam głową i uderzyłam czołem o jej nos. Skutek był natychmiastowy. Ręce zsunęły się z moich ramion, kobieta z jękiem opadła na kolana.

– Pytałaś mnie, kim jestem. – Wyciągnęłam z za pasa długi nóż i przystawiłam go do jej szyi. – Chciałabym najpierw poznać twoje imię.

Widząc ostrze przytknięte do jej ciała, uświadomiłam sobie, że skoro możemy dotknąć się nawzajem, możemy również zrobić sobie krzywdę.

– Nic ci nie powiem, służko Ciemności – oświadczyła kobieta z twarzą ściągniętą z bólu i wyzywającym spojrzeniem. – Nigdy nie zdradzę miłości Ojca...

Syknęła z bólu, kiedy przejechałam ostrzem przez jej policzek, zostawiając małe, ale głębokie rozcięcie.

– Jak się tu znalazłaś? – spytałam. – Jak to możliwe, że mnie widzisz? Jak znalazłaś drogę do mojego snu?

Ból i wrogość na chwilę zniknęły z jej oczu, a kobieta popatrzyła na mnie ze zdumieniem.

– Masz na myśli... że ty też jesteś jasnowidzącą? Ale... to nie możesz znać miłości Ojca. On nie obdarzyłby tym wielkim darem kogoś takiego jak ty...

– Jaki ojciec? – Przesunęłam czubek noża tak, że znalazł się cał od jej oka. – Co ty bredzisz?

Dźwięk wielu rogów zagłuszył moje słowa. Od armii stacjonującej w dole dobiegło grzmiące echo. Oderwałam wzrok od pijaczki i zobaczyłam, że reagując na wezwanie, żołnierze biegną do stosów włóczy, kusznicy sięgają po kołczany, kawalerzyści niosą siodła w stronę spętanych koni.

– Co się dzieje? – zapytała kobieta.

Uświadomiłam sobie, że nadal trzymam nóż przy jej oku. Odsunęłam się i nagle poczułam się głupio.

– Najwyraźniej bitwa – odpowiedziałam, chowając broń.

– Gdzie? – Kobieta wstała, krzywiąc się i masując nos. Zobaczyłam, że siniak znika, podobnie jak cięcie na policzku. Wyglądało na to, że zadane

rany są w tym miejscu jedynie tymczasowe. – Kto walczy?

– Nie jestem pewna. – Odwróciłam się i zobaczyłam, że wojsko formuje szeregi. – Sądzę, że znajdujemy się gdzieś na południowym stepie, niedaleko granicy z ziemiami Kupieckich Królestw.

– Kupieckich Królestw?

Odwróciłam się do niej, marszcząc brwi, zdziwiona jej szczerą ignorancją. Jak mogła nie słyszeć o Kupieckich Królestwach? W ich posiadaniu była większość bogactw całego świata.

– Chyba pora, żebyśmy przedstawiły się sobie jak należy – stwierdziłam.

Kobieta wyprostowała się i z dumą wysunęła brodę do przodu.

– Jestem lady Ivinia Morentes z Zachodnich Marchii – powiedziała. – Służka Kościoła Ojca Świata i z Jego błogosławieństwa Święta Wieszcza. – Zrobiła pauzę dla większego efektu dramatycznego, jak przypuszczałam. – Znana jako Błogosławiona Dziewica wszystkim, którzy cieszą się miłością Ojca.

Oszołomiona pokręciłam głową, ale uniosłam otwartą dłoń na znak pokojowego powitania.

– Luralyn Reyerik z Boskiej Krwi, córka skeldu Cova Stahlhastu.

Po wyrazie twarzy było widać, że kobieta nie ma pojęcia, kim jestem, podobnie jak ja nie wiedziałam, kim ona jest.

– Jesteś... – zaczęła z powątpiewającą miną – ...wieszczką swojego ludu?

– Wieszczką?

– Widzisz... rzeczy. Wydarzenia, które nadejdą albo już nadeszły.

– Czasami. Ja nazywam to Prawdziwym Snem.

– Snem. – Prychnęła z pogardą i skierowała uwagę na szykującą się w dole armię. – Nie, dziewczyno, to nie są sny. To dary widzenia od samego Ojca. Choć nie rozumiem, dlaczego postanowił się nimi podzielić akurat z tobą.

Jej ton sprawił, że moja ręka odruchowo powędrowała do noża, ale pohamowałam impuls.

– Gdzie twoje buty? – zapytałam, rzucając spojrzenie na jej czarne stopy.

– Światowe wygody są przeszkodą dla miłości Ojca – oświadczyła tonem pobożnej pewności. – Rezygnuję z nich, żeby prowadzić proste i nieuprzywilejowane życie, tak jak zrezygnowałam z bogactwa i beczynności, do których się urodziłam. W ten sposób łatwiej będą do mnie przychodzić wizje Ojca.

Spojrzałam w jej przekrwione oczy i przypomniałam sobie kwaśny oddech.

– Więc zrezygnowałaś z butów, ale nie z picia.

Grymas gniewu przemknął po jej twarzy, a odpowiedź została wyciedzona obronnym tonem.

– Kościelne rytuały często wymagają wina, a Księga zawiera dużo wzmianek o jego dobroczynnych właściwościach.

– Aha... – w moim głosie pojawił się cierpki ton – więc jesteś kapłanką.

Ivinia Morantes wyprostowała się lekko i skrzyżowała ramiona na piersi. Kiedy mi odpowiedziała, jej głos zdradzał urazę.

– Z rozkazu Świętego Czytelnika kobietom jest zabronione kapłaństwo. Ale ja służę kościołowi lepiej niż niejeden mężczyzna. Podczas gdy ty... – zmrużyła oczy i posłała mi spojrzenie z ukosa – ...jesteś tylko heretyczką i dzikuską. Może to dlatego On cię tutaj sprowadził, żebym mogła cię nauczyć Jego miłości...

– Mam nóż – przypomniałam jej i wskazałam głową na dolinę. – Poobserwujmy bitwę, dobrze? Podejrzewam, że właśnie po to tutaj jesteśmy.

Armia uformowała szyki – długie szeregi piechoty przedzielone oddziałami kuszników, kawaleria galopująca na flanki. Światło dzienne już prawie całkiem zgasło, scenę oświetlały ogniska obozowe i liczne pochodnie trzymane przez konnych oficerów. Mimo że niosło się ku nam słabe echo wykrzykiwanych rozkazów, wojsko było dziwnie ciche, wszystko spowijał całun pełnego napięcia oczekiwania. Nie wyczuwałam gotowości do walki, tylko strach.

Wojsko było zwrócone ku północy, gdzie widziałam tylko trawiastą równinę ciągnącą się daleko w ciemność. Jednakże wkrótce poczułam znajome drżenie ziemi, a potem usłyszałam grzmiący pomruk nadciągającej burzy.

– Pytałaś o mój lud – powiedziałam do kobiety. – Wkrótce go poznasz.

Grzmot się wzmógł, zapowiadając armię dużo liczniejszą niż inne, które kiedykolwiek zgromadziły się na Żelaznym Stepie. Doszłam do wniosku, że wojsko czekające w dole stanie przeciwko połączonym siłom wszystkich skeldów zaprzysiężonych Hastowi. Muszę wyznać, choć zawstydzona mnie to po tych wszystkich latach, że ta perspektywa napęliła mnie wielką niecierpliwością.

Dlatego ogarnęła mnie konsternacja, kiedy usłyszałam, że dudnienie nagle przycicha i na mrocznej równinie nie pojawia się żadna armia Stahlhastu. Nadal wyczuwałam jej obecność, do moich uszu docierały zmieszane oddechy tysięcy koni i wojowników. Ale z jakiegoś powodu ich szarża się zatrzymała. Potem, po krótkiej przerwie, w migotliwym blasku pochodni ukazał się szereg złożony z około dwustu jeźdźców. Konie szły stępą, zbliżając się do w pełni teraz uformowanych szyków armii przeciwnika w nieśpiesznym, nawet spacerowym tempie. Zauważyłam, że wielu jeźdźców nosi stroje wojowników Stahlhastu, natomiast inni byli bez zbroi i nie mieli żadnej broni. Niektórzy, może jedna trzecia, w ogóle nie wyglądali na członków Stalowej Hordy, bo mieli na sobie watowane kurtki ludów pogranicza.

Pojedynczy szereg jeźdźców zatrzymał się kilka kroków od rzędu kuszników, patrząc na zgromadzone przed nimi tysiące ze skupieniem i determinacją. Wtedy dotarł do mnie pomruk mocy, który zwykle zapowiadał, że obdarzeni nią członkowie Boskiej Krwi wkrótce wykorzystają swoje dary. Najwyraźniej kobieta również ją wyczuła.

– Ciemność – wyszeptała z twarzą ściągniętą strachem.

Głośny chór okrzyków przyciągnął mój wzrok z powrotem do doliny. W samą porę, żebym zobaczyła, jak kula ognia wznosi się nad pierwszym szeregiem wojska Kupieckich Królestw. Ludzie ogarnięci płomieniami zaczęli tarzać się po trawie. Pięćdziesiąt kroków na wschód oddział piechoty liczący dwudziestu ludzi został nagle odrzucony do tyłu jak dzielony pięścią przez niewidzialnego giganta. Zakute w zbroje ciała potoczyły się jak lalki. Rozbrzmiało więcej krzyków, kiedy cały pierwszy szereg się załamał i rozproszył. W jednym miejscu żołnierze po prostu padli na ziemię i znieruchomieli, w innym obrócili się przeciwko sobie i cała kompania zaczęła się mordować nawzajem w szale zniszczenia. Pośród tego zamętu buchnęły następne płomienie, a niewidzialna pięść znowu zaczęła wymierzać ciosy.

Zamieszanie wkrótce ogarnęło kolejne szeregi, choć oficerowie starali się utrzymać porządek i dyscyplinę, w miarę jak oddziały wpadały w panikę. I właśnie wtedy pojawił się Stahlhast. Szereg niedobrych jeźdźców pocwałował na boki, a ogromny klin konnych wojowników wypadł z mroku w pełnym galopie. Na ich czele pędziła na czarnym ogierze wysoka postać z długą szablą w wysoko uniesionej dłoni. Mężczyzna miał



na głowie żelazny hełm zwieńczony długim pióropuszem z końskiego włosia, a kratkowany wizjer ukrywał jego rysy, ale od razu go poznałam.

Klin Stahlhastu uderzył w zdeorganizowany środek wojska i wdarł się głęboko w spanikowane szeregi niczym rozżarzony żelazny pręt przesywający miękką skórę. Kolejni wojownicy zaatakowali na wschodzie i zachodzie równiny, a każdy klin złożony z koni i stali wbijał się równie głęboko jak pierwszy. W ciągu zaledwie kilku uderzeń serca stało się jasne, że wielka armia jest skazana na porażkę, a cała dolina stała się sceną rzezi. Mimo zamieszania i chaosu jakoś nie miałam kłopotów ze śledzeniem wysokiego jeźdźca na czarnym ogierze. Wojownik pędził przez pole bitwy krętym kursem, zostawiając za sobą martwych i umierających, jego szabla śmigła bez ustanku w wirze zniszczenia. Teraz często płaczę na myśl o mojej ówczesnej radości i pieśni dumy, która we mnie rosła na widok krwawej podróży brata.

– Ojcze! – wykrzyknęła stojąca obok mnie kobieta i padła na kolana ze łzami płynącymi po twarzy. – Dlaczego przekląłeś mnie tą wizją?

– Och, zamknij się! – warknęłam zirytowana. – Powinnaś uważać się za uprzywilejowaną, że możesz być tego świadkiem. Bo wszystko jest tak, jak powinno być. Zjawi się mestra-skeltir i nic go nie powstrzyma. To dawno zostało przepowiedziane...

Umilkłam raptownie, gdy zobaczyłam, że wysoka postać ściąga wodze i zatrzymuje konia. Wojownik spojrzął na grupę klęczących żołnierzy przeciwnika. Wszyscy odrzucili broń i opuścili głowy do ziemi na znak poddania. Mój brat mierzył ich nieruchomym wzrokiem przez jedno uderzenie serca, po czym spał ogiera i ruszył przed siebie, tratując głowę najbliższego człowieka, a jego szabla rozpoczęła śmiertelny taniec.

Odwróciłam się, nie mogąc patrzeć na to widowisko. Stahlhast rzadko brał jeńców w czasie bitwy, to wiedziałam. Niewolników dopiero później wybierano spośród ocalałych. Nie było niczego niezwykłego w działaniach mojego brata. Ale dlaczego się zatrzymał? Rozkoszował się ich strachem?

– Miłosierdzie to słabość – wyszeptałam, mając nadzieję, że często wypowiedana mantra uspokoi moje dudniące serce. – Współczucie to tchórzostwo.

Poczułam, że Prawdziwy Sen się kończy, gdy na skraju mojego widzenia pojawiła się czarna zasłona. Kobieta zaczęła zawodzić z rozpaczą.

– Dlaczego, Ojcze? Dlaczego pokazujesz mi ten triumf oręża w służbie Ciemności? Ten zwiastun ostatecznego zniszczenia? Jak święci mogą się

sprzeciwić takiemu złu?

Potem woal opadł i kobieta zniknęła. Może obudziła się w swojej ojczystej krainie? Albo przez całą wieczność zawodziła w Prawdziwym Śnie. Wiedziałam jedynie, że nigdy wcześniej jej nie spotkałam, ani we śnie, ani na jawie.

Kehlbrand czekał na mnie przed namiotem, siedząc ze skrzyżowanymi nogami przy ognisku. Jego cień był długi we schodzącym słońcu. Choć sen wydawał się krótki, w rzeczywistości pochłaniał mój umysł przez wiele godzin. Stałam przez chwilę, drżąc zarówno z powodu chłodnego rannego powietrza, jak i echa żałosnych modłów Błogosławionej Dziewicy zanoszonych do jej boga.

– A więc, źrebaczku – odezwał się Kehlbrand, wstając i podchodząc, żeby zarzucić na mnie skórę wilka. – Masz to imię?

– Tak – powiedziałam, czerpiąc pociechę z jego uśmiechu, który zawsze miał moc przepędzania niepewności. – Tak, bracie. Mam imię.

\*\*\*

Następnego dnia Kehlbrand stawił się przed ołtarzem nagi i nieuzbrojony, tak jak wymagał rytuał. Pomniejsi kapłani przekazali go mestra-dirhmarowi, który czekał przed Grobowcem.

Ranek był zaskakująco spokojny. Zwykle mianowanie nowego skeltira skłaniało najsłynniejszych wojowników do wyzwania, ale tylko jeden wystąpił do przodu. Był to siwy mężczyzna o imieniu Irhnar, weteran sześćdziesięciu bitew, liczący sobie tyleż samo lat, dawny mentor zarówno Tehlvara, jak i Kehlbranda.

– Dlaczego, stary wilku? – spytał mój brat, kiedy Irhnar uniósł poziomo szablę na znak wyzwania.

– To zły omen dla skeltira, jeśli zostanie nim bez przelania krwi – odparł stary wojownik, wzruszając ramionami. – Jestem już zmęczony wstawaniem z mat, żeby sikać sześć razy w ciągu nocy. Zaczynajmy, chłopcze!

Tak więc walczyli i Kehlberand zaszczycił Irhnara stosownie krwawą i długą śmiercią. Szybki koniec byłby obrazą.

Patrzyłam, jak Kehlbrand stoi przed mestra-dirhmarem, jak usta kapłana się poruszają, kiedy zadawał pytanie. Odległość była za duża, żebym mogła usłyszeć odpowiedź. Widziałam wyraz twarzy starca dostatecznie wyraźnie,

by rozpoznać na niej mieszaninę głębokiego rozczarowania i ponurej akceptacji, kiedy skinął głową. Prawdziwy Sen jak zwykle mnie nie zawiódł.

Pomniejsi kapłani przynieśli ciemnozielony strój skeltira i położyli go u stóp Kehlbranda. Gdy mój brat się w niego odział, razem z mestra-dirhmarem ruszył do ołtarza.

– Oto Kehlbrand Reyerik! – zaintonował kapłan, unosząc rękę mojego brata. – Uznany dzisiaj przez sługi Niewidzialnych za skeltira skeldu Cova!

Z tłumu Stahlhastu dobiegł radosny okrzyk, entuzjastycznie podjęty przez Covę, podczas gdy inne skeldy okazały większą powściągliwość. Kiedy trwały wiwaty, zobaczyłam, że mój brat odwraca głowę i mówi coś do kapłana. Rysy mestra-dirhmara stwardniały. Starzec pokręcił głowę w surowej odmowie. Wtedy Kehlbrand chwycił go za nadgarstek tak mocno, że kapłan się skrzywił. Gdy krzyki ucichły, brat przemówił i tym razem usłyszałam jego słowa:

– Powiedz im, starcze.

Mestra-dirhmar zacisnął zęby i wykrzywił twarz w grymasie upokorzenia i bólu. Nawet wtedy wiedziałam, że to decydująca chwila, w której rozstrzygało się przywództwo Hastu.

– Oto Kehlbrand Reyerik! – powtórzył wielki kapłan i zawołał do tłumu głosem zabarwionym wściekłością pokonanego: – Który od tej pory będzie znany jako Ostrze Ciemności!

## Rozdział pierwszy

Strzała wbiła się w pień sosny cal od jego głowy. Vaelin Al Sorna popatrzył na lotkę wibrującą mu przed oczami. Czuł pieczenie na nosie i strużkę krwi płynącą z draśnięcia, które zostawił ostry grot. Wcześniej nie usłyszał łuczника ani skrzypienia naciąganej cięciwy.

Patrzącemu z boku jego reakcja mogłaby się wydać szybka i natychmiastowa: przetoczenie się w prawo, powstanie na kolana, wyciągnięcie łuku i wypuszczenie strzały, a wszystko to jednym płynnym ruchem. Ale on wiedział, że zareagował za wolno, nawet kiedy zobaczył, że łucznik biegnący z rogiem uniesionym do ust pada martwy ze strzałą wbitą w plecy. Zbyt wolno.

Z boku rozległ się szelest i spośród paproci wyłoniła się Ellese z łukiem w ręce.

– Obóz, wujku – powiedziała lekko zdyszana. – Musimy ruszać szybko...

Vaelin zamknął jej usta dłonią z dostateczną siłą, żeby nie pozwolić jej wstać z przysiadu. Trzymał ją w ten sposób, gdy śmignęła następna strzała wypuszczona z koron drzew. Zagłębiła się w ziemię kilka stóp od nich. Pocisk zwiadowczy, jak nazwałby ją mistrz Hutral. Zawsze użyteczna przy płoszeniu zdobyczy. Ale nie dzisiaj.

Vaelin spojrzął w ciemne, płonące oczy Ellese, uniósł wzrok w stronę wierzchołków drzew i zabrał rękę. „Już nie zadmie w róg”, przekazał w języku znaków, którego tak pracowicie ją uczył w poprzednich miesiącach. „To by zdradziło jego pozycję. Pobiegnę na prawo”. Odwrócił się, szykując się do sprintu, ale jeszcze się zatrzymał i dodał: „Nie chyb”.

Zerwał się i z dudnieniem popędził po leśnym podszyciu, lawirując między drzewami. Tym razem usłyszał brzęczenie cięciwy i uskoczył za szeroki pień starego cisu. Kątem oka dostrzegł, że pocisk odłupuje korę. Sekundę później rozległ się następny świst, głębszy, o niemal melodyjnej precyzji, która świadczyła o sile broni i umiejętnościach łucznika. Chwila ciszy, a potem łoskot ciała spadającego na ziemię z dużej wysokości.

Vaelin nadal kucał za cisem i z zamkniętymi oczami chłonał pieśń lasu. Wkrótce zaczął powracać świergot ptaków, uciszony wcześniej przez

intruzów, a wiatr już nie niósł woni spoconych, przestraszonych ludzi.

Vaelin wyszedł ze swojej kryjówki i zobaczył, że Ellese przeszukuje ciało napastnika, którego jej strzała strąciła z wierzchołków drzew. Jej ruchy były szybkie i wprawne, ręce nie drżały, choć właśnie odebrała człowiekowi życie. Wiedział, że zabijała wcześniej w Cumbrael, w czasie krótkiego i szybko zdławionego powstania wiecznie sprawiających kłopoty Synów Prawdziwego Ostrza. Wcale jej to nie dręczy, napisała Reva w liście, który wysłała na północ razem ze swoją adoptowaną córką. Co mnie z kolei bardzo dręczy.

Vaelin nie dostrzegł w tej dziewczynie podobieństwa do Revy, i nic dziwnego, zważywszy na to, że w ich żyłach nie płynęła ta sama krew. Włosy miała czarne, oczy ciemne i była o cal niższa od jego siostry, choć trochę mocniej zbudowana. Jednakże najwyraźniej gdzieś po drodze przejęła od przybranej matki rodzinną cechę, czyli pozorną niewrażliwość na skutki odbierania innym życia. I dzieliła ją z mężczyzną, którego nazywała wujem.

– Niebieski kamień – powiedziała, odrzucając na bok sakiewkę zabitego i unosząc w górę garść lśniących lazurowych kryształów. – Owinięte w bawełnę, żeby nie brzęczały. – Przekrzywiła głowę, przyglądając się ciału. – Przynajmniej znał się na robocie. – Spojrzała na Vaelina i dodała z szerokim uśmiechem: – Ale nie dość dobrze.

Vaelin ukucnął, żeby podnieść broń zabitego, przeznaczoną do polowań, typową dla wszystkich lenn królestwa, z wyjątkiem Cumbrael. Gdyby ten człowiek miał długi łuk i umiejętność jego używania, on prawdopodobnie już by nie żył.

– Sprawdź jego głowę – powiedział do Ellese, a ona posłusznie zerwała zabitemu wełnianą czapkę, odsłaniając wygoloną czaszkę. Vaelin odwrócił ją butem, a kiedy zobaczył prymitywny tatuaż tworzący ciemnokarmazynową plamę pośród siwej szczeciny, stwierdził: – Krwawe Wróble.

Wyrzutek, którego zabił wcześniej, leżał dwadzieścia kroków dalej, twarzą do dołu, ze strzałą sterczącą z pleców niemal pionowo. Stękając z wysiłku, Vaelin wyrwał z kościanej pułapki kręgosłupa grot z zadziorami i odwrócił trupa.

– Jumin Vek – orzekł po krótkich oględzinach plamistej, dziobatej twarzy.

– Znasz go? – spytała Ellese.

– Powinienem. Aresztowałem go cztery lata temu z nakazu królowej. Zostawił za sobą szlak morderstw, gwałtów i kradzieży na wszystkich drogach Renfael, zanim przybył do Dorzeczy. Wsadziłem go na statek, żeby założyli mu stryczek w Lodowym Porcie.

– Wygląda na to, że udało mu się uciec.

Albo kogoś przekupił, pomyślał Vaelin. Była to aż nazbyt powszechna praktyka w tych czasach. Gdy kradnąc i szmuglując łup do Północnych Dorzeczy, zarabiano się dużo pieniędzy, każdy przestępca miał środki, żeby wykupić się z kłopotów. Częstotliwość, z jaką Vaelin jako Lord Wieży i namaszczony przez władczynię zarządca tej krainy musiał łapać szumowiny, sprawiała, że był mniej skrupulatny w przestrzeganiu królewskiego edyktu zakazującego natychmiastowych egzekucji.

– Kolejny Krwawy Wróbel? – zapytała Ellese.

– Nie. – Vaelin zdjął Juminowi Vekowi czapkę, odsłaniając gęste, tłuste włosy. Chwycił trupa za podbródek i obrócił jego głowę tak, że można było zobaczyć bardziej dopracowany atramentowy obrazek na jego bladej szyi.

– Przekłete Szczury. To głównie zhańbieni byli królewscy gwardziści.

– Więc mamy dzisiaj przeciwko sobie dwie bandy?

– Wątpię. Lord Orven stał na proch większość Krwawych Wróbli zeszłej zimy. Zdaje się, że Szczury znalazły u siebie miejsce dla paru ocalałych.

Uwolnił nieszczęsnego Jumina Veka od sakiewki i stwierdził, że są w niej dwa samородki złota i kilka niebieskich kamieni.

– Twój nos krwawi, wujku – stwierdziła Ellese, kiedy wstał.

Vaelin wyjął szmatkę z za pasa, nasączył ją olejem drzewnym z małej buteleczki i przytknął do nosa. Stłumił syk bólu, kiedy ognista mikstura wniknęła do rany. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że w młodości tak bardzo go nie piekło.

– Idź po pozostałych – rzucił, polewając twarz wodą z manierki, żeby zmyć resztki krwi. – Spotkajmy się na skraju wąwozu. I, Ellese... – Kiedy się odwróciła, przypomniał: – Kamienie.

Wyciągnął rękę, patrząc jej w oczy, aż dziewczyna prychnęła ze złością i oddała mu kryształ.

– Kążesz mi polować na męty za darmo – mruknęła.

– Twoja matka przysłała cię do mnie na naukę. Jeśli chcesz płatnej pracy, jest dużo roboty na Gwardii Północnej albo w kopalniach. Do czasu sprzedaży kryształy i złoto zgodnie z prawem należą do królowej. Wiesz

o tym. – Vaelin schował zdobycz do kieszeni i odprawił ją skinieniem głowy. – Ruszaj.

\*\*\*

Okazało się, że obóz wyjętych spod prawa jest w rzeczywistości miejscem ogrodzonym półokrągłą palisadą ciągnącą się od wschodniej ściany wąwozu znanego jako Parów Ultina. Miejsce nazwano tak na cześć najślynniejszego górnika Dorzeczy, którego Vaelin wspominał miło z czasów wojny wyzwolenczej.

Zawsze wesoły Ultin wrócił do Dorzeczy z rozkazem władczyni, żeby wydobyć z kopalni całe dostępne bogactwo i napełnić królewskie kufry w celu pokrycia rosnących kosztów wojny. Nagrodzony za swoje wysiłki sowitą pensją Miecz Królestwa uprzejmię odrzucił ofertę Vaelina, żeby zostać Lordem Nadzorcą kopalń. Zamiast tego wycofał się do niewielkiego gospodarstwa rolnego w pobliżu Północnej Wieży i tam w ciągu trzech lat zapił się na śmierć. „To przez wojnę”, milordzie, powiedziała Vaelinowi wdowa w dniu, kiedy spalono ciało jej męża. „Wszystkie te zamordowane dusze, zamordowane dzieci. Ludzie, których stracił w Alltor... wszystko razem. Nie mógł pozbyć się tego z głowy”.

Vaelin poświęcił krótką myśl pamięci Ultina, po czym skupił uwagę na palisadzie. Najwyraźniej zbudowano ją niedawno, drewno na ścianie obronnej było nadal zielone i niesezonowane, choć wyglądało dość solidnie. Mieszkańcy skonstruowali punkt obserwacyjny na ścianie wąwozu, zapewniający bez wątpienia doskonały widok na okolicę. Vaelin wiedział, że tereny na wschodzie to półmilowej długości pasmo nagich skał, którego żadne atakujące wojsko nie pokonałoby niezauważone.

Na dnie wąwozu również brakowało osłony, ale było ono wąskie, co pozwalało na szybki atak. Jednakże Vaelinowi to wszystko się nie podobało i uznał nową taktykę wznoszenia fortyfikacji za zwiastującą kłopoty. Zwykle wyrzutkowie i przemytnicy zakładali tymczasowe obozy głęboko w lesie albo na trudno dostępnych graniach, z których mogli napadać na szlaki karawan. Teraz wyglądało na to, że ta konkretna banda zdecydowała się na stałą siedzibę. Stają się śmielsi? Czy tylko bardziej zdesperowani?

Ledwo wyłapał odgłos zbliżania się Cumbraelczyka, ciche szurnięcie bukłaka o trawę, i mężczyzna już pojawił się u jego boku, leżąc płasko na ziemi tak jak on.

– Milordzie.

– Wysoka Włócznie. – Vaelin obejrzał się i zobaczył, jak grupa Ludzi Niedźwiedzi powoli wyłania się z lasu, z włócznieami i łukami trzymanymi nisko, żeby nie zakłócać linii horyzontu.

– Widzisz, panie, że jest tak, jak mówiliśmy – odezwał się Wysoka Włócznie, wskazując głową na twierdzę wyrzutków.

W ciągu ostatnich lat Vaelina często nachodziła refleksja, że twarz Cumbraelczyka zachowała jedynie resztki cech człowieka, który kiedyś tak bardzo starał się go zabić. Jego rysy pozostały twarde, a oblicze wyglądało jak zniszczona maska starego myśliwego, ale silny błysk fanatyzmu już dawno zniknął z jego spojrzenia. Nie licząc długiego łuku, Wysoka Włócznie nosił strój Ludzi Niedźwiedzi i płynnie mówił ich językiem, którego Vaelin do tej pory nie zdołał opanować. Choć nadal nie potrafił myśleć o nim inaczej niż jako o Cumbraelczyku, pod względami, które się liczyły, Wysoka Włócznie był teraz myśliwym z klanu Niedźwiedzi, co potwierdzał nadany mu przez nich przydomek. Vaelin wiedział, że raczej nigdy nie pozna imienia, które ten mężczyzna dostał po narodzinach, ale odpowiadała mu ta niewiedza.

– Mówiłeś, że znaleźliście to miesiąc temu?

– Dokładnie dwadzieścia pięć dni temu. Dwa tygodnie wcześniej jeszcze tego nie było. Nasi ludzie przychodzą tutaj dość regularnie, dużo bobrów wpada w pułapki w tej rzece.

– Więc was widzieli?

Wysoka Włócznie odpowiedział miną wyrażającą jednocześnie rozbawienie i lekką urazę.

– Proszę wybaczyć. – Vaelin skierował wzrok z powrotem na palisadę. – Jak często dokonują napaści?

– To właśnie jest dziwne, milordzie. Wcale tego nie robią, o ile potrafimy stwierdzić. Zostawiają bardzo niewiele śladów w okolicy, z wyjątkiem takich, których można oczekiwać po okazjonalnych grupach myśliwych. Przez większość czasu siedzą tutaj. Prawdę mówiąc, korciło nas, żeby zostawić ich w spokoju, ale starsi uznali, że powinniśmy dotrzymać naszej umowy z Lordem Wieży.

Vaelin skłonił głowę w podziękowaniu. Odkąd pozwolono im osiedlać się w Dorzeczach po wymuszonej migracji z lodowatych pustkowi na północy, Niedźwiedzie niezmiennie udowadniali, że są lojalnymi, jeśli nawet żyjącymi w izolacji, poddanymi królestwa.



– Nie zapomnij im powiedzieć, że doceniamy ich rozagę.

– Dobrze, milordzie. A dwie trzecie łupów również mocno podkreśliłoby poważanie, jakim pan darzy Niedźwiedzie.

Vaelin stłumił westchnienie. Po uniknięciu egzekucji i znalezieniu miejsca wśród Niedźwiedzi Wysoka Włócznia wyrzekł się fanatyzmu religijnego, który przywiódł go w te strony. Cumbraelczyk nie zabił Lorda Wieży i teraz rezerwy zapasów w pełni wykorzystywał w roli głównego negocjatora adoptowanego plemienia, zawsze gotowy stanąć w jego obronie przed chciwością urodzonych w królestwie.

– Połowa – rzucił Vaelin. – łącznie z zyskami ze sprzedaży złota i niebieskich kamieni, które odzyskamy.

Myśliwy już zamierzał się spierać w tej kwestii, ale umilkł, kiedy za nim rozległo się głośne cmoknięcie. Vaelin odwrócił się i zobaczył drobną młodą kobietę przykucniętą obok małego czarnego niedźwiadka. Kobieta nosiła imię Żelazne Oczy i łatwo było zrozumieć, skąd się ono wzięło, widząc jej marsowe spojrzenie skierowane na Wysoką Włócznię. Jako jedyna szamanka, która została Niedźwiedziem, była osobą najbardziej zbliżoną do przywódczyni klanu. A także żoną Wysokiej Włóczni i matką trójki ich dzieci.

Kobieta cmoknęła ponownie i odezwała się do męża w chropawym, ale poprawnym języku królestwa:

– Nie bądź niegrzeczny. – Przeniosła wzrok na Vaelina. – Połowa jest do przyjęcia, Lordzie Wieży. Ale musi być też cena krwi za każdego myśliwego wezwanego do Zielonego Ognia.

– Oczywiście. – Vaelin skłonił głowę i wrócił spojrzeniem do palisady.

Naliczył dwunastu wartowników na murze, każdy z łukiem albo kuszą. W razie ataku z pewnością dołączyłoby do nich więcej ludzi, co oznaczało, że szarża dnem wąwozu w nieunikniony sposób kosztowałaby niejedno życie. Oprócz około czterdziestu Niedźwiedzi miał jeszcze sześćdziesięciu ludzi z Gwardii Północnej, z pewnością dosyć, żeby przesądzić sprawę niezależnie od liczby strzał wypuszczonych przez wyjętych spod prawa.

– Najlepiej zaczekać do zmroku, milordzie – powiedział Wysoka Włócznia, najwyraźniej idąc za jego tokiem rozumowania. – O północy możemy z łatwością zbliżyć się na pięćdziesiąt kroków od muru i wypuścić trochę pocisków, żeby zamaskować szarżę na bramę. Kilka uderzeń solidnym taranem powinno wystarczyć.

– Będą się spodziewali, że ich zwiadowcy wrócą po zapadnięciu nocy – zauważył Vaelin, kręcąc głową. – Czekanie do północy to za długo. – Pomyślał przez chwilę, a następnie wskazał skinieniem głowy na małego niedźwiadka przytulonego do Żelaznych Oczu. – On ma jakieś imię?

– Małe Zęby – odpowiedziała szamanka, przesuwając dłonią po gęstym futrze zwierzęcia. Niedźwiadek wydał z siebie zadowolone prychnięcie i trącił nosem bok swojej pani.

– Zwierzę Mądrego Niedźwiedzia nazywało się Żelazna Łapa – przypomniał sobie Vaelin. – On niósł go przez całą drogę po lodzie do ziemi Czarnych Serc. Stoczyliśmy tam wielką bitwę. Wiedzieliście o tym?

Żelazne Oczy łypnęła na niego spode łba i ostrożnie skinęła głową. Stary szaman nie wrócił z lodowca i ani Niedźwiedzie, ani nikt inny nigdy nie poznał jego losu. Vaelin wiedział, że plemię nadal miało nadzieję na powrót Mądrego Niedźwiedzia i jego nieobecność była dla nich zdecydowanie bolesną sprawą.

– Wiem – powiedziała szamanka.

– Żelazna Łapa był dzielny – rzekł Vaelin. – Jak dzielny jest Małe Zęby?

\*\*\*

Ruszyli w chwili, kiedy słońce opadło za wschodnie szczyty. Vaelin w towarzystwie Wysokiej Włóczni, Żelaznych Oczu, Ellese i dwunastu gwardzistów cicho zszedł do parowu. Tam przeprawili się przez wąską, ale wartką rzekę płynącą środkiem wąwozu, i czołgając się, pokonali ostatnie kilkaset kroków do płytkiego obniżenia w zasięgu strzału z łuku od ostrokołu. Gdy się zatrzymali, Vaelin skinął głową szamance. Żelazne Oczy przesunęła dłonią po pysku Małych Zębów i utkwiała wzrok w jego oczach. Po krótkiej chwili oboje zamrugali jednocześnie, a następnie zwierzę pobiegło w mrok, kierując się do południowego odcinka palisady.

– Co teraz, wujku? – zapytała szeptem Ellese.

Vaelin rzucił jej ostre spojrzenie i pokazał zirytowany:

„Używaj rąk!”.

Dziewczyna opuściła głowę i poruszyła dłońmi w niemej skrusze.

„Przepraszam”.

„Teraz czekamy”. Vaelin skinieniem głowy wskazał na jej łuk. „Bądź gotowa”.

Patrzył, jak Ellese nasadza strzałę na cięciwę, smukłymi, ale silnymi rękami ściskając rzeźbione misternie drzewce. Broń naprawdę była piękna – z wiązu górskiego, ozdobiona różnymi wojennymi motywami wykonanymi wprawna ręką. „Łuk Arren”, nazwała go Reva. „Całkiem możliwe, że ostatni taki na świecie. Zgubiłam jego siostrę w Oceanie Boraelińskim. Nadal jest wyznaczona nagroda stu złotych monet dla tego, kto przyniesie mi inny. Na razie nikt się nie zjawił”.

Mówiło się, że ta broń ma boskie błogosławieństwo, a co bardziej żarliwi wyznawcy Ojca Świata i jego Błogosławionej Pani przypisywali nadprzyrodzoną moc i celność temu, co ze swojej istoty było jedynie kawałkiem uformowanego drewna. Jednakże wyczyny, jakich na jego oczach dokonywały tym łukiem Reva i jej córka, często dawały Vaelinowi do myślenia.

Przeniósł wzrok na Żelazne Oczy i zobaczył jej pusty wzrok, gdy bez ruchu leżała obok męża. Wiedział, że jej umysł przebywa teraz gdzie indziej. Ten widok przywołał wspomnienie innej kobiety, siedzącej na wzgórzu daleko stąd w czasie i przestrzeni. Jej oczy też były puste, kiedy dusza uwalniała się od ciała...

Vaelin odwrócił spojrzenie, zgiął i rozprostował palce, żeby odpędzić ich nagłe drżenie, po czym nasadził strzałę na cięciwę.

– On się wspina... – wyszeptała chwilę później Żelazne Oczy. Jej wzrok nadal był nieobecny, a głos brzmiał w ciemności jak syk. – Dociera na szczyt... To mężczyzna... – Przez jej twarz przebiegł spazm, wargi się rozciągnęły, obnażając zęby w echu warknięcia. Potem wróciła maska spokoju. – Teraz go nie ma... Powietrze pachnie alkoholem i pięciornikiem. Ludzie śpią i chrapią, inni chodzą po murach... Wszystkie oczy skierowane są na zewnątrz, nie do środka. – Zmarszczki przeorały jej czoło. Szamanka przekrzywiła głowę, jakby starała się coś usłyszeć. – Głosy... dwaj mężczyźni się kłócą... Mówią o zwiadowcach... o ludziach, którzy powinni już tu być, ale jeszcze ich nie ma.

– Brama – podpowiedział Vaelin, choć wątpił, czy szamanka może go usłyszeć w tym stanie.

Żelazne Oczy ucichła. Zdawało się, że jej milczenie trwa wiele minut, podczas gdy mogły to być zaledwie sekundy. Kiedy Ellese wydała z siebie jęk zniecierpliwienia, Vaelin uciszył ją, trącając łokciem.

– Już tam jest... – wyszeptała w końcu szamanka. – Bramę chroni gruba lina... On ma małe zęby, ale są ostre, a jego szczęki silne...

Vaelin poruszył dłońmi przed oczami Ellese. „Pierwszy i drugi od lewej”, powiedział, wskazując wartowników na murze. Zbliżył się do Wysokiej Włóczni, przysunął usta do jego ucha i wyszeptał:

– Dwaj po prawej. Strzelaj, kiedy ja wystrzelę.

Kiedy Ellese i Wysoka Włócznia podnieśli się z pozycji leżącej i ukucnęli, Vaelin przygotował łuk, palcami obejmując strzałę po obu stronach drzewca. Skupił się na dwóch mężczyznach stojących bezpośrednio nad bramą. Ci dwaj nadal się sprzeczali i nie widzieli zwierzęcia, które pracowicie gryzło linę. Odległość wynosiła niecałe sto kroków. Może nie był najlepszym łucznikiem z Domu Szóstego Zakonu, ale i nie najgorszym.

Usłyszał ciche westchnienie Żelaznych Oczu, a po nim skrzypnięcie otwierającej się bramy. Stał w niej Małe Zęby, z zadowoleniem przeżuwały kawałek liny. Widząc, że mężczyźni nagle zapomnieli o kłótni, Vaelin strzelił do najwyższego. Ellese i Wysoka Włócznia wypuścili strzały ułamek sekundy później. Pociski pomknęły w nocnym powietrzu i strąciły wartowników z muru. Niższy z dwóch wyrzutków zareagował szybko i przykucnął, ale druga strzała Vaelina trafiła go w ramię. On też spadł z muru, wylądował ciężko po drugiej stronie otwartej bramy i wrzasnął zaskoczony na widok niedźwiedzia, który powitał go pytającym pomrukiem. Krzyk ucichł, kiedy Vaelin obniżył łuk i wypuścił trzecią strzałę prosto w pierś rannego. Jednocześnie cicho wymamrotał przekleństwo. Miał nadzieję, że dostaną się do środka bez wszczynania alarmu, ale bitwy rzadko dostosowywały się do planów.

– Gwardia, ruszać! – zawołał Vaelin, sięgając przez ramię po miecz.

Pobiegł do bramy z gwardzistami następującymi mu na pięty. Słyszał, jak myśliwski róg Wysokiej Włóczni wzywa pozostałych ludzi czekających w lesie.

Z mroku wybiegło chwiejnym krokiem kilku wyrzutków, mniej lub bardziej ubranych i próbujących zatarasować wejście. Szybko przeszkodził im w tym Małe Zęby, który zaczął się kręcić wkoło, młóćąc łapami i wprowadzając zamieszanie wśród obrońców. Jeden człowiek zatoczył się do tyłu, trzymając się za krwawiące ramię, i stanął bezpośrednio na drodze Vaelina, który tymczasem już dotarł do bramy. Mężczyzna popełnił błąd, wyciągając nóż zza pasa, i dlatego zginął. Vaelin wbił mu czubek swojego ostrza Zakonu między żebra, trafiając prosto w serce. Nieszczęśnik padł na kolana, brocząc krwią z ust.

Pozostali obrońcy zostali szybko powaleni przez gwardzistów, choć pełne przekleństw wyzwania, które wykrzykiwali w czasie krótkiej, ale zażartej walki, sprawiły, że całkiem przepadł element zaskoczenia. Rozglądając się, Vaelin zobaczył, że wewnątrz palisady jest tylko kilka chat i żadnej budowli dostatecznie dużej, żeby mogła pomieścić tę liczbę ludzi, którzy musieli tu mieszkać. Jednakże jego spojrzenie wkrótce padło na otwór w ścianie wąwozu. Był to typowy szyb kopalniany, powszechny w Dorzeczach, podparty drewnianymi stemplami i dostatecznie szeroki, by jednocześnie mogło do niego wejść pięciu albo więcej ludzi.

Nie przybyli tutaj, żeby napadać na bogaczy, uznał Vaelin. Przybyli, żeby dla nich kopać.

Usłyszał dobiegający z szybu coraz głośniejszy tumult, któremu towarzyszył blask pochodni jaśniejący z każdą chwilą. Praca w kopalni wymagała wielu rąk, na pewno dużo więcej, niż Vaelin spodziewał się zobaczyć w tym miejscu.

– Uformować szereg! – warknął do gwardzistów, po czym odwrócił się do Ellese i Wysokiej Włóczni i wskazał skinieniem głowy najbliższą drabinę. – Wejdźcie na mur. Strzelajcie od razu, kiedy się pokażą. Może uda się nam zatrzymać ich w wejściu.

Nasadził kolejną strzałę na łuk i zajął pozycję na środku szeregu Gwardii Północnej Zerknąwszy do tyłu, stwierdził, że pozostali gwardziści i Niedźwiedzie zbliżają się szybko dnem wąwozu. Sądząc po odgłosach dochodzących z szybu, Vaelin wątpił, żeby jego ludzie zdążyli tu dotrzeć, nim bitwa rozgorzeje na dobre.

– Dajcie z siebie wszystko, chłopcy – powiedział do gwardzistów. – Nie chcecie, żebym potem mówił waszym rodzinom, że pokonały was szumowiny, prawda?

Odpowiedział mu chór groźnych potaknięć, a nawet kilka chichotów. Ludzie z łukami nasadzili strzały na cięciwy, inni mocniej ścisnęli miecze. Byli to głównie weterani wojny wyzwoleniczej. Tocząc walki przez całą drogę z królestwa do bram Volaru, byli świadkami niezliczonych okropieństw i nie zamierzali ulegać strachowi w obliczu wyjętych spod prawa, jednak wielu z nich mogło zginąć tej nocy.

Vaelin do połowy napiął łuk, wpatrując się w tunel, coraz jaśniejszy od blasku pochodni. Zmarszczył brwi, słysząc odgłosy, które dobiegały z szybu. Z początku sądził, że to okrzyki zdesperowanych mężczyzn szykujących się do walki, ale teraz sobie uświadomił, że ten nieskładny

chór bardziej przypomina bitewny zgiełk. Trwał on już od jakiegoś czasu i żaden nowy wróg nie wyszedł z szybu, w którym rozbrzmiewały wrzaski wściekłości, a potem przerażenia.

Nagle kakofonia ucichła, a po krótkiej chwili niesamowitej ciszy we wlocie szybu pojawiły się dwie postacie. Na tle blasku pochodni widać było tylko ich sylwetki: jedną wyprostowaną, drugą klęczącą. Vaelin zauważył, że stojący człowiek trzyma tego drugiego za kark. Gdy klęczący zaczął walczyć, ten drugi unieruchomił go brutalnym szarpnięciem, a Vaelin usłyszał brzęk łańcucha. Usłyszawszy skrzywienie napinanego łuku, wystąpił do przodu i uniósł rękę, spoglądając w górę na mur.

– Czekaj!

Zobaczył, że Ellese opuszcza broń i zdeorientowana marszczy brwi.

– Zostańcie tutaj – powiedział do gwardzistów i rzucił jednemu z nich swój łuk.

Ruszył w stronę szybu z mieczem trzymanym nisko u boku, z wolną ręką uniesioną i otwartą. Zatrzymał się w miejscu, z którego wyraźnie widział dwie postacie. Rozpoznał jedną z nich, drugiej nie.

– Termin Resk – powiedział do klęczącego.

Był to krępy mężczyzna w średnim wieku, dawny sierżant Gwardii Królestwa, obecnie przywódca Przeklętych Szczurów o groźnej reputacji. Resk wykrztusił coś w odpowiedzi, ale jego słowa, błagalne albo wyzywające, szybko zostały zdławione przez łańcuch zaciśnięty na szyi. Wyrzutek na próżno drapał grubymi palcami żelazne ogniwa, a jego twarz coraz bardziej przypominała drżącą, czerwoną, bezkształtną masę.

Vaelin przesunął wzrokiem wzdłuż łańcucha do kajdan na nadgarstku mężczyzny trzymającego Reska. Przyjrząwszy mu się dokładniej, stwierdził, że tamten jest od niego wyższy o cal albo więcej. Jego naga pierś była szeroka i imponująco umięśniona, choć poznaczona licznymi bliznami, niektórymi całkiem świeżymi, w których Vaelin od razu rozpoznał ślady bicia. Na ciemnej skórze lśnił pot. Mężczyzna odpowiedział na spojrzenie Vaelina chłodnym, taksującym wzrokiem spod brwi poprzecinanych bladymi, precyzyjnie rozmieszczonymi nacięciami.

– Jesteś daleko od cesarstwa – zauważył Vaelin po alpirańsku.

Mężczyzna zmrużył oczy. Sądząc po kolorze skóry, pochodził z południowych prowincji, gdzie język cesarza nie zawsze był znany, ale Vaelin zobaczył, że tamten go rozumie.

– To nie jest moje cesarstwo – odparł mężczyzna po alpirańsku z wyraźnym akcentem, ale zrozumiale. Szarpnął łańcuchem, a Resk stęknął z bólu i wytrzeszczył oczy. – Jesteś jego wrogiem?

– To... bandyta – odparł Vaelin, używając słowa najpowszechniej używanego na określenie wyjętych spod prawa w Cesarstwie Alpirańskim.

– Ja egzekwuję prawo na tych ziemiach.

– Więc służysz jej. – Lekki błysk w oczach wysokiego człowieka Vaelin rozpoznał jako nadzieję. – Służysz Królowej Ognia.

– Ona nie lubi tego imienia. – Vaelin uklonił się oficjalnie. – Vaelin Al Sorna, Lord Wieży Północnych Dorzeczy z łaski królowej Lyrny Al Nieren. A ty?

Zobaczył, że do nadziei dołącza inne uczucie, kiedy brwi mężczyzny zmarszczyły się z wyrazie rozpoznania, którego Vaelin nie widział od lat.

– Alum Vi Moreska. – Mięśnie przedramienia napięły się, kiedy mężczyzna mocniej ścisnął łańcuch. Resk wydał ostatni charkot i znieruchomiał. Z jego wytrzeszczonych oczu zniknęło całe światło. – Proszę o bezpieczne schronienie. – Alum Vi Moreska zręcznym ruchem nadgarstków uwolnił ciało Reska od łańcucha. – Dla mnie i dla moich ludzi.

Vaelin wskazał skinieniem głowy na szyb.

– Jest was tam więcej?

– Wielu. – Mężczyzna jeszcze raz spojrzął Vaelinowi w oczy i wydał ciężkie, zawstydzone westchnienie, opadając na jedno kolano. – W imieniu klanu Moreska przyrzekam lojalność Wielkiej Królowej, w nadziei, że ona obdarzy nas darem swojego słynnego miłosierdzia i współczucia.

## Rozdział drugi

Pojmali żywcem zaledwie sześciu wyjętych spod prawa; reszta, ponad setka, zginęła w osadzie albo w kopalni. Kapitan Nohlen, dowódca kontyngentu Gwardii Północnej, zameldował o czterystu dwudziestu trzech ludziach zakutych w kopalni w łańcuchy i o jeszcze trzydziestu dwóch trupach oprócz martwych wyrzutków.

– Kiepska sprawa, milordzie – stwierdził w typowy dla siebie szorstki sposób. – Nie umarli lekko. Ci, którzy nie zginęli w walce, zaharowali się na śmierć, powiedziałbym.

Wszyscy niewolnicy pochodzili z tego samego klanu Moreska co Alum, a Vaelin nie znalazł wśród nich ani jednego z plecami bez blizn. Nie było również żadnych dzieci ani starców.

– Porwali ich piraci – wyjaśnił Alum i opowiedział, jak ich statki zostały zaatakowane przez korsarską flotyllę na Oceanie Aratheańskim. – Nie wiemy, dokąd ich zabrali. Jeśli bogowie byli łaskawi, zesłali im szybką śmierć. Jeśli nie... – Po twarzy mężczyzny przemknął cień, jego nozdrza się rozděły, kiedy starał się nad sobą zapanować.

– Kiedy to się stało? – zapytał Vaelin.

Siedzieli przy palenisku, na którym wyrzutkowie gotowali posiłki. Żar nadal był ciepły i przemieszany z kośćmi. Alum zabrał włócznie jednemu z zabitych i użył jej do nakreślenia w popiele serii skomplikowanych symboli. – Sześć miesięcy, może więcej. Człowiek traci poczucie czasu, kiedy pracuje, nie widząc słońca.

– Piraci? Wiesz, który port nazywali swoim domem?

– Mówili językiem nam nieznanym, ale mieli twarze i oczy tych, którzy zamieszkują ziemie Kupieckich Królestw. Wielu nosiło świeże blizny, a ich statki najwyraźniej brały niedawno udział w bitwie. Wyglądali na ludzi zdesperowanych, tak zdesperowanych, że nie zawahali się zabijać tych, którzy rzucili im buntownicze spojrzenie. Po tygodniach na morzu przywieźli tych z nas, którzy przeżyli, do tej wilgotnej i zimnej krainy i sprzedali tym psom, żebyśmy wykopywali z góry metal, którego tak pożądamy.



– Dlaczego twój lud żeglował po Aratheańskim?

Włócznia znieruchomiła w popiele, a po twarzy Aluma przemknął jeszcze głębszy smutek. Mężczyzna dźgnął ostrzem w narysowane symbole.

– To jest znak Maluy, Pana Piasku i Nieba. To – włócznia przesunęła się na mniejsze znaki widniejące po bokach – są jego dzieci: Jula i Kula, Pani Deszczu i Pan Wiatrów.

– Wasi bogowie – powiedział Vaelin.

– Nie używamy tego słowa. W naszym języku oni są „Stróżami”. Od czasu, kiedy pierwsza stopa stanęła na piasku, pozostajemy wierni Maluy i jego dzieciom. Cesarze zawsze to szanowali. Póki przysięgaliśmy im lojalność na początku każdego nowego sezonu i na wezwanie posyłaliśmy naszych wojowników, żeby dołączyli do ich wojska, zostawiano nas w spokoju. Cesarzowa – Alum zacisnął szczęki, a jego wargi zdrząły od hamowanego gniewu – uważa inaczej.

– Cesarzowa Emeren chciała, żebyście oddawali cześć alpirańskim bogom?

Alum skinął głową.

– Próbowwała wyrwać nas z kochających ramion Stróżów. Słała posłańców mówiących o jedności, o tym, że wszyscy poddani cesarstwa muszą iść razem, bo Królowa Ognia, zagarnąwszy wszystkie ziemie Volarian, teraz spogląda zazdrosnymi oczami na nasze. Ponadto cesarzowa wysłała ludzi, żeby zasiedlili ziemie, które zawsze należały do nas, ziemie, których cesarze od dawna strzegli przed obcymi. Wyłobili bruzdy w świętej ziemi, żeby zbierać plony, polowali na wszystkie zwierzęta, na jakie trafiali, nie zostawiali nic na następny rok, korzystali ze studni jak z własnych. Kiedy ich wypędziliśmy, przysłała żołnierzy. Jesteśmy bitni, ale ich było wielu. Długo walczyliśmy, lecz krew naszego klanu wyciekała z każdą bitwą.

Alum zrobił pauzę i rozejrzył się. Jego wzrok spoczął na kapitanie Nohlenie.

– Tamten człowiek ma skórę taką jak moja. Starzy opowiadali historie o innym plemieniu, które kiedyś walczyło przeciwko cesarzowi i uciekło za morze, żeby znaleźć schronienie w północnych krainach. Próbowaliśmy pójść za jego przykładem.

– Wygnańcy przybyli tutaj cztery pokolenia temu, to prawda – potwierdził Vaelin. – Zostali przyjęci życzliwie, tak jak wy. – Wskazał na symbole. – I wasi Stróże również. Jeśli chodzi o wasze dzieci, Gildia Kupców z Północnej Wieży prowadzi rejestr wszystkich doniesień

o piratach. Może tam znajdzie się jakiś ślad co do ich ojczystego portu. Możesz mi towarzyszyć w drodze powrotnej.

– Dobrze. A moi ludzie?

– Teraz są wolnymi poddanymi Zjednoczonego Królestwa i mogą robić, co chcą w granicach prawa. Jednakże... – Vaelin uniósł ręce i wskazał na otoczenie – kapitan Nohlen mówi, że tutaj są bogate złoża. Jeśli chcecie, w mojej mocy jest udzielić wam licencji, żebyście mogli tu zostać. Wszystkie kopalnie złota w Dorzeczach należą do królowej, ale możecie zachować jedną czwartą ceny uzyskanej za każdy sprzedany urobek.

– Jesteśmy myśliwymi, nie górnikami.

Vaelin spojrział na garstkę Moresków. W przeciwieństwie do Aluma większość była chuda, o zapadniętych policzkach, a wielu miało na ciele lśniące rany po ostatnich chłostach.

– Twój ludzie potrzebują domu. Przynajmniej na razie. Jeśli chodzi o polowanie, okoliczny las należy do was aż po szeroką rzekę na północy. Dalsze ziemie należą do Niedźwiedzi. To szczodry lud, ale zazdrośnie strzeże swoich terenów łowieckich.

Alum odwrócił wzrok, a jego zmarszczone czoło świadczyło o zaskoczeniu i namyśle.

– Nie jestem wodzem klanu Moreska. On zginął w walce z piratami. Ale byliśmy towarzyszami broni, jeśli nawet nie braćmi z jednej krwi. Razem odpowiedzieliśmy na wezwania cesarza Alurana, kiedy wasz lud przybył ukraść porty na wybrzeżu erineańskim. Maszerowaliśmy razem z armią i razem byliśmy świadkami nocy, kiedy człowiek, którego nazywano Zabójcą Nadziei, przyszedł z pustyni, żeby siać spustoszenie i pożogę. – Alum spojrział Vaelinowi w oczy. – Imię, które ci nadali, panie, nie pasuje.

Z ust Vaelina wyrwał się krótki śmiech, zaskakujący goryczą, jaka w nim zabrzmiała. Wszystko wydawało się takie odległe, ale przydomek Zabójca Nadziei przetrwał jak obszarpany, cuchnący płaszcz, którego nie potrafił wyrzucić.

– Wtedy pasowało. Ale od tamtego czasu zasłużyłem na parę innych.

– Uważam, że wszystkie rachunki krwi zostały wyrównane twoim dzisiejszym działaniem, panie – oświadczył Alum z powagą, która wskazywała na oficjalną umowę. – Mimo to uważam, że szala jest przechylona na twoją stronę. Muszę jednak prosić o jeszcze jedną rzecz.

\*\*\*

– Nie możesz go powiesić, wujku. Jest o wiele za ładny. – Ellese obdarzyła pojmanego wyrzutka uśmiechem i przesunęła palcem po jego szczęce aż do środka podbródka. – Nie mogę go zatrzymać? To znaczy jako maskotkę.

Wyrzutek spojrział w górę na Vaelina, błagające oczy lśniły w bladej, delikatnej twarzy, która kontrastowała z brutalnym wyglądem jego współtowarzyszy.

– To ten? – zapytał Aluma.

Moreska skinął głową.

– To on.

Vaelin podszedł bliżej i zobaczył, że jeniec tężeje w trwożliwym oczekiwaniu.

– Nazwisko? – rzucił Vaelin.

Młody człowiek przełknął ślinę i zakaszłał, zanim sformułował cichą, ledwo słyszalną odpowiedź. Vaelin usłyszał w jego wymowie szerokie samogłoski południowego Renfael.

– Sehmon Vek, panie.

– Krewny Jumina Veka?

– To mój kuzyn.

– Twój kuzyn nie żyje. Moja siostrzenica zabiła go w lesie.

Sehmon Vek zerknął na Ellese, a ona odpowiedziała mu szerokim uśmiechem.

– Zatem oszczędziła mi roboty, milordzie – rzekł młodzieniec i wzruszył wąskimi ramionami.

Vaelin chrząknął i wskazał głową na Aluma.

– Ten człowiek mówi, że pomagałeś jego ludziom. Dawałeś im dodatkowe porcje, przynosiłeś wodę, choć to było zabronione. Mówi również, że rozkułeś ich łańcuchy, kiedy usłyszałeś nasz atak. Czy to prawda?

Po tych słowach wśród innych wyjętych spod prawa zapanowało poruszenie i rozległy się gniewne pomruki, a jeden z nich próbował wstać i spętanymi rękami zdzielić młodego wyrzutka.

– Ty zdrażliwy mały zasańcu!

Jeden z gwardzistów wystąpił do przodu i uderzył mężczyznę głowicą miecza w twarz. Ten runął na ziemię zakrwawiony. Inni wkrótce się uspokoili, kiedy Vaelin przesunął po nich wzrokiem.

– Nigdy nie chciałem brać w tym udziału, milordzie – oświadczył Sehmon Vek. – Moja rodzina jest wyjęta spod prawa, jak daleko wstecz sięgnąć pamięcią, to prawda. Ale Vekowie zawsze byli przemysłowcami, a nie handlarzami niewolników. Kiedy umarł mój tata, Jumin wrócił z północy z obietnicami większej ilości złota, niż w życiu widzieliśmy. – Sehmon umilkł i rzucił na Aluma spojrzenie pełne wstydu. – Nie powiedział nam, że będziemy codziennie po kolana w brudzie chłostać ludzi do krwi. Nie do tego mnie wychowano. Ale brałem w tym udział i poniosę należną karę. Mówi się, że zmarli patrzą nieprzychylnym okiem na tych, którzy umierają z kłamstwem na ustach.

Vaelin przyjrzał się twarzy Sehmona, szukając oznak fałszu ukrytego pod maską skruchy. Nie znalazł ich, a jedynie poczucie winy i świadomość rychłej śmierci.

– Dekret królowej mówi, że w jej królestwie nie ma niewolnictwa – powiedział, zwracając się do wszystkich wyrzutków. – Każdy zaangażowany w tę podłą praktykę zostaje poddany egzekucji bez procesu. Kapitanie Nohlen.

Dowódca gwardii wystąpił do przodu i zasalutował.

– Milordzie.

Vaelin wskazał na Sehmona Veka.

– Proszę go uwolnić. Resztę powiesić.

– Tak, milordzie.

Więzy młodego jeńca zostały przecięte, natomiast resztę pojmanych zawleczono w stronę bramy. Kilku krzyczało, błagając o łaskę, inni albo na próżno się szarpali, rzucając przekleństwa, albo w niemym osłupieniu szli na śmierć.

– Alum Vi Moreska poprosił o twoje życie – powiedział Vaelin do młodego wyrzutka. – Jestem skłonny spełnić jego prośbę. Oto mój wyrok, Sehmonie Veku. Teraz należysz do niego. Będziesz mu służył tak, jak on uzna za stosowne, do dnia, kiedy postanowi się uwolnić. To nie jest niewolnictwo, a jedynie kontraktowa służba, którą w mojej prowincji można nakazać. Jednak zgodnie z prawem możesz odmówić. – Vaelin rzucił znaczące spojrzenie na bramę, gdzie przez nadproże przerzucono sznur.

– Ja... – Chłopak się zawahał, przełknął ślinę i spróbował jeszcze raz. – Zgadzam się z wielką radością, panie.

\*\*\*

– Nie mogłeś po prostu oddać go mnie? – zbeształa Ellese Vaelina, który stał na środku osady, żeby obserwować egzekucję. – Ja pierwsza go zobaczyłam. – Przez chwilę wierciła się coraz bardziej poruszona, kiedy nakładano pętlę na szyję pierwszego skazańca. – Naprawdę musimy na to patrzeć?

– Ty nie – odparł Vaelin. – Ja tak. A gdyby twojej matce kazano, ona też by patrzyła. Kiedy wydaje się rozkaz zabicia człowieka, trzeba na to patrzeć, żeby nie było zbyt łatwo.

Wysoka Włócznia pojawił się u jego boku w typowy dla siebie bezszelestny sposób. Spojrzenie miał mroczne, kiedy patrzył, jak trzech gwardzistów ciągnie linę. Rozpaczliwy szloch skazańca i prośby o litość ucichły, kiedy podciągnięto go w górę, a jego nogi zaczęły podrygiwać w szalonym tańcu.

– Pamiętam czasy, w których twoje serce było bardziej litościwe, milordzie – odezwał się łowca. – Nawet na początku wojny.

– Tamta wojna się skończyła – odparł Vaelin. – Wydaje się natomiast, że ta nigdy się nie skończy.

– Czy ja byłem choć trochę mniej nędzny od tych ludzi? Mniej zasługujący na śmierć?

– Może nie. Ale wtedy... wiedziałem, że jest dla ciebie szansa. Skoro przyjęli cię Niedźwiedzie, istniała droga do pokoju. Teraz nic takiego nie dostrzegam i mogę jedynie wymierzyć sprawiedliwość w imieniu królowej.

Ellese jęknęła cicho na widok drgającego ciała skazańca i wielkiej plamy na jego spodniach, kiedy w chwili śmierci puściły zwieracze. To jeszcze dziecko, pomyślał Vaelin, patrząc, jak krew odpływa z jej twarzy. Dreszczyk polowania i walki to jedna rzecz, a to tutaj zupełnie co innego.

Nogi wisielca kopnęły powietrze jeszcze kilka razy i znieruchomiały. Mocz zmieszany z kałem zabrudził jego buty, ściekł na ziemię i zaczął parować w chłodnym nocnym powietrzu. Ellese zakrztusiła się i pobiegła w ocieniony kąt, żeby głośno zwrócić zawartość żołądka.

– Naprawdę będzie kiedyś gubernatorką Cumbrael? – zapytał Wysoka Włócznia, unosząc z powątpiewaniem brwi.

– Taka jest wola jej matki – odparł Vaelin.

– Tyle zrobiłem w służbie Ojca Świata i Lenna. – Wysoka Włócznia pokręcił głową, a do jego głosu wkradł się smutek. – Teraz to wszystko

wyduje się jak sen. Stary koszmar, który jedynie rzadko mnie dręczy. Czasami zastanawiam się, czy zasługuję na takie życie. Żelazne Oczy, nasze dzieci, ludzie, którzy przyjęli wygłodzonego szaleńca błakającego się po lesie. Wydaje się, że to dary dla niegodnej duszy. Przypuszczam, że właśnie wtedy straciłem Ojca. Bo dlaczego miałyby nagradzać kogoś takiego jak ja?

Vaelina nagle chwycił gniew. Człowiek, którego oszczędził, był zabójcą i fanatykiem, oplakuje teraz swojego utraconego boga. Naszło go pragnienie, żeby powalić na ziemię tego uzalającego się nad sobą głupca. Jak często się zdarzało, gniew przeniósł go z powrotem na skalisty szczyt wzgórza w północnej Volarii, kiedy wiatr i deszcz chłostały jego odrętwiałe ciało, a on trzymał w ramionach Dahrenę, drobną i bezwładną. „Mówiła, jak bardzo cię kocha”, powiedział Sojusznik. „Ale głównie martwiła się o dziecko, które razem spłodziliście...”.

– Panie?

Vaelin zamrugał i zobaczył, że Wysoka Włócznia z czujną twarzą cofnął się o krok. Przeniósł spojrzenie z powrotem na bramę, gdzie do pętli wleczono kolejnego skazańca. Nieszczęśnik zapierał się nogami w błotnistej ziemi, a jego twarz wyglądała dziecinnie, kiedy szlochał rozpaczliwie.

– Kapitanie Nohlen! – zawołał Vaelin.

– Milordzie?

– To za długo trwa. Zetnijcie pozostałych i kończcie. Pora się stąd wynieść.

\*\*\*

Zostawił Nohlena i połowę gwardzistów w wąwozie jako ochronę przed bandami wyjętych spod prawa, którzy mogliby spróbować odzyskać kopalnię. Na naleganie Aluma Moreskowie zgodzili się zostać, choć większość była niechętna pracy przy złożach. Tylko połowę rudy zgromadzonej przez wyrzutków można było załadować na muły, które znaleźli w stajniach. Vaelin polecił Nohlenowi, żeby po powrocie do Północnej Wieży wysłał po resztę złota dobrze strzeżoną karawanę.

Przed wyruszeniem patrzył, jak Alum naradza się z małą grupką Moresków. Było ich sześcioro: czterech mężczyzn i dwie kobiety, najstarsi wśród uwolnionych jeńców. Złączyli ręce, tworząc krąg wokół Aluma, który klęczał w środku i z opuszczoną głową mówił w języku, którego

Vaelin nie znał. Uderzył go smutek tych ludzi. Wszystkie twarze były ściągnięte ze smutku i mokre od łez.

Kiedy Alum skończył mówić, kobieta trochę starsza od pozostałych podniosła wzrok i spojrzała na Vaelina. Podobnie jak u Aluma jej brwi były naznaczone serią precyzyjnie rozmieszczonych blizn, ale liczniejszych niż u niego. Vaelin stwierdził, że jej spojrzenie jest niepokojąco bezpośrednie i ma w sobie przenikliwość świadcząca o tym, że te oczy dużo widziały. W miarę jak kobieta na niego patrzyła, w jego sercu odzywało się słabe, płaczące echo czegoś utraconego, tak że zaczął się zastanawiać, jaką pieśń krwi zaśpiewałoby w tej chwili. Od utraty daru minęło już kilka lat, ale zdarzało się, że ostro odczuwał jego brak, jakby stara rana bolała go w zimny poranek. Zdarzały się też takie chwile jak ta, kiedy wyobrażał sobie, że nadal słyszy cichą, prawie niesłyszalną melodię, przynoszącą zrozumienie i pewność, melodię, która uratowała go więcej razy, niż potrafił zliczyć. Melodię zaginioną w Zaświatach, przypomniał sobie, na próżno wyteżając słuch. Wychwycił jedynie najśłabsze echo, które być może po prostu zrodziło się z jego pragnienia. Ale niezależne od pieśni krwi wyczuł dar tej kobiety. Co ona widzi?

Kobieta zamrugła, jakby odebrała niewypowiedziane pytanie, skierowała wzrok na Aluma i powiedziała coś w ich wspólnym języku. Słowa miały melodyjne brzmienie i niemal muzyczną kadencję, jakby kobieta recytowała poezję. Gdy umilkła, pozostali Moreskowie rozpletli dłonie, odwrócili się plecami do Aluma i odeszli bez oglądania się czy chociażby jednego słowa, podczas gdy on nadal klęczał na ziemi.

– Gdybyś mógł, panie.

Vaelin spojrzał w dół i zobaczył, że Wysoka Włócznia podaje mu kawałek pergaminu.

– Nazwa naszego faktora w Północnej Wieży – wyjaśnił myśliwy. – On dopilnuje odbioru zapłaty za nasze wysiłki.

– Niedźwiedzie mają teraz faktora? – zdziwił się Vaelin.

– Jak wiesz, panie, Dorzecza są pełne łobuzów gotowych oszukać nieostrożnych. Zeszłej zimy pewien kupiec przybył do Sound i zaproponował sznury koralu za wszystkie bobrowe skóry, jakie moglibyśmy dostarczyć. Miał szczęście, że został przepędzony jedynie szturchnięciem włócznią w zadek.

– Zajmę się tym. – Vaelin schował pergamin do kieszeni. – Prosiłbym, żebyście zaopiekowali się tymi ludźmi. – Wskazał na Moresków. –

Dostarczajcie im jedzenie, póki sami nie będą mogli polować.

– Nie leży w naszym zwyczaju przepędzanie ludzi w potrzebie. – Wysoka Włócznia uśmiechnął się skąpo i cofnął, po czym przystanął z czujnym wyrazem oczu. – Polowanie na wyrzutków to nie jest prawdziwa wojna, panie, a jedynie rozprawianie się z robactwem. Wojny się skończyły. Sądzę, że pan to wie?

Vaelin zaśmiał się krótko, kiedy do głowy przyszło mu dawno zapamiętane zdanie.

– Zawsze jest kolejna wojna.

– Tylko jeśli się jej szuka. – Wysoka Włócznia złożył oficjalny ukłon i odszedł.

\*\*\*

– Wasze mury nie są dostatecznie wysokie – zauważył Alum osiem dni później, kiedy stanęli na szczycie wzgórza, z którego można było zobaczyć całą Północną Wieżę.

Vaelin musiał przyznać, że ten człowiek ma rację. W latach po jego powrocie do Dorzeczy niegdyś mały, ale ruchliwy port zmienił się w spore miasto. Domy i magazyny ciągnęły się teraz spory kawałek za murami. Kilka miesięcy wcześniej Vaelin zamówił plany nowej bariery obronnej mimo sprzeciwu Gildii Kupieckiej przerażonej wizją nowego podatku na pokrycie jej kosztów, choć ich kufry coraz bardziej pęczniały. Ale nie ze względu na narzekania spowodowane chciwością Vaelin odłożył te plany; przy tempie, w jakim rozwijało się miasto, nowe mury też wkrótce stałyby się niewystarczające.

– Złoto jest jak woda w tym królestwie – powiedział. – Dzięki niemu wszystko rośnie.

Alum ze smutkiem pokręcił głową, jednocześnie rozbawiony i zaskoczony.

– Urodzeni na piaskach nigdy nie rozumieją uroku lśniącego złotego metalu, zbyt miękkiego, żeby zrobić z niego porządny czubek włóczni.

Vaelin usłyszał w głosie Moreski nutę żalu, która świadczyła o głębokiej tęsknocie za ziemią utraconymi być może na zawsze.

– Świat wciąż się zmienia – stwierdził. – Może pewnego dnia...

– Nie, przyjacielu. – Alum uśmiechnął się i pokręcił głową. – Dla Moresków nie będzie powrotu na piaski. Stróże już tam nie mieszkają, więc



my też nie będziemy.

Vaelin wrócił myślami do chwili ich odjazdu z Parowu Ultina, do widoku mężczyzny klęczącego w kręgu starszych.

– Co to znaczyło? – spytał. – Kiedy twoi ludzie odwrócili się plecami?

– To znaczyło, że ponieważ nasz klan nie może wrócić na piaski, ja też nie mogę do nich wrócić, póki nie znajdę naszych dzieci, czy to martwych, czy żywych.

– Wiesz, że to może okazać się niemożliwe?

Pytanie chyba zaskoczyło Aluma. Vaelin zrozumiał, że wcześniej naprawdę nie przyszło mu to do głowy.

– Nigdy nie zawiodłem na polowaniu – oświadczył Moreska. – Teraz też nie zawiodę.

Vaelin zaproponował, żeby wjechać do miasta północno-zachodnią drogą, gdzie nowa zabudowa była najrzadsza. Mimo to ludzie przyszedli popatrzeć na przybycie Lorda Wieży, dziesiątki wychodziły z domów, żeby wznosić powitalne okrzyki, choć większość po prostu się kłaniała. W tych czasach ponad połowę mieszkańców Północnej Wieży stanowili imigranci z królestwa. Niemal wszyscy mieli mroczne wspomnienia z wojny wyzwoleniczej i często irytującą unізoność wobec człowieka, który sprawił Cud Alltoru i zaatakował doki Varinshold. W rezultacie Vaelin wykorzystywał każdą okazję, żeby uciekać z wieży, i robił, co w jego mocy, żeby wracać w godzinach ciemności. Niestety tego dnia nie było to możliwe ze względu na konieczność zamknięcia złota w bezpiecznym miejscu.

– Myślałem, że wasz lud czci zmarłych – odezwał się Alum, łypiąc na tłumy.

– Tak, w pewnym sensie – odparł Vaelin. – Choć niektórzy czczą jednego boga, a inni... – Urwał z westchnieniem. – Wystarczy powiedzieć, że jeśli chodzi o kultury, królestwo to skomplikowane miejsce.

– Nie takie skomplikowane. – Alum odsłonił zęby w szerokim uśmiechu. – Wygląda na to, że ci ludzie oddają cześć tobie, przyjacielu.

Gwardia Północna wkrótce musiała stanąć na czele kawalkady, żeby oczyścić drogę ze zbyt entuzjastycznych witających i zapewnić w miarę sprawny dojazd do zachodniej bramy i do samego miasta. Tutejsi mieszkańcy w większości urodzili się w Dorzeczach i dlatego byli mniej skłonni do powitalnych zgromadzeń, choć nieliczni, których Vaelin znał z imienia, wołali do niego, kiedy orszak pokonywał wąskie ulice.

W dawnych czasach garnizon miał zwyczaj urządzać paradę w czasie powrotu Lorda Wieży, ale Vaelin już dawno zarzucił ten zwyczaj. Jedyna grupa powitalna składała się z jasnowłosej kobiety i dziewczynki stojących na schodach wieży. Obie wydawały się zdenerwowane i unikały jego wzroku, co sprawiło, że jego serce zamarło. Nie znowu.

– Dostaniesz pokój – powiedział do Aluma, zsiadając z konia. – Zrobisz mi zaszczyt, jeśli dołączysz do mnie dzisiaj na kolacji.

– Oczywiście. Gildia Kupiecka...

– Pierwsza sprawa jutro rano. – Vaelin zerknął na Sehmona Veka, który ku rozbawieniu Ellese niezdarnie zsiadał z grzbietu muła. – Twój sługa będzie spał w stajni.

Kiedy wszedł na stopnie, blondynka powitała go oficjalnym ukłonem, choć więcej razy, niż potrafiłby zliczyć, mówił jej, żeby tego nie robiła. Ona jednak zawsze upierała się przy tym, co stosowne, czego świadectwem była jej skromna suknia, do której nadal przypinała czarne kokardki na znak żałoby po mężu zmarłym przed sześciu laty.

– Milady Kerran – pozdrowił ją, kłaniając się. Potem wyciągnął rękę do dziewczynki stojącej u jej boku. – Nie będzie całusa dla wujka, Lohren?

– Przepraszam.

Mała wystąpiła do przodu i objęła go mocno, a on złożył pocałunek na czubku jej głowy. Siła uścisku dużo mu powiedziała, podobnie jak lekkie drżenie.

– Panie, smuci mnie, że muszę poruszyć trudną kwestię tak od razu po pańskim powrocie... – zaczęła Kerran.

– Proszę mówić – przerwał jej Vaelin, marszcząc brwi na widok jej zaciśniętych dłoni o zbiegających kostkach. – Tym razem nikogo nie zabił, prawda?

Kerran uśmiechnęła się słabo, zanim odpowiedziała.

– Nie dlatego, że nie próbował, milordzie.

## Rozdział trzeci

Lord Nortah Al Sendahl siedział na podłodze swojej celi ze zwieszoną głową, oparty plecami o ścianę. Nie podniósł wzroku, kiedy drzwi się otworzyły, ale Vaelin dostrzegł lekki grymas na zarośniętej twarzy. Cella mieściła się głęboko we wnętrzościach wieży, a jedynym oświetleniem była mała świeca w alkwie. Miejsce cuchnęło niemytym ciałem i zwietrzałym pićciem, a paskudne wyziewy jeszcze wzmacniała zawartość wiadra stojącego w rogu. Odór nie poprawił wystarczająco mrocznego nastroju Vaelina.

Kazał strażnikowi zaryglować drzwi z drugiej strony i w milczeniu zaczął wpatrywać się w Nortaha, aż ten w końcu uniósł głowę. Widząc błysk rozbawienia w przekrwionych oczach widocznych przez kurtynę niemytych włosów, Vaelin ucieszył się, że przyszedł tutaj bez broni.

– Co się stało z twoim nosem? – zapytał Nortah.

– Strzała wyrzutka – odparł Vaelin. Przesunął wzrokiem po zaschniętej krwi na czole Nortaha, dostrzegł małe czarne supełki pod czerwono-brązową plamą na skórze głowy. – Brat Kehlan mówi, że przeżyją. – Vaelin pochylił się, żeby obejrzeć ranę Nortaha. – Wyszedłeś z wprawy, bracie.

– To był mistrz Hollish, właściciel Białego Ogiera – odparł Nortah. Łańcuchy zagrzechotały, kiedy podniósł ręce, żeby wskazać na ranę. – To dopiero gość z silną ręką. Był w Alltor, wiesz.

– Jak wielu.

Vaelin podszedł do niskiej drewnianej pryczy i usiadł na słomianym materacu. Pozwolił, żeby milczenie się przedłużało. Nortah nigdy nie czuł się swobodnie w ciszy.

– Trzej tępi marynarze mówią o wojnie – odezwał się w końcu Nortah. – Przechwalają się, w jakich bitwach brali udział. Nigdy nie walczyli w żadnej przeklętej bitwie, dobrze wiem. Pomyślałem, że przydałoby się im posmakować, jak to jest naprawdę.

– Właściwie jeden z nich służył na pokładzie „Queen Lyrna” w bitwie o Latarnię. Brat Kehlan mówi, że będzie miał szczęście, jeśli zachowa oko.

Nortah odwrócił wzrok, przesuwając językiem po wargach i zaciskając pięści w kajdanach. Vaelin wystarczająco dobrze poznał jego nastroje, by odczytać sygnały, że Nortah zaczyna trzeźwieć, co oznaczało również, że zaczyna odczuwać pragnienie.

– Moja siostra pewnie przysłała błagać? – Odrobina urazy zabarwiła nutę wstydu w głosie Nortaha, niemal bliską desperacji. – Nie prosiłem jej o to.

– Nigdy tego nie robisz. Ale ona i tak przychodzi. Tym razem przyprowadziła Lohren, ale nie Artisa. Dlaczego?

Nortah wzruszył ramionami.

– Chłopiec chce iść własną ścieżką.

– On ma dopiero dwanaście lat. Zdaje się, że tracąc matkę, stracił również ojca.

– Kerran o niego dba, o Lohren i bliźniaków również. Dostają całą moją emeryturę, nie licząc marnych groszy, które zostają dla mnie.

– I za które karczmarze w tym mieście są ci bardzo wdzięczni.

Przez sekundę Nortah piorunował go wzrokiem, po czym się roześmiał.

– W porządku. – Ze smutkiem pokręcił głową. – To jak będzie? Kolejne trzydzieści dni w kopalniach? Sześćdziesiąt? Dobrze. Górnicy zawsze mają dużo grogu. Oczywiście zapłacę stosowne odszkodowanie pokrzywdzonym stronom. Kupię nawet temu marynarzowi szklane oko, jeśli będzie trzeba.

– Nie. – Vaelin pokręcił głową. – Nie kopalnie, bracie. Nie tym razem.

– Więc co? Chłosta na miejskim placu? Wystawisz mnie na widok publiczny na kilka dni? – Jego usta drgnęły w uśmiechu, ale głos lekko się załamał, kiedy pragnienie dopadło go z całą siłą. – Jak sobie życzysz, milordzie. – Zamknął oczy i przesunął dłonią po ściągniętych brwiach. – Tylko o jedno proszę: o mały kubek wina.

– Nie jestem obecnie skłonny spełnić żadnej pańskiej prośby, lordzie Nortah. – Vaelin wstał i ruszył do drzwi. – Dostaniesz odpowiednią ilość jedzenia i wody. Brat Kehlan zajrzy co kilka dni, żeby sprawdzić stan twojego zdrowia.

– Zostawisz mnie tutaj? – Nortah zmusił się do uśmiechu i podźwignął niepewnie, opierając się o ścianę. – Mam prawo do procesu, nie zapominaj. Jako Miecz Królestwa...

– Masz wszelkie prawa, jakich postanowię ci udzielić – warknął Vaelin i rozejrzał się po celi. – Na razie oferuję ci gościnność mojego domu.

Nortah ponownie przesunął językiem po wargach.

– Na jak długo?

– Jak długo będzie trzeba, czyli do chwili, kiedy brat Kehlan powie mi, że już nie jesteś pijakiem. – Vaelin odwrócił się do drzwi i uniósł rękę, żeby w nie zapukać. – Do tego czasu może sobie przypomnisz, że jesteś ojcem.

Atak nastąpił bez ostrzeżenia. Nortah całym ciężarem pchnął Vaelina na drzwi, przerzucił łańcuch przez jego głowę i ścisnął mocno.

– Co ty wiesz o ojcostwie? – wysyczał mu do ucha. Jego cierpki oddech aż szczypał w oczy. – Co wiesz o rodzinie? Tylko dlatego, że kiedyś pieprzyłeś moją siostrę...

Vaelin uderzył głową w nos Nortaha. Potem wbił twarde łokieć między jego zębra i uwolnił się od łańcucha. Więzień cofnął się o krok. Oczy błyszczały nad jego zakrwawioną brodą, kiedy warknął i zaatakował znowu, wymierzając cios obiema pięściami w głowę Lorda Wieży. Vaelin uprzedził cios, robiąc krok do przodu, i wbił kolano w przeponę Nortaha, pozbawiając go tchu. Poprzedniej nocy Al Sendahl mógł skatować trzech pijanych marynarzy, ale jego słabość w fazie pragnienia była godna pożałowania. Vaelin odepchnął ręce więźnia na boki, chwycił go za szyję i mocno przycisnął jego głowę do ściany.

– Co wiem o rodzinie? – wychrypiał przez zaciśnięte zęby. – Wiem, co straciłem. Sella też była moją rodziną, tak jak ty, użalający się nad sobą głupcze!

Nortah przestał walczyć, kiedy dłonie Vaelina zacisnęły się na jego szyi. Wrogość malującą się na twarzy zastąpiła posępna, głodna akceptacja.

– Zrób to – wyszeptał. – Wszyscy odeszli. Caenis, Dentos, Barkus... Sella. Wszyscy odeszli. Wyślij mnie do nich. Wyślij mnie do niej.

Vaelin zabrał ręce i się cofnął. Stwierdził, że nie jest w stanie znieść rozpaczliwego błagania w oczach Nortaha. Ten człowiek był duchem, zmęczonym cieniem nazbyt dumnego potomka renfaelijskiej szlachty, którego Vaelin poznał w dniu, kiedy wiele lat temu przyjęto ich do Domu Szóstego Zakonu. Dekada twardego szkolenia i wojen przekształciły tamtego chłopca w mężczyznę o głębokim współczuciu i wielkiej odwadze, zapewniając mu wstęp do panteonu bohaterów, których stworzyła długa i koszmarna wojna wyzwolenicza. Ale, jak często obserwował Vaelin, w czasie pokoju nagrody za odwagę bywały skromne.

– Już ci mówiłem, że Zaświaty nie są... nie były takie, jak nam opowiadano. Jej tam nie spotkasz.

– Nie możesz być pewien – upierał się Nortah. – To też mi mówiłeś. Tam coś jest, po drugiej stronie. Widziałeś to...

– Jej tam nie będzie! – Vaelin ruszył na brata, żeby pięściami wbić trochę rozumu do jego zamroczonego umysłu. Zatrzymał się, widząc żywą nadzieję w jego oczach. Było oczywiste, że równie mocno jak alkoholu Nortah pragnął również śmierci.

– Nasi bracia zginęli – rzekł Vaelin, siląc się na pewność w głosie. – Dentos i Barkus w Alpirze, Caenis w Volarii. I twoja żona, bracie. Sella umarła dwa lata temu z powodu guza w piersi. Brat Kehlan i wszyscy uzdrowiciele z Dorzeczy starali się, ale nie potrafili jej uratować. Jej Zaświatami są wspomnienia tych, których kochała. Ona naprawdę odeszła, ale twoje dzieci nadal są tutaj, a ja nie jestem gotowy uczynić ich sierotami.

Wydawało się, że siły opuściły Nortaha w jednej chwili, gdy osunął się z powrotem na podłogę.

– Śnił mi się zeszłej nocy, wiesz? – powiedział cicho, kiedy Vaelin uderzył pięścią w drzwi. – To znaczy... Caenis. Zawsze jest tak samo. Chodzimy po zalanej krwią świątyni, w której uratowaliśmy królową, przekraczamy ciała, jakby ich tam nie było. Nie zawsze pamiętam po przebudzeniu się, co on mi mówi, ale tym razem zapamiętałem. Chcesz usłyszeć, bracie?

Kiedy strażnik otworzył drzwi, Vaelin się zatrzymał i obejrzał na skuloną postać. Zastanawiał się, jak to możliwe, że ledwo rozpoznaje człowieka, którego zna od dzieciństwa. Jego ostatni żyjący brat zmienił się w żalną figurę, w obcego.

– Tak. Co powiedział?

– Powiedział, że powinniśmy nasłuchiwać zewu wilka. – Nortah obrócił głowę w jego stronę i zamrugał. Oczy miał czerwone z wyczerpania. – Masz pojęcie, o co mu chodziło? – zdążył jeszcze spytać i zemdlął.

\*\*\*

Dzień Petycji był kolejnym powodem, dla którego Vaelin robił wszystko, co mógł, żeby być nieobecny w Wieży. Jako jego mianowany pełnomocnik lord Orven radził sobie z większością spośród miriadów próśb i skarg, ale zawsze kilka wymagało osobistej uwagi Lorda Wieży. Znużenie potęgował smutek wynikający ze świadomości, że gdyby Dahrena przeżyła wojnę wyzwolenczą, o wiele lepiej nadawałaby się do tej roli. Choć nikt nie odważył się wyrazić na głos takiej opinii, Vaelin potrafił ją rozpoznać na

często rozdrażnionych twarzach obywateli Dorzeczy, którzy przychodzili do niego po sprawiedliwość. Adoptowana córka poprzedniego Lorda Wieży, Dahrena, została zaakceptowana jako jedna z nich, natomiast on nawet po wielu latach często był uważany na uzurpatora. Kiedy przedstawiano jej bardziej skomplikowane sprawy, Dahrena czerpała z bogatej wiedzy i doświadczenia, nie wspominając o osobistych powiązaniach, co mogło łagodzić ból z powodu niekorzystnego wyroku. Tymczasem Vaelin wciąż starał się zachować cierpliwość wobec zawikłanych sporów, które, jak wynikało z jego doświadczeń, niezmiennie zawierały trzy główne składniki: pieniądze, łzy i dużo krzyków.

– Podły uwodziciel! – wrzasnęła pani Ilneth z taką energią, jakby pchała włócznią, wskazała palcem na młodego mężczyznę siedzącego po przeciwnej stronie Izby Lordowskiej. – Diabelski pomiot, złodziej córek!

Obok młodego mężczyzny stała może osiemnastoletnia dziewczyna z rękami splecionymi na nabrzmiałym brzuchu. Drgnęła na słowa kobiety, a jej twarz poczerwieniała z irytacji i wstydu.

– Nikt mnie nie ukradł, ty durna, stara krowo! – wykrzyczała. Chciała dodać coś jeszcze, ale umilkła, kiedy lord Orven uderzył laską w kamienną podłogę. Dziewczyna zarumieniała się i ukloniła Vaelinowi siedzącemu na lordowskim krześle. – Proszę wybaczyć, milordzie, ale wiem, czego chcę.

– Jestem tego pewien – rzekł Vaelin, przenosząc wzrok na winowajcę. – Ten człowiek nie ma mocy, żeby zmienić myśli drugiej osoby, przynajmniej przy użyciu czarnej magii. – Młodzieniec skłonił głowę, ale jego uśmiech zgasł, kiedy Vaelin dodał: – Jak się miewa żona, panie Lorkan?

Dziewczyna zeszywniała, a jej wybranek tylko się skrzywił i posłał jej pusty uśmiech.

– Moja żona, jak zapewne pan wie, milordzie, jasno wyraziła swoje życzenia. W rezultacie, jako że nie widziałem jej od kilku miesięcy, nie mam pojęcia, co u niej słyszeć.

Głos Lorkana zdradzał wyraźną urazę mimo uprzejmych słów. Tak jak Vaelin ledwo poznawał Nortaha, w tym mężczyźnie również znajdował coraz mniej podobieństwa do tego lęklivego, jeśli nawet rezolutnego młodzieńca, który podróżował razem z nim przez lodowiec. To, co kiedyś wyglądało na urok, choć wymieszany z dużą dozą przebiegłości, teraz sprawiało wrażenie wyrachowania i skłonności do manipulacji. Po zwycięstwie Lorkan i Cara wydawali się tacy sobie oddani, a ich związek umocnił się na mroźnych pustkowiach i w ogniu wojny. Może dlatego nie

przetrwiał. Oddanie było łatwe, gdy każdy dzień przynosił nowe zagrożenia. Wtedy Ignęli do siebie, czerpiąc z tego otuchę. Wraz z bezpieczeństwem pokoju skończyły się okazje do Ignięcia, więc tego nie robili.

– Rozumiem, że rada Nehrin Point nie pozwoliła panu tam wrócić, ale zapomniała mnie oświecić, dlaczego – ciągnął Vaelin. – Może pan mógłby mi to wyjaśnić?

– Rodziny często biorą czyjąś stronę w... małżeńskich sporach, milordzie. Cara zawsze miała więcej bliskich przyjaciół niż ja.

– To prawda – przyznał Vaelin. – Ale z drugiej strony nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek oskarżono ją o złodziejstwo czy oszustwo.

Lorkan wyprostował się i z urazą pociągnął nosem.

– Wszystko to bezczelne kłamstwa, powodowane uprzedzeniami wobec Obdarzonych.

– Ha! – Pani Ilnah zaśmiała się triumfalnie i znowu wycelowwała palec, tym razem w córkę. – Widzisz, Olno, nawet w jego własnych stronach go nie chcą. – Zbliżyła się do lordowskiego krzesła i ukłoniła nisko. – Milordzie, błagam pana. Proszę rozkazać mojej córce, żeby wróciła w objęcia rodziny...

– Objęcia?! – wykrzyknęła Olna. – Kiedy mnie obejmowałaś, ty stara, bezduszna wiedźmo?!

Kolejne stuknięcie laski lorda Orvena, głośniejsze niż poprzednie, uciszyło dziewczynę i jej matkę.

– Jeśli rozumiem szczegóły prośby, pani Ilnah – rzekł Vaelin, przeglądając zabazgrany zwój, który kobieta przedstawiła na początku wysłuchania – domaga się pani rekompensaty za poważną zniewagę wyrządzoną reputacji pani rodziny przez pana Lorkana Densaha, a także natychmiastowego powrotu do domu pani córki Olny.

– Tak, milordzie. – Kobieta ukłoniła się jeszcze niżej i uniosła ręce w błagalnym geście. – Zadając się z tym cudzołożnikiem, okryła nas hańbą. Źle, że będziemy musieli opiekować się jego bękartem, ale w dodatku on nawet nie zapłaci należnego posagu, bo nadal jest prawnie związany węzłem małżeńskim.

Łzy, krzyki i pieniądze, pomyślał Vaelin. Zawsze to samo.

– Rozumiem – powiedział, starając się ukryć nutę znużenia w głosie, i spojrział w prawo, gdzie siedziała Ellese. Przyszła gubernatorka Cumbrael opierała podbródek na dłoni, a łokieć na poręczu krzesła. Jej oczy i twarz



zdradzały nudę. Poruszyła się tylko odrobinę, kiedy Vaelin zapytał: – Ma pani jakąś radę, milady?

– Oczywiście, milordzie – odpowiedziała Ellese, tłumiąc ziewnięcie i posyłając Olnie mdły uśmiech. – W przyszłości proszę trzymać nogi związane albo znaleźć znachorkę z odpowiednią mieszanką ziół. – Kiedy odwróciła się do Lorkana, uśmiech zniknął z jej twarzy. – A pan niech będzie gotowy sięgnąć do sakiewki, jeśli zamierza pan kotłować się w cudzej pościeli.

Pod pewnymi względami jak matka, stwierdził Vaelin i posłał twarde spojrzenie Ellese, która wcale nie wyglądała na skruszoną. Pamiętał, że Reva też nie lubiła Dnia Petycji, ale przynajmniej nauczyła się udawać coś przeciwnego.

– Opinia mojej siostrzenicy jest trafna, choć prostacko wyrażona – powiedział i zwrócił się do Lorkana. – Czy Cara chce pozostać pańską żoną? I proszę pamiętać, że mam złe mniemanie o nieuczciwych odpowiedziach.

Lorkan już zaczął się uśmiechnąć, ale spoważniał pod ciężarem wzroku Vaelina.

– Nie, milordzie – odparł z westchnieniem. – Oznajmiła mi to w sposób niepozostawiający wątpliwości.

– Wydaje się zatem, że przynajmniej jedną część tej skargi można rozstrzygnąć od razu. Zgodnie z prawem przyznanym mi przez królową Lyrnę Al Nieren niniejszym unieważniam pańskie małżeństwo. – Odwrócił się do skryby siedzącego po jego lewej stronie. – Proszę do końca dnia przygotować wstępną wersję wyroku do mojego podpisu i zarejestrować ją w Czwartym Zakonie.

Skryba skinął głową i zanurzył pióro w atramencie.

– Dobrze, milordzie.

– Pani Olno – Vaelin przeniósł wzrok na ciężarną – ile ma pani lat?

– Siedemnaście i dziesięć miesięcy, milordzie – pośpiesznie odparła dziewczyna i zacisnęła zęby, hamując następny wybuch, kiedy jej matka załkała nieprzekonująco.

– Och, moje skradzione dziecko – wyjęczała kobieta z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Ma pani jakiś zawód? – ciągnął Vaelin, postanowiwszy zignorować panią Ilneh. – Umiejętności?

– Jestem szwaczką, milordzie. – Olna posłała matce kwaśne spojrzenie. – To chyba jedyna użyteczna rzecz, której mnie nauczyła.

– Spodziewa się pani wychować dziecko samotnie za dochody szwaczki?

– Nie jestem sama. – Dziewczyna hardo uniosła podbródek i ujęła dłoń kochanka. – Ojciec dziecka będzie nas utrzymywał.

– Kradzieżą i oszustwami? – rzucił Vaelin, wbijając wzrok w Lorkana.

Zobaczył, że gniewna riposta zamiera na wargach młodzieńca, ale w oczach nadal jarzyła się zadawniona uraza. Choć Lorkan chętnie poszedł na wojnę wyzwolenczą, to miłość do obecnie pozostającej w separacji żony skłoniła go do znoszenia wielkich trudów podróży przez lód do Voltarii i staczania późniejszych bitew. Odmowa Vaelina, żeby zwolnić Care z obowiązku i oszczędzić mu ogromnego cierpienia, które mimo wszystko zniósł w sposób budzący uznanie, najwyraźniej nie została zapomniana.

– Jak pan wie, milordzie, to dzięki twojej łasce królowa przyznała mi rentę w uznaniu za moją służbę w czasie wojny wyzwolenczej.

– Owszem – przyznał Vaelin. – Wiem również, że jest ona oddawana różnym kupcom, domom gry i lichwiarzom już w chwili, kiedy pan ją dostaje. Zaledwie w zeszłym tygodniu lord Orven musiał zajmować się wnioskiem o pańskie natychmiastowe aresztowanie z powodu zadawnionego, a pokaźnego długu, i spłacił go z własnej kieszeni.

– Za co jestem bardzo wdzięczny, milordzie. – Lorkan ukłonił się Orvenowi.

– Lordem Orvenem kierował sentyment do starego towarzysza – powiedział Vaelin. – Mną nie. Jestem jednak skłonny uregulować wszystkie pozostałe długi i kiedy pańskie małżeństwo zostanie formalnie unieważnione, zostać świadkiem ślubu z panią Olną. W zamian – dodał i zobaczył, że uśmiech rodzący się na wargach Lorkana gaśnie – wstąpi pan na pięć lat do Gwardii Północnej, w której pańska szczególna umiejętność zostanie w pełni wykorzystana.

Uśmiech Lorkana całkiem zniknął. Młodzieniec patrzył teraz na Lorda Wieży z otwartą wrogością.

– Już miałem swój udział w wojnie, milordzie.

– Dobrze – rzekł Vaelin, wskazując na drzwi. – Może pan odejść. Powinien pan jednak wiedzieć, że jeszcze dzisiaj wydam rozkaz zabraniający statkom wywiezienia pana z Dorzeczy. Zostanie pan tutaj i zadba o dziecko i jego matkę, nawet jeśli będę musiał batem zapędzić

pana do kopalni. – Wytrzymał spojrzenie Lorkana. – Uczciwa służba w Gwardii Północnej jest chyba lepsza, zgodzi się pan?

Lorkan zacisnął zęby i poczerwieniał, bliski bardzo niemądrego wybuchu. Jednakże buzujące w nim słowa zamarły w krtani, kiedy Olna mocniej ścisnęła jego dłoń, przysunęła się i coś szepnęła mu do ucha. Lorkan zamknął oczy i wolno wypuścił powietrze z płuc, w miarę jak szept dziewczyny stawał się coraz bardziej gorączkowy.

– Milordzie – powiedział, kiedy Olna się odsunęła, i złożył Vaelinowi płytki ukłon – przyjmuję pańską łaskawą propozycję.

– Proszę się zameldować w koszarach jutro o pierwszym brzasku – polecił Vaelin. – Lord Orven rozpocznie pańskie szkolenie. Dwie trzecie żołdu będzie otrzymywać pani Olna przez cały okres pańskiej służby, niezależnie od tego, czy się pobierzecie, czy nie. Pani Ilneh – przeniósł wzrok na skarżącą, nim Lorkan zdążył zareagować – otrzyma uznaniową wypłatę w wysokości... – Zastanowił się. – Trzech złotych za cierpienie i wstyd dla rodziny. – Uprzedził sprzeciw kobiety, kiwając głową Orvenowi. – Następną sprawą, milordzie.

Panią Ilneh musiało wyprowadzić dwóch gwardzistów mimo jej głośnych protestów, podczas gdy Lorkan i Olna w milczeniu opuścili salę. Ramiona młodego Obdarzonego były przygarbione w wyrazie klęski, choć spojrzenie pełne czystej wrogości, które rzucił Lordowi Wieży przed wyjściem z sali, sprawiło, że Vaelin zaczął się zastanawiać, czy ta postawa nie jest kolejnym przejawem jego zdolności oszukiwania.

– Najprawdopodobniej ucieknie – powiedział do Orvena. – Lepiej wystawić dzisiaj wieczorem w porcie potrójne straże. Trzeba zadbać, by wśród strażników był przynajmniej jeden Obdarzony.

– Dobrze, milordzie. – Dowódca Gwardii Północnej stuknął laską w podłogę i podniósł głos: – Posłańcy króla Lian Sha, proszę wystąpić!

Poselstwo składało się z dwóch głównych ambasadorów i świty złożonej z dwunastu ludzi. Vaelin stwierdził, że ci dwaj są niedobraną parą. Jeden odziany w bogato zdobione jedwabie, prawie sześćdziesięcioletni, z elegancko przystrzyżonymi szpakowatymi wąsami i wąską bródką. Drugi niższy, ale barczysty, ubrany w prosty, watowany kaftan, ozdobiony na piersi wzorem w kształcie koła. Był młodszy od swojego towarzysza o kilka lat, ale jego zniszczona twarz świadczyła o dużo cięższym życiu. Nawet gdyby ten człowiek nie miał miecza u pasa, Vaelin i tak od razu rozpoznałby w nim wojownika.

– Wielki panie o prześwietnej sławie – przemówił z ukłonem brodacz w niemal doskonałym języku królestwa. – W imieniu Liana Sha, z woli niebios władcy wielu krain Czcigodnego Królestwa, ja, Kohn Shen, przynoszę pozdrowienia i dary.

Członek świty odziany w prosty strój z czarnej bawełny wystąpił do przodu w niskim pokłonie. Kiedy zbliżał się do podwyższenia i stawiał na pierwszym stopniu małą szkatułkę, nie podniósł wzroku.

– Proszę przyjąć ten niegodny dar jako pierwszy, jak mamy nadzieję, z wielu wyrazów szacunku między naszymi królestwami – ciągnął Kohn Shen.

– To nie jest królestwo – rzekł Vaelin, wstając z krzesła, żeby wziąć prezent. – To jedynie prowincja, a wszystkie dary należą do mojej królowej. – Otworzył pudełko i zobaczył cztery klejnoty na aksamitnej poduszce, każdy w innym kolorze.

– Rubin, szafir, szmaragd i diament – stwierdziła Ellese, gdy do niego podeszła. Jej twarz nagle ożyła z ciekawości. – Każdy chyba co najmniej dwa razy cięższy od przeciętnego.

Vaelin już wcześniej zauważył, że jej zainteresowanie budzą tylko trzy rzeczy: perspektywa walki, przystojni młodzi mężczyźni i wszystko, co łączy się z pieniędzmi. Przypuszczał, że za pierwsze mogła dziękować Revie, za drugie lady Veliss, a za trzecie nikomu.

Lyrna zawsze lubiła klejnoty, pomyślał, wracając spojrzeniem do pudełka i myśląc o różnych świecidełkach, którymi ozdabiała się królowa. Choć pewnie uznałaby wielkość tych kamieni za wulgarną.

– Piękny dar, ambasadorze Kohn – powiedział, zamykając szkatułkę i dając znak gwardziście, żeby ją zabrał. – Z pewnością królowa będzie zadowolona.

Zobaczył lekkie wahanie ambasadora. Wiedział, że samo wyobrażenie kobiety mającej władzę nad mężczyznami jest całkiem obce na Dalekim Zachodzie, a w niektórych miejscach nawet bluźniercze. Jednakże wysłannik był tego dnia gotowy znieść to upokorzenie.

– Podobnie jak nasz król, jestem pewien – rzekł, kłaniając się znowu, i dłonią o długich palcach wskazał na stojącego obok niego wojownika. – Chciałbym przedstawić generała Giana Nuishina, dowódcę Siódmej Kohorty Czcigodnej Armii.

Vaelin uprzejmie skinął głową.

– Generale.

– Żałuję, że generał tylko częściowo rozumie wasz język – powiedział Kohn Sehn. – Dlatego ja będę na tym spotkaniu głosem naszego króla.

Vaelin uśmiechnął się do generała Giana, a następnie zwrócił się do niego w chu-shin, dalekozachodnim dialekcie używanym powszechnie przez kupców i urzędników.

– Skoro nie może pan z nami rozmawiać, dlaczego król pana przysłał? – zapytał i rzucił znaczące spojrzenie na miecz. – Żeby z nami walczyć?

– Gdybym przybył tutaj, żeby z wami walczyć, nie kłaniałbym się najpierw – odparł generał burkliwie, ale z błyskiem rozbawienia w oczach.

– Wróg zasługujący na wojnę nie potrzebuje szacunku ani litości.

Vaelin wiedział, że jest to stare powiedzenie z dzieła jednego z niezliczonych filozofów w historii Dalekiego Zachodu, ale nikt nie potrafił wymieniwać nazwiska autora. Edukacja Vaelina w tej mierze była daleko niewystarczająca.

– Dobrze pan mówi chu-shin, milordzie – pochwalił go Kohn. – Nie wiedzieliśmy, że pańskie umiejętności są tak rozległe.

Vaelin lekko wzruszył ramionami.

– Mój nauczyciel mówi, że mam niewłaściwy akcent, a słownictwo ograniczone. Mimo to nadal się uczę. Z roku na rok coraz więcej ludzi z Kupieckich Królestw przybywa tutaj, żeby rozmawiać o interesach. Nieokrzesianiem byłoby nie mówić ich językiem.

Ambasador już zaczął wygłaszać następny komplement, ale Vaelin uciszył go gestem dłoni.

– Jest pan zbyt wysokiej rangi, żeby przybywać tu w sprawach czysto merkantylnej natury. I towarzyszy panu żołnierz. Wydaje mi się to bardzo dziwne.

Ten rodzaj niebezpośredniej aluzji, jak nauczył się z poprzednich spotkań z urzędnikami Dalekiego Zachodu, był oczekiwany w rozmowach z emisariuszami Kupieckich Królestw. Proste pytanie „Czego chcecie?” uznano by za duży afront wobec ambasadora.

– Lord Wieży jest równie przenikliwy jak dzielny – rzekł Kohn. – Choć istotnie w naszej misji jest komercyjny aspekt. Przyjechaliśmy, żeby negocjować zakup, ale nie żadnego z wielu bogactw znajdujących się na tych ziemiach.

Skinieniem dłoni przywołał kolejnego członka swojej świty. Ten niósł misternie zdobiony cylindryczny pojemnik z brązu. Mężczyzna przykucnął w pozie identycznej jak wcześniej jego kolega i opuścił wzrok w wyrazie

uniżoności, przed którym wzdragaliby się nawet Volarianie. Próbował umieścić tubę na pierwszym stopniu podwyższenia, ale zatrzymał się, kiedy Vaelin sięgnął w dół i odebrał ją od niego z cicho wypowiedzianym podziękowaniem.

Mężczyzna drgnął, szeroko otworzył oczy i na moment uniósł wzrok. Vaelin zauważył cienką bliznę biegnącą od jego czoła do krótko ściętych i polakierowanych włosów. Kolejny wojownik? – pomyślał Vaelin, kiedy sługa pośpiesznie spuścił wzrok i wycofał się w szeregi świty. Wydawało się nieprawdopodobne, by takie poselstwo podróżowało bez oddziału straży.

Vaelin zdjął ozdobne wieczko z tuby, wyciągnął znajdujący się w środku zwój i rozwinął go. Zobaczył dwa starannie wykonane, choć trochę zawikłane rysunki. Górny przedstawiał urządzenie w formie kuszy o wysokości dwukrotnie przekraczającej wzrost człowieka i miotającej strumień bełtów niczym fontanna. Pod spodem jeszcze większy wynalazek w kształcie gigantycznej butelki wyrzucał gęstą kaskadę płomieni na pokład statku.

– Rozumiem – powiedział, wręczając z uniesioną brwią zwój Orvenowi.

Dowódca Gwardii Północnej szybko przebiegł wzrokiem rysunki i prychnął z lekkim rozbawieniem.

– Uważamy, że rysunki są dokładne – rzekł ambasador Kohn.

– Wymiary są przesadzone – oświadczył Vaelin, siadając z powrotem na krześle.

– Zna pan te urządzenia? – zapytał generał Gian.

– Tak. Skonstruowała je moja siostra.

Mężczyzna wymienił krótkie spojrzenie z Kohnem. Obaj wysłannicy mieli powątpiewające miny i zmarszczone czoła. Kobiety władczynie, kobiety wynalazczynie, pomyślał Vaelin. Jacy dziwni musimy się im wydawać.

– Ale działają tak, jak zostało narysowane? – zapytał Gian.

– Pierwsze to rodzaj balisty, która w niecałą minutę może wypuścić pięćdziesiąt bełtów w cel. Drugie potrafi wyrzucić strumień ognia zdolny pochłonąć każdy statek w ciągu sekund. Tak... – Vaelin zawiesił głos, kiedy sobie przypomniał, jak wiele razy trzymał w ramionach drżącą Alornis po tym, jak budziła się z kolejnego koszmaru. „Wciąż pytają mnie dlaczego”, szeptała. „Nawet kiedy płoną, chcą wiedzieć dlaczego. To nie byłoby takie straszne, gdyby po prostu krzyczeli...”. – Tak, działały bardzo dobrze. – Uśmiechnął się przepraszająco i mówił dalej energicznym tonem: –

Szanowni panowie, ze smutkiem muszę was poinformować, że wasza podróż była daremna. Z rozkazu królowej te urządzenia nie są na sprzedaż, za żadną cenę.

Każdy z wysłanników zareagował inaczej: płaskie rysy generała Giana ściągnęły się w marsowej minie, natomiast Kohn przywołał na twarz pustego uśmiechu.

– Jeszcze nie usłyszał pan, milordzie, jaką cenę jesteśmy gotowi zaproponować. Dar, który właśnie wam przekazaliśmy, jest w porównaniu z nią jedynie drobiazgiem, zwykłym symbolem zamiarów naszego króla.

– Nie kieruję się zamiarami waszego króla, tylko mojej królowej – odrzekł Vaelin. – A ona zadekretowała, że ta broń pozostanie wyłącznie w rękach jej armii. Jestem pewien, że człowiek o pańskim intelekcie szybko pojmie jej tok myślenia.

Gian westchnął i wygiął wargi w sardonicznym uśmiechu.

– Sprzedaj sąsiadowi psa, a on wytresuje go, żeby was pogryzł – powiedział z akcentem jeszcze bardziej pospolitym niż wcześniej. Wyglądało na to, że generał nie jest szlachetnie urodzonym.

– Właśnie tak, drogi panie – potwierdził Vaelin.

– Skoro urządzeń nie można kupić – ciągnął Kohn, a Vaelin usłyszał hamowaną nutę desperacji w jego głosie – może dałoby się kupić umiejętność wytwarzania maszyn o podobnej skuteczności. Czy pańska siostra jest tutaj? Bardzo by mnie ucieszyło poznanie jej.

– Moja siostra obecnie przebywa w Varinshold – odparł Vaelin uprzejmym, ale stanowczym tonem – gdzie kieruje Królewską Akademią Sztuk Pięknych. Zapewniam pana, że każda próba zbliżenia się do niej zostanie szybko udaremniona. Ona już nie chce produkować broni jakiegokolwiek rodzaju.

Uśmiech Kohna zgasł, zmrużone oczy mówiły o ogromie zniewagi, jaka go dotknęła. Mimo to szybko odzyskał panowanie nad sobą i złożył dłonie o długich paznokciach w geście, jak rozpoznał Vaelin, uspokajającej medytacji.

– W takim razie, milordzie, muszę poprosić, żeby pozwolono nam bezpośrednio zwrócić się do waszej królowej. Jeśli pozwoli nam pan cieszyć się waszą gościnnością jeszcze przez kilka dni, złożę oficjalną ofertę.

– Jak pan sobie życzy – powiedział Vaelin. – Królowa obecnie objeżdża swoje volariańskie włości, więc mogą minąć miesiące, zanim uzyskacie

odpowieź. Powinienem jednak ostrzec, że uważam za wysoce nieprawdopodobne, by królowa spełniła waszą prośbę.

– Niemniej jednak, podobnie jak pan jest związany rozkazem królowej, tak ja jestem związany wolą mojego króla. – Kohn ukłonił się ponownie i znieruchomiał, a po jego pomarszczonej twarzy przebiegł wyraz irytacji, kiedy Gian rzucił jakieś nieznane słowo. W uszach Vaelina zabrzmiało ono jak wyraz z języka chu-shin oznaczający „dziwkę”, ale z wydłużoną końcówką.

Czy on oczekuje, że dostarczę mu kobietę? – zastanawiał się, podczas gdy Kohn zmuszał się do kolejnego uśmiechu.

– Jeśli pan pozwoli, poruszę następną, mam nadzieję, że mniej sporną kwestię, milordzie. Sława wojowników waszego królestwa budzi uznanie na całym świecie, zwłaszcza łuczników z południowych krain i jeźdźców z północnych równin. Nasz król bardzo pragnąłby zobaczyć ich umiejętności na własne oczy. Gdyby pozwolono nam zaprosić kilku, żeby wrócili z nami do Czcigodnego Królestwa, byłibyśmy bardzo wdzięczni. Oczywiście otrzymają oni sowitą rekompensatę.

Najpierw broń, teraz najemnicy, pomyślał Vaelin. Zdaje się, że Czcigodne Królestwo ma kłopoty.

– Wszyscy poddani królestwa są wolnymi ludźmi – oświadczył. – I mogą jechać, dokądkolwiek chcą. Uprzedzam jednak, że choć zapewne uda się panu zwerbować łuczników w Cumbrael, to Eorhilowie rzadko wypuszczają się poza równiny, chyba że w najwyższej potrzebie. Mimo to niektórzy z nich mogą być ciekawi, jakie konie hodujecie w swoim królestwie. Chwileczkę, jeśli pozwolicie, drodzy panowie. – Przywołał do siebie Orvena i powiedział po eorhilsku. – Chcą zwerbować najemników spośród ludu pańskiej żony.

– Więc tracą czas – skwitował Orven z rozbawioną miną.

– Wiem, ale bardzo chciałbym się dowiedzieć, dlaczego to robią, a wątpię, czy uzyskam bezpośrednią odpowiedź od starego. Natomiast wojownik...

Orven pokiwał głową.

– Ale ja nie mówię jego językiem, milordzie.

– To podstęp. Podejrzewam, że on mówi językiem królestwa równie dobrze jak starzec. Może zdradzi się, kiedy podzieli się pan z nim winem przy obozowym ognisku.

Vaelin odwrócił się do posłów i przeszedł na chu-shin.



– Podczas gdy ambasador Kohn będzie układał pismo do królowej, może generał Gian zechciałby wybrać się w podróż do Eorhilów. Komendant Orven go przedstawi, ponieważ zna ich bardzo dobrze.

Generał wymienił krótkie spojrzenie z Kohnem, po czym uklonił się i burkliwie udzielił odpowiedzi twierdzącej. Potem nastąpiło jeszcze więcej wylewnych podziękowań ze strony ambasadora Kohna, a po nich jeszcze więcej ukłonów, zanim w końcu poselstwo opuściło salę, a Vaelin ogłosił koniec Dnia Petycji. Ostatni petenci wydali cichy pomruk rozczarowania i wyszli rzędkiem z Izby Lordowskiej, ale mieli dość rozumu, żeby otwarcie nie protestować. Gdy pokój opustoszał, ku zaskoczeniu Vaelina Ellese z rzadkim u niej marsem zamyślenia na czole pozostała na swoim miejscu.

– Coś nie w porządku? – zapytał.

– Ten człowiek ze zwojem. Miał bliźnię.

– Tak, widziałem. Dobrze się spisałaś, że ją zauważyłaś. Jest żołnierzem albo bardziej prawdopodobne, że szpiegiem. Tamtejsi królowie są znani ze swojego zamiłowania do szpiegostwa. Nie martw się, mamy własnych szpiegów. Lord Orven zapewnił, że ci byli uważnie obserwowani od chwili przybycia.

– Nie chodzi tylko o bliźnię... – Ellese pokręciła głową i wstała z krzesła.

– Zdaje się, że nigdy nie ucieknę przed swoją podejrzliwą naturą. Wpływ matki. Opuzczę kolację, jeśli pozwolisz, wujku. Choć twoje towarzystwo jest bardzo miłe, naprawdę powinnam zajrzeć do Wojownika. To nadal źrebak i płoszy się, jeśli za długo zostaje sam.

Wojownik był koniem Ellese, co oznaczało, że dziewczyna zamierza odwiedzić stajnie, w których nocą sypiał Sehmon, wyrzutek zamieniony w przymusowego sługę. Vaelina korciło, by kazać jej iść do swojego pokoju, a najchętniej zabiłby jej komnatę deskami na kilka następnych lat. Wiedział jednak, że tego rodzaju taktyka już wcześniej zawodziła. Im mocniej zwiążesz pęta, pisała w liście Reva, z tym większą rozkoszą ona je zerwie.

Miał pokusę, by przypomnieć Ellese jej własne słowa skierowane do Olny, ale ugryzł się w język. Według wszelkiego prawdopodobieństwa ona już znalazła znachorkę z potrzebnymi ziołami. Zamiast tego powiedział:

– Wróć przed zmianą nocnej warty.

– Dobrze. – Ellese cmoknęła go w policzek i pobiegła do drzwi. – Kocham cię, wujku. Dzięki, że zabrałeś mnie na polowanie.

## Rozdział czwarty

– Ten. – Alum postukał palcem w symbol namalowany na księdze: tarczę z dwiema skrzyżowanymi szablami pod pękniętym, zakrwawionym sercem.

– Wszystkie statki noszą tę flagę.

– Samotne Ostrza – stwierdziła Kerran, patrząc na napis skreślony obok symbolu. – Dość kłopotliwa banda, to pewne. W każdym razie do niedawna. To pierwszy raport od kilku miesięcy, który na ich temat dostaliśmy. – Wskazała na czerwony X narysowany pod emblematem. – To świadczy, że Gildia Kupców uważa tę konkretną grupę za całkowicie rozbitą.

Pokazała inne wpisy na stronie. Vaelin doliczył się kolejnych dziesięciu X-ów pod różnymi pirackimi motywami.

– Znowu walczą – wywnioskował. – Piractwo ostatnio się zmniejszyło, ale przypuszczałem, że to z powodu zwiększonej liczby okrętów wojennych eskortujących konwoje.

– Najwyraźniej toczy się swego rodzaju walka o władzę – zgodziła się Kerran. – Wciąż słyszymy pogłoski o nowym pirackim sojuszu powstałym daleko na południu, na Wyspach Opalowych. Jednak brak nam twardych danych wywiadowczych. Piraci są bardzo skrytą grupą i zadziwiająco lojalną.

– Wyspy Opalowe? – powtórzył Alum.

Kerran sięgnęła po zwój i rozłożyła go na biurku. Była to żeglarska mapa z licznymi adnotacjami przekraczającymi możliwości Vealina do zrozumienia ich, ale rozpoznał długą, zróżnicowaną linię brzegową południa kontynentu, o którym w królestwie mówiono Daleki Zachód.

– Tutaj. – Kerran pokazała archipelag licznych wysp na Oceanie Arathańskim, który rozciągał się między Dalekim Zachodem a zachodnimi krańcami Imperium Alpirańskiego. – To obszar bezprawia, mimo wielokrotnych prób zarówno Kupieckich Królestw, jak i kolejnych cesarzy, żeby zaprowadzić tam porządek. Liczne kanały i zatoczki stanowią doskonałe kryjówki. Wyspy są usiane pirackimi osadami, w tym całkiem dużymi i ludnymi.

– Więc te Samotne Ostrza mogły tam pozełgować? – zapytał Vaelin.

– Możliwe, ale jeśli mieli niewolników do sprzedania, jest bardziej prawdopodobne, że skierowali się do jednego z portów w Oświeconym Królestwie. – Palec Kerran przesunął się do lądu leżącego na północ od Opalowych Wysp. – Dynastia Kupieckich Królów od dawna jest znana z tolerancji dla handlu niewolnikami, w przeciwieństwie do ich królewskich braci z północy. Właśnie dlatego królowa trzy lata temu zabroniła naszym kupcom handlowania z Oświeconym Królestwem.

– Pamiętam – powiedział Vaelin, wspominając pełne napięcia spotkanie z wysłannikiem dworu Oświeconego Królestwa. W przeciwieństwie do ambasadora Kohna tamten człowiek nie znał ani słowa w języku królestwa, a jego niezdarne próby zmuszenia tłumacza, żeby przetłumaczył ofertę łapówki, wprawiły wszystkich obecnych w konsternację. – Dlatego żaden statek z tego portu nie zawiezie cię do Oświeconego Królestwa. Ale wiele innych codziennie wypływa do pozostałych krajów Dalekiego Zachodu. Proszę. – Wyjął zza pasa ciężką sakiewkę i wręczył ją Alumowi. – Na podróż i wydatki po dotarciu na Daleki Zachód. Jeden człowiek nie może liczyć na to, że siłą uwolni tylu jeńców. Będziesz musiał ich odkupić.

Alum zmierzył wzrokiem sakiewkę z wyrazem zdziwienia na twarzy.

– Nie pojedziesz ze mną?

Vaelin jeszcze raz zerknął na mapę. Objął wzrokiem wielkość tego regionu i uświadomił sobie, że Alum najprawdopodobniej ma przed sobą zadanie niemożliwe do wykonania. Mimo to nie mógł zaprzeczyć wielkiej pokusie, żeby dołączyć do poszukiwań Moreski. Mógłbym zostawić wszystko za sobą, pomyślał. Na jakiś czas przynajmniej. Petycje, wyjętych spod prawa. Lekcje Ellese... Nortaha.

– Mam tutaj obowiązki – powiedział.

Chwycił nadgarstek Aluma i włożył sakiewkę w jego dłoń. Skinieniem głowy wskazał na Kerran.

– Pani Gildii znajdzie ci odpowiedni statek. Chodź coś ze mną zjeść, zanim wyruszysz.

– Wyruszymy – poprawił go Alum. – Razem.

– Już mówiłem, że...

– Mój kuzyn miał rację. – Monety w sakiewce zabręczały, kiedy Alum zacisnął na niej pięść. W jego głosie pobrzmiwał twardy upór. Vaelin przypomniał sobie oczy kobiety z kopalni, przenikliwe, wiedzące. –

Popłyniemy razem. Odnalezienie naszych dzieci zależy od ciebie, przyjacielu. Muszę tu zostać, póki nie będziesz gotowy do podróży.

– Cóż – odezwała się Kerran – zawiadomię kucharza, że na dzisiejszej kolacji będzie jeszcze jedna osoba.

\*\*\*

Artis łykał na zupe, zachowując ponure milczenie. Jego siostra również się nie odzywała, choć wydawała się raczej nieobecna duchem niż zła.

– Nie będzie następnego dania, jeśli tego nie skończycie – skarciła ich ciotka siedząca u szczytu stołu.

Lohren skrzywiła się lekko i posłusznie wsunęła kilka łyżek zupy do ust. Vaelin zauważył, że jej wzrok wciąż biegnie do portretu wiszącego nad kominkiem. Przedstawiał on mężczyznę w średnim wieku, w stroju kapitana żeglugi, stojącego z szablą w ręce na tle nieba zasnutego dymem i płonącego ożaglowania. Vaelin nigdy go nie poznał, ale według wszystkich relacji mąż Kerran nie był taki wysoki ani szczupły w pasie, nie miał również tylu włosów na głowie.

„To był dobry człowiek, milordzie”, powiedział mu kiedyś brat Kehlan. „Bystry i uczciwy jak na kupca. Ale nie nadawał się do dowodzenia okrętem wojennym. Mówią jednak, że zginął chwalebnie”.

Vaelinowi jadalnia wydawała się o wiele za duża, podobnie jak reszta domu Kerran. Mąż, po którym wciąż jeszcze nosiła żałobę, był bogatym człowiekiem. Vaelin podejrzewał, że dużą część majątku zawdzięczał bystrości żony. Po jego śmierci zyski Szacownego Domu Handlowego Al Verin podwoiły się, a później potroiły. Kerran była teraz jedną z dziesiątki najbogatszych osób w Dorzeczach i bardzo szanowaną przewodniczącą Gildii Kupców. Jednakże nadal przypinała do sukni żałobne wstążki, a Vaelin wiedział, że nie jest to tylko sposób na odstraszenie niechcianych zalotników, choć było ich wielu.

– Bliźniacy do nas nie dołączają? – zapytał Vaelin, spoglądając na puste krzesła po swojej lewej stronie.

– Uważam, że najlepiej pozwolić im jeść w kuchni – odparła Kerran. – Potrafią być niesforni, zwłaszcza o tak późnej porze.

– Tęsknię za ojcem! – odezwała się Lohren, co wywołało pogardliwe parsknięcie brata. – Właśnie że tak! – Dziewczynka spiorunowała go wzrokiem i przeniosła spojrzenie na Vaelina. – Ja też, wujku.

– Twój ojciec jest tam, gdzie musi być – powiedział Vaelin. – Na razie.

– Jeśli o mnie chodzi, ten zasikany pijak może zostać tam, gdzie jest. – Artis wypowiedział pierwsze słowa tego wieczoru.

Vaelin uderzył pięścią w stół tak mocno, żeby zabrzęczała zastawa. Wbił wzrok w Artisa i pozwolił, żeby cisza się przedłużała, aż chłopiec w końcu uniósł wzrok, wyzywający, ale jednocześnie trochę przestraszony.

– Twój ojciec – powiedział Vaelin cicho, ale z naciskiem – przemierzył pół świata, walcząc w najgorszej wojnie, jaką prowadziło to królestwo. Brnął przez ogień i krew, żeby ratować życie naszej królowej, i patrzył, jak ginie nasz brat Caenis. Nie robił tego z żądzy chwały ani w oczekiwaniu nagrody. Robił to, żeby jego rodzina była bezpieczna, a to kosztowało go więcej, niż potrafisz sobie wyobrazić. Niezależnie od swoich występków on potrzebuje twojego szacunku, a ty go okazesz.

Artis odpowiedział mu gniewnym spojrzeniem. Vaelin stwierdził, że twarz chłopca jest niepokojącym odbiciem twarzy Nortaha w tym samym wieku. Syn jego przyjaciela miał również tę samą skłonność do działania bez namysłu.

– Ten człowiek już nie jest moim ojcem! – wykrzyknął Artis, zrywając się z krzesła i rzucając łyżkę na stół, kiedy bunt przeważył nad strachem. – A ty nawet nie jesteś moim prawdziwym wujem.

– Artisie! – skarciła go Kerran z rzadkim marsem gniewu na czole. Ona też wstała i rzuciła znaczące spojrzenie w stronę Aluma. – Mamy gościa.

– A ty nie jesteś moją matką! – wrzasnął Artis i pobiegł do drzwi. – Moja matka umarła, pamiętacie?

Gdy trzasnęły za nim drzwi, w jadalni zapadła ciężka cisza.

– Powinna go pani wysłać do górskiej chaty – zwrócił się Alum do Kerran. Wyglądał na nieporuszonego incydentem i nadal jadł zupę, ze smakiem oblizując usta. – Kiedyś byłem niegrzeczny wobec babci, więc ojciec wysłał mnie w góry na całe lato, tylko z nożem, bez jedzenia i wody. Jadłem węże i skorpiony. – Zaśmiał się nostalgicznie i wziął do ust następną łyżkę zupy. – Albo można go po prostu zbić.

– To jest myśl – mruknął Vaelin, czym ściągnął na siebie twarde spojrzenie Kerran.

To, co się wydarzyło między nimi, było krótkim romansem, zrodzonym z samotności w miesiącach po zakończeniu wojny, kiedy nieobecność tych, których utracili, była jeszcze świeżą i krwawiącą raną. Oboje zdawali sobie sprawę, że związek nie przetrwa. Choć stali się sobie bliscy, ich uczucie nie

było z rodzaju tych, które przeradzają się w coś trwałego. Skończyło się po przyjacielsku, na jej naleganie. Ona zrzuciła winę na drobny skandal i rodzące się plotki, wywołane przez ich mało dyskretne nocne spotkania, choć Vaelin wiedział, że to tylko pretekst. Przez cały ten czas żałobne wstążki ani na chwilę nie zniknęły z jej strojów. Mimo to pięć lat później Kerran nadal cieszyła się swobodą, na którą Lord Wieży nie pozwalał innym.

– Może lepiej by się zachowywał, gdyby jego wuj spędzał więcej czasu z rodziną, zamiast bez końca przeczesywać kraj, żeby powiesić więcej wyrzutków – powiedziała.

– On tęskni do domu – odezwała się Lohren cichym głosem, z nieobecną miną mieszając prawie nietkniętą zupę. – Nasi wszyscy przyjaciele są w Point. Cara uczy w szkole teraz, kiedy taty nie ma. Jest twarda, ale dobra i oni ją kochają, a wtedy serce mniej ją boli. Tęskni za Lorkanem, choć tego nie powie, nawet sobie samej.

Kerran popatrzyła na bratanicę z nagle pobladłą twarzą.

– Znowu to robisz – stwierdziła szeptem. – Mówiłaś, że to się więcej nie powtórzy.

– I tak jest, przeważnie. Ale czasami to wraca. Nie mówię ci, kiedy to się dzieje, ale wujek Vaelin musi coś wiedzieć.

Lohren uniosła twarz i posłała Vaelinowi nikły uśmiech. Oczy miała teraz szeroko otwarte i niemrugające. On wiedział, że dziewczynka nie widzi ani jego, ani niczego w tym pokoju.

– Zeszłej nocy śnił mi się wilk. Był bardzo duży i bardzo piękny. I stary. Bardzo stary. Pokazał mi dużo rzeczy. Jedną z nich był mężczyzna, też stary, ale nie tak stary jak wilk. Miał wiele twarzy i wiele żyć. Robił dużo rzeczy. Przeszedł długą drogę, wujku. Ma ci coś do powiedzenia. – Na gładkim czole Lohren pojawiła się zmarszczka, po drobnej twarzy przemknął cień. Gdy zamrużyła, po jej policzku stoczyła się łza. – Ale najpierw musi zabić ludzi.

Wilk. Minęło dużo czasu, odkąd go widział, ale wspomnienie było tak ostre i wyraźne, jakby zaledwie przed chwilą potężne wycie w Wielkim Północnym Lesie wezwało Seordahów na wojnę przeciwko Volarianom. Przez jego umysł przetoczyły się obrazy wszystkich innych spotkań. Srebrnoszary piękny drapieznik zlizujący krew z pyska tamtego pierwszego razu w Lesie Urlish, kiedy wilk uratował go przed zabójcami. Jego warczenie w Martishe, które sprawiło, że cofnął się przed morderstwem. Za

murami Linesh w czasie wojny alpirañskiej, gdy zwierzę wezwało burzę piaskową, która uratowała jego, ale nie Dentosa. „Powiedział, że powinniśmy nasłuchiwać zewu wilka”, Nortah usłyszał we śnie słowa martwego człowieka. Vaelin dobrze wiedział, że to wycie często przynosi ratunek, ale również śmierć.

– Gdzie? – Ukucnął obok Lohren i położył dłoń na jej ramieniu. – Kiedy?

– Wieża – odpowiedziała dziewczynka, a on poczuł jej drzenie. – Teraz. – Dreszcz nagle zmienił się w konwulsje, twarz straciła kolory, Lohren wyraźnie walczyła z mdłościami. – Jego część... – Skrzywiła się spazmatycznie. – Ktoś, kim kiedyś był... chce znowu spotkać córkę. To była radosna niespodzianka, że ją tutaj znalazł. Nie mógł jej zabić, kiedy żył. I zawsze tego żałował.

Ktoś, kim kiedyś był... jego córka...

Vaelin odsunął się od Lohren, zdjął miecz z oparcia krzesła i pobiegł do drzwi. Zrozumienie zaświtało w jego umyśle z całą mocą. Ellese!

\*\*\*

Vaelin zatrzymał konia na dziedzińcu, zeskoczył z siodła i popędził do stajni. Dobył miecza i zmusił się do spokojnego marszu, zanim wszedł do mrocznego wnętrza, nadstawiając uszu na każdy inny dźwięk poza parskaniem wielu spłoszonych koni.

– Ellese! – zawołał, idąc w głąb stajni. – Pokaż się!

– Wujku?

Odwrócił się i zobaczył jej sylwetkę w drzwiach. Na nieodziane ciało miała zarzucony koc, na twarzy malowały się uraza i gniew. Za nią Vaelin dostrzegł postać Sehmona Veka, gorączkowo naciągającego spodnie.

– Ubierz się – rzucił szorstko.

– Choć doceniam twoją troskę – powiedziała Ellese z westchnieniem – nie możesz mi rozkazywać...

– Ubieraj się! – Vaelin ruszył w jej stronę.

Dziewczyna zamrugnęła i cofnęła się, a jej wzrok pomknął do miecza w ręce Vaelina. Gniew zgasł, a ona ze zrozumieniem pokiwała głową.

– Oczywiście.

Do stajni wpadł sierżant Gwardii Północnej, który dowodził nocną wartą, a za nim dwaj gwardziści z toporami.

– Kłopoty, milordzie? – zapytał.

Za żołnierzami pojawił się Alum, oddychając ciężko. Nie był doświadczonym jeźdźcem, więc Vaelin wyprzedził go w pędzie do wieży.

– Ty – zwrócił się Vaelin do jednego z gwardzistów i wskazał Moreskę. – Daj temu człowiekowi swój topór.

– Tak, milordzie.

– Sierzancie, proszę obudzić lorda Orvena i cały garnizon. W wieży jest intruz. Przeszukać ją od góry do dołu.

Sierżant, weteran po wielu latach służby, zawahał się jedynie na krótką chwilę, po czym zasalutował i odwrócił się, żeby wydać stosowne rozkazy.

– Co się dzieje? – zapytała Ellese.

Vaelin zobaczył, że jest teraz mniej więcej ubrana i szybko sznurowuje buty.

– Masz broń?

– Zawsze.

– To dobrze. Weź ją.

– Proszę wybaczyć, milordzie. – U boku Ellese pojawił się Sehmon Vek i ukłonił się nisko. Głos miał pełen napięcia, paniki i skruchy. – Jeśli w jakikolwiek sposób uraziłem...

– Och, zamknij się! – warknęła Ellese. Zapięła pas z dwoma nożami do polowania, jednym długim, drugim krótkim. – Proszę. – Wręczyła mu krótszy nóż. – Przydaj się na coś.

– Trzymajcie się blisko – polecił Vaelin, kierując się z powrotem na dziedziniec.

– Dokąd idziemy? – spytała Ellese, nasadzając strzałę na łuk.

Usłyszał słowa Lohren. „Przeszedł długą drogę”.

– Musimy sprawdzić naszych gości.

\*\*\*

Ambasador Kohn miał przynajmniej szybką śmierć. Leżał na obszernym łożu w dużej komnacie zarezerwowanej dla najbardziej znamienitych gości. Jego stalowa broda była zaplamiona na czerwono, pościel po obu stronach przesiąknięta świeżą krwią.

Pojedyncze cięcie, stwierdził Vaelin, odsuwając na bok brodę zabitego, żeby spojrzeć na ranę, niemal chirurgiczne, jednocalowe nacięcie głównej tętnicy szyjnej. Członkowie świty nie mieli tyle szczęścia. W pokoju leżało ich czterech, każdy nosił na ciele ślady co najmniej trzech pchnięć nożem. Krew zbryzgała ściany, ogólny nieporządek świadczył o gwałtownej walce.



– Wszystko stało się bardzo szybko – zauważył Alum, wodząc wzrokiem po scenie masakry. – Starzec został zabity pierwszy, pewnie na oczach pozostałych. – Stopą trącił rękę jednego z zabitych sług, obejmującą rękojeść noża. – Żadnej krwi na ostrzu. Próbowali walczyć, ale na nic im się to zdało.

– Nie ma go tutaj – powiedziała Ellese, przechodząc od jednego trupa do drugiego, z twarzą zastygłą w napięciu. – Tego z bliźną. – Wyprostowała się i odwróciła do Vaelina. – On mnie znał. Zauważyłam to... nie zauważyłam. To on, prawda?

– Tutaj, milordzie! – zawołał lord Orven z sąsiedniej komnaty.

Znalazł go przykucniętego nad zakrwawionym, ciężko oddychającym Gianem. Kolejni trzej słudzy leżeli niedaleko, wszyscy martwi. Generał mocno ścisnął miecz w garści. Vaelin dostrzegł czerwoną plamę na ostrzu.

– Ranił go pan? – spytał w chu-shin, kucając przy nim.

– Noga... – wykrztusił Gian. Temu słowu towarzyszyła krwawa piana. Zadrżał i wydał z siebie okrzyk pełen wściekłości i rozpacz. – Znałem go... odkąd był chłopcem... praktycznie wychowałem łotra...

– Proszę posłać po brata Kehlana – polecił Vaelin Orvenowi. – Zabójca jest ranny w nogę. Niech strażnicy wypatrują śladów krwi i niech spuszcza psy.

– Tak, milordzie.

– Zaczekajcie... – jęknął Gian, wypuścił miecz i chwycił za płaszcz Vaelina, kiedy ten ruszył do drzwi. – Broń...

– To sprawa na inną porę, panie – przerwał mu Vaelin.

Próbował uwolnić się od ręki Giana, ale wojownik go nie puszczał, tylko patrzył w górę błagalnym, gorejącym wzrokiem.

– Potrzebujemy jej... – Gian znowu się wyprężył, a z jego ust trysnął na kamienną podłogę gęsty czerwony strumień. Ranny wciągnął powietrze i mówił dalej, walcząc z bólem. – Oni nadchodzą, tysiące, tysiące sukinsynów...

– Kto? – Vaelin schylił się, kiedy głos generała przeszedł w urywany szept. – Kto nadchodzi?

Słowo zabrzmiało jak chrapliwy, wilgotny syk, a Vaelin zobaczył znajomy mrok wkradający się do oczu Giana.

– S... Stahlhast. – Do spojrzenia utkwionego w Lordzie Wieży wrócił krótki rozbłysk życia. – Idą po nas... potem po was... potem po wszystko...

– Generale?

Oczy Giana nadal się w niego wpatrywały, ale blask zgasł, a ręka wypuściła płaszcz.

– Generale Siódmej Kohorty Czcigodnej Armii – wyszeptał Vaelin, zamykając zmarłemu oczy. – Sądzę, że zasłużyłeś na lepszy koniec.

– Krew! – zawołał z korytarza Alum.

Vaelin rzucił ostatnie spojrzenie na ciało generała i opuścił komnatę. Znalazł Moreskę przykucniętego nad małym czerwonym rozbryzgiem na kamieniach podłogi.

– Przewiązał ranę – stwierdził Alum, przesuwając palcami po jeszcze mokrej krwi. – Był tutaj parę chwil temu. – W skupieniu ściągnął brwi i wstał. Wyjął pochodnię z żelaznego uchwytu. – Dziwne – mruknął, oświetlając podłogę i ściany.

– O co chodzi? – zapytał Vaelin.

– Krew, jak spadająca gwiazda. – Alum wskazał na pojedynczą, wydłużoną kroplę na ścianie. – Wygląda jak ślad zostawiony przez ранego geparda. A z pewnością człowiek nie potrafi poruszać się tak szybko.

– To nie jest tak naprawdę człowiek – powiedział Vaelin i ruszył za Alumem na koniec korytarza, gdzie zaczynały się schody do zachodniej wieży.

W blasku pochodni ukazało się więcej krwi na stopniach prowadzących w niższe partie wieży, ale żaden trop nie biegł w górę.

– Zaczekaj – powiedział Moreska, kiedy Vaelin ruszył w dół. – Żadnych więcej spadających gwiazd, widzisz? – Jego pochodnia zatańczyła na serii małych okrągłych kropek.

– To na pewno fałszywy trop, milordzie.

Vaelin spojrzał w górę i zobaczył Sehmona stojącego obok Ellese.

– Naprawdę?

Młodzieniec zbladł odrobinę, ale wyprostował się, znajdując w sobie odwagę, żeby wytrzymać wzrok Lorda Wieży.

– To stara sztuczka – powiedział. – Nauczyłem się jej dawno temu. Ludzie zawsze spodziewają się, że uciekinier będzie szedł w dół. – Wskazał głową na schody po lewej stronie. – Kiedy zwykle lepiej jest iść w górę. Dachy to przyjaciele wyjętych spod prawa.

Vaelin skinął na dwóch gwardzistów, żeby podążyli za śladem biegnącym w dół, a sam ruszył na górę, przeczesując wzrokiem kamienie w poszukiwaniu krwi. Zatrzymał się w drzwiach do odkrytego chodnika nad koszarami Gwardii Północnej, ale nie dostrzegł niczego interesującego.

Już miał iść dalej, kiedy Alum zatrzymał go, dotknąwszy jego ramienia, wszedł do pasażu i przesunął dłonią po kamieniach niskiego parapetu.

– Tutaj – powiedział, unosząc rękę i pokazując małą kroplę krwi na palcu. – Jeszcze świeża.

– Więc gdzie...?

Vaelin przebiegł wzrokiem chodnik. Drzwi prowadzące do strzeżonej zapasowej zbrojowni były wyposażone w nie mniej niż pięć zamków. Na ścianie u góry nie było żadnych uchwytów dla rąk i nóg, na dole również.

– Wujku – szepnęła Ellese.

Gdy Vaelin się odwrócił, zobaczył jej uniesione brwi i wzrok skupiony na czymś w dole. Idąc za jej wzrokiem, ujrzał jedynie ciemne skosy dachu koszar. Wieżę wypełniały okrzyki gwardzistów i podniecone ujadanie ogarów. W migotliwym blasku licznych pochodni jeszcze trudniej było odróżnić obiekt zainteresowania Ellese. W końcu Vaelin wypatrzył małą postać przycupniętą blisko zachodniego krańca dachu, nieruchomą jak posąg, ale bez wątplenia ludzką. Koszary znajdowały się wewnątrz murów twierdzy, ale przerwę między dachem a zewnętrznymi blankami łatwo mógł przeskoczyć nawet człowiek nieobdarzony szybkością zrodzoną z Ciemności.

– Potrzebuję go żywego – uprzedził Vaelin, kiedy Ellese sięgnęła po łuk. Gdy lotki strzały musnęły jej policzek, usłyszał radosne oczekiwanie w jej głosie:

– Ja też.

Cień poruszył się w tym samym momencie, w którym dziewczyna wypuściła strzałę, i zmienił się w rozmazaną plamę w drgającym blasku pochodni. Ellese zaklęła, kiedy jej pocisk odbił się od dachówek. Natychmiast nasadziła na cięciwę drugą strzałę z szybkością i wprawą godną najlepszych łuczników. Poruszając się o wiele szybciej niż człowiek, cień przemknął po szczycie dachu i skoczył w chwili, gdy znowu świsnął łuk Ellese. Tym razem strzała trafiła w cel, niewyraźna postać zwolniła w powietrzu, uderzyła w zewnętrzny krenelaż i jak kamień spadła na ziemię.

Vaelin wskoczył na parapet i oparł się impulsowi, żeby dać susa na dach koszar. Wiedział, że jedyne, co by osiągnął, to złamane nogi. Zamiast tego złożył dłonie przy ustach i ryknął do gwardzisty stojącego na dziedzińcu:

– Wypuścić ogary za bramę! Dopilnować, żeby go nie zabiły!

Odwrócił się i zeskoczył na łącznik. Następnie zbiegł po schodach, wypadł na dziedziniec i podążył za szczekaniem, aż zobaczył sforę renfaelskich psów myśliwskich, wysokich prawie na metr, o długich pyskach i silnych szczękach. Stado okrężało niewyraźny, miotający się kształt. Ogary rzucały się do przodu, próbując ugryźć zdobycz, ale bez wyraźnego sukcesu. Vaelin zobaczył, że trzy zostały wyrzucone w powietrze z dużą siłą i upadły kilka jardów dalej z bolesnym skomleniem. Jednakże całe stado liczyło pięćdziesiąt zwierząt, zawziętych i niezmordowanych.

Zbliżając się, Vaelin zauważył, że kształt robi się mniej zamazany i przybiera ludzką postać. Człowiek jeszcze kilka razy stał się niewyraźny i wyrzucił w powietrze kolejne dwa psy, ale nagle cztery ogary do niego doskoczyły i zacisnęły zęby na jego kończynach.

– Spokój! – zawołał sierżant Jolna, kiedy stado otoczyło ofiarę.

Człowiek szarpał się z bólu, gdy coraz więcej zębów wbijało się w jego ciało. Jolna zajmował stanowisko królewskiego łowczego od wielu lat i wychował te psy od urodzenia. Kuliły się, kiedy między nimi szedł, smagając trzcinką powietrze. Wściekłe warczenie powoli cichło i przechodziło w gardłowy pomruk, choć ogary nie puściły zdobyczy.

– Wybacz, panie – powiedział Jolna do Lorda Wieży. – Dzisiaj naprawdę wrze w nich krew. Nieczęsto mają okazję polować wszystkie jak teraz.

– Wykonały dobrą robotę, sierżancie – pochwalił go Vaelin.

Spojrzał na zabójcę. Psy się rozstąpiły, kiedy podszedł bliżej. Z ramienia mężczyzny sterczał ułamany kikut strzały Ellese, wokół uda był mocno owinięty zakrwawiony bandaż. Ranny zadrżał pod wpływem bólu, a kiedy uniósł twarz, Vaelin zobaczył, że pokrywa ją gruba warstwa krwi. Zauważył, że najgrubsza jest wokół oczu i nosa, co stanowiło wyraźny znak długiego używania daru. Mimo krwi Vaelin dostrzegł również bliznę na czole.

– Bracie... – Zabójca skrzywił się i posłał Vaelinowi szeroki uśmiech. Jego zęby zaśniły w półmroku bielą i czerwienią. – Za dużo czasu minęło.

Jego wzrok pomknął ku Ellese, która stanęła przy sforze i wpatrywała się w zabójcę z blizną. Mimo niedawnego wysiłku jej twarz była pozbawiona koloru i wyrazu.

– Moja ukochana córka – powiedział ranny. – Tęskniłaś za mną?

Ellese ruszyła się zbyt szybko, żeby Vaelin zdążył ją powstrzymać. Psy rozpierchły się, kiedy zaatakowała z okrzykiem furii. Trzask jej pięści

lądującej na twarzy zabójcy przypomniał Vaelinowi dźwięk młota uderzającego w twarde kamień. Udało mu się złapać ją za nadgarstek, kiedy odchyliła ramię do tyłu, szykując się do następnego ciosu. Objął ją i unieruchomił.

– Jestem mu to winna! – Ellese szarpała się w jego objęciach i kopała nogami. – Za to, co zrobił mojej matce! Za to, co zrobił mnie!

– Wiem. – Vaelin przytulił ją mocniej, aż przestała walczyć i zaczęła szlochać. – Dostaniesz to, co ci się należy, obiecuję – wyszeptał i pozwolił jej osunąć się na kolana, po czym skierował wzrok z powrotem na zabójcę. Ten zwisał bezwładnie, trzymany zębami przez ogary. Krew ciekła z jego pochylonej głowy. – Ale najpierw muszę usłyszeć, co on ma mi do powiedzenia.

Skinął głową Jolnie.

– Sierzancie, powiedz bratu Kehlanowi, że ma następnego pacjenta. I przynieś łańcuchy. Najcięższe, jakie znajdziesz.

## Rozdział piąty

Ellese ustawiła się pod drzwiami celi i odmówiła odejścia, podczas gdy brat Kehlan opatrywał rany jeńca.

– Powinnaś spać – stwierdził Vaelin, czym zasłużył sobie na jej miażdżące spojrzenie.

– A ty byś mógł? – zapytała. – Wiedząc, że ta istota nadal żyje i jest w tej wieży. – Jej głos przeszedł w świszczący syk, kiedy patrzyła przez szparę w drzwiach celi. – Mógł przybrać inną twarz, mówić innym głosem, ale ja teraz widzę ten uśmiech. Nosił go w dniu, w którym zabił moją matkę.

Vaelin odsunął ją na bok, żeby zajrzeć przez szparę. Mężczyzna przykuty do ściany posłał bratu Kehlanowi uśmiech wdzięczności, kiedy ten skończył wiązać bandaż na jego rannym ramieniu. Podobnie jak Ellese, Vaelin też już kiedyś widział ten uśmiech na twarzy Barkusa, kiedy maska w końcu opadła i ujawniło się całe zło sługi Sojusznika. Przez lata ta istota nosiła postać jego brata niczym płaszcz, oprócz wielu innych: ojca Ellese, który spiskował z czczącymi boga fanatykami, żeby doprowadzić do upadku Cumbrael; ślepego szamana, przez którego Ludzie Niedźwiedzie omal nie wymarli; volariańskiego niewolnika, który zabrał mu Dahrenę.

Ile razy, zastanawiał się, będę musiał go zabić, by wreszcie przestać czuć, że morduję własnego brata?

Brat Kehlan wyszedł z celi niedługo później. Jego szczupłe rysy zastygły w wyrazie pogardy i ciekawości.

– Muszę stwierdzić, milordzie, że on wydaje mi się dziwnie uprzejmy – powiedział. – Zważywszy na jego... naturę.

Vaelin nigdy nie zdradził Kehlanowi szczegółów śmierci Dahreny. Uzdrowiciel kochał ją jak córkę, więc lepiej było mu tego oszczędzić, a teraz Vaelin był sobie wdzięczny za tamten impuls. Gdyby Kehlan wiedział, że istota z celi jest odpowiedzialna za jej śmierć, nie leczyłby go, niezależnie od przykazań Piątego Zakonu, które wymagały, żeby z równą starannością dbać o wszystkich w potrzebie.

– Przeżyje? – zapytał Vaelin.

– Jeśli będzie miał należytą opiekę – odparł brat. – Najwyraźniej jednak jest przekonany, że nie dożyje następnego świtu i że jego agonia będzie długa. Czy tak się stanie, milordzie?

Ellese zachichotała.

– Będzie miał szczęście zobaczyć południe, nie mówiąc o świcie.

Kehlan z irytacją zacisnął zęby, ale patrzył na Vaelina.

– Milord jest w pełni świadomy moich zastrzeżeń co do tortur...

– Twoje współczucie jak zawsze przynosi ci chlubę, bracie – przerwał mu Vaelin, klepiąc go po ramieniu. – Bądź spokojny, że takie środki nie będą tutaj konieczne.

Sięgnął do drzwi i zatrzymał się, kiedy Ellese podeszła do niego szybko.

– Nie – uciął twardym tonem, kręcąc głową.

Ellese spojrzała na Kehlana, po czym nachyliła się do wuja i przypomniała mu ochryplym szeptem:

– Złożyłeś mi obietnicę.

– I jej dotrzymam. Ale nie teraz. Zaczekaj tutaj.

Po wejściu do środka odprawił dwóch gwardzistów. Jasne, gniewne oczy Ellese łypiące na niego przez szparę zmrużyły się z oburzeniem, kiedy zamknął drzwi celi. Na jego polecenie wcześniej przyniesiono tu dwa krzesła. Człowiek z blizną siedział na jednym. Grube łańcuchy biegły od kajdan na jego nadgarstkach do uchwyty w ścianach.

– Nazywali cię Posłańcem, o ile sobie przypominam – zaczął Vaelin, zajmując drugie krzesło. – Ale wydaje mi się, że nigdy nie poznałem twojego imienia. Prawdziwego imienia.

Łańcuchy zagrzecotały, kiedy człowiek z blizną poprawił się na krześle i spojrzał na Vaelina ze spokojną obojętnością.

– Wiedźma, która sprowadziła cię na ten świat, musiała jakoś cię nazwać – ponaglił go Vaelin. – Wszystkie potwory mają imiona.

Patrzył uważnie na twarz mężczyzny, mając nadzieję, że jego słowa sprowokują go do jakiejś reakcji. Zamiast tego zobaczył jedynie lekkie rozbawienie zabarwione goryczą.

– Przepadło – odparł Posłaniec, a łańcuchy znowu szczęknęły, kiedy wzruszył ramionami. – Przez lata nie miałem ochoty go sobie przypominać, a teraz nie potrafiłbym, nawet gdybym próbował. To, co tutaj widzisz... – skrzywił się, uniósłszy zakuty nadgarstek do twarzy – to tylko pozostałość.

– A co z jej imieniem? – zapytał Vaelin.

Na twarzy Posłańca odmalowało się szczere zdumienie.

– Czyje?

– Twojej matki. Mogłeś zapomnieć swoje, ale kto zapomina imię matki?

Łańcuchy napięły się i zagrzechotały, kiedy Posłaniec rzucił się do przodu, a jego twarz nagle przemieniła się w czerwoną maskę.

– Nie jestem tutaj, żeby rozmawiać o mojej przeklętej matce! – zawarczał.

Vaelin ujrzał teraz moc jego daru w tym, jak zawibrowało mu ciało, a ręce zaczęły poruszać się tak szybko, że wywołały podmuch w celi i szum niczym dwie gigantyczne pszczoły.

Spojrzał w rozwścieczone oczy więźnia i uśmiechnął się.

– Jest wiele ksiąg w tutejszej bibliotece. Zbierałem je od wojny. Rola Lorda Wieży zapewnia sowite wynagrodzenie, ale moje potrzeby są małe, więc większość pieniędzy wydaję na książki. Zwłaszcza na te, które dotyczą starych historii. Nie powinno cię zaskoczyć, że pojawiaasz się tu i ówdzie w różnych wcieleniach. „Opowieść o bękarcie wiedźmy” jest stara i wiele razy się zmieniała.

Z rozdętych nozdrzy Posłańca wyciekła strużka krwi, spłynęła po drżących wargach, a on całym ciałem napierał na okowy.

– Ale im dalej cofam się w czasie, tym prostsza staje się ta opowieść – ciągnął Vaelin. – Zgwałcona kobieta urodziła dziecko, a ono wyrosło na istotę złą i morderczą. Niestety nie znalazłem nigdzie jej imienia ani twojego. Dziwne, kiedy się pomyśli, że ludzie o takim znaczeniu w historii nie pozostawiają po sobie żadnych świadectw oprócz opowieści zmieniającej się z każdym mijającym rokiem. Podczas gdy ty trwasz jak plama, która nigdy się nie spiera.

Ręce Posłańca jeszcze raz zatrzepotały i znieruchomiały, a on osunął się na krzesło. Pokręcił głową i z ust wyrwał się mu cichy śmiech.

– To cała męka, którą dla mnie masz? Muszę powiedzieć, że spodziewałem się więcej.

Vaelin posłał znaczące spojrzenie w stronę drzwi.

– Na zewnątrz czeka młoda kobieta, która chętnie spełni twoje oczekiwania. Mam ją zaprosić?

– A, tak. Moja mściwa córka. Naprawdę myślisz, że to jest jakakolwiek groźba? Wiem, że nigdy nie pozwolisz jej skalać duszy torturami ani nie musisz tego robić. Zadaj, jakie tylko chcesz, pytanie, a ja odpowiem szczerze.



Vaelin powstrzymał się przez okazaniem nagłego gniewu, zrodzonego ze świadomości, że władza w tym spotkaniu przeszła w ręce więźnia. Posłaniec nie bał się bólu, nie martwił się o udreki, które mogła zadać mu Ellese, nawet gdyby Vaelin na to pozwolił. Dłonie go zaświerzbiły, ale zwalczył pokusę, by zacisnąć je w pięści i przywołać obraz twarzy Dahreny, kiedy będzie tłukł tę istotę, aż jej ciało stanie się miazgą z kości i ciała.

– Nie kłamie, bracie – zapewnił Posłaniec z głową przekrzywioną w geście, który świadczył, że bez trudu odczytuje zmianę nastroju Vaelina.  
– Pytaj, a ja odpowiem.

Lord Wieży splótł dłonie i odchylił się na oparcie krzesła.

– Dobrze. Jak się tutaj znalazłeś? Mówiono mi, że ciało, które ostatnio zamieszkiwałeś, zginęło w Alpirze lata temu. Zaświaty są podobno pułapką dla twojego rodzaju, a ono umarło w Sojuszniku pod koniec wojny wyzwolenczej. Byłeś niewolnikiem Sojusznika utrzymywanym na tym świecie tylko dzięki jego woli. Kiedy on został zabity, nic już nie powinno cię tutaj trzymać.

– Zaświaty – powtórzył więzień głosem zabarwionym nutą pogardy zmieszanej z litością. – Nigdy naprawdę tego nie rozumiałeś, prawda? Co to jest. Co to naprawdę znaczy.

– Sojusznik mówił, że to strup na ranie.

– Dość barwny opis, ale on zawsze był pretensjonalnym sukinsynem. Nie mogę powiedzieć, żebym za nim bardzo tęsknił. Tak – dodał, widząc błysk niepokoju w oczach Vaelina – w przeciwieństwie do mnie on odszedł na zawsze. Jeśli chodzi o Zaświaty, nie jest to coś, co można zniszczyć naprawdę, a jedynie... przerwać, zakłócić na jakiś czas. Właśnie tego dokonałeś. To nie więcej niż fałda na tkaninie, która łączy ten świat... z czymś innym. – Umilkł na chwilę, a po jego posiniaczonej twarzy przemknął cień. – Nie zrozum mnie źle. To, co było zaledwie zmarszczką w Zaświatach, spowodowało wielki ból w duszach, które musiały wszystko znieść. Niektóre wymknęły się w błogosławioną ulgę pustki, inne rozpadły się na kawałki, tak że pozostały po nich zaledwie oszalałe strzępy, dręczone wspomnieniami tego, czym były. Taki los spotkał mnie, bracie. Właśnie to mi zrobiłeś i było to dużo gorsze niż jakakolwiek tortura, którą ty albo ta mała suka moglibyście wymyślić. Teraz wiem, że to trwało lata, ale wydawało się, że wieczność. Czas jest podatny w Zaświatach, rozciąga się albo kurczy na pozór przypadkowo. Wyobraź sobie, że krzyczysz przez całą

wieczność, Vaelinie. A potem wyobraź sobie, że coś cię znajduje, zbiera wszystkie kawałki, które z ciebie zostały, i składa je z powrotem. Nie w całość, już nie. Ale znowu tworzy Pośłańca.

Do Vaelina wróciły ostatnie słowa Sojusznika, jego udęczone, przerażone oczy, kiedy wpatrywał się w czarny kamień. W następnych latach Vaelin często myślał o tym, ile niezgody i rzezi spowodowała tak niepozorna rzecz. Była misternie wyciosana, ale pozbawiona wszelkich ozdób: żadne starożytne, nieodczytywalne pismo nie znaczyło jej powierzchni, żaden piktogram, który mógłby stanowić wskazówkę co do kryjącej się w niej mocy. Przez wieki stała w swojej komorze pod wielką areną Volaru, ukrywana przez służby zakazanych volariańskich bóstw i uważana przez nich za boską. Wszystko zaczęło się od tego prostego, nieozdobionego cokołu z czarnego kamienia, od jednego dotyku dłoni Sojusznika w dawno minionych dniach, kiedy on żył jeszcze we własnym ciele. Potem był głodny darów, które się kryły w kamieniu, ale kwilił jak dziecko na samą perspektywę położenia na nim ręki jeszcze raz.

„Kiedy go dotknąłem”, mówił z wilgotnymi i szeroko otwartymi oczami, które błagały o litość, choć wiedział, że ona nigdy nie nadejdzie. „Kiedy dostałem swój dar, zajrzałem w tamten świat... i coś na mnie spojrzało, coś ogromnego i głodnego”.

Sojusznik był starą duszą, dostatecznie złą, zdeterminowaną i rozumną, żeby nagiąć całe Imperium Volariańskie do swojej woli i wykorzystać je, by doprowadzić świat na skraj zagłady, ale kiedy zobaczył ten czarny kamień pod areną, stał się żaloszny w swoim przerażeniu.

– Co to było? – zapytał.

Posłaniec patrzył na niego w milczeniu przez jakiś czas. Jego twarz była teraz dziwnie pogodna, na pozór pozbawiona nienawiści. Ale kiedy znowu się odezwał, Vaelin rozpoznał znajomą nutę zła.

– Nie wiesz – powiedział więzień, pochylając się. – Nie wiesz, co zrobiłeś, kiedy zmusiłeś Sojusznika, żeby dotknął tamtego kamienia. Nie wiesz, co obudziłeś. Ale dowiesz się, bracie. To cię zobaczyło, zobaczyło wszystko i stało się jeszcze bardziej głodne.

– Co to jest?

Lekkie wzruszenie ramion i uniesiona brew. Posłaniec odchylił się na krześle.

– Ja tylko wiem, co to potrafi. Nie, czym naprawdę jest. Ale znam jego cel. – Uśmiech zaigrał na jego wargach. – Bardzo dobrze go znam. To

ustawiało figury na szachownicy od bardzo dawna, a pierwsze ruchy już zostały zrobione, takie jak umieszczenie mnie w tej powłoce.

– Po co?

Więzień popadł w milczenie. Vaelin znowu poczuł świerzbienie w rękach. Mógł po prostu wstać, otworzyć drzwi i pozwolić Ellese, by zajęła się tą istotą po swojemu. Słuchanie echa krzyków, podczas gdy oddalałby się stąd korytarzem, sprawiłoby mu wstydliwą satysfakcję, ale musiał jeszcze dużo się dowiedzieć.

– Generał Gian mówił o Stahlhaście. – Wybrał inne podejście. – Kim oni są?

– Jedyne narzędziem – odparł Poślaniec. – Jak ja. Umieszczono mnie w tej powłoce, żebym zdobył zaufanie generała. Nie było to łatwe. Ten bystry człowiek już dawno poznał wartość podejrzliwości. Ale w końcu zdobyłem jego zaufanie, żeby móc szeptać stosowne sugestie do jego ucha. Najpierw zaproponowałem naszą wizytę tutaj ponad rok temu, kiedy Stahlhast najechał górzystą krainę na południowy zachód od stepu. Ale dopiero gdy zniszczyli armię, którą Kupieccy Królowie przeciwko nim wysłali, zaczął mnie słuchać.

– Przekonałeś go, żeby pożegłował przez ocean, tylko po to, żeby zabić go pod moim dachem?

– I w ten sposób zasiać wątpliwości i niezgodę między Dalekim Zachodem i państwem Królowej Ognia. Poza tym, gdybym tego nie zrobił, nie miałbym okazji porozmawiać z tobą znowu, bracie. Widzisz więc, że jestem tutaj po części we własnej sprawie.

Twarz więźnia straciła pogodny wyraz, a Vaelin poczuł się zbity z tropu szczerym żalem, który na niej zobaczył.

– To dziwne – ciągnął Poślaniec głosem, w którym brakowało już zła – ale kiedy cierpiałem w Zaświatach, pozostały przy mnie najdawniejsze wspomnienia. Pamiętam chaos, który wywołałem wśród Ludzi Lodu, wszystkie te lata intrygowania z Synami Prawdziwego Ostrza i... – złośliwość wróciła na krótko, kiedy jego wzrok pomknął ku drzwiom – wszystkie tamte szczęśliwe dni z żoną i córką biednego starego lorda Brahdora. Była to dla mnie przyjemna niespodzianka, że znalazłem ją tutaj z tobą...

Reakcja Vaelina była natychmiastowa i odruchowa. Czerwona mgła zasnuła na chwilę jego wzrok, a kiedy się rozviała, stwierdził, że stoi nad

Posłańcem, a ręka piecze go od potężnego ciosu w twarz. Jeniec splunął krwią i zakaszłał.

– Och, bracie. – Pokręcił głową ze smutnym śmiechem. – Zawsze tak łatwo na tobie grać. Jakby trącać struny mandoliny. Będzie mi tego brakowało.

Vaelin zamknął oczy i wziął głęboki wdech, po czym zmusił się do powrotu na krzesło.

– Dość tego. Jeśli masz mi coś do powiedzenia, mów.

Posłaniec wykaszłał jeszcze trochę krwi, poprawił się na krześle i przybrał zamyśloną minę.

– Jak mówiłem, wiele zapomniałem oprócz ostatnich żywotów, jednego w szczególności, jednego strumienia wspomnień spośród tylu innych, kiedy byłem dużym, bezpośrednim, uczciwym bratem Barkusem i byliśmy ze sobą związani w Zakonie, nas pięciu, braci zjednoczonych przeciwko całemu złu świata. Pojąłem, używając tego marnego rozumu, który mi został, że gdyby Sojusznik nie związał mnie tak całkowicie swoją wolą, pozostałbym w tej powłoce przez tyle lat, ile bym mógł. Wtedy nauczyłem się żalu. Nie doprowadzającego do szaleństwa gniewu z powodu niesprawiedliwości i chęci zemsty, które znałem tak dobrze, ale bólu utraty tych, których się kocha. – Spojrzał na Vaelina ze smutnym uśmiechem. – Boli, prawda? Kiedy jesteś samotny w ciemności, a duchy przychodzą, żeby ci szeptać swoje straszne prawdy. A one przychodzą, prawda, bracie? Wszystkie te liczne, liczne duchy. Kto szepcze najgłośniej? Caenis? Dahrena? Ja?

Czując, że czerwona mgła znowu zasnuwa mu wzrok, Vaelin wstał i podszedł do drzwi.

– Dość tego. Możesz tutaj zgnić. Nie zabiję cię, żeby twój nowy pan mógł cię wsadzić w inne ciało. Proponuję, żebyś spędził lata na kontemplacji swoich niezliczonych zbrodni...

– Sherin.

Cela była mała i pozbawiona ech. Mimo to imię zawisło w powietrzu i zatrzymało rękę sięgającą do drzwi. Vaelin odwrócił się powoli i zobaczył, że Posłaniec patrzy na niego z głową przechyloną z ciekawości, bez śladu okrucieństwa.

– Mówiłem ci, że jestem tutaj we własnym celu. Przybyłem, by dostarczyć swoją ostatnią wiadomość. To moja ostatnia przysługa dla ciebie.

Vaelin podszedł i stanął nad nim, wpatrując się w jego oczy.

– Mów prosto – polecił. – Bo nie mam więcej cierpliwości do zagadek. Co wiesz o Sherin?

– Wiem, że ona teraz mieszka w Czcigodnym Królestwie. Mimo że jest tylko kobietą, została lekarką o wielkiej sławie. Nawet sam król miał powód, by skorzystać z jej talentów. Wiem, że Stahlhast w ciągu najbliższych miesięcy przekroczy granicę, i wiem, że Sherin będzie jedną z pierwszych ofiar, ponieważ naraziła się na wielkie niebezpieczeństwo. Wysłałeś ją na Daleki Zachód, spodziewając się, że będzie bezpieczna. Powinieneś wiedzieć, że na tym świecie nie ma bezpiecznego miejsca. W historii pojawiają się zwycięzcy, ale Stahlhast jest inny. Oni zamierzają odmienić świat i zabijają każdą duszę, która nie pasuje do ich formy.

Vaelin zobaczył, że spojrzenie Posłańca traci ostrość, a jego czoło pokrywa warstwa potu. Kiedy głowa więźnia poleciała do tyłu, chwycił go za twarz i potrząsnął nią, aż jego wzrok odzyskał klarowność.

– Zażyłeś truciznę – stwierdził.

Odpowiedzią było świszczące echo śmiechu.

– Oczywiście, że tak. Wziąłem ją, zanim poderznięłem gardło temu staremu głupcowi Kohnowi. Dobrze obliczyłem dawkę i czas, bracie. Ale mam wprawę w takich rzeczach...

Jego oczy ponownie zmętniały, głowa zrobiła się bezwładna w rękach Vaelina. Lord Wieży potrząsnął nią znowu i nachylił się, żeby wykrzyczeć pytanie:

– Gdzie ją znajdę?! Gdzie jest Sherin?!

– Pojechała leczyć... – wymamrotał Posłańiec – Jadeitową Księżniczkę...

– Wpadł w drgawki tak gwałtowne, że uwolnił się z uścisku Vaelina. Na krótką chwilę życie wróciło mu na twarz. Spojrzał na Lorda Wieży oczami pełnymi strachu, łzy toczyły się po pobladłej skórze. – Nie martw się – wychrypiął, drżąc z wysiłku. Jego skóra robiła się coraz bielsza, w gałkach ocznych rozprzestrzeniała się sieć pęczniejących żyłek. – Nie będzie dla mnie więcej powłok... Tym razem szczątki mojej duszy obrócą się w nicość. Pomyśl... o mnie dobrze, bracie... jeśli potrafisz...

Zamknął powieki, a jego głowa opadła do przodu. Gdy ciało zwiotczało, łańcuchy zabrzęczały po raz ostatni. Vaelin stał w milczeniu i patrzył na zwłoki, podczas gdy przez jego umysł przetoczyła się kawalkada wspomnień. Wszystkie okropieństwa dokonane przez tę istotę, męki, jakie Vaelin wycierpiał z jego rąk. Ta chwila powinna wywołać poczucie

ostateczności, zakończenia eposu zła. On jednak wiedział, że to początek, ponieważ najwyraźniejszym wspomnieniem były nie morderstwa czy okrucieństwa, ale twarz kobiety, którą ostatni raz widział przed dziesięciu laty. Ta twarz była rozluźniona w narkotycznym śnie, kiedy kładł ją w ramiona kamieniarza, jej skóra ciepła, kiedy odgarniał włosy z jej czoła. Mimo późniejszych lat pełnych wydarzeń ten obraz wcale nie zbladł, tak samo jak poczucie winy... Zdrada zawsze jest najgorszym grzechem.

Czy ona mnie nienawidzi? – zastanawiał się. To pytanie dręczyło go od chwili, kiedy śledził wzrokiem odpływający statek. Co zobaczyłby w jej oczach, gdyby się spotkali? Pogardę? Rozpacz? Jakoś wątpił, że byłaby to radość, a jednak ona zawsze miała w sobie więcej współczucia niż inne dusze, które znał. Może wybaczenie?

Powziąwszy decyzję, wyprostował się, podszedł do drzwi i zapukał.

– Spal to – polecił strażnikowi, wskazując głową na Poślańca. – Nie są potrzebne żadne rytuały.

Pomaszerował korytarzem i ruszył w górę po schodach prowadzących na dziedziniec, głuchy na pytania, które za nim wykrzykiwała Ellese. Jakakolwiek będzie reakcja Sherin, kiedy znowu się zobaczą, przyjmie ją jako coś, co mu się należy. Popłynie na Daleki Zachód, odnajdzie ją i zadba o jej bezpieczeństwo, niezależnie od ryzyka i kosztów, ponieważ przynajmniej tyle był jej winien.

## Rozdział szósty

Podobnie jak Północna Wieża, Nehrin Point także rozrósł się od czasów wojny. To, co kiedyś było małym skupiskiem zniszczonych domów, które otaczały płytką zatokę, teraz zmieniło się w sporą osadę. Jednakże w przeciwieństwie do mieszkańców Północnej Wieży tutejsi postanowili zbudować solidny mur obronny.

– To miasto garnizonowe? – zapytał Alum, kiedy wspięli się na niskie wzniesienie pół mili od głównej bramy.

– Nie – odpowiedział Vaelin. – Jedynie dom dla ludzi, których ostrożność jest uzasadniona. – Zrobił pauzę, niepewny, jak wyjaśnić osobliwość tego miejsca. – Mój lud ma pewne określenie. Ciemność. Znasz je?

Alum ściągnął brwi pocięte bliznami i pokręcił głową.

– Zdolność twojej kuzynki – mówił dalej Vaelin. – W Zjednoczonym Królestwie nazwano by ją manifestacją albo chorobą zrodzoną z Ciemności. W ostatnich latach jednak używany jest termin Obdarzeni, nakazany prawem przez królową.

– W szerszym imperium nazywają to Ocienioną Ścieżką – powiedział Alum ze zrozumieniem. – U Moresków nie ma na to nazwy. Ci urodzeni z darem są uważnie obserwowani, bo wiemy, że nie pochodzi on od Stróżów, a nie wiadomo, jak taka moc może wypaczyć serce. – Zmrużył oczy, przyglądając się osadzie. – Wszyscy ludzie tutaj są... Obdarzeni?

– Nie, tylko większość dorosłych i może połowa dzieci.

Moreska poprawił się w siodle. Vaelin zauważył, że towarzysz mocniej ścisnął wodze, a koń pod nim zaczął tańczyć, jakby wyczuł jego niepokój.

– Może wolałbyś spędzić dzień na polowaniu – zaryzykował Vaelin. – Górzysta okolica na północy jest pełna dzikich kóz...

– Kozy! Tak! – Alum wyprostował się i sięgnął po jedną z włóczni, które sobie wybrał ze zbrojowni. – Dałeś mi tę piękną broń. Byłoby obrazą, gdybym w podziękowaniu nie zapewnił mięsa. – Skierował konia na północ i rzekł poważnym tonem: – Jeśli nie wyjdiesz z tego ponurego miejsca w ciągu dwóch dni, bądź pewien, że przybędę ci na ratunek.

Spiął konia ostrogami i pocwałował przed siebie, nie oglądając się na Nehrin Point.

Vaelin galopem zbliżył się do bramy, ściągnął wodze i zsiadł z wierzchowca.

– Panie Rentes – powitał krzepkiego Cumbraelczyka z trzcinką, który wystąpił do przodu, żeby przejąć od niego konia.

– Dzień dobry, milordzie. Mam rozesłać wiadomość o zwołaniu Rady?

– To nie będzie konieczne. Przypuszczam, że pani Cara jest w szkole?

– Tak, milordzie. Ale jeszcze godzina, zanim wypuści małych urwisów.

– Zaczekam. – Vaelin podziękował skinieniem głowy i wszedł do osady.

Kiedy szedł szerokimi ulicami w kierunku szkoły, przypomniało mu się, dlaczego lubił tutaj przyjeżdżać: ludzie zawsze starannie unikali jego towarzystwa. Niektórzy pozdrawiali go cicho albo się kłaniali, po czym śpieszyli w swoją stronę, ale większość po prostu odwracała wzrok i zajmowała się różnymi sprawami. Chroni ich edykt królowej, pomyślał. Ale nadal się mnie boją, choć kiedyś byłem jednym z nich. Przyszło mu do głowy, że powodem ich strachu jest utrata przez niego daru. Może podejrzewali, że takie nieszczęście jest zaraźliwe?

Większość mieszkańców pochodziła ze wszystkich zakątków królestwa, a spora mniejszość z jeszcze dalszych krain. Każdy miał swoją opowieść o prześladowaniach z rąk własnego ludu i dlatego cenił bezpieczeństwo zapewniane przez ten azyl. Oprócz starego zagrożenia, które stanowili nie-Obdarzeni, lata po wojnie przyniosły dodatkowe w postaci Krwawych Rozbójników. Wiedza, że picie krwi Obdarzonych przedłuża ludzkie życie, została utajniona z rozkazu królowej. Mimo to nie udało się zapobiec rozprzestrzenieniu się jej wśród wyższych klas społecznych Większego Królestwa. Kilka band przestępców wzbogaciło się, porywając Obdarzonych, żeby sprzedawać ich krew wybranej klienteli. Każdego przyłapanego na tym procederze natychmiast poddawano egzekucji, ale potencjalne zyski wystarczały, by przewyciężyć strach wyjętych spod prawa. Mur wokół Nehrin Point nie został wzniesiony na pokaz ani nie stanowił przejawu paranoi.

Do tej pory była w Dorzeczach tylko jedna poważna próba porwania. Nastoletni chłopiec i dziewczyna wypuścili się poza mury na nocną schadzkę, ale zostali schwytani przez bandę rzezimieszków. Vaelin załatwił sprawę szybko i z bezlitosną skutecznością, tropiąc bandę z pomocą ogarów. Później wydał rozkaz, żeby ci, którzy nie zginęli w czasie krótkiej



potyczki, przeszli ulicami Północnej Wieży przed egzekucją na placu. Kat dostał polecenie, żeby spektakl trwał tak długo, jak to możliwe. Jednakże Vaelin nie był tak naiwny, by sądzić, że zagrożenie zniknęło, więc garnizon złożony z dwudziestu gwardzistów na stałe stacjonował w Nehrin Point.

Od czasu, kiedy Nortah był tu nauczycielem, oryginalną szkołę, którą zbudował, zamieniono w żłobek dla najmłodszych dzieci. Klasy dla starszych uczniów mieściły się teraz w dużym dwupiętrowym budynku z czerwonego piaskowca charakterystycznego dla Dorzeczy. Obie budowle znajdowały się blisko długiego domu, w którym kiedyś mieszkali Nortah i Sella. Teraz stał pusty, okna miał zabite deskami, na drzwiach łańcuch. Vaelin obrzucił krytycznym okiem dach i stwierdził, że brakuje wielu dachówek. Skrzywił się, myśląc o stanie wnętrza. Bywał tutaj częstym gościem w latach przed chorobą Selli. Już wtedy ujawniło się rosnące upodobanie Nortaha do butelki, a jego wieczorne rozmowy były pełne ponurych rozmyślań o wojnie, które stopniowo przeradzały się w bełkotliwe i potencjalnie niebezpieczne komentarze o naturze ich królowej. Sella, zawsze cierpliwa, znosiła to wszystko ze stoickim spokojem, a Nortah, mimo że większości poranków witał z zamroczoną i bolącą głową, swoje nauczycielskie obowiązki wypełniał z pełną determinacją pilnością. Nowa szkoła była jego pomysłem, opłaconym dzięki darowiźnie od Lorda Wieży. Przez jakiś czas, kiedy nadzorował budowę, pił mniej, ale w połowie prac zachorowała Sella.

„Obiecuj mi”, poprosiła, kiedy Vaelin siedział przy jej łóżku po raz ostatni. Jej twarz była ściągnięta z bólu, gdy robiła znaki dłońmi, nawet wtedy ukrytymi w rękawiczkach. „On jest twoim bratem”, dodała, widząc niechęć, której nie zdołał ukryć. „Obiecuj mi, że nie pozwolisz mu, żeby siebie zniszczył”.

– Milordzie!

Vaelin zamrugał i zobaczył Carę stojącą kilka stóp od niego. Miała na sobie prostą suknię i szal z ciemnej tkaniny, włosy związane, choć kilka niesfornych pasm skręcało się na silnym morskim wietrze. Vaelina uderzył kontrast z tamtą przestraszoną, ale zdecydowaną dziewczyną, która podążała za nim przez lód. Jako jedna z najsłynniejszych Obdarzonych w królestwie cieszyła się dużym szacunkiem w Point, nie mówiąc o autorytecie, choć konsekwentnie odmawiała wejścia do Rady Miasta. W przeciwieństwie do innych mieszkańców zawsze witała Vaelina

z otwartym, szczerym uśmiechem, ale nie dzisiaj. Teraz wyraz jej twarzy stanowił połączenie wymuszonej troski z ostrożnym wyczekiwaniem.

– Caro, już ci mówiłem, że oficjalność nie jest potrzebna, kiedy jesteśmy sami.

Cara zerknęła przez ramię na grupę dzieci wychodzących ze szkoły. Większość śpieszyła się do domu pośród wygłupów i śmiechów, ale kilkoro zwlekało z odejściem i z wyraźną ciekawością przyglądało się Lordowi Wieży rozmawiającemu z ich nauczycielką.

– Zmykajcie! – zawołała do nich Cara z niecierpliwym machnięciem dłonią. – Nie stójcie i nie gapcie się, kiedy wasi rodzice czekają z jedzeniem na stole.

Dzieci natychmiast się rozbiegły, a sądząc po tym, jak zareagowały na jej surowy ton, Vaelin wywnioskował, że sposób nauczania Cary stanowi przeciwieństwo stylu Nortaha. Jego brat zawsze bez wysiłku zdobywał uwagę i szacunek uczniów. Cara najwyraźniej czuła potrzebę bardziej władczego podejścia.

– Masz coś dla mnie, jak sądzę – powiedziała, odwracając się z powrotem do niego i wyciągając rękę.

– Tak. – Vaelin wyjął z kieszeni zwój. – Widać wieści szybko się rozchodzą.

– Plotki są najszybsze, zwłaszcza gdy czyjś mąż zadaje się z dziwką.

Vaelin ukrył grymas, słysząc nutę gorzkości w jej tonie. Patrzył, jak Cara rozwija zwój, czyta go i z satysfakcją kiwa głową.

– A zatem z rozkazu Lorda Wieży zostaję starą panną – stwierdziła z wymuszoną wesołością.

– Byłem pewien, że nie będziesz miała obiekcji. Jeśli jest inaczej...

– Och, nie. – Cara zwinęła zwój w ciasny rulon i schowała pod szal. – Z pewnością nie mam żadnych obiekcji. Wcisnąłeś go do Gwardii Północnej. Założę się, że bardzo mu się to nie spodobało. Perspektywa wojny najprawdopodobniej skłoniła go do wzięcia nóg za pas, tak samo jak perspektywa ciężkiej pracy. Mimo to nie mogę powiedzieć, żebym bardzo rozkoszowała się tą myślą. – Odwróciła się i wskazała skinieniem głowy na szkołę. – Chodź, mam gulasz na ogniu. Nie pozwolę, by mówiono, że Lord Wieży oszedł od moich drzwi z pustym brzuchem.

– Chętnie z tobą zjem – powiedział Vaelin. – Ale najpierw muszę załatwić pewną sprawę. – Skierował wzrok na kawałek plaży za

opuszczonym domem Nortaha. Pośród wydm widział ciemny kształt chaty, ale z jej komina nie leciał dym. – Czy on...?

– Nadal tam jest, nie martw się – zapewniła go Cara z irytacją w głosie. – Wciąż mu powtarzam, żeby przeniósł się do mnie, ale on nie chce. Mówi, że lubi spokój. – Ruszyła w stronę szkoły, rzucając przez ramię. – Spróbuj namówić go, żeby przyszedł i zjadł z nami, dobrze?

\*\*\*

Znalazł Erlina na ganku, zgarbionego nad książką, najwyraźniej głuchego na chrzęst piasku pod butami Vaelina. Siedział przy małym biurku z książką w jednej ręce, podczas gdy w drugiej trzymał pióro, zawieszony w drapieżnym oczekiwaniu nad płachtą pergaminu.

– Lśniaca grzywa złotych włosów! – wykrzyknął z satysfakcją i zaczął skrobać piórem po pergaminie. – Włosy Lakrila były brązowe, ty głupcze.

– Aspekt Dendrish znowu się pomylił, jak przypuszczam? – odezwał się Vaelin.

– To piąty błąd, który znalazłem. – Erlin odchylił się na oparcie krzesła i potarł oczy. – Gdyby nie był martwy, napisałbym do niego bardzo długi list pełen ostrych słów.

– Wątpię, czyby go przeczytał. Nigdy nie przepadał za krytyką.

Erlin powoli odjął rękę od oczu. Lśniła w nich ostrożna ciekawość.

– Nie spodziewałem się ciebie wcześniej niż za kilka tygodni. Musisz się nauczyć kolejnego języka?

– Nie jestem tutaj dla lekcji języka. – Vaelin wziął książkę ze stołu i przeczytał tytuł na grzbiecie: „Szaleństwo i królowie – panowanie króla Lakrila” Dendrish Hendrahla, mistrza Trzeciego Zakonu. – Tym razem chodzi o twój ulubiony przedmiot. Historię.

– Twoja biblioteka jest równie bogata jak moja – zauważył Erlin.

– Nie, jeśli chodzi Daleki Zachód. Do tego potrzebuję ciebie.

– A co w Dalekim Zachodzie tak cię niepokoi?

Ktoś, kogo kochałem...

– Stahlhast – powiedział Vaelin, odkładając książkę. – I Jadeitowa Księżniczka.

Erlin pogłaskał przesadnie bujną brodę. Kiedy zamieszkał na tej plaży, ta broda była czarna i przetykana siwizną, a teraz siwa z coraz mniej licznymi nitkami czerni. Pojawiło się również przygarbienie ramion, którego nie

było rok wcześniej, a Erlin jęczał i masował krzyż, kiedy wstawał od stołu. Vaelin starał się nie patrzeć na jego twarz wykrzywioną w grymasie, ale wiedział, że jest świadkiem spowodowanego przez głębokie poczucie winy szybkiego starzenia się kogoś, kto powinien być wiecznie młody. Stracił dar na moje żądanie, przypomniał sobie Vaelin, a jego poczucia winy nie łagodziła świadomość, że nie miał wyboru. Uwięzienie Sojusznika w fizycznym ciele wymagało naczynia mającego dostateczną moc, żeby wywabić go z Zaświatów, ale cena okazała się wysoka. Człowiek, który chodził po ziemi przez więcej lat, niż on potrafił spać, teraz wiedział, że śmierć jest odległa zaledwie o dekady, jeśli nie rychlejsza. Mimo to wydawał się zaskakująco pogodny i zadowolony z pracy.

– Wiara – wyszeptał Erlin. Przez chwilę masował dół pleców, zanim ruszył do środka. – Zrobię herbatę. To nie jest krótka opowieść.

Wnętrze chaty okazało się jeszcze bardziej wypełnione zwojami niż przy pierwszej wizycie Vaelina przed laty, choć teraz znajdowały się one w znacznie mniej uporządkowanym stanie. Leżały w stosach w każdym kącie, między górami książek, które Erlin wybrał. „Nigdy nie potrafiłem odczytać pisma Harlicka”, brzmiała jego wymówka, gdy oskarżano go o brak szacunku dla poprzedniego mieszkańca chaty. Vaelin podejrzewał, że chodzi raczej o nieprzewyciężoną niechęć do autora, wobec której on sam wykazywał pewne zrozumienie.

– Miałeś sprawdzić jego pracę – przypomniał, siadając przy stole, podczas gdy Erlin nalewał herbatę. – Co kilka miesięcy pisze do mnie listy z pytaniami o twoje postępy. Podobno półki Wielkiej Biblioteki tęsknią za tymi woluminami.

– Mogą jeszcze trochę potęsknić – skwitował Erlin. – Nie moja wina, że Harlick wybrał do transkrypcji najnudniejszy bełkot, prawda?

Przesunął parujący kubek po blacie, usiadł i z brwiami ściągniętymi w zamyśleniu zaczął popijać napar.

– Minęło dużo czasu, odkąd słyszałem wzmiankę o Stahlhaście. Nie mogę powiedzieć, żeby zostawili wyraźny ślad w historii Dalekiego Zachodu.

– Sądzę, że to może się zmienić. – Vaelin opisał wydarzenia kilku ostatnich dni. Nie pominął niczego, rozumując, że z nich dwóch gospodarz ma dużo więcej tajemnic.

– Generał Gian. – Krzaczaste brwi Erlina uniosły się w zdumieniu. – O nim słyszałem. Musiało to być ze dwadzieścia lat temu, ale już wtedy miał doskonałą reputację. Jak sobie przypominam, wsławił się, pokonując

Flotę Czarnej Bandery w czasie wojen z Północnym Sojuszem Piratów, którego to wyczynu nie udało się dokonać tuzinowi jego poprzedników. Nie był to człowiek, którego łatwo przstraszyć.

– Stahlhast wystraszył go dostatecznie, żeby przepłynął Aratheński w poszukiwaniu nowej broni. Kim oni są?

– W zgodnej opinii ludźmi, których lepiej unikać. Jednym z plemion, które zamieszkują Żelazny Step, choć ich zwyczaje są jedyne w swoim rodzaju, a oni podobno różnią się od innych jeździeckich ludów wyglądem i językiem. Nie mogę tego poświadczyć, ponieważ nie widziałem ich na oczy. Ale słyszałem wiele opowieści o ich rytuałach i nie brzmią one przyjemnie.

– Rytuałach? Zatem są wyznawcami boga?

– W pewnym sensie. Mówi się, że czczą Niewidzialnych, kimkolwiek oni są. Istnieją różne klany, zwane skeldami, rywalizujące ze sobą o dominację, ale wszyscy są winni posłuszeństwo kapłanom. – Erlin zamyślił się i napił herbaty. – Czy generał Gian wspomniał, że teraz stanowią zagrożenie dla północnej granicy Czcigodnego Królestwa?

– W ostatnim tchnieniu.

– Jedną rzeczą, co do której zgadzają się wszystkie źródła, jeśli chodzi o Stahlhast, jest ich biegłość w wojennym rzemiośle. Pamiętam, jak jeden oficer kawalerii z Dalekiego Zachodu nazwał ich najdoskonalszymi konnymi wojownikami na świecie.

– Lepszymi od Eorhilów?

– Trudno uwierzyć, wiem. Ale, choć zręczni, Eorhilowie nie mają zbroi i używają niewiele stali. Stahlhast jest znany z jakości swojej zbroi i broni. Niektóre źródła nazywają ich Stalową Hordą. Gdyby komuś udało się ich zjednoczyć, Kupieckie Królestwa czekałyby bardzo trudne czasy.

– Gian uważał, zdaje się, że ich królestwo stoi wobec całkowitej zagłady i że Stahlhast na tym nie poprzestanie. – Vaelin zrobił pauzę i dodał: – Posłaniec też powiedział coś podobnego, zanim umarł.

Erlin odstawił kubek i opuścił wzrok na blat stołu. Po twarzy przemknął mu cień. Wzmianka o Posłańcu w nieunikniony sposób skierowała jego myśli ku Sojusznikowi, myśli, które, jak Vaelin wiedział, Erlin za wszelką cenę pragnął zdusić.

– Przykro mi, ale muszę zapytać – powiedział Vaelin. – Sojusznik. Mówił o czymś, zanim kazałeś mu dotknąć czarnego kamienia. O czymś wielkim i głodnym. Wiesz, co miał na myśli?

Erlin milczał przez dłuższy czas, tak długo, że jego herbata przestała parować, zanim się odezwał.

– Nie, ale pamiętam jego strach przed tym czymś. Wiele jego emocji osłabło przez wieki istnienia, zostało w nim tylko pragnienie, żeby wszystko się skończyło, i przerażenie tym, co zobaczył, kiedy drugi raz dotknął czarnego kamienia. Wspomnienie jest niejasne, zaledwie wirująca mgła doznań, żadnych przyjemnych. Prawdę mówiąc, nie sądzę, by wiedział, co widzi, ale zrozumiał, czego to coś chce.

– Czego chciało?

Erlin wzruszył ramionami i sięgnął po kubek. Skrzywił się, kiedy pociągnął łyk zimnej herbaty.

– Wszystkiego. To chce wszystkiego i nawet wtedy nie będzie nasycone.

– Wstał i podszedł do pieca w drugim końcu chaty. Postawił czajnik na palniku. – Wspomniałeś również o Jadeitowej Księżniczce. – Najwyraźniej chciał zmienić temat.

– Była pewna kobieta – powiedział Vaelin. – Nigdy jej nie poznałeś, ale my byliśmy... bardzo dobrymi przyjaciółmi.

– Siostra Sherin – domyślił się Erlin. – Twoja utracona miłość, pod koniec wojny alpirañskiej wysłana daleko, żeby został jej oszczędzony twój los. Ta historia jest dość dobrze znana.

– Tak?

– Oczywiście. – Erlin zaśmiał się i pokręcił głową. – Niewiele aspektów twojego życia pozostaje nieznanymi. To cena, jaką płacisz za to, że stałeś się legendą, jak przypuszczam.

– W każdym razie Sherin jest lekarką. Posłaniec napomknął, że leczyła Jadeitową Księżniczkę i w rezultacie naraziła się na niebezpieczeństwo.

– Czyli możesz spokojnie zlekceważyć jego słowa. Jadeitowa Księżniczka jest starsza nawet ode mnie. I nigdy nie choruje.

Vaelin uniósł brew, patrząc na siwą brodę Erlina.

– Rzeczy się zmieniają... nawet dla Obdarzonych.

– Nie rozumiesz. Ona jest... inna. Kiedy mówię, że jest starsza ode mnie, nie mam na myśli kilku dekad ani nawet kilku wieków. Znała takie historie. – Spojrzenie Erlina stało się nieobecne, na jego ustach pojawił się lekki uśmiech spowodowany wspomnieniami. – O czasach, zanim powstały miasta, o wielkich bestiach zaginionych z powodu kaprysów czasu i klimatu. O wojnach, królestwach i imperiach, których nazw nikt już

oprócz niej nie pamięta. Przy Jadeitowej Księżniczce jestem niemowłędem. Jeśli Sherin do niej się udała, to nie jako uzdrowicielka.

– Więc po co?

– Ludzie z Dalekiego Zachodu zawsze szukali u niej rady, bo uważają, że jeśli chodzi o mądrość i wnikliwość, ona znacznie przewyższa największych mędrców. Z tego powodu już dawno chowała się w różnych azylach i przenosiła, kiedy jej schronienia w nieunikniony sposób rozsypywały się pod ciężarem czasu. Wysoka Świątynia jest jedynie ostatnim z nich. Leży głęboko w północnych górach Czcigodnego Królestwa i niełatwo do niej dotrzeć. Coś o tym wiem, podróżowałem tam dwa razy. Ale choć to uciążliwe, są tacy, którzy wciąż do niej przybywają w poszukiwaniu mądrości. Może Sherin też to zrobiła. – Zamilkł na chwilę, mierząc Vaelina uważnym wzrokiem. – Widzę, że myślisz, przyjacielu. I nalegam: nie rób tego.

Vaelin wrócił myślami do jadalni Kerran i wizji Lohren. Zeszłej nocy śnił mi się wilk.

– Nie jestem pewien, czy mam wybór – powiedział. – Jeśli ona jest w niebezpieczeństwie...

– Skąd wiesz, że przyjąłaby twoją pomoc? – przerwał mu Erlin. – Po tym, co zrobiłeś?

Przeczesał palcami jej włosy, kładąc ją na rękach Ahma Lina, patrząc, jak statek odpływa... Zdrada zawsze jest najgorszym grzechem.

– Nie wiem – przyznał. – Ale mile widziany czy nie, nie mogę po prostu czekać bezczynnie, nie teraz. I sposób, w jaki Posłaniec mówił o Stahlhaście... Dał jasno do zrozumienia, że to jest większe zagrożenie niż zwykły najazd mało znanego plemienia, zagrożenie, przed którym może trzeba ostrzec królową Lyrnę.

– Oni są po drugiej stronie oceanu. Jakie zagrożenie mogą stanowić tutaj?

– Każdy ocean można przepłynąć, jak udowodniła nasza królowa, a Volarianie doświadczyli na sobie. Sądziła, że są przed nami bezpieczni. Mylili się.

– Ziemie Królewskich Kupców to nie królestwo. Ani Alpira czy Volaria. Na Dalekim Zachodzie drukują książki i śledzą wędrówki gwiazd na niebie, podczas gdy my nadal rozpracowujemy, którym końcem włóczni przebić jelenia. Tam nie otacza cię legenda. W ich oczach będziesz jedynie barbarzyńskim cudzoziemcem, niewiele więcej niż dzikusem.

Vaelin skrzywił się i skinieniem głowy wskazał na piec.

– Gotuje się.

Erlin westchnął i zdjął czajnik z płyty.

– Zawsze to samo. Nigdy nie jesteś zadowolony. Nigdy nie potrafisz usiedzieć na miejscu, kiedy pojawia się następne nieszczęście, w które możesz się wplątać. Nie dość się napodróżowałeś? Nie dość krwi widziałeś?

– Tak. I jeśli fortuna się do mnie uśmiechnie, nie zobaczę jej więcej, dokądkolwiek teraz się udam. Ale jestem zdecydowany, Erlinie. I potrzebuję twojej pomocy. Muszę wiedzieć wszystko o Dalekim Zachodzie. Potrzebuję też mapy, która zaprowadzi mnie do Wysokiej Świątyni i Jadeitowej Księżniczki.

– Nie mogę w parę dni nauczyć cię tego, co musisz wiedzieć. – Ramiona Erlina lekko się przygarbiły, kiedy zalewał świeże liście w imbryku. Następnym słowem towarzyszyło znużone westchnienie. – Muszę z tobą pojechać. I tak zawsze byłeś beze mnie trochę zagubiony.

– Nie. – Ton Vaelina był stanowczy. – Nie poproszę cię o to.

– Dlaczego? Bo teraz jestem stary i starzeję się z dnia na dzień? – We wzroku Erlina pojawiły się iskierki rozbawienia. – Bądź spokojny, jestem zwawy jak zawsze, kiedy muszę. A mapa nie przyda się beze mnie, żebym prowadził cię z dala od żołnierzy Kupieckich Królestw. – Zamieszał liście łyżką o długiej ręczce i przykrył imbryk pokrywką. – Kiedy wyruszamy?



## Rozdział siódmy

Zatem jego kuzyn jednak mówił prawdę, pomyślał Vaelin, patrząc, jak Alum wchodzi po trapie na pokład Morskiej Osy. Statek stał na płytkich wodach portu Północnej Wieży, obciążony mieszanym ładunkiem cumbraelskiego wina, asraelskiego żelaza i alpirańskich przypraw. Zbudowano go w czasie wojny wyzwolenczej, a jego bojowa przeszłość była widoczna w czystych liniach kadłuba i starych bliznach znaczących drewno relingów i masztów.

– Najszybsza jednostka znajdująca się w posiadaniu Czcigodnego Domu Handlowego Al Verin – zapewniła go Kerran, kiedy stali na nabrzeżu. – Co roku daję nagrodę statkowi, który najszybciej przeprowi się przez Aratheański. Morska Osa zdobywała ją przez cztery ostatnie lata z rzędu.

Na naleganie lorda Orvena dwa tuziny gwardzistów uformowały się w dwa szeregi honorowej gwardii pożegnalnej, co przydało ceremonialności tej chwili, a bez czego Vaelin doskonale mógłby się obejść. Ranek już zapewnił mu ciężką próbę w postaci gwałtownej reakcji Ellese, kiedy usłyszała, że musi zostać.

– Pojadę tam, do cholery, dokąd będę chciała!

Talerz, którym weń cisnęła, minął jego głowę o mniej niż cal i roztrzaskał się o ścianę jadalni, w której aż do tego momentu jedli razem całkiem przyjemne śniadanie.

– Z rozkazu twojej matki i, mógłbym dodać, również naszej królowej, znajdujesz się pod moją opieką, lady Ellese! – przypomniał jej Vaelin krzykiem, który nie dopuszczał sprzeciwu. – I będziesz wypełniać polecenia albo każę cię związać i zakneblować!

Dziewczyna zbladła trochę w obliczu jego gniewu, ale nie ustąpiła. Ręce jej drżały, kiedy najwyraźniej starała się oprzeć chęci sięgnięcia po inny pocisk. W jej furii Vaelin wyczuł dodatkowy ból odrzucenia. Nie przyszło mu wcześniej do głowy, że Ellese może zareagować w taki sposób. Przypomniał sobie po raz kolejny, jak bardzo zranione zostało to dziecko. Reva wysłała ją do Dorzeczy, a teraz ja opuszczam ją na wiele miesięcy.

– Lord Orven będzie pilnował twoich lekcji w czasie mojej nieobecności – zapowiedział. – I będziesz studiować uzdrawianie u brata Kehlana. Gdy nadejdzie zima, pojedziesz do Eorhilów i zostaniesz u nich do końca roku, a następnie spędzisz miesiąc u Seordahów. Będziesz miała mnóstwo zajęć.

– Słyszałeś, co mówiła tamta istota – odparła Ellese głosem spokojniejszym, ale nadal zachrypniętym i lekko drżącym. – Chciała mnie zabić, a wcześniej wciąż mnie raniła. Wiem, że jedziesz na Daleki Zachód, żeby znaleźć tego, kto ją tutaj przysłał. Obiecałeś mi wyrównanie rachunków, wujku, i nie dotrzymałeś słowa.

– Ta istota nie żyje pod wszystkimi względami, które się liczą. Nie będzie żadnego wyrównywania rachunków, a ja nie narażę dziedziczki lenna Cumbrael na nieznane niebezpieczeństwa. Zostaniesz tutaj i nie chcę nic więcej słyszeć na ten temat.

Było jeszcze więcej gniewnych słów i kilka wymyślnych zniewag, zanim dziewczyna pobiegła do swoich pokojów. Vaelin uznał, że najlepiej ją tam zostawić, w nadziei, że może wkrótce się uspokoi. Jednakże jej nieobecność w tłumie na nabrzeżu rzucała się w oczy.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł? – spytała Kerran ze wzrokiem wbitym w trzech gwardzistów wnoszących nieprzytomną postać na statek.

– Zawsze był lepszym człowiekiem, kiedy miał zadanie do wykonania – odparł Vaelin. – Choć przyznaję, że podróż zapewne będzie ciężką próbą.

Wyciągnął ręce do Lohren i Artisa. Dziewczynka poszła w jego objęcia natychmiast, a jej brat po chwili posępnego wahania.

– Opiekuj się ciocią – powiedział Vaelin do chłopca. – Wyznaczyłem kapitana Embiego, żeby prowadził twoje lekcje walki na miecze. To dobry nauczyciel, ale nie tak wyrozumiały jak ja, więc nie zapominaj o unikach.

Artis zamrugał i spuścił wzrok.

– Nie zapomnę, milordzie.

– Czy z tatą będzie wszystko dobrze? – zapytała go Lohren z oczami lśniącymi od łez. – A z tobą?

Vaelin oparł się pokusie, żeby skłamać. Wiedział, że łatwe pocieszenia na nią nie działają.

– Droga jest długa, a przyszłość zawsze niepewna – powiedział, dotykając jej policzka. – Nawet dla ciebie, podejrzewam. Jakieś... specjalne rady dla wujka?

Dziewczynka się uśmiechnęła i pokręciła głową.

– One znowu zniknęły, a ciocia się cieszy.

Vaelin nie miał pewności, czy mała nie kłamie. Strach Kerran przed Ciemnością zawsze był wyczuwalny, tak że w rezultacie całe lata zabrało jej stworzenie prawdziwej więzi z bratanicą. Vaelin jeszcze raz przytulił Lohren i wyszeptał jej do ucha:

– Jeśli to wróci, a ty przypadkiem dowiesz się czegoś ważnego, idź prosto do lorda Orvena. On dostał polecenie, żeby cię wysłuchać i odpowiednio postąpić.

Wypuścił ją z objęć i wymienił krótki ukłon z Kerran – uścisk byłby niestosowny – po czym ruszył do trapu, przy którym czekał Orven, by mu zaszalutować.

– Chciałbym, żeby pan zmienił zdanie, milordzie – powiedział. – Tylko mała eskorta gwardzistów...

– Tutaj będą wszyscy potrzebni – przerwał mu Vaelin. – Poza tym zejście na brzeg Czcigodnego Królestwa z żołnierzami służącymi obcej koronie z pewnością przyciągnęłoby niepożądaną uwagę.

– Jest... – Orven się zawahał i przestąpił z nogi na nogę – drobna kwestia prawna, milordzie.

– Prawna?

– W oryginalnym edykcie króla Janusa dotyczącym zasiedlenia Północnych Dorzeczy jest zastrzeżenie, że Lord Wieży nie może opuszczać tych ziem bez wyraźnej zgody władcy.

– Rozumiem. A kara za to wykroczenie?

Orven poruszył się niespokojnie.

– Śmierć, milordzie.

– W takim razie sprawa jest poważna. Proponuję, by pan pilnie napisał do królowej. Jestem pewien, że władczyni niezwłocznie przyśle odpowiedź, która może nawet przybyć tutaj, zanim wrócę.

Orven westchnął i ze znużeniem skinął głową.

– Dobrze, milordzie.

Vaelin obejrzał się na ludzi, którzy przyszli go pożegnać, w większości mu znanych, i do tego paru gapiów. Nie licząc niefortunnej historii na Zewnętrznych Wyspach sprzed czterech lat, od końca wojny nie zapuszczał się poza granice Dorzeczy.

– Mam przecucie, że czekają mnie kłopoty – powiedział. – Myślę, że najlepiej będzie, jeśli w tym roku wcześniej wezwie pan milicję na ćwiczenia. I zwiększy żołd o kilka miedziaków za dzień. Może też uda się przekonać więcej rekrutów, żeby wstąpili w szeregi gwardii.

– Wedle życzenia, milordzie. A jeśli chodzi o petycje?

Vaelin uśmiechnął się. Orven nie lubił tego rytuału podobnie jak on.

– Poprosiłem lady Kerran, żeby brała w nich udział, oczywiście jedynie w charakterze doradcy. Usilnie nalegam, by słuchał pan jej rad.

– Jestem pewien, że będą mile widziane.

Vaelin wyciągnął rękę, a gwardzista uściskał ją mocno.

– Choć miłuję swoją rodzinę, oddałbym niemal wszystko, żeby pojechać z panem. Wydaje się, że tak dużo czasu minęło od naszego ostatniego wypadu.

– Tęskni pan za tym, co?

– Czasami. Jako chłopiec marzyłem, że pewnego dnia dołączę do gwardii królewskiej i dokonam wielkich czynów w słusznej sprawie. Trudno uwierzyć, że to wszystko się ziściło. Mimo strat, mimo wszystkich okropieństw, które widzieliśmy, wtedy rzeczy były prostsze.

– Bitwy są proste. Skomplikowane jest to co wcześniej i później.

Vaelin po raz ostatni uściskał Orvenowi rękę i ruszył po trapie.

\*\*\*

– Ty dziobaty draniu! – Cios Nortaha świadczył o jego zmniejszonej sprawności.

Vaelin z łatwością uchylił się przed jego wymachującymi rękami i cofnął, żeby popatrzeć, jak brat okreca się i bezładnie pada na pokład. Zamiast wstać, Nortah leżał i łypał na niego oczami płonącymi w niemytej, brodatej twarzy.

– Skończyłeś? – zapytał Vaelin.

– Jestem Mieczem Królestwa! – Nortah dźwignął się niepewnie na nogi i podniesionym głosem zwrócił się do załogi Morskiej Osy. – Zapłacę złotem temu, kto odwiezie mnie na brzeg.

Większość marynarzy popatrzyła na niego ze zdumieniem albo z podszytą rozbawieniem pogardą, po czym wróciła do swoich obowiązków.

– Spójrz, bracie – powiedział Vaelin, podchodząc do relingu i wskazując na ocean ciągnący się we wszystkie strony aż po zamglony horyzont. – Jesteśmy na morzu od trzech dni. Nasenna mikstura brata Kehlana to rzeczywiście coś. Nie sądzę, żeby próba powiosłowania do domu była

szczególnie dobrym pomysłem, zresztą kapitan raczej nie byłby gotowy rozstać się z łodzią. Ale możesz spróbować popłynąć wplaw.

Nortah zamknął oczy i jęknął. Ze zwieszoną głowę oparł się o reling.

– Jak przypuszczam, załodze rozkazano, żeby nie dostarczała mi grogu – wymamrotał.

– Prawdę mówiąc, zapłacono im, żeby tego nie robili – przyznał Vaelin. – Musisz przyznać, że to lepsze od celi.

– Jak długo? – Nortah otworzył oczy i zaszczyił Vaelina spojrzeniem pełnym urazy większej niż kiedykolwiek. – Zanim dotrzemy do Dalekiego Zachodu. Jak długo?

– Trzy tygodnie przy sprzyjającym wietrze, cztery albo więcej bez niego.

– Słyszałem, że mają tam wino ze sfermentowanego ryżu. Zapewniam cię, że pierwsze, co zrobię po wylądowaniu, to go poszukam. I od tej pory uważam nasze braterstwo za zakończone.

– Twój wybór. Ale to interesujące, jak poradysz sobie bez pieniędzy i znajomości języka. – Vaelin klepnął Nortaha w ramię i ruszył w stronę drabinki prowadzącej pod pokład. – Jem z kapitanem kolację. Możesz do nas dołączyć.

\*\*\*

Sehmon był szybki, zwinny i bystrooki, jeśli chodziło o ryzyko i okazję. Zręcznie uniknął dwóch pierwszych pchnięć drewnianego miecza Lorda Wieży, po czym odpowiedział ciętą ripostą. W tym momencie stał się oczywisty jego brak doświadczenia w posługiwaniu się długim ostrzem. Cios został zadany sztywnym ramieniem i z nadgarstkiem ustawionym pod zbyt ostrym kątem. Vaelin sparował go, uderzając w jesionową broń wyrzutka blisko rękojeści i wytrącając mu ją z dłoni.

– Ładna robota, milordzie – powiedział Sehmon ze smutnym uśmiechem, który szybko zniknął, kiedy Vaelin uderzył płazem miecza w bok jego głowy.

– Walka nie kończy się, kiedy tracisz broń – powiedział, zamierzając się do następnego ciosu.

Sehmon zareagował szybko, rzucając się przewrotem do przodu, żeby odzyskać wytraconą broń. Chwycił ją w samą porę, by odparować pchnięcie przeciwnika wymierzone w brzuch.

– Zdaje się, że uważa pan to za zabawę, panie Sehmon – stwierdził Vaelin, idąc na cofającego się młodzieńca. – Zapewniam, że tak nie jest.

Sehmon podskoczył, kiedy Vaelin ciął jego nogi. Wylądował na relingu prawej burty i znowu skoczył, żeby uniknąć drugiego ciosu, który niechybnie posłałby go do morza. Chwycił się olinowania i zatoczył ciałem duży łuk, by wymierzyć Lordowi Wieży kopniak obunóż w biodro. Uderzenie było tak silne, że Vaelin opadł na kolana.

Trzy sposoby, pomyślał, kiedy Sehmon wylądował w pobliżu. Trzy sposoby, w jakie sprawny przeciwnik mógłby mnie teraz zabić. Niestety Sehmon wybrał niewłaściwy. Opuścił miecz w potężnym pionowym pchnięciu, które z dudnieniem trafiło w pokład, kiedy Vaelin odchylił głowę w bok. Sehmon jęknął z bólu i zawodu po tym, jak cios w brzuch posłał go na deski pozbawionego tchu.

– Oddychaj głęboko – poradził mu Vaelin. – I pamiętaj, że klęczący człowiek jest wolniejszy niż stojący. Najlepiej podejść do niego z boku.

Sehmon walczył z mdłościami.

– Dzięki za lekcję, milordzie.

Pomagając mu wstać, Vaelin usłyszał cichy śmiech Aluma.

– Taniec długich mieczy, jak nazywa go mój lud – powiedział Moreska, uśmiechając się do nich ze swojej grzędę na grubym zwoju lin. – Zawsze uważaliśmy zamiłowanie do takich rzeczy za dziwne. – To – sięgnął po opartą w pobliżu włócznię – jest wszystkim, czego człowiek potrzebuje w walce albo na polowaniu. – Rzucił broń Sehmonowi. – Odłóż ten kij i naucz się prawdziwej sztuki walki.

Młodzieniec spojrział pytająco na Lorda Wieży.

– Rozkazy twojego pana mają pierwszeństwo – odparł Vaelin, usuwając się na bok.

Spędził godzinę na obserwowaniu, jak Alum uczy swojego sługę podstaw władania włócznią. Przez ten czas jeszcze lepiej poznał umiejętności Moreski. Już wcześniej cenił go jako zręcznego myśliwego o wystarczającej sile i determinacji, żeby zabić człowieka samym łańcuchem. Teraz, widząc jego płynne i oszczędne ruchy oraz sposób, w jaki włócznia niemal rozmazywała się i zmieniała kształt w jego rękach, był zmuszony uznać Aluma za człowieka, z którym, miał nadzieję, nigdy nie będzie musiał walczyć. Nasuwało się pytanie, jak to możliwe, że został schwytany.

Ja też raz zostałem schwytany, przypomniał sobie. Ta myśl w nieunikniony sposób doprowadziła do wspomnień z czasu spędzonego

w lochach Imperium i obrazów Sherin, które podsuwała mu pieśń krwi. Z początku były to zaledwie przebłyski, z czasem obrastające w szczegóły i coraz dłuższe, w miarę jak doskonalił swoje umiejętności. Zawsze widział ją w roli uzdrowicielki. Leczyła żeglarza ze złamaną ręką, chore dziecko w chałupie, kobietę w okazałej rezydencji cierpiącą po trudnym porodzie. Z czasem te wizje zaczęły blaknąć, w miarę jak czuł, że Sherin oddała się poza jego zasięg, ale ostatnia pozostała najwyraźniejsza ze wszystkich: była szczęśliwa. Pamiętał głęboki szacunek człowieka, którego pozdrawiała. Kim on był? Przyjacielem? Mężem? Kochankiem?

Głośne zamieszanie pod pokładem wyrwało go z zamyślenia. Alum i Sehmon też przerwali ćwiczenia.

– To tylko bójka, milordzie – stwierdził Sehmon, kiedy chór podniesionych głosów dochodzących z luku nie ucichł. – Nigdy nie spotkałem marynarza, który nie znalazłby jakiegoś powodu do bitki.

Wrzawa wydawała się zbyt głośna jak na zwykłą bijatykę i Vaelin wykrył w niej dziwną nutę, jeden głos wybijający się ponad resztę. Kobięcy głos.

Mamrocząc przekleństwo, pobiegł do luku i szybko zszedł po drabince do ładowni. Źródłem zamieszania okazała się gęsta grupa mężczyzn w pobliżu rufy, zbliżających się i oddalających od czegoś, co znajdowało się w środku. Nagle jeden odskoczył do tyłu z okrzykiem bólu, a Vaelin dostrzegł krew na jego twarzy. Inni żeglarze, sześciu, znowu się skupili, żeby kopać i bić pięściami miotającą się postać.

– Dość! – warknął Vaelin, przepychając się przez zbiegowisko.

Wszyscy oprócz jednego marynarza zareagowali natychmiast, cofając się z głowami opuszczonymi w obliczu gniewu Lorda Wieży. Mężczyzna z zakrwawioną twarzą nadal wbijał but w brzuch przeciwnika. Vaelin ruszył do przodu, żeby go odciągnąć, ale zatrzymał się, kiedy z cieni za leżącym człowiekiem wyskoczył ktoś bardzo szybki i wymierzył cios w twarz napastnika. Marynarz zatoczył się od uderzenia, ale utrzymał na nogach i zlizął krew ciekącą z nosa, aż postać z cienia wymierzyła mu drugi cios w skroń, posyłając go nieprzytomnego na deski.

– Dość tego! – Vaelin napotkał wzrok Ellese, kiedy z nożem w ręce zbliżyła się do mężczyzny, którego powaliła na pokład.

– Brudny drań położył na mnie łapska – wysyczała, zamierzając się do ciosu.

Vaelin wkroczył między nią a leżącego marynarza i chwycił ją mocno za ramię.

– Powiedziałem „dość”!

– Nic mi nie jest, tak się składa – jęknął Nortah i usiadł, krzywiąc się i trzymając za brzuch.

– Próbował ich zatrzymać – wyjaśniła Ellese. – Ta banda – w jej głosie pojawił się warczący ton, kiedy patrzyła na marynarzy – myślała, że może robić, co chce.

– Ona jest pasażerem na gapę, milordzie – odezwał się jeden z marynarzy. Vaelin stwierdził, że nie podoba mu się pełna urazy nadwrażliwość w zachowaniu mężczyzny, który rzucił Ellese mroczne spojrzenie. – Pasażerowie na gapę nie mają żadnych praw. To tradycja...

Słowa zamarły mu na ustach, kiedy Vaelin zdzielił go mocnym ciosem w szczękę, tak że marynarz zatoczył się do tyłu.

– Idźcie na górę – rozkazał pozostałym, trącając czubkiem buta głowę nieprzytomnego majtka. – I zabierzcie go ze sobą.

Marynarze mieli dość rozumu, żeby powstrzymać się od narzekań, kiedy podnosili zamroczonego towarzysza i wspinali się po schodach na górny pokład.

– Możesz stać? – zapytał Vaelin, biorąc Nortaha pod ramię.

Brat je wyrwał i dźwignął się powoli.

– Pewnie ukryłaś się w magazynie rumu, tak? – Nortah pokręcił głową i zataczając się, ruszył w mroczne zakamarki ładowni.

Vaelin odwrócił się do Ellese, a ona odpowiedziała mu spojrzeniem bez śladu skruchy. Jej ciało niemal wibrowało z gniewu i frustracji.

– Jak? – zapytał po prostu.

– Przepłynęłam zatokę od północnego mola i wdrapałam się na łańcuch kotwiczny, kiedy się zegnaliście. – Wzruszyła ramionami. – To nie było trudne.

Taka jak Reva, pomyślał. Ale niezupełnie.

– Twoja matka zabiłaby co najmniej dwóch, zanimby tutaj dotarła.

Jej spojrzenie stało się ostrożniejsze.

– Jestem sztywna od kucania za beczkami przez trzy dni.

Nie, doszedł do wniosku, uważnie przyglądając się jej twarzy. Wiedziałaś, że bym cię powstrzymał.

– Czy lord Nortah pił rum?

Ellese pokręciła głową.

– Zamierzał, jasne. Próbował wyciągnąć szpunt z jednej z mniejszych baryłek i rzucił mi ją na stopy. Tamci usłyszeli, jak się kłócimy. –



Zawahala się. – Zamierzasz ich powiesić?

– A chcesz tego?

Teraz była spokojniejsza. Jej gniew przerodził się w nerwową niepewność.

– Byli trochę szybcy z rękami, ale wątpię, czy naprawdę zamierzali coś mi zrobić. Jeśli to ma znaczenie.

– Wyrządzili zniewagę mojej siostrzenicy, która, tak się składa, jest również dziedziczką lenna Cumbrael. Nie wolno tego tak zostawić. Ale nie można również zapomnieć o twoim nieposłuszeństwie.

Ellese prychnęła z lekceważeniem.

– Zamierzasz mnie wychłostać, wujku?

Vaelin patrzył na nią bez słowa, aż uśmiech zniknął z jej warg, a kiedy milczenie się przedłużało, Ellese zaczęła się wiercić.

– Poblązałem ci aż do teraz – rzekł Lord Wieży, mając nadzieję, że usłyszała szczerłość w jego głosie. – Ze względu na miłość, którą żywię do twojej matki. Jeśli chodzi o twoją edukację, próbowałem być łagodniejszy niż moi dawni mistrzowie. Kiedyś uważałem ich surowość za okrucieństwo, niepotrzebny dodatek do mądrości, którą się ze mną dzielili. Teraz widzę, że się myliłem. Niczego się ode mnie nie nauczyłaś, bo nie uczyłem cię właściwie. – Zbliżył się do niej, więżąc wzrokiem jej spojrzenie. – Dam ci zatem wybór. Poddaj się mojemu szkoleniu albo nie. Jeśli nie, zostaniesz uwięziona na tym statku i wrócisz do Dorzeczy, kiedy tylko wysiądę na Dalekim Zachodzie. Pojedziesz do matki i wyjaśnisz jej moją porażkę, jeśli chodzi o twoją naukę. Albo... – przysunął się jeszcze bliżej i ściszył głos do szeptu – zgodzisz się, a wtedy ja pozwolę ci podróżować ze mną. Od tej chwili nie oferuję niczego oprócz trudu, krytyki i bólu, a ty możesz mnie znienawidzić, zanim skończymy. Ale przynajmniej będziesz miała szansę przeżyć w tym świecie, bo podejrzewam, że ma on dla ciebie wiele niebezpieczeństw.

Patrzył, jak jej krtań się porusza, a na twarz wkrada uraza. Wiedział, że Ellese walczy z impulsem, żeby go uderzyć, zasypać obelgami i z pogardą odrzucić jego propozycję. Ale gdyby naprawdę miał szansę ją uczyć, musiałyby zapanować nad odruchami.

Po kilku sekundach wpatrywania się w niego z zaciśniętymi zębami i poczerwieniałą twarzą Ellese gwałtownie skinęła głową.

– Potrzebuję twojego słowa – powiedział Vaelin. – Wyraż na głos zgodę, lady Ellese.

– Ja... – Zawahała się i odchrząknęła. – Zgadzam się poddać szkoleniu, lordzie Vaelin.

Lord Wieży zerknął przez ramię na mroczne czeluści magazynu z rumem.

– Ta kwatery nie jest odpowiednia. Od tej pory będziesz spać na górnym pokładzie, niezależnie od pogody.

\*\*\*

Kapitan Morskiej Osy, Veiser, był wysokim, mrukliwym Renfaelczykiem o twarzy, która przypominała maskę ze zwietrzałego kamienia, nie licząc przelotnych drgnień. Widząc potulne zachowanie stojących przed nim winowajców, Vaelin z zaskoczeniem uświadomił sobie, że marynarze bardziej boją się swojego kapitana niż Lorda Wieży. Veiser wysłuchał w milczeniu jego relacji i ugrzeczionych przeprosin za działania siostrzenicy, po czym skierował zimne spojrzenie na marynarzy.

– Pańska kara, milordzie? – zapytał.

– To pański statek – odparł Vaelin. – I pańscy ludzie. – Zerknął na Ellese, która na próżno starała ukryć lęk. Było dla niego jasne, że dziewczyna nie ma ochoty być świadkiem kolejnego wieszania. – Lady Ellese wyraziła życzenie łaski. Zostawiam jednak kwestię kary w pańskich rękach.

– Lady Ellese należy pochwalić za współczucie – rzekł kapitan Veiser, nie odrywając wzroku od marynarzy, którzy stali w szeregu na śródokręciu, a po ich obu stronach bosman i trzeci oficer, obaj potężni mężczyźni z pałkami. – Lecz oprócz wyrządzonej zniewagi ci ludzie naruszyli również zasady panujące na statku, ustalone przez Szacowny Dom Al Verin. Wszyscy pasażerowie na gapę mają natychmiast zostać doprowadzeni do kapitana.

Zbliżył się do marynarzy i ruszył wzdłuż szeregu, a jego głos twardniał w miarę mówienia. Vaelin zauważył również drżenie mięśni twarzy.

– Morska Osa to porządny statek. Nie jest jakąś balią bez flagi, z załogą złożoną z szumowin. Dawniej moją załogą byli sami świetni ludzie. Kiedyś przepłynęliśmy pół świata i spisaliśmy się chwalebnie w bitwach pod Latarnią i Cut. Ale wielu zginęło w ogniach wojny i dzisiaj jestem zmuszony przyjmować takich nędzników jak ci tutaj.

Ostatnie słowa podkreślił ciosem otwartą dłoń w twarz ostatniego człowieka w szeregu. Kiedy mężczyzna zajęczał, Vaelin był zmuszony zastanowić się nad sposobem dowodzenia Veisera.

– Ostatni, który naruszył zasady, otrzymał dziesięć uderzeń Karmazynową Księżną, jak może pamiętacie. – Veiser odwrócił się do Lorda Wieży. – Zna pan Księżną, milordzie?

– Słyszałem o niej. Wielorzemienny bat ze skóry czerwonego rekina, jak sądzę.

– Właśnie tak. Tnie skórę jak tuzin brzytew jednocześnie. Widok naprawdę robi wrażenie. I nie zawsze chłosta jest śmiertelna. Mimo to... – Kapitan zastanawiał się przez chwilę. – Ponieważ dobra pani zaapelowała o łaskę, przestaniemy na trzcinie. – Odwrócił się do bosmana. – Po dziesięć razy każdy. I żadnego rumu do końca podróży. Za kolejne wykroczenie będzie dwanaście uderzeń Księżną.

Wykonanie kary zajęło godzinę. Każdy marynarz był kolejno przywiązywany do głównego masztu i otrzymywał dziesięć razy trzcinką z jesionu. Bosman wykonywał swoje zadanie bez wyraźnej radości, ale również z sumienną skutecznością, tak że wszyscy winowajcy kończyli na kolanach z krwią sączącą się z pleców, łkając i sycząc z bólu. Gdy piąty marynarz został doprowadzony do masztu, Ellese odwróciła się i spojrzała w stronę rufy.

– Zostań i patrz – rozkazał Vaelin, a jego groźne spojrzenie wystarczyło, by dziewczyna znieruchomiał. Wzdrygała się przy każdym uderzeniu, kiedy bosman wziął się do pracy. – Uznaj to za swoją pierwszą prawdziwą lekcję. Wszystkie działania mają swoje konsekwencje.

## Rozdział ósmy

– Zatem Szmaragdowe Imperium istniało przez tysiąc lat przed powstaniem Kupieckich Królestw? – zapytał Vaelin.

– Bliżej dziewięciuset, plus minus kilka dekad – odparł Erlin. – Muszę powiedzieć, że w czasie wszystkich moich podróży nigdy nie słyszałem o pojedynczej dynastii, która przetrwałaby tak długo. Ale wszystko blaknie z czasem. Siła staje się słabością. Podobnie było ze Szmaragdowym Imperium.

Vaelin spojrzał na Ellese, która zatrzymała się kilka kroków od ich grędy niedaleko dziobu. Słońce stało wysoko na bezchmurnym niebie, pot lśnił na czole i nagiej skórze ramion dziewczyny, kiedy łąpczywie chwyciła powietrze. Sehmon, który postanowił również wziąć udział w szkoleniu, dogonił ją i chwilę później jego oddech zrobił się jeszcze bardziej urywany.

– Było sześć okrążeń? – zapytał Vaelin, a Erlin wzruszył ramionami.

– Nie liczyłem.

– W takim razie lepiej niech zrobią jeszcze dwa, tak dla pewności.

Odprawił Ellese skinieniem głowy. Dziewczyna stłumiła westchnienie, nabrała powietrza w płuca i rozpoczęła kolejne okrążenie po pokładzie. Sehmon biegł kilka kroków za nią.

– Siła stała się słabością? – przypomniał Vaelin.

– Właśnie. Przed imperium Daleki Zachód był jedynie grupą rywalizujących królestw w niemal ciągłym stanie wojny, podobnie jak królestwo przed pojawieniem się króla Janusa, ale na dużo większą skalę. Mah-Shin, pierwszy cesarz, stał w proch stare monarchie, zabijając wszystkich członków dynastii aż do czwartego pokolenia, i ogłosił, że zamierza założyć swoją, która zaprowadzi doskonałą harmonię między ziemią, niebiosami i człowiekiem. Ta tak zwana zasada harmoniczna była starą ideą jeszcze sprzed narodzin Mah-Shina. Celem wielu ambitnych zdobywców, którzy żyli przed nim. Jednakże tylko on zbliżył się do przełożenia jej na praktykę, opierając Szmaragdowe Imperium na dwóch filarach: rozbudowanej biurokracji i kanonie spisanego prawa.

Rozległ się szybki tupot i Ellese po raz kolejny zatrzymała się przed nimi ze zgarbionymi plecami i falującą piersią. Sehmon zjawił się po sekundzie i natychmiast padł na kolana, jęcząc przy każdym oddechu.

– Każde po jednym kubku wody – zarządził Vaelin. – Potem wejdziecie na główny maszt.

– Ile... razy? – wykrztusiła Ellese między oddechami.

– Aż każę wam przestać.

Dziewczyna skinęła głową i ruszyła w stronę beczki z wodą, ale zatrzymała się, kiedy Vaelin wymówił jej imię.

– Zostawisz swojego brata w takim stanie? – zapytał, wskazując na Sehmona.

Po raz pierwszy od wielu dni przez jej twarz przemknął wyraz buntu.

– On nie jest... moim bratem.

– Teraz jest.

Vaelin wytrzymał jej spojrzenie, aż Ellese zacisnęła zęby i ruszyła do Sehmona, chwyciła go za ramię i pociągnęła w górę.

– Wstawaj, leniwy draniu. – Pchnęła go w stronę beczki. – I nawet nie myśl o nazywaniu mnie „siostrą”.

– Niebios – podpowiedział Vaelin. – Dom bogów Dalekiego Zachodu, jak przypuszczam?

– Oni tak naprawdę nie mają bogów, nie w naszym rozumieniu. Niebo jest raczej źródłem wszelkiego losu, dobrego czy złego, a także tego, co my nazywamy Ciemnością.

– Muzyka Niebios – mruknął Vaelin, wspominając opowieść Ahma Lina o tym, jak został powołany do służby u jednego z Kupieckich Królów, kiedy ujawniła się jego pieśń krwi.

– Rzadki dar – stwierdził Erlin. – Jeden z wielu, jak dobrze wiemy. Ci, którzy go mają, podobno cieszą się błogosławieństwem niebios i są wyniesieni ponad resztę ludzkości, bo kiedy umierają, ich dusze zajmują miejsce w niebie. Duchy niepobłogosławionych pozostają przywiązane do ziemi, zamknięte w grobach i uspokajane darami potomków, żeby nie zakłóciły równowagi.

– I pierwszy cesarz osiągnął cel? Tę idealną harmonię?

– Wielu historyków Dalekiego Zachodu twierdzi, że tak. To pod rządami Mah-Shina wojskowe i cywilne nominacje dostawało się na podstawie zasług, a nie przywilejów. Cesarz ustanowił przepisy, które zakazywały arbitralnego uwięzienia i gwarantowały prawa wszystkim od

najskromniejszych wieśniaków po najbogatszych właścicieli ziemskich. Zaczął również budowę wielkiej sieci kanałów, które do dzisiaj łączą wszystkie zakątki Dalekiego Zachodu. Jego spuścizną były dobrobyt i sprawiedliwość, przynajmniej tak każą nam wierzyć oficjalne kroniki.

– A prawda?

– Był tyranem, który rządził, w równym stopniu kierując się mądrością, jak i strachem. Mówiono, że oszalał w późniejszych latach i uważał siebie za żywe naczynie bożej łaski, stąd nieomyłne. Na łożu śmierci zadekretował, że nie zostanie zmienione ani jedno słowo z praw, które ustanowił. Synowie na próżno starali się dorównać chwale przodka we wciąż zmieniających się czasach i stwierdzili, że ograniczają ich te prawa, które kiedyś wydawały się tak istotne dla pomyślności imperium.

– A jednak ono przetrwało tysiąc lat.

– Tak, z wieloma wojnami po drodze, okresami głodu i krwawymi walkami dynastycznymi. Teorie różnią się co do tego, dlaczego Szmaragdowe Imperium w końcu się rozpadło, ale ja skłaniam się ku pogładowi, że cesarski ród stał się tak zepsuty przez chów wsobny i luksus, że po prostu zabrakło mu zdolności wyprodukowania dziedzica zdolnego do skutecznego panowania. O ostatnim cesarzu powszechnie plotkowano, że nigdy nie chodził na własnych nogach ani nie nauczył się czytać. Jednakże to seria powodzi, susz i w konsekwencji głodu doprowadziła do ostatecznego kryzysu. Ponadto twierdzi się, że łaska niebios przejawia się w pogodzie. Wobec tylu zatopionych miast i zniszczonych zasiewów, kto by wątpił, że cesarz stracił błogosławieństwo?

– Więc imperium rozpadło się na Kupieckie Królestwa.

– Po dwóch dekadach chaosu. Prowincje cesarstwa były rządzone na zasadzie trójpodziału władz składających się z cywilnego gubernatora, dowódcy wojskowego i ministra finansów. Kiedy imperium się rozpadło, władza skupiła się w rękach ministrów finansów, ponieważ oni nie tylko trzymali klucze na skarbców, ale wiedzieli, jak zarządzać systemem podatkowym. Z czasem ci władcy pieniądza stali się panami wszystkiego i tak narodziły się Kupieckie Królestwa. Minęła kolejna dekada wojen i małe regiony zostały wchłonięte przez większych sąsiadów, tak że dzisiaj są trzy państwa: Czcigodne Królestwo na północy, Oświecone Królestwo na południowym wschodzie i Transcendentne Królestwo na południowym zachodzie. Formalnie rzecz biorąc, Wolne Kantony, które obejmują główne wyspy Żółtego Morza, można również określić mianem królestwa, ale one

są rządzone raczej według starego cesarskiego prawa niż kupieckich statutów.

Słyszając krzyk z góry, Vaelin podniósł wzrok w samą porę, by zobaczyć beładny upadek Sehmona z głównego masztu. Jego lot został częściowo wyhamowany przez jakąś część olinowania, zanim młodzieniec zderzył się z poprzeczką i runął do morza przez lewą burtę. Vaelin podszedł do relingu i zobaczył, że wyrzutek miota się w kilwaterze. Wiatry były tego dnia silne, wypełniały żagle Morskiej Osy, tak że wkrótce fale zniosły chłopaka w stronę rufy. Vaelin spojrzał na Ellese stojącą w bocianim gnieździe i wskazał na szamoczącą się postać.

– Zostawisz swojego brata, żeby utonął?! – zawołał.

Zobaczył, że Ellese odchyła głowę do tyłu w geście irytacji, a następnie schyla się po zwój liny leżący w bocianim gnieździe. Szybko owinęła jeden koniec wokół pasa, a drugi przymocowała do masztu, po czym zeszła na saling, pobiegła przed siebie i wybiła się do skoku, układając ramiona w kształt włóczni. Zostawiła po sobie niewielki rozbryzg, szybko wychynęła na powierzchnię i popłynęła w stronę Sehmona. Dotarła do niego po kilku ruchach ramionami i objęła go w pasie, wyrzucając z siebie parę barwnych przekleństw.

– Przygotujcie się do ich wyciągnięcia, chłopcy! – zawołał bosman, chwytając napiętą linę.

– Zaczekajcie chwilę – powiedział Vaelin, kiedy na ten okrzyk przybiegło trzech marynarzy.

– Chce pan, żebyśmy zostawili ich w wodzie, milordzie? – zapytał bosman, a jego ciężkie rysy się ściągnęły.

– Tak.

– Na jak długo?

Vaelin zerknął na niebo, ocenił po słońcu, że jest godzina po południu.

– Aż się ściemni. Albo jak będzie wyglądać, że utoną. Co nastąpi pierwsze.

\*\*\*

Ellese drżała ręka, kiedy wkładała łyżkę gulaszu do ust. Żuła i przełykała jedzenie z nieco mechaniczną determinacją. Od wyciągnięcia z morza twardo odwracała wzrok od Vaelina. Jak przypuszczał, po to, żeby uniknąć pokusy zarzucenia go niemądrymi słowami. Wytrzymała ponad godzinę,

zanim w końcu puściła Sehmona, a wtedy bosman kazał ją wyciągnąć i rzucił drugą linę Vekowi. Vaelina uderzył brak wrogości u chłopca. Jego blada, zziębnięta twarz miała dziwny wyraz akceptacji, jakby to, że omal nie utonął z powodu kaprysu Lorda Wieży, było jakąś formą zaszczytu.

– Twoje lekcje są trudne – zauważył Alum, kiedy jedli razem w drugim końcu stołu.

– Tak – przyznał Vaelin. – Ale i tak łagodniejsze niż te, których kiedyś mi udzielano.

– Byłeś jedną z bestii w niebieskich płaszczach, prawda? Powiedz mi... – Moreska nachylił się bliżej i trochę ściszył głos. – Czy to prawda, że oni zabijają, żeby nasycić cienie zmarłych krwią?

Vaelin zaczął się śmiać, ale zobaczył powagę na twarzy Aluma.

– Tak ci mówiono?

– Agenci cesarzowej mówią różne rzeczy. I często dotyczą one Zabójcy Nadziei i jego niktzemnych braci.

Vaelin przypomniał sobie ostatnie spotkanie z kobietą, która od tamtej pory była nazywana cesarzową Emeren, Ufnością Ludu Alpirańskiego. „Twoje przeprosiny są puste jak twoje serce, człowieku północy. A moja nienawiść jest nadal żywa”. Pamiętał twardy błysk szczerości w jej oczach, kiedy stała przed nim na nabrzeżu meldeńskiej stolicy. W tamtej chwili pieśń krwi mówiła mu, że jej żądza zemsty nie wygasła, ale melodia nie ujawniła, że pewnego dnia ta kobieta będzie dzierżyła władzę nad całym imperium.

– Nie – powiedział. – Szósty Zakon nie zabija, żeby nasycić cienie zmarłych. On walczy w służbie wiary i królestwa, a czasami czyni przy tym dobro.

– Ale już im nie służysz – zauważył Alum. – Dlaczego?

Vaelin sięgnął po kufel i napił się rozwodnionego wina, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Często się mówi, że wątpliwość jest wrogiem wiary. Ale ja odkryłem, że prawdziwym wrogiem wiary jest prawda. Opuściłem Zakon, ponieważ usłyszałem i zobaczyłem zbyt wiele prawd, żeby zostać.

– Zatem nie masz żadnych bogów? Żadnej... wiary?

– Jeszcze muszę się przekonać, że bóg to coś więcej niż bajka. Jeśli chodzi o wiarę, nadal ją mam. W sobie, w tych, których mam przywilej nazywać przyjaciółmi. – Zerknął na Nortaha siedzącego w przeciwnym



końcu stołu ze zwieszoną głową i pustą twarzą. – W moją rodzinę. W to, co z niej zostało.

Alum zmarszczył brwi zaintrygowany, jakby myśl o nawigowaniu przez życie bez zwracania się o pomoc do bogów była dla niego niepojęta. Chciał zadać kolejne pytanie, ale słowa zamarły mu na ustach, kiedy z górnych pokładów dobiegło natarczywe bicie dzwonu.

– Do broni! – rozległ się stłumiony okrzyk pierwszego oficera. – Statek piracki się zbliża!

– Weźcie broń – rzucił Vaelin do Ellese i Sehmona, wstając i sięgając po miecz.

Znalazł kapitana Veisera na rufie z lunetą wycelowaną w północny horyzont. Morze było tego dnia wzburzone, zabarwione na ciemnoszaro przez zachmurzone niebo, fale chłostał silny wschodni wiatr. W wirującej mgłę Vaelin dostrzegł jedynie niewyraźny zarys żagli.

– Ile statków? – zapytał, podchodząc do kapitana.

– Tylko jeden, milordzie. Ale jest prawie naszej wielkości i dlatego założyłbym się, że będzie trochę wolniejszy, ale ma sprzyjający wiatr.

– Żadnej szansy, żeby im uciec?

Veiser pokręcił głową z okiem nadal przytkniętym do lunety.

– Z tej odległości nie mogę rozpoznać flagi. Jeśli to statek jednego ze stowarzyszonych klanów, może uda się nam wykupić. Jeśli nie... – Zawiesił głos i znacząco wzruszył ramionami.

– Skoro nie może pan dojrzeć flagi, skąd pan wie, że to piraci?

– Po trzech czerwonych liniach na grocie. Powiadają nas, że zamierzają dokonać abordażu. To może być znak, że nie rwą się do walki.

Vaelin obejrzał się na pokład i zobaczył, że marynarze z łukami wspinają się na olinowanie, podczas gdy pierwszy oficer i bosman formują z pozostałych ludzi dwie kompanie i rozstawiają je na dziobie i na rufie. Po sposobie, w jaki większość trzymała miecze i topory, Vaelin odniósł wrażenie, że wyraźnie brakuje im doświadczenia.

– Czy ta załoga brała już udział w bitwie? – spytał.

– Tylko garstka, z którą pływałem w czasie wojny. Muszę powiedzieć, milordzie, że w tej sytuacji jestem wielce zadowolony, że mam pana na pokładzie.

Vaelin patrzył, jak z każdą minutą żagiel obcego statku rośnie i ukazuje się ciemniejszy zarys kadłuba. Na głównym maszcie powiewała duża

czarna flaga ozdobiona białym motywem tarczy przebitej błyskawicą. Kapitan odetchnął z ulgą.

– Zdaje się, że mamy szczęście, milordzie.

– Jak to?

– Statki z taką flagą po raz pierwszy pojawiły się dwa lata temu i nigdy nie atakowały jednostek królestwa. Reszta świata nie ma takiego szczęścia. Nikt dokładnie nie wie, dlaczego.

Jego słowa szybko się potwierdziły. Vaelin zobaczył fontannę białej wody, kiedy statek piracki wykonał skręt przez lewą burtę i wkrótce zniknął we mgle zasnuwającej północny horyzont.

– Szkoda.

Lord Wieży odwrócił się i ujrzał stojącego obok niego Nortaha. Miał na sobie marynarski sztormiak, twarz bladą i wymizerowaną w chłodnej mżawce omiatającej pokład. Vaelin poczuł lekką satysfakcję, że jego brat postanowił uzbroić się w topór, choć brak strachu czy wyczekiwania w jego oczach był mniej zachęcający.

– Pomyślałem, że przynajmniej piraci dadzą mi ostatni łyk grogu, zanim rzucą nas na pożarcie rekinom.

– Przykro mi, że cię rozczarowałem, bracie.

Spodziewał się, że Nortah łypnie na niego spode łba i odejdzie przygarbiony, ale on zwlekał. W końcu zakaszłał pośród przedłużającej się ciszy.

– Jestem cholernie znudzony – wyznał z napięciem na twarzy, wskazującym, że z najwyższą niechęcią prosi o przysługę, i dodał z wymuszoną i nieprzekonującą lekkością: – Życie na morzu jest nużące bez grogu albo czegoś do roboty.

– Lady Ellese jest zręczna, jeśli chodzi o łuk, ale przyda się jej udoskonalić sztukę strzelania – powiedział Vaelin. – A chłopakowi poprawić wytrzymałość.

– Zajmę się tym. – Nortah skrzywił się, zmuszając się do następnego pytania. – Już nie mam miecza...

– Twoja siostra odkupiła go od handlarza, któremu go sprzedałeś – rzekł Vaelin. – Jest w moim bagażu razem z twoim łukiem. – Ruszył w stronę drabinki prowadzącej na dolny pokład. – Przyniosę je.

– Nadal zamierzam się upić, kiedy wylądujemy! – zawołał za nim Nortah, a jego głos przeszedł w gorzkie westchnienie, kiedy Vaelin się nie odwrócił. – Jestem po prostu znudzony, to wszystko.

## Rozdział dziewiąty

– Co to za zapach?

– Miasto.

Nozdrza Aluma się rozdeły, wargi ułożyły się w grymas obrzydzenia.

– Kiedyś pojechałem do Alpiry. Ona tak nie cuchnęła.

– Alpira jest stale omiatana przez pustynne wiatry – odparł Vaelin, wspominając ostatnie dni swojego pięcioletniego uwięzienia, kiedy na krótko wypuszczano go z celi.

Wschodni wiatr zrywał się każdego ranka z niezwykłą regularnością, przynosząc tumany pyłu razem z ciepłym podmuchem, który w dużym stopniu przepędzał najgorsze wonie stolicy. Dla Vaelina zapach, którym była przesycona poranna mgła otaczająca Morską Ose, nie był szczególnie nieprzyjemny. Składał się na niego głównie dym z kilkoma ostrzejszymi nutami targu rybnego i garbarni. Nie wydawał się gorszy od tego z Varinshold w letni dzień, choć fakt, że dotarł do nich mimo takiego oddalenia od portu, świadczył o mieście dużo większym i gęściej zaludnionym.

– Trymować żagle! – krzyknął bosman, wysyłając dwunastu ludzi na maszty, podczas gdy inni ciągnęli ciężkie liny po pokładzie. – Przygotować się do wybierania.

– To może nie być najlepsze miejsce do opuszczenia statku, milordzie – stwierdził kapitan Veiser, kiedy we mgle zaczęły migotać światła miasta. – Jeśli pańskim celem jest pozostanie niezauważonym, są mniejsze porty na południu, gdzie władze nie są tak skrupulatne. – Potarł kciuk i palec wskazujący w uniwersalnym geście łapówki.

– Pan Erlin mówi, że właśnie tam znajdziemy naszego przewodnika – odparł Vaelin. – Poza tym często się przekonywałem, że w większym mieście łatwiej uniknąć uwagi.

– Jak pan sobie życzy. Morska Osa zawinie do tego portu w czasie podróży powrotnej za dwa miesiące. Jeśli pana tutaj nie będzie...

– Proszę wtedy odpłynąć do domu wraz z moimi podziękowaniami. Pełna zapłata została zdeponowana u lady Kerran. – Vaelin poklepał

kapitana po ramieniu i ruszył do relingu, podczas gdy załoga kończyła spuszczenie łodzi na wodę.

– Chętnie zrezygnuję z zapłaty, byle zobaczyć pański szczęśliwy powrót.

– We wzroku Veisera była nietypowa intensywność, dlatego Vaelin się zatrzymał. – Dorzecza pana potrzebują, milordzie. Podobnie jak królestwo. Za dużo straciliśmy na wojnie. Poznałem królową Lyrnę i nie uśmiecha mi się myśl, że stanę przed nią, by wyjaśnić, dlaczego zawiozłem Vaelina Al Sornę na zgubę.

– Proszę jej powiedzieć, że ja panu rozkazałem. Ona na pewno zrozumie.

Vaelin dołączył do Ellese przy relingu i patrzył, jak Nortah i pozostali schodzą do łodzi. Przez chwilę przyglądał się dziewczynie i zauważył, że jej twarz zeszczipiała w czasie tygodni spędzonych na morzu. Codzienne wyczerpujące ćwiczenia, lekcje walki na miecze, strzelanie z łuku z Nortahem, nie wspominając o nocach spędzanych na pokładzie, wszystko to znosiła z milczącą akceptacją. Jej wzrok nadal od czasu do czasu zdradzał urazę, ale w żadnym momencie nie sprzeciwiła się jego rozkazowi, niezależnie od tego, jak mógł ranić jej dumę. Vaelin zastanawiał się, czy dziewczyna nie stara się czegoś udowodnić raczej samej sobie niż jemu. A może Revie? To jej pragnie dorównać? Ta myśl wywołała w nim lekkie ukłucie litości, bo nikt nie mógł się łudzić, że mu się to uda.

– Twoja ostatnia szansa, moja damo – powiedział. – Nadal jeszcze możesz wrócić do domu. Uważam, że matka będzie zadowolona z twojej nowo odnalezionej dyscypliny...

Ellese odwróciła się i skoczyła za burzę. Wylądowała pośrodku łodzi, a Sehmon cicho zaklął, kiedy pokład zakołysał się pod nim na spokojnych wodach portu. Vaelin zdusił śmiech i zszedł do nich po linie. Pokazał młodemu wiosła, a kiedy je chwycili, sam dołączył do Erlina siedzącego na dziobie.

– Jak się nazywa to miejsce, możesz powtórzyć?

– Hanh-Shi – powiedział Erlin. – Największy port Czcigodnego Królestwa. Ustępujący jedynie stolicy, jeśli chodzi o wielkość i populację.

– Przypuszczam więc, że znalezienie przewodnika, o którym mówiłeś, nie będzie łatwe?

Erlin pokręcił głową, a po jego twarzy przemknął lekki uśmiezek.

– Nie sądzę. Chyba że w końcu komuś udało się poderżnąć mu gardło.

\*\*\*

Kiedy dotarli do nabrzeża, panował na nim duży ruch, jak to zwykle w portach, choć dopiero świtało. Rybacy szykowali sieci, załogi statków handlowych niepewnym kursem wracały na pokłady swoich jednostek po nocy spędzonej na picciu i rozpuście. Kiedy Erlin wyprowadził ich z portu na zatłoczone ulice, Vaelina zaskoczył brak zainteresowania mieszkańców. Przyciągnęli tylko kilka spojrzeń, głównie Alum. Jak podejrzewał Vaelin, ze względu na wzrost.

– Doki to dzielnica cudzoziemców – wyjaśnił Erlin. – Jedyne miejsce w całym królestwie, gdzie mogą przebywać dowolnie długo, oczywiście wykupiwszy stosowną licencję u króla. Niektórzy urodzeni w królestwie i alpirkańscy kupcy mieszkają tutaj latami.

– Co ich powstrzymuje przed wyprowadzką i zamieszkaniem gdzie indziej? – spytał Nortah, a Vaelin zauważył, że jego rozmówca z żywym zainteresowaniem przygląda się mijanym sklepom.

– Groźba natychmiastowej egzekucji – odparł Erlin. – I fakt, że dzielnicę otacza całkiem spory mur. Przekonasz się, że ludzie z Dalekiego Zachodu są bardzo skrupulatni.

W miarę jak zagłębiali się w miasto, ulice się zwały. Erlin skręcał tu i tam z pewnością, która świadczyła o niezawodnej pamięci niezależnie od fizycznych braków. Vaelin wkrótce docenił tutejszą architekturę. Niemal wszystkie domy zbudowano z drewna, a nie z kamienia. Rzadko miały więcej niż dwa piętra. Dachy pochylały się pod mniejszym kątem niż te na wschodzie, a każdy był przykryty terakotowymi dachówkami, z których kapały im na głowy ciężkie krople rosy.

– Cóż to byłoby za miejsce dla złodzieja – skomentował Sehmon. Vaelin zerknął przez ramię i zobaczył, że chłopak tęsknym okiem spogląda na stłoczone dachy. – Domy są od siebie oddalone o zaledwie kilka jardów, a jeśli się poślisz, upadek cię nie zabije.

– Istotnie – potwierdził Erlin, zatrzymując się i wskazując głową symbol namalowany czerwoną farbą na ścianie narożnego domu. – Ale Karmazynowa Banda zabiłaby cię, gdyby cię złapała. Radzę zapanować nad pokusą, młody człowieku. Nikt tutaj nie kradnie bez pozwolenia.

– Karmazynowa Banda? – powtórzył Vaelin, podchodząc do Erlina i patrząc na symbol. Był okrągły, z misternym zawijaszem litery w środku.

– Wszystkie miasta mają swoją mroczną stronę – powiedział Erlin. Gdy dotarli do skrzyżowania pięciu ulic, zajrzał w każdą po kolei z napięciem

i wyczekiwaniem na twarzy. – I tych, którzy nimi rządzą. Będziemy potrzebowali ich pomocy, żeby przejść za ten mur.

– Czyli to jest nasz cel? Kryjówka tej bandy.

Erlin prychnął pogardliwie.

– „Banda” to wielce nieadekwatne określenie. A jeśli chodzi o ich kryjówkę, nie potrafiłbym jej znaleźć, nawet gdybym chciał.

– Więc dokąd nas przyprowadziłeś?

– Nie tyle „dokąd”, ile „kiedy”. – Wzrok Erlina nagle pomknął ku najbliższemu dachowi.

Vaelin nie zobaczył nic, ale jego uszy wychwyciły słaby stukot poruszonej dachówki. W ciągu kilku uderzeń serca usłyszał jeszcze kilka podobnych dźwięków dochodzących z okolicznych domów.

– Kiedy co? – zapytał.

– Gdy postanowią zauważyć grupę uzbrojonych cudzoziemców idących bez pozwolenia ich ulicami. Nie! – warknął, widząc, że Ellese sięgnęła po strzałę. – Nie róbcie żadnego ruchu, który mógłby zostać wzięty za zagrożenie.

Na skrzyżowaniu zapadła cisza, a Vaelin przesunął wzrokiem po dachach, oknach z żaluzjami i murach. Spojrzał na pustą ulicę i zamarł, kiedy z mrocznego zakątka wyszła kobieta. Stała kilkanaście stóp od nich, z pytającą miną, nie okazywała strachu czy podejrzliwości. Miała na sobie prosty kaftan i luźne spodnie z ciemnobrązowej bawełny. Vaelin nie dostrzegł żadnej broni. Jednakże jej pewność i spokój wyraźnie świadczyły, że nieznajoma bynajmniej nie jest bezbronna.

To Erlin przerwał ciszę, wypowiadając uprzejme powitanie w chu-shin i kłaniając się nisko. Kiedy się wyprostował, ułożył dłonie w dziwnym geście, lewą nad prawą zaciśniętą w pięść z wysuniętymi palcami, małym i wskazującym.

W odpowiedzi kobieta lekko przekrzywiła głowę, a jej wzrok przesunął się z Erlina na Vaelina i pozostałych. Jej twarz miała w sobie młodość, która kontrastowała z doświadczeniem widocznym w zmrużonych oczach, bez wątplenia oceniających, jakie zagrożenie stanowi każdy z przybyszów. Skończywszy badanie, kobieta przeniosła spojrzenie z powrotem na Erlina i odezwała się cichym, niemal melodyjnym głosem.

– To będzie dla was wszystkich pocałunek skorpiona, jeśli mówiłeś fałszywie.

Po tych słowach odwróciła się i ruszyła ulicą. Erlin pośpieszył za nią, kiwając na Vaelina i resztę, żeby zrobili to samo.

– Domyślam się, że pocałunkiem skorpiona nie można się rozkoszować?  
– rzucił posepnym szeptem Nortah.

– Wyświadczę ci przysługę, nie opisując szczegółów – odparł Erlin. – Wystarczy powiedzieć, że kiedyś widziałem, jak człowiek odgryzł i połknął własny język, żeby go uniknąć.

\*\*\*

Trasa okazała się jeszcze dłuższa i bardziej myląca niż ta, którą przebyli z Erlinem. Kobieta poruszała się szybkim krokiem, skręcając za rogi z regularnością, która według Vaelina była celowa, gdy w pewnym momencie rozpoznał już wcześniej mijane miejsce. Najwyraźniej przewodniczka chciała się upewnić, że nie są śledzeni, nim zaprowadzi ich do celu. Sądząc po stuknięciach dachówek, pozostawali pod ciągłą, choć niewidoczną obserwacją.

Kobieta w końcu zatrzymała się przed wejściem do nierzucającego się w oczy sklepu. Z drzwi i okien wydobywały się obłoki pary, a Vaelin rozpoznał symbol herbaty na szyldzie wiszącym na nadprożu. Przewodniczka ukloniła się i gestem pokazała im, żeby weszli. Wytrwała w tej pozycji, kiedy się zawahali.

– Nigdy nie wchodzi przed obcym w nieznanymi drzwi – ostrzegł Nortah, przeczesując wzrokiem sąsiednie ulice.

Vaelin zauważył ruch jego ręki, zdradzający nawyk sięgania za plecy po miecz. Przynajmniej czuje strach, a nie pragnienie, pomyślał.

– Jeśli chcesz znaleźć to, po co przyszedłeś – powiedział Erlin, z wymuszonym uśmiechem na ustach odwzajemniając ukłon kobiety – nie masz wyboru. Jedyne drzwi prowadzi przez te drzwi.

Vaelin również się uklonił i ruszył do drzwi. Wnętrze wypełniała słodko pachnąca para, która ukrywała wiele szczegółów i wystawiała gościa na atak. W wirującej mgłę dostrzegł kilka osób siedzących przy stołach, na których stały porcelanowe parujące imbryki o długich dzióbkach. Nikt nie odwrócił się, żeby spojrzeć na wysokiego cudzoziemca, a Vaelin odniósł wrażenie, że ta obojętność jest wystudiowana.

Kilkanaście stopni zaprowadziło go do lady jeszcze bardziej zasnutej parą niż reszta sklepu. Wydobywała się ona z kilkunastu miedzianych

czajników, a jej nadmiar uciekał przez szeroki otwór w suficie. Między czajnikami poruszała się samotna postać z nagimi ramionami i w fartuchu. Przechodziła od jednego lśniącego naczynia do drugiego, unosząc je i nalewając wrzącą wodę do rzędu imbryków stojących na ladzie.

– Zaczekajcie tutaj – powiedziała kobieta i podeszła do kontuaru. Stała ze złożonymi rękami i opuszczoną głową.

Minęła dłuższa chwila, nim mężczyzna ją zauważył, wciąż znikając w kłębach pary i pojawiając się, żeby napełnić imbryki. Do lady podchodziła procesja kelnerów, którzy zanosili herbatę klientom. Podobnie jak goście, oni też się pilnowali, żeby nie zwracać uwagi na obcych.

– Jesteś stary – odezwał się człowiek stojący za kontuarem.

Głos zaskakiwał piskliwością, a słowa tym, że zostały wypowiedziane w doskonałym języku królestwa. Mężczyzna napełnił kolejny imbryk, odstawił czajnik i oparł ręce na ladzie, mierząc Erlina nieruchomym spojrzeniem. Vaelin stwierdził, że trudno mu ocenić wiek tego człowieka. Głowę miał całkiem łysą, twarz gładko wygoloną. Nagie ramiona nie były szerokie, ale dobrze umięśnione, tu i ówdzie poznaczone jasnymi, poszarpanymi bliznami, które świadczyły o ranach odniesionych w walce. Tylko drobne zmarszczki wokół oczu i ich ostrożny, badawczy wyraz zdradzały, że nieznajomy ma za sobą kilka dekad trudnych doświadczeń.

– Mój dziadek nazywał się Kho-an Lah, „Bez Wieku”. A teraz ty wracasz, żeby zrobić z niego kłamcę.

– Wiek wszystkich nas dopada – odparł Erlin z ostrożnym uśmiechem na ustach. – Nawet mnie, przyjacielu. – Wskazał na Vaelina. – Mogę przedstawić...

– Vaelin Al Sorna – przerwał mu mężczyzna. – Lord Wieży Północnych Dorzeczy. – Skupił na nim przeszywające spojrzenie. – Jest pan bardzo daleko od domu i nie na zaproszenie króla.

– Twoja spostrzegawczość zawsze była zdumiewająca – stwierdził Erlin. Przyniósł się do lady i ściszył głos. – Mamy sprawy do omówienia, czcigodny Pao Len. Sprawy prywatne i lukratywne.

Oczy Pao Lena przesunęły się z Erlina na Lorda Wieży i z powrotem. Jego twarz pozostała nieprzenikniona, ale Vaelin wyczuł niechęć w powolnym skinięciu głową. Następnie mężczyzna rzucił kobiecie krótkie polecenie w języku chu-shin.

– Pokój na zapleczu. Herbata dla wszystkich. – Następne słowa Pao Len skierował do Vaelina. – Zostaną zabici, jeśli spróbują wyjść, nim



zakończymy nasze sprawy.

Mówił w chu-shin, choć Vaelin nie miał pojęcia, skąd ten człowiek wie, że on zna ten język.

– Zrozumiałem – powiedział neutralnym tonem i kiedy mężczyzna zniknął w mglistych zakamarkach sklepu, zwrócił się do towarzyszy: – Poczekajcie tutaj.

– I co mamy robić? – zapytał Nortah.

– Napij się herbaty, bracie. – Vaelin podążył za Erlinem, kiedy kobieta uniosła część blatu i gestem pokazała im, że mają wejść. – Może ci zasmakuje.

\*\*\*

– Kiedyś miałem kuzyna, który podróżował do waszego królestwa. – Pao Len usiadł przy małym okrągłym stole, na którym stały trzy filiżanki i imbryk z herbatą. Napełnił je ciemnym płynem o kwiatowym zapachu, nie roniąc ani kropli, i mówił dalej. – Zajmował wysoką pozycję w Karmazynowej Bandzie. – Pao Len odstawił imbryk. – Przez wiele lat był naszymi oczami i uszami w waszym kraju. Niestety został zamęczony na śmierć jakiś czas temu przez agenta waszego nieżyjącego króla, a nasze raporty od tamtej pory są fragmentaryczne.

Skinął na Vaelina i Erlina, żeby usiedli, i w milczeniu czekał, podczas gdy oni wpatrywali się w parujące filiżanki. Erlin uniósł swoją po lekkim wahaniu i podmuchał lekko na herbatę, nim upił mały łyk.

– Latający Lis – powiedział z zaskoczeniem i aprobatą. – Honorujesz nas, Pao. – Gdy zobaczył, że Vaelin wacha zawartość swojej filiżanki, zachęcił go: – Rozkoszuj się, milordzie. – To najlepszy gatunek liści, jaki można znaleźć na Dalekim Zachodzie. Jeden funt kosztuje równowartość swojej wagi w srebrze.

Uznawszy, że Erlin nie spróbowałby herbaty, gdyby podejrzewał truciznę, Vaelin poszedł w jego ślady. Stwierdził, że herbata jest przyjemna w smaku i lekko cierpka, ale nie na tyle się wyróżnia się, żeby usprawiedliwiało to jej cenę.

– A jednak mimo utraty kuzyna wie pan dość, żeby mnie rozpoznać – zauważył.

– Człowiek mający władzę nad takimi bogactwami może oczekiwać sławy. – Pao Len przeniósł wzrok na Erlina i zapytał bez ogródek: –

Dlaczego jesteś teraz stary? – Wyglądało na to, że Karmazynowa Banda ma za nic kurtuazję urzędników Dalekiego Zachodu. – Kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem, byłem chłopcem. Następnym razem byłem mężczyzną, a ty wcale się nie postarzałeś. Teraz obaj jesteśmy starzy.

Erlin spochmurniał i wypił kilka łyków herbaty, zanim odpowiedział.

– Zostały mi odebrane błogosławieństwa niebios. I nie brakuje mi ich. – Uśmiechnął się i wyprostował, przybierając rzeczową postawę. – Ale nie będę cię zanudzał długą opowieścią o niedoli, czcigodny Pao, bo pamiętam, że zawsze byłeś przede wszystkim człowiekiem handlu. Lord Vaelin, jego towarzysze i ja musimy dotrzeć do Wysokiej Świątyni. I nie chcemy obarczać króla ciężarem naszego towarzystwa. Lord Vaelin zarządza dużymi bogactwami, jak mądrze zauważyłeś. Zostaniesz sownie wynagrodzony.

– Wysoka Świątynia – powtórzył Pao Len. – Zatem ponownie chcesz pielgrzymować do Jadeitowej Księżniczki. Po co? Myślisz, że ona przywróci twoje błogosławieństwo?

– Nie, przyjacielu. Nie jestem taki naiwny. Ale muszę wyznać, że bardzo bym chciał jeszcze raz posłuchać jej pieśni, zanim zniknę z tego świata.

– Więc dlaczego?

– Czy to konieczne, żeby znał pan nasze powody? – zapytał Vaelin. – Prosimy o przysługę i chętnie za nią zapłacimy. Nasze cele są prywatne.

Zobaczył ostrzegawcze drgnienie na twarzy Erlina, choć Pao Len nie wyglądał na urażonego.

– Konieczne? – spytał łagodnym tonem. – Nie. Ale z pewnością pożądane i korzystne. Wszelka wiedza przynosi korzyść. Dzięki wiedzy Karmazynowa Banda prosperuje. Na przykład znamy co do uncji wagę złota wydobywanego w Północnych Dorzeczach w ciągu ostatnich pięciu lat. Wiemy, że pan tam rządzi, ale sam się nie bogaci. Wiemy, że kiedyś był pan wojownikiem mnichem w służbie religii, która czci zmarłych, i że spędził pan pięć lat w alpirańskim lochu za zabicie dziedzica tamtejszego cesarskiego tronu. Wiemy, że był pan generałem swojej królowej w czasie wojny, która uczyniła z niej władczynią Imperium Volariańskiego. Wiemy, że ona wydaje złoto, które pan wydobywa w swoich włościach, by odbudować podbite przez siebie ziemie i powiększyć armię, żeby podbić ich więcej. Teraz jest pan tutaj.

– Moja sprawa jest osobista – powtórzył Vaelin. – Prawdę mówiąc, jestem tutaj bez wiedzy czy pozwolenia mojej królowej. Zgodnie z prawem

Zjednoczonego Królestwa to czyni mnie wyrzutkiem i po powrocie za to odpowiem.

– Rzykuje pan tak dużo dla czysto osobistej sprawy. Dziwne, że ktoś do tego stopnia uwikłany w sentymenty zaszedł tak wysoko. A może wszystko to zawdzięcza pan swoim bitewnym umiejętnościom? – Pao Len przekrzywił głowę, przyglądając się Vaelinowi. Jego oczy były błyszczące i dociekliwe. – Chyba głównie tak. Ale nie tylko. Jest pan kimś więcej niż tylko zabójcą. Pana obecność tutaj jest zakłóceniem, kolejnym ziarnem, które przeważy szalę i zaburzy równowagę utrzymującą Daleki Zachód w harmonii. Ale Karmazynowa Banda nigdy nie kwitła dzięki harmonii. Mówi się o Zwiastunach Niebios. Są znaki, rozchodzą się pogłoski, dociera do nas wieść o wielkiej bitwie na Żelaznym Stepie. Nadciąga wojna i waga wkrótce się przewróci, a kiedy tak się stanie, Karmazynowa Banda zgarnie nagrodę z chaosu, który powstanie. Zawsze tak było. Od najdawniejszych czasów Szmaragdowego Imperium aż do pojawienia się Kupieckich Królestw. – Uniósł filiżankę i wypił jej zawartość kilkoma dużymi łykami. – A zatem – odstawił naczynie i dolał sobie herbaty – zgadzam się ułatwić wam podróż do Wysokiej Świątyni. Ale cena będzie wysoka.

– Mam złoto – powiedział Vaelin, sięgając do sakiewki u pasa. – Jeśli będzie potrzebne więcej, mogę wysłać...

– Nie potrzebuję pańskiego złota. Potrzebuję pańskiego słowa.

– Mojego słowa?

– Tak. Pańskie słowo jest prawdziwe, czy tak?

– Nigdy go nie złamałem, jeśli to ma pan na myśli.

– To dobrze. A zatem, Vaelinie Al Sorno, Lordzie Wieży Północnych Dorzeczy, chcę pańskiego słowa, że kiedy Karmazynowa Banda następnym razem poprosi pana o przysługę, odda ją pan. Bez targów. Bez skrupułów. Po prostu zrobi pan to, o co go poproszą. O cokolwiek poproszą.

Ponownie uniósł filiżankę do ust i napił się, nie spuszczając wzroku z Vaelina.

– Lord Vaelin ma dostęp do wielu skarbów – odezwał się Erlin. – Nie tylko do złota. Niebieskie kamienie, piękne dary ze wszystkich stron świata...

– Jego słowo. – Filiżanka Pao Lena zabrzęczała lekko, niemal melodyjnie, kiedy odstawił ją na spodek. – Żadna inna cena nie zostanie zaakceptowana.

Erlin odwrócił się do Vaelina i przemówił w języku Seordahów, który Vaelin znał na tyle, żeby porozumiewać się w podstawowym zakresie. Jednakże mars na twarzy Pao Lena świadczył, że on nie zna go wcale.

– Odmów – powiedział Erlin. Jego spojrzenie nie pozostawiało wątpliwości co do wagi tej chwili. – To nie jest drobiazg.

– Mówiłeś, że nie ma innego sposobu.

Erlin bezradnie wzruszył ramionami.

– Wynajmij drugi statek. Znajdź ustronną zatoczkę, żeby wysiąść na brzeg... – Urwał i zgarbił się w poczuciu klęski. – Nie. To jest jedyny sposób.

– Muszę ją znaleźć – powiedział Vaelin. – Ale doceniam twoją troskę.

Odwrócił się do Pao Lena i ukłonił się krótko.

– Daję słowo Karmazynowej Bandzie.

Pao Len skłonił głowę i uniósł rękę przywołującym gestem. Kobieta, która ich tutaj przyprowadziła, wyłoniła się z cieni za jego plecami i opuściła głowę w służalczym wyrazie szacunku. Vaelin poczuł chłód i jednocześnie podziw, że do tej pory nie zauważył jej obecności w pokoju.

– Chien będzie waszą przewodniczką – oznajmił Pao. – Ona dobrze mówi waszym językiem i zna większość ulubionych tras patrolowych Dien-Ven.

– Dien-Ven? – powtórzył Vaelin.

– Strażnicy Monety – przetłumaczył Erlin. – Nadzorują wewnętrzne szlaki w Czcigodnym Królestwie. Na Dalekim Zachodzie pobiera się myto i wszyscy podróżni muszą przy każdej bramie podać nazwisko i cel. Tutejsi królowie lubią śledzić ruchy swojej ludności. Dlatego potrzebujemy przewodnika.

Pao zerknął na kobietę i wypowiedział dwa słowa w chu-shin:

– Czarny węzeł.

Chien szybko skinęła głową, a właściciel herbaciarni chrząknął z zadowoleniem i wstał.

– Wyruszycie dziś w nocy. Poniżej jest piwnica, w której wszyscy możecie odpocząć. Dostaniecie jedzenie.

Złożył im krótki ukłon i opuścił pokój, a kobieta wystąpiła do przodu, żeby sprzątnąć imbryk i filiżanki ze stołu.

– Czarny węzeł? – spytał Vaelin, a ona zatrzymała się i zmierzyła go wzrokiem, zdradzającym jedyną emocję, którą do tej pory u niej zauważył: twardą, gorzką urazę.

– Przeprowadzę pozostałych cudzoziemców – rzekła kobieta w języku królestwa. Miała dobrą wymowę, ale brakowało jej precyzji i biegłości Pao Lena. Brakowało również choćby śladu szacunku. – Zostańcie tutaj.

Wyszła z pokoju, pozostawiając jego pytanie bez odpowiedzi.

– To oznacza, że misja nie może się nie powieść – stwierdził Erlin. – Jeśli ona nie doprowadzi nas bezpiecznie do Wysokiej Świątyni, będzie musiała się zabić. – Skrzywił się i pokręcił głową. – Pao Len musi przykładać bardzo dużą wagę do twojego słowa, skoro zaryzykował życie swojej córki, żeby je dostać.

## Rozdział dziesiąty

Spędzili kilka godzin w przypominającej kryptę piwnicy pod herbaciarnią Pao Lena. Pachniało stęchlizną i liśćmi herbaty piętrzącej się w workach. Zgodnie z obietnicą przyniesiono im posiłek składający się z gotowanego ryżu i kurczaka w gęstym pieprzonym sosie. Ku wyraźnej irytacji Nortaha milczący, obojętni mężczyźni, którzy podawali jedzenie, najwyraźniej postanowili ignorować jego nieporadne prośby o wino. Chien wróciła po kilku godzinach, kiedy na ulicach zapadła noc. Miała ze sobą skórzany plecak i prostą laskę. Luźny bawełniany strój zamieniła na mocniejsze watowane spodnie i kurtkę.

– Włóżcie to – poleciła, kiedy milczący mężczyźni wrócili z tobołkami podobnych ubrań. – I to. – Rzuciła Vaelinowi stożkowaty słomkowy kapelusz. – Trzymaj głowę opuszczoną, kiedy wyjdziemy na górę.

Dostarczono im również zrolowane koce do ukrycia broni i inny niezachodni ekwipunek. Gdy się przebrali, Chien obrzuciła ich spojrzeniem, w którym nie było śladu wcześniejszej potulności. Mamrocząc pogardliwie, że „cudzoziemcy wyglądają jak muły i cuchną jak woły”, odwróciła się i pomaszerowała do nagiej ściany w głębi piwnicy.

– Żadnego gadania – rzuciła, przyciskając dłonie do dwóch cegieł, jednej wysoko na murze, drugiej nisko.

Rozległo się głośne pstryknięcie i Chien zaczęła napierać na mur, stękając z wysiłku. Gdy ściana przesunęła się na niewidocznym zawiasie, do środka napłynęła fala cuchnącego powietrza.

– Na zadek ojca! – wykrzyknęła Ellese stłumionym głosem, zasłaniając rękawem twarz. – Co za odór!

– Ścieki – powiedział Sehmon i skrzywił się z obrzydzeniem, łypiąc na wilgotny tunel, który otworzył się za fałszywą ścianą. – Zdaje się, że na całym świecie to zawsze jest trasa wyrzutków.

– Żadnego gadania! – powtórzyła Chien. Skierowała wzrok na Vaelina i dodała w chu-shin: – Niech pańscy słudzy będą posłuszni, bo inaczej wszystko jest bezcelowe.

Vaelin skłonił głowę w milczącej skrusze, po czym warknął rozkaz, żeby byli cicho. Chien wyglądała na jedynie lekko ułagodzoną, kiedy wiązała chustkę na twarzy i ruszała w głąb kanału, dając im znak ręką, żeby szli za nią.

Tunel, którym ich prowadziła, był wąski i długi. Vaelin wkrótce był zmuszony pójść za przykładem Chien i obwiązać nos i usta chustą, żeby zmniejszyć smród, jeszcze potęgowany przez ich stopy brnące przez gęstą breję. Po stu krokach tunel połączył się z szerszym i ich przewodniczka skręciła w prawo, rzuciwszy najpierw czujne spojrzenie na sufit. Słaby blask księżyca sączył się przez serię okrągłych żelaznych krat zamocowanych w sklepieniu. Światło przygasało w nieregularnych odstępach czasu, zasłaniane przez stopy chodzących ulicami. Po stałym rytmie kroków i niewyraźnych urywkach szorstkich rozmów Vaelin szybko się domyślił, że przemykają pod jakimś posterunkiem straży.

Widząc, że Chien zatrzymuje się przy otworze w ścianie, podszedł do niej i zobaczył, że przejście zamyka gruba żelazna brama.

– W górze znajduje się mur obronny – wyjaśniła szeptem, czujnie zerkając w górę i sięgając do prętów bramy.

Gdy rozległo się ciche zgrzytnięcie, Vaelin dojrzał zawias, w miejscu, gdzie pręty stykały się ze sklepieniem. Spodziewał się, że Chien otworzy bramę do końca, ale ona czekała, nadal obserwując kratę w suficie.

– Bądźcie gotowi – wyszeptała. – Nie będziemy mieli dużo czasu.

– Na co?

Odpowiedź nadeszła chwilę później: głośnie bicie dzwonu poniosło się echem po całej długości tunelu. Chien rzuciła się do przodu i uniosła bramę. Głośnie szczęknięcie, kiedy metal zetknął się z cegłami, zostało zagłuszone przez dzwon. Przewodniczka przytrzymała kratę w górze i energicznie skinęła głową na Lorda Wieży. Vaelin machnął ręką na towarzyszy i wpełzł do węższego tunelu. Ten miał zaledwie trzy stopy wysokości, co zmusiło go do czołgania się na rękach i kolanach, kiedy inni zaczęli nań napierać z tyłu. Vaelin usłyszał brzęk bramy opadającej z powrotem na miejsce tuż przed tym, jak dzwonięcie ucichło.

– Ruszajcie się! – rzuciła Chien ochrypłym szeptem. – Dzwon wybijający północ jest głośny, ale to nie znaczy, że oni nas nie usłyszeli.

Ponad godzinę zajęło im pokonanie całego tunelu. Vaelin walczył z mdłościami z powodu niesłabnących smrodliwych wyziewów. W końcu powietrze zaczęło się oczyszczać, a on wgramolił się na szeroką półkę.

Przez mały otwór w górze wpadało nikłe światło. Vaelin zobaczył, że półka ciągnie się spory kawałek po obu stronach. Przed nim znajdował się długi spadek z gładkiego kamienia, ociekający wodą. Rynna opadała w mroczne, bezdenne czeluści, co spowodowało u niego falę zawrotów głowy. Vaelin zrobił ostrożny krok w tył.

– Trzymajcie stopy razem – poradziła Chien, wychodząc za pozostałymi na półkę. – I skrzyżujcie ramiona. Będzie was kusilo, żeby użyć rąk do spowolnienia jazdy. Nie róbcie tego, chyba że chcecie zedrzeć sobie ciało do kości.

Vaelin chciał ją zapytać, co ma na myśli, ale pytanie zamarło mu na ustach, kiedy Chien skrzyżowała ręce i zeskoczyła z półki. Zaczęła zsuwać się po pochyłości i w ciągu jednego uderzenia serca zniknęła w mroku. Erlin niemal od razu podążył za nią, mamrocząc:

– Lata temu nie wydawało się takie strome.

– Nie chcę tego robić – oświadczył cicho Sehmon, przerywając ciszę.

– Skoro starzec potrafi, ty też możesz – powiedziała Ellese.

Wzięła głęboki wdech, skrzyżowała ręce i skoczyła.

Vaelin zdążył jeszcze usłyszeć jej stłumione przekleństwo, zanim zniknęła z widoku.

Alum ruszył następny, śmiejąc się cicho, choć Vaelin usłyszał nutę czujności w jego głosie, zanim Moreska zsunął się w mrok.

– Panie Sehmon? – Vaelin uniósł brwi.

Wyrzutek przełknął ślinę i splótł ręce, ale nie ruszył się, tylko wpatrywał w czeluść.

– Zaraz, milordzie. Ja tylko potrzebuję chwili...

Jego słowa przeszły we wrzask przerażenia, kiedy but Nortaha brutalnie posłał go w dół, koziołkującego bezładnie. Vaelin zobaczył, że brat odlicza sekundy do chwili, kiedy krzyki młodzieńca nagle ucichły.

– Sto stóp. – Nortah uśmiechnął się mdło. – Niepokojące, ale nie śmiertelne. Ty pierwszy, bracie.

– Przypuszczam, że zapamiętałeś trasę powrotną przez kanały – powiedział Vaelin. – I prawdopodobne źródło wina.

– Jaki byłby sens? Nie mam ani grosza, jak sam zauważyłeś.

– Więc nie powinienes bronić się przed zjechaniem na dół przede mną.

Napotkał wzrok Nortaha. Zadawniona uraza, która tkwiła w jego towarzyszku przez całą podróż, teraz osłabła, zastąpiona przez coś, co Vaelin uznał za jeszcze gorsze. Wstyd i poczucie klęski, doszedł do wniosku,



odwracając się do niego plecami. Mogliby walczyć, wiedział. Nortah odzyskał trochę sił i umiejętności na Morskiej Osie, ale nadal wiele mu brakowało do dawnej formy. Myślał o tym, żeby go posłać w ślad za Sehmonem. Ale co potem? Czekala ich jeszcze długa droga, a on nie mógł na każdym kroku martwić się, że brat znajdzie coś do picia.

– Zostań pod opieką herbaciarza – powiedział z rezygnacją Vaelin. – On pewnie wyjątkowo zgodzi się na twoją obecność.

– Żadnych więcej nacisków? – spytał Nortah ze szczerym zaskoczeniem. – Przynajmniej jednego ciosu albo dwóch.

– Zaciągnąłem cię najdalej, jak mogłem. Byłem głupcem, myśląc, że potrafię cię uratować. Zanim Sella umarła, kazała mi obiecać, że spróbuję. I spróbowałem, bracie. Ale pijak to pijak. Czas, żebyś pozwolił ci być tym, kim jesteś.

Skrzyżował ramiona i z nogami wyprostowanymi jak włócznia skoczył w ciemność.

\*\*\*

Zjazd skończył się głośnym pluskiem i chłodnymi objęciami wody dostatecznie głębokiej, żeby zakryć go razem z głową. Po krótkim opadaniu Vaelin trafił butami na coś twardego i odbił się od tego czegoś w górę. Wyskoczywszy na powierzchnię, zobaczył, że strumień niesie go w stronę otworu wyglądającego jak wlot jaskini. Prąd był zbyt silny, żeby mu się przeciwstawić, a innych dróg ucieczki nie zauważył, więc pozwolił się znieść na otwartą przestrzeń. Woda wpadała do dziwnie prostej rzeki o brzegach z kamienia. Vaelin sunął wzdłuż nich przez kilka jardów, aż prąd zaczął słabnąć, a on zobaczył cień Aluma, który z wyciągniętą ręką kuczał na brzegu. Vaelin chwycił nadgarstek Moreski i wykrztusił podziękowanie, kiedy myśliwy pomógł mu wyjść z rzeki.

Przyjrzał się towarzyszom i zauważył, jak mocno Ellese, Sehmon i Erlin dygoczą w nocnym powietrzu.

– Musimy rozpalić ogień – powiedział do Chien. – Wysuszy się.

– Nie ma czasu – odparła przewodniczka, zakładając plecak na ramiona i sięgając po laskę. – Idziemy aż do świtu, a potem słońce nas wysuszy.

– G-g-gdzie lord Nortah? – zapytała Ellese, szcękając zębami.

Vaelin przecesał ręką mokre włosy i obejrzał się na otwór u podnóża, jak się okazało, stromej granitowej urwiska o co najmniej siedmiu

stopach wysokości.

– On nie...

Rozległ się plusk i kilka sekund później w wodzie oblanej blaskiem księżyca pojawił się Nortah. Vaelin i Alum wyciągnęli go z rzeki, a on opadł na kolana i zwymiotował.

– Chyba połknąłem trochę tej gównianej wody – wysapał.

– Więc wymiotuj w marszu – powiedziała Chien i szybkim krokiem ruszyła wzdłuż brzegu rzeki. – I rób to cicho.

\*\*\*

Chien nie pozwoliła na żaden odpoczynek, przez cały czas narzucając mordercze tempo. Kiedy słońce wzeszło nad rozległymi połaciami pól uprawnych na wschodzie, Vaelin ocenił, że przeszli co najmniej dziesięć mil. Na całym tym odcinku bieg rzeki nie zmienił się nawet o cal.

– To nie jest rzeka – powiedział Erlin, kiedy Vaelin zapytał go o jej dziwny wygląd. – Jedynie pomniejsza odnoga sieci kanałów łączących Hahn-Shi z krainą jezior dwadzieścia mil na północ stąd. One z kolei łączą się z kanałami biegnącymi aż do stolicy.

– Więc będziemy po prostu wzdłuż niego podążać aż do celu? – zapytał Vaelin.

Erlin się skrzywił, kiedy spojrzał na wschodzące słońce.

– Niedługo. Dien-Ven nie zawracają sobie głowy patrolowaniem pomniejszych kanałów, ale wkrótce zbliżymy się do śluzy. Podejrzewam, że wtedy sprawy zaczną się komplikować.

Około godziny po wschodzie słońca Chien w końcu się zatrzymała, wspięła na trawiasty brzeg kanału i ocieniając oczy, spojrzała na północ. Vaelin do niej podszedł i stanął raptownie na widok, który go powitał. Mosty i budynki miasta tłoczyły się w oszałamiającym labiryncie, który schodził tarasami w stronę jakiegoś ogromnego zbiornika wodnego. Nazwa „jezioro” wydawała się nieodpowiednia i myląca. Było to raczej wewnętrzne morze o spokojnych wodach ciągnących się do północnego brzegu, niewidocznego z powodu odległości.

– Nushim-Khi – powiedziała Chien, wskazując głową na dziwnie rozplanowane miasto.

– Most śluzy? – zapytał Vaelin po chwili zastanawiania się nad tłumaczeniem nazwy.

– Raczej Miasto Śluz – poprawił go Erlin. – Każde miasteczko z mostem ma w nazwie słowo „khi”, a tutaj jest ich wiele. W tym miejscu zbiegają się kanały. Łodzie docierają na jezioro przez serię śluz. To prawdziwy cud inżynierii, który twoja siostra z pewnością uznałaby za fascynujący.

– Widzicie to? – Sehmon westchnął z nabożnym podziwem.

Vaelin zobaczył, że wyrzutek spogląda na południe. Nietrudno było znaleźć źródło jego zachwyty. Port Hanh-Shi ciągnął się na wschód i na zachód, wypełniając horyzont na co najmniej pięćdziesiąt mil. Przedmieścia przechodziły w okoliczne pola, drogi wiły się przez uporządkowany zielony krajobraz niczym macki jakiejś gigantycznej bestii, która wypełzła z morza.

– Można by tu zmieścić dziesięć Varinsholdów – ocenił Sehmon – i jeszcze by zostało miejsce.

– Ile ludzi mieszka na tej ziemi? – spytała Ellese z miną bardziej zaniepokojoną niż zachwyconą.

– Tyle, że władcy Kupieckich Królestw mają duże trudności z ich policzeniem – odpowiedział Erlin. – Kiedy ostatnio tu byłem, spis ludności wykazywał, że jakieś trzydzieści pięć milionów w samym Czcigodnym Królestwie.

– Milion to tysiąc tysięcy, tak? – spytał Alum.

– Tak.

Moreska pokręcił głową i zaśmiał się posepnie.

– Gdyby kuzyn nie kazał mi wam towarzyszyć, teraz bym nalegał, żebyśmy wrócili i znaleźli statek na Opalowe Wyspy. Nie możemy mieć nadziei, że ukryjemy się w takim kraju.

Chien cicho prychnęła i ruszyła w dół, na pola. Vaelin usłyszał jej mamrotanie: „Cudzoziemcy mają rozum świń”.

Nie oglądając się, pomaszerowała na wschód.

– Więc nie idziemy do miasta – zauważył Nortah.

– Nie, Dien-Ven złapałby nas w parę minut – powiedział Erlin, schodząc z nasypu i podążając w ślady Chien. – Chodźcie. O ile sobie przypominam, to tylko jakieś siedem albo osiem mil marszu.

\*\*\*

Ich celem okazał się rozpadający się młyn na brzegu jeziora. Wiekowe ściany z desek pochylały się do środka, dach się zapadł. Koło młyńskie

obracało się wolno w strumieniu płynącym do szerokiego kanału irygacyjnego, z komina unosiła się cienka smuga dymu. Chien zatrzymała się jakieś trzydzieści kroków od młyna i gestem dała wszystkim znak, żeby zrobili to samo.

– Nic nie mówcie – ostrzegła, nie ruszając się z miejsca.

Sekundy zmieniały się w minuty, aż w końcu rozległ się szelest roślinności i z niedojrzałej pszenicy wyszli dwaj mężczyźni. Obaj mieli na sobie maskujące liście, a twarze poczernione ziemią. Obaj nieśli kusze załadowane groźnie wyglądającymi bełtami.

– Nie jesteś oczekiwana – odezwał się mężczyzna po lewej i podejrzliwym wzrokiem powiódł po obcych.

– To prawda – przyznała Chien. – Krab jest w środku?

Choć w jej głosie nie było śladu emocji, coś w jej zachowaniu poruszyło tamtych dwóch. Wymienili szybkie spojrzenie i cofnęli się, opuszczając kusze ku ziemi. Chien przeszła obok nich bez jednego spojrzenia i skinęła laską na Lorda Wieży. Kiedy prowadziła ich do domu, Vaelin miał silne wrażenie, że są obserwowani, choć okiennice były zamknięte, a z pszenicy nie dobiegały już żadne szelesty.

Drzwi otworzyły się w chwili, gdy Chien do nich dotarła. Stara, chuda jak patyk kobieta ukłoniła się nisko i odsunęła na bok. Po wejściu do domu Vaelin zamrugał zaskoczony, kiedy znalazł się w jasnym wnętrzu. Z sufitu wisały papierowe lampy, oświetlające dużą przestrzeń bez schodów czy oddzielnych pokoi. Zamiast podłogi był wypełniony wodą dok, w którym stała łódź o wąskim kadłubie i długości około trzydziestu stóp od dziobu do rufy. Młyn okazał się jedynie skorupą ukrywającą tajną przystań.

– Szanowna siostra! – zawołał krępy mężczyzna z rufy łodzi i z wesołym uśmiechem uniósł rękę w pozdrowieniu.

Wszedł na chodnik biegnący wzdłuż ściany i ukłonił się Chien, a ona odwzajemniła gest. Obserwując ich powitanie, Vaelin doszedł do wniosku, że oficjalny status kobiet w tym kraju nie znajduje odzwierciedlenia w społeczności wyjętych spod prawa.

– Szanowny bracie – rzekła Chien. – Szanowny ojciec przysłał ci pozdrowienia i podarunek.

Jej ręka zniknęła w kurtce i za chwilę pojawiła się z małym czerwonym lakierowanym pudełkiem. Krępy mężczyzna wziął od niej szkatułkę, otworzył pokrywkę i powąchał zawartość.

– Ach, balsam z ognistego kwiatu. – Pomasował się po krzyżu i z wdzięcznością skłonił głowę. – Moje stare kości ci dziękują. – Mimo pozornej uprzejmości Vaelin dostrzegł w jego spojrzeniu niebezpieczną kalkulację, kiedy mężczyzna przesunął wzrok z Chien na stojących za nią cudzoziemców. – I przyprowadzasz interesującą kompanię. Dar sam w sobie, zawsze powtarzam.

– Potrzebujemy przeprowić się przez jezioro – oznajmiła Chien. – Szanowny ojciec dał swoje słowo.

W oczach mężczyzny znowu błysnęło wyrachowanie.

– I jego słowo zostanie uszanowane – zapewnił z kolejnym ukłonem. – Nazywam się Krab. – Mówił do cudzoziemców głośno, powoli i wyraźnie, jakby zwracał się do tępych dzieci. – Nie potrzebuję innego imienia i zabijałem ludzi, którzy o nie pytali. To moja łódź. – Wskazał na stojącą na wodzie jednostkę o wąskim kadłubie. – Popłyniemy, kiedy się ściemni. Do tego czasu jedzcie. – Tępo zakończonymi palcami pokazał, że wkłada jedzenie do ust, i pomasował się po brzuchu. – Mmm.

– To idiota – stwierdził Nortah w języku królestwa, co wywołało ciche parsknięcie Ellese.

– Cicho – rzucił Vaelin i z uśmiechem ukłonił się Krabowi. – Podejrzewam, że to dla nas korzystne, jeśli będzie uważał nas za idiotów.

– W dzisiejszych czasach nie można ryzykować ucieczki w świetle dziennym – powiedział jakiś czas później właściciel łodzi do Chien.

Staruszka, która wcześniej otworzyła im drzwi, przygotowała dobrze doprawioną wołowinę i rosół warzywny. Widząc, z jaką energią poruszała się od jednego parującego garnka do drugiego, Vaelin nabrał wątpliwości, czy rzeczywiście jest taka stara, na jaką wygląda. Oprócz niej i Kraba nikt inny do nich nie dołączył, ale skrzypnięcia dochodzące czasami z krokwi ukrytych w cieniu świadczyły, że znajdują się pod czujną obserwacją.

– Za dużo ludzi jeździ na południe – ciągnął Krab. – Więcej ludzi na wodzie oznacza więcej Dien-Ven palących się do tego, żeby wszystko oclić. Tak się dzieje od wiosennych deszczy. Żołnierze jadą na północ, ludzie na południe. Z dnia na dzień coraz więcej i nie wszyscy są chłopami. Musiałem niektórym przypomnieć, że te jeziora należą do Karmazynowej Bandy, ale nie wszyscy słuchają lekcji, nieważne, ile uszu obetnę. Szanowny ojciec powinien to wiedzieć.

– Wyślij mu wiadomość – powiedziała Chien. – Krążą wieści o bitwie na pograniczu. Co słyszałeś?

– Głównie plotki i bzdury od chłopów. Oczywiście mnóstwo opowieści o Zwiastunach Niebios, ale właśnie tak zawsze rodzą się kłopoty. Jeśli chodzi o bitwę... – Wzruszył ramionami. – Jakaś horda nadeszła z Żelaznego Stepu, żeby dokonać starego dobrego spustoszenia. Spieprzą do domu, kiedy ich juki będą pełne łupów i kiedy zdobędą dość niewolników. Albo kiedy król znajdzie generała, który ich pokona. Zdarza się to co kilka dekad. Zapytaj ją. – Odwrócił się do staruszki i podniósł głos. – Już to widziałaś, prawda, Stary Wężu? Napadających barbarzyńców i całą resztę.

Kobieta napełniła miskę rosołem i nawet na niego nie spojrzała, tylko rzuciła suchym, łamiącym się głosem:

– Jesteś głupcem.

Krab zarechotał i poklepał się po kolanach.

– Ona uwielbia mnie łajać, ale jaki człowiek odmawiałby prababci przyjemności?

Przestał się śmiać, kiedy staruszka mówiła dalej. Najwyraźniej wypowiedzenie czegoś więcej niż krótka obelga nie należało do jej zwyczajów.

– Nazwali to Rokiem Tygrysa. – W głosie miała wyraźną chrypkę. – Kiedy plemiona ze Stepu przejechały przez całe Czcigodne Królestwo, żeby złupić Hahn-Shi.

– Król był wtedy słaby – powiedziała Chien. – Zapijaczony darmozjad, mówili o nim.

– Nie. – Staruszka pokręciła głową. – Był tylko człowiekiem, jak wszyscy królowie. Mądrym pod niektórymi względami, głupim pod innymi. A tylko głupiec nie słucha Zwiastunów Niebios. Było ostrzeżenie, ale on nie zrobił nic, więc barbarzyńcy przyszli i zabrali wszystko, co mieliśmy.

– Nie na długo – wtrąciła Chien. – Król został usunięty z tronu, a jego następca, ojciec samego Lian Sha, stworzył wielką armię. Kości barbarzyńców, którzy najechali te ziemie, leżą teraz pod Czarnymi Klifami. I tak będzie z każdym, kto się tu zjawi.

Gospodyni dosypała soli do miski i podała ją Ellese. Dziewczyna już wcześniej zjadła swoją porcję i była wdzięczna za drugą. Kobieta posłała jej miły uśmiech, ale spochmurniała, kiedy zwróciła się do Chien.

– Więc też jesteś głupia, skoro myślisz, że cokolwiek na tym świecie jest wieczne.

Wzięła pustą miskę Ellese i z zadziwiającą szybkością rzuciła nią w Chien. Ale jej cel okazał się równie szybki. Chien się uchyliła, naczynie o włos ominęło jej głowę i roztrzaskało się o ścianę.

– Wszystko, co zostało zrobione, można zniszczyć – powiedziała staruszka z ukłonem, który nie pasował do wyraźnego braku szacunku w jej oczach. – Dobrze, żebyś to zapamiętała, szanowna siostró.

– Prababcia zasłużyła na swój przydomek – stwierdził Krab, gdy kobieta wróciła do garnków. – Szybka jak kobra i z takim samym temperamentem. Mój ojciec mówił, że stracił rachubę, ile ciał posłała na dno, kiedy jeszcze walczyliśmy ze Srebrną Nicią o kontrolę nad jeziorem.

Chien zachowała nieprzeniknioną twarz, wzruszyła ramionami i wróciła do jedzenia, ale Vaelin dostrzegł drobny tik wściekłości na jej policzku.

– Kiedy wyruszamy?

\*\*\*

Gdy księżyc znalazł się w najwyższym położeniu, ludzie Kraba podpalili statek pożarniczy pięć mil na zachód od młyna i wypuścili go na jezioro.

– To powinno przyciągnąć uwagę Dien-Ven, którzy są dzisiaj na wodzie – wyjaśnił ich przewoźnik, zajmując miejsce przy sterze.

Vaelin i Alum chwycili za wiosła, żeby wypłynąć z ciemnego wnętrza młyna. Gdy dotarli na otwarte wody, podniesiono żagiel zrobiony z wikliny i bambusa, a silna południowa bryza pchnęła ich na środek jeziora.

– Im dalej, tym lepiej – powiedział Krab. – Przemysłowcy trzymają się blisko brzegów, bo łatwiej wylądować i uciec, jeśli pokażą się żołnierze. – Odwrócił się do wiosłujących Vaelina i Aluma i położył dłonie pod policzki. – Teraz spać. Trzeba odpocząć na jutro. Rozumiecie?

– Odpocząć – powtórzył Vaelin i skinął głową. – Tak.

– Dobry chłopak. – Krab poklepał go po ramieniu i wrócił do steru.

– Nie obrażajcie się – odezwała się Chien na widok kwaśnej miny Ellese. – Powszechnie się sądzi, że cudzoziemcy mają mózgi o jedną trzecią mniejsze od urodzonych na tych ziemiach.

– A pani podziela to przekonanie? – zapytał Vaelin.

– O, nie. Powiedziałabym, że... – Chien zastanawiała się przez chwilę – co najmniej cztery szóste naszych. – I zniknęła w nadbudówce.

\*\*\*

Vaelinowi śniła się tamtej nocy bitwa w Alltor, co nie zdarzyło mu się od długiego czasu. Obrazy wyprodukowane przez jego śpiący umysł nie pasowały do prawdziwych wspomnień z tamtego wydarzenia, ale tak to zawsze było ze snami. Tym razem Volarianie nie zareagowali, kiedy ich zaatakował. Stali w równych szeregach, nieruchomi i obojętni jak posągi. Nie uczynili żadnego wysiłku, żeby się bronić, kiedy ich ciął, i patrzyli na niego z obojętnymi twarzami, białymi jak alabaster w nikłym świetle przesianym przez dym, który zalegał nad zniszczonym miastem. Wolne Miecze, Varitai i Kurtai padali przed nim jak pszenica pod sierpem, nie wydając żadnego krzyku, gdy krew tryskała z ich ran i kikutów. Tym razem Płomień, rumak bojowy, na którym pokonał całą drogę z Dorzeczy, nie zginął trafiony strzałą, lecz niósł go przez rzeź dokonywaną na milczących szeregach, a potem dalej do miasta.

Spodziewał się znaleźć Reve na placu ze zbyt dużym mieczem w ręce, witającą go uśmiechem, ale tego dnia czekał na niego ktoś inny. Pośród dywanu z trupów stała smukła, drobna kobieta, a jej czarne włosy wiły się na wietrze jak zjawy. Kiedy ruszył do niej przez ciała, zobaczył, że wszyscy zabici mają znajome twarze. Leżał tu Dentos ze strzałą sterczącą z piersi i zębami wyszczerzonymi w grymasie śmierci. Tam Barkus z odciętą głową i rysami zastygłymi w ostatnim szyderczym uśmiechu. Ultin miał sznur na szyi i spuchniętą, fioletową twarz. Linden Al Hestian wpatrywał się w niego wzrokiem błagającym, żeby uwolnić go od bólu...

Vaelin zamarł na widok następnego poległego. Ten zamglonymi oczami spoglądał w zasnute dymem niebo, a twarz miał prawie nierozpoznawalną z powodu licznych cięć i ran kłutych. Nie był świadkiem śmierci Caenisa, ale wyobrażał ją sobie wiele razy. Jednakże okropieństwa stworzone przez jego wyobraźnię nie zbliżyły się nawet do tego, co teraz zobaczył. Jego ból musiał być niewyobrażalny, pomyślał, chwając się pod nagłym ciężarem żalu, który już zdążył osłabnąć. Przykro mi, bracie...

– Nie mogłeś ich uratować.

Vaelin pomknął wzrokiem ku smukłej kobiecie. Nie widział jej twarzy, ale znał ten głos równie dobrze jak otaczających go zmarłych. Kiedy się odwróciła, jej oczy były białe w bladej, kościstej masce, oczy mówiące, że duch opuścił ciało.

– Nie mogłeś mnie uratować.

Jej cienką suknię wiatr porwał jak dmuchawiec, tak że kobieta została naga. Na ciele nie miała żadnych śladów, bo zginęła od jednego dotknięcia.



Mimo to nie dostrzegął w niej teraz piękna. Ze skóry, która na pewno byłaby w dotyku zimna jak lód, wyciekło całe życie.

– Dlaczego sądzisz, że możesz ją uratować? – zapytała Dahrena. – Dlatego że kochałeś ją bardziej? To ona była tą jedyną, której zawsze pragnąłeś? Dlatego pozwoliłeś mi umrzeć?

Jej słowa wbijały się weń z siłą setki strzał, pozbawiając go siły, tak że osunął się na kolana, a jego usta poruszyły się w szeptanych, bezsensownych błaganiach, bo nie miał dla niej żadnych słów. Zostały mu jedynie poczucie winy i smutek.

Dahrena zamrugła, a po masce jej twarzy przemknął wyraz litości.

– Biedny Vaelin. Dlaczego po prostu nie zostałeś w swojej wieży? To również by cię nie uratowało, ale przynajmniej miałbyś kilka lat spokoju.

Vaelin odetchnął głęboko i zakaszłał, kiedy dym podrażnił mu gardło.

– Wilk... wykrztusił, próbując uspokoić łomoczące serce. – Zawył...

– Wilk. – Dahrena zaśmiała się ochryple. Nigdy wcześniej nie słyszał u niej takiego śmiechu. – Jak na kogoś, kto z taką gorliwością unika bogów, coś chętnie korzysz się przed umierającymi resztkami Bezimiennych. Zawył, to prawda.

Podeszła do niego, a gęstniejący dym spowijał jej nagie ciało jak płaszcz. Vaelin patrzył na nią znieruchomiały jak volariańska armia, którą wymordował, i z przerażeniem zobaczył, że opuszcza rękę, żeby pogłaskać go po policzku. Jej dotyk był jak lodowe ostrze na jego skórze.

– Zawołał cię na przedwczesną śmierć...

\*\*\*

– Bracie!

Obudził się z wonią dymu w nozdrzach i zamrugął na widok pełnej napięcia twarzy Nortaha.

– O co chodzi?

– Kłopoty, sądząc po wyglądzie. – Nortah rozwinął koc, w którym ukrył broń, i teraz nasadzał strzałę na łuk. – I zapachu.

Vaelin wyjął ze swojego koca miecz, obudził Ellese i Sehmona i opuścił kabinę. Alum już siedział na jej dachu, ściskając ręką maszt i wpatrując się w coś, co znajdowało się na zachodzie. Dostrzegłszy Vaelina, rzekł z posępnym uśmiechem:

– Zdaje się, że mamy talent do trafiania na piratów nawet daleko od morza.

Świt zabarwił powierzchnię jeziora na bladoróżowo pod utrzymującą się jeszcze mgiełką, łatwo więc było dostrzec obiekt zainteresowania Aluma. Z płonącej milę dalej łodzi unosił się słup dymu. Wydawało się, że jednostka zbliżona wielkością do łodzi Kraba dryfuje, a płomień lizały ją całą od rufy do dziobu, łącznie z żaglem. Za nią Vaelin ujrzał dwa inne statki, równie duże jak pierwszy, otoczone przez gęste skupisko mniejszych jednostek. Dźwięki towarzyszące zamieszaniu były słabe, ale Vaelin dobrze znał odgłosy walki i przerażenia.

– Srebrna Nić – rzucił do Chien stojący przy sterze Kran. Oboje z zawodową pogardą przyglądali się potyczce. – To, co z nich zostało. Wzięli się do polowania na chłopów uciekających na południe. Od dawna nie widziałem tylu tych drani w jednym miejscu. Ale pewnie trzy łodzie pełne bezbronnych wieśniaków były zbyt łakomym kąskiem, żeby go sobie darować.

– Co robimy, wujku? – spytała Ellese, zjawiając się na pokładzie z łukiem w ręce.

– Nic, dziewczyno – odpowiedziała jej Chien i spojrzała na Kraba. – Lepiej przez jakiś czas płynąć na wschód. Nie ma potrzeby ściągać na siebie uwagi.

– Nie możemy tak po prostu zostawić tych ludzi – zaprotestowała Ellese, przenosząc wzrok ze Chien na Vaelina. – Wujku?

Trudno mu było patrzeć na jej twarz pełną wątpliwości i dezorientacji, ale dopiero krzyk go przekonał. Pełen bólu i rozpaczony poniósł się z obłączonych łodzi echem po wodzie niczym dźwięk wojennego rogu, zawodzący i natarczywy. Vaelin odwrócił się do Nortaha i obaj bez słów skinęli głowami.

– Zostań z lordem Nortahem – polecił Vaelin. – On ci powie, gdzie celować. Panie Sehmon, proszę pilnować moich pleców.

Młodzieniec wyprostował się, ściskając miecz.

– Oczywiście, milordzie.

– Zawieź nas tam – powiedział Vaelin do Kraba w chu-shin, wskazując głową na łodzi.

W pierwszej chwili zaskoczony płynnością jego wymowy przewoźnik zaśmiał się z lekceważeniem.

– Tylko ja rozkazuję na tej łodzi, cudzoziemcze...

Zamknął usta, kiedy Vaelin podszedł do niego i przycisnął nóż myśliwski do nadmiaru ciała na jego szyi, a wszystko to bez śladu wahania, jednym płynnym ruchem wykluczającym jakąkolwiek reakcję.

– To niemądre – ostrzegła Chien. – Karmazynowa Banda ma porozumienie ze Srebrną Nicią...

– A ja nie. – Vaelin mocniej przycisnął ostrze do szyi Kraba, a nozdrza mężczyzny rozdziły się z wściekłości zmieszanej ze strachem. – Zawieź nas tam. Natychmiast.

## Rozdział jedenasty

Łuk Nortaha zaczął śpiewać, gdy tylko kotłowisko łodzi znalazło się w zasięgu strzału. Pierwszy pocisk poleciał wysokim łukiem i wbił się w plecy mężczyzny stojącego na pokładzie dziobowym najbliższej jednostki. Stanowił on cel łatwy do zidentyfikowania, bo zanim został trafiony, był zajęty zdzieraniem ubrania z zawzięcie walczącej kobiety. To właśnie krzyki tej kobiety przemówiły do Vaelina, a ucichły, kiedy napastnik wyprostował się i zachwiał, na próżno usiłując sięgnąć po drzewce sterczące z jego pleców. Strzała Ellese trafiła go w pierś, posyłając mężczyznę do wody.

– To przesadza sprawę – stwierdziła Chien z gorzką rezygnacją i, unosząc łaskę, powiedziała do Kraba: – Musimy ich wszystkich wykończyć. Jeśli wieść dotrze do ich braci, zacznie się wojna.

Przewoźnik niechętnie skinął głową, nie odrywając wzroku od Lorda Wieży.

– To już nie jest konieczne – wychrypiął, łypiąc na nóż nadal przyciśnięty do jego szyi.

Vaelin mruknął z zadowoleniem i schował broń do pochwy przy pasie. Następnie odwrócił się i spojrzał na szybko zbliżający się chaos. Płomienie, które trawiły większą łódź, buchnęły wyżej i spowiły wszystko jeszcze gęściejszą chmurą dymu, a ta zasłoniła Nortahowi i Ellese cele. Podczas gdy Sehmon i Alum pracowali wiosłami, żeby zmniejszyć dystans, Vaelin usłyszał świszczący chór wypuszczonych jednocześnie pocisków.

– Padnij! – wykrzyknął Nortah i rzucił się płasko na deski, widząc grad bełtów wylatujący z dymu i spadający na pokład.

Ellese zakłęta, kiedy jeden drasnął jej rękaw, zanim stoczyła się z dachu nadbudówki.

– To tylko zadrapanie – powiedziała do oglądającego jej ramię Vaelina.

Rana krwawiła bardziej niż zwykłe draśnięcie i wymagała zszycia, ale nie było teraz na to czasu.

– Nadal jest robota do wykonania – powiedział Vaelin, wskazując głową na rufę.

Ellese zmarszczyła brwi, słysząc jego beznamiętny ton, ale, jak ostatnio miała w zwyczaju, zachowała ostrą odpowiedź dla siebie. Przygotowała sobie strzałę, wychyliła się zza osłony, naciągnęła cięciwę i wystrzeliła, po czym schowała się z powrotem, kiedy nad jej głową świsnęły trzy bełty.

– Co najmniej jednego mniej – skomentowała.

– Alumie. – Lord Wieży ruszył na dziób. – Zechciałbyś do mnie dołączyć? Panie Sehmon, proszę zostać tutaj i zaopiekować się panem Erlinem. – I jeszcze... – Vaelin obejrzał się na Kraba i wrócił spojrzeniem do Veka. – Proszę dopilnować, żeby kapitan nie postanowił się oddalić.

– Jak pan sobie życzy, milordzie.

Vaelin ukucnął za solidnym kłocem drewna na dziobie. Było na nim wiele starych rys, przypuszczalnie pamiątek po sytuacjach takich jak obecna. Zaczekał, aż dziób otrze się o kadłub drugiej łodzi, a wtedy wstał, odbił się i skoczył na jej pokład, jednocześnie sięgając za plecy po miecz. Po jego prawej stronie wyskoczył z dymu człowiek z wysoko uniesioną bronią o szerokim ostrzu, podobną do tasaka. Strzała Ellese zaświszczała obok ucha Vaelina i wbiła się w pierś mężczyzny, nim zdążył zadać cios, i przeszła go aż do kręgosłupa. Vaelin przeskoczył nad ciałem i uniósł miecz w samą porę, żeby sparować pchnięcie włócznią o zakrzywionym ostrzu, która pojawiła się przed nim w gryzącym mroku.

Przeciwnik cofnął włócznię i spróbował ponownie, tym razem celując w oczy. Był szybki i doświadczony, ściągniętą, wzburzoną twarz miał umazaną posoką, ale gniew uczynił go niezręcznym. Pchnięcie zadano ze zbyt dużą energią, przez co broń minęła cel, a twarz i szyja napastnika zostały wyeksponowane. Cios Vaelina rozciął go od brody po czoło, zmieniając wykrzywione rysy w miazgę. Mimo to ranny czepiał się życia. Zatoczył się do tyłu z krwią buchającą z rozciętej twarzy i mamrocząc coś w panice. Wymachiwanie rękami miało dobroczynny wpływ na czterech zbliżających się towarzyszy, zmusiło ich bowiem do uskoczenia przed jego kapryśną włócznią. Ta chwila przerwy wystarczyła, żeby Nortah trafił dwóch, precyzyjnie umieszczając drzewce w ich piersiach. Trzeci wyrzutek zaklął i odepchnął swojego nadal miotającego się ранego kompana, posyłając go za burzę.

Alum zastąpił drogę dwóm pozostałym. Włócznia Moreski zmieniła się w rozmazaną plamę, kiedy zatoczył nią z lewa na prawo, rozcinając szyję jednego przeciwnika i wbijając ją głęboko w ramię drugiego. Miecz o wąskim ostrzu wypadł z bezwładnych palców ранego, a on wrzasnął

z bólu i wściekłości, odwrócił się i próbował uciec w dym, ale padł martwy, kiedy Vaelin rzucił nożem między jego łopatki.

– Proszę...

Kobieta z pokładu dziobowego ukucnęła u jego stóp, przyciskając podarte ubranie do swojego chudego ciała. Vaelin skrzywił się na widok jej sterczących łopatek. Najwyraźniej już od jakiegoś czasu cierpiała głód, zanim padła ofiarą napaści.

– Nie wstawaj. – Vaelin położył dłoń na jej ramieniu. – To jeszcze nie koniec.

Gdy kobieta pokręciła głową, jej włosy rozdzieliły się, odsłaniając wynędzniałą twarz i brwi ściągnięte raczej z konsternacji niż ze strachu.

– Ładunek – powiedziała, wskazując na szczelinę w deskach pokładu. – Jeśli dotrą do niego płomienie...

Zerkając między deskami, Vaelin zobaczył stos dużych glinianych dzbanów i kilka par jasnych oczu łypiących w mroku. Pochyliwszy się niżej, dostrzegł skulone postacie kilkorga dzieci, równie chudych jak kobieta kłęcząca obok niego.

– Co to jest? – zapytał.

– Nafta. Wieźliśmy ją całą drogę. Kupilibyśmy za nią nowy dom, tak mówił mój mąż. – Zaśmiała się gorzko i od razu rozkaszała.

Vaelin rozdał nozdrza i wciągnął zapach dymu. Dopiero teraz wyczuł w nim gęste, oleiste nuty, inne niż w dymie z drewna. Przypomniał sobie, w jaki sposób ogień nagle pochłoniął pierwszą łódź, obrzucił spojrzeniem pokład i dostrzegł kilka płomieni na linach i drewnianych elementach.

– Alumie! – zawołał, wstając. – Potrzebujemy wody...

– Wujku!

Gdy po krzyku Ellese skierował wzrok na wschód, zobaczył kilkanaście małych łodzi wyłaniających się z dymu, w każdej pięciu albo więcej ludzi, wielu z nich z kuszami wycelowanymi prosto w niego. Rzucił się na pokład i usłyszał jednoczesne łupnięcia dziesiątków bełtów rozrywających drewno. Kiedy pierwszy atak się skończył, Vaelin rozejrzał się za kobietą i zobaczył, że cała i zdrowa kuli się przy worku ziarna. Słyszając ciche przekleństwo, zerknął na Aluma, który owiazywał przedramię kawałkiem płótna.

Od strony napastników dobiegł chór gniewnych okrzyków. Vaelin podniósł się i zobaczył, jak jeden z nich wpada do wody ze strzałą w szyi. Kolejne pociski nadleciały szybko po pierwszym, kiedy Nortah i Ellese, mając przed sobą bogactwo celów, przystąpili do kontrataku. Padło trzech

kolejnych przeciwników, zanim cztery jednostki odłączyły się od stada. Wioślarze trudzili się, żeby ustawić je wzdłuż łodzi Kraba. Reszta ruszyła na Lorda Wieży. Kusznicy gorączkowo ładowali broń. Vaelin oceniał, że on i Alum wkrótce staną wobec trzydziestu albo więcej przeciwników. Podczas gdy Vaelin Al Sorna z popularnego mitu nie dostrzegłby w tej sytuacji dużego wyzwania, on nigdy nie padł ofiarą takiego szaleństwa, żeby uwierzyć we własną legendę.

Pobiegł wzrokiem do pojemników z naftą i nagle przypomniała mu się pewna nauczka, którą jego siostra kiedyś dała Volarianom.

– Wyprowadź dzieci na pokład – polecił kobiecie. – Szykujcie się do przeskoczenia na naszą łódź, kiedy wam powiem.

Kobieta zerknęła wystraszona na zbliżających się napastników i skinęła głową. Podeszła do luku i zawołała do dzieci. Kiedy zgarnęła popłakujących malców na pokład dziobowy, Vaelin zszedł do ładowni, żeby zabrać tyle dzbanków, ile zdoła unieść.

– Mamy się zapić na śmierć? – spytał z rozbawieniem Alum, patrząc, jak Vaelin wyjmuje korek z naczynia.

Vaelin oderwał pas szorstkiej tkaniny od worka z ziarnem, nasączył go naftą i wcisnął w dzióbek naczynia. Wypatrzywszy język ognia lizący zwój liny, przystawił do niego dzban i podpalił lont.

– Sądzę, że masz lepszy rzut – powiedział, wręczając bombę Alumowi.

Moreska z powątpiewaniem zmierzył wzrokiem naczynie, a potem uniósł brwi ze zrozumieniem. Wziął pocisk od Vaelina, podniósł się z przysiadu, uchylił przed natychmiastowym gradem bełtów i znowu wstał. Cisnął dzban w powietrze szerokim ruchem znad głowy. Prowizoryczny knot buchnął płomieniem, kiedy naczynie poleciało łukiem w stronę nadpływających łodzi i wylądowało w samym środku pierwszej z nich, po czym eksplodowało jaskrawą żółtą kulą ognia. Rozległy się krzyki, a zaatakowani zaczęli bić na sobie płomienie, które przez ubranie wżerały się w ciała. Chwilę później pusta łódź dryfowała, a woda zakotłowała się od szamoczących ludzi.

– Rzeczywiście przebiegłość szakala – z aprobatą stwierdził Alum i wyciągnął rękę po następny pocisk.

Pracowali w stałym rytmie. Vaelin przygotowywał dzbanki, a Moreska rzucał je celnie. Cisnął ich sześć w ciągu kilku minut. Jezioro za lewą burtą wkrótce wypełniło się krzyczącymi ludźmi i płonącymi łodziami. Vaelin patrzył, jak dwie ocalałe jednostki wykonują szybki zwrot i znikają

w dymie, a ich załogi zaznaczają swoją ucieczkę mnóstwem wściekłych obelg i pożegnalnym gradem strzał, z których żadna nie trafiła w cel.

Poczucie zwycięstwa nie trwało długo, bo Vaelin usłyszał szcęk ostrzy dochodzący z łodzi Kraba. Jeden z czterech wrogich statków, które oddzieliły się od stada, teraz dryfował, a jego załoga leżała przeszyta strzałami, martwa albo umierająca. Pozostałym trzem jednostkom udało się przypościć atak i kilkunastu napastników właśnie wdrapywało się na łódź Kraba z bronią w ręce. Vaelin zobaczył, że Ellese wymierza solidny kopniak w głowę jednego, posyłając go za burtę. Potem zrobiła unik przed tasakiem następnego, a Nortah przebił go mieczem.

W gardle Vaelina wezbrał ostrzegawczy krzyk, kiedy dwóch bandytów wyskoczyło zza jego brata, ale głos uwiązł mu w krtani, gdy za nimi pojawiła się Chien. Unosząc laskę nad głową, zakreśliła nią i z drewnianego trzonka wysunęło się stalowe ostrze o długości jarda. Chien wykonała nim błyskawiczny, prawie niewidzialny ruch i opadła na jedno kolano. Dwaj wyrzutkowie zatoczyli się do tyłu i upadli, a z identycznych cięć na ich szyjach tryskała krew.

Chien odwróciła się w stronę rufy, a Vaelin zobaczył, że Sehmon i Krab rozpaczliwie odpierają gromadę atakujących. Sehmonowi udało się zabić jednego i teraz mieczem czerwonym aż po rękojeść parował ciosy wrogów. Resztę trzymał na dystans Krab, który uzbroił się w topór i teraz wymachiwał nim z szybkością świadczącą bardziej o sile niż o umiejętnościach.

Vaelin zobaczył, że Chien skacze między ocalałych napastników, a jej stal błyska po raz kolejny. W ciągu paru sekund było po wszystkim, trzej wyrzutkowie leżeli martwi, a jedyny ocalały klęczał z pustymi rękami i głową nisko opuszczoną w geście poddania. Vaelin zobaczył, że usta Chien się poruszają, być może w przeprosinach, zanim wbiła czubek swojego ostrza w podstawę czaszki klęczącego mężczyzny.

– Pośpieszcie się! – krzyknęła do Vaelina, przywołując go energicznie, i wskazała czerwoną stalą w stronę uciekających łodzi. – Musimy zabić resztę!

\*\*\*

– Pierwszy raz Stahlhast pojawił się zeszłej wiosny. – Imię chudej kobiety brzmiało Ahn-Jin. Mówiła z akcentem bardzo różniącym się od wymowy



Chien, a jej głos miał miękkość, która przeczyła jej opowieści. Mieszkanka górskiej krainy w pobliżu północnej granicy siedziała blisko rufy razem z pięciorgiem swoich dzieci i wspominała, jak jej lud został zmuszony do ucieczki ze wsi. – Za pierwszym razem było ich około stu. Ukradli naftę, którą wydobyliśmy spod ziemi, i trochę naszych młodych, a zabili tych, którzy próbowali walczyć.

– Więc to są ich jedyne cele? – zapytał Vaelin. – Kradzież i rzeź?

Kobieta pokręciła głową z posępną miną.

– Dali wyraźnie do zrozumienia, że to tylko pierwszy cios z wielu. Powiedzieli nam, że ich bóg stał się ciałem i teraz jedzie na czele ich hordy. Wkrótce zapuści się na południe, żeby zgarnąć całe bogactwo Kupieckich Królestw. Kiedy kradli i zabijali, śmiali się, ale gdy mówili o bogu, nie było żadnego śmiechu. Każdy skłaniał głowę, gdy wymawiał jego imię, a robił to szeptem.

– Jego imię? – powtórzył Vaelin.

Ahn-Jin skinęła głową i wypowiedziała krótkie zdanie w chu-shin. Vaelin wyprostował się zaskoczony.

– Bracie? – odezwał się Nortah. – Co ona powiedziała?

– Stahlhast ma przywódcę. Człowieka, którego podobno uważają za żywego boga. Jego imię... – Vaelin zaśmiał się cicho, kręcąc głową. Na pewno to zwykły zbieg okoliczności. – Jego imię tłumaczy się dosłownie jako „Ostrze Ciemności”.

Ellese parsknęła śmiechem, co nie zdarzyło się jej od wielu dni.

– Jakie to niegrzeczne z jego strony, że nie poprosił cię o pozwolenie, wujku. – Widząc zdziwienie Aluma, dodała w języku królestwa, powoli wymawiając słowa: – Jeśli chodzi o mój lud, on – wskazała głową na Vaelina – jest Ostrzem Ciemności. Wymieniony w Proroctwach Dziewicy jako wielki i straszny bicz zesłany na tych, którzy cieszą się miłością Ojca, później odkupiony przez słowo błogosławionej lady Revy, jak zostało opisane w Księdze Jedenastej. – Zamknęła oczy i wyrecytowała z wyćwiczoną dokładnością: – „I tak Ostrze Ciemności przybył do Alltoru w chwili największej potrzeby, po czym stała i furia zmył swoje grzechy krwią naszych wrogów”. – Otworzyła oczy i popatrzyła na Vaelina ze szczerą powagą. – To po prostu się nie uda, wujku. Nie może być was dwóch. To bluźnierstwo.

Vaelin posłał jej miażdżące spojrzenie i odwrócił się do Ahn-Jin.

– Zatem dlaczego uciekliście?

– Nie uciekliśmy od razu. Królewscy żołnierze przybyli dzień później i oficer powiedział nam, że to była zwykła napaść i że powinniśmy lepiej walczyć, żeby obronić własność króla. Obciążono nas również grzywną za to, że nie oddaliśmy naszego rocznego kontyngentu. W ciągu następnych miesięcy Stahlhast napadał na inne wioski, zawsze w większej liczbie, zawsze brał coraz więcej, zabijał więcej. Później król wysłał swoją armię, a żołnierze również nas ograbili. „Musimy jeść, żeby móc walczyć w waszej obronie”, mówili. Po kilku tygodniach wrócili, tyłu, ilu ich zostało, kilka dziesiątek wygłodzonych, przerażonych nieszczęśników, którzy próbowali znowu nas okraść. Ludzie z wioski zabili ich kilofami. Chcieliśmy zostać, niektórzy starsi przekonywali, że podboje zdarzały się już wcześniej, że nawet znienawidzone plemiona, które zapuszczały się aż do stolicy, można było przekupić złotem albo naftą. Ale wtedy... – twarz kobiety jeszcze bardziej spochmurniała – ...przyszli inni.

– Inni? – ponaglił ją Vaelin.

– Inni w niewoli Ostrza Ciemności, ale to nie Stahlhast. Pochodzili z północnych wiosek i byli tacy jak my, jeśli chodzi o język i stroje, ale... odmienieni. Większość nie miała koni, niewiele broni i zbroi, a mówili tylko o nim, o swojej miłości do niego. „Wszyscy zostaniecie odkupieni w oczach Ostrza Ciemności”, mówili, a potem powiesili mnicha, który dbał o naszą świątynię, na słupie bramy i rozcięli mu brzuch, kiedy jego nogi jeszcze kopały. Potem wiedzieliśmy, że nie możemy zostać. Chciałam ruszyć na wschód, na wybrzeże, za nasz olej kupić bilety na statki, które zabiorą nas daleko. Mój mąż uważał inaczej.

Zerknęła na dwie dryfujące łodzie, które teraz znajdowały się dwieście jardów za nimi. Ogień najwyraźniej znalazł ładunek drugiej, bo w środku chmury dymu można było zobaczyć jasny kwiat płomieni.

– On zawsze uważał, że wie lepiej – mruknęła.

– Durni wieśniacy – wymamrotał Krab, który stał u steru i ze wzrokiem wbitym w północny horyzont wypatrywał uciekających. – Powinniście sprzedać olej pierwszemu kupcowi, na którego trafiliście. Im dalej podróżujecie, tym bardziej prawdopodobne, że zabierze go wam ktoś taki jak ja. – Skierował groźne spojrzenie na Aluma i Sehmona, którzy pracowali przy wiosłach. – Szybciej, wy cudzoziemskie śmiecie! Jeśli dotrą do brzegu, przed nocą będzie nas ścigać cała Srebrna Nić, a oni nie będą w nastroju do wybaczenia.

– Co to miało znaczyć? – zapytał Alum Lorda Wieży.

– Musimy płynąć szybciej. – Vaelin wstał i trącił butem napięty grzbiet Sehmona. – Odpocznij trochę. Ja cię zastąpię.

On i Moreska wiosłowali ponad godzinę, a szybkość łodzi zwiększyła się dzięki umiejętnemu ustawianiu żagla przez Kraba, który starał się jak najlepiej wykorzystać wiatr.

– Ha! – wykrzyknął w końcu od steru i obnażył zęby w drapieźnym uśmiechu. – Kierują się do Jaskini Czapli.

– To dobra wiadomość? – zapytał Vaelin i stęknął, napierając na wiosło.

– Tutaj prąd płynie na zachód. – Krab wskazał głową na żagiel. – My mamy do pomocy wiatr, oni nie. Ty i ty. – Wskazał na Nortaha i Ellese. – Ruszajcie. Zabijcie ich, kiedy będą dostatecznie blisko. Wszystkich, pamiętajcie.

Gdy Lord Wieży przetłumaczył rozkaz, dwoje łuczników posłusznie zajęło pozycje na dziobie, nasadziło strzały na łuki i czekało, aż łódź wyrzutków znajdzie się w ich zasięgu. Po jakichś dwudziestu minutach wiosłowania Vaelin usłyszał, jak Ellese pyta:

– Czy to... okręt?

Niepewność w jej głosie sprawiła, że Vaelin zatrzymał się w pół ruchu. Potem wstał i skierował wzrok na dziób, ignorując rozkaz Kraba, żeby się przyłożyć. Dostrzegł bardzo dużą jednostkę wyłaniającą się z mgły kilkaset jardów od nich. Rzeczywiście był to statek, a nie łódź. Woda burzyła się przed ciemnym kadłubem, kiedy sunął przez jezioro, napędzany przez dwanaście wiosł po każdej stronie. Zamiast jednego żagla miał ich trzy, główny ozdobiony białym symbolem, który Vaelin ostatnio widział, kiedy ambasador Kohn przedstawił swoje listy uwierzytelniające z pieczęcią króla Lian Sha.

Na ogromnym pokładzie dziobowym zobaczył gęste skupisko ludzi ubranych na czerwono i stojących z uniesionymi łukami. Wszyscy łucznicy wypuścili po jednej strzale, chmura pocisków poleciała wysoko i spadła na dwie jednostki bandytów. Powierzchnia jeziora zrobiła się biała od strzał, obie łodzie zasypała lawina drzewc. Z pewnością żaden wyrzutek nie pozostał przy życiu.

– Niebo znowu jest dla mnie niełaskawe! – zaklął Krab, napierając mocno na koło sterowe i ciągnąc linę obsługującą żagiel. Łódź posłusznie przechyliła się na prawą burtę i przez chwilę kołysała, zanim wyrównała kurs. – Wracać do wiosł! – rozkazał krótko kapitan, a jego oczy skierowane na zachód błysnęły.

Vaelin odwrócił się i zobaczył kolejne trzy statki wynurzające się z mgły. Były mniejsze od pierwszego, ale dobrze obsadzone przez wioślarzy i wszystkie z tym samym symbolem na żaglach. Poruszały się zbyt szybko, żeby można było liczyć na ucieczkę.

Krab zdjął rękę ze steru i wymienił kwaśne spojrzenie z Chien.

– Czarny węzeł?

Kobieta skinęła głową, wykrzywiając twarz w grymasie przypominającym uśmiech.

– Zasada jest jasna – powiedziała głosem zdradzającym jedynie nutę przeprosin.

– Nie mówiłem tego wcześniej – zaczął kapitan – ale zawsze uważałem twoje towarzystwo za wyjątkowo nieprzyjemne...

Laska Chien szcęknęła, ostrze przecięło jego gardło. Krab opadł na kolana, charcząc, kiedy krew trysnęła z ziejącej rany pod brodą. Potem runął twarzą na pokład i znieruchomiał po kilku spazmach.

– Ciebie mogą oszczędzić – powiedziała Chien, zwracając się do Vaelina. Wskazała głową na kucającą Ahn-Jin, która osłaniała przerażone dzieci. – Powiedz im, że to nasi jeńcy, może ich również oszczędzą.

Wziąwszy głęboki wdech, umieściła czubek broni tuż pod swoim mostkiem i zacisnęła zęby w oczekiwaniu na pchnięcie. Vaelin rzucił się, zanim zdążyła wbić w siebie ostrze, i uderzył ją pięścią tuż pod nosem. Jej głowa odskoczyła do tyłu. Chien zachwiała się, a jej szybko mętniejące oczy znalazły dość siły, żeby spiorunować go wzrokiem pełnym czystej nienawiści. Potem padła bez zmysłów na pokład.

– Co teraz? – zapytał Nortah, przerywając ciszę.

Vaelin uniósł brew i spojrzał pytająco na Erlina, a on odpowiedział mu słabym uśmiechem.

– Sprzymierzyliśmy się z wyrzutkami – zaczął wyliczać. – Przyszliśmy również z odsieczą przemytnikom i podróżowaliśmy po dominium króla bez pozwolenia. Wszystkie te przestępstwa są karane śmiercią.

Vaelin spojrzał na statek zbliżający się szybko z każdym pociągnięciem licznych wiosł. Był teraz dostatecznie blisko, żeby dało się dostrzec na pokładzie dziobowym łuczników ze strzałami nasadzonymi na łuki, choć pewne pocieszenie stanowiło to, że jeszcze ich nie unieśli.

– Odłóżcie broń – rozkazał swoim ludziom, sam też odpiął miecz i rzucił go na pokład.

Wspiął się na nadbudówkę i złożył precyzyjny ukłon zbliżającemu się statkowi: głowa opuszczona o trzy cale, pierś tylko lekko wysunięta do przodu, ręce na wysokości pasa, otwarte i rozłożone na boki. Był to ukłon, którego nauczył go Erlin na Morskiej Osie, specjalnie na takie właśnie okoliczności; pozdrowienie szlachetnego emisariusza na dwór władcy Kupieckich Królestw. Jego niepewności co do efektu nie zmniejszył spontaniczny wybuch śmiechu, który dobiegł od łuczników zgromadzonych na pokładzie dziobowym.

– Chyba to nie jest dobry znak – mruknął Nortah, zanim dziób królewskiego okrętu uderzył mocno w ich kadłub, tak że wszyscy runęli na deski.

# Część II

Bój się człowieka z włócznią bardziej niż człowieka z mieczem. Bój się człowieka na koniu bardziej niż człowieka z włócznią. Bój się człowieka z kuszą bardziej niż człowieka na koniu. A najbardziej bój się starej kobiety, która przychodzi z nożem, kiedy leżysz i krwawisz na koniec bitwy, bo ona wcale się ciebie nie boi.

Żołnierskie prawidło, Szmaragdowe Imperium,  
ok. trzeciego wieku Boskiej Dynastii

# Relacja Luralyn

## Drugie pytanie

Kiedy przeczytałam kilka relacji o życiu mojego brata, spisanych przez tych, którzy pochlebiają sobie tytułem „historyka”, uderzyło mnie, jak często używają zwrotów: „panowanie terroru” i „droga zniszczenia”, zwłaszcza w odniesieniu do początku jego podbojów. Zdecydowanie odrzucam wszelkie sugestie, że staję się apologetką brata, bowiem moim celem jest zamieszczenie na tych stronicach uczciwej opowieści. Dlatego moim obowiązkiem jest zapewnić, że pierwsze kroki Kehlbranda Reyerika na drodze do boskości nie były ani straszne, ani destrukcyjne. W całej historii wielu zdobywców zbudowało swoją władzę dzięki połączeniu militarnej siły z późniejszym ujarzmieniem zastraszonej ludności. Inni, tacy jak mój brat i sławna Królowa Ognia z barbarzyńskiego Wschodu, są mądrzejsi, bo wiedzą, że jeśli chcą przetrwać, podbici muszą mieć powód, żeby kochać swojego zdobywcę.

Po wyznaczeniu Kehlbranda na skeltira Covy nastąpił roczny okres konsolidacji. Rywale byli od razu pokonywani dzięki przemyślanej taktyce bitwy albo osobistego wyzwania. Sojusze z wieloma innymi skeldami zostały umocnione poprzez małżeństwa. Kehlbrand wziął za żony cztery córki bratnich skeltirów i wydał połowę swoich sióstr i kuzynek za synów luminarzy Stahlhastu. Kiedy został wezwany do Wielkiego Toru, żeby odpowiedzieć na Drugie Pytanie, był bez wątplenia najpotężniejszym skeltirem, jaki kiedykolwiek żył, choć pełna dominacja jeszcze nie została osiągnięta.

Tym razem nie było dramatu, kiedy mestra-dirhmar wygłosił swoje oświadczenie, choć znowu wyczułam wyraźną niechęć w zachowaniu starca. Zauważyłam również, że pomniejsi kapłani odwrócili się plecami i odeszli tuż po zakończeniu ceremonii potwierdzającej sukces drugiego kroku Kehlbranda ku uznaniu go za mestra-skeltira.

Mestra-dirhmar zwlekał chwilę, zanim ruszył za swoimi braćmi do Wielkiego Toru, a mnie udało się usłyszeć jego ciche słowa skierowane do mojego brata:



– Porzuć tę ścieżkę, Kehlbrandzie Reyeriku. Obaj wiemy, że trzecie pytanie będzie dla ciebie za trudne. Za bardzo siebie kochasz, żeby na nie odpowiedzieć.

Inni skeltirowie obruszyliby się na tę zniewagę, ale Kehlbrand tylko się roześmiał.

– Nie, ty sprzedajny głupcze. Kocham siebie za bardzo, żeby tego nie zrobić.

– Jak brzmiało? – spytałam, kiedy jechaliśmy z powrotem do obozowiska. Chociaż wcześniej podzielił się ze mną tym, co opowiedział mu nasz brat, dużo nadal pozostawało przede mną ukryte. – Jakie było drugie pytanie?

– Naprawdę proste. Zapytał mnie: „Co to jest bóg?”.

– A odpowiedź?

– Wszystko we właściwym czasie, żrebaczku. – Brat roześmiał się i popędził konia do galopu. – Wszystko we właściwym czasie.

Mistrzowskie posunięcie Kehlbranda, jeśli chodzi o zapewnienie ostatecznej dominacji Hastu, miało miejsce następnej wiosny, kiedy przekonał innych skeltirów, żeby przekazali mu władzę nad swoimi torami. Kehlbrand już dawno zrozumiał, że prawdziwe bogactwo Stahlhastu zawsze kryło się w torach, z których wydobywamy żelazo, żeby później przetopić je na stal. Wokół każdego toru istniało skupisko chałup i warsztatów, w których niewolnicy przekuwali metal w broń i zbroje, podczas gdy inni zajmowali się hodowlą najlepszych koni na świecie. Takie prace od dawna uważano za coś, co jest poniżej godności urodzonych w Haście. Najazdy na południowe ziemie często były powodowane koniecznością zdobycia siły roboczej, bo niewolnicy mieli skłonność do umierania po zaledwie kilkunastu latach produktywności. Tego rodzaju organizacja była skuteczna w produkowaniu stali dobrej jakości, ale jednocześnie wyjątkowo niewydajna.

– Co sezon musicie zostawiać połowę wojowników, żeby strzegli torów i batożyli niewolników – wyjaśniał Kehlbrand zgromadzonym skeltirom. – Jeśli mamy kiedykolwiek dotrzeć do Złotego Morza, to musi się zmienić. Przekażcie swoje tory w moje ręce. One nadal będą należeć do was, wszyscy niewolnicy i stal nadal będą wasi, ale ja zajmę się ich doглядaniem, a nagrody będą wielkie.

– Ale kto będzie ich strzegł? – zapytali skeltirowie. – I kto będzie batożył niewolników?

– Wkrótce Stahlhast stanie się jednością – odparł Kehlbrand. – A skeldy nie będą się okradać nawzajem. Jeśli chodzi o niewolników... – Zrobił pauzę, a ja pamiętam, że na jego wargach igrał lekki uśmiech, kiedy opuścił głowę, mamrocząc coś w języku południowych ziem, wśród obecnych znanym tylko mnie. – Jaki bóg potrzebuje chłostać swoich wyznawców? – Uśmiech zniknął, gdy Kehlbrand uniósł głowę. Na twarz przywołał zdecydowany, groźny wyraz. – Nauczą się bać najzwyczajszego spojrzenia Ostrza Ciemności o wiele bardziej niż pocałunków bicia.

Oczywiście były sprzeciwy, głosy potępiające tego, który chciał odrzucić wieki tradycji i sprowadzić nas ze ścieżki wytyczonej wiele lat temu przez Niewidzialnych. Ten opór zmusił Kehlbranda do zaangażowania się w kolejną krótką rundę bitew i wyzwania, ale w ciągu kolejnego roku wszystkie tory znalazły się w jego garści.

– Co widzisz, źrebaczku? – zapytał, kiedy objeżdżaliśmy chaty skupione wokół jednego z największych torów na Żelaznym Stepie. Jakiś dawno zapomniany przodek nazwał go Pięścią Niewidzialnych, a kolejne pokolenia Stahlhastu od zawsze o niego walczyły, ponieważ był bogaty w rudę. Do niedawna Pięść znajdowała się w rękach skeldu Wohten, którego skeltir, uparty człowiek niefortunnie przywiązany do swojego dobrego imienia, wybrał raczej śmierć niż podległość. Pięść formalnie pozostała własnością Wohtenu, ale każdy głupiec widział, że teraz mój brat dzierży tutaj władzę.

– Widzę nory niewolników – odpowiedziałam, przyglądając się zrujnowanym chatom.

Wąskimi ulicami płynęły ścieki, miejsce cuchnęło dymem i odchodami. Większość mieszkańców pracowała o tej porze w kopalniach albo w zagrodach, nieliczni, którzy zostali, przezornie zamknęli się w domach, kiedy przejeżdżaliśmy. Tu i ówdzie w mrocznych zakamarkach leżały ciała odarte z ubrań i pokryte muchami. Choć bardzo chciałabym wyrazić współczucie z powodu tego stanu rzeczy, nieprzyjemna prawda jest taka, że los niewolników nigdy zbyt nie zaprzętał moich myśli. Nie byli Hastem, a ich poddaństwo i ciężka praca były koniecznościami pobłogosławionymi przez kapłanów. Zawsze tak było.

– Widzę choroby i śmierć – dodałam, przełykając ślinę i przytykając jedwabną chusteczkę do nosa. – I niewiele powodów, żeby tu zostać. Chyba że pragniesz zobaczyć, jak twoja siostra pozbywa się śniadania.

– Przyjrzyj się uważniej – powiedział brat, zatrzymując się przed jedną z chat.

Gdy pchnął drzwi, ukazały się brudna podłoga i nędzny dobytek: koc, stara żelazna patelnia. Dopiero po chwili dojrzałam dwie wychudzone postacie przycupnięte w nieoświetlonym kącie izby: kobietę i dziewczynkę. Obie miały zamknięte oczy i opuszczone głowy, tak jak od nich wymagano w obecności lepszych.

– Co widzisz? – naciskał Kehlbrand.

Zauważyłam, z jaką gwałtownością kobieta tuli do siebie dziewczynkę. Kiedy mój wzrok spoczął na małej, ta zadrżała, a z jej ust wyrwał się jęk. Matka przesunęła dłonią po jej niemytych, tłustych włosach i cicho wypowiedziała jakieś słowa otuchy.

– Matkę i dziecko – powiedziałam. – Boją się nas.

– I mają rację?

– Oczywiście. Nieustraszony niewolnik to nie niewolnik.

– To prawda. – Kehlbrand przemówił cicho do kobiety i dziecka w języku południowych ziem, najbardziej rozpowszechnionym wśród niewolników. – Wybaczcie najście.

Zamknął za nami drzwi chaty i podjęliśmy marsz. Kehlbrand poprowadził mnie w stronę wyrobisk u podnóża Pięści.

– Strach jest równie ważną częścią tego, co się tutaj dzieje, jak praca niewolników – powiedział. – Ale jest kosztowny, bo jego utrzymywanie również wymaga pracy z naszej strony.

Rudery wkrótce ustąpiły miejsca połaciom nagich skał otaczających tor. Ujrzelśmy niewolników przy pracy. Pięść przypominała połówkę gigantycznego, zgniłego jabłka o brzegach wygryzionych przez kamieniołomy, w których harowali niewolnicy. Jak robaki na trupie, pomyślałam. Nigdy nie policzono ich dokładnie, ponieważ często umierali. Jediną wyceną ich wartości była ilość rudy, którą wydobywali ze skały. Kiedy urobek malał, Wohten dokonywał najazdu, żeby zwiększyć siłę roboczą.

– Jak widzisz. – Kehlbrand wskazał na kopalnię, kamieniołomy i długi rząd niewolników pchających wózki albo niosących kosze z rudą w stronę spowitych dymem budynków, w których pracowali kowale.

Wojownicy byli wszędzie, co najmniej kilkuset, głównie na koniach. Co kilka minut któryś zawracał wierzchowca w stronę niewolników poruszających się odrobinę wolniej od pozostałych. Ta zwiększona uwaga

zwykle wystarczała, by zmusić ich do większego wysiłku. Jeśli strażnik uznawał ich reakcję za niedostateczną albo się nudził, zdejmował z siodła długi bat z wołowej skóry. Te bicze wydawały groźny trzask, kiedy przecinały powietrze ze zwodniczą powolnością. Większość wojowników zadowalała się krwawiącym śladem na twarzy albo ramionach leniwych pracowników, natomiast inni byli bardziej pomysłowi.

– Tamten człowiek, na przykład. – Kehlbrand wskazał na strażnika, który zręcznie owinął bat wokół kostki niewolnika i włókł go po kamieniach. Jego rysy zastygły w wyrazie raczej gniewu niż okrucieństwa, w maskę człowieka zmuszonego do nużącej pracy. – Wolałby galopować przez Żelazny Step z sokołem na nadgarstku. Albo szarżować z lancą w ręce w samo serce bitwy, głodny sławy i łaski Niewidzialnych. Ale tutaj znajduje nie więcej sławy niż zwykły pasterz, a cierpi na tym nasza wielka misja.

Wierzchowiec strażnika stanął raptownie, kiedy Kehlbrand zawołał i z uniesioną ręką pomaszerował po kamieniach.

– Mestra-skeltir – powiedział wojownik, szybko zsiadł z konia i opadł na jedno kolano.

Tytuł jeszcze nie został oficjalnie nadany mojemu bratu przez kapłanów, ale i tak w Haście powszechnie nazywano go w ten sposób.

Kehlbrand zignorował klęczącego strażnika i podszedł do niewolnika. Ukucnął i odwinął bat z jego kostki.

– Jesteś ranny? – zapytał w języku południowych ziem, kiedy mężczyzna popatrzył na niego z mieszaniną przerażenia i zdumienia. – Sostro! – zawołał do mnie Kehlbrand głosem pełnym współczucia. – Przynieś wody!

Bez wahania zrobiłam, co kazał, przyzwyczajona do upodobania mojego brata do niespodziewanych teatralnych gestów. Podeszłam do najbliższej beczki, nabrałam wody do wiadra i zniosłam je Kehlbrandowi, a on rękami przeniósł ją do ust niewolnika. Zobaczyłam świeże, krwawiące rany na jego czole i rękach, tak głębokie, żeby widać było żywe mięso. Takie obrażenia normalnie pociągały za sobą szybką egzekucję, ponieważ czyniły niewolnika niezdolnym do pracy przez kilka dni.

– Nie obawiaj się – powiedział Kehlbrand, wlewając więcej wody do jego ust. Wyprostował się i zawołał do dwóch wojowników, którzy eskortowali nas w drodze przez osadę. – Pojedźcie do naszego obozu i sprowadźcie uzdrowiciela!

– Uzdrowiciela? – powtórzył z wyraźnym zdziwieniem wojownik, który wcześniej wymierzał karę.

Incydent przyciągnął uwagę jego towarzyszy, tak że wkrótce otoczył nas krąg jeźdźców. Wszyscy byli Wohtenami, do niedawna zazartymi i zniechęconymi wrogami Covy. Jednakże nie widziałam w nich agresji, a jedynie całkowite nierozumienie.

– Jaka była przewina tego człowieka? – zapytał Kehlbrand pierwszego strażnika.

– Spojrzał mi w oczy, mestra. Karą za patrzenie w oczy urodzonego w Haście jest dla niewolnika śmierć. Tak nakazali kapłani.

– Nie mów mi o kapłanach – wychrypiął Kehlbrand, a jego twarz poczerwieniała. Patrzyłam, jak pokazowo stara się nad sobą zapanować, oddychając głęboko i przesuwając drżącą ręką po włosach. – To nie twoja wina – stwierdził słabym głosem, jakby nagle go oświeciło. – Za długo ci, którzy stoją między Hastem a Niewidzialnymi, prowadzili nas złą ścieżką.

Mój niepokój się pogłębił, kiedy zobaczyłam, że wojownicy wymieniają niepewne spojrzenia. Na szczęście Kehlbrand miał wprawę w niedopuszczaniu do tego, by myśli jego publiczności zatrzymywały się na niewygodnych sprawach.

– Już nie jesteście tutaj potrzebni. Wracajcie do swojego skeldu. Polujcie, ćwiczcie umiejętności, uczcie młodych. Powiedzcie wszystkim, że wkrótce czeka nas wielka podróż do Złotego Morza.

– Ale... – zaczął jeden z wojowników, wskazując na kamieniołomy. – Niewolnicy, mestra-skeltir.

– Niewolnicy? – Kehlbrand spojrzał na rannego człowieka u swoich stóp, a jego uśmiech był pełen ciepła i poczucia winy. – Już nie ma tutaj niewolników. Zostawcie ten tor i tych ludzi mnie, bo teraz ich praca będzie moją pracą.

Trzeba było jeszcze dużo więcej pomysłowej retoryki, zanim wojownicy Wohtenu przytroczyli łuki i lance do siodła i odjechali w stronę obozowisk swojego skeldu. Zgodnie z rozkazem Kehlbranda zostawili po jednej broni. Bity ze skóry wołowej rzucono na stos na szczycie największego kamieniołomu, a on ustawił się obok nich, żeby przemówić do zgromadzonych niewolników. Ci stali na dole w nierównych szeregach i wpatrywali się w dziwnego, wysokiego członka Stahlhastu, o głosie, który z niezwykłą łatwością docierał do każdego ucha.

– To – powiedział Kehlbrand, wskazując na baty – już nigdy więcej nie dotknie waszych ciał. Przysięgam. Liczne są występki, które was tutaj sprowadziły, i wielki jest mój ból z powodu wszystkiego, co wycierpieliście. Wiedźcie, że dzisiaj Ostrze Ciemności wziął was pod ochronę i będzie o was dbał jak o swoją krew. Od tej pory cała praca będzie wynagradzana. Nikt nie będzie głodny. Zanim kilof dotknie tej góry, zbudujemy prawdziwe domy, w których w cieple i bezpieczeństwie zamieszkają rodziny. Na razie idźcie i odpocznijcie. Jutro zaczynamy budowę, a żebyście wiedzieli, że mówię prawdę, Ostrze Ciemności i jego ukochana siostra zostaną tu i będą pracować razem z wami.

Wiwaty były nieoczekiwane, bo chyba nie przypuszczałam, że ci gapiący się na nas ludzie w ogóle mają na nie siłę. A jednak wiwatowali, z początku cichymi i drżącymi głosami, niczym akord zagrany na strunach liry przez niewprawne ręce, ale z każdą sekundą okrzyki nabierały życia. Ręce unosiły się w geście wdzięczności, ludzie padali na kolana, inni szlochali, ale wszyscy głosili uwielbienie dla Ostrza Ciemności.

– Nie chcę tu zostać – powiedziałam, kiedy w końcu brat odwrócił się od rozradowanego tłumu.

Pamiętam, że na jego twarzy dziwnie brakowało wyrazu triumfu czy radości. Zamiast nich zobaczyłam lekki uśmiech satysfakcji, przypominający ten, z którym matka robiła ostatni szew w dobrze skrojonym zakiecie.

– Och, ciesz się, żrebaczku – powiedział. – Właśnie uczyniłem cię siostrą boga.

\*\*\*

I tak zostaliśmy wśród niewolników, czy też rzemieślników, jak upierał się nazywać ich teraz mój brat. Choć było nas dwoje pośród wielu, nie podniosła się przeciwko nam żadna ręka. Wkrótce zrozumiałam, że Kehlbrand zdobył ich sobie tamtego pierwszego dnia; jego słowa związały ich mocniej niż łańcuchy. Mieszkaliśmy w ich chatach i znosiliśmy smród, podczas gdy on organizował budowę solidniejszych domów, wynajdując wśród rzemieślników tych z umiejętnościami budowlanymi i wyznaczając ich na majstrów. Chaty zburzono i wzniesiono nowe domy z wielkich stosów gruzu otaczającego tor. Co noc jedliśmy z inną rodziną, a mój brat opowiadał im o naszej wielkiej misji.

– Wasze niewolnictwo było zbrodnią – mówił im, a oni słuchali z zachwytem w oczach, oniemiaли z nabożnego lęku. – Zbrodnią dokonaną na was przez klikę złych ludzi, którzy nazywają siebie kapłanami. Od dawna prowadzili Stahlhast na manowce, od dawna chronili nas przed prawdziwym słowem Niewidzialnych. Wasze wyzwolenie to zaledwie pierwszy krok do dnia, kiedy zbrodnie kapłanów zostaną ukarane. Na razie musimy budować, stworzyć coś tak wielkiego, że oni nie będą potrafili tego zburzyć.

Na jego nalegania spędzałam większość czasu na pielęgnowaniu chorych albo uczeniu języka Stahlhastu, zawsze z miłym uśmiechem na ustach, który, jak wiedziałam, rzadko obejmował moje oczy. Rzemieślnicy nigdy nie patrzyli na mnie z takim samym nabożnym podziwem jak na mojego brata. Zamiast tego traktowali mnie z ostrożnością, czasami nawet z szacunkiem dla krwi, którą dzieliłam z ich boskim wyzwolicielem.

– Co ja tutaj robię? – zapytałam pewnego wieczoru, kiedy siedzieliśmy razem w nędznej chacie, którą dla nas wybrał.

Kehlbrand zabronił mi przenieść się do jednego z nowych domów, dopóki wszystkie nie będą skończone. Jak miał teraz w zwyczaju, całe dni spędzał w pracy, harując pod kierunkiem majstra, który zaledwie kilka tygodni wcześniej omal nie został zachłostany na śmierć za upuszczenie kosza z rudą. Każdego dnia mój brat wstawał o świcie i pracował do zmierzchu, ale nigdy nie wydawał się zmęczony. Ja natomiast leżałam przy ogniu wykończona po dniu, w którym przyszło mi być świadkiem przedłużającej się agonii chorego niemowlęcia.

– Nie potrzebujesz mnie do tej farsy – stwierdziłam. – To ciebie wielbią.

– Potrzebuję cię – upierał się brat. – Nie zawsze będę wśród nich. Podczas mojej nieobecności ty będziesz oczami Ostrza Ciemności. I jeszcze czymś więcej. – Przybrał wyraz skupienia na twarz i ściszył głos. – Będziesz również moim myśliwym.

– Myśliwym?

– Ile tysięcy mieszka w cieniu Pięści? Ilu jeszcze znajdziemy w innych torach?

Ze znużeniem wruszyłam ramionami.

– Pewnie dużo.

– Tak, bardzo dużo. I czy nie jest rozsądnie założyć, że wśród tak wielu są inni tacy jak ty?

Zrozumiałam i moje zmęczenie ulotniło się. Zastąpił je niepokój.

– Chcesz, żebym polowała na niewolników z Boską Krwią.  
– Już nie używamy tego słowa, droga siostrze. Ale tak. Znajdziesz ich i przyprowadzisz do mnie.

Spuściłam wzrok, kiedy niepokój ustąpił miejsca strachowi.

– Odwieczne prawa nakazują...

– Każdy nie z Hastu, kto ma Boską Krew, ma zostać zabity, wiem. – Wyczuwając mój strach, brat przysunął się bliżej i położył ciężkie, umięśnione ramię na moich plecach. – Odkąd martwią nas odwieczne prawa?

– Jeśli się dowiedzą...

– Kiedy się dowiedzą, zapewniam cię, że nie będzie to miało znaczenia.

– Jak możesz być taki pewien wszystkiego? Jak twoja ścieżka może być tak wyraźnie wytyczona? Nie śniła mi się żadna z tych rzeczy.

Mięśnie jego ramienia się napięły, kiedy brat przygarnął mnie do swojego dodającego otuchy, ciepłego ciała.

– Bo odpowiedziałem na drugie pytanie, pamiętasz? – Przeczesał palcami moje włosy. – Nie chciałabyś teraz poznać tej odpowiedzi?

Ku swojemu zaskoczeniu nie chciałam. Pamiętam poczucie dezorientacji w tamtej chwili, jakby świat obrócił się wokół mnie, przynosząc zmianę i wiedzę, której nigdy nie chciałam ani nie rozumiałam. Mimo to musiałam wiedzieć, bo mój los był związany z jego losem.

– Tak, bracie.

Przez chwilę Kehlbrand tulił mnie mocniej, a potem delikatnie odsunął i odwrócił do siebie moją twarz.

– Jaka jest prawdziwa natura boga? O to zapytał mnie ten stary drań. Oczywiście jest to niedorzeczne pytanie. Nie można poznać boskiej prawdy, tak jak nie da się uzyskać złota z wody. Tak brzmiała odpowiedź naszego brata, przypadkiem. Było w niej dość fantazji i podstawowej wnikliwości, żeby była do przyjęcia, bo kapłani nie są zainteresowani wyznaczeniem mestra-skeltira mającego prawdziwą mądrość. Im zależy tylko na władzy, na cieszeniu się luksusami i przywilejami zdobytymi dzięki krwi i trudowi Hastu i tych biednych istot.

Zrobił pauzę i na jego wargach zatańczył refleksyjny uśmiech.

– Mogłem udzielić im po prostu odpowiedzi Tehlvara albo jakiejś jej wariacji, która zadowoliłaby wielkiego kapłana i złagodziła jego rosnącą podejrzliwość. Ale stwierdzam, że za bardzo cieszy mnie jego niepokój, żeby to zrobić. Więc powiedziałem mu: „Strach. Bogowie nie są zrodzeni



z miłości, poświęcenia, pisma czy wiary. Bogowie są zrodzeni ze strachu i nim się żywią. Weźmy na przykład ciebie, starcze. Twoja służba Niewidzialnym jest absurdem. Wyrzekasz się towarzystwa kobiet, przynajmniej publicznie, i spędzasz dni na czołganiu się przed czymś, czego nigdy nie widziałeś, przed głosem, którego nigdy nie słyszałeś. A wszystko dlatego, że boisz się, że on może naprawdę istnieć.

Uśmiech Kehlbranda przeszedł w śmiech, cichy i krótki.

– Zaskoczył mnie wtedy, żrebaczku. Spodziewałem się wściekłości. Spodziewałem się, a nawet chciałem, żeby wpadł w gniew, nazwał mnie bluźniercą, podłym heretykiem. Gdyby to zrobił, wyśmiałbym go i odszedł, bo mam dość ich rytuałów. Od dawna podejrzewałem, że przepędzenie kapłanów mogłoby spowodować niezgodę wśród Hastu, ale nie ma skeldu, który teraz może wystąpić przeciwko mnie, więc jakie to ma znaczenie? Ale on nie wpadł w gniew ani złorzeczenie. Zamiast tego znieruchomiał i pobladł. „Dlaczego sądzisz, że nigdy nie słyszałem głosu Niewidzialnych?” – zapytał.

– Przez jakiś czas po prostu staliśmy i patrzyliśmy na siebie. Usłyszałem prawdę w jego słowach, Luralyn. Może jest wstrętnym starym hipokrytą, ale w tamtym momencie nie kłamał. Dla niego Niewidzialni pozostają prawdziwi, tak realni jak ty i ja. Więc znalazłem nową odpowiedź na drugie pytanie. Jaka jest prawdziwa natura boga? Strach jest jej częścią, tak. Ale również moc. Moc, która przychodzi wraz z wiarą. Moc, żeby przemienić niewolników w chętne sługi dzięki ostrożnie wykorzystywanej dobroci połączonej z lękiem, że można ją utracić. Moc, która potrafiła na wieki przywiązać Stahlhast do bandy pazernych starców, dzięki obietnicy łaski Niewidzialnych i dzięki strachowi, że jej utrata oznacza miażdżący wstyd klęski. Ale ich władza jest ograniczona, żalosna przez to, że nie zdają sobie sprawy z jej potencjału. Żeby mieć taką władzę i zmienić świat, nie mogą jedynie wierzyć w boga, ale muszą się nim stać.

Zmarszczył brwi na widok niepokoju na mojej twarzy, wyciągnął dużą, ciepłą rękę i objął mój policzek.

– Nie bój się o mnie. Mój umysł nie jest zaburzony, tylko oświecony. Pytasz o źródło mojej pewności. Oto ono. Bo jaki byłby ze mnie bóg, gdybym nie umiał przewidzieć przyszłości?

\*\*\*

Najpierw znalazłam dziewczynę. Miała nie więcej niż piętnaście lat i urodziła się w torze. Życie w brudzie, nędzy i głodzie sprawiło, że wyglądała jak dziecko. Sięgała mi ledwo do ramienia, a jej blade, niemyte ręce i nogi sterczały jak patyki ze zgrzebnego płótna, które na sobie nosiła.

– Twoje imię? – zapytałam ją w języku południa, ale w odpowiedzi dostałam jedynie strachliwe potrząśnięcie rozczochraną głową.

Miała spuszczonego wzrok, niezdolna do spojrzenia mi w oczy po całym życiu spędzonym w niewoli. Zadrżała, kiedy sięgnęłam przez zasłonę kołtuniastych włosów, żeby ująć ją pod brodę i delikatnie, ale zdecydowanie ją unieść, aż tłuste kosmyki opadły do tyłu i odsłoniły twarz. Umorusany sadzą biały owal był uderzająco podobny do twarzy porcelanowej lalki, którą miałam w dzieciństwie.

– Spójrz na mnie – powiedziałam, trzymając ją pod brodę, aż powoli otworzyła oczy. Łzy spłynęły po sadzy na jej policzkach, kiedy popatrzyła na mnie z przerażeniem w dużych czarnych źrenicach.

– Musisz mieć jakieś imię – naciskałam, a ona znowu pokręciła głową.

– Dziewczyna – wyszeptała cicho jak tchnienie. – Nazywają mnie dziewczyną.

– A twoja matka? Ojciec?

Znowu pokręciła głową i wzruszyła kościstymi ramionami.

– Nigdy ich nie poznałam.

Mówiła teraz dostatecznie głośno, żebym rozpoznała akcent, chropowate echo dialektu z pogranicza. Zobaczyłam, że po jej twarzy przemyka tik zniecierpliwienia, kiedy moja ręka nadal pozostawała na jej brodzie. Wyczułam drgnienie czegoś w środku, tego samego czegoś, co mnie do niej przywiodło. Lekkie rozszerzenie oczu powiedziało mi, że ona to samo wyczuła we mnie.

– Jesteś wyjątkowa – stwierdziłam. – Będę cię nazywać Eresa. To znaczy „klejnot” w języku Stahlhastu.

– Klejnot? – powtórzyła.

Szczere zdumienie widoczne na jej brudnej twarzy sprowadziło uśmiech na moje usta, pierwszy prawdziwy uśmiech od tygodni. Wiele lat później zrozumiałam, że właśnie wtedy wszystko się zaczęło i moje serce rozpoczęło długą ucieczkę od moich korzeni. Ta mała, wynędzniała dziewczynka poruszyła we mnie coś, co nie należało do Hastu.

– Lśniący cenny kamień – powiedziałam. – Bardzo rzadki, jak ty. – Ujęłam jej dłoń i poprowadziłam ją z dala od góry śmieci, z której

wybierała kości. – Chodź. Czas, żebyś wzięła kąpiel.

Eresa, jak się okazało, miała moc krzesania iskier z powietrza. Z początku były one niewiele większe od małych kwiatów, szybko rozkwitającego niebieskiego żaru, który ku naszemu zachwytowi i ku satysfakcji mojego brata rozjaśniał mrok chaty. Z czasem, po rozsądnej liczbie pochwał i zachęt, jej kwiaty zmieniły się w trwałe i potężne wybuchy czystej energii. Ta krucha dziewczynka wkrótce była zdolna rozniecić ogień w dowolnym palnym obiekcie albo zatrzymać serca szczurów, a parę lat później serca żołnierzy, na których trafiła w bitwie.

Miesiąc później znalazłam wysokiego młodzieńca, dobrze umięśnionego dzięki lepszej diecie, którą zapewnił mu Kehlbrand. Wyczułam, jak jego moc rozkwita, gdy uderzał kilofem w kamienny blok i jego narzędzie zagłębiało się bardziej niż inne, zbyt głęboko, żeby można to przypisać większej sile.

– To działa tylko na kamienie, pani – powiedział, niepewnie przestępując z nogi na nogę pod moim badawczym spojrzeniem. – Po prostu na niego patrzę i on się kruszy. Przez cały czas trzymałem to w sekrecie. Tak było najlepiej.

– Istotnie – potwierdziłam. – I nie nazywaj mnie panią. Mam na imię Luralyn i tym imieniem się do mnie zwracaj. Jakie jest twoje?

Wstyd mi wyznać, że nie mogę sobie teraz przypomnieć jego prawdziwego imienia, bo w tamtym czasie nie miało to znaczenia. Nazwałam go Varij, starożytnym słowem oznaczającym „młot”. Później stało się moim zwyczajem nadawanie nowych imion tym, których znajdowałam. Odrzucenie starych było sposobem na przywiązanie ich do Ostrza Ciemności.

– Narodziliście się na nowo – mówiłam im, a te słowa wkrótce stały się mantrą. – W oczach Ostrza Ciemności staliście się nowi. Będziecie jego tarczą i lancą w bitwach, które nadejdą.

Nie znalazłam więcej Boskiej Krwi w Pięści mimo trzech miesięcy poszukiwań. Do tego czasu dokonana się przemiana tych, którzy pracowali w kamieniołomach, z niewolników w rzemieślników. Porządniejsze domy i lepsze jedzenie dużo korzystniej wpłynęły na ilość wydobywanej rudy niż terror i chłosty. Ale ja wiedziałam, że nie tylko pełne brzuchy i solidne mury mobilizowały ich do ciężkiej pracy. Widziałam to na każdej twarzy, kiedy Ostrze Ciemności zegnał się i obiecywał wrócić w następnym roku: całkowite, najwyższe oddanie. On naprawdę stał się bogiem.

Z tępym bólem w piersi i znajomą mgłą w głowie spowodowaną przez niespokojny sen patrzyłam, jak Kehlbrand szykuje się do odjazdu.

– Śniłaś zeszłej nocy, prawda? – zauważył, przywiązując kołczan do siodła. – Zawsze masz ten wyraz twarzy, kiedy śnisz. Jakbyś jadła kwaśne jabłko, ale nie mogła sobie przypomnieć, gdzie je znalazłaś.

– Ono mnie znalazło – powiedziałam. – Tym razem go nie szukałam.

Kehlbrand uniósł brew, słysząc poważny ton mojego głosu i wyczuwając coś więcej oprócz często wyrażanej goryczy, że mnie tu zostawia. Miałam zabrać Eeresę i pojechać do innych torów, żeby uwalniać niewolników i rozpowszechniać słowo Ostrza Ciemności, a jednocześnie szukać kolejnych klejnotów obdarzonych wyjątkowymi talentami. On z kolei miał ruszyć z Varijem i wojownikami pięciu skeldów na południe, na pogranicze.

– Jest tam twierdza Czcigodnego Królestwa, której nigdy nie byliśmy w stanie wziąć szturmem – powiedział mi w nocy. – Jej mury są zbyt wysokie, żeby się na nie wspiąć. Ale z naszym nowym bratem – posłał znaczące spojrzenie w stronę Varija – nie będą długo stawiały oporu. Gdy ją zdobędziemy, będziemy mieli przed sobą sto mil pogranicza, żeby najeżdzać je do woli.

Teraz patrzyłam, jak mocno zaciąga troki kołczanu i patrzy na mnie ze słabą, ale wyraźną urazą. W miarę jak mijały lata, pewność, z jaką realizował swoje plany, rosła, ale podobnie działo się z jego niechęcią do wszystkiego, co mogło je pokrzyżować.

– Zatem co zobaczyłaś?

Lekko potrząsnęłam głową, ale to nie rozproszyło mgły. Zawsze tak jest z nieproszonymi Prawdziwymi Snami. Niechciane dary niebios często są kłopotliwe.

– Człowieka – powiedziałam. – Wysokiego jak ty. Silnego jak ty. Widziałam, jak walczy. I walczył dobrze.

– Widziałaś, jak zabijam ludzi, którzy byli wyżsi ode mnie o głowę – odparł Kehlbrand z rozbawionym prychnięciem. – I silniejsi. A jeśli chodzi o dobrą walkę, to kto potrafi walczyć równie dobrze jak bóg? – W jego głosie był ton wesołości, ale zauważyłam, że nie tak beztroskiej jak wtedy, gdy pierwszy raz zaczął w ten sposób o sobie mówić.

– To nie było tak. – Zamknęłam oczy, próbując sobie przypomnieć szczegóły wizji. Ta była wyjątkowo bezkształtna, postaci jak duchy,

niematerialne, oprócz wysokiego mężczyzny. – On był na łodzi, zabijał ludzi. Uratował kobietę, dzieci...

– Jakie to szlachetne. – Kehlbrand chwycił za łąk siodła, żeby wskoczyć na konia. – Na pewno go pochwałę, jeśli kiedyś go spotkam...

– Słyszałam jego imię – przerwałam mu. – To jest również twoje imię. Imię, które dla ciebie znalazłam.

Kehlbrand zatrzymał się, powoli wyjął stopę ze strzemienia i odwrócił się do mnie. Chwila, kiedy zaczęłam oddalać się od Stahlhastu, nastąpiła już wtedy, gdy brudna i zdziwiona twarz Eresy wywołała uśmiech na moich ustach, ale właśnie w tamtej chwili zrobiłam pierwszy prawdziwy krok oddalający mnie od brata. To był krok wstecz, sprowokowany przez głębię zła, które stało się wyraźne w nagle brzydkiej masce jego twarzy. Była to twarz, na którą w nadchodzących latach miały patrzeć tysiące ludzi, niektórzy z miłością, inni z przerażeniem. Wtedy po raz pierwszy ujrzałam Ostrze Ciemności i ten widok doprowadził mnie do łez, bo aż do tamtej chwili nie wiedziałam, że mój brat może stać się taki brzydki.

– A gdzie go znajdę? – zapytał głosem pozbawionym wesołości i cichym, ale śmiertelnie groźnym. – Tego złodzieja imion.

Minęło kilka ciężkich, bolesnych uderzeń serca, zanim odpowiedziałam, tak byłam sparaliżowana wyrazem jego twarzy.

– On nosił to imię na długo przed tobą. – W moim głosie było drżenie, którego nienawidziłam prawie tak samo jak jego zmienionego oblicza. Nigdy wcześniej nie przyprawiał mnie o strach, ale teraz musiałam zakaszleć, by mówić dalej. – I nie znajdziesz go. On znajdzie ciebie.

## Rozdział dwunasty

Powóz ugiął się, zanim ruszył dalej z drzeniem, kiedy jego koła zjechały z gładkiej ceglanej powierzchni drogi na coś bardziej nierównego. Bruk? – zastanawiał się Vaelin. Jeśli tak, mogło to oznaczać, że dotarli do jakiegoś miasta i że podróż wreszcie się skończy.

Był sam w powozie, nie licząc małej myszy, która jakoś dostała się do środka w czasie jednego z nocnych postojów na odpoczynek. Vaelin karmił ją okruszkami chleba, który raz dziennie wciskano przez szczelinę w dolnej części drzwi powozu, i poił niewielką ilością wody w drewnianej misce. Mysz nigdy nie zbliżała się do niego na tyle, by mógł jej dotknąć. Jej mały, ale najwyraźniej bystry umysł wyliczył długość jego łańcuchów. Były ciężkie i krótkie, przymocowane do żelaznej obręczy zamontowanej w podłodze. Pierwszego dnia podróży sprawdził swoją siłę na obręczy i szybko doszedł do wniosku, że trzeba by dziesięciu ludzi, żeby ją poruszyć.

To ruchome więzienie miało ściany z grubego drewna. Podobnie jak drzwi nie miało okien, a on mógł dostrzec jedynie słabe przebłyski światła dziennego w niewielkich szparach między deskami. Odmierzał dni, licząc posiłki, teraz już piętnaście. W tym czasie nie widział żadnego człowieka ani nie słyszał innych głosów oprócz przytłumionych rozmów strażników i woźniców.

Lata spędzone w alpirzańskim lochu przyzwyczyły go do samotności i zamknięcia, a także uświadomiły bezsens zastanawiania się nad losem towarzyszy. Ale w tamtym czasie nadal miał swoją pieśń, a mury, w których go zamknięto, nie stanowiły dla niej bariery. Teraz zostały mu tylko wspomnienia i dręcząca, stała potrzeba, by wiedzieć, co się stało z Ellese i resztą.

Nie widział ich od swojego pojmania na jeziorze. Żołnierze króla zalali łódź Kraba z pałkami w rękach i nie wahali się ich użyć. Ellese popełniła błąd, odpychając żołnierza, który chciał związać jej nadgarstki, i została powalona przez niego na pokład. Vaelin otrzymał własną porcję ciosów, kiedy próbował jej pomóc. Gdy leżał na pokładzie, dysząc z bólu

i trzymając się za żebra, które, jak podejrzewał, mogły być złamane, zarzucono mu na głowę jutowy worek i skrupowano ręce grubym sznurem. Kilka godzin przeleżał w czymś, co, jak przypuszczał, było wodą zęzową w trzewiach łodzi wielkości statku. W pewnym momencie usłyszał podniesiony głos Nortaha, ale jakkolwiek dowcipną uwagę jego brat zamierzał wygłosić, został szybko uciszony przez ostry krzyk i głucho uderzenie twardego drewna w ciało.

W końcu Vaelina wyciągnięto z wilgotnego mroku na powietrze. Brutalnie zaczęto popychać go po twardym gruncie. Zerkając przez luźną tkaninę worka, zobaczył, że idą po czymś w rodzaju nabrzeża. Potem otoczył go mrok wnętrza powozu, usłyszał szcęknięcie łańcuchów i poczuł dotyk zimnego żelaza na nadgarstkach. Worek ściągnięto, a on przelotnie ujrzał zakute w zbroję plecy żołnierza, nim ten zatrzasnął drzwi.

– Tak się traktuje szlachetnego gościa? – rzucił w ciemność ze znużonym śmiechem i pomyślał o bezużytecznych lekcjach etykiety, których udzielał Ellese.

– Nie sądzę, żebyś znała nazwę tego miejsca? – zwrócił się do myszy, gdy koła powozu turkotały na czymś, co, miał nadzieję, było brukiem.

Pytaniu towarzyszyło kilka okruszków chleba. Jednakże gryzoń nie był pod wrażeniem. Czarne paciorki oczu załśniły, kiedy mysz zatrzymała się i przez chwilę mierzyła go wzrokiem, zanim podbiegła bliżej, chwyciła kąski małymi pazurkami i wsadziła je do pyszczka.

– Nie. – Vaelin westchnął. – Tak myślałem.

Starał się wyjrzeć przez jedną z większych szpar w deskach. Miała ledwie szerokość jego małego palca, tak że widział jedynie grę światła i cienia, choć, sądząc po nasileniu hałasu, rzeczywiście jechali przez jakieś miasto. Sama liczba pomieszanych głosów, jakie słyszał, w połączeniu z czasem, który minął, zanim powóz się zatrzymał, przekonała Vaelina, że to jest coś większego niż zwykłe miasteczko.

Policzył, że minęły cztery godziny, odkąd zaczęli jechać po gładszej nawierzchni. W końcu powóz się zatrzymał, brzęknął metal i drzwi się otworzyły. Vaelin zamrugał załzawionymi oczami w ostrym dziennym świetle, a kiedy jego wzrok przyzwyczaił się do blasku, zmarszczył brwi na widok znajomej twarzy.

Oceniał, że mężczyzna ma kilka lat mniej od niego. Jego gładko ogoloną twarz znaczyły zmarszczki w kącikach oczu i ust. Czarne włosy były ściągnięte do tyłu w kok, odsłonięte czoło przecinały trzy stare blizny,

z których dwóch nie było, kiedy Vaelin ostatnio go widział. Twarz człowieka zakochanego, przypominał sobie Vaelin. I chociaż jego pamięci coraz bardziej udawało się wyrzucać pewne szczegóły, w miarę jak się starzał, wizje pokazywane mu przez pieśń krwi nigdy nie blakły, zwłaszcza te dotyczące Sherin.

Mężczyzna zmrużył oczy, kiedy spoczął na nim wzrok Vaelina. Jego nozdrza się rozděły w pogardliwym prychnięciu.

– Przynieście wiadro – rozkazał, patrząc w bok. – Nie można zaatakować króla takim odorem.

Po tych słowach cofnął się, a do powozu wsiedli dwaj żołnierze w zbrojach lakierowanych na czerwono. Zdjęli Lordowi Wieży łańcuchy i jeden warknięciem kazał mu wstać. Vaelin jęknął, kiedy jego mięśnie rozciągnęły się po raz pierwszy od wielu dni. Stał niepewnie na nogach i został popchnięty do drzwi. To szturchnięcie najwyraźniej było obliczone na to, żeby zrobić mu krzywdę, bo Vaelin uderzył w metalowy brzeg drzwi z taką siłą, że wyrwał się mu bolesny jęk. Słyszając, że człowiek, który go popchnął, parska śmiechem, Vaelin jęknął znowu, opadł na jedno kolano i wyczerpany zwiesił głowę.

– Na nogi, barbarzyńska małpo – rzucił żołnierz i zacisnął silną dłoń na jego ramieniu.

Vaelin osunął się niżej, zmuszając strażnika, żeby się pochylił. Wtedy błyskawicznym ruchem odchylił głowę do tyłu i trafił swojego dręczyciela w nos. W nagrodę usłyszał głośnie chrupnięcie. Kiedy żołnierz zatoczył się do tyłu, Vaelin okręcił się, chwycił dłoń spoczywającą na jego ramieniu i jednocześnie kopniakiem podciął nogi strażnikowi. Ten na niego runął, starając się uwolnić rękę. Gdy przyskoczył do nich jego towarzysz, Vaelin odtoczył się, ciągnąc żołnierza ze sobą. Jego ręce poruszały się szybko, z wypraktykowaną skutecznością. Zatechłe wnętrze powozu wypełniły krzyki. W czasie, kiedy dwóch innych żołnierzy wskoczyło do pojazdu, udało mu się złamać trzy palce temu, który go wcześniej popchnął.

– Dość!

Vaelin poczuł zimny pocałunek stali pod brodą i zobaczył, że stoi nad nim mężczyzna o znajomej twarzy. Trzymał czubek miecza przy skórze jeńca precyzyjnie i mocno, a w jego oczach wyraźnie było widać wielką pokusę, żeby użyć broni.

– Zabij mnie – powiedział Vaelin – ale wtedy kogo zaprowadzisz do swojego króla?



– Podejrzewam, że mógłby się zadowolić twoją głową – odparował mężczyzna i mocniej przycisnął czubek miecza do jego szyi, a Vaelin poczuł spływającą po niej strużkę krwi.

Vaelin posłał mu mdły uśmiech i puścił żołnierza. Ten odczołgał się, przeklinając i trzymając się za połamaną dłoń.

– Zamknij się! – warknął znajomy mężczyzna z nutą władczości w głosie, co świadczyło o tym, że jest oficerem. Schował miecz i posłał żołnierzowi zniesmaczone spojrzenie. – Skąpe racje i żadnego wina przez miesiąc. Ostrzegano was, że on jest niebezpieczny. – Odwrócił się do Vaelina i wskazał głową na drzwi. – Żadnych więcej kłopotów. Zrozumiałeś, barbarzyńco?

– Mam towarzyszy – powiedział Vaelin. – Chciałbym wiedzieć, gdzie są, zanim dokądkolwiek pójdę.

– Na wszelkie pytania odpowie król, jeśli raczy kłaść język rozmową z tobą. A teraz wstawaj, bo bardzo chętnie zaprowadzę cię do niego w łańcuchach.

Wysiadłszy z powozu, Vaelin zobaczył wiadro pełne wody z mydlinami czekające u stóp schodów. Kilka kroków dalej stał żołnierz z prostymi, ale czystymi ubraniami.

– Rozbieraj się – polecił oficer, wskazując na wiadro. – Potem się umyj i ubierz.

Vaelin przez chwilę się rozglądał. Otaczało go kilkunastu żołnierzy w czerwonych zbrojach, a znajdował się na dziedzińcu, który wzięłyby za pole, gdyby nie gładkie łupkowe płyty pokrywające go od końca do końca. Wokół stały trzypiętrowe budynki o lekko pochyłych dachach i narożnikach bogato zdobionych rzeźbami. Za nimi zobaczył wieże wznoszące się w blade, zachmurzone niebo. Były one równie wysokie jak w Volarze, ale smuklejsze, a każda zwieńczona konstrukcją przypominającą miniaturową fortecę. Wieże obserwacyjne, uznał. Był pod wrażeniem. Żadna armia nie zbliżyła się niepostrzeżenie na odległość pięćdziesięciu mil.

– Rozbierz się, umyj i ubierz!

Vaelin zerknął na znajomego oficera i złożył mu kurtuazyjny ukłon, po czym zdjął ubranie. Przepocony materiał odkleił się od skóry, uwalniając wyziewy, od których nawet jego zapiekły oczy.

– Nie zapytałeś mnie o imię, panie – skomentował i całkiem nagi podszedł do wiadra. – Czy to dlatego, że je znasz?

Namydlając się, posłał oficerowi spojrzenie z ukosa i zobaczył całkowite opanowanie na jego twarzy. Ten człowiek miał wprawę w ukrywaniu emocji.

– Albo moją sprawę w Czcigodnym Królestwie. – Zanurzył głowę w wiadrze i przeczesał palcami splątane kosmyki. – Nie chciałbyś wiedzieć, panie, po co tutaj jestem?

Mężczyzna nic nie powiedział. Twarz miał równie kamienną jak do tej pory.

– Sherin Unsa – ciągnął Vaelin, wypatrując jakiegokolwiek reakcji, ale żadnej się nie doczekał. – Moja dawna znajoma. Siostra Sherin Unsa, dokładnie mówiąc, poprzednio z Piątego Zakonu Wiary. Choć sądzę, że zrezygnowała z tego tytułu lata temu.

Nadal nic prócz lekkiego błysku w oczach.

– Jest ze wschodu – dodał Vaelin, unosząc wiadro. – Barbarzynka, jak byś ją nazwał, panie. Podobnie jak ja. – Przechylił naczynie i opróżnił jego zawartość na głowę, rozkoszując się poczuciem czystości mimo chłodu. – Dziwne, że o niej nie wiesz, panie. – Odrzucił wiadro i przez chwilę strząsał wilgoć z włosów. – Słyszałem, że zyskała pewną sławę w tych stronach dzięki swoim uzdrowicielskim talentom...

– Wiem, o kim mówisz. – Twarz mężczyzny znowu stwardniała, a Vaelin dostrzegł ten sam głód przemocy w jego spojrzeniu. – I, tak, wiem, kim jesteś. Ona nie jest taka jak ty.

Nigdy mnie nie spotkał, ale mnie nienawidzi, doszedł do wniosku Vaelin. Co ona mu powiedziała? Odwrócił się, bo pytanie wywołało w nim gorzki wstyd. Prawda może być wystarczającym powodem, jeśli on ją kocha.

– Jeśli król chce wiedzieć, jaką sprawę mam w jego królestwie – powiedział – właśnie ona jest jedynym powodem...

– Nie mów o niej więcej!

Żołnierze zastygli, kiedy oficer zrobił krok w stronę Vaelina, zaciskając pięść na rękojeści miecza, który nosił przy pasie. Opanował się jednak szybko i cofnął. Skinął głową podwładnemu trzymającemu czyste rzeczy.

– Ubierz się. Szybko. Opieszałość jedynie potęguje zniewagę, jaką wyrządziłeś temu królestwu.

Strój składał się z prostych szarych spodni i kaftana. Butów nie dostarczono, więc Vaelin musiał iść za kapitanem boso. Żołnierze maszerowali po obu bokach, rzadko odrywając od niego wzrok. Poprowadzono go przez szereg bram i dalej kolejnymi chodnikami. Po

drodze wartownicy stawali na baczność, kiedy mijał ich kapitan. Ludzie, których Vaelin uznał za służących, sądząc po prostych strojach i niesionych tobołkach, pierzchali na boki i kłaniali się nisko. Odziani bardziej wykwintnie, przypuszczalnie dworzanie albo urzędnicy, gapili się na Vaelina z otwartą ciekawością albo celowo odwracali wzrok, jakby sam widok barbarzyńcy mógł być szkodliwy.

W końcu dotarli do bramy dużo wyższej i bardziej zdobnej od innych, o masywnych drzwiach poruszających się ze skrzypieniem na żelaznych zawiasach. Za nimi ukazała się przyjemna panorama. Niskie wzgórza porośnięte bujną zielenią otaczały spokojne stawy o czystej wodzie, kwitnące drzewa wiśniowe zrzucały płatki. Vaelin przypomniał sobie upodobanie Lyrny do ogrodów i rozległych królewskich parków, które podobno fundowała w swoich nowych dominiach. Wątpił jednak, czy stworzyła coś dorównującego temu parkowi, jeśli chodzi o samą skalę i piękno.

– Zaczekajcie tutaj – rozkazał kapitan żołnierzom i ruszył do bramy, skinąwszy na Vaelina.

Wyszli na bujne pastwisko i wielkie drzwi zamknęły się za nimi. Okazało się, że nie ma tutaj żadnych ścieżek, więc Vaelin rozkoszował się dotykiem trawy pod stopami, kiedy podążał za kapitanem w górę jednego wzgórza i w dół następnego.

– Znasz moje imię, panie – odezwał się, starając się dotrzymać mu kroku, choć był osłabiony po uwięzieniu. – Nie powiesz mi swojego?

Kapitan milczał przez jakiś czas, zanim odpowiedział wymuszonym tonem.

– Sho Tsai, dowódca Czerwonych Zwiadowców.

– Zwykły zwiadowca? – rzucił drwiąco Vaelin. – Nawet nie generał? Z pewnością człowiek o mojej pozycji powinien być eskortowany przez kogoś równego rangą.

Była to kolejna wykalkulowana zaczepka, która najwyraźniej okazała się celniejsza niż inne. Sho Tsai zatrzymał się i odwrócił na lekko ugiętych nogach, z jedną dłonią na pochwie miecza, podczas gdy drugą ścisnął rękę.

– Rangą? – powtórzył cicho. – Nie masz tutaj wyższego statusu niż robak wijący się w gnoju.

Gniew, pomyślał z satysfakcją Vaelin, planując następną zniewagę, która, miał nadzieję, sprowokuje atak. Rozbroiłby tego dumnego zwiadowcę

i wydusił z niego informacje. On wie, gdzie są pozostali. Wie, gdzie jest Sherin, a ja zmuszę go, żeby mi to zdradził.

Przez park poniósł się donośny odgłos dzwonu, co odciągnęło uwagę Vaelina od gniewnej twarzy Sho Tsaia. Dźwięk dochodził z małej wysepki leżącej na najbliższym stawie. Łączył ją z brzegiem kamienny pomost, a jej środek zajmowała budowla o stromym dachu podtrzymywana przez cztery kolumny. Pod dachem stał wysoki mężczyzna o srebrnych włosach i uderzał pałką w duży dzwon. Wokół niego skakała mała dziewczynka, a jej chichot mieszał się z dzwonieniem.

Sho Tsai westchnął głęboko i wyprostował się, wskazując wyspę.

– Król Lian Sha domaga się twojej obecności.

Odwrócił się i pomaszerował dalej, zostawiając Vaelina, a on po krótkim zastanowieniu odrzucił pomysł, żeby obezwładnić go teraz, kiedy kapitan tak dogodnie był zwrócony plecami do niego. Rozejrzawszy się szybko po parku, stwierdził, że nigdzie nie ma śladu innych strażników czy służących, ale miał przeczucie, że ta pustka to złudzenie. Z pewnością żadnego króla nie pozostawiono by bez ochrony. Vaelin coraz bardziej uświadamiał sobie własną nieostrożność od chwili opuszczenia Dorzeczy. Jako Lord Wieży nigdy w taki sposób nie prowokowałby Sho Tsaia. Natomiast brat Vaelin zawsze za bardzo godził się na ryzyko.

Dzwonienie i śmiech dziewczynki ucichły, kiedy dotarli pomostem na wyspę. Mała nagle porzuciła taniec i ukryła się za wysokim mężczyzną i tylko zerknęła na Vaelina z lękiem i naburmuszoną miną.

Sho Tsai zatrzymał się na końcu pomostu i opadł na jedno kolano.

– O, Hojnie Obdarzony przez Niebiosy – rzekł ochryplym, ale pełnym szacunku głosem. – Zgodnie z rozkazem przyprowadziłem intruza. I... – zerknął przez ramię na Vaelina – będę wielce zaszczycony, mogąc wykonać szybki i mądry wyrok Najczciodszejszego.

Mężczyzna zaszczycił kapitana dobrotliwym uśmiechem, ale nic nie powiedział, tylko z wyczekiwaniem popatrzył na Vaelina. Brat mógłby się nie ukłonić, pomyślał. Ale Lord Wieży musi.

Powtórzył ukłon, który tak spektakularnie zawiódł go na jeziorze, i upiękzył go teraz opuszczeniem głowy o cal czy dwa niżej, niż wymagała etykieta. Wysoki mężczyzna najwyraźniej uznał widok za zabawny, bo roześmiał się serdecznie, po czym zwrócił się do Sho Tsaia.

– Moje podziękowania, kapitanie. Proszę wrócić na brzeg. Porozmawiam z tym człowiekiem sam.

Mówił głosem cichym i melodyjnym, a jego akcent różnił się od tego, który Vaelin słyszał w Czcigodnym Królestwie. Mimo to stwierdził, że jest w nim pewna niewysilona władczość, przypominająca mu aspekta Arlyna, który również nie czuł potrzeby podnoszenia głosu.

– Wybacz, Najczcigodniejszy. – Sho Tsai ukłonił się jeszcze niżej, a w jego tonie słychać było niechęć. – Ale tego barbarzyńcę należy traktować jak niebezpieczną bestię. Już zaatakował jednego z moich ludzi...

– Naprawdę? – przerwał mu król, z zaskoczeniem unosząc srebrne brwi.  
– Zabił go?

– Nie, Najczcigodniejszy.

– A mógłby, gdyby chciał?

Ramiona Sho Tsaia przygarbiły się lekko.

– Tak, Najczcigodniejszy.

– Więc nie można go nazywać bestią, prawda?

Sho Tsai zawahał się, po czym opuścił głowę jeszcze niżej i wstał. Posłał Vaelinowi złowrogie, ostrzegawcze spojrzenie i ruszył pomostem na brzeg.

– Będziemy rozmawiać w pańskim języku – rzekł Lian Sha precyzyjnym językiem królestwa, zabarwionym melodyjnymi tonami. – Żebyśmy nie zrozumieli się nawzajem źle.

– Jak Wasza Wysokość sobie życzy – odparł Vaelin.

Na dźwięk jego głosu dziewczynka chowająca się za królem wydała cichy pisk i schowała twarz w kaskadach jedwabiu.

– Chwileczkę – powiedział władca, po czym ukląkł i delikatnie odsunął od siebie dziewczynkę. – To tylko człowiek, kwiatuszku. – Wytrzeł jej łzy rękawem. – Twoja matka uczy się głupstw. Pobaw się teraz. – Wskazał na kolekcję lalek i innych zabawek. – Dziadzius ma sprawę do załatwienia. A co to jest sprawa?

– Sprawa to słońce i deszcz – szybko odpowiedziała dziewczynka.

Lian Sha pogłaskał ją po policzku, a ona bez ociągania pobiegła do zabawek.

– Najmłodsza wnuczka. Ma dopiero cztery lata i już jest moją ulubienicą. A pan ma swoje ulubione dziecko?

– Nie mam dzieci, Wasza Wysokość.

– Tak, zapomniałem. Vaelin Al Sorna, Lord Wieży Północnych Dorzeczy i najsłynniejszy miecz Zjednoczonego Królestwa nigdy się nie ożenił. Jaki z was dziwny lud. Mężczyzna urodzony w jednym z Kupieckich Królestw, który pozostaje nieżonaty po dwudziestym pierwszym roku życia, szybko

stwierdza, że ludzie się od niego odsuwają, a w niektórych prefekturach musi płacić grzywny. Czy to pożądanie męskiego ciała powstrzymuje pana przed wyborem żony?

– Nie, Wasza Wysokość.

W ciemnych oczach Lian Sha zabłyśły iskierki wesołości. Podczas gdy głos władcy kierował myśli Vaelina ku aspektowi Arlynowi, jego oczy przywoływały wspomnienia króla Janusa.

– Widzę, że pan się nie obraził – stwierdził Lian Sha. – Człowiek o otwartym umyśle albo co najmniej o bogatym doświadczeniu. Oczywiście wiem, dlaczego pan nie ma żony, tak jak wiem, co pana sprowadza do mojego królestwa bez zaproszenia. Przybywa pan w poszukiwaniu uzdrowicielki, przez pamięć o miłości, którą utraciliście.

– Wasza Wysokość jest dobrze poinformowany.

– Źle poinformowany król szybko stanie się żebrakiem albo trupem. Nie zaskoczę pana, kiedy powiem, że dowiedziałem się o pańskiej obecności dwa dni po tym, jak stanął pan na nabrzeżu Hahn-Shi. Niezwykle skuteczny wywiad i sieć posłańców to jedne z najbardziej użytecznych spuścizn po Szmaragdowym Imperium. – Iskierki zgasły i oczy króla nagle nabrały twardości. – Znam los moich emisariuszy do pańskiej wieży.

– Zostali zamordowani przez członka swojej świty.

– A broń, po której zakup ich wysłałem?

– Nie będzie dostępna, przynajmniej dopóki w tej kwestii decyduje moja królowa, co potrwa miesiące, a nawet wtedy spodziewam się, że jej odpowiedź będzie odmowna.

– Ta odpowiedź mogłaby się zmienić, gdyby królowa się dowiedziała, że jej ulubiony generał jest teraz gościem w moim pałacu.

– Zapewniam Waszą Wysokość, że nie. Kiedy dojdzie do negocjacji, królowa Lyrna nie zniesie żadnych szantaży, a ja ostrzegam Waszą Wysokość przed wzbudzaniem jej gniewu. Niedawno zostało zmiążdżone całe imperium, bo popełniło ten błąd, o czym, jak podejrzewam, dobrze poinformowany król już wie.

W oczach króla pojawił się stalowy błysk, a jego głos przycichł prawie do szeptu.

– Przez wzgląd na przyjemny rezultat tego spotkania proszę nie snuć żadnych przypuszczeń co do tego, co wiem, a czego nie wiem. – Władca wytrzymał wzrok Vaelina, a monotony szept został nagle zastąpiony żywym, bardziej rzeczowym tonem. – Co się stało z zabójcą?

Vaelin przez chwilę się zastanawiał, co odpowiedzieć, bo wątpił, czy większość ludzi, nawet król, uznałaby prawdę za wiarygodną. Odnosił jednak wrażenie, że ten człowiek ma bardzo wyczulone ucho na wszelką nieuczciwość.

– Miał zdolności wywodzące się z tego, co mój lud nazywa Ciemnością, a wasz Błogosławieństwami Niebios. Wykorzystując je, zabił ambasadora Kohna i generała Giana, zanim został schwytany. Umarł, kiedy go przesłuchiwałem. Przed wypełnieniem misji zażył truciznę.

– A jakie informacje zdążył pan od niego uzyskać?

– Że naszym królestwom zagraża istota, której służył.

Król zmrużył oczy, a lekka zmiana kąta pochylenia jego głowy świadczyła, że Lord Wieży rzeczywiście mógł powiedzieć coś, czego on jeszcze nie wiedział.

– Stahlhast i ich żywy bóg – mruknął. – Oto komu służył.

Vaelin pokręcił głową.

– Nie sędzę. Mówił, że Stahlhast to tylko narzędzie, ale razem służą temu samemu panu. Kim on jest i gdzie przebywa, tego nie wiem.

Wnuczka Lian Sha głośno wykrzyknęła: „Ha!”. Vaelin obejrzał się i zobaczył, że dziewczynka odgrywa walkę dwóch lalek. Większa była najwyraźniej jakimś mitycznym potworem z głową kota w pomarańczowe pasy i ciałem człowieka, a druga nosiła żołnierski mundur. Kociogłowa lalka wygrywała.

– Może się pan dziwić, że jeszcze nie jest pan martwy – powiedział Lian Sha, uśmiechając się na widok zabawy dziecka. – Dlaczego pana nie ukarałem za pańską ohydłą zbrodnię.

Vaelin zatrzymał wzrok na walczących lalkach i obserwował, jak potwór powala żołnierza na ziemię. Dziewczynka wydała kolejny okrzyk i szybko podniosła lalkę. W ciągu kilku sekund żołnierz pokonał przeciwnika i stanął z uniesionym ramieniem.

– Wygrałeś! – pochwaliła go dziewczynka. – Teraz dostaniesz wszystkie ciastka.

– Przypuszczam, że Wasza Wysokość zamierza mnie jakoś wykorzystać – stwierdził Vaelin. – Tak to często bywa z królami.

Lian Sha uśmiechnął się znowu i skłonił głowę.

– Zapusił się pan w moje dominium dalej, niż się spodziewałem. Może rzeczywiście zdołałby pan dotrzeć do Wysokiej Świątyni, gdybym nie wysłał po pana Czerwonych Zwiadowców. Miał pan rację, że nie

przedstawił mi się oficjalnie w chwili przybycia. Pokonanie sieci biurokratów, których zatrudniam, żeby chronili mnie przed niechcianymi albo nieznanymi patentami, zabrałoby całe tygodnie. I co by pan osiągnął na koniec? Jedynie krótką audiencję i uprzejmą odmowę. Cudzoziemski barbarzyńca proszący o pozwolenie na przejazd przez moje królestwo w osobistej sprawie? Nie mógłbym nigdy publicznie pozwolić na coś takiego. Ale teraz jest pan moim więźniem. Zgodnie z prawem tego kraju należy pan do mnie, a ja mogę pana wykorzystać, jak chcę.

– Nie przyjechałem tutaj, żeby walczyć w pańskiej wojnie.

– Nie, ale pan przyjechał. Przyjechał pan do Uzdrowiającej Łaski. Tak ją nazywają, tę kobietę, której pan szuka. Kobietę tak zręczną w leczeniu chorób i opatrywaniu ran, że ona też musi mieć Błogosławieństwo Niebios. Usłyszałem o niej kilka lat temu, kiedy moja córka leżała bliska śmierci, usiłując sprowadzić inne życie na ten świat. Moi nadworni medycy oczywiście byli przerażeni. Pozwolić cudzoziemce na dostęp do księżniczki z królewskiego rodu. W ich oczach był to niemal bluźnierczy akt. Musiałem słać dwóch czy trzech, zanim przestali się burzyć.

Vaelin wrócił spojrzeniem do dziewczynki. Jej lalki leżały teraz zapomniane, a ona z wysuniętym językiem i zmarszczonymi w skupieniu brwiami odbijała małymi rączkami skórzaną piłkę.

– Sherin ją odebrała – domyślił się Vaelin.

– I uratowała jej matkę. W nagrodę oferowałem jej tyle bogactwa, że resztę życia mogłaby spędzić w luksusie, gdyby chciała. Ale ona odmówiła i zamiast tego poprosiła o fundusze na budowę lecznicy w mieście, które wybrała na swój dom. Oczywiście ufundowałem ją, ale nadal mój dług wobec niej jest wielki. Teraz uważam, że został częściowo spłacony dzięki oszczędzeniu pana.

Sprawa to słońce i deszcz, przypomniał sobie Vaelin. Wszystko tutaj jest mierzone w długach, spłaconych i zaległych.

– Jeśli Wasza Wysokość pozwoli mi zabrać ją z powrotem do Zjednoczonego Królestwa, spłaci go pan do końca – powiedział. – Gdyby tylko powiedział mi pan, gdzie ona jest...

Starzec się roześmiał, a w tym śmiechu było tyle samo zaskoczenia co drwiny.

– Jacy z was muszą być powolni, niezdarni ludzie. Tak pozbawieni przebiegłości i subtelności. Dziwne, że wasza przerażająca Królowa Ognia podbiła w krótkim czasie tyle ziem.



– Bo wielu tych, którzy żyją na tych ziemiach, uważa, że zostali oswobodzeni, a nie podbici. Czy poddani Waszej Wysokości mogą powiedzieć to samo?

Vaelin spodziewał się jakiejś gniewnej riposty, ale król jedynie się roześmiał.

– Wolność, tak? Po co ta wolność? Żeby płacić podatki królowej? Służyć w jej armiach, kiedy ona tego zażąda? Mój lud już dawno temu zrozumiał, że wolność to iluzja, pojęcie, które lepiej zostawić filozofom do rozważań. Moi poddani nie oczekują ode mnie wolności, tylko dwóch rzeczy przede wszystkim: możliwości i ochrony. Teraz głównie troszczę się o to drugie i właśnie do tego chcę pana wykorzystać. Proszę mi powiedzieć, co pan wie o Jadeitowej Księżniczce?

– Mówi się, że żyje od lat dzięki Błogosławieństwu Niebios.

– Otóż to. Byłem chłopcem, kiedy ojciec wysłał mnie, żebym posłuchał jej pieśni. Trzydzieści lat później wróciłem tam i podczas gdy mnie urósł brzuch, a broda posiwiała, ona nadal była młoda i jasnowłosa jak dawniej i nawet jej pieśń się nie zmieniła. Ona właśnie to symbolizuje: stałość. Ona się nie zmienia i my też się nie zmieniamy. Mój lud od dawna wierzy, że Jadeitowa Księżniczka jest wcieleniem łaski niebios. Póki mieszka w Wysokiej Świątyni, nasze ziemie, nasze miasta, nasze pieśni i mądrość przetrwają. Wojny i głód mogły nas nawiedzać przez wieki, Szmaragdowe Imperium mogło obrócić się w gruzy, ale ludność Dalekiego Zachodu zawsze prosperowała. Teraz jednak Stahlhast zagraża naszym granicom, a Jadeitowa Księżniczka zniknęła.

Vaelin przypomniał sobie ostatnie chwile z Posłańcem, dziwną mieszanię żalu i zła na jego twarzy. Sherin pojechała leczyć Jadeitową Księżniczkę...

– A kobieta, którą chcę znaleźć. Łaska Niebios...

– Zniknęła razem z nią. Uzdrowicielka została wezwana do Wysokiej Świątyni. Dziwna prośba, skoro Jadeitowa Księżniczka jest odporna na choroby. Ale przypuszczano, że zachorowała jedna z jej ukochanych służek, więc miejscowy prefekt wydał niezbędne zezwolenie na podróż. Po kilku dniach przybył posłaniec z wieścią, że Jadeitowa Księżniczka i Łaska Niebios przepadły. Kazałem wychłostać prefekta i zwolnić go ze służby.

– I wszyscy pańscy szpiedzy i posłańcy nie mają pojęcia, dokąd się udały?

– Jest tylko niejasne doniesienie, że widziano, jak zmierzają na północ górskim szlakiem. Jeśli to prawda, tą drogą wkrótce dotrą do pogranicza, które teraz bez przeszkód najeżdża Stalowa Horda. Po prostu nie potrafię sobie wyobrazić, co mogło je skłonić do wyboru tego kierunku.

Król umilkł i ruszył w stronę brzegu wyspy. Zatrzymał się, żeby pogłaskać wnuczkę po głowie. Dziewczynka straciła zainteresowanie piłką i teraz bawiła się drewnianym bączkiem ozdobionym kolorowymi wzorami, które zlewały się w hipnotyzującą spiralę, kiedy nim kręciła.

– Ten park został założony na rozkaz mojego ojca – powiedział Lian Sha.

Vaelin oderwał wzrok od bączka. Starzec stał ze skrzyżowanymi rękami i patrzył na spokojne wody stawu i zielone wzgórza za nim.

– To było konieczne, bo właśnie tutaj wyrządzono największe szkody staremu pałacowi. Dzicy z Żelaznego Stepu już wcześniej tu docierali. Koalicja plemion ze wschodnich równin. Jak na ironię, później się okazało, że zostali zmuszeni do migracji, kiedy Stahlhast zagarnął ich ziemie. Tak więc przybyli po nasze. Zadali Czcigodnemu Królestwu ranę z krwi i popiołów, sięgającą aż do pałacu. Nie rozumieli go, tego wielkiego kamiennego obozu, który nigdy nie ruszał się z miejsca. Dla nich był potworny i odrażający, więc starali się go zniszczyć. Mówi się, że trzystu dworzan zagoniono do kompleksu świątyni, który tu kiedyś stał, i poderżnięto im gardła, a dzikusy wzniciły wielki pożar. Kiedy mój ojciec w końcu rozgromił plemiona i usunął durnia zasiadającego na tronie, na który nie zasługiwał, uznał za dziwne, że ta zniszczona część pałacu zarosła trawą i kwiatami. Moi uczeni mówią, że to dzięki kościom dworzan. Ich ciała użyźniły glebę. Tak więc, zamiast odbudowywać świątynie, ojciec kazał utworzyć park. Ta decyzja nie zjednała mu mnichów, ale on nigdy nie był szczególnie uduchowiony. „Mnisi ściskali paciorki i błagali niebios o oswobodzenie”, powiedział mi kiedyś. „Ale tylko stal i przebiegłość będą twoim wybawicielem, kiedy dzicy staną u twoich drzwi. Pamiętaj o tym, kiedy znowu się pojawią, bo tak będzie, mój synu”.

Liah Sha zrobił pauzę, a jego wargi ułożyły się w uśmiech wywołany miłym wspomnieniem.

– I tak znowu się potwierdziło, że mój ojciec był bardzo mądrym człowiekiem. Nasze królestwo czeka wojna niepodobna do innych. Stalowa Horda nie zatrzyma się na naszej granicy. Inni władcy Kupieckich Królestw oszukują się, wyobrażając sobie, że horda wyświadczy im przysługę i zniszczy ich rywali, zanim czmychnie na step z łupami. Ale tylko głupiec

myśli, że tygrys kiedykolwiek się nasyci. Nadciąga burza i żeby się przed nią obronić, moi poddani muszą wierzyć, że zwycięstwo jest możliwe. Straciłem armię, walcząc ze Stahlhastem, to prawda, ale do lata będę miał pół miliona rekrutów gotowych do wymarszu. Pytanie brzmi: jak będą walczyć?

– Moje doświadczenie jest takie, że żołnierze walczą dobrze, jeśli są dobrze wyszkoleni i dobrze dowodzeni – wtrącił Vaelin.

– Nawet jeśli wiedzą, że zostanie im odebrana łaska niebios? – Starzec pokręcił głową. – Znam charakter mojego ludu. Ostatnio było za dużo omenów, za dużo burz niespotykanych o danej porze roku, za dużo Zwiastunów Niebios.

– Już o nich słyszałem. Co to właściwie są te zwiastuny?

– Istoty przysyłane przez niebios, żeby ostrzec o grożącej śmierci albo nieszczęściu. Na przykład rój skrzydlatych lisów lecących nad ujściem Qan Li noc przed tym, jak przyплыw zniszczył większość wiosek leżących wzdłuż jej brzegów. W czasach mojego ojca widziano ogromnego niedźwiedzia grasującego na północnych wzgórzach krótko przed tym, jak plemiona wygrały z nami pierwszą bitwę.

– Skrzydlate lisy i gigantyczne niedźwiedzie? – Vaelin ściągnął wargi. – Rozumiem.

Lian Sha zerknął na niego z lekkim błyskiem irytacji w oczach.

– Czy w pańskim głosie słyszę pogardę? Czy barbarzyńca uważa się za bardziej racjonalnego od ludzi z Dalekiego Zachodu? Wiem dużo o panu i ziemi, z której pan pochodzi. To miejsce, gdzie przez wieki ludzie zabijali się nawzajem w imię starożytnych pism i wyobrażonych bogów. Niech pan sobie nie pozwala na osądy i wystawianie na próbę mojej cierpliwości. – Król przywołał na twarz nieruchomą maskę człowieka mówiącego z całkowitą szczerością. – Myśli pan, że chciałbym, żeby toczył pan moją wojnę, prowadził moje armie? Co za arogancja. Nie oddałbym moich żołnierzy w pańskie ręce, tak jak nie oddałbym wnuczki pawianowi. Nie, będzie pan moim psem myśliwskim, Vaelinie Al Sorno. Wyruszy pan na poszukiwanie Jadeitowej Księżniczki i sprowadzi ją do mnie z powrotem. Wysłałem najlepszych tropicieli do Północnej Prefektury, żeby ją znaleźli, ale oni przez wiele dni bez rezultatu przeczesywali góry. Podejrzewam, że może pan mieć więcej szczęścia. Jeśli przypadkiem znajdzie pan uzdrowicielkę razem z księżniczką, tym lepiej. Pozwolę nawet wam obojgu

opuścić moje królestwo. Do tego właśnie chcę pana wykorzystać i nie biorę pod uwagę udawanej odmowy. Obaj wiemy, że nie ma pan wyboru.

Bardziej Janus niż Arlyn, doszedł do wniosku Vaelin, zaciskając zęby do bólu, żeby z jego ust nie wyrwały się jakieś niemądre słowa. Choć Lyrna zamotałaby go w swoją sieć. Ale ja nie jestem nią.

– Podróżowałem z kilkorgiem towarzyszy – powiedział, kiedy ból w szczęce ustąpił.

– Tak i oni obecnie cieszą się moją gościnnością. Proszę ich ze sobą zabrać, jeśli pan chce. I może pan nawet wziąć tę wściekłą sukę z Karmazynowej Bandy. Obawiam się, że musiałem wysłać agentów, żeby rozprawili się z jej ojcem. Pewna tolerancja dla elementów przestępczych jest koniecznym aspektem rządzenia, lecz jego występki były zbyt duże. Tak jak panu jej również nie pozostawiono wątpliwości, że teraz należy do mnie.

Król Lian Sha złożył mu ledwo dostrzegalny ukłon, a Vaelin rozpoznał go z lekcji Erlina: odprawienie szlachetnego, ale pomniejszego urzędnika. Następnie władca odwrócił się i skinął na Sho Tsaia.

– Wysyłam razem z panem Czerwonych Zwiadowców. Moje najlepsze oddziały i ich dowódca są żywo zainteresowani powodzeniem tej misji. Widzi pan, kiedy moja córka leżała bliska śmierci, to jego posłałem po lekarkę. On od zawsze jest strasznie zakochany w Uzdrawiającej Łasce.

## Rozdział trzynasty

– Tsai Lin. – Młody żołnierz pokłonił się nisko, a Lord Wieży ocenił, że jest to najgłębszy ukłon, jaki mu złożono od przybycia do tego kraju. – Dai lo Czerwonych Zwiadowców.

– Dai lo? – powtórzył Vaelin. – Nie znam tego określenia.

– Proszę o wybaczenie, panie. – Młody mężczyzna zgiął się w pokłonie jeszcze o cal. – Dai lo to... praktykant, można powiedzieć, uczeń oczekujący awansu na oficera królewskiej armii.

– Rozumiem. – Vaelin rozejrzał się po dziedzińcu i przesunął wzrokiem po trzech tuzinach żołnierzy szykujących wierzchowce do podróży. Sho Tsai chodził między nimi, sprawdzając ekwipunek i upewniając się, że ładunki jucznych koni są bezpiecznie przywiązane. – Tsai. Pański dowódca ma takie samo nazwisko.

– Mam zaszczyt być jego synem, milordzie.

– Raczej trzecim jajkiem w gnieździe – odezwał się jeden z żołnierzy cichym, ale słyszalnym głosem. Pozostali parsknęli śmiechem.

Na Vaelinie zrobiło wrażenie, że młody człowiek nie stracił panowania nad sobą, choć po zeszywnieniu rysów poznał, że zniewaga dotarła do jego uszu.

– Dowódca wyznaczył mnie do pańskiej ochrony i jako łącznika na czas trwania misji – ciągnął Tsai Lin.

– Ochrony? – Vaelin uniósł brew i poczuł karygodną satysfakcję, kiedy dostrzegł zakłopotanie na twarzy młodzieńca.

– To tylko oficjalny termin – wymamrotał dai lo, znowu się kłaniając. – Wszyscy zagraniczni dygnitarze dostają ochronę. Naturalnie nigdy nie pozwolę sobie...

– Moi towarzysze – przerwał mu Vaelin. – Król zapewnił mnie, że...

Jego pytanie okazało się niepotrzebne, kiedy z drugiego końca dziedzińca dobiegł stek przekleństw.

– Zabierać łapy, wy pogańskie sukinsyny!

Czerwoni Zwiadowcy zrobili miejsce dla oddziału żołnierzy ubranych na niebiesko i Vaelin zobaczył Ellese. Dziewczyna szarpała się między dwoma

strażnikami, włosy miała splątane i brudną twarz wykrzywioną z wściekłości. Uspokoila się na widok Vaelina i zwiła bezwładnie w rękach strażników, aż ją puścili.

– Myślałam, że nie żyjesz – powiedziała Ellese ze smutnym uśmiechem, podchodząc i go obejmując.

Valein nie odwzajemnił uścisku ani nie pozwolił mu dłużej trwać. Jej szkolenie jeszcze się nie skończyło. Kiedy ją odsunął, po jej twarzy przemknęła uraza, ale dziewczyna szybko odzyskała panowanie nad sobą, stanęła prosto i przybrała neutralną maskę.

Nortah zjawił się krótko po niej, a po nim Alum i Sehmon, wszyscy równie rozczochrani i brudni. Następny przyszedł Erlin. Uwięzienie odbiło się na nim najbardziej. Poruszał się ze zwieszoną głową i przygarbionymi plecami, kiedy żołnierze prowadzili go przez dziedziniec. Naprawdę stary człowiek, pomyślał Vaelin, gdy zauważył kolejne siwe pasma w jego włosach i brodzie.

Chien ukazała się ostatnia, eskortowana przez czterech gwardzistów zamiast dwóch, z rękami zakutymi w kajdanki. Szła ze sztywnymi plecami i pustą twarzą, a kiedy dostrzegła Lorda Wieży, posłała mu lodowate, gniewne spojrzenie. Wyraz jej oczu nie zmienił się, kiedy strażnicy zdjęli jej kajdanki, a Vaelin doszedł do wniosku, że to byłby niewłaściwy moment na powitania.

– Dai lo!

Młody żołnierz stanął na baczność, słysząc głos dowódcy. Potem odwrócił się i zasalutował, przyciskając pięść do piersi.

– Tak, dai shin!

Na płytach zastukały końskie podkowy, kiedy Sho Tsai prowadził swojego wierzchowca przez dziedziniec: wysokiego nakrapianego ogiera o długich nogach zwierzęcia hodowanego do polowań.

– Niech cudzoziemcy wsiądą na konie – rozkazał dowódca. – Ruszamy.

– Moi ludzie potrzebują chwili – powiedział Vaelin, wskazując skinieniem głowy na swoich towarzyszy. – Czasu na umycie się i odświeżenie.

Sho Tsai w milczeniu zmierzył go wzrokiem, po czym skinieniem głowy wskazał na poidło dla koni.

– Więc niech się umyją – powiedział, osadzając wierzchowca w miejscu.

– I niech się pośpieszą. Król kazał szybko wypełnić tę misję, a ja nie mam zamiaru go rozczarować.

Galopem opuścił dziedziniec, a za nim podążył konny oddział, jadący w dwóch rzędach. Nagle rozległ się szcęk metalu i stuk drewna. Vaelin odwrócił się i zobaczył, że odziany na niebiesko żołnierz rzuca na ziemię płócienny tobołek. Po wylądowaniu na kamieniach materiał się rozchylił, odsłaniając ich broń.

– No, to już coś – zauważył Nortah, sięgając po swój łuk. – Przynajmniej niczego nie połamali.

– Panie, gdybyś zechciał – odezwał się Tsai Lin, wskazując na stojących trzymających wodze siedmiu osiodłanych wierzchowców. – Nie możemy zwlekać.

Vaelin pokiwał głową i zatrzymał Ellese i Sehmona zmierzających w stronę poidła.

– Weźcie swoją broń i wskakujcie na konie – polecił. – Umyjcie się później. Trochę smrodu was nie zabije.

\*\*\*

– Czy ten kraj to jedno niekończące się miasto? – zdziwił się Alum, rozglądając się po labiryncie ciasno upakowanych budynków.

Mimo wczesnej pory ulice roiły się od ludzi. Kiedy żołnierze ich mijali, wszyscy szybko usuwali się na bok z pochylonymi głowami. Minęła ponad godzina, odkąd Czerwoni Zwiadowcy opuścili pałac królewski, a nadal nie było widać końca metropolii.

– Muzan-Khi to największe miasto na Dalekim Zachodzie – powiedział Erlin. – Co czyni je najprawdopodobniej największym miastem na świecie. – Mówił znużonym głosem i siedział zgarbiony w siodle z szarawą bladeścią na obwisłej twarzy.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Vaelin.

– Oczywiście, że nie. – Erlin skrzywił się i zaśmiał cicho. – Jestem stary.

Ranek przeszedł w popołudnie, kiedy ukazały się mury. Zewnętrzne dzielnice leżały na niższym poziomie niż centrum, więc Vaelin wyraźnie zobaczył barierę o wysokości czterdziestu stóp ciągnącą się na kilka mil po obu stronach. Inaczej niż w porcie Hahn-Shi tutaj wyglądało na to, że za murami nie ma innych osad, a jedynie rozciąga się wielki patchwork pól uprawnych w różnych odcieniach zieleni.

– Budowanie poza murami jest zabronione – wyjaśnił Tsai Lin, kiedy Vaelin go o to zapytał. – Królowie już dawno wydali dekret, że Muzan-Khi

ma być wiecznym klejnotem, równie niezmiennym jak słońce.

– Ale liczba ludności musi rosnać co roku – zauważył Vaelin.

– Muzan-Khi często jest nazywane gniazdem królestwa. Wszyscy drudzy synowie i córki muszą wynieść się do innego miasta albo miasteczka po osiągnięciu wieku dwudziestu jeden lat i są szczęśliwi, mogąc to zrobić, bo okazji czekają na tych, którzy ich szukają. W ten sposób Czcigodne Królestwo pozostaje zjednoczone.

– A co z trzecimi i czwartymi synami i córkami?

– Takie rzeczy są zabronione w miastach. Tylko na prowincji rodzinom pozwala się na więcej niż dwoje dzieci. Już za czasów Szmaragdowego Imperium było wiadomo, że zbyt wiele gęb do wyżywienia oznacza głód.

Wyjechali przez północną wartownię, która miała rozmiary pomniejszego zamku, i ruszyli dalej traktem o niezwykle równej nawierzchni. Tylko w Volarii Vaelin widywał takie drogi, choć tamtym brakowało lekko wzniesionego środka i rowów odwadniających, dzięki którym arterie dawnego imperium niewolniczego były odporne na zniszczenia powodowane przez wodę. Podobnie jak w mieście, ludzie ustępowali przed żołnierzami króla, na widok Czerwonych Zwiadowców wozy i piesi rozpięchali się na boki, z jednym godnym uwagi wyjątkiem.

– Pewnie zostawił garnek na ogniu – skomentował Sehmon, kiedy obok nich niemal sprintem przebiegł mężczyzna.

Miał na sobie lekką koszulę bez rękawów uszytą z czarnej bawełny i białą przepaskę na głowie. Biegł wyćwiczonym krokiem. W przeciwieństwie do innych podróżnych korzystających z tej drogi nie zwracał uwagi na żołnierzy, a wzrok miał utkwiony w mieście. Nie niósł również żadnych ciężarów oprócz cylindrycznego pojemnika przewieszzonego na sznurku przez plecy.

– Poślaniec? – zapytał Vaelin.

– Tak, panie – potwierdził Tsai Lin. – Sądząc po tempie, pewnie się martwi, że straci przepaskę.

– Przepaskę?

– Odległość między posterunkami wynosi dokładnie trzy mile. Czas, kiedy każdy poślaniec wyrusza, jest odnotowywany, podobnie jak godzina przybycia. Co tydzień oblicza się średnią prędkość i każdy, kto zostanie uznany za zbyt wolnego, traci przepaskę. Daje mu się tydzień na jej odzyskanie, a jeśli nie zwiększy szybkości, zostaje ukarany trzcinką. Sześć



razów za pierwsze przewinienie, dziesięć za drugie. Trzecia przewina oznacza zwolnienie i hańbę.

– Zatem nie jest to poszukiwane zajęcie, jak przypuszczam?

– Właściwie istnieje ażarte współzawodnictwo o wstąpienie do tej służby. Król urzęduje co roku wielkie wyścigi i wybierani są tylko ci, którzy potrafią przebiec trzy mile w najszybszym czasie. Płaca jest wysoka, a zaszczyt wielki.

Wkrótce dotarli do posterunku, małego budynku, jeszcze trochę pomniejszonego przez chorągiew króla powiewającą na dachu. Kiedy oddział przejeżdżał obok, Vaelin zobaczył posłańca, który właśnie przybiegł z miasta. Przed zatrzymaniem się ten człowiek zdjął cylinder z pleców i rzucił go innemu, a ten natychmiast ruszył na północ, w tym samym miarowym, ale imponującym tempie.

– Czy konno nie byłoby szybciej? – zapytał Vaelin.

– Konni posłańcy pełnią służbę na północnych trasach, gdzie drogi nie są tak dobre – odparł dai lo. – Tutaj wykorzystuje się ludzi, którzy potrzebują mniej jedzenia. Poza tym konie nie boją się trzcinki tak jak oni. Dziwne, ale sposób podróżowania wcale nie wpływa tak bardzo na szybkość dostarczenia wiadomości. Badanie przeprowadzone przez królewskiego rachmistrza wykazało, że list niesiony przez pieszego posłańca przez dwieście mil dotrze do celu w ciągu piętnastu godzin przy dobrej pogodzie.

– Tsai Lin mówił z entuzjazmem, który przywiódł Vaelinowi na myśl Caenisa; on też zawsze kochał liczby.

– Dwieście mil w niecały dzień? – Vaelin ze zdumieniem pokręcił głową, wspominając, jak często przebycie całego kraju zabierało królewskiemu posłańcowi pełny tydzień. Napiszę o tym do Lyrny, postanowił. Jeśli będę miał okazję.

\*\*\*

Minęli pięć placówek pocztowych, nim światło zaczęło przygasać i Sho Tsai zarządził postój na noc. Czerwoni Zwiadowcy rozbili obóz blisko większego posterunku, który, jak się okazało, pełnił również funkcję koszar dla miejscowego kontyngentu Dien-Ven. Sądząc po tym, w jak stoicki sposób te grupy ignorowały się nawzajem, Vaelin domyślił się istniejącej między nimi niechęci.

– To nie są prawdziwi żołnierze, milordzie – powiedział Tsai Lin i lekko skrzywił wargi. – To zwykli rolnicy w mundurach. Widziałem, jak uciekają przed bandytami.

Determinacja Czerwonych Zwiadowców, żeby ignorować Dien-Ven, dorównywała ich obojętności wobec tych, których eskortowanie im powierzono. Rozbili namioty w znaczącym oddaleniu od nich i skupili się wokół ognisk, zostawiając rozdzielnie racji Tsai Linowi, a on wypełnił ten obowiązek w aurze wymuszonej uprzejmości. Tak jest w każdej armii, doszedł do wniosku Vaelin. Najmłodszy dostają najgorsze zadania.

– Proszę to zostawić – powiedział do dai lo, kiedy ten napełniał garnek ryżem. – Od tej pory będą gotować lady Ellese i pan Sehmon.

Nie odwrócił się, usłyszawszy, jak Ellese wydaje ciche sapnięcie przez zaciśnięte zęby.

– Jestem zmuszona ostrzec, wujku, że nigdy w życiu nic nie ugotowałam.

– To się naucz. – Vaelin wstał i ruszył do siedzącej samotnie Chien. Za sobą usłyszał cichy głos Sehmona:

– Pokażę ci. To nie takie trudne. Gotowałam mnóstwo razy.

– Przykro mi z powodu pani ojca – powiedział Vaelin do ich przewodniczki, która nie rozpałała ogniska, tylko siedziała skulona, trzymając oburącz laskę.

– Jako głowa Karmazynowej Bandy znał ryzyko związane z pomaganiem panu – odparła Chien, nie podnosząc głowy.

– A mimo to się na nie godził. – Vaelin ukucnął. – Jestem ciekawy dlaczego.

– Porównał ryzyko ze spodziewanym zyskiem. To jedyny powód, dla którego ludzie w tym kraju cokolwiek robią. – Chien skupiła na nim niepokojąco intensywny wzrok. – Do rozmowy ze mną skłania pana poczucie winy? Zapewniam, że to nic nie znaczy. Mój ojciec sam powziął decyzję o swojej śmierci, ale żyję wbrew jego rozkazowi z pańskiego powodu. Przez pana żyję w hańbie. Jestem teraz niewolnicą króla. Przez pana!

Uniosła się w gniewie, mocno ściskając laskę, ale zamarła na świst stali wydobywanej z pochwy.

– Czy ta przestępczyni pana obraziła? – zapytał Tsai Lin, stając nad nią z mieczem.

Vaelin ocenił, że jego postawa jest idealna, broń uniesiona oburącz pod właściwym kątem, żeby ściąć głowę Chien.

– Nie.

Dai lo ostrożnie skinął głową i cofnął się o kilka kroków, opuszczając miecz, ale go nie chowając. Vaelin zobaczył, że Chien siada z powrotem na ziemi i odwraca od niego wzrok.

– Jeśli chciała pani śmierci, dlaczego po prostu nie sprzeciwiła się pani rozkazowi króla? – zapytał.

– Mam trzy młodsze siostry. W przeciwieństwie do mnie one nie muszą brać udziału w rodzinnym przedsięwzięciu. Mój ojciec wysłał je do drogiej szkoły w Hahn-Shi, gdzie będą się przygotowywać do małżeństwa z mężczyznami o wysokiej pozycji i bogactwie. Król zgodził się sfinansować ich edukację i nie pozostawił mi wątpliwości co do ich losu, gdybym odmówiła towarzyszenia panu w tej bezsensownej misji.

Długi splotacone i zaległe, pomyślał Vaelin. Zysk wobec ryzyka.

– Czy to był jedyny rozkaz króla? – zapytał. – Sądzę, że w tej umowie jest coś więcej.

– Jeśli pan zginie, szukając Jadeitowej Księżniczki, ja również umrę. I moje siostry też.

Janus byłby pod wrażeniem. Choć pewnie zagroziłby tylko jednej siostrze.

– Nie odezwałem się do pani tylko po to, żeby wyrazić poczucie winy – rzekł Vaelin. – Odezwałem się, bo jest pani częścią mojej grupy. Może mnie pani nienawidzić, ale jesteśmy ze sobą związani, a ja nie mam wątpliwości co do niebezpieczeństw, które nas czekają. – Nachylił się i dodał cicho w języku królestwa: – I mogę złożyć własną propozycję. Kiedy wszystko się skończy, znajdzie się w moim kraju miejsce dla pani i sióstr. – Wyprostował się. – Proszę usiąść przy naszym ognisku i zjeść z nami. Choć nie ręcę za jakość posiłku.

\*\*\*

Trzeba było trzech dni jazdy, by coraz bardziej monotonna szachownica pól ustąpiła miejsca zielonej górzystej krainie. Między wzgórzami rozlokowały się wioski, malownicze dzięki licznym zagajnikom klonów i wiśni, które zdominowały krajobraz. Vaelin był pod wrażeniem, stwierdziwszy, że jakość dróg nie pogorszyła się, kiedy te zaczęły się wic między wysokimi, trawiastymi pagórkami. Piesi posłańcy nadal mijali ich ze stałą częstotliwością, a ruch wozów i tragarzy prawie się nie zmniejszył.

Vaelin wznowił lekcje Ellese i co wieczór przez dwie godziny uczył ją posługiwania się mieczem albo bolesnych tajników walki bez broni. Sehmon był chętnym partnerem, choć Alum nalegał, żeby co najmniej połowę czasu poświęcał na naukę władania włócznią. Czerwoni Zwiadowcy przyglądali się temu wszystkiemu z rozbawieniem albo z otwartą pogardą, która od czasu do czasu zmieniała się w gniew na widok Ellese z bronią.

– Dziewczyna z mieczem – rzucił jeden, przysadzisty mężczyzna o wargach zniekształconych przez starą bliznę. Każdemu jego słowu towarzyszyła chmura śliny. – Co będzie następne, barbarzyńco? Świnia z włócznią?

Ellese zatrzymała się w pół pchnięcia, a Vaelin zobaczył, że jej twarz czerwienieje z hamowanej wściekłości. Nadal znała jedynie podstawy chishin, ale umiała rozpoznać zniewagę, zwłaszcza kiedy towarzyszyły jej szydercze uśmiechy. Wzięła głęboki wdech i na nowo przyjęła szermierczą postawę, stoicko ignorując zaczepki plującego mężczyzny i jego kolegów.

Vaelin opuścił miecz i zbliżył się do niej, mówiąc cicho:

– Znoszenie zniewag czasami jest konieczne, ale nie zawsze obowiązkowe.

Ellese wytrzymała jego wzrok, a na jej wargach zatańczył krótki uśmiech wdzięczności. Zmieniła chwyt na półmetrowym jesionowym kij, którego używała w czasie ćwiczeń, i pomaszerowała prosto do żołnierza z blizną. Jego twarz pociemniała na jej widok, inni Czerwoni Zwiadowcy zaprzestali szyderstw i zaczęli wymieniać oburzone spojrzenia.

– Zmykaj! – warknął mężczyzna. – Nie zadaję się z cudzoziemskimi dziwkami...

Ellese wykonała piruet i zdzieliła go kijem w twarz. Żołnierz zatoczył się do tyłu z krwią ciekącą z nosa, a kiedy Ellese zadała kolejny cios, podcinając mu nogi, upadł ciężko na plecy. Ona się cofnęła, kiedy mężczyzna ryknął, odepchnął pomocne ręce swoich kolegów i dźwignął się z ziemi, wyjmując miecz z pochwy. Przykucnął i ruszył na napastniczkę z oczywistym zamiarem wypisanym na zakrwawionej twarzy.

– Kapralu Wei!

Zwiadowca zatrzymał się raptownie na dźwięk głosu Sho Tsaia, Dowódca stał ze skrzyżowanymi rękami i patrzył na Lorda Wieży, a nie na przerwany pojedynek.

– Dai shin! – Kapral stanął na baczność.

To samo zrobili inni zwiadowcy.

– Nie zawstydzajcie siebie i tego oddziału, kapralu. – Sho Tsai nadal wbijał wzrok w Vaelina.

On widzi to jako zamierzoną zniewagę. Może ma rację. Dowódca nie wypowiedział do niego ani jednego słowa, odkąd opuścili Muzan-Khi, ignorował pytania i pozostawiał wszelkie kontakty w rękach swojego syna. W rezultacie Vaelin nie miał pojęcia, co kapitan wie o Sherin, ponieważ Tsai Lin okazał się równie niechętny do rozmów na ten temat.

Kapral Wei szybko schował miecz i uklonił się dowódcy. Ten gest powtórzyli jego towarzysze.

– Przepraszam, Dai shin! Żadnego usprawiedliwienia, Dai shin!

Wzrok Sho Tsaia spoczywał na Vaelinie jeszcze przez chwilę, potem przeniósł się na kaprala.

– Będziecie spali na dworze przez następne trzy dni. Uważajcie się za szczęściarza, że was nie zdegradowałem.

Kapral uklonił się jeszcze głębiej.

– Tak jest, dai shin.

Sho Tsai zignorował go i przeniósł spojrzenie na Tsai Lina.

– Dai lo, jeśli ci barbarzyńcy będą się upierać przy swoich harcach, znajdź im jakieś miejsce z dala od cywilizowanych oczu.

Ukłon Tsai Lina był jeszcze głębszy niż kaprala.

– Dobrze, dai shin.

Dowódca odwrócił się i bez słowa pomaszerował z powrotem do swojego namiotu. Zawstydzony kapral Wei szybko się oddalił ze spuszczoną głową, obojętny na wspierające szepty kolegów i klepnięcia w plecy.

– Nie będą wiecznie w łaskach króla, bracie – usłyszał Vaelin słowa jednego z nich.

– Gdybyś zechciał, panie. – Tsai Lin zwrócił się do Vaelina ze wstydem na twarzy takim samym jak u kaprala. – Zdaje się, że za tamtym wzgórzem jest pole...

– Och, proszę się nie martwić – powiedział Vaelin, klepiąc go w ramię. – Myślę, że na dzisiaj skończyliśmy.

Skinieniem głowy wskazał na zakrwawiony kij w ręce Ellese i rzucił:

– Wyczyść go. W ten sposób poćwiczysz, zanim znajdę ci prawdziwą broń.

## Rozdział czternasty

Wysoka Świątynia stała na wierzchołku góry wznoszącej się na północnym krańcu płytkiej doliny rzecznej. Kiedy się zbliżyli, spowijały ją chmury, najwyraźniej odporne na żar południowego słońca.

– Nie pamiętam, żeby kiedyś wyglądała inaczej – powiedział Erlin, patrząc na zamglone stoki. – Świątynię można zobaczyć tylko wtedy, gdy się jest ponad chmurami. – Na jego twarzy malowała się głównie nostalgia, ale zabarwiona niepokojem. – Muszę wyznać, że moje nogi nie lubią wspinaczek.

– Po co tu przyjechaliśmy? – zapytał Nortah. – Przecież jej tu nie ma.

– Żeby schwytać zdobycz, trzeba znaleźć jej trop – odparł Vaelin. – A on właśnie tutaj się zaczyna.

Sho Tsai rozkazał oddziałowi zatrzymać się u podnóża góry. Powitał ich tam starzec w czerwono-czarnej szacie Mnicha Niebios, który wyłonił się z małego, ale bogato zdobionego domu, stojącego przy niewielkiej łukowatej bramie ze starego kamienia. Za bramą zaczynały się równie stare i zniszczone schody, bez wątplenia wyciosane w ciele góry wiele lat temu i wiodące do zamglonego nieba. Starzec pochylił przed kapitanem ogoloną głowę, a małe dzwoneczki przy jego lasce zabręczały, kiedy uniósł ją w geście, który Vaelin uznał za rodzaj błogosławieństwa.

– Dozorca Bramy wita cię, Bracie Włóczni – odezwał się mnich dźwięcznym głosem, przeciągając słowa.

Sho Tsai wyraźnie zeszywniał, słysząc ten nieznamy tytuł, a jego odpowiedź była szorstka i ostrożna.

– Nie było cię tutaj, starcze, kiedy ostatnio przyjechałem, a jednak mnie znasz.

– Wszyscy, którzy studiują w świątyniach, są znani Sługom Niebios. Świątynia Włóczni powiadamia nas na bieżąco o postępach swoich uczniów. Jaka to satysfakcja, że spośród wszystkich swoich żołnierzy król przysłał właśnie ciebie, bo ogromna jest nasza potrzeba i mroczna godzina...

– Nie musi być mroczna – przerwał mu Sho Tsai twardym tonem – jeśli Dozorca Bramy zasłużył na swoje miano.

Starzec cofnął się i wyprostował.

– Ta świątynia podlega władzy Sług Niebios – wymamrotał wstrząśnięty.  
– My dajemy pozwolenie na wejście albo go odmawiamy...

– Bo ona wam na to pozwoliła. – Sho Tsai zsiadł z konia i wydał rozkaz, żeby Czerwoni Zwiadowcy zrobili to samo. – Ale ona odeszła. Odsuń się, starcze. Teraz liczy się tutaj jedynie władza króla, a ja od długiego czasu nie studiowałem w Świątyni Włóczni. – Odwrócił się plecami do nadal coś bełkoczącego mnicha i rzucił do sierżanta: – Rozbić obóz. Pełna warta dzisiaj w nocy. Jesteśmy zbyt daleko na północ, żeby pozwolić sobie na złudne poczucie bezpieczeństwa.

– Oczywiście, dai shin. – Mężczyzna uklonił się i zaczął wydawać rozkazy władcym głosem typowym dla sierżantów na całym świecie.

Sho Tsai zacisnął zęby, przywołał na twarz sztywną maskę i odwrócił się do Vaelina.

– Lordzie Al Sorna – powiedział, wskazując na bramę i schody. – Idziemy?

\*\*\*

– Brat Włóczni?

Sho Tsai patrzył na schody z wciąż takim samym sztywnym wyrazem twarzy. Wspinali się w milczeniu przez prawie pół godziny i Vaelin nie liczył na odpowiedź, więc był zaskoczony, kiedy kapitan odburknął:

– To tytuł nadawany tym, którzy studiują w Świątyni Włóczni.

– To szkoła? Miejsce, gdzie szkoleni są wojownicy?

– Między innymi. Lekcje są... różnorodne. – Sho Tsai zrobił pauzę i spuścił wzrok, marszcząc brwi. – Ale zawsze cenne, nawet jeśli trzeba czasu, żeby ujawniła się ich mądrość.

– Czy wszyscy oficerowie króla chodzą do tej szkoły?

Sho Tsai prychnął cicho.

– Skądże. Gdyby tak było, nasza obecna sytuacja wyglądałaby całkiem inaczej. Mnisi przyjmują każdego sprawnego chłopca lub mężczyznę, który stawia się u ich bram. Po jednym tygodniu albo zostają poproszeni o odejście, albo pozwala się im zostać.

– To musi być trudny tydzień.

– Nie, w rzeczywistości jest bardzo łatwy. Dają ci szmatę i wiadro, a potem każą sprzątać dziedzińce. Świątynia ma wiele dziedzińców. Nie zadają żadnych pytań, a ty nie możesz odezwać się słowem do nikogo, nawet do siebie. W moim pierwszym tygodniu było dwudziestu innych, wszyscy starsi ode mnie o kilka lat. Tylko mnie pozwolono zostać i nie dano ani słowa wyjaśnienia. Potem sprawy się... skomplikowały, ale nigdy nie żałowałem, że przeszedłem przez tamte drzwi. – Zatrzymał się i spojrzał na Vaelina zmrużonymi oczami. – Sherin opowiedziała mi o szkole, do której pan chodził. Ma pan podobne doświadczenia?

– To nie była szkoła, tylko zakon, jeden z sześciu w służbie wiary. Bracia Szóstego Zakonu są zobowiązani do obrony wiary, a taka obrona wymaga użycia broni. Wyobrażam sobie, że Sherin opowiedziała panu o trudnościach, które znosiłem w czasie służby. Jeśli chodzi o żale, mam ich zbyt wiele, żeby je policzyć, ale nie mogę żałować wstąpienia do zakonu, tak jak żeglarz nie może żałować burzy, która zniosła jego statek na spokojniejsze wody. Byłem dzieckiem. Niewiele wiedziałem.

Wkrótce mgła jeszcze bardziej zgęstniała, zmniejszając widoczność na schodach do zaledwie kilku stóp. Wspinający się niestrudzenie Sho Tsai wyglądał teraz jak widmo, ale Vaelin zauważył, że kapitan idzie wolniejszym, ostrożniejszym krokiem i zachowuje między nimi starannie odmierzone dystans. Dostateczny na szybki cios mieczem, ocenił i pobiegł wzrokiem do brzegu schodów. Nie było tam żadnej balustrady czy innej bariery, a stromy spadek przyprawiał o zawrót głowy. Powie królowi Lian Sha o nieszczęśliwym wypadku, kiedy to niezdarny barbarzyńca stracił grunt pod nogami w drodze do Wysokiej Świątyni.

– Jeden z pańskich żołnierzy nazwał Tsai Lina trzecim jajkiem w gnieździe – powiedział. Skoro mieli stoczyć walkę na zboczu góry, rezultat mógł być tylko jeden, dlatego nie musiał się hamować. – Zapewne oznacza to, że ma pan jeszcze dwoje dzieci.

Widmowa sylwetka zeszywniała odrobinę, ale się nie zatrzymała.

– Miałem. Syna i córkę. Zmarli razem ze swoją matką, kiedy przyszła czerwona choroba.

Vaelin stłumił westchnienie. Chciał spytać, dlaczego żonaty mężczyzna naraził się na hańbę, zakochując się w cudzoziemce, ale nagle zawstydziło go okrucieństwo zawarte w tym pytaniu. Nie darzył tego człowieka nienawiścią; zazdrościł mu.



– Król powiedział mi, że jest pan zakochany w Sherin, odkąd eskortował ją pan na dwór. Czy pańska miłość została odwzajemniona?

Sho Tsai zatrzymał się i odwrócił do Vaelina, odruchowo sięgając dłońmi do boków.

– To nie pańska sprawa. – Jego ton był niemal pozbawiony emocji, nie licząc posępnej determinacji.

– Chciał pan się z nią ożenić, jak sądzę? – ciągnął Vaelin. On też przystanął trzy stopnie niżej, w odpowiedniej odległości, żeby uniknąć ataku. Choć mgła zakrywała twarz Sho Tsaia, on już dawna nauczył się wyczuwać, kiedy ktoś pragnie jego śmierci. – Ale król tego zabronił, tak? – Zachował miły ton. – Jeden z jego ulubionych oficerów płamiący swój honor poślubieniem cudzoziemki. Nie do pomyślenia, prawda?

Wzbierający gniew Sho Tsaia wyraził się w przygarbieniu jego pleców i powolnej zmianie położenia rąk.

– Nie do pomyślenia – zgodził się szorstkim tonem. – Tak samo jak nie do pomyślenia jest, żebym pozwolił panu znowu na nią spojrzeć. Pyta pan o jej miłość? Co pan o niej wie? Ma pan jakieś pojęcie, co pan jej zrobił? O ranie, którą pan zadał jej sercu?

– Zrobiłem to, co musiałem... – Vaelin umilkł pod ciężarem prawdy, którą zawsze znał, ale którą rzadko do siebie dopuszczał. – Byłem tchórzem. I głupcem. Pozwoliłem sobie uwierzyć w proroctwo i w swojej arogancji uznałem, że przeznaczenie naprawdę istnieje. Moją jedyną obroną jest to, że w tamtym czasie i miejscu nie miałem wątpliwości. Ona musiała odejść, a ja musiałem zostać. – Pieśń krwi dopuszczała jedynie pewność. – Nie przyjechałem tutaj, żeby odzyskać jej miłość. Wiem, że utraciłem ją wiele lat temu. Jestem tutaj, żeby uratować jej życie, bo to jestem jej winien.

Niewyraźna postać znieruchomiła, tak że wyglądała teraz jak część obojętnej skały.

– Wiem – powiedział Sho Tsai, a gniew został w jego głosie zastąpiony przez wytrącającą z równowagi, nieugiętą szczerłość. – Ona jest dla mnie najważniejsza, a ja nie pozwolę, żeby stała się jej krzywda, na ciele albo na duszy. Jeśli ma ją Stahlhast, zabiję ich wszystkich, żeby ją odzyskać. Jeśli ponownie otworzy pan jej rany, pana również zabiję, choć ona może mnie za to zniechęcić.

Odwrócił się i podjął wspinaczkę, znowu poruszając się energicznie, zapewne głuchy na odpowiedź, jakiej mógłby udzielić Vaelin.

\*\*\*

Wysoka Świątynia leżała pod jasnym słońcem barwiącym jej pochyłe dachy na złoto. Vaelin pomyślał, że jest to wyjątkowo imponujący przykład architektury, zarówno jeśli chodzi o samą niezwykłość konstrukcji, jak i o skalę. Różne budynki, duże i małe, wyrastały z górskiego szczytu niczym płatki monumentalnego kwiatu. Balkony i dachy wznosiły się ponad płaszczem chmur i otaczały środkową wieżę, która pięła się ku niebu na wysokość sześciu pięter.

– Kto zbudował to miejsce? – zapytał Vaelin, chłonąc cudowny widok.

– Wiele rąk przez wiele lat – odparł kapitan. – Watażkowie, cesarze i królowie, wszyscy dołożyli swoje bogactwa i pracę, żeby stworzyć dom dla Jadeitowej Księżniczki. Z czasem ten dom się zmienił, a jedynie ona pozostawała tutaj zawsze taka sama.

Sho Tsai poprowadził go przez zewnętrzny pierścień ogrodów w stronę centralnej wieży, mijając po drodze licznych ogrodników. Vaelin zauważył, w jaki sposób wszyscy podchodzili do swoich obowiązków. Z poważnymi twarzami i zgarbieni, przycinając krzewy albo sprzątając liście, zdawkowo kłaniali się dwóm gościom i ukradkiem rzucali zaciekawione spojrzenia Vaelinowi. Gdy on i Sho Tsai znaleźli się na terenie właściwej świątyni, atmosfera stała się jeszcze bardziej posępna. Służące w prostych strojach zamiatały podłogi, ale nie przykładały się do pracy, jedna otwarcie płakała, szorując miotłą po kamieniach.

Smutek, pomyślał Vaelin, słysząc jej łkanie.

U stóp schodów prowadzących do centralnej wieży czekała na nich kobieta. Podobnie jak dozorca miała na sobie czerwono-czarną szatę, a przetykane siwizną włosy odgarnięte do tyłu. Jej przystojna, trójkątna twarz wyrażała lekką, ale szczerą radość na widok Sho Tsaia.

– Brat Włóczni – powiedziała, kłaniając się. Mówiła sztucznie wesołym tonem, ze słabo hamowanym drżeniem w głosie. – Dwadzieścia lat nieobecności, a pan nie wygląda ani trochę starszej.

– Matko Wehn. – Sho Tsai się uklonił o cal niżej niż ona. – Niektórzy mogliby powiedzieć, że pani nieuczciwość kała tę szatę, ale i tak jest miła. – Wyprostował się i z wymuszonym uśmiechem wskazał na Vaelina. – To jest lord Al Sorna ze wschodu. Przybywamy tutaj z rozkazu króla.

– Co do tego nie ma wątpliwości. – Matka Wehn wymieniła ukłony z Vaelinem, a jej oczy poddały go bacznej obserwacji. – Pochodzi pan

z kraju uzdrowicielki, prawda? Ma pan tę samą barwę skóry.

– Tak.

– Ale – jej wzrok przesunął się z twarzy Vaelina na miecz u pasa – nie jest pan uzdrowicielem.

– Nie, pani, nie jestem.

Kobieta zaśmiała się krótko i usunęła na bok, zapraszając ich gestem dłoni.

– Bez wątpienia macie pytania. Zrobię, co w mojej mocy, żeby na nie odpowiedzieć, choć nie wiem, jaki może być z tego pożytek.

Szerokim korytarzem oświetlonym przez pochodnie zaprowadziła ich do obszernej kolistej komnaty o wysokich oknach. Żaluzje były otwarte, ale wpadający do środka silny górski wiatr nie chłodził skóry. Vaelin podszedł do najbliższego okna i przez nie wyjrzał. Za otulającym wszystko bawełnianym kocem chmur zobaczył wzgórze na południu i trawiaste tereny za nimi. Obszar, którego pokonanie zabrało im ponad dwa tygodnie, nagle całkiem zmienił proporcje.

– Czy czegoś tutaj dotykano? – zapytał Sho Tsai, odwracając uwagę Vaelina od widoku.

Kapitan stał na brzegu niewielkiego podwyższenia znajdującego się na środku komnaty. Stała tam na bogato haftowanym dywanie mała kanapa, a na stole porcelanowy imbryk i kilka filiżanek. Na hebanowym stojaku przy kanapie spoczywał strunowy instrument muzyczny. Trochę przypominał harfę, ale z asymetryczną ramą i bardziej wymyślnym ułożeniem strun.

– Niczego – odpowiedziała matka Wehn. – Wszystko jest dokładnie tak, jak zostawiła.

Sho Tsai wydawał się bardzo zainteresowany instrumentem. Jego oczy zdradzały fascynację, kiedy ostrożnie wyciągnął rękę i przesunął palcami o włos od strun, po czym zacisnął ją w pięść.

– Zostawiła go. – W jego głosie brzmiało niedowierzenie.

– Zostawiła wszystko. Oprócz ulubionego płaszcza i butów, w których spacerowała po ogrodach. Przykro mi, bracie Sho, ale obawiam się, że nie zostało tutaj nic, co by panu pomogło. Przyjechała uzdrowicielka. Rozmawiały same aż do zmierzchu, a potem udały się na spoczynek. Rano zniknęły i nikt w świątyni nie widział, jak ją opuszczały.

– Może gdybyśmy wiedzieli, o czym rozmawiały, dałoby to nam jakąś wskazówkę co do celu ich podróży – odezwał się Vaelin.

– Żałuję, że nie mogę panu pomóc. Księżniczka uparła się, żeby porozmawiać z uzdrowicielką na osobności. Nie wiadomo, co między nimi zaszło. – Palce matki Wehn drżały lekko, kiedy przesuwiała dłonią po delikatnie rzeźbionym oparciu kanapy. – Po prostu nie mogę sobie wyobrazić, jakie słowa skłoniły ją do... opuszczenia nas w taki sposób.

– Po uzdrowicielkę posłano – zauważył Vaelin. – Musiał być jakiś powód. Zobaczył, że palce mniszki drżą jeszcze mocniej. Tak jak wcześniej kapitan, matka Wehn zacisnęła rękę w pięść. Ukryła obie dłonie w rękawach szaty i zmarszczyła czoło w wyrazie niezdecydowania, aż w końcu odpowiedziała cicho:

– Kaszłała.

– Kaszłała? – Sho Tsai nagle podniósł głos i spojrzał na matkę Wehn, jakby wypowiedziała bluźnierstwo. – Jadeitowa Księżniczka kaszłała?

Mniszka pokiwała głową i przełknęła ślinę.

– Tylko raz, ale ja to usłyszałam, podobnie jak służące, które przyniosły jej herbatę o wyznaczonej godzinie. Jedna z dziewcząt upuściła tacę i zaczęła szlochać. Głupia mała. Ale księżniczka była nieporuszona, choć my się zamartwiałyśmy. W końcu pozwoliła nam posłać po Uzdrowiającą Łaskę, bo kto inny mógłby lepiej się o nią zatroszczyć? Teraz oczywiście żałuję, że nie zlekceważyła naszych obaw.

– Przypuszczam, że nigdy wcześniej nie kaszłała? – powiedział Vaelin.

– Choroba jest poniżej jej godności. Podobnie jak głód czy zimno. Ona piła i jadła, ale tylko z szacunku do innych osób zamieszkujących tę świątynię. Byłam zaledwie nowicjuską, kiedy w wieku szesnastu lat przybyłam tu, żeby jej służyć. Przez wszystkie te lata nigdy nie słyszałam, żeby kaszłała, kichała czy narzekała, podczas gdy ja narzekam coraz bardziej z każdym mijającym dniem.

Czy kiedykolwiek słyszałaś, jak ona kłamie?

Vaelin nie wypowiedział tego pytania na głos, bo podejrzewał, że matka When mogłaby zemdleć. Naprawdę chory człowiek nigdy nie kaszle tylko jeden raz. Zdaje się, że fortele nie są poniżej godności Jadeitowej Księżniczki. Chciała, żeby Sherin tu przyjechała. Ale po co?

– Świat poza tą świątynią ma kłopoty. Wrogowie zagrażają waszym granicom. Czy księżniczka o tym wiedziała?

Matka Wehn skinęła głową.

– Co tydzień przybywa posłaniec ze stolicy prefektury i przynosi zwój z listą wszystkich najważniejszych wydarzeń w królestwie i poza nim. Tak

jest od zawsze. W świątyni jest mnóstwo zwojów pochodzących sprzed wieków.

– Cenne archiwum dla historyka – skomentował Vaelin, zastanawiając się, ile brat Harlick zapłaciłby za dostęp do takiej wiedzy.

– Tylko ona mogła czytać zwoje – powiedziała matka Wehn. – Niezliczeni badacze ślali prośby, żeby wpuścić ich do archiwum choć na godzinę, ale zawsze im odmawiano.

Ze wszystkich żyjących istot ona musi mieć najklarowniejszy obraz historii, pomyślał Vaelin. Jeszcze klarowniejszy niż Erlin. A jednak zazdrośnie strzeże swojej wiedzy. Może nie chce, żeby zwykły śmiertelnik o czymś wiedział?

– Wydawała się zaniepokojona ostatnimi wieściami? – zapytał Sho Tsai. – Jeśli bała się o bezpieczeństwo królestwa, może czuła się zmuszona uciec.

Sądząc po jego zmarszczonym czole, Vaelin wydedukował, że kapitan jest dezorientowany, tak samo jak matka Wehn.

Nie widzą w niej człowieka, uświadomił sobie. Dla nich ona jest częścią tej świątyni, jak posąg. Ta myśl przywołała wspomnienie ogromnej głowy ze zwietrzałego kamienia, którą kiedyś znalazł wśród ruin Upadłego Miasta w dominium Lonak za północno-wschodnią granicą królestwa. Wieki po tym, jak wyrzeźbiono ją dla upamiętnienia wielkiego człowieka, który z czasem stał się potworem. Ale wszystkie posągi w końcu rozpadają się w proch.

– Ona się nie boi, podobnie jak nie czuje głodu – odparła matka Wehn lekko urażonym tonem. – Czytała ostatnie zwoje z taką samą sumiennością, ale bez szczególnego zatroskania.

– Musi coś być – upierał się Sho Tsai. – Nie porwano jej ze świątyni. Najwyraźniej sama postanowiła wyjechać. Musi być coś więcej niż jedno kasznięcie.

Matka Wehn pokręciła głową, ale mars na jej czole się pogłębił.

– Było coś – przyznała. – Ale to wydarzyło się miesiące temu. Jej pieśń. Księżniczka ją udoskonaliła.

Vaelin zobaczył, że wzrok Sho Tsai przenosi się na harfę, a jego konsternacja zmienia się w czysty strach. Zaraz jednak kapitan przywołał na twarz zwykłą sztywną maskę.

– Pieśń – powtórzył cicho. – Pieśń Wieków.

– Właśnie.

Vaelin przypomniał sobie pierwszą opowieść o Jadeitowej Księżniczce, którą usłyszał od Erlina jakiś czas temu w trakcie marszu przez góry północnej Volarii. Niezliczone lata spędziła na ćwiczeniu głosu i gry na harfie. Jej pieśń nie jest doskonała, jeszcze jej nie skończyła i może nigdy nie skończy.

– Pieśń Wieków? – powtórzył.

– Znała wiele innych – odparła matka Wehn. – I grała je dla naszej rozrywki, kiedy miała nastrój. Ale Pieśń Wieków śpiewała codziennie, często po kilka razy. Nieważne, ile razy ją słyszałam, nigdy mi się nie znudziły słowa ani melodia. Niemal tak, jakby za każdym razem była to inna pieśń.

– Jak brzmiały słowa?

– Powstały tak dawno temu, że język jest niezrozumiały dla współczesnego ucha.

– I nigdy ich nie przetłumaczyła?

– Nie ma takiego zwyczaju, a nam nie wypada prosić.

– Ale mówiła wam, że ją doskonali?

– Nie tyloma słowami. Ale to było dość oczywiste. Byłam w jej pokoju, kiedy ostatnio ją grała. Tym razem ton, nastrój stały się zupełnie inne. Bardziej posępne. Muszę wyznać, że przelałam łzy z powodu tego piękna i smutku. Było coś takiego w tych dźwiękach, że wydawały się... – Matka Wehn pokręciła głową. – Jestem głupią starą kobietą.

– Proszę – nalegał Vaelin. – Jak się pani czuła?

– Jakby mnie... rozcięto, otworzono. Ale nie było bólu, tylko objawienie. Wspomnienia, które nie nachodziły mnie od lat, teraz wlały się do mojego umysłu. Tyle twarzy, tyle bólu, tyle radości. Myślałam, że może jakaś zdradliwa służąca dołąła odurzającej mikstury do herbaty, ale nie, to była pieśń. Choć radosna, mam nadzieję nigdy więcej jej nie usłyszeć. – Matka Wehn zamrugnęła, walcząc ze łzami, i odwróciła się, żeby dać sobie chwilę na opanowanie się. – Kiedy ucichł ostatni dźwięk, Jadeitowa Księżniczka odłożyła harfę na stojak i powiedziała: „A więc stało się”. I od tamtego dnia nie zagrała już ani nuty.

Kaszelnął jej ostatnią nutą i pożegnaniem, pomyślał Vaelin.

– Dziękuję ci, pani – powiedział.

Mniszka skinęła głową i zmierzyła ich błagalnym wzrokiem.

– Możecie... odnajdziecie ją? Bez niej to miejsce jest niczym. Bez niej te ziemie czeka ruina. Wiem to w głębi serca.

Vaelin już dawno się nauczył, że głupotą jest składanie obietnic, ale tym razem zdecydował się na częściową prawdę.

– Znajdę ją – powiedział.

Czy ona tutaj wróci, to całkiem inna sprawa, dodał w myślach.

Matka Wehn posłała mu uśmiech wdzięczności, po czym na jej twarz wrócił smutek. Spuściła wzrok.

– Proszę mi wybaczyć – wyszeptała, pośpiesznie ruszając do drzwi. – Zanedbałam obowiązki, nie organizując poczęstunku dla takich znamienitych gości.

– Kaszel to było oszustwo – stwierdził Sho Tsai po wyjściu mniszki.

– Nie sądzę, żeby kobieta, która tutaj mieszka, mogła chorować – zgodził się z nim Vaelin.

– I ta pieśń. Pan uważa, że jest znacząca.

– Wieki spędzone na doskonaleniu starożytniej pieśni, która potrafi przywołać niechciane wspomnienia, potem wezwanie Sherin pod pretekstem choroby i zniknięcie tej samej nocy. – Vaelin zaśmiał się słabo.

– Tak, myślę, że ona jest istotna.

– Ale raczej nie doprowadzi nas do nich. – Kapitan podszedł do okna wychodzącego na północ i spojrzął na rozległą panoramę gór i doliny. – Bez tropu, bez świadków możemy szukać latami i nie znaleźć po nich śladu. I wątpię, czy Stahlhast da nam tyle wolnego czasu.

Vaelin wrócił spojrzeniem do porzuconej harfy Jadeitowej Księżniczki. Przyszło mu do głowy, że równie dobrze instrument może spoczywać na stojaku przez następne lata, a nawet wieki. Nietknięta pamiątka po błogosławionej istocie, która tu kiedyś mieszkała. Jej struny na zawsze ciche. Ona miała pieśń, pomyślał. Pieśń Ciemności, tak jak kiedyś ja. Nie byłem jedyny.

– Miasto, w którym mieszkała Sherin... – zwrócił się do Sho Tsaia. – Leży daleko stąd?

– Trzydzieści mil na wschód – odparł kapitan i wzruszył ramionami. – Ale jaki sens jest tam jechać? Miejscowy Dien-Ven już przeszukał jej dom i nie znalazł żadnej wskazówki co do celu jej podróży.

– Ona nie mieszkała sama, prawda? – Vaelin bezskutecznie starał się pozbyć niechęci w głosie.

– Miała pokoje nad warsztatem kamieniarza. Bardzo utalentowanego i szanowanego człowieka, o ile sobie przypominam.

Wybacz mi, stary przyjacielu.

– Kamieniarz – powtórzył Vaelin. – On może ją znaleźć.



## Rozdział piętnasty

Miasteczko Min-Tran leżało na szczycie szerokiego wzniesienia w krainie falistych wzgórz, które dominowały w Północnej Prefekturze Czcigodnego Królestwa. Jego budynki były wyższe niż te, które Vaelin widział do tej pory, wszystkie z kamienia, a nie z drewna, wzniesione wewnątrz jeszcze wyższych i dobrze utrzymanych murów.

Miejsce z kamienia, pomyślał Vaelin, a na ustach zatańczył mu uśmiech, kiedy wjechali przez główną bramę. Gdzie znalazłby lepsze do zamieszkania?

– Będzie lepiej, jeśli porozmawiam z nim sam – powiedział do Sho Tsaia. Wjechali przez bramę bez zatrzymywania się, a dowódca ruszył szeroką ulicą w stronę zachodniej dzielnicy miasta. – Może potrzebować perswazji.

Sho Tsai popatrzył na niego z rozbawieniem.

– Jesteśmy tutaj z rozkazu króla. Jako poddany kamieniarz musi pomóc oficerowi królewskiej armii w każdy sposób, który uznam za stosowny.

Vaelin popędził konia i zajechał drogę kapitanowi, zmuszając go do zatrzymania się.

– On nie jest zwykłym poddanym – oświadczył, piorunując Sho Tsaia wzrokiem. – Jest jej przyjacielem i moim. Należy mu się co najmniej złudzenie wyboru.

Kapitan odpowiedział mu takim samym spojrzeniem, ale po chwili obejrzał się i warknął:

– Dai lo Tsai!

Tsai Lin przyklusował do dowódcy i zasalutował.

– Dai shin!

– Będziesz towarzyszył cudzoziemcowi do domu kamieniarza. Jeśli ten człowiek odmówi pomocy, zwiążesz go i przyprowadzisz do mnie.

– Zrozumiałem, kapitanie.

Sho Tsai obrócił konia i dał znak swojemu oddziałowi, żeby jechał za nim.

– Znajdzie nas pan w koszarach. I proszę się pośpieszyć.

– Jedźcie z nimi – powiedział Vaelin do swoich towarzyszy.

– Jesteś pewien, wujku? – zapytała Ellese. – Jeśli ten człowiek ma w sobie Ciemność...

– Nie stanowi dla mnie zagrożenia. – Vaelin skinął na Tsai Lina i razem ruszyli główną ulicą. – Nadal pełnisz obowiązki kucharza – rzucił przez ramię do Ellese. – Postaraj się przyrządzić coś jadalnego, zanim wrócę.

Tsai Lin poprowadził go węższymi ulicami do dzielnicy rzemieślników.

– Byłeś tutaj wcześniej? – spytał Vaelin, gdy zauważył, że młodzieniec najwyraźniej dobrze zna drogę.

– Wiele razy. Mój... dai shin przywoził mnie tutaj na całe lato, kiedy byłem młodszy.

– Więc ją znasz? Znasz Sherin?

– Oczywiście, panie. To od niej nauczyłem się waszego języka i odebrałem wiele lekcji ze sztuki uzdrawiania. Choć moje umiejętności w tej dziedzinie pozostawiają wiele do życzenia.

Czy kiedykolwiek mówiła o mnie? Pytanie zamarło na ustach Vaelina. Miał wrażenie, że zna odpowiedź.

Gdy wjechali do dzielnicy, powietrze wypełnił znajomy huk kowalskich młotów i ciesielskich pił, a rytmiczny łoskot od razu przywołał wspomnienia Linesh. Jego ręce są silne jak zawsze, pomyślał Vaelin, kiedy Tsai Lin zatrzymał konia przed warsztatem z szerokimi podwójnymi drzwiami. Dźwięki młota rozbrzmiewały w środku do chwili, gdy obaj zsiadli z koni. Wtedy natychmiast ucichły.

– Proszę zaczekać – powiedział Vaelin, kiedy jego towarzysz przywiązał wodze do słupka i ruszył w stronę drzwi.

– Panie? – Dai lo się zawahał i obejrzał na Lorda Wieży. – Mam rozkazy...

– Po prostu niech pan zaczeka. – Vaelin posłał mu niewesoły uśmiech i spojrzał w mroczne wnętrze warsztatu. – Proszę.

Cisza trwała długą chwilę. Muszą być tutaj tylne drzwi, pomyślał Vaelin. Skorzystaj z nich, przyjacielu.

– Proszę wybaczyć opieszałość, szanowny panie. – Mężczyzna, który pojawił się w drzwiach, skłonił przed Tsai Linem ogoloną i pokrytą bliznami głowę, a gdy ją uniósł, spojrzał na Vaelina z ciepłym uśmiechem.

– Gdybym wiedział, że przyprowadziłeś, panie, takie miłe towarzystwo, przyszedłbym szybciej.

– Ahm Lin. – Głos Vaelina był zachrypnięty.

Zaczął się kłaniać, ale kamieniarz zbliżył się i objął go ramionami umięśnionymi i silnymi jak kiedyś.

– Wiedziałem, że przyjedziesz – powiedział cichym szeptem. – Czekałem.

Odsunął się, a Vaelina uderzyło, jak niewiele się postarzał. Oparzenia tak świeże w ostatnim dniu na nabrzeżu Linesh teraz zbladły, pomarszczone ciało opaliło się i nabrało skórzastego połysku. W szczecinie na głowie pojawiła się siwizna, oczy okoliły zmarszczki, ale Ahm Lin nadal był szczupły, jak wtedy, gdy Vaelin poznał go w Linesh. Wygnany był sługa króla Lol-Thana zamieszkał w alpirańskim porcie, szukając odpoczynku po życiu spędzonym na podróżach, a jego pieśń krwi przywiodła innego pieśniarza do jego drzwi, właściwie intruza. Ich przyjaźń narodziła się od razu dzięki ich pieśniom i na tyle zagroziła planom Sojusznika, że wysłał Posłańca, by zabił kamieniarza. Przeszkodziły mu w tym rzeczy nadal pozostające niejasnymi dla Vaelina, ale oparzenia, których Ahm Lin doznał w czasie ataku, zostawiły trwałe ślady. Przywrócony do zdrowia przez Sherin doskonale nadawał się do tego, by ją wywieźć z królestwa, a Vaelin ucieszył się teraz, że jej nieunikniony gniew nie zniszczył ich relacji.

– Kamieniarzu Lin – przemówił Tsai Lin tonem pełnym niechęci – przybywam z...

– Rozkazami wzywającymi mnie na służbę u króla – dokończył kamieniarz. – Tak, wiem. Proszę dać mi chwilę na zabranie rzeczy.

Zniknął w głębi warsztatu, a Vaelin po chwili wahania poszedł za nim. Wiedział, że niemożliwe będzie zaskoczenie tego człowieka, ale jego przyjazna gotowość do opuszczenia domu była nieoczekiwana. Wnętrze warsztatu okazało się pod wieloma względami takie samo jak dom Ahma Lina w Linesh, choć nie tak przestronne, a owoce jego pracy były całkiem inne.

Żadnych posągów, stwierdził Vaelin, kiedy powiódł wzrokiem po wnętrzu i zobaczył wiele prostokątnych marmurowych skrzyń, każdą z wyrytym na niej pismem Dalekiego Zachodu i z kolumnkami w narożnikach. Ale nie było tutaj żadnych bogów, żadnych bohaterów ze starożytnych legend, żadnych bestii.

– Mauzolea, sarkofagi i monumenty dla czcigodnych przodków – powiedział Ahm Lin, wychodząc z mrocznych zakamarków warsztatu. Zdjął fartuch i przebrał się w watowany kaftan i spodnie. Na ramieniu miał plecak i niósł solidny kij z jesionu o długości metra.

– Rzeczy potrzebne mi teraz do wykonywania zawodu – wyjaśnił. – Ludzie tutaj są niemal równie zakochani w śmierci jak mieszkańcy twojego królestwa.

– Pomyślałem, że mógłbyś wyrzeźbić następnego wilka – rzucił Vaelin.

Ahm Lin spochmurniał i z miną człowieka żegnającego się powiódł spojrzeniem po warsztacie.

– Nie, bracie. Jeden wilk wystarczy na całe życie. – Rozpogodził się szybko i uniósł kij. – Idziemy? Tylko muszę poprosić sąsiada, żeby opiekował się moim domem, kiedy mnie nie będzie.

– A twoja żona? – spytał Vaelin. Bał się reakcji kobiety. Jego obecność nigdy nie wróżyła dobrze jej mężowi. – Nie chcesz...

– Odesłałem ją do jej domu – przerwał mu Ahm Lin, szybko idąc do drzwi.

– Do domu?

– Z powrotem do Alpiry. Tak było najlepiej.

W tonie kamieniarza była ostrożność, która wykluczała następne pytania, więc Vaelin bez słowa podążył za nim na ulicę. Ahm Lin przez chwilę rozmawiał z kołodziejem mieszkającym po sąsiedzku, po czym mężczyźni objęli się i rozstali. Kamieniarz odwrócił się plecami do swojego warsztatu i pomaszerował zdecydowanym krokiem w stronę koszar.

– Chodźmy – powiedział, machając laską. – Chcę usłyszeć, co robiłeś przez ostatnie dziesięć lat. Widziałem jedynie kilka obrazów i we wszystkich dużo się działo.

\*\*\*

Sho Tsai pozwolił na tylko jedną noc odpoczynku w Min-Tran przed wyruszeniem na poszukiwania. Bez sprzeciwu zgodził się na zaproponowany przez Ahm Lina północno-zachodni kierunek, co skłoniło Vaelina do refleksji, że kapitan być może od dawna żywił podejrzenia co do prawdziwej natury kamieniarza. Nie podzielił się nimi z królem, jak przypuszczał Vaelin, ze względu na Sherin.

Po przejechaniu dwudziestu mil przez krainę falujących wzgórz dotarli na pofałdowaną równinę ciągnącą się aż po północny horyzont niczym nieprzerwane żółto-zielone morze.

– Żelazny Step – powiedział Erlin. – Mówią, że można przejechać tysiąc mil i nie zobaczyć żadnego pagórka czy wzniesienia, oczywiście póki nie

dotrze się do torów. Mam nadzieję, że nie zapuścimy się tak daleko.

Podniósł głos, kierując niewypowiedziane pytanie do Ahm Lina. W odpowiedzi kamieniarz jedynie odwrócił się na swoim przysadzistym kucu i posłał mu mdły uśmiech. Vaelin jechał obok niego przez pierwsze dwa dni i tysiące pytań kłębiło mu się w głowie, ale jakoś nie udawało się im opuścić jego ust. Wreszcie drugiego dnia Ahm Lin westchnął z irytacją i powiedział:

– Możesz ją zapytać, kiedy ją zobaczysz, milordzie. Co jest między wami – rzucił znaczące spojrzenie w stronę Sho Tsaia – albo kimś jeszcze, to nie moja sprawa, żebym miał o niej mówić.

– Twoja pieśń jest równie silna jak kiedyś – zauważył Vaelin z nutą żalu.

– Silniejsza, powiedziałbym. Zrozumiałem, że upływ lat ją wzmacnia, tak jak drzewo jest odżywiane przez deszcze wielu pór roku. – Cień przemknął po jego twarzy, a charakterystyczny uśmiech zmienił się w niechętny grymas. – Lata temu powiedziała mi, że straciłeś swoją pieśń i dużo więcej oprócz niej. Przykro mi.

– Wojna zawsze zabiera więcej, niż daje. – Vaelin zawahał się, nim zadał następne pytanie. Podejrzywał, że Ahm Lin może je zignorować. – Twoja żona. Dlaczego ją odesłałeś?

– Bo pieśń była jasna. Ona nie mogła zostać, jeśli chciałem, żeby żyła.

– Zatem pieśń ci powiedziała, co nadchodzi. To królestwo upadnie.

– Wiesz, że nie tak się dzieje z pieśnią. Ja wiem, że teraz jest głośniejsza niż kiedykolwiek, nawet w tamtych ostatnich dniach w Linesh, kiedy wydawało się, że armia cesarza wkrótce zamieni miasto w gruzy i zgliszcza. – Opuścił głowę, a do jego głosu wkradła się nuta samooskarżenia. – Zaczęła narastać, kiedy dotarła wieść z Wysokiej Świątyni, że Sherin musi się zająć Jadeitową Księżniczką. Próbowałem odwieść ją od wyjazdu, ale nie tak zdecydowanie, jak powinienem. Pieśń... była jak długa nuta, która rozbrzmiewa przed crescendo. No, po jej wyjeździe przyniosła mi sny. Widziałem chaos, widziałem krew, widziałem walące się mury Min-Tran... i widziałem ciebie, bracie. Rano odesłałem żonę. Może pamiętasz, że Shoala nigdy nie była kobietą o łagodnym charakterze, więc przekonanie jej do wyjazdu nie było łatwym zadaniem. – Jego rysy ściągnęły się w wyrazie żalu. – Mam nadzieję, że pewnego dnia mi wybaczy.

– A Sherin mi wybaczyła?

Kiepsko ukrywane skrzywienie na twarzy Ahm Lina było wystarczającą odpowiedzią na pytanie, które od dawna dręczyło Vaelina. Niektóre rany nigdy się nie goją.

– Ona żyje, prawda? – zapytał, tłumiąc westchnienie. – Twoja pieśń ci to mówi?

– Żyje. – Ahm Lin skinieniem głowy wskazał na horyzont. – Choć jest daleko i zdecydowanie zmierza do celu.

– Co nim jest? Dokąd ona jedzie?

– Wiem tylko, że to ważne. Wyczuwam jej pośpiech i determinację tej, która z nią podróżuje, choć jej melodia jest dużo bardziej pogodna. Powinienem cię ostrzec, bracie, że żadna nie będzie zadowolona, kiedy je znajdziemy.

\*\*\*

Po dziesięciu milach dobra droga z Min-Tran nagle zmieniła się w trakt z luźnego żwiru, a po ich przejeździe wzbijała się w powietrze wysoka chmura pyłu. Piesi posłańcy już dawno zostali zastąpieni konnymi. Co godzinę przynajmniej jeden mijał ich cwałem, a jeźdźcy okazywali taką samą jak wcześniej biegacze obojętność wobec Czerwonych Zwiadowców czy też coraz mniej licznych podróżnych zmierzających na północ. Z kolei ruch na południe stawał się z każdą milą coraz większy. Chudzi ludzie o szarych twarzach i w obszarpanych ubraniach ustępowali z drogi żołnierzom, prawie na nich nie patrząc. Było wśród tego tłumu wiele dzieci, a brak łez czy kwilących niemowląt opowiadał ponurą historię.

– Głodujące dzieci przestają po jakimś czasie płakać – wyjaśnił Erlin, kiedy Ellese skomentowała dziwne milczenie obdartych ludzi.

– Ale my mamy zapas jedzenia – powiedziała.

Sięgnęła do juków i wyjęła trochę solonej wieprzowiny, w którą zaopatrzono ich w Min-Tran. Ostrzegawczy krzyk sierżanta Czerwonych Zwiadowców rozległ się zbyt późno, bo Ellese już pochyliła się w siodle i podała jedzenie mijającej ją kobiecie, która niosła dziecko o zapadniętych policzkach i pustych oczach. W ciągu sekund dziewczynę otoczył tłum wycieńczonych ludzi wyciągających ręce, błagalne głosy zabrzmiały jak zbiorowy jęk.

Sierżant zaklął i rzucił rozkaz, a oddział zwiadowców wjechał w ciżbę, rozdzielając razy trzcinkami. Ludzie karnie się wycofali i większość podjęła

wędrowkę z przygarbionymi plecami. Kilku zostało na poboczu. Wznosili okrzyki i wymachiwali pięściami w stronę żołnierzy, a w końcu zaczęli ciskać kamieniami. Sądząc po wściekłości i zaskoczeniu zwiadowców, przejawy otwartego buntu wykraczały poza ich doświadczenie.

– Bezczelne północne świnie! – Kapral Wei dobył miecza i ruszył w stronę małej grupki protestujących.

Dwaj z jego towarzyszy podążyli za nim, ale wszyscy trzej zostali gwałtownie zatrzymani przez Nortaha, który zajeżdżał im drogę.

– Z drogi, ty barbarzyński skurwielu! – rozkazał Wei, a jego słowom jak zwykle towarzyszyła chmura śliny.

Nortah znał jedynie kilka zwrotów z chu-shin, ale Vaelin wątpił, czy umknęło mu znaczenie tego wrzasku. Mimo to spokojnie wytarł ślinę z twarzy i sięgnął za plecy po miecz.

– Chyba nie podoba mi się twój ton – stwierdził, kładąc ostrze na ramieniu.

Rozległ się tętent kopyt i u boku Nortaha pojawili się Sehmon, Alum, Chien i Ellese, a pół tuzina zwiadowców podjechało i ustawiło się po bokach Weia. Vaelin zerknął na Sho Tsaia, na pozór spokojnie siedzącego w siodle dwadzieścia jardów dalej. Kapitana miał wzrok utkwiony w Tsai Linie zamiast w tym, co działo się na drodze.

Vaelin spiął konia, zbliżył się do dai lo i powiedział cicho:

– Kandydat na oficera nadal jest dowódcą. Jeśli nie chce pan, żeby dzisiaj zginęli pańscy ludzie, proponuję nad nimi zapanować.

Tsai Lin przesunął wzrok z Lorda Wieży na ojca i z powrotem. Vaelin stwierdził, że wyraz jego twarzy jest dziwny, raczej niechętny niż wystraszony. Było jasne, że czegoś się od niego oczekuje, a on wolałby nie wykonywać tego zadania. Zamknął na chwilę oczy, a potem wyprostował się i popędził konia.

– Kapralu! – zawołał. – Schowajcie miecz i wracajcie do formacji.

– Odwal się, trzecie jajo – rzucił Wei ze złością, nawet się nie odwracając. – Odpowiadam przed dai shinem.

– Nie dzisiaj. – Tsai Lin podjechał i stanął tuż przed Weiem. – Dzisiaj odpowiadacie przede mną. – Sięgnął do pagonu i odpiął od niego żelazną gwiazdę, po czym spojrzał w twarze żołnierzy stojących po obu stronach kaprała. – Ten człowiek mnie obraził i zakwestionował mój honor. Rezygnuję z przywileju rangi i domagam się satysfakcji. Bądźcie świadkami jego tchórzostwa, jeśli odmówi.

Te słowa spowodowały wybuch śmiechu, ale wesołość szybko zmieniała się w nerwową ciszę, kiedy Tsai Lin nadal wpatrywał się wyczekująco w kaprała. Wei zakaszłał i schował miecz do pochwy, mamrocząc:

– Moja stal jest za dobra, by ją stępić na takiej swołoczy.

– Stój! – warknął Tsai Lin, kiedy kaprał zaczął zawracać konia. Wei zamarł w siodle, a jego twarz poczerwieniała. – Wyzwanie zostało rzucone i go nie przyjęto. Czekam na odpowiedź, kaprału.

Żołnierze zaczęli odsuwać się od Weia, kiedy po zerknięciu na kamienne oblicze kapitana zrozumieli, że ich dowódca nie zamierza interweniować. Kaprał jeszcze przez chwilę siedział w siodle z drżącą, czerwoną twarzą, aż w końcu warknął gardłowo i zsiadł z konia.

– Dobrze, szczeniaku. Chcesz lania, chętnie spełnię życzenie.

Zaczął zdejmować zbroję. Odwiązał napierśnik i rzucił go na bok. Tsai Lin zsiadł z konia i zrobił to samo, choć z wyraźnie mniejszym wzburzeniem. Wkrótce obaj stanęli naprzeciwko siebie z obnażonymi torsami, a Czerwoni Zwiadowcy uformowali wokół nich luźny krąg. Vaelin zobaczył, że Ellese z podziwem przekrzywia głowę na widok pięknie umięśnionej piersi Tsai Lina, szczupłej i wyrzeźbionej w przeciwieństwie do szerokiej klatki przysadzistego kaprała. Poza tym ciała dai lo nie szpeciła żadna blizna, podczas gdy Wei miał ich wiele.

– On nie zamierza wkroczyć – powiedział Wei, wskazując głową na Sho Tsaia. – Wiesz o tym, prawda, szczeniaku?

– Tak. Za co przepraszam. – W tonie Tsai Lina nie było drwiny, a jedynie ślad szczerzego żalu.

Vaelin przypomniał sobie radę mistrza Sollisa z placu ćwiczeń: „Tylko głupiec wybiera walkę, której nie potrafi skończyć”. Jak już się zorientował, Tsai Lin nie był głupcem.

Wei roześmiał się, odwrócił do kompanów i mrugnął do nich, po czym gwałtownie opuścił głowę i zaszarżował na Tsai Lina, z rozmachem celując pięścią w jego szczękę. Była to typowa sztuczka doświadczonego awanturnika, odwrócenie uwagi, seria przedłużających się gróźb i przechwałek, nim rozpocznie się prawdziwa walka. Okazało się jednak, że Tsai Lin nie dał się tak łatwo zwieść ani nie był awanturnikiem.

Błyskawicznym ruchem uniósł lewe ramię i zablokował cios kaprała. Prawa ręka wystrzeliła do przodu zbyt szybko, by dało się śledzić jej ruch, on sam zrobił krok w tył, uchylając się przed niezdarnym lewym sierpowym, który wprawił Weia w obrót, a z jego nosa, teraz



przekrzywionego na topornej twarzy, pociekła krew. Tsai Lin odwrócił się i zaczął nakładać zbroję, a tymczasem kapral zataczał się i czerwona ślina tryskała mu z ust, kiedy próbował uformować słowa. Gdy upadł i z nieprzyjemnym łupnięciem uderzył głową o twardą ziemię, Tsai Lin już zawiązywał napierśnik.

– Wsadźcie go na konia – polecił żołnierzom i ruszył do swojego wierzchowca. – Do nocy oprzytomnieje. Następny, który bez rozkazu wyłamie się z szeregu, nie będzie mógł liczyć na taką pobłażliwość.

Wsiadł na konia i chwycił wodze, po czym spojrział na grupkę żebraków nadal stojących na poboczu. Ich gniew ustąpił teraz miejsca zwykłemu zdumieniu.

– Każdy żołnierz weźmie połowę swojej racji i podzieli się nią z tymi ludźmi. Myślę, że wielu z was przyda się dzień albo dwa z burczącym brzuchem.

Twarze zwiadowców pociemniały, ale nie podniósł się żaden głos skargi. Wszyscy ruszyli, żeby wypełnić rozkaz. Vaelin usłyszał kilka burkliwych uwag wypowiedzianych raczej tonem podziwu niż gniewu.

– Świątynia Włóczni, mówię ci – mruknął jeden z żołnierzy do swojego towarzysza, kiedy dźwigali bezwładnego Weia na siodło. – Jak jego tatuś.

## Rozdział szesnasty

Słońce schowało się za ufortyfikowanym miastem Keshin-Kho, które z daleka przypominało wgnieciony stożkowaty hełm jakiegoś dawno zmarłego giganta. Leżało na skrzyżowaniu drogi wodnej znanej jako Wielki Północny Kanał z płynącą na południe rzeką o niezbyt przyjemnej nazwie Czarna Żyła. Podobnie jak w Min-Tran tutaj również nie było żadnych budynków poza jego granicami. Gdy znaleźli się bliżej, Vaelin zobaczył jeszcze dwa mury wewnątrz pierwszego, każdy na coraz wyższym poziomie. Sieć ulic gęstniała w miarę zbliżania się do wierzchołka ze smukłą wieżą, która w blasku zachodzącego słońca wydawała się cienka jak igła. Przewyższała nawet te, które widzieli w Muzan-Khi.

– Można pewnie dostrzec z niej armię znajdującą się dzień marszu stąd – zauważył Nortah, osłaniając oczy i patrząc na wieżę.

– Dwa dni, panie – poprawił go Tsai Lin z uprzejmym uśmiechem. – Są na jej szczycie urządzenia optyczne, które widzą na wiele mil.

– Ma pan na myśli lunety?

– Coś w tym rodzaju, ale dużo większe. Król ponosi duże koszty, żeby regularnie wymieniano soczewki. W Muzan-Khi jest warsztat, w którym rzemieślnicy zajmują się jedynie szlifowaniem szkła do długich oczu, jak je nazywają.

Długie oczy, pomyślał Vaelin. O tym też muszę napisać Lyrnie.

Przy głównej bramie miasta doszło do krótkiej zwłoki, kiedy Sho Tsai przedkładał swoje listy uwierzytelniające kapitanowi straży. Widok pieczęci króla sprawił, że szybko przydzielono im gwardię honorową i odeskortowano ich przez labirynt wąskich ulic do centralnego pałacu, w którym rezydował gubernator prefektury. Inaczej niż w Muzan-Khi, ludzie tutaj mniej skwapliwie usuwali się im z drogi, a niektórzy stali i patrzyli z otwartą wrogością, póki żołnierze nie zepchnęli ich na bok.

– Żadnych ukłonów, jak widzę – zauważył Nortah.

Spowodowane przez wino rozkojarzenie od dawna charakteryzujące jego twarz ostatnio ustąpiła miejsca bystrości, którą Vaelin pamiętał z ich ostatnich lat w Zakonie. Choć Nortah nigdy nie był tak wnikliwy jak

Caenis, miał umiejętność szybkiego oceniania potencjalnych zagrożeń, nawet jeśli takie oceny nie zawsze prowadziły do najmądrzejszej reakcji.

– Erlin mówi, że Północna Prefektura była ostatnim terytorium podbitym przez Szmaragdowe Imperium – powiedział Vaelin. – Najwyraźniej nie przyjęli tego dobrze. A i perspektywa wojny rzadko uszczęśliwia ludność.

Zmierzali krętą trasą do centrum miasta. Ten, kto nakreślił plany Keshi-Kho, najwyraźniej znał się na sztuce oblężniczej, bo główne bramy kolejnych murów rozmieszczono w przeciwległych punktach. Każda atakująca armia, której udałoby się wdrzeć przez jedną z nich, musiałaby pokonać liczne wąskie ulice pod ostrzałem obrońców stojących na następnym murze.

Wewnętrzny, najwyższy, miał co najmniej siedem stóp wysokości i co pięćdziesiąt kroków przewieszoną skarpe, z której obrońcy mogli rzucać wszelkiego rodzaju nieprzyjemne rzeczy na atakujących wrogów. Brama w tym murze była najwęższa, ledwo mieszcząca dwóch jeźdźców obok siebie. Gdy Sho Tsai wjechał pierwszy na dziedziniec, został powitany przez wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyznę w szacie ze skóry zwierzęcia o białym futrze w czarne pasy.

– Kapitanie! – Mężczyzna wyciągnął ręce, kiedy Sho Tsai zsiadł z konia i ukłonił się z szacunkiem.

– Gubernator Hushan. – Kapitan podał mu zwój z pieczęcią króla. – Przybywam na rozkaz...

– Oczywiście! – Gubernator roześmiał się i klepnął Sho Tsaia w ramię. – Po cóż innego Czerwoni Zwiadowcy mieliby zaszczycać moje skromne miasto swoją obecnością? Zwłaszcza że nigdy o to nie prosiłem. – Zaśmiał się znowu, ale Vaelin zauważył, że humor nagle mu się zepsuł na widok cudzoziemców. – Przywozi mi pan dziwnych gości, jak widzę. – Szybko przywołał uśmiech na usta. – Zapowiada się bardzo interesujący wieczór.

Rezydencja gubernatora, jak wszystko w tym mieście, została zbudowana raczej z myślą o obronie niż o okazałości czy wygodzie. Jej kamienne ściany były grube, a kolejne poziomy dachów nachylone pod ostrzejszym kątem niż normalnie, co oznaczało, że trudniej na nie wejść. Na prośbę Sho Tsaia Vaelin towarzyszył mu do prywatnych komnat gubernatora. Hushan wysłuchał kapitana z uprzejmą uwagą, która przerodziła się w szczere zainteresowanie na wzmiankę o zniknięciu Jadeitowej Księżniczki.

– Zniknęła? – spytał z nerwowym śmiechem. – Mówi pan, że ona rzeczywiście opuściła Wysoką Świątynię?

– Tak, gubernatorze. Miałem nadzieję, że może pańskie patrole się na nią natknęły albo przynajmniej słyszały o niej jakieś wieści. Dotarła do nas wiarygodna informacja, że Jadeitowa Księżniczka przejeżdżała przez to miasto.

Gubernator z zakłopotaniem wzruszył ramionami.

– Żaden z moich ludzi nie wykrył nawet śladu jej obecności, zapewniam pana. Zresztą ostatnio byliśmy trochę zajęci. Może pan słyszał.

– Stahlhast – odezwał się Vaelin, ściągając na siebie wzrok Hushana.

Na twarzy gubernatora nie było podejrzliwości ani otwartej pogardy, których Vaelin do tej pory doświadczył ze strony innych szlachciców z Dalekiego Zachodu. Zdradzała ona raczej chłodną ocenę, jakiej można się spodziewać u ludzi obeznanych z wojną.

– Właśnie, szanowny panie. – Gubernator uśmiechnął się lekko i uniósł brwi. – Muszę wyznać, że to dziwne uczucie zobaczyć na własne oczy postać, którą uważałem za mityczną. Opowieści o barbarzyńskim wschodzie szczególnie mnie interesują. Wszystkie te wojny, dziwaczne wiary i fantastyczne wydarzenia. Proszę mi powiedzieć, czy to prawda, że wasza straszna Królowa Ognia ma władzę nad całym stadem czerwonych rekinów?

– Tylko nad jednym osobnikiem, milordzie. Ale on zdechł.

– Och – mruknął z rozczarowaniem Hushan. – Szkoda. Nazywają pana Ostrzem Ciemności, prawda? Pod takim imieniem jest pan znany swojemu ludowi? – Teraz we wzroku gubernatora zdecydowanie była powaga wykraczająca poza zwykłe zainteresowanie cudzoziemskim mitem.

– Kiedyś nadali mi ten przydomek moi wrogowie – odparł Vaelin. – Ale już nie są wrogami.

– Mimo to przydomek przetrwał. Imię, którego mój lud nauczył się bać.

– Tak słyszałem. Widzieliśmy wielu ludzi na drodze. Wyglądali na głodnych.

– Głód jest najmniejszą z kar, na które zasługują tchórze. – Hushan z lekceważeniem machnął ręką, ale Vaelin wykrył defensywną nutę w jego głosie. – To miasto od dawna było na północy azylem dla wszystkich. Ludzie chronią się tutaj na jakiś czas, póki nie przepędzimy najeźdźców. Tak jest od dawna. Gdyby ten głupiec Nishun mnie posłuchał, zamiast maszerować z czterdziestoma tysiącami południowców na step, żeby ponieść zasłużoną klęskę, obecny bałagan już by się skończył. Walka ze Stalową Hordą na otwartej przestrzeni, gdy ma się armię, w której trzy

czwarte to piechota. – Gubernator prychnął z pogardą. – Równie dobrze mógł podejść do Ostrza Ciemności i nadstawić mu kark do ścięcia. Teraz z powodu kłęski Nishuna i nonsensów wygadywanych na temat niedawno objawionego watażki Stahlhastu i jego przerażającego imienia ludzie uciekają na południe coraz większą falą, bez wątpienia rozpowszechniając na każdym kroku podłe kalumnie przeciwko swojemu gubernatorowi.

– Zatem nie uważa pan Stahlhastu za prawdziwe zagrożenie? – zapytał Sho Tsai. – Wszystko, co widzieliśmy i słyszeliśmy, wskazuje na coś przeciwnego.

– O, są zagrożeniem, to pewne. Ale zawsze nim byli, a ja nie widzę, żeby coś różniło ten ostatni wysyp najazdów od poprzednich. Jeśli już, to ich okrucieństwo słabło, póki Nishun nie podsycił ich ambicji czterdziestoma tysiącami tobołków z łupami. Proszę mi wierzyć, kapitanie, walczyłem z dzikusami na Żelaznym Stepie, odkąd dorosłem na tyle, by ojciec posadził mnie w siodle, i jeszcze nigdy nie przegrałem. Ani nie przegram. Może pan poinformować o tym króla. Posłańcy są do pańskiej dyspozycji.

– Tak zrobię. – Sho Tsai złożył mu kolejny płytki ukłon. – Pański hart przynosi panu zaszczyt. Jednakże bez wątpienia otrzymał pan wiadomość, że Najczcigodniejszy kazał zebrać dużo większą armię, która wkrótce pomaszeruje na północ.

Gubernator się roześmiał i klepnął Sho Thaia w ramię okryte zbroją.

– I moim zamiarem jest postarać się, żeby nie mieli nic do roboty, kiedy tutaj dotrą. To również proszę przekazać Najczcigodniejszemu. Oczywiście wspomogę waszą misję w każdy możliwy sposób, ale porozmawiamy o tym rano. – Uśmiechnął się szerzej, kiedy przeniósł wzrok na Vaelina. – Jeśli chodzi o dzisiejszy wieczór, mam ochotę uczcić moich wielce interesujących gości ucztą, na której będą mogli mnie zabawiać wszelkiego rodzaju dziwnymi i smakowitymi opowieściami.

\*\*\*

– A ten... ojciec świata nie ma żony? Jest jakaś matka świata? – Gubernator Hushan mówił znośnym, choć trochę łamanym językiem królestwa, ale udało mu się przekazać w tym pytaniu szczere zdumienie.

– Ojciec jest wieczny i całkowicie poza naszym zrozumieniem – odpowiedziała Ellese. Ugryzła kawałek pieczonego prosiaka i popiła go solidnym haustem miejscowego wina.

Był to mocny napój z pokrojonymi w kostkę owocami, które tylko częściowo maskowały silny smak czystego alkoholu. Wzrok Vaelina wciąż kierował się na koniec stołu, gdzie siedział Nortah. Niewiele rozmawiał z Alumem i Sehmonem, których miał po obu bokach, i nie przejawiał zainteresowania licznymi butelkami krążącymi w tę i z powrotem. Pies

Pozostałymi gośćmi byli głównie starsi oficerowie z miejskiego garnizonu, zawodowi żołnierze, zwykle ceniący sobie uroki picia. Siedząca po lewej stronie gubernatora kobieta ubrana w misternie haftowane niebieskie jedwabie, pasujące do szafirowych kolczyków i do cieni na powiekach, wyróżniała się elegancją. Hushan przedstawił ją jedynie jako trzecią żonę; najwyraźniej nie leżało w tutejszych zwyczajach zdradzanie obcym imion członków rodziny. Vaelin uznał, że ta kobieta przypomina doskonale wykonany manekin o nienaturalnie doskonałej twarzy jak u porcelanowej lalki, ustach ułożonych w stałym skromnym uśmiechu, który stawał się szerszy tylko na chwilę, kiedy mąż wygłaszał jeden ze swoich żartów. Nic nie jadła i wypła tylko parę łyków wina. Vaelin nie zwróciłby na nią uwagi, gdyby nie sposób, w jaki zareagował na nią Ahm Lin po zajęciu miejsca przy stole. Kamieniarz starał się ukryć swoją reakcję, ale Vaelin zauważył, że jego plecy sztywnieją, kiedy przesuwają się po nim łagodny wzrok kobiety. Przez cały wieczór Ahm Lin skupiał się wyłącznie na posiłku, czasami tylko kiwając głową i coś mrucząc w odpowiedzi na wesołe uwagi Erlina.

– Ale nie, on nie ma żony – dodała Ellese, tłumiąc beknienie. – Takie przyziemne sprawy nie mają znaczenia, kiedy rozważa się naturę Ojca.

– A zatem... – Hushan ściągnął brwi z rosnącym zdumieniem. – Jak spłodził świat bez łona, które przyjęło jego nasienie?

– Mocą swojej miłości, która wie wszystko i wszystko widzi. – Ellese zaszczyciła gubernatora szerokim uśmiechem, ponownie napełniając swój pucharek.

Do tej pory nie okazywała urazy przedłużającym się, pełnym sceptycyzmu wypytywaniem Hushana o szczegóły jej wiary. Vaelin już dawno wyczuł, że jej oddanie Kościołowi Ojca Świata jest w najlepszym razie powierzchowną wersją niezachwianej, choć pragmatycznej wiary matki.

Hushan zamrugał i pokręcił głową. Spojrzał na Vaelina, unosząc brew.

– Czerwone rekiny Królowej Ognia chyba wydają mi się bardziej zrozumiałe niż niebiosa będące domem jednej wszystkowiedzącej duszy.

– Och, mój wuj jest ponad takie rzeczy, milordzie – powiedziała Ellese i sięgnęła po pucharek. Kiedy unosiła go do ust, wylała na siebie trochę zawartości. – Ojciec, alpirkańscy bogowie – wytarła usta rękawem – mądrość starożytnego pisma, spokój modlitwy. Wszystko to jest dla niego zwykłym nawozem. Matka zawsze mu to jednak wybaczała. „Życie pełne strat i smutku sprawia, że nawet najlepsza dusza zamyka się na to, co boskie”, powtarzała.

– Masz już dość – stwierdził Vaelin, zatrzymując jej rękę, kiedy znowu wyciągnęła ją po butelkę wina.

Ellese wytrzeszczyła oczy, a w jej zamglonym spojrzeniu pojawił się cień dawnego buntu, usta zadrżały, kiedy zwalczyła podłany alkoholem impuls, żeby wypowiedzieć jakieś nierozważne słowa.

– Masz coś do powiedzenia? – spytał łagodnym tonem Vaelin. – Może jakaś decyzja w kwestii mojej kurateli? Chętnie zrezygnuję z dalszych lekcji, jeśli chcesz.

Ellese zacisnęła dłoń w pięść i odsunęła ją od butelki, spuszczać wzrok, choć zrobiła to z wyraźnym wysiłkiem.

– Panie Sehmon! – zwrócił się Vaelin do młodego wyrzutka, a ten natychmiast zerwał się od stołu.

– Milordzie?

– Lady Ellese jest zmęczona. Proszę odprowadzić ją do jej pokoju. – Wbił w Sehmona twarde spojrzenie. – I szybko wrócić.

– Oczywiście, milordzie.

Ellese pozwoliła, żeby Sehmon wziął ją pod rękę, kiedy wstała z krzesła. Ukłoniła się sztywno gubernatorowi i oboje ostrożnym krokiem wyszli z sali jadalnej.

– Zawsze zdrowo jest przypominać im o ich miejscu – skomentował Hushan. – W tym kraju dziewczyna w jej wieku wyrażająca takie zdecydowane opinie zostałaby zamknięta w domu na miesiąc. Pozwoliłem na to dzisiaj z szacunku dla waszych zwyczajów. Mężczyźni z waszego kraju przecież godzą się na to, że rządzi nimi kobieta.

– Nie – powiedział Vaelin. – To ona się zgodziła nami rządzić. A my uważamy tę umowę za bardziej niż uczciwą.

Wieczór trwał jeszcze godzinę, a zdominował ją Shi Tsai nadal wypytyjący Hushana o gotowość miasta do odparcia grożącego mu ataku.

– Byłem zaskoczony, kiedy nie zauważyłem żadnych zgromadzonych zapasów, gubernatorze. – Kapitan siedział po prawej stronie gubernatora,

przypuszczalnie ze względu na swój status ulubionego sługi króla. Podobnie jak Nortah nie tknął wina, a Vaelin ocenił, że jego milczenie do tej pory było starannie obliczone na to, by dać Hushanowi czas na picie i wprowadzenie się w bardziej przystępny nastrój. – W czasach kryzysu jest również zwyczajową praktyką powołanie mężczyzn do milicji.

– Zmuszenie miejscowych do maszerowania równym krokiem, nie mówiąc o jakim takim władaniu włócznią, jest niewdzięcznym zadaniem, kapitanie – odparł Hushan z niedbałym machnięciem ręką. – Mam prawie piętnaście tysięcy ludzi pod swoimi rozkazami, samych dobrych żołnierzy. Jeśli chodzi o zapasy, zważywszy na liczbę tchórzliwych świń uciekających na południe, Keshi-Khi obecnie ma ich pod dostatkiem.

– Mimo to uważam, że Najczcigodniejszy życzyłby sobie, żebym sprawdził waszą obronę. Może mógłbym udzielić jakichś rad...

– Och, proszę się nie kłopotać. Nad wszystkim panujemy. Poza tym nie chciałbym opóźnić tak ważnej misji. Im prędzej znajdzie pan nasz zagubiony skarb, tym lepiej, prawda?

Sho Tsai zmusił się do uśmiechu i zarzucił tę kwestię. Najwyraźniej status jednego z faworytów króla nie oznaczał nieograniczonej władzy.

\*\*\*

– Trzecia żona gubernatora – powiedział Vaelin do Ahm Lina. Kolacja skończyła się koło północy, a oni szli teraz do pokojów, które przydzielono im we wschodnim skrzydle rezydencji. – Ona jest Obdarzona, prawda?

Kamieniarz rozejrzał się, zanim odpowiedział skinieniem głowy. Dostali dyskretną eskortę, ale czterej gwardziści wydawali się obojętni na rozmowę prowadzoną w obcym języku.

– Ma pieśń? – dążył Vaelin.

– Nie sądzę. Wrażenie, jakie odniosłem, było... niezwykle. Z czymś takim wcześniej się nie zetknąłem. Wiem, że ona była zaskoczona i jednocześnie niezadowolona z naszego pojawienia się tutaj.

Ahm Lin umilkł, kiedy dotarli do amfilady pokoi połączonych dziedzińcem z dachem otwartym na gwiazdy. Sho Tsai i Czerwoni Zwiadowcy zostali zakwaterowani w głównych koszarach, ale gubernator uznał za stosowne umieszczenie zagranicznych gości w bogato umeblowanym apartamencie zarezerwowanym dla szanowanych dygnitarzy z południa. Ahm Lin zaczekał, aż strażnicy zamkną ciężkie



podwójne drzwi, i ruszył do małej fontanny znajdującej się pośrodku dziedzińca. Jego głos był teraz ledwo słyszalny w szumie spadającej wody.

– Jest coś jeszcze, bracie. Gubernator. Kłamał.

– W jakiej sprawie?

Ahm Lin rozejrzał się z czujną miną i splótł dłonie w sposób, który przypomniał Vaelinowi, że pomimo wszystkich swoich darów kamieniarz nie jest wojownikiem.

– We wszystkich. Pieśń była wyraźna. Każde słowo wypowiedziane dzisiaj wieczorem przez tego człowieka było kłamstwem.

## Rozdział siedemnasty

Minęło wiele lat, odkąd Vaelin spędził noc w oczekiwaniu na pewny atak. Znajome uczucie irytacji wymieszanej z napięciem uznał teraz za nieprzyjemne. Podróż do Keshin-Khi była długa, a uczta u gubernatora okazała się ciężką próbą, wolałby więc te godziny poświęcić na sen. Jeszcze jedno przypomnienie, że lata mijają i nie są łaskawe dla nikogo, pomyślał, czując ostry ból w plecach i nogach.

Gdy w końcu atak nastąpił i rozległ się słaby zgrzyt metalu o metal, świadczący o tym, że ktoś grzebie w zamku, Vaelin odczuł niejaką ulgę. Nadal leżał pod kocami z głową odwróconą do ściany, kiedy drzwi otworzyły się ze skrzypieniem zawiasów stłumionym przez powolność, z jaką włamywacz wszedł do pokoju. Dwóch, ocenił Vaelin, słysząc cichy świst stali wysuwanej ze skórzanych pochew.

Śledził ich ruchy po oddechach, cichych i dobrze kontrolowanych, ale nawet najlepiej wyszkolony zabójca nie jest w stanie zachować całkowitego spokoju, kiedy zbliża się decydująca chwila. Jeden zbliżył się do lewej strony łóżka, drugi do prawej. Moment całkowitej ciszy, potem szybkie zaczerpnięcie tchu, kiedy ten po lewej szykował się do ciosu, i nagły krzyk, kiedy Chien wyskoczyła ze swojej kryjówki pod łóżkiem i cięła napastnika nożem po kostkach.

Vaelin odrzucił koce na prawo i wyskoczył z łóżka całkiem ubrany i z mieczem w ręce. Pościel omotała drugiego zamachowca.

– Chcę go żywego – przypomniawszy, patrząc, jak Chien oplata rękami szyję pierwszego zabójcy, a pas nogami.

Mężczyzna miotał się i wił, nadal krzycząc z bólu. Był ubrany cały na czarno, a twarz miał ukrytą pod skórzaną maską.

Lord Wieży odwrócił się, kiedy kompan zabójcy, uwolniwszy się od koca tamującego mu ruchy, skoczył do przodu i zamachnął się nożem. Vaelin uniósł miecz i czarne, lśniące ostrze zsunęło się po klindze aż do gardy. Vaelin skręcił nadgarstek i wytrącił broń z ręki napastnika. Tamten zasyczał z mieszaniną strachu i gniewu. Najwyraźniej wściekłość przeważała, bo zamiast wybrać mądrzejsze wyjście i spróbować uciec,

zamachowiec rzucił drugim nożem zza pleców i w następnej chwili znieruchomiał, kiedy czubek miecza wbił się między jego żebra, z wielką precyzją przeszywając płuco i serce.

– Nie, ty świniojebco!

Chien puściła pierwszego zabójcę i zerwała mu maskę. Jedną ręką chwyciła go za rzadkie włosy, drugą za brodę i potrząsnęła nim mocno. Widząc jego zwiotczałą, pobladłą twarz, Vaelin zorientował się, że w tym ciele jest nie więcej życia niż w szmacianej lalce.

– Trucizna? – spytał, kucając obok Chien.

Ona siłą rozwarła szczęki mężczyzny, odsłaniając zęby bez śladu krwawej piany, która zwykle towarzyszyła działaniu toksyn.

– Żadnych śladów – stwierdziła Chien. Nachyliła się, wciągnęła powietrze nosem i pokręciła głową. – To było dziwne. On walczył, a ja nagle poczułam, że jego serce przestaje bić. Nie zwolniło najpierw, tylko po prostu się zatrzymało.

– Zobaczmy, czy przyprowadził bardziej gadatliwych przyjaciół – powiedział Vaelin i ruszył na dziedziniec.

Znalazł Nortaha i Aluma przy fontannie. Stali z bronią w rękach, a Ellese kuciała przy drzwiach do pokoju, w którym zamknęli Ahm Lina i Erlina. Po jej ściągniętej twarzy było widać, że została brutalnie wyrwana z pijackiego snu. Nie skarżyła się jednak i mocno ścisnęła łuk z nasadzoną strzałą.

– Dzisiaj żadnych więcej gości, bracie – powiedział Nortah, przeszukując wzrokiem dachy wokół dziedzińca. – Oni nie znają cię dobrze, skoro wysłali tylko dwóch.

– Nie... – Ahm Lin, który pojawił się u boku Ellese, miał półprzymknięte oczy i lekko przechyloną głowę, jakby starał się usłyszeć dalekie wołanie. – Nie, to nie to. – Wskazał na ciało widoczne za drzwiami pokoju Vaelina. – To był fortel, odwrócenie uwagi.

– Od czego? – zapytał Nortah.

Czoło Ahm Lina zmarszczyło się w skupieniu.

– Od Czerwonych Zwiadowców. – Otworzył oczy. – To oni są prawdziwym celem... albo jeden z nich. Pieśń jest dzisiaj głośna, ale nieprecyzyjna.

– Sehmon – wyszeptała Ellese ze źle skrywaną nutą przestrochu w głosie.

Vaelin rozkazał wcześniej wyrzutkowi wspiąć się na mur dziedzińca i przemknąć po dachach rezydencji do koszar, żeby ostrzec Sho Tsaia

o możliwości ataku. Było to ponad godzinę temu, a nie pojawił się jeszcze ani kapitan, ani żaden ze zwiadowców.

– Zostań tutaj – rzucił do Ellese, a kiedy zaczęła protestować, wskazał na Ahm Lina i Erlina i dodał: – Pilnuj ich.

Skinął na pozostałych i ruszył do drzwi swojego pokoju. Otworzył je i przestąpił nad ciałami dwóch strażników leżących na zewnątrz. Popędził korytarzem.

\*\*\*

Vaelin naliczył kolejnych dwunastu zabitych gwardzistów leżących na wyłożonym płytami dziedzińcu, który oddzielał rezydencję gubernatora od przysadzistej dwupiętrowej budowli mieszczącej koszary. Wszyscy mieli szyje przeszyte bełtami albo gardła poderżnięte od ucha do ucha. Bitewny tumult stawał się coraz głośniejszy. Wśród stosu martwych żołnierzy tarasujących wejście natknęli się na trupy ubranych na czarno zabójców. Vaelin dostrzegł również dwa ciała w czerwonych zbrojach i pocieszył się myślą, że przynajmniej zdążyli się uzbroić przed atakiem. Młody Sehmon zjawił się na czas.

Vaelin przeskoczył przez ciała i stwierdził, że wewnątrz jest pogrążone w mroku, nie licząc mdłego blasku kilku lamp strąconych na ziemię, oświetlającego kolejne trupy i rozbryzgi krwi na ścianach. Ruszył szerokim korytarzem, przyciągany znajomymi odgłosami bitwy: okrzykami i wrzaskami wymieszanymi z brzękiem stali.

Gdy zbliżał się do roztrzaskanych drzwi, z ziemi nagle zerwała się ubrana na czarno postać i rzuciła na niego z zakrzywionym mieczem w ręce. Vaelin zrobił unik i ciał ostrzem przez nogę zabójcy. Mężczyzna zareagował z imponującą szybkością. Najwyraźniej odporny na ból okręcił się i uniósł broń do szybkiego ciosu wymierzonego od dołu w pachwinę Lorda Wieży. Vaelin odskoczył i wziął zamach do kontrującego pchnięcia w twarz przeciwnika. Okazało się ono niepotrzebne, bo pod brodą zabójcy pojawił się umazany krwią czubek miecza.

– Podstępne gnojki, co? – rzucił Nortah, wyciągając ostrze i pozwalając, żeby ciało upadło.

Vaelin kopniakiem utorował sobie drogę przez resztki drzwi i znalazł się w ogromnej sali jadalnej, gdzie pośród chaosu przewróconych stołów i martwych albo umierających ludzi szalała bitwa. Czerwoni Zwiadowcy

zbili się w nierówny, ale solidny szereg obok znacznie mnie zdyscyplinowanej grupy żołnierzy z garnizonu. Było ich wszystkich około pięćdziesięciu, ale walczyli z przeciwnikiem dwa razy od nich liczniejszym. Vaelin zobaczył, że w środku linii Czerwonych Zwiadowców stoi Sho Tsai i rzuca rozkazy, jednocześnie wywijając zakrwawionym mieczem z precyzją i śmiertelnie groźną skutecznością. Obok niego Sehmon wściekle dźgał sześciostopową włócznią, ulubioną bronią żołnierzy z Dalekiego Zachodu. Tsai Lin zajmował pozycję na końcu formacji Czerwonych Zwiadowców i walczył z dwoma zabójcami jednocześnie. Miał zbroję całą zbryzganą krwią, ale sądząc po zręczności i szybkości, z jaką się poruszał, nie był ranny.

Kiedy Vaelin do niego dotarł, dai lo właśnie położył jednego zabójcę i okaleczył drugiego. Przeciwnik klęczał w osłupieniu i patrzył na krew tryskającą z kikuta ręki. Zapanował jednak nad sobą z nienaturalną szybkością, wstał i wyciągnął nóż, gdy tymczasem Tsai Lin odwrócił się, żeby stawić czoło trzem nowym wrogom.

Vaelin powalił jednorękiego, zanim ten zdążył rzucić nożem, odkopnął jego ciało i stanął u boku dai lo. Trzej napastnicy zatrzymali się na ułamek sekundy, a Vaelin wyczuł ich niewypowiedzianą wspólną decyzję, zanim jednocześnie rzucili się do ataku. Uchylił się przed pchnięciem, ciął mieczem przez oczy zabójcy i poprawił uderzeniem pięścią w pierś, kiedy ten uniósł rękę, żeby zablokować jego broń. Był to precyzyjnie wymierzony cios w mostek, zdolny pozbawić człowieka przytomności, jeśli został zadany z dostateczną siłą. Ten osobnik jednak był oszołomiony jedynie przez chwilę. Wydał głuche stęknięcie, po czym zniżył się do przysiadu i mieczem trzymanym oburącz zaatakował Vaelina, celując w jego brzuch. Vaelin uskoczył w bok przed tą szarżą i opadł na jedno kolano, żeby ciąć przeciwnika w nogi, ale zanim zdążył to zrobić, napastnika trafiła włócznia Aluma. Mężczyzna zachwiał się, kiedy myśliwy wycofał włócznię, poprawił uchwyt na drzewcu i zadał wrogowi śmiertelny cios w szyję z dostateczną siłą, żeby rozplątać go od krtani po kręgosłup.

Moreska odtrącił padające ciało na bok i znowu dźgnął włócznią, tym razem w udo jednego z ludzi atakujących Tsai Lina. Dai lo w pełni wykorzystał tę pomoc, zrobił wypad i jednym płynnym ruchem zatoczył mieczem łuk, rozcinając gardła obu atakującym.

– Uformować szereg! – krzyknął do grupki żołnierzy garnizonowych, którzy byli zajęci siekaniem już częściowo rozczłonkowanego trupa. –

Gdybyś łaskawie krył mnie z lewej, czcigodny panie... – powiedział do Aluma, ale Moreska najwyraźniej go nie usłyszała, bo rzucił się na zabójców, śmigając włócznią w prawo i w lewo.

– Nie sądzę, żeby znał się na taktyce – zauważył Nortah i wskazał głową na zażartą utarczkę. – Idziemy?

Lord Wieży odpowiedział mu skinieniem i razem ruszyli w ślad za Alumem. Jak Vaelin zauważył wcześniej w chwilach takich jak ta, im bardziej zawzięta stawała się walka, tym bardziej zwalniał czas. Dźwięki i odczucia znikwały, kiedy umysł i ciało nastawiały się na konieczność zabijania i przetrwania. On i Nortah poruszali się razem tak, jak nauczyli się przez wszystkie lata, plecami do siebie, z mieczami tnącymi ciała i kości. Zadawali błyskawiczne ciosy, wykonując śmiertelny taniec przez beładne szeregi zabójców.

Mimo chaosu wywołanego przez ich atak i zaciekłość Aluma Vaelin nie dostrzegł śladu paniki wśród wrogów, którzy zareagowali na nowe zagrożenie tak jednolicie, że od razu pomyślał o volariańskich żołnierzach niewolnikach. Cofnęli się przed Czerwonymi Zwiadowcami i skupili w ciasną grupę obronną pośrodku jadalni. Po serii rozkazów wyszczekanych przez Sho Tsaia zwiadowcy i ocaleli żołnierze utworzyli krąg i ustawili miecze i włócznie poziomo.

Słyszając za sobą gardłowy okrzyk, Vaelin odwrócił się w samą porę, by zobaczyć, jak Chien wyciąga swoją laskę-miecz z wnętrzości zabójcy, który wcześniej udawał martwego, a teraz się podniósł i próbował wbić sztylet w plecy Tsai Lina. Dai lo posłał jej sztywny i krótki ukłon wdzięczności, po czym stanął obok ojca.

– Kusze, dai shin? – zapytał, wskazując na coraz ciaśniejsze skupisko zabójców.

– Martwi nie mówią – rzekł kapitan. – Mam wielką ochotę poznać człowieka, który zorganizował to przyjęcie.

Jakby w odpowiedzi, zbici w gromadkę zabójcy nagle ucichli i całkowicie znieruchomieli, przestali nawet oddychać. Potem jak jeden mąż runęli na podłogę, a broń wypadła z brzękiem z ich bezwładnych dłoni. Sho Tsai podszedł do najbliższego wroga, zbadał mu puls i oddech. Zaklął, kiedy ich nie znalazł. Szybko obejrzał jeszcze kilka ciał i rezultat okazał się taki sam.

– Sprawdźcie rannych! – rozkazał, ale szybko się potwierdziło, że nie przeżył żaden zabójca.

– Odeszli do przodków i zabrali ze sobą swoje tajemnice – stwierdziła Chien i mieczem podniosła maskę jednego z zabójców. – Tak samo jak tamten – powiedziała do Vaelina. – Jego serce nie zatrzymało się z powodu trucizny.

– Tamten? – powtórzył Sho Tsai.

– Właściwie było ich dwóch – uściślił Vaelin. – A jeśli chodzi o tego, kto to zorganizował, kamieniarz ma zdecydowany pogląd.

\*\*\*

Znaleźli gubernatora Hushana w jego pokojach, szlochającego w komnacie kąpielowej obok basenu. Głęboka czerwień wody mocno kontrastowała z pięknie zdobionymi porcelanowymi płytkami, które pokrywały ściany. Szeptął ledwo słyszalne błagania, palcami przebierając w czerwonej wodzie, ze wzrokiem utkwionym w ciele swojej trzeciej żony.

Tutaj też żadnej trucizny, pomyślał Vaelin, widząc głębokie nacięcia sięgające od nadgarstków po łokcie. Wykrwawiła się w ciągu sekund. Po śmierci, kiedy jej lalkowata twarz zrobiła się pusta i brzydka, wyglądała bardziej jak człowiek. Była po prostu martwą kobietą siedzącą w wodzie zabarwionej przez własną krew. Vaelin wątpił, czy miała więcej niż dwadzieścia lat.

– Nie ma wstydu... – wyszlochał cienkim głosem gubernator, a karmazynowa woda zafalowała, kiedy wszedł głębiej do sadzawki. – On naucza, że nie ma wstydu w porażce... I tak powitałby was w domu... powitałby nas...

– Kto? – zapytał Vaelin głosem celowo cichym i zatroskanym. Piskliwość tonu i dziki wyraz oczu świadczyły, że ten człowiek ma znacznie osłabione władze umysłowe. – Kto by pana przyjął?

Hushan odpowiedział mu pustym spojrzeniem i milczał przez jakiś czas, podczas gdy łzy ściekały mu na brodę. Potem roześmiał się cienkim zgrzytliwym chichotem, który wkrótce przeszedł w głośny ryk szczerej wesołości.

– Zdradliwy kundel! – gwałtownie wyrzucił z siebie Sho Tsai.

Hushan nie zwrócił uwagi na te słowa, a jego niepohamowany śmiech sprawił, że kapitan zrobił krok do przodu z mieczem uniesionym do śmiertelnego ciosu.

– Zaczekaj, panie – powiedział Vaelin, wchodząc pomiędzy nich dwóch.  
– Martwi nie mówią, pamięta pan?

Ukląkł obok zaśmiewającego się Hushana i posłał mu dobrotliwy uśmiech, po czym przeniósł wzrok na martwą kobietę.

– Nie była naprawdę pańską żoną, tak?

Hushan nagle spowaźniał, a na jego twarzy pojawił się wyraz żalu.

– Była ze mną związana – wymamrotał. – A ja z nią... w Jego oczach. Nasza więź wykraczała poza zwyczajne małżeńskie formalności. Przez nią słyszałem Jego głos ze stepu... Ona wniosła taką jasność, taką mądrość... Czym jestem teraz? – Wrócił spojrzeniem do Vaelina, błagalnym, pełnym szczerzej rozpacz. – Kim jestem bez niej?

Szaleńcem, to pewne, uznał Vaelin, widząc pustkę w oczach gubernatora. Ale gdzieś tam nadal musi kryć się wiedza.

– Ona słyszała jego głos – powiedział. – Ostrze Ciemności. To on przemawiał przez nią do pana.

– To było coś więcej niż zwykłe słowa... – Hushan wstał niepewnie, a Vaelin dał znak Shi Tsaiowi, kiedy ten znowu uniósł miecz. – Poprzez nią widziałem tyle rzeczy.

Gubernator zsunął się do sadzawki, jego białosrebrna szata zabarwiła się na czerwono w zetknięciu z wodą. Po twarzy spłynęły mu świeże łzy, kiedy wziął w ramiona martwą kobietę.

– Pokazała mi, co będzie. Ogień i furia. Zniszczenie południowców, którzy zrobili z nas swoje dziwki.

Kiedy Hushan rzucił spojrzenie Sho Tsaiowi, w jego oczach pojawił się buntowniczy błysk.

– O to moja rodzina od dawna prosiła niebiosy. I wreszcie one nam odpowiedziały. Dały nam Jego. – Popatrzył na kobietę trzymaną w ramionach. – I ją. Wasz król dziwkarz może wysłać wszystkie armie świata, to nie ma znaczenia, bo ja zobaczyłem, co nadchodzi. To... – przytulił mocno do piersi kruche, bezwładne ciało – był tylko przedsmak.

– Kazał ci nas zabić, tak? – zapytał Vaelin, uważając, by nie mówić zbyt natarczywym tonem. – Nasze przybycie tutaj było niespodziewane.

– Was? – Do głosu gubernatora znowu wkradła się wesołość, a jego wzrok pomknął do Vaelina i Sho Tsai. – Złodzieja Imion i królewskiego chłopca na posyłki. – Zaczął znowu szlochać, tuląc do ramienia głowę kobiety. – Nie jesteście warci jednej kropli tej cennej krwi. On rozprawi się z wami w swoim czasie, dla zabawy.



– Więc dlaczego? – naciskał Vaelin. – Zebranie tylu zabójców musiało zająć tygodnie. Przygotowanie tego miejsca na przybycie Stahlhastu nie mogło być łatwe bez wzbudzania podejrzeń. Po co tak ryzykować akurat teraz?

– Zapytaj chłopca na posyłki. – Hushan wskazał głową Sho Tsaia i na jego twarzy pojawił się zde gustowany, niemal współczujący uśmiech. – Czy Świątynia Włóczni naprawdę myśli, że może zmienić przeszłość?

Kapitan poruszał się zbyt szybko, żeby Vaelin miał szansę go powstrzymać. Sho Tsai skoczył wysoko z uniesionym mieczem, zatoczył nim łuk i wylądował w basenie. W oczach Hushana pojawił się ostatni błysk zdziwienia, zanim jego głowa stoczyła się z ramion. Krew zabarwiła płytki, kiedy oba martwe ciała wpadły do wody, splecione w chwili śmierci.

– Miał nam jeszcze dużo do powiedzenia! – rzucił Vaelin, kiedy kapitan wygramolił się z sadzawki.

Sho Tsai nie odpowiedział, tylko ruszył do drzwi. Z jego zbroi kapłała karmazynowa woda.

– Co on miał na myśli? – spytał Vaelin, zastępując mu drogę. – Dlaczego mówił o zmienianiu przeszłości?

– Nie mam pojęcia – odparł Sho Tsai. – To tylko bełkot popsutego umysłu. Cokolwiek zrobiła mu ta czarownica, najwyraźniej pozbawiło go to rozumu.

– Mówił o Świątyni Włóczni – przypomniał Vaelin. – Pan tam kiedyś studiował. Myślę, że przyszła pora, bym dowiedział się czegoś więcej.

Twarz Sho Tsaia obficie zboczona krwią gubernatora drgnęła, ale jego gniew nagle się wypalił.

– Dzięki za pomoc – powiedział, wycierając starannie miecz i wsuwając go z powrotem do pochwy. – Ale nie ma o czym rozmawiać. A po śmierci gubernatora mam dużo do zrobienia.

Pochylił głowę w najkrótszym z ukłonów, ominął Vaelina i wyszedł.

## Rozdział osiemnasty

Wystarczyło kilka minut w towarzystwie zastępcy gubernatora Hushana, żeby zrozumieć, dlaczego, w przeciwieństwie do dowódcy miejskiego garnizonu i kilku innych szanowanych urzędników, poprzedniej nocy nie zwrócił na siebie uwagi zabójców.

– Gubernator... zdrajcą? – Neshim osuszył czoło jedwabną chusteczką. Podobnie jak Hushan miał szerokie ramiona i północną krępa budowę, trochę kłócaącą się z mniej niż stanowczym charakterem. – Jego trzecia żona czarownicą? To z pewnością niemożliwe.

– Nie, szanowny panie – powiedział Sho Tsai, którego cierpliwość wyraźnie zaczynała się kończyć. – Gubernator Hushan spiskował z agentem Stahlhastu przeciwko Czcigodnemu Królestwu.

– Ale ona zawsze była taka... miła. Trzy lata, odkąd odebrał ją od północnego patrolu, niewolnicę uratowaną z rąk dzikich, mówił.

– Trzy lata – powtórzył Vaelin. – Wystarczająco dużo czasu, żeby przygotować atak. Zebrać informacje o sile obrony, ulokować w mieście zabójców znajdujących się w jej sidłach. Wygląda na to, że Ostrze Ciemności jest ostrożny i cierpliwy.

– Ostrze Ciemności – powtórzył Neshim i z odzyskaną energią zaczął wycierać czoło jedwabną chusteczką. – Więc on nadchodzi? Naprawdę zbliża się wojna?

– Jak wyjaśniałem – powiedział Sho Tsai. – Wyjaśniłem również, że tytuł gubernatora i jego obowiązki teraz przypadają panu.

– Mnie? – Neshim zaczął żuć róg chusteczki, która jakoś znalazła drogę do jego ust. – Naprawdę?

– Tak, gubernatorze. – Kapitan zgrzytnął zębami i zmusił się do uśmiechu.

Potem zapadł w wyczekujące milczenie, którego Neshim najwyraźniej nie miał ochoty przerywać, bo nadal z konsternacją żuł chusteczkę.

– Może gubernatorowi łatwiej byłoby formułować rozkazy, gdyby przedstawiono mu pełniejszy obraz sytuacji – podsunął Vaelin.

Wiedział, że taka interwencja jest prawdopodobnie poważnym naruszeniem etykiety, ale każda godzina spędzona w tym mieście oznaczała, że Sherin coraz bardziej się od niego oddala. Tego ranka Ahm Lin oznajmił, że jego pieśń przybrała subtelną, ale wyraźną nutę ostrzeżenia.

– Ona nadal zmierza na północ, bracie – powiedział. – Ale niebezpieczeństwo, które jej grozi, rośnie z dnia na dzień.

Po twarzy Sho Tsaia przemknął wyraz irytacji. W końcu kapitan westchnął i odwrócił się do drugiego mężczyzny obecnego w pokoju, miejscowego żołnierza o topornych rysach, w surowej żelazno-szarej zbroi.

– Zastępca komendanta Deshai. – Sho Tsai złożył mu ukłon należny zwierzchnikowi. – Jak rozumiem, dowodzenie obroną miasta spoczywa teraz na panu. Może ma pan raport dla gubernatora?

Deshai ukłonił się sztywno, a Vaelin dostrzegł w nim znajomość rzeczy większą niż u nowo mianowanego gubernatora. Zastępca dowódcy garnizonu przewyższał rangą kapitana, ale ten kapitan cieszył się łaskami króla.

– Straciliśmy zeszłej nocy ponad stu ludzi – powiedział Deshai, zwracając się do Neshima. – Ponad połowę oficerów i starszych sierżantów. Reszta to dobrze wyszkoleni łucznicy i inżynierowie. Szkody wyrządzono również głównej śluzie, gdzie kanał spotyka się z Czarną Żyłą, co oznacza, że do czasu jej naprawienia będziemy mieli kłopoty z przesyłaniem ładunków w przyzwoitym tempie.

– A naprawa potrwa dłużej niż zwykle, ponieważ straciliśmy wielu inżynierów – dodał Sho Tsai, trąc zarost na brodzie. Po raz pierwszy w tej podróży Vaelin widział go nieogolonego. – Oficerowie, sierżanci, inżynierowie, dowódca garnizonu i najlepsi urzędnicy miejscy. Najwyraźniej to był długo planowany cios.

– I zadany wcześniej – przypomniał mu Vaelin. – To oznacza, że może wystarczy czasu, żeby ci zdolni dżentelmeni doprowadzili wszystko do porządku, podczas gdy my będziemy kontynuowali naszą misję.

Sho Tsai zmarszczył brwi, słysząc jego ton, ale było oczywiste, że konieczność zwłoki jego również irytuje.

– Jakie wysłano wieści? – spytał.

Neshim zbladł.

– Wieści? – W końcu wyjął chusteczkę z ust.

– Tak, gubernatorze, wieści – powtórzył Sho Tsai. – Ostrzeżenia dla innych twierdz w regionie. Wiadomości dla pogranicznych prefektur. Wiadomości dla króla.

Neshim przez chwilę gapił się na kapitana, nim wykrzesał z siebie odrobinę zdecydowania.

– Ja, eee... – Zakaszłał. – Zajmę się tym bezzwłocznie. Choć mogę potrzebować niewielkiej pomocy przy oficjalnych sformułowaniach. Tego rodzaju rzeczami zawsze zajmował się Hushan. – Neshim umilkł, jakby samo imię zdrajcy mogło ściągnąć na niego potępienie.

Sho Tsai jednak nie zwrócił uwagi na to zawahanie.

– Chętnie pomogę – zapewnił. – Ale nasz szanowny gość... – wskazał głową na Vaelina – ma rację, przypominając mi o pilności naszej misji. Zanim dzień się skończy, ruszymy z moim oddziałem na północ i wrócimy najszybciej, jak to możliwe. Wtedy, mam nadzieję, napiszę do króla i poinformuję go o pańskich przygotowaniach do odparcia zbliżającego się ataku. Komendancie Deshai, proponuję, żeby zignorował pan ograniczenia narzucone przez poprzedniego gubernatora co do formowania milicji i bez dalszej zwłoki rozpoczął rekrutację i szkolenie.

Toporne rysy zastępcy komendanta zdradzały znużenie, które wyraźnie przeważało nad urazą z powodu tak wyraźnego polecenia wydanego przez Sho Tsai.

– Z radością skorzystam z sugestii, kapitanie – powiedział.

– Doskonale. – Sho Tsai podszedł do Vaelina i odezwał się w języku królestwa. – Nie będę tracił czasu z tymi głupcami dłużej, niż muszę. Proszę przygotować swoich ludzi do wyjazdu i powiedzieć dai lo, żeby zebrał Czerwonych Zwiadowców. Wszyscy ranni będą musieli zostać tutaj. Kamieniarz pojedzie na czele kolumny, póki ich nie znajdziemy.

\*\*\*

Sho Tsai rozkazał, żeby kompania wyruszyła na północ w szyku bojowym, z konną eskortą po bokach i z tyłu, i głównymi siłami uformowanymi w szeroką poczwórną kolumnę. Zgodnie z radą Ahm Lina podążali zwirowym szlakiem wzdłuż wschodniego brzegu Czarnej Żyły. Rzeka roiała się od łodzi, na których tłoczyli się ludzie równie chudzi i obszarpani jak tamci, których spotkali w drodze do Keshin-Kho. Mimo widocznego wygłodzenia pracowali długimi wiosłami z pełną determinacją

i wzrokiem utkwionym w obietnicy schronienia kryjącej się za południowym horyzontem. Vaelin zobaczył wśród nich wielu rannych z obandażowanymi głowami i kończynami, a niektórych ze świeżymi oparzeniami. Jakikolwiek złudzenia miał nieżyjący gubernator Hushan, Vaelin wątpił, żeby nowy bóg Stahlhastu przybywał na pogranicze jako wyzwoliciel.

Jechali aż do zmierzchu i rozbili na noc zwarty obóz na ograniczonej przestrzeni. Czerwoni Zwiadowcy pełnili warty w dwugodzinnych zmianach. Żołnierze spali w ubraniach i z bronią pod ręką. Koni nie rozsiodłano. Vaelin czuł, że nie zaśnie. Leżał przez jakiś czas na swoim pośłaniu i słuchał chrapania Erlina, które wkrótce zyskało przyciszony akompaniament w postaci dwóch młodych głosów.

– Nigdy nie widziałem takiego dużego nieba – wyszeptał Sehmon. – Ale gwiazdy są takie same.

– Chodzimy pod wspólnym niebem po wspólnej ziemi – odpowiedziała szeptem Ellese. – I tak samo, jak dzielimy ten świat, powinniśmy dzielić serca.

Vaelin rozpoznał cytaty z Dziesiątej Księgi cumbraelskiego boga, Księgi Mądrości, ulubionej jego matki.

– Co to było? – zapytał Sehmon.

– Nic – rzuciła Ellese zirytowanym tonem i ze stęknieniem przewróciła się na bok. – Lepiej śpij. Jutro pewnie będzie walka.

Na chwilę zapadła cisza, a potem Sehmon westchnął i rzekł:

– Znowu to robisz.

– Co?

– Udajesz, że to... my... że to nie ma znaczenia.

– Nie udaję. To nie ma znaczenia. – Po krótkim, ale znaczącym milczeniu Ellese odezwała się cichym głosem: – Wiem, że chcesz ode mnie czegoś, czego nie mogę ci dać. Ja po prostu...

Nagle poczuwszy się jak intruz, Vaelin wstał, zabrał miecz i poszedł przed siebie, aż przestał słyszeć głosy. Przez jakiś czas krążył po skraju obozowiska, aż w końcu trafił na brzeg rzeki. Znalazł tam przykucniętego Aluma, który drzewcem włóczni rył symbole w suchej ziemi.

– Wiadomość dla Stróżów? – zapytał Vaelin.

– Dla dzieci – odparł Moreska. – Kiedy myśliwy w czasie polowania zapuści się daleko od plemienia, znaczy ziemię swoim prawdziwym

imieniem, by wiedzieli, że on nadal żyje. Pan Piasku i Nieba zanieś tę wiadomość do domu, żeby jego bliscy się nie martwili.

– Prawdziwe imię?

Vaelin ukucnął obok Aluma i przyjrzał się narysowanym symbolom. Były bardziej skomplikowane niż te, które Moreska nakreślił w popiele w kopalni wyrzutków: trzy zawijasy przecięte kreskami, prostymi i zakrzywionymi.

– Imię, pod którym znają mnie Stróże – wyjaśnił myśliwy. – Rzeźbię je wraz z każdym krokiem swojej podróży przez życie. – To... – wskazał symbol po lewej stronie – gwiazdy, pod którymi się urodziłem. To... – palcem dotknął następnego – życia, które odebrałem na polowaniu albo na wojnie, a to – przy trzecim znaku jego głos stał się cichszy – mam nadzieję po sobie zostawić, gdy Stróże wymówią moje prawdziwe imię.

– Opowieść – powiedział Vaelin z uśmiechem. – Twoje prawdziwe imię jest opowieścią. – Przyjrzał się uważniej trzeciemu, najbardziej skomplikowanemu znakowi ze splecionych spiral przetykanych małymi kółkami. – Twoje dzieci.

– Dzieci plemienia. – Alum spuścił wzrok i jeszcze bardziej ściszył głos. – Dzieci, które spłodziłem ze swoimi żonami, były bardzo małe, kiedy wyruszyłem do twojego królestwa, a podróż była długa. Głód zawsze najmłodsze zabiera pierwsze.

– Przykro mi.

Alum chrząknął i zmusił się do uśmiechu.

– Wszystkie dzieci Moresków nazywają każdego mężczyznę ojcem, a każdą kobietę matką. Te, które zostały gdzieś w świecie... – rozpostarł palce nad trzecim symbolem – będą nazywać mnie ojcem, kiedy je znajdziemy.

– Każdy krok, który robimy w czasie tej podróży, prowadzi nas coraz dalej od miejsca, gdzie one najprawdopodobniej są. Mam przeczucie, że jutro przyniesie nam bitwę, pierwszą z wielu, bo do tych ziem zbliża się wojna. Nie jest za późno, żebyś poszedł własną ścieżką. Nie powinieneś czuć się zobowiązany...

– Droga do dzieci to ty. – W głosie Aluma nie było zwątpienia, a w twardym spojrzeniu, które skierował na Vaelina, nawet cienia niepewności. – Stoczę dowolną liczbę bitew, żeby znowu je zobaczyć.

Vaelin skinął głową i klepnął Moreskę w ramię. Potem wstał, żeby odejść, ale zatrzymał się, kiedy Alum dodał:

– Ciebie też będą nazywać ojcem. Kroczysz teraz pod okiem Stróżów, czy w to wierzysz, czy nie.

Odwrócił się z powrotem do symboli i czubkiem włóczni dorysował na nich kilka szczegółów, a Vaelin wyczuł, że najlepiej będzie zostawić go samego, żeby w spokoju oddawał się temu, co w gruncie rzeczy było formą modlitwy. Ruszył wzdłuż linii pikiet, zamieniając parę słów ze zwiadowcami. Ich sposób bycia był teraz wyraźnie mniej wrogi, czego mógł oczekiwać po ludziach, z którymi razem walczył. Jednakże czuło się napięcie wynikające z tego, że znajdowali się na terenie nieprzyjaciela.

– Sześć lat, odkąd ostatni raz jechałem przez Żelazny Step – wymamrotał kapral Wei w odpowiedzi na pozdrowienie Lorda Wieży. Mimo jasno wyrażonej pogardy dla cudzoziemców wydawał się bardziej skłonny do rozmowy niż inni zwiadowcy, co, jak Vaelin podejrzewał, wynikało raczej z wrodzonej niezdolności do pohamowania języka niż z pozbycia się uprzedzeń. – Miałem nadzieję, że nigdy więcej go nie zobaczę. To nie miejsce dla cywilizowanych ludzi, żeby toczyć tu wojnę. Człowiek może umrzeć z pragnienia albo głodu równie łatwo jak paść pod szablą dzikusa.

– Walczyłeś ze Stahlhastem? – zapytał Vaelin.

– Raz. – Cięń przemknął po poturbowanym obliczu Weia. Potem kapral z gorzkim śmiechem przesunął kciukiem po górnej wardze. – Jeden z sukinsynów mi to zrobił. W podzięce wbiłem mu lancę w szyję, ale nawet wtedy drań walczył. To było w nich najgorsze. Tak, potrafią jeździć lepiej niż inni, walczyć lepiej niż inni i znają mnóstwo podstępnych sztuczek, kiedy przychodzi do bitwy. Ale prawie niemożliwi do pokonania są dlatego, że nie chcą umrzeć, kiedy powinni.

Kapral umilkł, kiedy przez bezkresną równinę dobiegł słaby, przenikliwy dźwięk, coś pomiędzy wyciem a skomleniem. Niebo było tej nocy pogodne, przyćmiony blask półksiężyca oświetlał dużą część terenu przed nimi, ale Vaelin nie mógł wypatrzeć zwierzęcia, które wydało ten krzyk.

– Dzikie psy? – zapytał, a kapral z posępną miną pokręcił głową.

– Myśliwi Stahlhastu – powiedział. – Kiedy znajdują zdobycz, naśladują wycie dzikiego psa. Zobaczyli nas. To tylko kwestia czasu, jak sądzę.

– Powiem kapitanowi. – Vaelin się odwrócił.

– Nie ma sensu. On też pewnie to słyszał. W każdym razie Stahlhast zawsze cię znajdzie, kiedy jedziesz przez ich step. To odwieczna prawda znana tym, którzy patrolują północną granicę.

– Nie sprowadzą innych?

– Jasne. – Wei wzruszył ramionami. – Jest tylko pytanie, ilu. Zgaduję, że jutro się dowiemy.

\*\*\*

Gdy nadszedł ranek, Ahm Lin znowu poprowadził ich wzdłuż rzeki, a po kilku godzinach nagle zatrzymał swojego kuca.

– O co chodzi? – zapytał Vaelin, widząc mieszaninę strachu i niepewności na twarzy kamieniarza.

– One... – Skrzywił się i pokręcił głową. – Zostały znalezione.

Vaelin wziął głęboki wdech, żeby uspokoić galopujące serce, i zapytał, siląc się na spokój:

– Czy one...?

– Żyją – zapewnił go Ahm Lin. – I chyba są całe i zdrowe. One... – Urwał z grymasem zaskoczenia na twarzy. – Chciały zostać znalezione.

– Jak daleko? – zapytał krótko Sho Tsai.

– Nie potrafię dokładnie określić, ale są blisko. – Odwrócił kuca w stronę północnego wschodu i ruszył szybkim kłusem. – Tam.

Oddział jechał dalej, dostosowując prędkość do kuca Ahm Lina. Dla Vaelina to tempo z każdą milą stawało się coraz bardziej irytujące. Wzrokiem utkwionym w horyzoncie wypatrywał drobnych sylwetek. Pokonali następne dziesięć mil, kiedy Alum nagle popędził na czoło kolumny i uniósł rękę, całą uwagę skupiając na ziemi.

– Ślady? – spytał Vaelin.

Myśliwy skinął głową, zsunął się z siodła i przykucnął, żeby zbadać odciski końskich kopyt. Po chwili chrząknął i ruszył, przeczesując wzrokiem skąpą darni, aż zatrzymał się dwanaście jardów dalej.

– Pół tuzina jeźdźców – powiedział, wskazując na pierwszy zestaw śladów. – Tutaj dołączyło do nich kolejnych dwunastu. – Skinieniem głowy pokazał na zrytą darnię pod stopami, po czym odwrócił się na północ. – Jadą szybko. – Uniósł brew i spojrzał na Ahm Lina i jego kuca, który dyszał ciężko, rzucając łbem ze zdenerwowania i zmęczenia.

– Możesz ich wytropić? – zapytał Vaelin.

– Ta ziemia jest jak rzeźba – odparł Moreska i szybko wsiadł na swojego wierzchowca. – Łatwo ją odczytać.

– Nie będę czekał – oznajmił Vaelin i zwrócił się do Sho Tsaia: – Proszę zostawić dość ludzi, żeby strzegli kamieniarza. Mam wrażenie, że niedługo



znowu będziemy potrzebowali jego talentu.

Ścisnął boki konia i popędził galopem, nie czekając na odpowiedź. Alum i inni szybko podążyli za nim. Myśliwy wysforował się naprzód, żeby wzrokiem stale przeczesywać ziemię i wskazywać drogę. Pół mili dalej Vaelin obejrzał się i zobaczył, że Sho Tsai jedzie za nimi z połową oddziału. Przynajmniej tamci nie będą mieli nad nami przewagi liczebnej, pomyślał, odpędzając nieprzyjemne wizje, co Stahlhast robi ze swoimi jeńcami, kiedy zobaczy pościg.

Minęła ponad godzina ostrej jazdy, kiedy na horyzoncie pojawił się słup kurzu. Alum już nie musiał odczytywać śladów, więc Vaelin ponaglił konia, wdzięczny, że dostał zwierzę hodowane do polowania, a nie do walki. Rumak bojowy nigdy nie podołałby takiemu wysiłkowi. Vaelin oddalił się od pozostałych, nie zważając na ostrzeżenia Nortaha, że powinni trzymać się razem. Stopniowo u podstawy słupa kurzu zarysowały się ciemne ludzkie sylwetki, a niedługo potem ukazała się grupa blisko dwudziestu jeźdźców. Kurz zgęstniał, kiedy tamci się zatrzymali i odwrócili konie z szybkością urodzonych w siodle. Kiedy Lord Wieży się zbliżył, wyciągnęli szable, odpięli lance i stanęli w postawie gotowości do walki.

Vaelin wiedział, że najmądrzej byłoby poczekać na pozostałych, może nawet spróbować porozmawiać z tymi ludźmi, ale ten pomysł wywietrzał mu z głowy na widok dwóch mniejszych postaci widocznych za linią wojowników Stahlhastu. Obie siedziały na przysadzistych kucach takich jak Ahm Lina, obie miał na sobie ciemne płaszcze, a jedna długi biały szal, który powiewał na wietrze. Ale to druga postać przyciągnęła jego wzrok. Choć było za daleko, żeby mógł dostrzec rysy, od razu ją rozpoznał. Ogarnęły go strach i troska.

W miarę jak się zbliżał z bronią w ręce, Stahlhast ruszył mu na spotkanie. Vaelin opuścił miecz na czubek lancy prowadzącego jeźdźca. Ostrze zsunęło się po drzewcu i zagłębiło w przedramię wojownika. Vaelin zmienił ustawienie klingi i ciął nią przez szyję przeciwnika, kiedy go mijał. Świst szabli kazał mu pochylić się nisko w siodle, tak że poczuł tylko ruch powietrza na plecach.

Ściągnął wodze i zatrzymał wierzchowca, a potem obrócił z wyciągniętym mieczem. Wojownik Stahlhastu z szablą miał na głowie żelazny hełm ozdobionym czymś, co okazało się metalowymi kolcami, ale brakowało w nim osłony na twarz. Szybkość szarży nie pozostawiła mu czasu na unik, tak że srebrzysty czubek miecza wbił się głęboko w jego

policzek. Vaelin pchnął ostrze jeszcze głębiej, aż poczuł twarde żelazo hełmu.

Cofnął miecz i pozwolił, by ciało runęło z siodła. Wrogowie otaczali go z twarzami pociemniałymi z wściekłości. Wszystkie lance i szable były wycelowane w niego.

– Chcę tylko ich – oświadczył Vaelin, wskazując na dwie postacie za ich kręgiem. – Odjedźcie i możecie żyć.

Mówił w chu-shin, zakładając, że muszą choć trochę znać ten język, ale jeśli nawet tak było, jego słowa nie odniosły żadnego skutku. Wszyscy członkowie Stahlhastu jednocześnie wydali wojenny okrzyk i zaatakowali. Najbliższy jeździec, kobieta o intensywnie rudych włosach wystających spod hełmu, obnażyła zęby i zadała idealnie wymierzone pchnięcie w jego pierś. Miała na sobie napierśnik, który stanowiłby ochronę przed strzałami, ale Nortah zawsze był ekspertem w znajdowaniu szczelin w zbroi. Warknięcie napastniczki przerodziło się w grymas zdziwienia, kiedy drzewce przeszło cienką kolczugę pod jej wyciągniętymi ramionami. Vaelin zdążył jeszcze dostrzec, że Nortah wypuszcza w galopie następny pocisk i kolejny przeciwnik spada na ziemię, a potem rzucili się na niego pozostali.

Vaelin sparował pchnięcie lancą i ściągnął mocno wodze, tak że jego wierzchowiec stanął dęba. Zwierzę nie kopnęło w przód nogami, tak jak zrobiłby to rumak bojowy, ale jego postawa wywołała instynktowną reakcję koni Stahlhastu. Kilka z nich też stanęło na tylnych nogach, a inne przeraźliwie zarżały. Atak został wprawdzie przerwany tylko na chwilę, ale to wystarczyło.

Vaelin chwycił nóż i rzucił nim w najbliższego przeciwnika, celując w twarz. Mężczyzna wykazał się refleksem i uchylił głowę, a ostrze odbiło się od żelaznego hełmu, lecz atak odwrócił jego uwagę, tak że Nortah powalił go dwoma dobrze wymierzonymi uderzeniami miecza. Cwałujący tuż za nim Alum wjechał w środek Stahlhastu, w pędzie zeskoczył z siodła, okręcił się w powietrzu i wylądował na ziemi z krwią kapiącą z włóczni.

Chwilę później zwiadowcy przypuścili szarżę zwartą masą, tnąc jeźdźców Stahlhastu pośród szczęku mieczy i tupotu kopyt. Do rzezi wzięli się z ponurą, ale wyraźną satysfakcją. Kilku ocalałych nadal próbujących walczyć mimo beznadziejnej sytuacji padło pod gradem bełtów, a zwiadowcy zsiadli z koni i wyciągnęli sztylety, żeby dobić rannych.

Vaelin odwrócił się od nieprzyjemnego widowiska, schował miecz do pochwy i pokłusował w stronę dwóch postaci nadal siedzących na kucach.

Kobieta w długim białym szalu posłała mu powściągliwy, miły uśmiech, kiedy zsiadł z konia i się uklonił. Odpowiedziała lekkim skinieniem głowy. Opowieści o jej urodzie nie były przesadzone, choć jej rysy miały w sobie ciepło i witalność, których tak brakowało lalkowatej twarzy trzeciej żony gubernatora Hushana. Jednakże Vaelin nie poświęcił jej więcej niż jednego spojrzenia, bo jego wzrok przyciągnęła druga kobieta.

Prawie się nie zmieniła, pomyślał, chłonąc jej widok. Te same ciemne oczy, czarne loki związane w schludny kucyk. Ta sama gniewna mina świadcząca o jednoznacznej ocenie.

– Och, odejdz. – Sherin westchnęła ze znużeniem. – Wszystko psujesz.

## Rozdział dziewiętnasty

Vaelin stwierdził, że jego język nie jest zdolny do formułowania słów, kiedy ona nadal się w niego wpatrywała, a jej spojrzenie cięło głęboko.

– Ja... – zaczął i szybko umilkł. Potem spróbował znowu. – Myślałem, że potrzebujesz pomocy.

– Więc zostałeś źle poinformowany.

Jej wzrok złagodniał odrobinę, kiedy przeniosła go na Sho Tsaia, który zatrzymał się w pobliżu. Kapitan zsiadł z konia i złożył głęboki, pełen szacunku ukłon przed Jadeitową Księżniczką.

– Błogosławieństwo Niebios – powiedział, kłaniając się z kolei Sherin. – Uzdrowicielka Unsa. Przybywam z rozkazu króla...

– Z pewnością – przerwała mu lekarka, a Vaelin zauważył, że kapitan też zaczyna czuć się nieswojo. Zobaczył również, że wyraz twarzy Sherin jeszcze bardziej łagodnieje, kiedy spostrzegła, jaką urazę spowodował jej ton. – Pańska troska to dla mnie zaszczyt, jak zawsze. – Zsunęła się z kuca, podeszła do Sho Tsaia i ujęła jego dłoń. – Ale nie powinien pan przyjeżdżać.

– Jak mógłbym nie przyjechać?

Widząc, jak ich oczy się spotykają, Vaelin nagle stwierdził, że jest największym z głupców. Przebyć pół świata, żeby ratować kobietę, która już mnie nie zna, pomyślał. Zastanawiał się, czy to był ostatni cios Posłańca, jego ostatni brzydki żart przed zniknięciem w pustce. Vaelin przeniósł wzrok ze splecionych dłoni Sherin i Sho Tsaia na uczucie widoczne w ich oczach. Ona ma rację. Zostałem źle poinformowany. On chciał, żebym to zobaczył.

Dlatego był wdzięczny za odwrócenie uwagi, gdy Jadeitowa Księżniczka ze śmiechem zeskoczyła z siodła, zaczęła klaskać i podskakiwać z dziewczęcą radością, kiedy Erlin jechał przez pobojowisko.

– Młody wędrowcze – powitała go, kiedy zsiadł z konia, i przytuliła się, obejmując go w pasie. – Znowu przyjechałeś mnie zobaczyć, a minęły dopiero dwie dekady.

Erlin skrzywił się zaskoczony siłą jej objęć, a potem roześmiał się i łagodnie ją odsunął.

– Ostrożnie – powiedział. – Nie jestem już młody.

– Och. – Księżniczka zanurzyła dłoń w jego siwych włosach, przesunęła palcami po głębokich zmarszczkach na czole. – Jak?

– To bardzo długa historia. – Jego uśmiech zmienił się w zatroskaną minę. – A ty? Mówią, że jesteś chora.

– To tylko mały podstęp. – Księżniczka wzruszyła ramionami i zachichotała. – Musiałam ruszyć po przygodę z moją nową przyjaciółką.

– Dai shin!

Vaelin odwrócił się i zobaczył, że Tsai Lin wskazuje na wschodni horyzont. Mrużąc oczy, dostrzegł sylwetkę samotnego jeźdźca, która jedno uderzenie serca później zniknęła.

– Przypuszczam, że jedzie powiedzieć o nas swoim przyjaciołom – stwierdził Nortah. Wytarł szmatką klingę miecza i schował go do pochwy na plecach. – Siostró. – Ukłonił się Sherin. – Dobrze znowu cię widzieć.

Minęła chwila, zanim czoło Sherin się rozpogodziło.

– Brat Nortah. Zdaje się, że odwiedziły mnie dzisiaj dwa duchy, a nie jeden. Podobno byłeś martwy?

Nortah rozłożył ręce.

– Zwyczajne nieporozumienie.

– Odciałeś rękę Lordowi Bitew, o ile sobie przypominam.

– Tak, a później służyłem pod nim w czasie wojny wyzwoleniczej. Świat jest miejscem pełnym sprzeczności, nie uważasz?

– Sprzeczności – zgodziła się Sherin, przenosząc wzrok na Vaelina. – I kłamstw.

– Na konie, jeśli łaska, szanowne panie – powiedział Sho Tsai. – Tamten zwiadowca będzie się śpieszył, żeby zanieść wieść o naszej obecności. Musimy być wiele mil na południe przed zapadnięciem nocy.

– Pozwalam wam odjechać – oświadczyła Sherin. – Jeśli chodzi o mnie i o księżniczkę...

– Wsiadziecie na konie i pojedziecie! – warknął Sho Tsai. Ułożenie jego ramion świadczyło o niechętej surowości, od której jednak nie mógł się uchylić.

– To nie jest żaden szalony wypad – powiedziała Sherin. – Masza misja jest bardzo ważna.

– A co to dokładnie za misja? – spytał Vaelin i zobaczył, że Sherin z rozdrażnieniem odwraca się do swojej towarzyszki.

Jadeitowa Księżniczka posłała jej skąpy uśmiech i lekko pokręciła głową – to wystarczyło, by uzdrowicielka natychmiast zamknęła usta.

– Nie ma czasu. – Kapitan wsiadł na konia. – Możesz, pani, wszystko wyjaśnić, kiedy rozbijemy obóz. – Spojrzał na nią z góry, odpowiadając na jej buntownicze spojrzenie nieustępliwą determinacją. – A teraz, czcigodna Łasko Niebios, wsiądź, proszę, na swojego wierzchowca i jedź za mną.

\*\*\*

Dotarli nad rzekę o zmierzchu. Sho Tsai uparł się, żeby jechali do czasu, aż słońce całkiem schowa się za linią horyzontu. Kazał rozbić jeszcze bardziej zwarty obóz niż poprzedniej nocy i ustawił pół oddziału na warcie z kuszami gotowymi do strzału. Tsai Lin miał obserwować rzekę.

– Każ podpływać wszystkim łodziom – przykazał mu kapitan. – Wsadzimy na pokład damy i cudzoziemców, a potem ściągniemy na siebie Stahlhast, żeby oni mogli bezpiecznie dotrzeć do Keshin-Kho.

Kiedy dai lo kiwnął głową i pośpieszył na brzeg rzeki, Vaelin zauważył, że Jadeitowa Księżniczka odprowadza go wzrokiem. Oczy miała zmrużone, spojrzenie przenikliwe i oceniające, co bardzo kontrastowało z jej niemal dziecinnym zachowaniem. W końcu podeszła do Sho Tsaia i o coś go spytała, głosem zbyt cichym, żeby Vaelin mógł cokolwiek zrozumieć. Kapitan skinął głową z wyraźną czujnością, ale księżniczka wydawała się zadowolona. Ciepły uśmiech wrócił na jej usta, kiedy dotknęła przedramienia Sho Tsaia zakutego w zbroję. Tym razem Vaelin zdołał wychwycić słowa: „On przynosi panu zaszczyt. Słudzy Świątyni dobrze wybrali”.

Sho Tsai jedynie pokiwał głową i ruszył dalej przez obozowisko, zakazując rozpalania ognisk. W rezultacie wieczorny posiłek składał się z sucharów i suszonej wołowiny. Jadeitowa Księżniczka i Erlin przez cały wieczór prowadzili cichą, wesołą rozmowę, która kontrastowała z surowym, uporczywym milczeniem Sherin. Uzdrowicielka siedziała naprzeciwko Lorda Wieży, a blask księżycy wydobywał zarys twarzy, lecz jej wyraz był nie do odczytania w mroku. Vaelin jednak wyczuwał w niej gniew i czerpał niewielką pociechę z faktu, że nie tylko on go wywołał. Sho

Tsai próbował wypytywać ją o charakter misji, ale dostał krótką i wyraźną odpowiedź:

– To nie ma teraz znaczenia.

Od tamtej pory Sherin nie wypowiedziała ani jednego słowa.

– To gorsze niż kolacja, którą jadłam z matką po tym, jak mnie przyłapała ze stajennym – szepnęła Ellese.

Vaelin usłyszał coś, co mogło być śmiechem Sherin, choć bardzo cichym.

– Cumbraelski akcent – stwierdziła lekarka. – Daleko zawędrowałaś jak na kogoś tak młodego.

– Wujek mnie potrzebował – odparła Ellese.

Sherin zerknęła na Vaelina i zaraz odwróciła twarz.

– Wujek?

– Nie rodzony. On i moja matka razem wygrali wojnę.

– Nie bez pomocy kilku tysięcy innych, moja droga – zauważył Nortah.

– Tak. – Głos Sherin był słaby, ale Vaelin usłyszał w nim gorzką rezygnację. – Słyszałam, że przez królestwo przeszła następna wojna.

– Trzeba było ją stoczyć – powiedział Nortah. – Możesz być tego pewna, siostrze.

Nastąpiła chwila ciszy. Sherin lekko opuściła głowę.

– Aspekt Elera ma się dobrze?

– Kiedy ostatnio ją widziałem, tak. Ale minęło trochę czasu od tamtej chwili. – Nortah zwrócił się do Vaelina: – Ty powinieneś wiedzieć lepiej ode mnie, bracie.

– Dostałem od niej list niedługo przed naszym wypłynięciem – powiedział Vaelin. – Ona pisze co miesiąc i pyta, co u mojej siostry. Aspekt Elera nadal kieruje Piątym Zakonem, który się rozrósł i zyskał na ważności pod patronatem królowej. W ostatnich czasach nie ma w królestwie wioski bez lecznicy.

– Lyrna. – Vaelin słyszał uśmiech w głosie Sherin. – Nazywają ją tutaj Królową Ognia. Kobieta, którą znałam, chciała jedynie czytać, pisać i uprawiać ogród. Wojna wszystkich nas zmienia, zdaje się.

Ona się nie zmieniła, pomyślał Vaelin. Kiedy ją znałaś, po prostu czekała. Zachował to spostrzeżenie dla siebie. Sherin zawsze miała skłonność do dostrzegania w ludziach tego, co najlepsze.

– Caenis zginął, ratując ją – powiedział. – Był wtedy aspektem Siódmego Zakonu.

– Siódmego Zakonu? Mówisz, że on naprawdę istniał?

– I nadal istnieje. Cały Zakon Wiary oddany studiom nad Ciemnością, a teraz oficjalnie uznany przez koronę po wiekach spędzonych w cieniu. Królestwo bardzo się zmieniło.

– Musi panować w nim spokój, skoro królowa pozwala na te wasze śmiałe poszukiwania.

Nuta ironii w jej głosie rozpałała żar w jego piersi. Vaelin już zapomniał, jak łatwo Sherin zawsze potrafiła go wzburzyć.

– Na nic nie pozwoliła – powiedział. – Jestem tutaj na własną rękę, podobnie jak moi towarzysze.

– Oprócz Sehmona – wtrąciła Ellese z ustami pełnymi wołowiny. – Kiedyś był wyrzutkiem, ale teraz jest sługą Aluma. Wujek go oszczędził, choć powiesił jego krewnych. Właściwie niektórzy z nich zostali ścięci...

– Ellese – zatrzymał ten potok słów Vaelin.

– No tak. – Sherin znowu odwróciła od niego twarz. – Królestwo bardzo się zmieniło, ale ty nie.

– Wiele się wydarzyło. A ja mam za co przepraszać...

– Nie chcę twoich przeprosin, Vaelinie. Chcę, żebyś wrócił do swojej wieży i zostawił mnie w spokoju.

Wstała i odeszła, smukły cień w nocnej ciemności. Vaelin odprowadził ją wzrokiem, kiedy podchodziła do Jadeitowej Księżniczki, która cicho rozmawiała z Erlinem. Rozległ się szmer głosów, a potem Sherin całkiem rozplynęła się w mroku.

– Kapitanie! – zawołała księżniczka wesołym, entuzjastycznym tonem i klasnęła w ręce. – Proszę zebrać swoich ludzi. Jako zapłatę za ich dzielną służbę chciałabym zaśpiewać im pieśń.

– Pieśń? – powtórzył ze zdumieniem Sho Tsai. – Nie sądzę...

– Ale ja tak! – przerwała mu księżniczka ze śmiechem. – Mówię z woli niebios, proszę nie zapominać. – Jeszcze raz klasnęła w dłonie i wycelowwała w niego palec. – Proszę się pośpieszyć.

Sho Tsai wahał się jeszcze przez chwilę, a potem wezwał swoich sierzantów. Czerwoni Zwiadowcy skupili się na jeszcze mniejszym obszarze. Połowie kazano obserwować step, natomiast reszta wpatrywała się w Jadeitową Księżniczkę oczami pełnymi zachwytu i oczekiwania na pieśń pobłogosławioną przez niebiosy.

– Wyglądają jak wierni w katedrze – wyszeptała Ellese.

– Bo nimi są – odszepnął Vaelin. – Cii. Podejrzewam, że zaraz usłyszysz coś wyjątkowego.



Zobaczył, że Jadeitowa Księżniczka przesuwając dłoń po rzędnych włosach Erlina. Nie mógł dojrzeć jej uśmiechu, ale czułość i smutek w jej głosie były łatwe do rozpoznania.

– To było naprawdę cudowne zobaczyć cię znowu, młody wędrowcze. – Nachyliła się i pocałowała go w policzek.

Potem się wyprostowała, wzięła głęboki wdech i zaśpiewała pierwszą nutę, a świat w jednej chwili zmienił się w kompletną czerń.

\*\*\*

Obudził się o świcie i zobaczył, że Sherin patrzy na niego z niecierpliwą, marsową miną.

– Ona mówi, że jesteś potrzebny – powiedziała bezbarwnym głosem, dotykając stopą miecza leżącego u jego boku. – To pewnie też. Weź go i chodźmy.

Vaelin wstał i rozejrzał się po obozie. Otaczały go śpiące postacie. Wei leżał z głową na napierśniku sierżanta, chrapiąc głośno z uśmiechem zadowolenia na zniekształconych ustach. Tylko Ahm Lin nie spał. Uśmiechnął się posępnie, kiedy Sherin go objęła.

– Proszę, odjedź stąd – powiedziała, odsuwając się od niego i mrugając, by usunąć z oczu łzy. – Wracaj do żony. Już dostatecznie długo się o mnie troszczyłeś.

– Prawdziwa przyjaźń jest rzadka – odparł kamieniarz. – I niełatwo się jej wyrzec. Wiesz, że musiałem przyjechać.

Sherin wytarła oczy i pokiwała głową, obejmując go w ostatnim uścisku, a potem ruszyła w stronę Jadeitowej Księżniczki, która trzymała wodze ich kuców.

– Ona to zrobiła. – Ahm Lin wskazał głową księżniczkę. – Jedna nuta jej pieśni i wszyscy zapadli w głęboki sen.

– Ale nie ty – zauważył Vaelin.

– Ja mam własną pieśń. – Kamieniarz wzruszył ramionami. – Nie może się równać z jej pieśnią, to pewne, ale wierzę, że mnie ochroniła.

Wypatrzwszy Nortaha, Vaelin podszedł i mocno nim potrząsnął.

– Nie obudzą się, póki ona na to nie pozwoli! – zawołała Sherin z grzbietu swojego kuca. – A ona nie pozwoli, póki nie znajdziemy się wiele mil na północ stąd.

– Dlaczego to robisz, pani? – spytał Vaelin, zbliżając się do Jadeitowej Księżniczki. – Ci ludzie przybyli tutaj, żeby cię ratować. Teraz będą bezbronni.

Odpowiedziała irytująco kokieteryjnym uśmiechem, unosząc brew i patrząc na Sherin.

– On zawsze jest taki... silny? – rzuciła.

– Zależnie od okoliczności – odparła Sherin i wbiła w Vaelina wyczekujące spojrzenie. – Im szybciej stąd odjedziemy, tym wcześniej oni się obudzą. Jeśli zależy ci na ich dobru, wskakuj na konia i jedź z nami.

– A co z nim? – Vaelin wskazał palcem na nieprzytomnego Sho Tsaia. – On cię nie obchodzi? Zostawisz go Stalhastowi...

– Bądź spokojny. Kiedy mnie dostaną, wkrótce zapomnę o tym najeździe.

Ze smutnym uśmiechem uniosła rękę, żegnając Ahm Lina. Kamieniarz odwzajemnił gest, ale wyglądało na to, że ostrożność wobec Jadeitowej Księżniczki nie pozwala mu podejść bliżej.

– Zostań albo jedź – powiedziała Sherin, ściskając kolanami boki kuca. – Mam tego dość.

Jadeitowa Księżniczka zwlekała chwilę, nim ruszyła za nią, rzucając tęskne spojrzenie na uśpionego Erlina.

– Zrobiłabym to wcześniej – powiedziała przeproszającym tonem – ale chciałam porozmawiać ze swoim starym przyjacielem.

– Zaczekaj, pani – powiedział Vaelin, kiedy zebrała wodze. Czuł silną, ale niemądrą pokusę, żeby je wyrwać z jej rąk, choć wiedział, że gdyby to zrobił, obudziłby się razem z innymi kilka godzin później. – Dlaczego to robisz, pani? Dlaczego dobrowolnie oddajesz się w ręce Stahlhastu?

– Jedź z nami i się przekonaj. – Jadeitowa Księżniczka zaśmiała się i popędziła kuca.

Vaelin patrzył, jak księżniczka odjeżdża w tumanie kurzu wznieconym przez wierzchowca Sherin, zmełł w ustach przekleństwo i pobiegł do swojego konia.

– Bracie – rzekł Ahm Lin. – Pojechałbym, ale...

– Ona cię przeraża – dokończył Vaelin. Ściągnął popręg i wskoczył na siodło. – I słusznie. Tak czy inaczej, lepiej, żebyś został. Kapitan będzie potrzebował twojej pieśni.

– Chcesz, żebyśmy podążyli za tobą?

– Nie. – Vaelin przeszukał wzrokiem step, zastanawiając się, ile oczu zobaczyło uśpiony obóz. – Księżniczka na to nie pozwoli, a Stahlhast na

pewno ściągnie większe siły. Powiedz mu, że trzeba jechać na południe i czekać, aż twoja pieśń wyraźnie ci wskaże, gdzie nas szukać.

– A jeśli nie?

– Wtedy będzie miał wojnę do stoczenia... i ukochaną do pomszczenia.

Vaelin zatrzymał się, żeby spojrzeć na swoich towarzyszy leżących luźnym kręgiem wokół dymiących resztek ogniska. Zatrzymał wzrok na Ellese. We śnie jej twarz była jeszcze młodsza niż normalnie, co nasunęło mu myśl, że właśnie zamierza porzucić dziecko we wrogim kraju.

– Proszę cię, żebyś szczególnie zaopiekował się moją siostrzenicą. – Pochylił się i uścisnął dłoń kamieniarza. – Ona nie jest taka silna i światowa, jak się wydaje.

Ahm Lin odwzajemnił uścisk.

– Dobrze.

Vaelin był wdzięczny, że towarzysz zachował kamienną twarz, choć wilgoć w oczach zdradzała jego myśli.

– Ufam twojej pieśni, przyjacielu – powiedział Vaelin, zmuszając się do uśmiechu.

Potem puścił konia w galop, żeby dogonić Sherin i księżniczkę.

\*\*\*

Kiedy słońce stało w zenicie, natrafili na pole bitwy. Z początku Vaelin myślał, że brzydka ciemna plama na żółto-zielonym stepowym dywanie jest rezultatem letniego pożaru, ale jego doświadczone oko wkrótce wypatrzyło kości. Leżały osmalone albo zbielełe na suchej ziemi, wiele przeszytych strzałami, których uschnięte pierzyska wyglądały jak źdźbła wyrastające spomiędzy żeber albo z pustych oczodołów. Roztrzaskane lance i połamane kusze wały się po całym polu, wiele ciał nadal miało na sobie zbroje. Niektóre zostały zredukowane do kości, na innych zachowało się trochę zasuszonych mięśni. Vaelin przystanął na widok człowieka leżącego pod szczątkami konia. Jego wzrok przyciągnął lśniący napierśnik, bardziej wymyślnie ozdobiony niż inne, intarsjowany srebrnymi zawijasami, z pismem Dalekiego Zachodu wygrawerowanym na stali. Jedna połowa twarzy zabitego była wyszczerzoną czaszką, druga maską ze skórzastego ciała. Kruki wydziobały oczy.

– Generał Nishun, jeśli się nie mylę – powiedziała Jadeitowa Księżniczka, zatrzymując kuca, żeby spojrzeć na trupa. Jej ton był lekki i niewyraźający

szacunku, jakby pozdrawiała przypadkowego, mało ważnego znajomego.

– Znała pani tego człowieka? – spytał Vaelin.

– Przyjechał posłuchać mojej pieśni kilka lat temu. Od dawna istnieje zwyczaj, że nowo mianowani luminarze przybywają do Wysokiej Świątyni. Pewnie myślą, że uzyskają łaski niebios, jeśli posłuchają, jak śpiewam. – Księżniczka lekko zmarszczyła nos. – Ten człowiek po prostu stał, bez żadnego wyrazu na pobrużdżonej starej twarzy. Potem się uklonił i wyszedł. Najwyraźniej nie miał ucha do muzyki.

– Albo dużo rozsądku – rzucił Vaelin i rozejrzał się po poboju.

Po ułożeniu ciał mógł odtworzyć przebieg bitwy. Połowa z nich tworzyła nierówną linię skierowaną na północ, reszta leżała rozrzucona na obszarze pół mili, z tym że większość była skupiona na zachodniej i wschodniej flance. Wszystko musiało się rozegrać bardzo szybko.

Główna linia została przerwana w kilku miejscach, a kawaleria zaatakowała obie flanki, doszedł do wniosku. Potem rzeź. Nie mieli czasu uciec. Zagadką pozostawała liczba wypalonych miejsc. Podobnie jak stan ciał. Okazało się, że niektóre są rozczłonkowane, choć kiedy Vaelin zsiadł z konia, żeby się przyjrzeć, nie dostrzegł na nich żadnych cięć. Rozerwane, uznał. Zatem Stahlhast ma Obdarzonego w swoich szeregach.

– Jaki jest sens tracić tutaj czas? – zapytała Sherin, patrząc na niego z siodła, podczas gdy on nadal badał miejsce bitwy.

– Chcę poznać wroga. – Vaelin wyrwał strzałę spomiędzy żeber zabitego żołnierza. Jej grot był zrobiony z solidnej, choć teraz pocerniałej stali, dwa zadziory niemal idealnie symetryczne, brzegi nadal ostre w dotyku. – Nie zadali sobie trudu, by zabrać strzały.

– Czy to coś oznacza?

– Ta jest dobrze wykonana i nadal użyteczna – powiedział Vaelin, unosząc pocisk. – Ale zostawili ją razem ze zbrojami i bronią. Bogaci ludzie, wszystko na to wskazuje, lecz mimo to nadal chciwi.

– To nie chciwość ich napędza – stwierdziła księżniczka. – To miłość.

– Miłość? – powtórzył Vaelin, wskazując na ponure otoczenie. – Miłość do rzezi?

– Miłość do boga. Albo strach. Często się przekonywałam, że to mniej więcej to samo.

– Cokolwiek nimi powoduje, wkrótce się skończy – oświadczyła Sherin. – My położymy temu kres.

– W jaki sposób? – spytał Vaelin, zwracając się do Jadeitowej Księżniczki. – Wiem, że pani dar jest potężny, ale wątpię, czy pieśń wystarczy, by uspić całą horde.

– Mam wiele pieśni. – Księżniczka się zaśmiała. – W muzyce kryje się wielka moc. Moc uwodzenia, wprawiania we wściekłość, sprowadzania smutku albo odpoczynku. Ale ja wiele lat poświęciłam na doskonalenie jednej w szczególności, a ona nie sprowadza snu. Kiedy ich fałszywy bóg ją usłyszy... – Rzuciła zasmucone spojrzenie w stronę pobojuwiska. – To wszystko się skończy.

– To jest wasza misja? – Vaelin przesunął wzrok z jednej kobiety na drugą, a w jego głosie wyraźnie brzmiało niedowierzanie. – Zaśpiewa pani pieśń ich przywódcy? Czy to go zabije?

– Oczywiście, że nie! – Księżniczka zeszywniała. – Ja nie odbieram życia.

– Więc jak? Czy ona... odmieni jego duszę? Zmieni złego człowieka w dobrego?

– Nikt nie jest naprawdę dobry. Ale pieśń go zmieni. – Księżniczka uniosła brew. – Tak jak zmieniła pana, Vaelinie Al Sorno.

– Proszę na to spojrzeć. – Vaelin wskazał strzałą na rozczłonkowane ciało. – Przypuszczam, że żyje pani dostatecznie długo, by wiedzieć, co to oznacza. Ten człowiek, Ostrze Ciemności, zwerbował Obdarzonych do swojej armii. Oni będą wiedzieć, kim pani jest. Wyczują dar i zabiją panią, nim zaśpiewa pani choć jedną nutę.

– Nie sędzę. Odnoszę wrażenie, że Ostrze Ciemności ma ciekawy umysł, nie wspominając o ogromnej arogancji. On mnie wysłucha.

– Sherin. – Vaelin starał się uniknąć choćby nuty gniewu w swoim głosie, bo wiedział, że w ten sposób tylko pogorszyłyby sprawę. – Na pewno wiesz, że to szaleństwo. Jeszcze nie jest za późno, by zawrócić...

– Och – przerwała mu księżniczka, osłaniając oczy i patrząc na wschód. – Obawiam się, że tak.

## Rozdział dwudziesty

Vaelin ocenił liczbę jeźdźców na około dwóch tysięcy; wszyscy byli uzbrojeni i odziani w zbroje, choć nie dobyli broni ani nie opuścili lanc, kiedy się zbliżali. Wsiadł na konia i złożył dłonie na łęku siodła.

– Nic nie rób – poleciła mu wcześniej Sherin, kiedy na wschodzie uniosła się chmura kurzu.

Wojownicy Stahlhastu rozdzielili się, okrążając ich w miarę zbliżania się. Zatrzymali się w odległości zaledwie kilku jardów. Vaelin przesunął wzrokiem po twarzach i zobaczył albo napięcie przed walką, albo lekko lubieżne uśmiechy u tych, których cieszyło oczekiwanie.

– Kto z was jest uzdrowicielem? – zapytała z silnym akcentem, ale znośnym chu-shin, kobieta i popędziła konia.

Podobnie jak wojowniczką, którą dzień wcześniej trafiła strzała Nortaha, ta również miała rude włosy. Powiewały teraz na silnym stepowym wietrze.

– Ja – odezwała się Sherin.

Wzrok kobiety przesunął się po niej od stóp do głów, a następnie przeniósł na Jadeitową Księżniczkę.

– Więc ty musisz być Błogosławieństwem Niebios?

– Chyba tak – odparła ze śmiechem księżniczka.

Wojowniczką chrząknęła i skierowała wzrok na Vaelina.

– Mówiono nam, że będą tylko dwie kobiety.

Vaelin zauważył, że jej spojrzenie przeniosło się z jego twarzy na rękojeść miecza sterczącą nad ramieniem i z powrotem na twarz.

– Ten człowiek jest naszą eskortą – wyjaśniła księżniczka. – Dobry i godny zaufania miecz do ochrony dwóch bezbronnych dam w podróży.

– Czy to prawda? – Rysy kobiety jeszcze bardziej stwardniały, kiedy się zbliżyła, nie odrywając wzroku od Vaelina. – On strzeże was przed jeźdźcami wysłanymi, żeby was pojmać, prawda? Znaleźliśmy ich zeszłej nocy, wszystkich zabitych, i to nie przez jednego człowieka.

– Niefortunne nieporozumienie – upierała się księżniczka.

– Nieporozumienie. – Rudowłosa skrzywiła wargi. – Znalazłam swoją siostrę przeszytą strzałą. Takich pocisków nie używają żołnierze króla. Powiedziałabym, że to strzała z daleka. – Nachyliła się do Vaelina i wysyczała, obnażając zęby: – Nie jesteś z południa. Ani ze Stahlhastu. Czy tam, skąd pochodzisz, wyrabiają strzały? Załóżę się, że tak.

W jej ręce pojawił się nóż, kiedy skoczyła do przodu. Vaelin chwycił rękojeść miecza i wyciągnął go do połowy, nim głos Sherin zatrzymał kobietę.

– Zabij go, a syn twojego skeltira umrze!

Palce wojowniczkii zadrżały na rękojeści noża, kiedy wzięła kilka urywanych oddechów i skierowała wściekłe spojrzenie na Sherin.

– Na Żelaznym Stepie nie wybacza się gróźb, suko – wychrypiła.

– Nie groziłam. – Sherin przełknęła ślinę, ale nie odwróciła wzroku, podczas gdy kobieta nadal się w nią wpatrywała. – Ja tylko stwierdziłam prawdę. Zabij tego człowieka, a ja nie ulecę syna waszego skeltira.

Kobieta wyprostowała się i z głową odchyloną do tyłu nabrała więcej powietrza w płuca. Gdy odzyskała trochę panowania nad sobą, schowała nóż z powrotem do pochwy i warknęła krótką serię rozkazów do jeźdźców Stahlhastu w ich własnym języku. Cała grupa natychmiast zawróciła wierzchowce i puściła się galopem w stronę południowego zachodu.

– Znajdą waszych przyjaciół – obiecała kobieta Vaelinowi. – Powiedziałam im, żeby zachowali łuczników przy życiu. Jeśli będziesz miał szczęście, pozwolę ci się pożegnać, zanim obedrę ich ze skóry. – Skierowała swojego ogiera na północ. – Jedziemy do toru. A ty – dodała, rzucając Sherin złowrogie spojrzenie przez ramię – lepiej się módl, żeby twoje umiejętności dorównały legendzie.

\*\*\*

Tor wyrastał z równiny w późnowieczorne niebo i przypominał dawno zbutwiały pień wielkiego drzewa. Kobieta zachowywała uparte milczenie przez trzydniową podróż na północ, ignorując ostrożne próby nawiązania rozmowy przez Sherin, a wieczory spędzała przy osobnym ognisku. W każdym spojrzeniu, które rzucała w jego stronę, Vaelin potrafił wyczytać żądzę krwi i zastanawiał się, czy mądrze jest pozwolić sobie na sen. Ale kiedy pierwsza noc minęła bez żadnych incydentów, doszedł do wniosku, że wojowniczka jest równie obowiązkowa jak Sho Tsai czy inni żołnierze.

Wyglądało na to, że Stalowej Hordzie nie brakuje dyscypliny mimo jej rzekomego barbarzyństwa.

– A więc to stąd mają żelazo – stwierdził, patrząc na jasne zbocza toru wyżłobione przez pracę całych pokoleń.

– Metal z torów, mięso z wielkich stad jeleni i wołów pizmowych – potwierdziła Jadeitowa Księżniczka. – Jak sam pan zauważył, niewiele im brakuje, a jednak pragną więcej.

Wojowniczką zaprowadziła ich do gęstego skupiska kamiennych domów strzegących skierowanego na południe dojścia do toru. Po drodze minęli kilka pól uprawnych. Vaelina uderzyło to, że ludzie pracujący na tych polach wyglądali na mieszkańców Dalekiego Zachodu. Doszedł do wniosku, że muszą być niewolnikami, ale nie widział żadnych strażników ani nadzorców z batami. Ponadto ci ludzie mieli ubrania dobrej jakości, oddawali się swoim zajęciom z energią i pilnością, a wielu przy tym śpiewało.

– Kim oni są? – zapytał Jadeitową Księżniczkę.

– Kiedyś byli niewolnikami. – Na jej czole bez skazy pojawiła się zmarszczka, kiedy przyglądała się polom. – Ale obawiam się, że już nimi nie są.

– Dlaczego się tego bać? Wyzwolenie trzeba zawsze świętować.

– Dawny niewolnik może nadal nim być w głowie. – Zniknęła jej zwykła beztroska, głos nabrał powagi, która świadczyła o bogatym doświadczeniu. Czasami łatwo było zapomnieć, że księżniczka chodziła po ziemi więcej lat, niż Vaelin potrafił sobie wyobrazić. – Niewolnik nie będzie walczył za właściciela, ale będzie walczył za boga, zwłaszcza takiego, który zerwał jego łańcuchy.

Minęli skupisko domów, gdzie na stłoczonych ulicach panował gwar bawiących się dzieci. Poza tym nie czuło się tam odoru typowego dla miejsc zarezerwowanych dla najniższych klas. Ludzie uśmiechali się, pozdrawiając sąsiadów albo nawet besztając potomstwo. Vaelin zauważył, że ich szczęście kłóci się ze zjadliwymi spojrzeniami, które posyłała im wojowniczką, z otwartą pogardą wykrzywiając usta. Zobaczył również, że uśmiechy bledną, a ludzie odwracają wzrok, kiedy ona przechodzi obok.

– To musi być trudne do zniesienia, gdy twoją własność kradnie Ostrze Ciemności – skomentował Vaelin.

– Zamknij się! – warknęła kobieta i oparła się pokusie sięgnięcia po nóż, ale ręka wyraźnie jej zdrząła. – Jego słowa nie będą kwestionowali tacy



jak ty.

Spięła konia do cwału, kierując się w stronę dużego obozowiska po wschodniej stronie wzgórza. Namioty były wymyślnymi konstrukcjami ze skór zwierzęcych, wszystkie z licznymi łatami świadczącymi o latach używania. Były ustawione półkolem wokół dużej zagrody, w której stado koni wzbijało kurz, brykając i skubiąc trawę. Vaelin ocenił, że obóz jest domem dla co najmniej tysiąca ludzi. Jeden z jeźdźców ustawionych w luźnej pikiecie ruszył galopem w ich stronę. Zatrzymał się, kiedy kobieta dała mu znak, żeby usunął się z drogi.

Zwolniła do stępa, gdy wjechali do obozu, a ludzie wyszli z namiotów, żeby pogapić się na obcych, których przyprowadziła. Vaelin nie zobaczył na ich twarzach takiej ciekawości jak u mieszkańców Czcigodnego Królestwa, ale dużo identycznej podejrzliwości. Mężczyźni i kobiety zdolni do walki wpatrywali się w Vaelina z otwartym wyzwaniem, podczas gdy inni łypali na Sherin i Jadeitową Księżniczkę i wykrzykiwali w swoim języku bez wątpienia lubieżne zniewagi.

– Uspokój się – rzuciła Sherin, kiedy Vaelin zjeżył się na widok mężczyzny trzymającego się za krocze i coś do niej wyrzaskującego ku rozbawieniu kompanów.

Vaelin zapanował nad rosnącym wzburzeniem, odwrócił wzrok i wbił go w kobietę, która prowadziła ich w stronę największego namiotu w obozowisku. Z jego dachu wystawała niezwykła chorągiew: krąg ze lśniącej stali w ramie z kutego żelaza. Stalowe koło było ozdobione umiejętnie wygrawerowanym rysunkiem jastrzębia z rozpostartymi skrzydłami i wysuniętymi szponami.

Mężczyzna stojący w wejściu do namiotu był niższy od innych wojowników Stahlhastu, których Vaelin widział do tej pory, i kilka lat starszy, z nitkami siwizny w niesfornej czarnej grzywie. W jednej ręce trzymał szablę w pochwie, w drugiej butelkę. Pociągnął z niej długi łyk, gdy kobieta zsiadła z konia i złożyła ręce w geście szacunku.

– Skeltirze – zaczęła, wskazując na troje cudzoziemców.

Mówiła dalej w swoim języku, a mężczyzna kiwał głową i nadal popijał z butelki, przesuwając wzrokiem po Vaelinie i Jadeitowej Księżniczce, aż zatrzymał go na Sherin.

Zatamował potok słów kobiety, unosząc rękę, i coś wymamrotał, po czym zniknął w mrocznym wnętrzu namiotu.

– Skeltir klanu Ostra nie lubi czekać – powiedziała kobieta, wskazując niecierpliwym gestem otwartą kłapę.

Jadeitowa Księżniczka i Sherin szybko zsiadły z koni i weszły do środka, a Vaelin podążył za nimi ostrożniejszym krokiem i zatrzymał się przy wejściu, żeby jego oczy przyzwyczyły się do półmroku. Skeltir siedział na niskim siedzisku przykrytym skórą wołu, z szablą spoczywającą na kolanach i butelką w ręce. Stojący przed nim żelazny piecyk wyrzucał kłęby dymu w stronę otworu w dachu, w środku jarzyły się węgle. Vaelin przesunął wzrokiem po wszystkich kątach namiotu i nie zobaczył nikogo innego.

– Skeltir Stahlhastu nie zwabia ludzi do namiotu, żeby ich zabić – oświadczyła kobieta, podchodząc do Vaelina. – Jeśli trzeba zabijać, robi to otwarcie na oczach swojego skeldu. Siadajcie.

Vaelin ponownie rozejrzał się po namiocie, a potem zajął miejsce na stosie futer razem z Sherin i księżniczką.

– Thirus mówi, że zabiłeś jej siostrę – zaczął skeltir w chu-shin. Jego głos brzmiał jak zgrzyt rowkowanego ostrza na kamieniu. Wzrok utkwiony w Vaelinie był twardy i badawczy, ale nie gniewny. – I innych. Lojalnych jeźdźców skeldu Ostra wysłanych na mój rozkaz.

– Dobyli broni na mnie i na moich towarzyszy – odparł Vaelin. – Walczyliśmy i oni zginęli.

Thirus zeszywniała na te słowa, a z jej ust wydobył się cichy syk, kiedy stanęła u boku skeltira. Opuściła głowę i powiedziała coś do niego szybko we wspólnym języku głosem proszącym i lekko zdławionym.

– Eta! – uciszył ją skeltir zgrzytliwym warknięciem. Thirus wyprostowała się i wycofała z głową zwieszoną ze wstydu albo skrywanej wściekłości. – Ona właśnie zaproponowała, że odda życie za szansę zabicia ciebie. Wiąż między siostrami zawsze jest silna.

– Skeltirze Varnko – odezwała się księżniczka – znasz naszą misję, a my znamy twoją cenę. Może powinniśmy ją zapłacić i ruszać w drogę.

Wzrok wodza przesunął się z Vaelina na Sherin.

– Południowcy nazywają panią Łaską Niebios, prawda?

– Tak. Choć wolałabym, żeby tego nie robili.

– Dlaczego? Nie cieszy się pani względami niebios? Czy pani moc to kłamstwo?

– Moja moc sprowadza się do wiedzy i umiejętności zdobytych w ciągu wielu lat studiów i praktyki. Niebiosy nie mają z tym nic wspólnego.

Wyraz rozbawienia i satysfakcji przemknął po twarzy Varnko, zanim wróciła na nią surowa maska. Najwyraźniej skeltir usłyszał to, co chciał usłyszeć.

– Chciałbym się upewnić, że nasza umowa została dobrze zrozumiana – powiedział. – Ty, pani, wyleczysz mojego syna. Kiedy on wróci do zdrowia, zaprowadzę was do mestra-skeltira.

– Właśnie tak uzgodniliśmy – wtrąciła Jadeitowa Księżniczka z uprzejmym uśmiechem.

– Jeśli nie zostanie wyleczony – ciągnął Varnko ze wzrokiem wbitym w Sherin, nie zwracając uwagi na księżniczkę – ty, pani, i tych dwoje stracie życie. Pozwolę Thirus zrobić z waszą trójką, co zechce.

Rysy Sherin stwardniały, kiedy odwróciła się do swojej towarzyszki.

– Nie to...

– Ona się zgadza! – przerwała jej księżniczka wesołym, swobodnym tonem. – I jej wysoki towarzysz zza morza również.

Vaelin zobaczył, że Sherin zgrzyta zębami, kiedy skeltir uniósł brew i popatrzył na nią pytająco.

– Zgadzam się na wasze warunki. – Uzdrowicielka wstała z westchnieniem i zaczęła mówić energicznym tonem, który Vaelin tak dobrze pamiętał: – Przynieście moje juki i zaprowadźcie mnie do chłopca. Z tego, co słyszałam o jego stanie, wynika, że czas działa przeciwko nam.

\*\*\*

– Strzała w brzuch z sześćdziesięciu jardów – wyjaśnił Varnko. – Przebiła kolczugę, ale nie zagłębiła się tak bardzo. Wyrwał ją i się zaśmiał, a nawet zatrzymał na pamiątkę. Potem to...

Skeltir urwał i wskazał na syna leżącego na futrach. Chłopiec miał może piętnaście lat, choć wychudzenie i zapadnięte policzki sprawiały, że wyglądał jednocześnie na starszego i młodszego. Leżał z przymkniętymi oczami, oddychał płytko i urywanie. Warstwa potu pokrywała jego ciało, nagie, nie licząc bandaża na brzuchu.

Sherin ukucnęła i delikatnie zdjęła opatrunek, uwalniając słodki, mdlący odór rozkładu. Vaelin stwierdził, że jeszcze nigdy nie widział tak zanieczyszczonej rany, ciemnego, nieregularnego kręgu o średnicy cala, wypełnionego ropą. Odchodziły od niego fioletowe macki zakażenia, wijąc się po brzuchu i bez wątplenia zapuszczając głęboko we wnętrzości

chłopca. Vaelin wiedział, że Piąty Zakon ma wiele leków, które zwalczyłyby infekcję, i zaaplikowane szybko mogły uratować kończynę przed piłą albo rannego brata przed stosem pogrzebowym. Ale nigdy nie widział, żeby człowiek w takim stanie przeżył więcej niż kilka dni. To, że ten chłopiec przetrwał tygodnie, zakrawało na cud.

– Przypuszczalnie brud na grocie – stwierdziła Sherin, oglądając ranę. – Może również jakaś trucizna.

– Nasi uzdrowiciele próbowali larw – powiedział Varnko. – Wydawało się, że trochę ją oczyścili, ale potem się pogorszyło.

– Larwy działają na rany w kończynach – wyjaśniła Sherin, sięgając po jeden z juków. – Tam, gdzie zakażenie nie może dotrzeć zbyt głęboko. Gdy się ich próbuje na takich ranach, jest możliwość, że larwy wygrzą sobie drogę do wnętrzości. To szczęście, że wasi uzdrowiciele go nie zabili.

Wyjęła z torby mały nóż o cienkim ostrzu oraz kilka buteleczek.

– Potrzebuję więcej światła. – Rozejrzała się po małym namiocie. – I dużo przegotowanej wody, najlepiej w miedzianych garnkach. Do tego płachty z gazy albo innego cienkiego materiału dla ochrony przed muchami.

– Zamierzasz go ciąć, pani? – spytał Varnko.

– Zainfekowane ciało trzeba wyciąć. – Sherin przycisnęła dłoń do rozgorączkowanego czoła chłopca i się skrzywiła. – Ale jego szanse na przeżycie zależą od leków i maleją z każdą sekundą, którą tracę na rozmowę.

\*\*\*

– Ma pan jakieś imię?

Vaelin spojrział na butelkę, którą podawał mu skeltir, i uznał, że odmowa byłaby nieuprzejma. Zawarty w niej płyn okazał się zaskakująco przyjemny w smaku i znajomy.

– Cumbrealskie czerwone – stwierdził, oddając butelkę. – Ma pan kosztowny gust.

– Właśnie stamtąd pan pochodzi. Z Kraju Wina, jak nazywa go mój lud. Niezbyt oryginalnie, wiem, ale oni dopiero niedawno usłyszeli o tym miejscu. Powiedz mi, panie, czy naprawdę tam codziennie pada deszcz?

– Nie codziennie, ale przez większość dni.

Skeltir chrząknął i napił się znowu, kierując spojrzenie na duże stado koni w zagrodzie. Zostawiwszy Sherin przy rannym, Jadeitowa Księżniczka nagle przybrała postawę królewskiego autorytetu i oznajmiła władcym tonem, że rozgości się w namiocie Varnko. Zażądała przekąsek i służących, po czym odmaszerowała, trzymając nos w górze.

Varnko obserwował ją przez chwilę, a potem wydał polecenia najbliższemu stojącemu wojownikowi. Ten wskoczył na konia i ruszył w stronę miasteczka.

– Znajdzie pokojówkę wśród niewolników – rzucił skeltir i zmarszczył brwi. – To znaczy wśród rzemieślników. Wydaje mi się, że masz dobre oko do koni, panie. Możesz spojrzeć na moje.

Vaelin musiał przyznać, że zwierzęta są wyjątkowe, wszystkie wysokie w kłębie, o długich nogach i szyjach, nadające się zarówno do polowania, jak i do wojny.

– Spójrz, panie, na tego siwka – powiedział Varnko. – Derka, duma mojego stada. W jego żyłach płynie najlepsza krew. Wieki hodowania, żeby stworzyć idealnego wierzchowca.

– Imponujące zwierzę – zgodził się Vaelin, patrząc, jak inne konie schodzą z drogi siwkowi, który z energią żrebaka galopował tam i z powrotem po wybiegu, a za nim powiewała długa srebrna grzywa.

– Miał z czasem zostać wierzchowcem Lotzina. – Oczy Varnko pociemniały, kiedy patrzył na ogiera. – Mojego syna.

– Będzie na nim jeździł – zapewnił go Vaelin. – Moja przyjaciółka jest bardzo utalentowana.

– Przyjaciółka? – Varnko ze zdumieniem uniósł brwi i napił się znowu. – Naprawdę? Kiedy widzę, jak na ciebie patrzy, panie, przypomina mi moją pierwszą żonę. Została mi po niej blizna cał od kutasa, po tym, jak próbowała mnie wykastrować. Przyłapała mnie, jak pieprzyłem jej siostrę, więc pewnie miała powód. Ale zawsze uważałem, że trochę przesadziła. – Roześmiał się, widząc wyraźne zakłopotanie gościa, i łyknął wina. – Jeszcze nie poznałem twojego imienia, panie. Jest jakiś powód?

– Vaelin Al Sorna. – Złożył skeltirowi formalny ukłon. – Lord Wieży Północnych Dorzeczy i skromny sługa królowej Lyrny Al Nieren ze Zjednoczonego Królestwa.

– Królowej Ognia – powiedział Varnko, wzruszając ramionami i wracając spojrzeniem do koni. – Przynajmniej o niej słyszałem. – Umilkł i po chwili wahania zapytał: – Po co tutaj przyjechałeś, Vaelinie Al Sorno? Wiem, że

podróżowałeś z żołnierzami króla, ale nie jesteś w jego niewoli. Chodziło o nią, tak? O uzdrowicielkę. – Pokręcił głową i wysączył ostatnie krople wina z butelki, po czym odrzucił ją z westchnieniem. – Przebyłeś bardzo długą drogę dla kobiety, która nie może znieść twojego widoku, jeśli pytasz mnie o zdanie.

– Niektóre długi trzeba spłacać – odparł Vaelin. – Niezależnie od odległości czy ceny.

– Tak. – Skeltir potarł dłonią podbródek i przysunął się bliżej. Vaelin zauważył, że trzyma dłoń przy ustach, żeby z ruchu warg nie można było odczytać, co mówi. – Jak sam stwierdziłeś, to piękny koń. – Pomknął wzrokiem do siwego ogiera. – Do świtu mógłby pokonać wiele mil.

Vaelin przeniósł spojrzenie ze skeltira na skupisko namiotów, kiedy wrażenie, że są obserwowani, się nasiliło. Ten człowiek był przywódcą klanu, ale starał się przed swoimi ludźmi ukryć to, co mówi.

– Chcesz, żebym wyjechał – stwierdził Vaelin, odwracając się plecami do namiotów. – Może z troski o moje dobro?

– Nie. – Skeltir też odwrócił się twarzą do zagrody. – Zabiłem swoich krewnych, więc z radością nasrałbym na twojego zakrwawionego trupa. Ale jedno wiem na pewno: nic dobrego nie może wyniknąć z twojego spotkania z mestra-skeltirem. Stahlhast na tym ucierpi.

– A skąd to wiesz?

Varnko poruszył się niespokojnie i przesunął palcami po ustach w sposób, który przypomniał Vaelinowi, że taki sam gest wykonuje Nortah, kiedy dopada go pragnienie.

– Wystarczy powiedzieć, że całkowicie ufam swojemu źródłu. Poczekaj do zmroku i weź konia. Nikt cię nie zatrzyma. Zostaw kobiety ze mną, a ja dotrzymam naszej umowy. Kiedy przyjdzie świt, nic nie będę mógł zrobić.

Jego głos przeszedł teraz w gwałtowny, natarczywy szept. Vaelin dostrzegł błysk desperacji w jego oczach. Było jasne, że przywódca wierzy w każde swoje słowo i ta wiara go przeraża.

– Mestra-skeltir – powiedział Vaelin. – To ten, którego nazywają Ostrzem Ciemności, prawda?

– Rzemieślnicy tak go nazywają. Jego własny skeld i inni ze Stahlhastu, którzy uważają go za legendę.

– A ty nie?

– Trochę tak, bo ją widziałem. Jeśli chodzi o resztę... – Prychnął. – Człowiek nie może być bogiem. Niewidzialni nie są z tej ziemi, dlatego

zasługują na naszą cześć. Człowiek, który je, sra, krwawi i pieprzy jak reszta, na nią nie zasługuje.

Odwrócił się i odszedł, zostawiając Vaelina przyglądającego się szaremu ogierowi. Zwierzę jakby wyczuło jego zainteresowanie, bo zatrzymało się i odwróciło ku niemu głowę. Oddech parował z rozdętych nozdrzy, przednie kopyto grzebało w ziemi.

Trochę starszy od źrebaka, a stado już jest jego, pomyślał Vaelin, widząc, jak inne konie odsuwają się z obawy przed gniewem ogiera. Musisz być gwałtowny.

Siwek parsknął i nagle z przeraźliwym rzeniem puścił się w galop. Vaelin nie ruszył się z miejsca, tylko patrzył w oczy zbliżającego się ogiera. Kurz wzbił się gęstą chmurą, kiedy koń zatrzymał się zaledwie kilka stóp od sznura odgradzającego wybieg. Stał dęba i zarżał raz jeszcze.

Vaelin zaśmiał się cicho, schylił się pod liną i wolnym krokiem podszedł do ogiera, trzymając ręce przy bokach.

– Przypominasz mi mojego starego przyjaciela – powiedział.

Siwek zdradzał teraz lekki niepokój, przestał udeptywać kopytami ziemię, drżały mu mięśnie. Jego oczy się rozszerzyły, kiedy Vaelin wyciągnął rękę, żeby pogłaskać go po szyi.

– Ciekawe, czy gryziesz?

Koń refleksyjnie otworzył i zamknął pysk.

– Założę się, że tak.

Siwek kłapnął zębami i się odwrócił. Kopyta zadudniły, kiedy popędził w stronę innych koni.

Szybki i silny, pomyślał Vaelin, wracając do namiotu Varnko. Dostatecznie silny, żeby unieść dwie osoby, choć jazda ze związanymi rękami i nogami nie będzie wygodna.

\*\*\*

– Przeżyje?

– Lekarstwo chyba działa. – Sherin zamrugła i wytarła czystym płótnem jeden ze swoich noży o wąskich ostrzach. – Zdaje się, że miałam rację co do trucizny. Paskudna mikstura, z którą wcześniej się nie spotkałam. Na szczęście okazała się podobna do wilczej jagody, więc mogłam stworzyć antidotum. – Zerknęła przez ramię na śpiącego za zasłoną z jedwabi, które

rozpięta wokół jego legowiska. – Młodość działa na jego korzyść, a to silny chłopak. Jednak trzeba kilku dni obserwacji, żebym wiedziała na pewno.

Vaelin podszedł bliżej, nie zważając na jej groźne spojrzenie, i ściszył głos do szeptu.

– Nie mamy kilku dni. Pora stąd wyjechać.

– Mam pacjenta, o którego muszę zadbać. I misję, jeśli nie zapomniałeś.

– Zrobiłaś swoje. Varnko zabierze księżniczkę na spotkanie z ich człowiekiem bogiem. Ona może doskonale zaśpiewać swoją pieśń bez ciebie czy beze mnie.

Sherin westchnęła i spojrzała mu prosto w oczy. Przemówiła cicho, ale z naciskiem:

– Zrozum, Vaelinie. Nie zostawię jej. Zaczęliśmy tę podróż razem i razem ją zakończymy.

Vaelin już miał sięgnąć do jej ramienia, lecz się pohamował. Jednakże gest przyciągnął wzrok Sherin do sznurka, który trzymał w drugiej ręce.

– No tak – powiedziała, mrużąc oczy. – Przynajmniej tym razem nie zamierzasz mnie odurzyć.

– Możesz mnie nienawidzić, jeśli chcesz, ale nie przejechałem tych wszystkich mil, żeby patrzeć, jak umierasz.

Jej oczy rozbłysły.

– Ja już umarłam, lata temu, kiedy obudziłam się na statku i stwierdziłam, że mężczyzna, którego kochałam, mnie zdradził. Ahm Lin powiedział mi, że Alpiranie cię zabili, tak jak zapewne go poinstruowałeś. Oczywiście wiedziałam, że to kłamstwo, wiedziałam, że żyjesz. Przez wszystkie te lata, które zabrało mi dojście do siebie, wiedziałam, że oddychasz, że gdzieś po drugiej stronie świata toczysz kolejną brudną wojnę.

– Były powody. Musiałem coś zrobić. Coś, co trzeba było zrobić.

– Teraz też coś trzeba zrobić. Muszę wziąć w tym udział i, tak ona twierdzi, ty również.

Vaelin uzbroił się przeciwko nieustępliwemu zdecydowaniu w jej wzroku i uniósł sznurek.

– Proszę, nie zmuszaj mnie.

Spojrzenie jej jasnych z wściekłości oczu przesunęło się z niego na sznur i z powrotem. Vaelin zdawał sobie sprawę z ryzyka, że Sherin zacznie krzyczeć, ale był pewien, że zdąży zamknąć jej usta dłonią, choć miał



wielką nadzieję, że nie będzie musiał tego robić. W końcu odwróciła wzrok i wzięła głęboki wdech.

– Pozwól mi zabrać rzeczy. – Zacisnęła usta w wąską kreskę i zaczęła pakować noże i buteleczki.

– Pośpiesz się. – Vaelin zerknął na odsunięta klapę namiotu, a ostrzeżenie skeltira rozbrzmiewało mu w głowie coraz głośniejsz z każdą mijającą sekundą. „Kiedy przyjdzie świt, nic nie będę mógł zrobić”. – Wątpię, czy mamy...

Jego słowa zmieniły się w syk, kiedy coś małego, ale bardzo ostrego wbiło mu się w szyję. Okręcił się i instynktownie odepchnął rękę Sherin, udało mu się jednak powstrzymać przed zdzieleniem jej pięścią. Sherin odsunęła się szybko, a jej surowe rysy rozmazały się, kiedy płynny żar rozszedł się od jego szyi przez ramiona do piersi. Sięgnął w górę i wyczuł długą, cienką igłę nadal wbitą precyzyjnie w największą żyłę.

– Wiem – powiedziała Sherin, kiedy nogi ugięły się pod Vaelinem, a jej twarz rozplynęła się w ciemności. – Boli, prawda?

## Rozdział dwudziesty pierwszy

- W moim śnie wydawał się wyższy, jak gigant.
- Och, myślę, że jest dostatecznie duży do tego zadania.
- Zadania, które wspólnie, jak sądziłam, uznałyśmy za niepotrzebne.
- Nie przypominam sobie żadnej takiej umowy. Ale z drugiej strony nasz wspólny sen wydarzył się dla mnie tak dawno temu. Może z czasem szczegóły się zatarły.

Głosy były ciche i niewyraźne, jakby słyszane przez wodę. Vaelin próbował zamrugać, ale stwierdził, że nie może, bo jego powieki najwyraźniej stały się dużo cięższe w czasie jego niedobrowolnego snu. Czuł, że kołysze się razem z powierzchnią, na której leżał, a ona bujała się jak pokład statku na szczególnie wzburzonym morzu. Jednakże słabe skrzywienie kiepsko naoliwionej osi uświadomiło mu, że znajduje się na wozie.

- Widziałaś, pani, to, co ja widziałam. On sprowadzi ruinę...
- A co sprowadza twój brat?

Vaelin zebrał siły i zmusił się do otwarcia oczu, stękając z wysiłku. W miarę jak odzyskiwał przytomność, plama przyćmionego szarego światła powoli przybrała formę suchego, starego drewna. Trzymał na nim rozpostartą dłoń, ale kiedy próbował się podnieść, zdrętwiałe palce przeszły ból.

- Widzisz? – powiedziała księżniczka. – Jest silny. Ona mówiła, że będzie spał co najmniej przez kolejny dzień.

Ramiona mu drżały, kiedy dźwignął się na kolana i wyprostował mimo wstrząsów pojazdu. Jadeitowa Księżniczka siedziała naprzeciwko niego. Na jej małych ustach uformował się powitalny śmiech.

- Milordzie – powiedziała w doskonałym języku królestwa. – Mam nadzieję, że dobrze pan wypoczął.

- Proszę mówić w chu-shin.

Vaelin pobiegł wzrokiem ku źródłu drugiego głosu i zobaczył kobietę spoglądającą na niego z kozła wozu. Była kilka lat młodsza od niego,

o ostrych rysach, które skojarzyły mu się z lisem, podobnie jak rudobrzęde włosy splecione z tyłu w ciasne warkocze.

– Chyba nasze przedsięwzięcie zyska, jeśli będziemy się rozumieć nawzajem – dodała.

– Słusznie – zgodziła się księżniczka, przechodząc na język Dalekiego Zachodu. – Nie pomyślałam. – Uśmiechnęła się lekko do Vaelina, a kobieta odwróciła się i strzeliła wodzami w zady dwóch koni ciągnących furę.

Vaelin miał niezwiązane ręce, ale nigdzie nie zobaczył swojego miecza. Przez chwilę opierał się plecami o bok wozu, zbierając siły, a następnie uniósł się, żeby wyrzucić za burtę. Sherin jadąca na kucu rzuciła mu krótkie spojrzenie i wysforowała się do przodu. Vaelin rozejrzał się i zobaczył, że są eskortowani przez około pięćdziesięciu jeźdźców Stahlhastu. Wojownicy byli ubrani tak samo jak lud Varnko, ale istniały subtelne różnice w motywach, którymi ozdobili zbroje, co prowadziło do wniosku, że muszą być z innego skeldu. Step był monotony jak zawsze i bez żadnych punktów charakterystycznych, które pozwalałyby się zorientować, jak daleko dotarli.

– Trzy dni – odpowiedziała księżniczka na jego niezadane pytanie. – Łaska Niebios parzy mocną herbatę.

Vaelin powędrował ręką do szyi i wyczuł mały strupek w miejscu, gdzie z pewnością widniał świeży siniak, ale nie było żadnej poważnej rany.

– Zawsze taką parzyła. – Wskazał głową na kobietę woźnicę. – Nie zamierza mnie pani przedstawić?

– Oczywiście, proszę mi wybaczyć nieuprzejmość. Przedstawiam Luralyn Reyerik, druhr-tivarik skeldu Cova i siostrę mestra-skeltira. Luralyn, to jest...

– Znam jego imię – przerwała jej kobieta, nie odwracając się, i dodała ciszej: – Przynajmniej jedno z nich.

– Mestra-skeltir – powtórzył Vaelin. – Jest pani siostrą przywódcy Stahlhastu?

Kobieta odpowiedziała jedynie krótkim skinieniem głowy, wpatrując się twardo w drogę przed sobą. Ułożenie jej ramion świadczyło o głębokiej niechęci, którą mógłby przypisać uprzedzeniom jej ludu, gdyby wcześniej nie słyszał jej słów skierowanych do księżniczki. „On sprowadza ruinę...”.

Głośne parsknięcie przyciągnęło jego wzrok na tył wozu. Derka kłusował za pojazdem uwiązany na długim sznurze. Gdy zobaczył, że człowiek na niego patrzy, jego oczy się rozszerzyły. Ogier podrzucił głowę jakby

w powitaniu albo wyzwaniu. Vaelin podejrzewał, że mogło chodzić o jedno i drugie.

– Skeltir Varnko okazał wdzięczność – wyjaśniła księżniczka. – Chłopiec był na dobrej drodze do wyzdrowienia, kiedy wyjeżdżaliśmy. Koń jest teraz pański, ciałem i duszą. Zaśpiewałam mu.

– Zaśpiewała pani? – powtórzył Vaelin.

– Tylko krótką melodię, żeby was ze sobą związać. Nie trzeba było wiele. Myślę, że on już pana polubił. Varnko żałował, że go traci, ale uważał, że honor wymaga jakiegoś daru pożegnania.

– Tak się zastanawiałem – powiedział Vaelin. – Skąd pani dowiedziała się o stanie chłopca i o tym, że jego ojciec będzie chętny do zawarcia umowy.

– Drogi niebios zawsze są niezbadane – odparła księżniczka, unosząc brew.

– Naprawdę? – Wzrok Vaelina powędrował ku sztywnym plecóm Luralyn.

– Sherin ostrzegła, że pan zawsze widzi więcej, niż sądzą ludzie. – Księżniczka roześmiała się z nutą szczerego rozbawienia w głosie, potem spoważniała i nachyliła się do niego.

– Nie ma znaczenia, jak się tu znaleźliśmy, tylko to, że tutaj jesteśmy.

– A gdzie właściwie jest to tutaj?

– Wielki Tor – odpowiedziała Luralyn, ściągając wodze i zatrzymując wóz. – Serce Żelaznego Stepu i miejsce Grobowca Niewidzialnych.

Vaelin wstał i zobaczył szeroki kamienny trójkąt wyrastający z równiny milę dalej.

– I miejsce, gdzie prawdopodobnie spotkasz swój koniec, Złodzieju Imion – dodała kobieta smutnym tonem.

\*\*\*

Derka bez sprzeciwu pozwolił się osiodłać, oszczędzając zemstę na chwilę, kiedy jego pan włożył stopę w strzemień. Wtedy ogier stanął dęba. Vaelinowi udało się wyplątać nogę, zanim siwek się obrócił, ale koń nadal starał się trącić go zadem. Ku rozbawieniu obserwujących go wojowników Stahlhastu Lord Wieży rozciągnął się na ziemi jak długi.

Vaelin wstał i otrzepując kurz ze spodni, rzucił pytające spojrzenie księżniczce.

– Pani pieśń wydaje się słaba – stwierdził.

– Pieśń go związała – odpowiedziała Jadeitowa Księżniczka, wzruszając ramionami. – Ale go nie zmieniła.

Vaelin zbliżył się do Derki zdecydowanym krokiem. Chwycił wodze, odwrócił do siebie głowę ogiera i spojrzał mu prosto w nienawistne oczy.

– Dość tego! – powiedział, nie uciekając wzrokiem.

Derka parsknął i uderzył kopytem w ziemię, ale nie stanął dęba, kiedy Vaelin na niego wsiadł.

– Powinien pan go wychłostać – doradziła Luralyn, siedząca teraz na własnym koniu, wysokim białym ogierze. – Nadal za dużo w nim źrebaka.

– Chyba podoba mi się taki, jaki jest – odparł Vaelin, przesuwając dłońią po szyi Derki, a on z rozdrażnieniem podrzucił łeb.

Luralyn wzruszyła ramionami i popędziła konia do galopu, kierując się w stronę Wielkiego Toru. Sherin i Jadeitowa Księżniczka szybko ruszyły za nią na swoich kucach, a strażnicy Stahlhastu otoczyli Vaelina.

– Beskar! – warknął jeden z nich i wykonał niecierpliwy gest głową.

Vaelin siedział nieruchomo w siodle, patrząc spokojnie na czerwieniejącą twarz wojownika. Tamten był weteranem z jasnymi rowkami blizn w gęstej blond brodzie, najwyraźniej nieprzyzwyczajonym do nieposłuszeństwa jeńców.

– Beskar, uhm levrik! – krzyknął, sięgając do szabli przypasanej do boku.

Vaelin nadal się nie ruszał, tylko patrzył, jak blondyn wyciąga szablę do połowy i nieruchomieje. Blizny prześwitujące przez brodę zbladły, kiedy jego twarz pociemniała z bezsilnej wściekłości.

– Więc masz rozkazy – stwierdził Vaelin. – Żadna krzywda nie może się stać Złodziejowi Imion.

Uśmiechnął się lekko i popędził konia do galopu, a wojownicy Stahlhastu uciekali mu z drogi.

Derka okazał się szybkim wierzchowcem, więc z łatwością nadrobili dystans do Sherin i księżniczki. Zbliżając się do Wielkiego Toru, mijali coraz większą liczbę obozowisk. Każde miało mniej więcej taką samą wielkość jak to, w którym dzierżył władzę skeltir Varnko, ale niektóre były dużo większe. Obozy rozrosły się w rozległe skupisko namiotów wokół wysokich, wolno stojących monolitów, które pierścieniem otaczały wzgórze. Między namiotami widać było niezliczonych członków Stalowej Hordy. Większość zajmowała się swoimi sprawami, podczas gdy kilkoro obserwowało przejeżdżających cudzoziemców.

Liczny lud, doszedł do wniosku Vaelin, wodząc spojrzeniem po gęsto zamieszkanym namiotach. Wątpił jednak, czy mimo swojej siły i niedawno odniesionych zwycięstw mogą podbić ziemie Kupieckich Królestw.

Kiedy zbliżyli się do kręgu monolitów, Luralyn zwolniła i poprowadziła ich przez labirynt obozowisk do wschodniego zbrocza toru. Zatrzymała się przed dwoma wielkimi blokami kamienia wyższymi od pozostałych o kilka jardów i zsiadła z konia. Między głazami stał młody mężczyzna o dobrze umięśnionych ramionach skrzyżowanych na piersi i z krzywym uśmiechem na twarzy. W przeciwieństwie do innych wojowników Stahlhastu nie miał brody, a jego twarz, gładka i młodzieńczo przystojna, była wolna od blizn.

Mestra-skeltir? Jednakże Vaelin szybko odrzucił tę myśl, kiedy zobaczył nieskrywaną pogardę na twarzy Luralyn, która, stawiając długie kroki, szła w stronę mężczyzny młodszego od niej o parę lat.

– Babukir – powiedziała i przeszła na chu-shin. – Co tutaj robisz?

– Wiesz, że nigdy nie mogę się oprzeć celebracjom, droga siostrze – odpowiedział młodzieniec, a jego szerokiemu uśmiechowi towarzyszył mars na czole. – Dlaczego mówimy świńskim językiem, mogę zapytać?

– Z szacunku dla naszych gości. – Luralyn wskazała skinieniem głowy na Jadeitową Księżniczkę. – I dlatego że nasz brat tak rozkazał.

Wzrok młodego człowieka spoczywał przez jakiś czas na księżniczce, zanim przeniósł się na Vaelina, Jego uśmiech zgasł.

– Czy to naprawdę może być on? – Wyminął siostrę i podszedł do Vaelina z nadal skrzyżowanymi rękami i wyrazem drwiącego niedowierzania na twarzy. – Złodziej Imion? Z pewnością nie. – Pokręcił głową. – Zamierzałem błagać brata o zaszczyt zabicia ciebie. Teraz myślę, że zostawię to jednemu z moich bękartów. Najstarszy ma chyba z pięć lat.

Vaelin uśmiechnął się i skinął głową, po czym mocniej ściągnął wodze Derki. Siwek gwałtownie szarpnął łbem w lewo i trafił wojownika Stahlhastu prosto w twarz. Ten zatoczył się z wrzaskiem, któremu towarzyszyła fontanna krwi ze złamanego nosa.

– Przepraszam – powiedział Vaelin, drapiąc Derkę za uszami. – Jest młody i jeszcze trochę nieułożony.

Babukir stał i patrzył na niego z krwią ciekącą po twarzy, a każdy cal jego ciała dygotał z pragnienia natychmiastowej i gwałtownej zemsty. Nie zrobił jednak żadnego ruchu, żeby sięgnąć po szablę. „Żadna krzywda nie może się stać Złodziejowi Imion”. Zakaz najwyraźniej obowiązywał wszystkich członków Stalowej Hordy niezależnie od pochodzenia czy rangi.

– Gdzie jest nasz brat? – spytała Luralyn, najwyraźniej obojętna na jego cierpienie.

Babukir nadal przeszywał wzrokiem Vaelina, kiedy sięgnął do nosa.

– Nawiązuje łączność – odpowiedział i stęknął z bólu, nastawiając kość szybkim szarpnięciem. Wysmarkał krew i uśmiechnął się szeroko. – Idź mu przeszkodzić, jeśli chcesz.

Vaelin patrzył, jak Luralyn odwraca się i patrzy na małą szarą budowlę widoczną za dwoma kamiennymi blokami. Było w niej tylko jedno wejście. Wojowniczką wpatrywała się w ten otwór przez jakiś czas, a jej twarz o lisich rysach pozostawała nieprzenikniona.

– Chodźmy – powiedziała w końcu, odwracając się i skinieniem przywołując całą trójkę. – Zdaje się, że musimy trochę poczekać. Możemy równie dobrze zrobić to w wygodnym miejscu.

\*\*\*

Namiot Luralyn był jednym z trzech w monolitycznym kręgu. Pozostałe dwa, duże i okazałe konstrukcje ze skóry i płótna, zdobiły flagi, niektóre z pismem Dalekiego Zachodu. Trofea z ostatniej bitwy, doszedł do wniosku Vaelin, wspominając wypalone, zasłane trupami pole na południu. Na namiocie Luralyn nie powiewały żadne chorągwie. Choć wyraźnie mniejszy od innych, był ładnie urządzony kanapami i stołami, które nie wyglądałyby nie na miejscu w dalekozachodnim pałacu.

Księżniczka od razu rozsiadła się w leniwej pozie na jednej z kanap i machnęła ręką na dwie osoby obecne w namiocie.

– Napiję się herbaty, dziękuję.

Mężczyzna i kobieta z Dalekiego Zachodu wymienili spojrzenia i popatrzyli wyczekująco na Luralyn.

– To Eresa i Varij – przedstawiła ich gospodyni. – Nie są służącymi. Jeśli chcesz się napić herbaty, czajnik i liście znajdziesz w sąsiednim namiocie. Sama ją sobie zaparz.

– Ona ma Boską Krew – powiedziała Eresa, patrząc na księżniczkę ze zmarszczonym czołem, z mieszaniną podejrzliwości i tłumionej nabożnej czci. – Czuję to...

– Mówiłam ci, że jest potężna – przerwała jej Luralyn.

– Twój brat, pani – ciągnęła Eresa, a na jej twarzy pojawił się strach. – On też to wyczuje...

– Jak należało się spodziewać. Przestań się martwić. – Luralyn spojrzała na Vaelina. – Mamy coś, co odwróci jego uwagę. Przecież jest tutaj Złodziej Imion.

– Dlaczego to jest takie ważne? – zapytała Sherin.

– Mój brat jest zazdrosny o swoje imię. A pańskie przybycie – dodała, patrząc na Vaelina – było od dawna oczekiwane.

– Tego mi nie powiedziałaś. – Sherin przeniosła wzrok na Jadeitową Księżniczkę.

– Dwóch wojowników o wielkiej sławie, obaj noszący imię Ostrze Ciemności. – Księżniczka wzruszyła ramionami. – Wyobrażałaś sobie, że to tylko nic nieznaczący przypadek?

– Mówiłaś, że przywódca Stahlhastu musi jedynie wysłuchać twojej pieśni, żeby wszystko się skończyło.

– Tak. Ale żeby on jej posłuchał, Złodziej Imion również musi tutaj być.

– Nie... – Sherin umilkła i rzuciła ostrożne spojrzenie w stronę Vaelina. – Nie mówiłaś, że przyprowadzę go na śmierć.

– Nie mówiłam. Muszę jednak wyznać, że jestem zaskoczona, że cię to obchodzi. – Księżniczka wstała. – Chyba spróbuję zaparzyć sobie herbatę. Minęło kilka wieków od mojej ostatniej próby.

W iście królewskim stylu wyszła do sąsiedniego namiotu, zostawiając za sobą gęstą ciszę.

– Zdaje się więc, że zadała sobie pani dużo trudu, by wplątać nas w intrygę przeciwko swojemu bratu – powiedział Vaelin do Luralyn. – Czy to nie jest świętokradztwo?

Eresa wydała cichy okrzyk przerażenia i sięgnęła po rękę mężczyzny stojącego u jej boku. On przyciągnął ją do siebie, przytulił jej głowę do swojej piersi i wyszeptał słowa otuchy.

– Gdybym uważała go za boga, to byłoby świętokradztwo – odparła Luralyn. – A tak jest to podła zdrada, która będzie dręczyć moje serce do końca moich dni.

Z zewnątrz nagle dobiegł ryk, gdy tysiące głosów podniosło się jak jeden w burzy grzmiących okrzyków.

– Co to jest? – spytała Sherin, zmuszona do przekrzykiwania hałasu.

– Kehlbrand zakończył rozmowę z Niewidzialnymi – wyjaśniła Luralyn. – Teraz będziemy mieli pełne dwa dni zabawy dla uczczenia wielkiego zwycięstwa nad południowcami i przygotowania naszych dusz na kolejne podboje.



Ruszyła do wyjścia z namiotu, a Eresa i Varij podążyli za nią.

– Musimy strzec rzemieślników przed nadmiernie rozochocionymi hulakami. – Zatrzymała się jeszcze i zmierzyła Vaelina i Sherin poważnym wzrokiem. – Mój brat wkrótce po was przyśle. Proponuję, żebyście wykorzystali ten czas na rozstrzygnięcie wszelkich sporów. Źle jest spotkać swój koniec z rozgoryczonym sercem.

\*\*\*

– Słyszałam, że stracił pan kobietę na wojnie.

Stali przed namiotem Luralyn i obserwowali, jak poza kamiennym kręgiem trwa świętowanie. Zapadła już noc, blask ognisk i pochodni oświetlał widowisko. Członkowie Stahlhastu hasali w różnym stanie obnażenia, pili alkohol w ogromnych ilościach i śpiewali dziwne melodyjne pieśni do rytmu bębnów albo zawodzących piszczałek. W ciągu ostatniej godziny wybuchło kilka bijatyk, ale nie wyciągnięto ostrej broni, a Vaelin zauważył, że mężczyźni i kobiety, którzy chwilę wcześniej rzucali się na siebie z pięściami, teraz tańczą ze sobą w szczęśliwym zapamiętaniu. Choć ci ludzie mieli swoje wady, najwyraźniej nie byli ponurakami.

– Historie o wielkiej krucjacie Królowej Ognia rozeszły się szeroko – ciągnęła Sherin, kiedy Vaelin nie odpowiedział. – Choć niektóre są tak dziwaczne, że nie bardzo w nie wierzę. – Umilkła na chwilę, a jej twarz wyrażała więcej smutku niż urazy, kiedy zapytała: – Kim ona była?

– Miała na imię Dahrena Al Myrna. Główna doradczyni Północnej Wieży, ukochana przez Dorzecza i Seordah Sil.

– Córka poprzedniego Lorda Wieży. Dużo o niej słyszałam, kiedy odwiedziłam Dorzecza. Wiele się mówiło o jej dobroci.

– Była dobra. Poza tym zawzięta w bitwie i mądra w radach. Bez niej wojna mogła zostać przegrana. – A ona umarła z moim dzieckiem w łonie. – Gdyby król pozwolił, Shi Tsai byłby teraz twoim mężem, tak?

– Tak przypuszczam, choć on nigdy oficjalnie o to nie poprosił. – Sherin się uśmiechnęła, ale w tym uśmiechu nadal było dużo współczucia, które Vaelin tak dobrze pamiętał. – Czas najwyraźniej się upiera, żeby mijać nam obojgu. Ja nie jestem tą samą mną, a ty nie jesteś tym samym tobą. I choć wolałabym, żebyś nigdy tutaj nie przyjeżdżał, przykro mi z powodu tego, co straciłeś.

– A ja żałuję tego, co zrobiłem. Ale nie będę kłamał, Sherin. Zrobiłbym to znowu, bo tak dużo od tego zależało. Tyle istnień, łącznie z twoim własnym. I choć wojna alpirañska była zła, nadchodziło coś gorszego. Musiałem tam być, żeby stawić temu czoło.

Sherin spojrzała na zabawę toczącą się w najlepsze za kręgiem kamieni.

– Tutaj też wielu może stracić życie. Ci ludzie wydają się teraz tacy... ludzcy. Ale księżniczka nie pozostawiła mi wątpliwości co do zła, którym zaleją świat. Dlatego przyjechałam, Vaelinie. Musiałam, ale nie wiedziałam o twojej roli. Nasza podróż była pełna opóźnień i zakłóceń, trwała o wiele dłużej, niż powinna. Tłumaczyłam to jej fascynacją życiem poza świątynią, z której uciekła po tylu latach. Jaka byłam głupia. Nie zdawałam sobie sprawy, że byłam przynętą, która miała cię tu zwabić.

Przysunęła się bliżej i ściszyła głos, choć w gwarze zabawy z pewnością nikt nie mógłby ich podsłuchać.

– Księżniczka mnie okłamała. Co oznacza, że mogła kłamać we wszystkim. Zdaje się, że postradała rozum przez te nieskończone lata. Całe to przedsięwzięcie może być wielkim szaleństwem starej, obłąkanej kobiety. – Przysunęła się jeszcze bliżej i wyszeptała: – Uciekaj. To będzie łatwe w tym chaosie.

– Wiesz, że nie mogę.

– I tak nie będziesz mógł mnie obronić, cokolwiek się stanie. Nie tutaj. Proszę. – Chwyciła go za rękę. – Jedź.

Vaelin patrzył przez chwilę na jej dłoń, zaskoczony jej ciepłem i znajomym dotykiem nawet po tylu latach. Potem dostrzegł dwie postacie między wielkimi kamieniami. Obie miały imponującą posturę, ale jedna była wyższa o kilka cali. Stały bez ruchu przez krótką chwilę, a potem zaczęły się zbliżać nieśpiesznym krokiem. Mężczyźni mieli obnażone piersi i żadnej broni, wyższy z tych dwóch pił z dużej butelki, a niesforna masa jego włosów powiewała na silnym wietrze hulającym między monolitami. Ręce drugiego mężczyzny były puste, a włosy miał związane w długi koński ogon opadający na plecy. Jego rysy cechowała przyjemna kanciastość, która wydawała się typowa dla członków Stahlhastu, ostry nos i podbródek były takie same jak u Luralyn. Z kolei jego wyższy towarzysz miał toporną, brutalną twarz poznaczoną kilkoma świeżymi siniakami.

Zatrzymali się w odległości kilku kroków i niższy złożył im głęboki ukłon pełen szacunku. Jego towarzysz patrzył na to z grymasem rozbawienia i nadal popijał z butelki.

- Dobry wieczór – powiedział pierwszy mężczyzna, prostując się. – Proszę pozwolić, że się przedstawię.
- Kehlbrand Reyerik – uprzedził go Vaelin. – Mestra-skeltir Stahlhastu.
- Istotnie. Ale na pewno pan wie, że mam też drugie imię. A pan – Kehlbrand odsłonił w uśmiechu idealnie białe zęby – je ukradł.

## Rozdział dwudziesty drugi

Vaelin nic nie powiedział, tylko przesunął wzrokiem między Kehlbrandem a wyższym mężczyzną. Obaj emanowali aurą fizycznej siły i hamowanej gwałtowności, którą widywał tylko u najbardziej niebezpiecznych ludzi. Podejrzywał również, że mimo napoju w butelce wyższy mężczyzna nie był pijany.

– To jest Obvar – powiedział Kehlbrand, dostrzegłszy badawczy wzrok Vaelina. – Mój brat od siodła i czempion Mrocznego Ostrza Ciemności.

Obvar skłonił głowę.

– Złamałeś nos Babukirowi – powiedział w chu-shin z mocnym akcentem. – Dlaczego zrobiłeś tak niecywilizowaną rzecz?

– Nie spodobał mi się – odparł Vaelin. – I rzadko uważano mnie za cywilizowanego.

Duży mężczyzna wykrzywił usta w uśmiechu i pociągnął z butelki, a następnie powiedział coś do Kehlbranda w języku Stahlhastu. Czy to był żart, czy zniewaga, Vaelin nie potrafił stwierdzić, ale przywódca się nie uśmiechnął, tylko z satysfakcją pokiwał głową.

– Jesteś, pani, uzdrowicielką, o której opowiadała mi siostra? – zapytał Kehlbrand, kłaniając się Sherin. – Przebyła pani całą tę drogę, żeby wyleczyć chłopaka Varnko.

– Tak. – Sherin odwzajemniła ukłon. – Sherin Unsa.

– Moi ludzie będą mieli dla pani mnóstwo pracy za dwa poranki. – Kehlbrand wskazał na rozbawiony tłum. – W miarę trwania nasze celebracje stają się coraz bardziej nieokiełznane. Zostaną wyciągnięte ostrza, poleje się krew. Tym, którzy przeżyją, trzeba będzie opatrzyć i pozszywać rany.

– Chętnie pomogę.

Na wargach Obvara pojawił się kolejny uśmiech, choć tym razem bardziej kwaśny niż pierwszy, a w słowach, które wypowiedział, pobrzmiwał ton niesmaku.

– Tylko słabi przychodzą z pomocą wrogowi – przetłumaczył Kehlbrand. – To jedna z lekcji, których udzielają nam kapłani. I jedna z wielu, których

teraz zabroniłem wygłaszać.

Wpatrywał się w Obvara, a Vaelin zauważył, że wielkolud zaciska zęby, a potem odwraca wzrok. Kehlbrand nadal się w niego wpatrywał.

– Powiedz mi, bracie, co sądzisz o naszych gościach przybyłych z za wielkiej wody? – zapytał cichym, pełnym napięcia głosem.

Obvar pociągnął kilka dużych haustów z butelki. Vaelin zauważył, że olbrzym nadal unika wzroku Kehlbranda. On go przeraża, uświadomił sobie.

– Wyglądają jak my – powiedział Obvar, wycierając ręką usta i opuszczając butelkę. – Ale nie są nami. Ten tutaj zabił wielu, to pewne. – Wskazał skinieniem głowy na Vaelina. – Jednak nie są z Hastu, a każdy, kto nie jest z Hastu, jest słaby i wart jedynie podboju.

Kehlbrand zaśmiał się ze znużeniem i przeniósł wzrok na Lorda Wieży.

– Musisz, panie, wybaczyć mojemu bratu, bo jego umysł jest bardzo ograniczony. Choć potężny, w rzeczywistości niewiele widział ze świata, podczas gdy pan musiał widzieć dużo. Wiele krajów, wiele cudów, jak sądzę. – Wyciągnął rękę w stronę niepozornej szarej budowli, którą Luralyn nazwała Grobowcem. – Chciałbyś, panie, zobaczyć jeszcze jeden?

Vaelin zatrzymał wzrok na czarnym prostokącie wejścia do Grobowca. Wiedział z całą pewnością, że gdyby nadal miał swoją pieśń, byłaby w tym momencie bardzo głośna.

– To nie jest święte miejsce? – zapytał. – Miejsce, w którym mieszkają wasi bogowie? Zobaczył, że Obvar sztywnieje, może z oburzenia na bluźnierstwo, choć podejrzewał, że chodziło bardziej o strach przed reakcją Kehlbranda. Mestra-skeltir tylko się roześmiał.

– Mój lud ma teraz tylko jednego boga – powiedział, ruszając w stronę Grobowca. – Uzdrowicielka może tu zostać i zająć się zadrapaniami na plecach Obvara. Nasze kobiety stają się nadmiernie podekscytowane w takie noce jak ta.

Vaelin spojrzał twardo na Obvara, ale jeśli czempion dostrzegł w nim jakieś zagrożenie, nie zachnął się, a jedynie wzruszył ramionami z łagodnym uśmiechem.

– Masz pewnie pod ręką drugą igłę, jak sądzę? – zwrócił się Vaelin do Sherin w języku królestwa.

– Właściwie dwie – odparła, mierząc wzrokiem Obvara, który skierował uwagę z powrotem na butelkę.

– To dobrze. Nie zawahaj się, jeśli będzie taka potrzeba.

\*\*\*

Kehlbrand zatrzymał się w wejściu do Grobowca, skrzesał ogień i zapalił pochodnię opartą o zewnętrzną ścianę.

– Do niedawna – wyciągnął przed siebie rękę z pochodnią tak, że jej blask rozjaśnił wnętrze – człowieka spoza Hastu, który postawił nogę w kręgu, nie mówiąc o zbliżeniu się do Grobowca Niewidzialnych, czekałaby śmierć. Jedna z wielu głupot kapłanów. Żeby wiara się umacniała, musi być otwarta dla wszystkich. Przyprawiałem tutaj wygnańców, wyjętych spod prawa i rzemieślników. Nawet jeńców z południa dostatecznie mądrych, żeby złożyć mi przysięgę lojalności i dołączyć do szeregów Odkupionych. Wszyscy wyszli oświeceni, pełni oddania Ostrzu Ciemności i jego świętej misji. Ciekawe, jaki ty, panie, stąd wyjdiesz?

Wszedł do środka, nie czekając na odpowiedź. Vaelin podążył za nim i znalazł się przed prostokątną dziurą w ziemi i serią kamiennych stopni prowadzących w całkowity mrok panujący w dole. Kehlbrand zaczął schodzić w czeluść, a jego pochodnia wkrótce zmieniła się w małą żółtą kulę, co zmusiło Vaelina do pośpiechu. Nie chciał potknąć się w ciemności.

– To miejsce kiedyś znajdowało się pod Wielkim Torem – powiedział Kehlbrand, a jego głos odbił się echem w pochyłym tunelu. – Odłonięte po pokoleniach pracy, kiedy wykopaliśmy jeszcze więcej skały, żeby wydobyć z niej rudę. Te schody nie są jednak naszym dziełem, co prowadzi do pytania, jak je zbudowano pod skalnym wzgórzem, które musiało tutaj stać od początku świata. Najwyraźniej ten, kto je wyciosał, spodziewał się, że pewnego dnia zostaną znalezione.

Blask pochodni przestał tańczyć na ścianach, kiedy schody się skończyły, a Kehlbrand wprowadził go do dużej komnaty. Powietrze było stęchłe i nieprzyjemne, przesycone znajomym odorem rozkładu.

– Przepraszam za ten zapach – powiedział Reyerik. – Nigdy nie znika. Jednak... – Opuścił pochodnię i oświetlił wyschniętego trupa leżącego na podłodze – ci ludzie za życia cuchną równie paskudnie.

Vaelin ocenił, że minęły może cztery lata od śmierci tego człowieka. Ciało jeszcze nie całkiem się rozłożyło, skóra poczerniała, zęby szczyrzyły się w ustach bez warg. Przyczynę zgonu łatwo było odgadnąć po klatce piersiowej i mostku rozplatanym jedynym ciosem długiego ostrza, zadany z imponującą siłą. Vaelin zatrzymał wzrok na jednym z rozciętych żeber,

poszarpanym i dostatecznie ostrym, żeby przesyć ciało. „Zabiję go, a co potem?” – zadał sobie pytanie. „Wywalczę sobie drogę wśród tysięcy rozwścieczonych wyznawców, ciągnąc za sobą Sherin?”.

– Przykazałem Obvarowi, żeby zadał mu szybką śmierć, bo jego odwaga na koniec zrobiła na mnie wrażenie – wyjaśnił Kehlbrand.

Vaelin zmusił się do odwrócenia wzroku od poszarpanego zebra i spojrzął na inne trupy. Leżały blisko ścian komnaty i były w stanie – często rozczłonkowane – świadczącym o masakrze. Wszystkich zostawiono tam, gdzie umarli, bez szacunku dla rytuałów, których mogli przestrzegać.

– Ale wobec tego nie byłem tak łaskawie usposobiony – dodał Kehlbrand, oświetlając czaszkę leżącą z dala od innych ciał. Gdy obnażona kość zaśniła w blasku pochodni, rzucił tonem udawanego szacunku: – Oto mestra-dirhmar Stahlhastu, ostatni kapłan Niewidzialnych. – Ukucnął i dotknął palcem czerepu, a w jego głosie pojawiła się nuta zadumy. – Często się zastanawiam, dlaczego czułem potrzebę dręczenia go tak bardzo. Może dlatego, że zabił mojego starszego brata, ale to był konieczny akt, który Tehlvar i ja sami zaplanowaliśmy. A może chodziło o to, co próbował zrobić mojej siostrze, tak mi drogiej. Ale nie, zmusiłem go do patrzenia, jak zabijam innych. Obdarłem go ze skóry, spuściłem z niego krew, zadałem jego ciału wszelkiego rodzaju upokorzenia i zostawiłem starego drania połamanego, bo po prostu go nie lubiłem. Podobnie jak ty, panie, i Babukir, co? – Spojrzął na Vaelina z szerokim uśmiechem. – Przypuszczam, że on nie jest pierwszym człowiekiem, którego pan nie lubi. Zameczył pan jakiegoś na śmierć?

– Nie – odparł Vaelin – mimo częstych silnych pokus.

Kehlbrand zaśmiał się cicho i wstał ze wzrokiem nadal utkwionym w głowie zamordowanego kapłana.

– Ale nie tortury były najgorsze. Chciałem, by wiedział. Chciałem, żeby zobaczył wielkie kłamstwo swojego życia, więc kazałem mu go dotknąć. Potem błagał mnie o ostrze, a ja mu je dałem.

– Dotknąć czego?

Kehlbrand przekrzywił głowę i zmrużył oczy.

– Myślę, że już wiesz, panie – powiedział bardzo cichym głosem, wyciągając rękę, aż blask pochodni oświetlił coś znajdującego się pośrodku komnaty.

To coś miało wysokość czterech stóp i szeroką podstawę, która zwężała się aż do płaskiego wierzchołka. Serce Vaelina zamarło na ten widok,

a kiedy się zbliżył, zaczęło pulsować mu w skroniach. Jacy byliśmy głupi, wyobrażając sobie, że jest tylko jeden.

Błądząc wzrokiem po kamieniu, zauważył, że niezupełnie jest to bliźniak tego, który leżał pod areną w Volarze. Podczas gdy jego powierzchnia była głównie czarna, biegły przez nią czerwonawozłote żyły, które rozbłysły nienaturalną jasnością, kiedy padło na nie światło pochodni.

– Widział pan już taki jeden – stwierdził Kehlbrand, stając po przeciwnej stronie kamienia. Bezskutecznie próbował ukryć głód w głosie. – Jeśli jest gdzieś na świecie drugi, bardzo chciałbym wiedzieć gdzie.

– Był – odparł Vaelin. – Został rozbity w proch i wrzucony do oceanu. Przepadł na zawsze.

Kehlbrand pokręcił głową, a z jego ust wyrwał się cichy syk.

– Potworna strata. Zbrodnia.

– Nie. Akt nieubłaganej konieczności. – Vaelin wskazał głową na kamień. – Jeśli naprawdę troszczy się pan o swój lud, zrobi pan to samo z tą rzeczą.

– To dzięki niej mój lud kwitnie. Dzięki niemu wyzwoliłem tysiące z niewoli, a wkrótce wyzwolę jeszcze więcej tysięcy spod chciwego jarzma władców Kupieckich Królestw.

– Ilu zabijając w tym procesie?

– Tylko tylu, ile to będzie konieczne. Chyba że... – usta Kehlbranda zadrgały, kiedy pomknął wzrokiem do czaszki kapłana – natknę się na kogoś, kogo nie lubię.

Wbił twarde, pytające spojrzenie w Vaelina, a z jego twarzy zniknęło rozbawienie.

– Ukradłeś mi imię, Ostrze Ciemności.

– Zostało mi nadane. Nie wybierałem go ani nie chciałem.

– Mimo to je nosisz. Imię jest częścią twojej legendy, a imiona są ważne, one mają moc. Parę lat temu był pewien człowiek, skeltir o wielkiej sławie, którego bazarze ochrzcili mianem Ostrza Mroku, podczas gdy mnie kapłani nazwali Ostrzem Ciemności. Dostrzegasz problem, jak sądzę? Z początku byłem dobry dla tego człowieka. Wiedziałem, że wykorzystam jego bitewne umiejętności w następnych latach, więc posłałem mu dar w postaci złota i koni, wraz z uprzejmą prośbą, żeby przybrał inne imię. On przyjął moje złoto i konie i odesłał mi wiadomość razem z językiem posłańca. To był starszy człowiek, a jego duma była wielka przez to, że nigdy nie posmakował klęski. Zabiłem jego synów, żeby poznał ten smak. Jeden po drugim zginęli w pojedynkach ze mną, a ja za każdym razem wysyłałem



mu tę samą prośbę i te same dary. On przyjmował dary i zabierał języki moim posłańcom. Wzięcie go żywcem wymagało wojny trwającej wiele tygodni i mnóstwa krwi, ale w końcu go dopadłem. Kiedy związany klęczał przede mną, przedstawiłem mu tę samą prośbę i obietnicę: „Wybierz inne imię, a ja dam ci konie. Dam ci wojowników, a ty zajmiesz wysokie miejsce w Hordzie i będziemy braćmi”. On splunął mi pod nogi i odpowiedział: „Jeśli nie będę miał swojego imienia, kim się stanę?”. Imiona, jak widzisz, są ważne, a ja nie chcę mieć rywala swojego.

Umysł natychmiast podsunął Vaelinowi obraz poszarpanego zebra martwego kapłana. Kehlbrand nie miał przy sobie żadnej broni, nie licząc pochodni, ale jego pewność siebie świadczyła o tym, że daleko mu do bezbronności. „Uczciwa walka często jest tą, którą przegrywasz”, powiedział mu kiedyś mistrz Solis, a późniejsze lata wciąż dowodziły, że miał rację.

– To byłoby głupie – powiedział Kehlbrand. – Kości miękną, kiedy się starzeją.

Vaelin znowu spojrzał na kamień i w jego głowie zakiełkowało ziarno zrozumienia.

– Między tobą a uzdrowicielką jest miłość – ciągnął Kehlbrand. – Stara miłość, zrodzona w młodości, ale teraz skażona goryczą i żalem. Rany zadane przez zdradę nigdy naprawdę się nie goją. – Zmarszczył czoło w zamyśleniu. – Nie bałeś się zostawić jej z Obvarem, bo ona ma środki, żeby się bronić. Jakiś narkotyk?

– Dotknąłeś go – uświadomił sobie Vaelin, nadal wpatrując się w kamień. – To on dał ci pieśń krwi.

– Pieśń krwi? Dobra nazwa. Ja nazywam to Darem Niewidzialnych. – Kehlbrand zmrużył oczy. – Kiedyś go miałeś, prawda? On śpiewa mi melodię zazdrości, żalu za czymś utraconym. Jak go straciłeś?

– Został mi odebrany.

– A jednak... – dłoń Kehlbranda zawisła nad kamieniem, drżąc lekko – kiedyś mogłeś go odzyskać, ale tego nie zrobiłeś. Dlaczego?

– Zobaczyłem dość, by wiedzieć, że czymkolwiek są te kamienie, ich moc jest kapryśna, a skutki ich darów są nieprzewidywalne, niebezpieczne. Kiedyś zniszczyły królestwo, które w spokoju i zgodzie obejmowało pół świata, a padło ofiarą wojen i rzezi, bo jeden człowiek stał się chciwy darów, które mógł dać mu kamień. Może ten kamień przywróciłby moją pieśń. Może dałby mi moc uzdrawiania albo zabijania dotykaniem, albo

znajomość każdej myśli w każdej głowie. Nie zaryzykowałbym tego za szansę odzyskania swojej pieśni.

– A gdybym ci obiecał, że ją odzyskasz?

Vaelin podniósł wzrok i zobaczył, że Kehlbrand patrzy na niego z wyrazem całkowitej szczerości w oczach.

– To nie jest podstęp – zapewnił go Reyerik. – Dotknij kamienia i odzyskaj swoją pieśń krwi. Potem... – rozpostarł ramiona w geście zaproszenia – ty i ja stoczmy walkę o imię, które obaj nosimy.

– Nie podstęp? – Vaelin uśmiechnął się bez śladu wesołości. – Myślisz, że nie wiem, co czeka po drugiej stronie tej rzeczy? Po dokonaniu morderstwa pod moim dachem jej sługa dużo mi powiedział. Coś ogromnego i głodnego, a ty zamierzasz pomóc temu czemuś pożreć świat.

– To coś za moim pośrednictwem uratuje świat, wyzwoli go od chciwości i rozłamu. Ja dam światu boga. Prawdziwego, żywego boga. Takiego, którego będą mogli widzieć i słyszeć. Boga, który sprawi, że będą drżeli ze strachu i szlochali z wdzięczności. Żeby tak się stało, wszyscy inni bogowie muszą umrzeć, a wszystkie inne wiary zniknąć. Ale najpierw potrzebuję czegoś więcej do mojej legendy. Bo żeby legenda boga przetrwała, konieczny jest przeciwnik, straszny łotr, którego on pokona. Myślałeś, że zły duch twojego martwego przyjaciela pokonał tak daleką drogę i zabił dwóch urzędników króla, żeby odkupić swoje winy ostatnią przysługą dla ciebie? Wezwał cię tutaj na moje polecenie, skusił groźbą, że uzdrowicielka wpadnie w nasze ręce. Jesteś tutaj, żeby odegrać pewną rolę, Złodzieju Imion. Twoja straszna Królowa Ognia przysłała swojego największego zabójcę, żeby mnie zamordował, bo ona widzi, że tylko ja mogę oprzeć się jej fali podbojów. To ładna opowieść. Dotknij kamienia, a będziesz miał szansę napisać własną.

Vaelin spojrzał na lśniące żyły biegnące przez kamień i poczuł pewność, że ten jest trochę inny. Że jest łącznikiem z czymś dużo potężniejszym i złowrogim niż dary oferowane przez jego pospolitszego kuzyna. Przeraził się, gdy stwierdził, że mimo tej świadomości pragnie go dotknąć. Tyle lat bez pieśni, pomyślał. Można by sądzić, że do tego czasu ból osłabnie. Ale był to ból, który musiał znosić, bo instynkt ostrzegał go, że ten człowiek, ten rzekomy bóg, kłamie.

– Nie – powiedział, patrząc na Reyerika. – Nie potrzebuję pieśni, żeby z tobą walczyć.

– To prawda – zgodził się Kehlbrand i opuścił ręce. Dobry humor wrócił na jego twarz. – Ale będziesz jej potrzebował, żeby wygrać. Walka z tobą byłaby teraz jak walka z dzieckiem. Kiepski materiał na legendę. – Odwrócił się i ruszył do schodów. – Chyba powinienem wysłuchać pieśni Jadeitowej Księżniczki. Ona przebyła taką długą drogę, że niegrzecznie byłoby tego nie zrobić.

## Rozdział dwudziesty trzeci

Większość ze zgromadzonych pod dachem namiotu-pałacu Kehl-branda patrzyła na niego z uwielbieniem i nabożnym lękiem. On sam na pozór tego nie dostrzegał, kiedy krążył między nimi, poklepując jednych po plecach, innym rzucając krótki żart. Przypominał Vaelinowi miłego szlachcica podejmującego zaufanych dworzan, a nie człowieka z pretensjami do boskości.

Zgromadzenie liczyło około sześćdziesięciu osób, zaskakująco różnych. Wojownicy Stahlhastu w pełnych zbrojach, niektórzy z czerwonymi oczami i zapadniętymi policzkami po nocnych hulankach, stali obok skromnie ubranych rzemieślników. Inni mieli na sobie podszyte futrem kaftany, takie jak te, które Vaelin widział na mieszkańcach pogranicza. Jeszcze inni nosili skórzane zbroje i najwyraźniej pochodzili z jednego ze stepowych plemion, choć z rysów i karnacji bardziej przypominali pograniczne ludy. Kiedy tylko wzrok Kehlbranda był zwrócony w inną stronę, w groźnych spojrzeniach rzucanych przez poszczególne grupy widziało się dużo nienawiści, ale łączył ich nabożny lęk i podziw dla nowego bóstwa, niepokojący w swojej jednolitości.

Ilu dotknęło kamienia? – zastanawiał się Vaelin, przyglądając się obecnym i wspominając słowa Kehlbranda z poprzedniej nocy. I jakie dary dostali oprócz ślepego uwielbienia dla tego człowieka?

Dostrzegł tylko jeden wyjątek. Wobec powszechnego oddania ciemna twarz Obvara, który stał w grupie wojowników Stahlhastu, wyglądała jak maska.

– Żrebaczku! – Kehlbrand gładko wy dostał się z tłumu i wziął siostrę w ciepłe objęcia.

Sherin i Jadeitowa Księżniczka trzymały się z boku. Vaelin zauważył, że niektórzy z tej pełnej szacunku zbiorowości również na nią patrzą z szacunkiem, głównie rzemieślnicy, ale większość ignorowała ją albo starannie unikała jej wzroku.

– Tęskniłaś za mną? – zapytał Kehlbrand, odsuwając od siebie Luralyn i odgarniając luźny kosmyk z jej czoła.

– Oczywiście, że nie – odparła siostra, biorąc go za rękę.

Vaelina uderzyło szczere uczucie widoczne w jej oczach. Ona naprawdę go kocha.

– Cóż, przynajmniej twój sen nas nie zawiódł. – Kehlbrand spojrzał na Vaelina. – Ani twój mały fortel. Wyznam, że początkowo byłem sceptyczny, ale właśnie on go tutaj sprowadził. Prawdziwa miłość w niebezpieczeństwie, ratowanie starożytnej księżniczki. Wszystko to było doskonale, muszę powiedzieć.

Widząc nagły gniew na twarzy Sherin, Vaelin ścisnął jej rękę i ostrzegawczo pokręcił głową. Ona spuściła wzrok i zacisnęła zęby.

– Przyjaciele, spotkał nas dzisiaj zaszczyt! – ogłosił Kehlbrand, zwracając się do zgromadzonych. – Oto stoi przed nami osławione Błogosławieństwo Niebios. – Skinął na Jadeitową Księżniczkę, żeby wystąpiła do przodu, a ona zrobiła to bez szczególnego pośpiechu czy wahania, uśmiechając się skromnie do zebranych. – Czy może prawdziwszy znak słuszności naszej sprawy? – Na twarzach obecnych malowała się teraz fascynacja. – Sama Jadeitowa Księżniczka przebyła wiele mil, żeby nas pobłogosławić swoją pieśnią.

Księżniczka na te słowa uniosła brew, ale nic nie powiedziała, kiedy wszyscy opadli na jedno kolano i nisko pokłonili głowy.

– Niebiosa, jak wicie, moi przyjaciele, to mit – ciągnął Kehl-brand. – Podłe kłamstwo wymyślone przez dawnych cesarzy i obecnych królów, żeby trzymać poddanych w niewoli. Ta biedna kobieta, istota pełna mądrości i mocy, spędziła wiele lat w więzieniu, które jej strażnicy postanowili nazywać świątynią. Teraz stoi przed wami wolna dzięki siostrze Ostrza Ciemności, a my mamy zaszczyt posłuchać jej głosu.

Od klęczącego tłumu dobiegł szmer potwierdzenia. Vaelin zobaczył, że niektórzy płaczą z zamkniętymi oczami, wyrażając na głos swoje oddanie. Słyszał kilka różnych języków, ale ogólny nastrój był jasny: wszyscy czuli, że są świadkami chwili o ogromnym znaczeniu.

Szepty ucichły, kiedy Jadeitowa Księżniczka zachichotała cicho.

– Przepraszam – powiedziała, zakrywając usta, kiedy Kehlbrand się do niej odwrócił.

Starła się pohamować wesołość i zmusić do skromnego uśmiechu, a w jej policzkach ukazały się dołeczki. Na krótką chwilę na twarzy Reyerika pojawił się wyraz zakłopotania i irytacji, ale potem on też się roześmiał.

– Jest pani rozkoszna. – Zrobił krok do tyłu i wyciągnął ręce w geście zaproszenia. – Już nie możemy się doczekać, żeby usłyszeć pani cenny głos.

Księżniczka skłoniła głowę, a następnie odwróciła się do Sherin i Vaelina. Jej uśmiech stał się nagle bardziej posępny, ale w oczach pozostały figlarne ogniki. I lśniły w nich łzy.

– Powiedzcie mojemu drogiemu przyjacielowi, młodemu wędrowcowi, że miał rację – odezwała się w doskonałym języku królestwa. – Czas starych już minął. Musimy ustąpić miejsca nowemu.

Jadeitowa Księżniczka wróciła spojrzeniem do klęczącej publiczności, a kiedy wszystkie twarze uniosły się w oczekiwaniu, zaczerpnęła tchu i zaczęła śpiewać.

Vaelin pomyślał, że pierwsza nuta jest chyba najczystszy i najśłodszym dźwiękiem, jaki w życiu słyszał. Wysoka, ale nieprzeszywająca, miała w sobie ton rozkazu, który mógł pochodzić tylko od Ciemności. Na tę pieśń nie mogło pozostać głuche żadne ucho, tak była zniewalająca i uzależniająca, jak narkotyk. Po niej rozbrzmiały kolejne nuty, czyste i nieodparte jak pierwsza, a każda zapadała głęboko w jego umysł. Świat się zmieniał, w miarę jak pieśń trwała, barwy we wnętrzu namiotu stawały się żywsze, kontury się rozmywały, szczegóły zacierają. Twarze wyglądały jak maski unoszące się w jasnej mgłę, wszyscy wyznawcy Ostrza Ciemności mieli na nich taki sam wyraz najwyższego zachwyty, jaki czuł Vaelin.

W miarę jak pieśń trwała, uświadomił sobie, że są w niej również słowa, lecz język był nieznan, może niepoznawalny. Starożytne słowa śpiewane przez starożytną istotę, ale – choć mógł nigdy nie poznać ich znaczenia – nie było wątpliwości co do ich sensu. Każda nuta wdzierала się w jego umysł jak ostrze chirurga przecinające mięśnie i ścięgna. Pieśń była jak myśliwy tropiący wydarzenia jego życia i ożywiający je na nowo, często niemiłe szczegóły, którym towarzyszyło pytanie. „Dlaczego?” – pytała pieśń, pokazując mu wisielca w Parowie Ultina, jego drgające nogi i ściek śmierci spadający na ziemię.

„Prawo”, odpowiedział i skrzywił się, kiedy odpowiedź pieśni zagłuszyła jego własną.

„Gniew”, mówiła mu, przywołując martwą twarz Dahreny, chłód jej czoła na jego czole. Prawda cięła go bezlitośnie, wyrывая mu krzyk z ust. Spędził lata na dręczeniu wyrzutków i tych, którzy wzbudzali jego gniew, zabijał, kiedy mógł, a oszczędzał tylko wtedy, gdy musiał. Nie dla królowej, nie dla Dorzeczy, a jedynie po to, by ukoić własną wściekłość.

Pieśń stawała się głośniejsza, napłynęło wraz z nią więcej wspomnień. Wpadały na siebie w przerażającym kolażu obrazów i uczuć. W tym wirze była też radość, krótkie rozbłyski światła pośród czerwieni i czerni.

„Dlaczego?” – pytała pieśń, ukazując Revę z tamtej pierwszej nocy w lesie, kiedy go zaatakowała. Vaelin znowu patrzył na jej taniec, widział, jak ostrze przecina i dźga powietrze, kiedy odmówił zrobienia tego, czego chcieli od niego cumbraelscy kapłani.

Wskazówki mojej pieśni. A ona mnie potrzebowała.

Odpowiedź tym razem była mniej bolesna, ale również całkiem inna: „Byłeś samotny”.

I pieśń dalej rozbrzmiewała, a każdy jego fałsz został ujawniony i odrzucony. Niektóre były oczywiste: drobne oszustwa dla ratowania dumy, inne demaskowały kłamstwa, które stały się jego częścią, koniecznymi tarczami chroniącymi zdrowe zmysły. Kiedy zostały z niego wyrwane, poczuł silny ból i zatoczył się oszołomiony.

„Dlaczego?”. Wir zwolnił i uformował się w twarz Sherin, kiedy umieścił ją nieprzytomną w ramionach Ahm Lina.

Przez jego głowę przemknęły odpowiedzi. „Nie miałem wyboru...”. „Trzeba było powstrzymać Sojusznika...”. „Proroctwo...”. „Obowiązek...”. „Przeznaczenie”. Same kłamstwa. Ból się zmniejszył, kiedy Vaelin postanowił udzielić prawdziwej.

„Strach”, wyznał pieśni Jadeitowej Księżniczki. „Ona nigdy nie zaznałaby ze mną spokoju. Dokądkolwiek byśmy pojechali, w jakimkolwiek zakątku świata się ukryli, wojna zawsze by mnie znalazła, a z czasem ona by mnie za to znenawidziła. Bałem się jej nienawiści”.

Ból ustąpił, a on się zachwiał. Mgła się rozviała, odsłaniając wyznawców Ostrza Ciemności, nadal wsłuchanych w pieśń. Sądząc po stężonych twarzach, wyglądało na to, że na nich podziałała tak samo. Wszystkie kłamstwa obnażono, została tylko prawda.

Prawda jest wrogiem wiary. Ona nie przyjechała, żeby mu zaśpiewać. Przyjechała, żeby zaśpiewać im. Bóg bez wyznawców jest niczym.

Vaelin pomknął wzrokiem do Kehlbranda. Powalony na kolana mocą pieśni mestra-skeltir wstał niepewnie. Jego twarz była zmieniającą się maską czarnego gniewu i czystego strachu. Z ust tryskała mu ślina, kiedy mamrotał, sięgając do szabli przy pasie.

– Nie! – Vaelin rzucił się przed siebie, ale resztki oszołomienia sprawiły, że potknął się i upadł.

Zebrał siły, poderwał się i z opuszczoną głową zaszarżował na Kehlbranda. Jednakże odległość była zbyt duża, a szabla Ostrza Ciemności zbyt szybka. Uwolniona z pochwy błysnęła srebrem i zakwitła czerwienią, kiedy rozcięła gardło Jadeitowej Księżniczki. Krew trysnęła z rany karmazynowym strumieniem. Księżniczka upadła.

Kehlbrand stał i gapił się na nią wstrząśnięty, nie zważając na atak. Vaelin zacisnął pięść, żeby potężnym ciosem posłać Reyerika, a potem chwycić szablę i z wielką satysfakcją wbić mu ją głęboko we wnętrzności.

Jego pięść zadrżała i zatrzymała się mniej niż cal od skroni Kehlbranda. Ramię Vaelina przeszył ból, jakby uderzył w solidny mur. Zaczął podnosić drugą rękę, ale stwierdził, że jest sztywna i nie chce go słuchać, nogi też nie były w stanie go utrzymać. Już kiedyś miał takie doznania, w tunelach pod Varinshold i potem na arenie w Volarze, kiedy Sojusznik ujawnił swój dar. Był to wiążący dotyk Obdarzonego.

– Nie zabijaj go! – powiedział Kehlbrand.

Uniósł rękę, powstrzymując rzemieślnika, który wystąpił z tłumu. Mężczyzna był tęgi, w średnim wieku, niewyróżniający się niczym oprócz gniewu, który wykrzywiał jego drżące rysy. Vaelin powiódł wzrokiem po innych wyznawcach i zobaczył, że wszystkie twarze są zacięte w tej samej furii. Nie dokończyła pieśni, uświadomił sobie. Próbowwała zabrać im boga.

– Jaka szkoda. – Kehlbrand popatrzył na ciało księżniczki. Mieszanina wściekłości i strachu zniknęła z jego twarzy. Teraz wydawał się jedynie smutny, a w jego głosie pobrzmiwał refleksyjny ton. – Byłoby o tyle łatwiej z nią u boku, bo kto w Kupieckich Królestwach zakwestionowałby słowo tego, który uczynił Jadeitową Księżniczkę swoją królową? Ale – z półuśmiechem odwrócił się do Vaelina – przynajmniej nadal mam swojego łotra. Obvarze!

Olbrzym wystąpił do przodu i rzekł oficjalnym tonem:

– Mestra-skeltirze.

– Ten łotr – Kehlbrand machnął ręką w stronę znieruchomiałej postaci Vaelina – najwyraźniej omamił Jadeitową Księżniczkę złą magią i zmusił ją, żeby mnie zaatakowała. Przybył tutaj, żeby zabić Ostrze Ciemności zgodnie z podłym planem swojej Królowej Ognia. Jest jej czempionem. Ty jesteś moim. Odpowiedz na tę zniewagę?

Obvar wbił spojrzanie w Lorda Wieży. Spośród wszystkich wyznawców tylko jego rysów nie wykrzywiała wściekłość, jego twarz była bledsza niż wcześniej, oczy miały niemal dziki wyraz, który zmuszał do zastanowienia,



jakie pytania zadała mu pieśń księżniczki. Wielkolud zamrugał, odwrócił się z powrotem do Kehlbranda i przykląkł na jedno kolano.

– Tak, mestra-skeltirze.

Kehlbrand skłonił głowę w uroczystym podziękowaniu, a następnie podszedł do Vaelina. Pogłaskał go po policzku i wyszeptał:

– Mówiłem ci, żebyś dotknął kamienia.

## Rozdział dwudziesty czwarty

W Zjednoczonym Królestwie pojedynkowanie się było na pół zrytualizowaną sprawą. Wyznaczano sekundantów i miejsce, uzgadniano czas i rodzaj walki. Wielką wagę przykładano do tego, żeby obie strony były identycznie uzbrojone i nie cieszyły się żadnymi niesprawiedliwymi przewagami, choć negocjacje co do konkretnych warunków często ciągnęły się przez całe dni czy tygodnie. Czasami dyskusje tak się przedłużały, że jedna albo obie strony zapominały o wycierpianej zniewadze albo dochodziły do wniosku, że zemsta jednak nie jest warta ryzykowania życia. Stahlhast, jak się okazało, miał dużo mniej drobiazgowo podejście do takich rzeczy.

– Żadnych zasad – wyjaśniła Luralyn. – Dostanie pan konia i broń. On również. Walczycie. Jeden ginie.

Stali obok Sherin na skraju obozowiska skeldu Cova i patrzyli, jak płomienie pochłaniają ciało Jadeitowej Księżniczki. Kehlbrand dał pozwolenie na krótki rytuał pożegnalny, nim rozpocznie się pojedynek. Sherin oświadczyła, że kremacja jest powszechna na Dalekim Zachodzie, i wyraziła zdecydowaną niechęć do tego, żeby szczątki księżniczki zostały pochowane w tym miejscu. Tak więc Luralyn kazała rzemieślnikom zebrać drewno na wysoki stos pogrzebowy. Złożono na nim małe, nadal młode ciało starej kobiety, polano je olejem i podpalono.

– Ona mnie okłamała – powiedziała Sherin, marszcząc brwi i obserwując, jak dym spowija postać odzianą w jedwabie. – Ale stwierdzam, że nie czuję do niej nienawiści.

– Nie jestem pewien, czy kłamała – stwierdził Vaelin i odwrócił się do Luralyn. – Jego wyznawcy mieli się przeciwko niemu obrócić po usłyszeniu jej pieśni.

Luralyn pokiwała głową zapatrzona w płomienie.

– Ponad rok temu obie miałyśmy ten sam Prawdziwy Sen. Jak mnie znalazła, nie wiem. Ale dała mi nadzieję. Nadzieję, że możemy to zakończyć, nim się zaczęło. Nadzieję, która przetrwała w jej pieśni.

– Prawdziwy Sen?

– Wizja, jak wy byście ją nazwali. Wolę myśleć o nich jako o snach, w których jest prawda o przeszłości albo o przyszłości. Czasami... – Luralyn opuściła wzrok i zamknęła oczy. – Czasami to są koszmary.

– Dlatego spiskowała pani przeciwko swojemu bratu. Zobaczyła pani jego przyszłość.

– Tak. I to było gorsze niż każda z moich obaw, która się sprawdziła. Oczywiście, kiedy obudziłam się następnego dnia, on wiedział, że coś się zmieniło. Opowiedziałam mu więc o Jadeitowej Księżniczce i jej pragnieniu, żeby dla niego zaśpiewać, posłuszna siostra ostrzegająca brata przed niebezpieczeństwem. I o uzdrowicielce i jej związku z tobą, panie. Jadeitowa Księżniczka przywiezie ją do nas, a pan za nią podąży. Złodziej Imion w rękach mojego brata. Jeśli chodzi o jej pieśń, powiedział: „Niech przyjedzie. Lubię muzykę”. Boskość uczyniła go aroganckim, aż zaczął sobie wyobrażać, że oprze się wszystkim zagrożeniom. – Luralyn zamknęła oczy i dodała z gorzkim westchnieniem: – Może miał rację.

Vaelin obejrzał się, słysząc niecierpliwe chrząknięcie. Poprzednia obojętność ich gospodarza nagle przerodziła się w czujną, uważną obserwację. Otaczało ich dwunastu strażników Stahlhastu. Krzepki rzemieślnik z darem wiązania również stał w pobliżu. Weteran z bliznami na brodzie, który dowodził eskortą, wystąpił do przodu i zbliżył się, żeby wziąć miecz Lorda Wieży. Kehlbrand najwyraźniej nie miał zamiaru zrezygnować z szansy wzmocnienia swojej legendy.

– Nie. – Sherin chwyciła ramię Vaelina.

Zmusiła się do wytrzymania jego spojrzenia. W oczach miała wstyd. Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale zrezygnowała.

– Pieśni księżniczki trudno było słuchać – zauważył Vaelin.

– Tak – wyszeptała Sherin. – To wszystko przeze mnie. Przez moją dumę, głupotę. Mój gniew...

Urwała, kiedy Vaelin ujął w dłoń jej policzek.

– Myślę, że ja mam tego wszystkiego dosyć za nas dwoje. – Odwrócił się do Luralyn. – Wszystkie oczy będą obserwować pojedynek. Jedźcie na południe do Keshin-Kho. Tam znajdziecie schronienie.

Luralyn zaśmiała się bez cienia wesołości i nadziei.

– Teraz nigdzie nie ma schronienia. Nie przed nim.

\*\*\*

Odgradzono sznurami duży kawał terenu za obozowiskiem, żeby stworzyć miejsce na pojedynek. Mieściło się ono w płytkiej depresji na monotonnym stepie i zapewniało publiczności doskonały widok. Gdy weteran Stahlhastu prowadził Vaelina przez gęsty tłum gapiów, strażnicy torowali drogę mało delikatnymi metodami. Sądząc po minach zgromadzonych, najwyraźniej rozeszła się wieść o rzekomej perfidii Lorda Wieży. Wiele osób coś mamrotało, kiedy ich mijał, przypuszczalnie przekleństwa, wulgaryzmy albo zaklęcia przeciwko heretyckiemu złu. Wkrótce te szeptki przerodziły się w brzydki pomruk, a w tłumie zapanowało ożywienie. Jakaś kobieta wyskoczyła do przodu i splunęła Vaelinowi w twarz. Weteran szybko dobył szabli i jednym ciosem rozplątał ją od ramienia do mostka.

Potem warknął coś do nagle ucichłych gapiów i ostrzegawczo wycelował w nich zakrwawione ostrze, a Vaelin usłyszał słowa „mestra-skeltir” wśród gniewnego potoku jego słów. Inni wojownicy dobyli szabel, a odległość między Vaelinem i gawiedzią powiększyła się o kilka jardów. Zważywszy na liczbę widzów, Vaelin wątpił, czy to strach przed strażnikami ich powstrzyma. Wszystkich pętało słowo Ostrza Ciemności, a jego legendy raczej nie umocniłoby rozdarcie łotra na strzępy przez gniewny motłoch.

Wyszedłszy z kręgu gapiów, Vaelin zobaczył Derkę przestępującego z nogi na nogę i z irytacją podrzucającego łbem. Rzemieślnik trzymający ogiera stał od niego najdalej, jak mógł, a na policzku miał świeży siniak. Szybko czmychnął, kiedy Lord Wieży przejął od niego wodze.

– Chek – powiedział weteran, rzucając Vaelinowi pod nogi jego miecz.

Obejrzał się przez ramię na konnego wojownika stojącego jakieś pięćdziesiąt jardów dalej i posłał Lordowi Wieży skąpy uśmiech, zanim odszedł.

– Jesteś niecierpliwy? – zapytał Vaelin Derkę i dostał w odpowiedzi parsknięcie razem z porcją śluzu. – W takim razie przykro mi cię rozczarować. – Puścił wodze. – Zawsze lepiej walczyłem na piechotę.

Przeszedł kilka kroków, wyciągając miecz z pochwy i odrzucając ją na bok. Przeczesał wzrokiem tłum, aż wypatrzył Kehlbranda stojącego wśród gorliwej koterii swoich wyznawców na podwyższeniu umieszczonym z boku zaimprovizowanej areny. Vaelin spodziewał się więcej przemów i słusznego potępienia zabójcy naślanego przez Królową Ognia. Jednakże mestra-skeltir obserwował go z ramionami skrzyżowanymi na piersi, z wyrazem powagi i uczciwości na twarzy.

Vaelin zatrzymał się, oparł klingę na ramieniu i z wyczekującym milczeniem popatrzył na konnego wojownika. Obvar przez jakiś czas siedział bez ruchu, z gęstymi brwiami ściągniętymi w wyrazie konsternacji. Nie miał na sobie zbroi, tylko luźny kaftan z czarnej bawełny, a w dłoni trzymał dużą szablę o szerokim ostrzu. Chrząknawszy, ruszył truchtem i zatrzymał się sześć jardów od przeciwnika.

– Myślisz, że cię nie stratuję? – zapytał. – Myślisz, że obchodzi mnie dawanie przedstawienia tym bezwartościowym łajzom? – Wskazał skinieniem głowy na tłum. – Im prędzej cię zabiję, tym wcześniej pomaszerujemy na Kupieckie Królestwa, a to jedyna rzecz, którą chciałem zrobić przez całe życie...

– Co pokazała ci pieśń? – przerwał mu Lord Wieży.

Obvar zamknął usta i przełknął ślinę razem z niewypowiedzianymi słowami. Vaelin podejrzewał, że chyba po raz pierwszy w życiu wielkolud posmakował prawdziwego strachu, choć nie przed walką.

– Mnie powiedziała wiele prawd – ciągnął Vaelin. – Prawd, których wcześniej nie chciałem słuchać...

– Zamknij się – warknął Obvar, a jego osłupienie szybko przerodziło się w gniew.

– To był jej dar. Ona przebyła całą tę drogę, żeby objawić prawdę twojemu ludowi, choć wiedziała, że może ją to kosztować życie.

Palce Obvara zacisnęły się na rękojeści szabli, koń zarżał przeraźliwie.

– Zamknij się – powtórzył wielkolud przez zaciśnięte zęby.

– On nie jest bogiem. – Vaelin wycelował palec w Kehlbranda. – Ty nie jesteś częścią boskiej misji. Cała ta rzeź, której dokonałeś, jest bezwartościowa. Jesteś zabójcą w służbie kłamcy...

– Zamknij się!

Obvar uderzył piętami w boki ogiera i zmusił go do galopu. W górę wzbijały się grudy ziemi, kiedy zbliżał się nisko pochylony w siodle, z obnażonymi zębami i szablą odchyloną do ciosu z góry. Był zręcznym jeźdźcem i fechtmistrem, ale wściekłość uczyniła go nieostrożnym, a szarża okazała się zbyt szybka, żeby pozwolić mu na zmianę kierunku, kiedy Vaelin uskoczył w bok, opadł na kolana i zatoczył mieczem koło, celując w tylne nogi ogiera. Zwierzęciu w ostatniej chwili udało się skrócić, więc ostrze nie ucięło mu kończyny, ale zadał na tyle poważną ranę, że wierzchowiec wpadł w panikę i się potknął. Nogi się pod nim ugięły, a on z rzeniem runął na ziemię kilka jardów dalej. Vaelin puścił się biegiem

w stronę zwierzęcia, przeskoczył nad nim z uniesionym mieczem i opuścił broń z dostateczną siłą, żeby rozplatać Obvarowi klatkę piersiową.

Srebrzysta klinga sypnęła iskrami i wydała niemal melodyjny dźwięk, kiedy zetknęła się z szablą Obvara. Wielkolud odtoczył się od leżącego konia i teraz klęczał na jednym kolanie i patrzył na Vaelina przez skrzyżowane ostrza.

– Ładna sztuczka – wysyczał przez zaciśnięte zęby.

Z szybkością, która powinna być poza zasięgiem człowieka o jego rozmiarach, uwolnił broń od miecza Lorda Wieży, a następnie kopnął go z obrotu. Trafił Vaelina prosto w pierś, posyłając go między wymachujące kopyta ogiera. Lekko poturbowany niecelnymi kopnięciami uwolnił się z pułapki i nabrał powietrza w płuca. Tymczasem Obvar przeskoczył nad koniem z szablą trzymaną oburącz na wysokości głowy. Celując w szyję przeciwnika, zaatakował, kiedy jego stopy dotknęły ziemi. Pchnięcie było tak silne, że, parując je, Vaelin stęknął z wysiłku. Ostrze drasnęło ramię. Uchylił się, kiedy Obvar wykonał obrót, przecinając szablą powietrze, i sam zadał mieczem cios w jego oczy. Olbrzym zrobił unik, ale stał zostawiła głębokie cięcie na jego szczęce.

Przeklinając, Obvar skoczył w bok, unikając kolejnego ciosu wymierzonego w jego ramię. Krew trysnęła z rany na twarzy, a on zaklął znowu, lecz nadzieja Vaelina, że furia spowoduje niezdarność, okazała się nieuzasadniona, kiedy złorzeczenia przerodziły się w śmiech.

– Nieźle – wychrypiał Obvar, a Vaelin zobaczył błysk jego zębów pośród krwawej rany. – Całkiem nieźle.

Z taką samą niepokojącą szybkością jak poprzednio przypuścił serię ataków, robiąc wypadki i tnąc. Miecz i szabla dźwięczały, kiedy Vaelin parował jego ciosy. Obvar postępował do przodu z każdym pchnięciem, zmuszając go do cofania się. Próbował zmniejszyć dystans i zyskać przewagę dzięki swojej większej masie. Vaelin robił kroki do tyłu, ale blokował każdy cios i czekał na okazję. Dostał ją, kiedy Obvar o ułamek sekundy wydłużył pchnięcie, co dało Vaelinowi cenny czas na otworzenie rany na jego przedramieniu.

„Nie można ściąć drzewa jednym uderzeniem siekiery”, brzmiała rada mistrza Sollisa z początków szkolenia Vaelina w Zakonie. „Umiejętności mogą pokonać siłę, ale tylko w parze z cierpliwością”.

Obvar stęknął z wściekłości i bólu, ale przypuścił kolejną serię ataków. Tym razem postępował naprzód zbyt szybko, a Vaelin pozwolił mu się

zbliżyć. W ten sposób kusił przeciwnika, żeby chwycił go za rękę z mieczem. Kiedy palce wielkoluda zacisnęły się na jego nadgarstku, wypuścił miecz z prawej ręki i przerzucił go do lewej, po czym ciął Obvara przez brzuch.

Czempion odskoczył do tyłu ze swoją typową szybkością, ale nie uchronił się przed długim cięciem aż po pierś. Nie było ono na tyle głębokie, żeby spowodować poważne zagrożenie, ale krwawiło obficie. Widząc, że Obvar krzywi się z bólu, Vaelin uchylił się przed jego kontruderzeniem i zadał mu kolejny cios w udo. Kiedy się okręcił i odskoczył, poczuł, że czubek szabli znaczy jego plecy. Ale to było tylko draśnięcie.

Zaczął okrążyć Obvara, uskakując przed jego powtarzającymi się ciosami i zadając jego kończynom ranę po ranie. Wkrótce wojownika otaczał krąg krwi, a jego głowa zaczęła się chwiać, w miarę jak opuszczały go siły.

– Poddaj się – powiedział Vaelin, robiąc unik przed kolejnym atakiem, do tej pory najwolniejszym, i odpowiadając cięciem w biceps Obvara. – Nie musisz dzisiaj umierać, nie dla niego.

Olbrzym zatoczył się do tyłu, a przy każdym wysilonym oddechu z rany na jego twarzy buchała czerwona para.

– Umrzeć? – Słowa były bełkotliwe z powodu krwi, ale Vaelin usłyszał w nich gorycz. – Ja już umarłem. – Potknął się i opadł na kolana, opierając się na szabli. – Kiedy usłyszałem pieśń tej suki.

– Co to było? – zapytał Vaelin. Mimo rosnącej słabości Obvara trzymał się na odległość miecza od niego. Wiedział, że powinien go teraz zabić, ale ciekawość wygrała z ostrożnością. – Co usłyszałeś?

Obvar ze znużeniem wskazał głową na Kehlbranda, który nadal obserwował pojedynek z nieruchomą czujnością.

– On... nie ma dla mnie miłości. Nigdy jej nie miał. Ani wtedy, gdy byliśmy chłopcami, ani teraz. Ja zawsze byłem tylko... – Obnażył w uśmiechu czerwone zęby. – Użyteczny.

Nie było ostrzeżenia przed atakiem, najszybszym do tej pory, żadnej zmiany wyrazu twarzy czy napięcia mięśni. Szabla wysunęła się z ziemi i wprawnie skierowała do pasa Lorda Wieży. Vaelin zobaczył ją chwilę przed tym, jak ostrze trafiło w cel, więc nie miał szansy zablokować ciosu, ale w swoim pośpiechu Obvar pozwolił mu zadać śmiertelny cios.

Miecz wbił się w jego wnętrzności tuż pod żebrami w tej samej chwili, w której szabla ciąła głęboko bok Vaelina. Gdyby nie szok wywołany

pchnięciem miecza, Obvar mógłby przebić się aż do kręgosłupa przeciwnika. A tak szabla zadała ranę dostatecznie głęboką, żeby wywołać eksplozję bólu, która posłała Vaelina na kolana i pozbawiła resztek sił, tak że jego dłoń ześliznęła się z rękojeści miecza. Nie na tyle jednak głęboką, żeby zabić, przynajmniej od razu.

– Bóg... – Obvar stęknął z wysiłku, gdy wyciągał szablę z ciała Vaelina – nadal jest bogiem... nawet jeśli tobą gardzi. – Zatoczył się do tyłu o kilka kroków. Miecz Vaelina nadal był wbity w jego brzuch. – A... – uniósł szablę nad głowę do śmiertelnego ciosu – mój lud potrzebuje b...

Kiedy Derka powalił czempiona Stahlhastu, jego kopyta wzbily tuman kurzu, który zasłonił brzydki spektakl śmierci. Ogier stawał dęba i tratował ofiarę tak długo, aż Vaelin stwierdził, że leży na boku i ogarnia go ciemność. Czuł, że życie wycieka z niego w stepową glebę, czuł twardą ziemię pod policzkiem, a kiedy kurz opadł, zobaczył zmasakrowanego trupa Obvara.

– Cholerna szkapa – mruknął Vaelin, kiedy ogier trącił go łbem. – Spodziewałem się ciebie wcześniej.

Derka parsknął i szturchnął go znowu. Po tym zwycięstwie najwyraźniej oczekiwał, że stąd odjadą, ale lodowaty chłód wsączający się w Vaelina nie pozostawiał co do tego żadnych złudzeń. Mimo ogromnego zmęczenia poczuł rosnącą panikę. Tak blisko śmierci chciał tyle zapamiętać, przywołać tyle twarzy, ale czas spiskował przeciwko niemu, a on zdołał wezwać tylko jedną, zanim ogarnął go mrok.



# Część III

Dla tych z nas, którzy spędzają dni na próbach rozwikłania miriadów tajemnic istnienia, jeden podstawowy dylemat nigdy nie zostanie rozstrzygnięty. Życie, musicie zrozumieć, jest zależne od śmierci. Żeby nowe mogło rozkwitnąć, to, co było wcześniej, musi zginąć. Jeleń musi zdechnąć, żeby tygrys mógł przeżyć, tygrys musi umrzeć, żeby nie pożarł wszystkich jeleni, a jego szczenięta miały na co polować. My w swojej arogancji wyobrażamy sobie, że nie bierzemy udziału w tym cyklu. Czyż nie działaliśmy cudów? Czyż nie obliczyliśmy kursów gwiazd i nie określiliśmy wagi całego świata? Czyż nie skryliśmy się za połączeniem oszustwa i wygody, które postanowiliśmy nazwać „cywilizacją”? Tak, zrobiliśmy wszystkie te rzeczy, a jednak w swojej istocie nie różnimy się od tygrysa czy jelenia. Żeby powstała nowa cywilizacja, stara musi upaść. I upadnie. Szmaragdowe Imperium może nazywać siebie wiecznym, ale jest jedynie papierem ryżowym fruwającym coraz bliżej płomienia.

Ostatnie oświadczenie wielce szanowanego Kuan-Shi,  
filozofa i poety, skazanego na śmierć za zdradę i herezję.  
Szmaragdowe Imperium,  
ok. pierwszego wieku Boskiej Dynastii.

# Relacja Luralyn

Trzecie pytanie

Mój lud nie ma kalendarzy, przynajmniej spisanych. Obsesja ze starannym śledzeniem upływu dni wśród tych, którzy żyją poza granicami Żelaznego Stepu, jest uważana poza Stahlhast za dziwną i kłopotliwą. Czy oni nie widzą gwiazd na niebie? Nie czują chłodu nadchodzącej zimy czy żaru lata? Kiedy dni stają się ciepłe, czas polować albo walczyć. Gdy szron łśni na stepie, pora rozstawiać namioty na długie obozowanie i dobrze pilnować zapasów jedzenia.

Ale jest jeden szczególny dzień, który musi być zaznaczony, bo jego nadejście jest bardzo ważne. Kiedy gwiazda, którą kapłani nazywają Zwiastunem Niewidzialnych, pojawia się między dwoma kamieniami tworzącymi bramę do Wielkiego Toru, jest to czas, żeby człowiek uznawany za godnego tytułu mestra-skeltira odpowiedział na pytania Niewidzialnych. I tak, kiedy wiatr nabrał chłodu zimy i pierwsze lodowe klejnoty ozdobiły trawę, zebraliśmy się, żeby patrzeć, jak Zwiastun wschodzi nad horyzontem, żeby mój brat mógł odpowiedzieć na trzecie i ostatnie pytanie.

W całej tej sprawie było poczucie konieczności, wielkie połacie stepu zajęte przez obozowiska skeldów opanował uroczysty nastrój, który nie pozostawiał miejsca na zwątpienie. Niezależnie od rytuałów, przy których upierali się kapłani, Kehlbrand był teraz uznawany za mestra-skeltira przez prawie wszystkich członków Stahlhastu. Co więcej, był wybranym przez Niewidzialnych Ostrzem Ciemności, większym od zwyczajnego człowieka. Wszyscy skeltirowie słuchali jego słów, a rzemieślnicy uważali go za boga albo przynajmniej za bóstwo dzięki jego hojnym i miłosiernym uczynom. W miarę jak tamtej nocy pieśni stawały się głośniejsze, a Stahlhast oddawał się zabawie, w moim umyśle nie było wątpliwości. Tak jak inni byłam pewna, że mój brat odpowie na trzecie pytanie, zostanie mestra-skeltirem i zacznie się wielki marsz na południe. Nie wiedziałam jednak, bo nie objawił mi tego Prawdziwy Sen, że mestra-dirhmar miał również pytanie dla mnie.

Spędziłam wieczór w towarzystwie mojej małej grupki Boskiej Krwi, bo chciałam trzymać się z dala od zmysłowości i nieuniknionej przemocy, do której musiało dojść w miarę trwania celebracji. Teraz było ich sześcioro, wyrwanych z szeregów rzemieślników, żeby z nowym imieniem znaleźć się w łaskach Ostrza Ciemności. W następnym roku w ruinach miasteczka i obozu znalazło się więcej Obdarzonych, ale oni różnili się od pierwszych sześciu. Urodzenie w Stahlhaście zapewniło mi mnóstwo rodzeństwa i więcej kuzynów, niż mogłabym spamiętać, ale choć miałam Kehlbranda, nie wiedziałam, czym naprawdę jest rodzina, dopóki nie założyłam swojej.

– Auu! – syknął Varij, ku rozbawieniu pozostałych gwałtownie cofając dłoń.

Grali w ten sposób, że trzymali Eresę za rękę najdłużej, jak potrafili, podczas gdy ona stopniowo zwiększała moc płynącą z jej palców. Varij, z powodów, które stawały się coraz bardziej oczywiste, zawsze wytrzymywał najdłużej.

– Tym razem było gorzej – rzucił oskarżycielskim tonem, dmuchając na dłoń.

– Mężczyzna, który potrafi skruszyć kamień, nie może znieść trochę więcej łaskotania? – zadrwiła z niego Eresa.

Wyciągnęła rękę do Shuhlan, krępej byłej niewolnicy z jednego z północnych torów. Kiedy ją znalazłam, była mizerną istotą, która zwabiała myszy do rozstawianych przez siebie pułapek, ale sama nie wiedziała, jak to robi. W tamtych czasach z radością przysięgłaby wierność pokrytemu świerzbem psu, gdyby to oznaczało pełny brzuch, a jej apetyt od tamtej pory się nie zmniejszył.

– Nie, dzięki – powiedziała z ustami pełnymi świeżo upieczonej koźliny.

– Nie ma z tobą zabawy. – Eresa wydeła usta i wyciągnęła rękę do mnie.  
– Boska?

Uśmiechnęła się psotnie, widząc moje groźne, zirytowane spojrzenie. Choć nalegałam, żeby zwracali się do mnie po prostu po imieniu, oni wciąż wymyślali dla mnie coraz bardziej pompatyczne tytuły.

Już miałam ją zbesztać, po raz kolejny, kiedy zobaczyłam wysoką postać Juhkara, który wstał i ruszył w stronę wyjścia z namiotu. Wyróżniał się spośród byłych niewolników tym, że nigdy nie pracował w kopalni. Skeltir, który pojmał go jako chłopca, szybko poznał się na jego niezwykłym talencie do tropienia zwierzyny, często bez śladów. Tak więc w następnych latach oszczędzano mu pracy, ale nie bata, jako że jego pan był

niecierpliwy. Dlatego nie miałam wyrzutów sumienia, kiedy Kehlbrand kazał Obvarowi ściąć tamtemu człowiekowi głowę za to, że nie chciał zrezygnować ze swojego najlepszego psa, jak go nazywał.

– Ktoś idzie – powiedział Juhkar, odwracając się do mnie z ostrzegawczym spojrzeniem. – Ktoś taki jak my.

Poczułam znajome nagromadzenie mocy, kiedy wszyscy poderwali się ze swoich mat i rozstawili wokół mnie w dobrze wyćwiczony sposób. Eresa i Varij stanęli między mną a klapą namiotu, podczas gdy Kihlen, młodzieńczo ładny władca ognia znalazł się po mojej lewej stronie. Jego identycznie obdarzona i równie ładna bliźniacza siostra Jihla zajęła miejsce po mojej prawej stronie, a Juhkar z tyłu. Tymczasem Shuhlan ukryła się w cieniu w drugim końcu namiotu, gdzie na jej rozkaz czekał masywny pies myśliwski. Kehlbrand jako przywódca zrobił dużo, żeby uspokoić niesforną naturę Hastu, ale od czasu do czasu nadal wybuchały śmiertelne walki, a ja nigdy nie czułam się na tyle pewna swojej pozycji, żeby uważać się za całkowicie bezpieczną.

Mężczyzna, który pochylił się w wejściu, był prawie tak wysoki jak Obvar, ale dużo chudszy. Rozpoznałam w nim jednego z pomniejszych kapłanów, często widywanych w tle, kiedy mestra-dirhmar odprawiał rytuały. Jak wszyscy powołani do kapłaństwa miał wklęsłe policzki, zapadnięte oczy i przedwcześnie pomarszczoną skórę. Czułam moc w jego żyłach, co świadczyło, że jest jednym z Boskiej Krwi, ale była ona niczym w porównaniu z mocą obecnych w namiocie, jak pieśń szeptana na wietrze.

– Czego chcesz, panie? – zapytałam.

Kapłan przebiegł wzrokiem po nas wszystkich po kolei i zmrużył na chwilę oczy w bardzo wyraźnym grymasie czystej zazdrości, zanim wróciła jego zwykła obojętność.

– Mestra-dirhmar... – Zawahał się i następne słowa wymówił z pełną niesmaku niechęcią. – Prosi o twoją obecność.

– Po co?

– Nie znam jego zamiarów. Służę Niewidzialnym, a oni przemawiają przez niego. Sprzeciwisz się ich słowu?

Starzec jest po prostu kłamcą, a ty jego omamionym niewolnikiem. Zacisnęłam zęby i zdusiłam w sobie te słowa. Kapłani zawsze potrafili rozpalić mój gniew. Gniew, który, jak wiedziałam, zaćmiewa rozum, a ja bardzo go potrzebowałam tej nocy.

– Sprzeciwię się wszystkiemu, co przeszkodziłoby mojemu bratu na boskiej ścieżce – odparłam.

Grymas wrócił na twarz kapłana, tym razem zmieszany z wyczuwalnym gniewem. Jednakże, choć jego frustracja była wielka, a w żyłach czaiła się jakaś tam moc, musiał wiedzieć, że nie może się ona równać z połączonymi darami tych, którzy mnie osłaniali.

– Mestra-dirhmar – ciągnął tonem twardym, ale zdecydowanie znaczącym – kazał mi przekazać, że chce podzielić się z tobą snem prawdy.

Czy oni zawsze wiedzą? – zastanawiałam się, odwzajemniając jego spojrzenie. Jeśli tak, to dlaczego mnie oszczędzili?

– Gdzie? – zapytałam, nienawidząc chrapliwości w swoim głosie.

Gdy kapłan dostrzegł mój strach, kąciki jego ust drgnęły w czymś, co jak podejrzewałam, było najbliższe uśmiechowi od wielu dekad.

– W Grobowcu.

\*\*\*

Odmówiłam spotkania z nim sam na sam i wzięłam ze sobą Eresę i Varija, kiedy schodziłam w ciemność po kamiennych stopniach. Powiedziałam pozostałym, żeby poczekali w Grobowcu, i rozkazałam w języku południowców, żeby wykonali krwawą i gwałtowną karę na pomniejszych kapłanach, gdyby z dołu dobiegły jakieś krzyki albo odgłosy zamieszania.

Oczywiście wiedziałam, co znajduje się pod Grobowcem, wszyscy członkowie Stahlhastu to wiedzieli, choć niewielu widziało na własne oczy, a kiedy o tym mówili, ścisiali głos do szeptu. Od dawna przypuszczałam, że musi to być ogromna i cudowna rzecz, więc lekko mnie rozczarował widok czarnego kamiennego cokołu ze złotymi żyłkami zamiast jaśniejącej, wielobarwnej kolumny z moich wyobrażeń. Mimo to była w niej moc. Wyczułam ją, kiedy się zbliżyłam. Pod pewnymi względami doznanie okazało się podobne jak w obecności kogoś z Boskiej Krwi, ale mniej stałe, przywodzące na myśl gniazdo szerszeni z jego ciągłym, niemelodyjnym bzyczeniem.

Mestra-dirhmar stał ze splecionymi rękami i opuszczoną głową, pogrążony w kontemplacji kamienia, nieruchomy i niezwracający uwagi na moją obecność, dopóki nie zakaszlałam ze zniecierpliwieniem. Nawet

wtedy minęło kilka uderzeń serca, nim się odezwał, zaskakując mnie smutkiem w głosie.

– Wiesz, co zrobiłaś? – spytał.

– Służyłam bratu w jego boskiej misji – odparłam szybko, podejrzewając w tym pytaniu jakąś formę pułapki.

– Jego boskiej misji – powtórzył kapłan, wymawiając każde słowo cicho, z precyzją i goryczą. Umilkł i znowu przez jakiś czas wpatrywał się w kamień, zanim wolno podniósł na mnie wzrok. – Uratowałaś go, prawda? W bitwie z Wohtenami lata temu. Twoja wizja, twój sen prawdy.

Przebiegłam wzrokiem komnatę, a Eresa i Varij przysunęli się bliżej, kiedy wyczuli mój niepokój.

– Jesteśmy tutaj sami – zapewnił mnie mestra-dirhmar. – Przynajmniej – dodał, wyciągając rękę tak, że zawisła nad kamieniem – tak sami, jak można być w tym miejscu.

– Od jak dawna wiesz, panie? – zapytałam. – O snach?

– Od twojej pierwszej wizyty w Wielkim Torze. – W jego oczach pojawił się błysk rozbawienia, kiedy zobaczył, że moja ręka odruchowo sięga do zęba tygrysa ukrytego pod szatą. – Myślisz, że to coś ukryło cię przed nami? Bezwartościowy drobiazg z wyrytymi na nim bzdurami. Nie, to groźby twojego brata powstrzymały moją rękę, bo byłem tchórzem. A kiedy zrozumiałem głębię swojej głupoty, ty już zebrałaś tę grupę. – Wskazał podbródkiem na Eresę i Varija.

– A jednak nie kazał pan mnie tutaj sprowadzić, gdy moja natura wyszła na jaw. Dlaczego?

– Bo to dałoby mu pretekst, którego tak bardzo pragnie, żeby zniszczyć moje zgromadzenie i zagarnąć Grobowiec dla siebie. Podobne było jego rozumowanie, kiedy kazał ci znaleźć innych Obdarzonych. Byli użyteczni, ale stanowili przynętę w jego pułapce. – Przekrzywił głowę i drwiąco uniósł brew. – Nie wiedziałaś?

– Wszystko to kłamstwa. – Zaśmiałam się pogardliwie, kręcąc głową. – Tylko je masz zawsze do zaoferowania, starcze.

Odwróciłam się do wyjścia, a wtedy on przemówił. Jego głosowi brakowało tonu nalegania, ale łagodna szczerłość, bogata zarówno w strach, jak i smutek, wystarczyła, żeby mnie zatrzymać.

– Miał umrzeć tamtego dnia.

Odwróciłam się i zobaczyłam, że mestra-dirhmar znowu wpatruje się w kamień. Wyraz jego twarzy był mieszaniną znużenia i czegoś, co

rozpoznałam dopiero po chwili przyglądania się, tak nieoczekiwane okazało się to uczucie.

Nienawiść. On nienawidzi tej rzeczy.

– Co pan ma na myśli? – zapytałam.

– Bitwę z Wohtenami. Ona została przewidziana. Wojownik na białym koniu, wojownik, przed którym go ostrzegłaś. Twój brat miał zginąć. To dlatego nie zadziałaliśmy przeciwko niemu wcześniej i pozwoliliśmy, żeby jego siła wzrosła, żeby zawarł sojusze. Był użyteczny, zjednoczył Stahlhast, zjednoczył nas. Zatem mimo niebezpieczeństwa, jakie stanowił, pozwoliliśmy mu żyć, pewni jego rychłej śmierci. – Kapłan urwał z cichym westchnieniem, a nienawiść na jego twarzy zmieniła się we wstyd. – Arogancja władzy to straszna rzecz. Ona oślepia, umacnia złudzenie kontroli, ale tego nie da się kontrolować. – Wskazał na kamień. – Tak jak teraz nie można kontrolować twojego brata. Powiedz mi, jak sądzisz, co on zrobi, kiedy dostanie tytuł mestra-skeltira?

– Wypełni boską misję nakazaną przez Niewidzialnych wieki temu. Czy nie tego chcecie?

– A, tak. Wielki marsz do Złotego Morza. Nazwałaś mnie kłamcą i miałaś rację. Rolą kapłanów jest kłamać, a nasza boska misja jest może największym z kłamstw. Dawno temu, kiedy po raz pierwszy zrozumiano, jakie zagrożenie stanowi ta rzecz, nasi przodkowie stanęli przed dylematem. Jak związać lud gwałtownych i bardzo pragmatycznych wojowników z czymś, czego nie mogli zobaczyć? Z bogiem, którego słów nie mogli usłyszeć? Kłamstwami, oczywiście, kłamstwami, które obiecywały wszystko. Pewnego dnia pojawi się wielki pan Stahlhastu i poprowadzi nas, żebyśmy opanowali południowe ziemie i żeby wszyscy mogli zaznać błogosławieństw Niewidzialnych. I to zadziałało. Sama obietnica boskiego przywódcy i wspaniałej przyszłości wystarczyła, żeby utrzymać skeldy w poddaństwie wobec Grobowca przez ponad tysiąc lat. Ale ta obietnica miała pozostać nigdy niespełniona, dopóki twój brat nie uczynił jej realną.

Mestra-dirhmar wbił we mnie gniewne spojrzenie, twarde i oskarżycielskie.

– Musiałaś wiedzieć, czym on się stanie, albo przynajmniej podejrzewać. Twój brat wkrótce przeleje ocean krwi, z czego wiele naszej. A wszystko dlatego, że stanęłaś na drodze przeznaczenia. Dlaczego?



I znowu poczułam pokusę, żeby po prostu odejść i nie słyszeć więcej jego pytań. Jakie on miał prawo żądać odpowiedzi? Ten zgorzkniały starzec. Ale nie wyszłam. Choć był kłamcą, usłyszałam dość prawdy w jego słowach, żeby mnie zatrzymały w oczekiwaniu na jego osąd.

– Miłość – powiedziałam. – Uratowałam go, bo go kocham.

– Więc jesteś tak samo jego ofiarą, jak my się nimi staniemy. On cię nie kocha, nikogo nie kocha. Nie jest do tego zdolny. Władza. – Skinieniem głowy wskazał kamień, a ja przez chwilę czułam puls gniazda szerszeni, jakby ono wyczuwało jego wrogość. – Władza, która się w tym kryje. On tylko tego pragnie. Władzy, którą my od dawna staraliśmy się ograniczyć, bo taka jest prawdziwa misja Stahlhastu. Byliśmy gwałtowni, a staliśmy się jeszcze gwałtowniejsi, zachęcani do tego przez pokolenia kapłanów, bo wiedzieliśmy, że okiełznanie tej rzeczy będzie wymagało siły, nawet okrucieństwa. Niezliczeni niewolnicy umarli, żeby uczynić nas wielkimi, a wszystko po to, żeby nikt inny nie mógł go zdobyć.

– Ten kamień jest źródłem Boskiej Krwi – powiedziałam. W mojej głowie narastał ból dezorientacji i niezrozumienia.

Co więcej, w trzewiach czułam silne, bolesne nudności. Przyszło mi do głowy, że ten starzec zamierza w jakiś sposób mnie skrzywdzić, że ma dar wywoływania chorób. To podejrzenie okazało się niesłuszne, gdy po kolejnym pulsie mocy pojęłam, że to nie kapłan przyprawia mnie o mdłości, tylko kamień.

– Wykopaliśmy go z ziemi pokolenia temu – ciągnęłam głosem ochrypłym od coraz silniejszego bólu. – Przez niego otrzymywaliśmy wskazówki Niewidzialnych...

– Wskazówki? – Śmiech kapłana, głośny i pełen drwiny, uciszył moją recytację dogmatów. – Niewidzialni nie dają żadnych wskazówek, dziecko. Nie wybrali nas na swoich pośredników. Nie błogosławią nas, tak jak pasterz nie błogosławi zwierząt, które prowadzi do ubojni.

– Kłamca! – wychrypiałam, kiedy ból w moich wnętrznościach tak się nasilił, że się zachwiałam.

Moi towarzysze szybko do mnie podeszli, Eresa mnie złapała, chroniąc przed upadkiem, a Varij chyba w instynktowny sposób odkrył źródło mojego stanu, bo ukląkł przede mną i wyciągnął rękę do kamienia.

– Przestań! – warknął mestra-dirhmar, kiedy poczułam, że Varij zaczyna przyzywać swój dar.

Ton kapłana był tak rozkazujący, że Varij się zawahał, ale nie opuścił ręki.

– Może potrafisz kruszyć kamienie, chłopcze, ale tego nawet byś nie zadrapał. Przez lata wielu próbowało, ale on oparł się wszelkim uszkodzeniom. – Gdy Varij nadal nie opuszczał ramienia, kapłan prychnął z niesmakiem i wzruszył ramionami. – Dobrze. Spróbuj, lecz nie oczekuj, że przeżyjesz to doświadczenie. Z pewnością oni docenią taki posiłek.

Varij odwrócił się do mnie z wyrazem dezorientacji i niezdecydowania na twarzy. Pokręciłam głową, a on cofnął rękę i pomógł Eresie postawić mnie na nogi. Mdłości trochę osłabły, co pozwoliło mi zrobić niepewny krok w stronę kamienia.

– W takim razie co to jest? – zapytałam.

Teraz sobie przypominam, jak bardzo chciałam, żeby kapłan skłamał, bo wszystko mogło się okazać jeszcze większym oszustwem. Cała moja wiedza i uczucia buntowały się przeciwko słowom starca. Kehlbrand zawsze mnie hołubił, dał mi rodzinę, misję... Jednakże moje wewnętrzne protesty ucichły, kiedy spojrzałam w oczy mestra-dirhmara i zrozumiałam, że mówi samą prawdę.

– To jest zamek na bardzo starych i przegniłych drzwiach, a twój brat zamierza rozbić je na kawałki i wypuścić to, co się za nimi czai.

– Co... – Zachwiałam się po kolejnej fali mdłości. – Co czeka? Kim są Niewidzialni?

– To nienasycony głód i bezdenne zło. Karmiliśmy ich przez te wszystkie lata, zabieraliśmy Boską Krew do kapłaństwa i myśleliśmy, że ich nasycimy. To coś nas wykrwawia, zabiera nam dary, zmienia nas w wycieńczone dusze, które widzisz teraz. Czasami zastanawiam się, czy byliśmy jedynymi, których okłamano, czy sami się okłamywaliśmy. Wyobrażaliśmy sobie, że Niewidzialni zadowolą się ochłapami, kiedy poza ich więzieniem był cały świat do zjedzenia. Parę lat temu coś się zmieniło, ich głód wzrósł, jakby obudzili się z letargu. Nieważne, ile pokarmu im dawaliśmy, to im nie wystarczało. Zawsze chcieli więcej, niż mogliśmy dać. Nasze dary słabły po każdym karmieniu, tak że kiedy twój brat nie spotkał swojego przeznaczenia, nie mieliśmy siły, żeby mu się przeciwstawić. Co więcej, czuliśmy, że oni sięgają do królestwa, w którym przebywają cienie zagubionych dusz, i tam znajdują sługi. To, co czai się za drzwiami, jakoś znalazło sposób, żeby przygotować swoje uwolnienie.

W miarę jak mestra-dirhmar mówił, jego głos stawał się monotony, słowa były nadal słyszalne, ale coraz cichsze, jakby dochodziły z oddali. Wbijałam wzrok w kamień i śledziłam czerwonożłote żyły. Pulsy mocy były teraz częstsze, powtarzały się w rytm mojego serca i za każdym razem wywoływały falę mdłości. To ból mnie uratował, przebijając się przez mgłę, która spowijała mój umysł, tak że zobaczyłam swoją dłoń powoli zbliżającą się do kamienia.

Gwałtownie wciągnęłam powietrze, cofnęłam rękę i zaczęłam się odwracać, ale kapłan, mimo swojego wieku i wychudzenia, miał dość siły, żeby chwycić mnie za nadgarstek. Próbowałam się wyrwać, ale kolejna seria pulsów płynących z kamienia powaliła mnie na kolana. Zaczęłam wymiotować w agonii.

– Ereso! – wychrypiałam.

Gdy się odwróciłam, zobaczyłam, że ona i Varij stoją bez ruchu, ze zwiotczymi twarzami i pustką w oczach.

– Może i osłabiony, ale mój dar przetrwał. – Kapłan przyciągnął mnie do siebie i owiał cuchnącym oddechem. – Zostało go dość, żebym dał im ostatni posiłek.

Wyrwałam sztylet z za pasa i próbowałam wbić go w jego kościstą pierś, ale mdłości mnie osłabiły. Ostrze drasnęło żebra, a on z gniewnym stęknieniem odepchnął moją rękę.

– Twój dar jest wielki – powiedział, wlokąc mnie w stronę kamienia. – Może dostatecznie wielki, żeby zasycić ich na lata.

Walczyłam z nim najlepiej, jak mogłam, drapiąc i szarpiąc się, kiedy jego kościste ramię opasało mnie w talii, ale czułam się jak niemowlę wyrrywające się z uścisku dorosłego.

– Wiedz, że nie czerpię z tego żadnej przyjemności – powiedział kapłan. Jego dłoń była jak imadło na moim nadgarstku, kiedy ciągnął ją do kamienia. – Ale trzeba to zrobić. Zyskamy na czasie, odeślemy ich z powrotem w letarg. Możemy nabrać sił, żeby mu się przeciwstawić...

Jego słowa przerwało twarde, mokre łupnięcie za naszymi plecami. Starzec obrócił mnie gwałtownie i wydał z siebie żalony skowyt na widok, który się nam ukazał. Wysoki kapłan, który wcześniej mnie wezwał, osuwał się powoli po szorstkiej kamiennej ścianie, a jego wnętrzności wylewały się z rany sięgającej od ramienia do pachwiny. Jakimś cudem jeszcze żył i błyszczącymi oczami wpatrywał się w mestra-dirhmara z przerażeniem i skrucą umierającego człowieka, który błaga o wybaczenie.

– Lepiej ją puść, stary capie – powiedział Obvar, wychodząc z cienia. Jego wielka szabla ociekała krwią, kiedy zakręcił nią ze swobodną zręcznością. – I tak będzie dla ciebie źle, tak jak jest teraz. I stanie się jeszcze paskudniej, jeśli on zauważy choć jeden siniak u swojej siostry.

Za nim wyłoniło się z cienia więcej postaci. Wojownicy ze skeldu Cova wlekli kapłanów po podłodze, związanych i zakneblowanych. Niektórzy z nich płakali, inni błagali, ale większość milczała, klęcząc ze zwieszonymi głowami. Kehlbrand schodził po schodach. Uścisk mestra-dirhmara zelżał, kiedy mój brat pojawił się w świetle pochodni. Starzec zatoczył się do tyłu, a jego twarz przybrała dziwny wyraz będący mieszaniną buntu i przerażenia. Koścista pierś unosiła się i opadała w urywanych oddechach.

Podeszłam szybko do Eresy i Varija, którzy klęczeli, mrugając w oszołomieniu. Zajrzałam im w oczy i stwierdziłam, że to, czym sparaliżował ich kapłan, zniknęło, choć oboje nadal byli bladzi i drżący.

– Nim zaczniemy – powiedział Kehlbrand do mestra-dirhmara – chyba masz do mnie pytanie.

Twarz starca drgnęła, kiedy starał się nad sobą zapanować. Gdy determinacja wygrała ze strachem, zacisnął zęby i w milczeniu odwzajemnił spojrzenie Kehlbranda.

– Wypruj flaki jednemu z nich – rozkazał mój brat Obvarowi, wskazując ręką na związanych pomniejszych kapłanów. – Nieważne któremu.

– Stop! – krzyknął mestra-dirhmar, kiedy Obvar uniósł szablę. Kapłan wziął drżący wdech, wyprostował się i przemówił do mojego brata oficjalnym językiem starożytnego rytuału. – Kehlbrandzie Reyeriku, zwany Ostrzem Ciemności, chcesz uzyskać błogosławieństwo Niewidzialnych i zostać mianowany mestra-skeltirem Stahlhastu?

– Hmm. – Kehlbrand pomasażował brodę w udawanym namyśle, który pobudził Obvara do gardłowego śmiechu. – Po stosownym zastanowieniu... chyba tak.

– Zatem dotknij kamienia. – Do tonu kapłana wkradło się szyderstwo, a w jego oczach nadal jarzył się opór. Kapłan wskazał na kamień i mówił dalej z desperackim triumfem w głosie: – Urodziłeś się z Boskiej Krwi, ale nie masz daru. W twoich żyłach nie ma mocy. Jesteś zwykłym śmiertelnikiem, a przez wszystkie wieki śmiertelnika, który dotykał kamienia, spotykała szybka śmierć. Celem trzeciego pytania, nawet jeśli pretendujący do przewodzenia Stahlhastowi ma szansę na nie odpowiedzieć, jest to, żeby nigdy nie było mestra-skeltira.

– Jesteś głupcem – powiedziałam, idąc w stronę kapłana. – Ty i inni umrzecie tutaj. Nasz lud dowie się, że mój brat odpowiedział na trzecie pytanie, bo kto by twierdził inaczej? – Widząc przerażenie i frustrację na jego twarzy, pozwoliłam sobie na uśmiech i odwróciłam się do Kehlbranda. – Wolałabym, żebyś zrobił to szybko. Kończ i chodźmy stąd.

Skupiony na kamieniu brat nie patrzył na mnie. Udawany namysł sprzed paru chwil zastąpiła teraz głęboka, poważna zaduma.

– Nie możesz o tym myśleć. – Położyłam dłoń na jego ramieniu, kiedy nie odpowiedział, tylko nadal wpatrywał się w kamień. – Kehlbrandzie, słyszałeś, co on powiedział...

– Tak. – Brat poklepał moją dłoń i uśmiechnął się, a potem odsunął. – Słyszałem. Obvarze, zabierz moją siostrę i jej towarzyszy z tego miejsca. Chcę przez jakiś czas jednoczyć się z Niewidzialnymi. A, i zostaw mi swój nóż.

\*\*\*

Zatem, szanowny czytelniku, dotarliśmy wreszcie do decydującego wydarzenia, które z czasem zapewniło mi najszlachetniejszy przydomek Zdrajczyni Ostrza Ciemności. Gdybym była mniej uczciwa, przypisałabym swoją przemianę krwawej zemście Kehlbranda dokonanej na kapłanach. To prawda, że krzyki dochodzące z Grobowca były straszne i długotrwałe, przywołujące wszelkiego rodzaju niechciane wyobrażenia o działaniach mojego brata pod ziemią. Prawdą jest również to, że widok Kehlbranda, kiedy w końcu wyłonił się z budynku, przejął moje serce chłodem, który nigdy do końca nie zniknął. Ale to nie krew na jego rękach od nadgarstków po ramiona, ani zakrwawiony nóż, który rzucił Obvarowi, sprawiły, że zaczęła się moja podróż od siostry do zdrajczyni. Powodem były oczy mojego brata.

Kehlbrand zawsze miał przeszywający wzrok człowieka obdarzonego inteligencją i wnikliwością, nie wspominając o przebiegłości. W rezultacie stanie się obiektem jego obserwacji często okazywało się niepokojącym doświadczeniem dla mniej pobłogosławionych. Ale tamtej nocy jego spojrzenie było inne. Teraz badawczości towarzyszyła wiedza. Odnosiło się wrażenie, że on już znał odpowiedź na wszystkie pytania.

Tak więc, kiedy zapytałam go, czy dotykał kamienia, nie zaskoczyły mnie jego słowa.

– Oczywiście, że tak, źrebaczku. – Kehlbrand roześmiał się i wziął mnie w zakrwawione ramiona. – I oto tu stoję, cały i zdrowy. To było tylko kolejne kłamstwo trupa, o którym lepiej zapomnieć.

– Co się stało? Co ty...?

Umilkłam, kiedy się odsunął i przytknął palec do moich ust. Jego uśmiech był ciepły jak zawsze, ale wszystkowiedzące spojrzenie miało w sobie również ostrzegawczy błysk, którego wcześniej nigdy u niego nie widziałam.

– Nawiązałem kontakt z Niewidzialnymi – powiedział. – Jak należy się spodziewać po mestra-skeltirze. Dali mi wielkie dary, droga siostrze. Kamień jest źródłem mocy i właśnie jej kapłani strzegli tak długo, gnijąc z powodu chciwości i przywilejów. Poproś Niewidzialnych ze szczerym sercem, a oni cię wynagrodzą.

Chciałam mu uwierzyć, tak jak wcześniej mestra-dirhmarowi, ale stwierdziłam, że nie potrafię. Kiedy mnie odsunął i odwrócił się do Obvara, zobaczyłam w jego oczach poczucie wiedzy, które dało mi pewność, że mój brat wyszedł z Grobowca odmieniony i że była to zmiana w samym rdzeniu jego istoty, a nie tylko inne spojrzenie. Teraz wyczułam w nim moc. Kehlbrand otrzymał dar.

– Zrobimy rundę po obozie – powiedział do Obvara. – Kapłani nigdy nie byli kochani, ale nadal są tacy, którzy pielęgnują niemądrą lojalność wobec starych zwyczajów.

– To prawda – przyznał Obvar. – Ale po tym tutaj raczej nie powiedzą tego na głos.

Kehlbrand zdecydowanym krokiem ruszył w stronę bramy, mówiąc ożywionym, wesołym tonem:

– Nie będą musieli. Źrebaczku, znajdę cię rano. Może urządzisz ceremonię dla uczczenia tej okazji. Mile widziana byłaby jakaś forma rytuału. – Odwrócił się z rozpostartymi ramionami i zapowiedział radosnym głosem: – Bo jutro rozpoczyna się wielki marsz do Złotego Morza!

\*\*\*

W rzeczywistości początek wielkiego marszu okazał się niewłaściwym określeniem czegoś, co okazało się dwuletnią serią kampanii i sojuszy. Choć zdobyliśmy władzę nad Żelaznym Stepem, Stahlhast nie był jedynym

ludem, który przemierzał jego bezmiar. Wiele plemion na południu i wschodzie zostało kiedyś przepędzonych ze swoich terenów i stanęło wobec groźby unicestwienia, ale ci, którzy zostali, nadal byli liczni, nawet jeśli nie mogli mieć nadziei, że dorównają nam w bitwie. Kehlbrand jednak nie chciał walczyć z innymi stepowymi plemionami, uważając je za zbyt cenne jako źródło wojowników.

Dlatego szybko odrzucił propozycję Obvara, żeby pierwszym aktem wielkiego marszu było zniszczenie Tuhli, konfederacji plemion zamieszkujących zachodni step aż po nadbrzeżne góry.

– Skórzani Jeźdźcy? – rzucił z pogardą Obvar, kiedy Kehlbrand ogłosił swoje zamiary.

Nazwa odnosiła się do zbroi wykonanych z utwardzonych skór wołowych.

– Mam przeczucie, że wśród ich starszych wodzów znajdzie się jeden, który potrafi dostrzec okazję i głęboko nienawidzi swoich rywali – rzekł Kehlbrand. – Ostatecznie oni patrzą na Kupieckie Królestwa z taką samą zazdrością jak my.

Zrezygnował z tradycyjnej praktyki wysyłania emisariuszy, tłumacząc, że „wrócą bez głów, przywiązani do siodła. Sam pojedę”. I pojechał bez żadnej eskorty w serce dominium Tuhli mimo silnych protestów Obvara i moich. Dokładne szczegóły jego podróży i negocjacji pozostają mi nieznane, ale nie mam wątpliwości, że jego nowo nabyty dar był głównym powodem, dla którego wrócił trzy miesiące później z trzydziestoma tysiącami wojowników.

Ich wódz był żyłastym mężczyzną w średnim wieku imieniem Heralka, który twierdził, że w języku tuhla oznacza to Szary Orzeł, choć słyszałam przy licznych okazjach, że jego wojownicy używają go jako przekleństwa. Jeździł z czterema częściowo zgniłymi głowami przywiązanymi do siodła i stałym triumfalnym uśmiechem na szczupłej twarzy. Głowy należały kiedyś do jego rywali dążących do dominacji nad konfederacją Tuhla. Wszyscy zostali zabici w wyniku zdrady i jakiegoś skomplikowanego podstępu, którego nigdy nie zrozumiałam w pełni, wiedziałam jedynie, że uknuł go Kehlbrand. Podczas kolejnych kampanii często byłam świadkiem, jak Heralka mimo ewidentnego zwycięstwa siedzi samotnie przy ognisku i prowadzi ożywioną, czasami żartobliwą rozmowę z czterema głowami ułożonymi w kręgu. W miarę jak mijała noc, a spożycie piwa rosło, jego

dobry humor w końcu przeradzał się w łzy i oskarżycielskie wrzaski, zanim wódz w końcu tracił przytomność.

Na prośbę Kehlbranda i z pozwoleniem Heralki zaczęłam szukać Boskiej Krwi w szeregach Tuhli i znalazłam dwoje Obdarzonych. Jednym był starszy wybuchowy mężczyzna z darem sprowadzania deszczu, a drugim przysadzista kobieta licząca sobie czterdzieści lat, która gięła i formowała metal gołymi rękami z taką łatwością, jakby miała do czynienia z gliną. Oboje zgodzili się dołączyć do mojej grupki tylko na naleganie Heralki i zaakceptowali moją władzę z wielką niechęcią, a ona nigdy nie wygaśla. W rezultacie nie nadałam im imion, podobnie jak tym, których znalazłam po naszych pierwszych zwycięstwach. Miałam teraz swoją rodzinę, a ona miała się powiększać.

Po umocnieniu sojuszu z Tuhlą Kehlbrand rozpoczął pierwszą ze swoich kampanii na pograniczu, zrywając z tradycją i postanawiając walczyć w porze deszczowej. Była to celowo ograniczona seria napaści na karawany handlowe i nękanie na małą skalę żołnierzy Kupieckich Królestw, mające na celu wybadanie sił przeciwnika, a jednocześnie zmylenie go co do naszych zamiarów.

Zniszczywszy przed laty najdalej na północ wysuniętą twierdzę wroga, Stahlhast teraz cieszył się nieskrępowanym panowaniem nad południowymi krańcami Żelaznego Stepu, co umożliwiała nam wypady niemal na życzenie. Różne garnizony Kupieckich Królestw zareagowały zwiększeniem liczby patroli i kilkoma karnymi ekspedycjami składającymi się z kilku tysięcy konnych. Na rozkaz Kehlbranda zostawiano je w spokoju, tak że żołnierze spędzali dni albo tygodnie na jeździe po pustym stepie, aż brak zapasów zmuszał ich do powrotu do twierdz, a wtedy najazdy rozpoczynały się od nowa i w większej liczbie.

Gdy skończyły się deszcze i na stepie zrobiło się sucho i gorąco, Kehlbrand, zyskawszy zgodnie z planem kompletny obraz możliwości wroga, wybrał miasto fortecę Leshun-Kho na cel swojego pierwszego dużego ataku. Zgromadzona armia dostała rozkaz, żeby rozbić się obozem poza zasięgiem garnizonowych lunet, a Varij razem z Obvarem zakradli się pod osłoną ciemności pod wysokie mury miasta.

Varij starannie przestudiował różne teksty architektoniczne, więc znał odpowiednie miejsca, w których mógł wykorzystać swój dar w taki sposób, by nie spowodować natychmiastowej katastrofy. Osłabił fundamenty w trzech różnych miejscach, żeby w ciągu paru godzin runęły pod własnym



ciężarem. Kiedy o świcie żołnierze z miejskiego garnizonu dostrzegli zbliżającą się armię i pobiegli na blanki, zobaczyli, jak w murach pojawiają się wyłomy. Próby wzniesienia zaimprovizowanych barykad nie powiodły się. Stahlhast i Tuhla włali się przez wyrwy i pogalopowali przez ulice, siekąc zdesperowanych obrońców. Miasto padło w ciągu dwóch godzin mimo samobójczych wysiłków królewskich żołnierzy.

To upadek Leshun-Kho skłonił mnie do następnego kroku w mojej zdradzieckiej podróży. Choć niepokoiły mnie zmiany w moim bracie, jeszcze nie w pełni zrozumiałam, jak głęboką transformację przeszedł. Wracając myślami do mojej wędrówki po zdobytym mieście, dziwię się teraz swojej obojętności na destrukcję i cierpienie. Kehlbrand zakazał zwyczajowych gwałtów i bezsensownego zabijania po zdobyciu twierdzy, ale i tak doszło do rzezi żołnierzy i mieszkańców. Tuhla wykazali się szczególnym okrucieństwem, bo była to ich pierwsza od wielu lat okazja, żeby w pełni pofolgować swojej miłości do łupienia, i nie wahali się ścinać każdego właściciela domu, który odważył się zaprotestować przeciwko kradzieży ich cennych rzeczy. Tak więc, chociaż większość mieszkańców przeżyła klęskę, ulice zasłane trupami i spływające krwią stanowiły żałosny widok.

– Miłosierdzie to słabość, współczucie to tchórzostwo – usłyszałam mamrotanie Eresy, kiedy mijaliśmy kolejne sceny tragedii.

Młoda wdowa szlochająca nad trupem męża, podczas gdy dwoje jej dzieci stało obok nieruchomo, z oczami wielkimi z przerażenia. Krzepki mężczyzna kucał w cieniu kuźni i z twarzą zastygłą w maskę bandażował kikut swojej lewej ręki. Dobrze ubrana kobieta o uderzającej urodzie stała przy fontannie cała i zdrowa, ale krzyczała z całych sił. Nie wypowiedziała ani jednego zrozumiałego słowa, a jedynie wydawała z siebie wrzaski rozpacz.

– Miłosierdzie to słabość... – mruzczała dalej Eresa, odwracając się od krzyczącej kobiety.

– Przestań – warknęłam. – To było credo kapłanów. My już go nie potrzebujemy.

Próby uspokojenia kobiety okazały się bezowocne, więc zostawiliśmy ją i poszliśmy dalej. Za każdym rogiem trafialiśmy na masakrę. Tuhla zagonili niedobitków z miejskiego garnizonu na ich własny plac apelowy i związali ich razem w długi szereg. Każdego żołnierza po kolei wyciągano na środek i ścinano, a po przecięciu więzów odciągano ciało na bok. Potem

następnego zmuszano do ukłęknięcia u stóp wojownika o imponującej posturze, trzymającego w ręku talwar. Jak to mieli w zwyczaju, Tuhla zabawiali się odciętymi głowami, wrywając szczypcami zęby i robiąc naszyjniki z trofeów. Jeszcze ociekające krwią głowy nasadzano na włócznie i rozstawiano kręgiem wokół obozowiska, w którym miała się odbyć zwycięska uczta.

Uderzyło mnie tępe posłuszeństwo jeńców. Szurając, posuwali się do przodu służalczo przygarbieni, z pustymi oczami i twarzami zdradzającymi raczej całkowite wyczerpanie niż strach. Przebiegając wzrokiem wzdłuż szeregu, wyprostowałam się zaskoczona, kiedy wśród żołnierzy zobaczyłam pewną liczbę cywili: starszych mężczyzn w szatach zamiast mundurów, kilka kobiet i młodzieńców. W przeciwieństwie do żołnierzy większość z nich nie była potulna. Szlochali, błagali obojętnych strażników albo zasypywali ich przekleństwami. Inni byli bardziej stoicy. Jeden brodaty mężczyzna w prostej brązowej szacie szczególnie przyciągnął moją uwagę, kiedy wystąpił do przodu z prostymi plecami i twarzą bez wyrazu, jakoś zachowując godność, nawet gdy ukląkł pod ostrzem talwara.

– Uczeni i ich studenci – wyjaśnił wojownik Tuhla w odpowiedzi na moje pytanie. Było rzeczą normalną, że po zwycięstwie dokonuje się egzekucji pojmanych żołnierzy, ale tutaj zadziwiła różnorodność ofiar. – Rozkaz Ostrza Ciemności. – Stęknął, wrywając żelaznymi szczypcami ząb z niedawno ściętej głowy.

Uczeni i ich studenci, powtórzyłam w myślach i stwierdziłam, że postępowanie Kehlbranda jest całkiem racjonalne. Ci z wiedzą i mądrością nie tak łatwo daliby się zwieść Ostrzu Ciemności.

Idąc dalej, widzieliśmy coraz więcej okropieństw, aż dotarliśmy na rozległy plac, na którym stała Świątynia Niebios. Byłam zaskoczona, kiedy zobaczyłam, że jest to nienaruszony trzypiętrowy budynek o pochyłych dachach nietkniętych przez strzały czy ogień, a otaczający go park z kapliczkami i posągami wyglądał niemal sielankowo w dymie napływającym z ulic. I chociaż sama świątynia została oszczędzona, po wejściu do środka odkryłam, że jej mieszkańcy nie.

Mnisi leżeli zakrwawieni wokół dużej kapliczki, krew odznaczała się wyraźnie na ich białych i jasnozielonych szatach. Nie dało się policzyć wszystkich zabitych, ale wyglądało na to, że zginął cały zakon oprócz dwóch ocalałych.

Przed kapliczką stał z pochyloną głową stary mnich i poruszał ustami, recytując modlitwy ze złożonymi rękami i sznurem czarnych koralików oplecionym wokół nadgarstków. Nie zwracał uwagi na mojego brata, który stał obok, ani na młodego mnicha klęczącego po jego lewej stronie. Obvar trzymał wielką ręką pod brodą chłopca i przyciskał nóż do jego gardła.

– Został jeden – powiedział Kehlbrand do starego mnicha, a kiedy nie doczekał się odpowiedzi, prychnął z rozbawieniem i lekką irytacją. – Wiem, że to wszystko jest oszustwem. – Mój brat zbliżył się i szepnął do ucha starca: – Czuję twój strach, twoją nienawiść, twoją rozpacz. Nie ma w tobie pogody. A to jest... – wskazał na kapliczkę – zwykły stary kamień wyciosany w bezsensowną abstrakcję. Niebo to kłamstwo, a ja chcę, żebyś to powiedział.

Zadnej reakcji, tylko ta sama postawa i mamrotane modlitwy.

– Jak chcesz. – Kehlbrand skinął głową Obvarowi, a ten szybkim ruchem noża poderznął gardło młodemu mnichowi.

Choć bardzo chciałam podsyć uczucie podziwu, który możesz wobec mnie żywić, szanowny czytelniku, nie będę kłamać co do moich działań w tamtej chwili. Nie podbiegłam do brata ze łzami w oczach i rozdartym sercem, żeby zażądać odpowiedzi i przekląć go za okrucieństwo. Nie, ja po prostu stałam i patrzyłam, jak Obvar podrzyna chłopcu gardło, a Kehlbrand wyciąga szablę i ścina głowę starcowi. Nie musiałam pytać, dlaczego, bo wiedziałam. On już nie odgrywał roli boga. Teraz był bogiem, żywym bogiem, który nie zamierzał tolerować żadnych innych kultów. Stał się Mrocznym Ostrzem Ciemności, więc już nie był moim bratem.

\*\*\*

Mnisi nie byli jedynymi sługami niebios, którzy zginęli tamtego dnia. Zakonnice z pobliskiego klasztoru również spotkał taki sam los, podobnie jak mieszkańców, którzy odmówili wyrzeczenia się tego, co teraz nazwano „wielkim kłamstwem”. Kiedy zabijanie się skończyło, Kehlbrand rozkazał Tuhli opuścić miasto, po czym zagonił rzemieślników do sprzątanania bałaganu i opatrywania rannych.

– Ostrze Ciemności nie przybył jako zdobywca – mówili, naprawiając dachy i zszywając rany. – On przybywa jako zbawiciel. Przybywa, żeby zerwać wasze łańcuchy. Już nie będziecie cierpieli z powodu chciwości króla.

Może z powodu zniw śmierci – w mojej ocenie zginęła jedna piąta populacji miasta – w Leshun-Kho zwerbowałam tylko jedną duszę z Boską Krwią. Kiedy zameldowałam Kehlbrandowi o swoich daremnych poszukiwaniach, on zaproponował, żebym spróbowała w miejskim lochu. Znalazłam ją w celi skutą łańcuchem, w łachmanach, pokrytą brudem, który nie zdołał zamaskować jej urody. Dozorca więzienny, który jakoś uniknął rzezi dokonanej wśród służb miejskich, nazwał tę kobietę „najohydniejszą z wiedźm” i odmówił zbliżenia się do niej, nawet kiedy zagrożono mu egzekucją.

Gdy podeszłam do jej celi, więźniarka powoli uniosła brudną twarz i zamrugła. W jej oczach było oprócz szaleństwa zrozumienie. „Myślisz, że twój brat nie jest naprawdę bogiem” – odezwał się w mojej głowie jej głos, a ja zatoczyłam się do tyłu przerażona. Kobieta wstała i zbliżyła się do krat, patrząc wyczekująco na zamek i uśmiechając się, kiedy bez wysiłku wepchnęła następne słowa do mojego umysłu. „Mylisz się”.

Nigdy nie odkryłam jej prawdziwego pochodzenia, choć opowiadała wiele historii o szlachetnym urodzeniu i wygnaniu z powodu daru. Te bajeczki zmieniały się na poczekaniu: jednego dnia twierdziła, że jest córką generała, następnego, że kupca. Jej matką była słynna kurtyzana władcy Oświeconego Królestwa albo wojowniczką z Opalowej Wyspy. Nie można uznać jej wersji za kłamstwa, bo podejrzewam, że ona w nie wierzyła, kiedy wychodziły z jej ust, ale te opowieści w nieunikniony sposób przeradzały się w niezborne mamrotanie i wkrótce były zapomniane. W rezultacie nikt nie poznał jej prawdziwego imienia, ale Kehlbrand nazwał ją Dishona, co w starym języku oznacza Trawiasty Wąż. Wydawało się, że ona nie uważa tego za zniewagę, bo chłoneła każde słowo mojego brata z całym oddaniem nowo narodzonego szczeniaka wobec matki. Sadzę, że Dishona jako pierwsza czciła Ostrze raczej z miłości niż ze strachu.

– Ona jest szalona – powiedziałam kilka dni później, kiedy jechaliśmy na południe z małą eskortą, bo Kehlbrand bardzo chciał zbadać drogi prowadzące do górzystej krainy na pograniczu. – A jej dar jest... wyjątkowo denerwujący.

– Ale ona używa go oszczędnie, zauważyłaś? – zapytał brat. – Może ma obłąkany umysł, jednak jest ostrożna, nie wspominając o przebiegłości. Same użyteczne cechy, nie sądzisz?

Zatrzymaliśmy się na szczycie pagórka, z którego roztaczał się widok na szeroką równinę i na wzgórza aż po zamglony, poszarpany stożek na horyzoncie.

– Keshin-Kho – powiedział Kehlbrand. – Klucz do Czcigodnego Królestwa i wszystkiego, co leży za nim.

– Nasz następny cel? – spytałam, starając się zapanować nad niepokojem. Kehlbrand jednak albo go nie wyczuł, albo uznał za nieważny.

– Nie mamy jeszcze dość siły – odparł. – Inne miasta wzdłuż granicy stanowią łatwiejszy łup, nie wspominając o nowych zwolennikach.

– Muszą przeżyć, żeby oddawać ci cześć.

– I przeżyją, w większości. Żeby nasza misja się powiodła, najdroższa siostrzo, potrzebuję armii wyznawców, a nie zwykłych żołnierzy, armii zbawionych w oczach Ostrza Ciemności.

Gdyby nie irytująca wszechwiedza w jego spojrzeniu, pomyślałabym, że to stary Kehlbrand pozwolił, żeby maska boskości spadła, i dzieli się sekretem z jedyną osobą, której mógł naprawdę ufać. Teraz to jest maska, uświadomiłam sobie, porównując jego sardoniczny grymas z wymuszonym uśmiechem.

– Nasi agenci – ciągnął Kehlbrand, wpatrując się w odległe miasto – mówią mi, że gubernator Keshin-Kho ma dwie główne cechy: wielką ambicję i rozpaczliwą samotność. Sądzę, że z pomocą Dishony możemy uwolnić go od obu.

\*\*\*

Tamtej nocy po raz pierwszy od dzieciństwa płakałam. Rozbiłam swój namiot z dala od mojej rodziny Obdarzonych, mówiąc im, że chcę być sama. Oni uznali, że zamierzam pogrążyć się w Prawdziwym Śnie, ale ja czułam przemożną potrzebę oddania się swoim smutkom, przynajmniej w tę jedną noc. Łzy płynęły swobodnie, a ja tłumiłam szloch rąbkiem płaszcza ze skóry wilka, żeby nie ściągnąć na siebie uwagi Kehlbranda.

Czy on wie? – wciąż zadawałam sobie pytanie. Czy on wie, że ja go widzę, że widzę to, czego inni nie dostrzegają? Wydawało się nieprawdopodobne, żeby nie wyczuł mojej rozpacz, co prowadziło do pytania, dlaczego mnie nie odesłał albo... nie zabił.

Nigdy tego nie zrobi. Wiedziałam to z taką samą pewnością, z jaką uważałam, że Kehlbrand już nie jest moim bratem. Jakiegokolwiek zmiany

w nim zaszły, kiedy dotknął kamienia, nie było wśród nich zdolności do zamordowania własnej siostry. Nasza miłość pozostała nienaruszona, ale czy miała przetrwać to, co nas czekało?

W końcu łyzy wyschły, a ja leżałam na matach wyczerpana, bez końca obracając w głowie pytania bez odpowiedzi. Zwykle czarna zasłona opada dopiero wtedy, gdy mój umysł jest najspokojniejszy, ale tamtej nocy opadła, kiedy rozpacz osiągnęła szczyt. Świat zniknął, pojawił się Prawdziwy Sen. Skóra mrowiła mnie od nieznanego doznania chłodnego wiatru, któremu towarzyszyło ciepłe światło słoneczne. Zachwiałam się, a na widok, który się przede mną roztaczał, żołądek podszedł mi do gardła.

Góry, tak dużo, takich wysokich. Życie spędzone na Żelaznym Stepie nie zaznajomiło mnie z takimi miejscami, choć z daleka widywałam zachodnie nadbrzeżne szczyty. Ale nigdy nie widziałam gór z tak bliska i w dodatku z wysoka.

Kiedy spojrzałam w dół, żołądek ścisnął mi się jeszcze gwałtowniej, a zawroty głowy groziły upadkiem w przepaść.

– Ostrożnie – usłyszałam cichy, przyjemny głos, a małe, ale silne ręce chwyciły mnie za ramiona i podtrzymały.

Zobaczyłam drobną kobietę o idealnej twarzy, jakiej nigdy dotąd nie widziałam. Miała na sobie piękne szaty z jasnego, misternie haftowanego jedwabiu, a włosy ułożone w elegancką, lecz skomplikowaną fryzurę z grzebieniami i szpilkami.

– Dziękuję, że przyszedłś – powiedziała nieznajoma. – Uznałam, że już czas porozmawiać.

– O czym? – Skrzywiłam się oszołomiona, a mój wzrok przeniósł się z jej twarzy na góry, a potem na balkon, na którym stałyśmy, najwyraźniej będący częścią jakiejś większej budowli. – Kim jesteś?

– Moja matka nadała mi imię bardzo dawno temu – odpowiedziała kobieta. – Ale ono nie ma teraz znaczenia. W tych czasach nazywają mnie Jadeitową Księżniczką. I mamy o czym rozmawiać. Głównie o twoim bracie i o mężczyźnie, którego on nazywa Złodziejem Imion.

## Rozdział dwudziesty piąty

Umieranie, Vaelin wiedział, nie jest podobne do zapadania w łagodny sen. Nadejście śmierci w nieunikniony sposób oznacza ból i przerażenie, utratę fałszywych przekonań o odwadze i determinacji, tak że pozostaje tylko instynkt przetrwania i czepianie się życia.

„Ostatnim razem było łatwiej”, stwierdził, kiedy przetoczyła się przez niego nowa fala bólu. Widział na zmianę mgłę mknących czarnych chmur, które czasem się rozstępowały, żeby odsłonić ledwo rozpoznawalne obrazy ze świata żywych. Niebieski przestwór nieba usiany obłokami. Rzadka stepowa trawa, kiedy go dźwigali i nieśli. Potem jeszcze więcej dryfujących chmur, więcej bólu. Czas się rozciągał i kurczył do rytmu męczarni, a każda ulga była krótką cenną chwilą przed powrotem długich godzin cierpienia.

Przez mgłę, która go otaczała, słyszał głosy mówiące w chu-shin, którego jego udręczony umysł nie był w stanie przetłumaczyć. Wychwytywał jednak różnicę zdań w tych głosach, jednych ostrożnych, innych zdecydowanych. To właśnie ten zdecydowany rozpoznał razem z twarzą, która pojawiła się w jego polu widzenia, kiedy chmury znów się rozstały. Tę samą twarz przywołał w myślach, kiedy wykrwawiał się na śmierć po ranie zadanej przez Obvara.

Sherin nic nie powiedziała. Nie posłała mu również uśmiechu otuchy. Wyraz posępnej determinacji łagodził jedynie błysk strachu w jej oczach. Potem chmury się zamknęły i został tylko ból, aż on również zmienił się w mały gniewny płomień.

\*\*\*

Obudził się z oddechem Derki na twarzy, gorącym i nieprzyjemnym podmuchem, od którego się rozkaszał. Przez chwilę zastanawiał się, dlaczego w jego polu widzenia wolno przesuwają się trakt z ziemi i trawy, nim sobie uświadomił, że leży na grzbiecie konia, przywiązany do siodła sznurami w nadgarstkach i kostkach. Ogier zatrzymał się, ale nadal

odwracał głowę, żeby skubnąć jego twarz, czy to w wyrazie uczucia, czy, co bardziej prawdopodobne, irytacji.

– Odczep się, ty przekłeta szkapo – jęknął Vaelin i odsunął twarz od końskich chrapów.

– Stać, on się obudził!

Vaelin wyciągnął szyję i zobaczył, że Sherin galopuje w jego stronę na swoim kucu. Gdy z niego zeskoczyła, szybko przecięła więzy małym nożem, a Vaelin zsunął się z siodła. Ku swojemu zaskoczeniu nie zachwiał się, kiedy dotknął stopami ziemi. Najwyraźniej słabość nie dotknęła jego nóg. Nie czuł również bólu. Jeśli już, to stwierdził, że przepętnia go wigor. Zaśmiał się, czując na skórze stepowy wiatr, i uniósł twarz, żeby uśmiechnąć się do słońca. Jednakże mina mu zrzędła, kiedy opuścił głowę i zauważył pełen rezerwy wzrok Sherin. Jej oczy były zapadnięte, czego wcześniej u niej nie widział, napięcie na twarzy i jej bladość przywodziły na myśl osobę świeżo po ciężkiej chorobie.

Kiedy w głowie zaświtało mu podejrzenie, powędrował rękami do swojej koszuli i ją rozsunął, żeby odsłonić ranę zadaną przez Obvara, ale znalazł tylko jasną kreskę na poza tym nietkniętym ciele. Dar tkaczki, uświadomił sobie, wracając myślami do leczenia, które przed laty u niego zastosowano w Upadłym Mieście. Tkacz był najpotężniejszym Obdarzonym, jakiego w życiu spotkał, nawet przed pozbawieniem mocy Sojusznika, dzięki czemu wszystkie poświęcenia wojny wyzwoleniczej nie poszły na marne. Ale Tkacza tutaj nie było, a on nie spodziewał się jeszcze kiedyś go zobaczyć.

– Co zrobiłaś? – spytał.

Rysy Sherin ułożyły się w krótki, drżący uśmiech.

– To, co musiałam.

– Nie możemy zwlekać.

Vaelin pomknął wzrokiem do Luralyn siedzącej na białym koniu. Za nią jechali mężczyzna i kobieta, których poznał po przybyciu do toru, podobnie jak czworo innych ubranych w stroje rzemieślników. Rozejrzawszy się, zobaczył tylko pusty step bez śladu Stahlhastu.

– Masz.

Vaelin złapał miecz, który rzuciła mu Luralyn, i przewiesił go przez plecy.

– Jak? – próbował naciskać Sherin, ale ona tylko pokręciła głową i pośpiesznie wróciła do swojego kuca.



– Mój brat roześle tysiąc zwiadowców we wszystkie strony – powiedziała Luralyn. – Nie mamy czasu.

Ściągnęła wodze i już zamierzała popędzić konia do galopu, ale zatrzymała się, kiedy Vaelin chwycił za uzdę.

– Muszę wiedzieć. Jak ona to zrobiła?

Luralyn spojrzała na Sherin, która wsiadała sztywno na grzbiet kuca. Chociaż twarz siostry Kehlbranda była surowa, Vaelin dostrzegł na niej wstyd.

– Dotknęła kamienia.

Uwolniła uzdę z jego ręki.

– Musimy jechać.

Ruszyła galopem w stronę zachodu, a towarzysze podążyli za nią.

\*\*\*

Luralyn nie pozwalała na odpoczynek, a jedynie na krótkie postoje co kilka godzin, żeby oporządzić konie. Jechali do wieczora i przez całą noc, aż wreszcie zatrzymali się w południe następnego dnia, kiedy stało się oczywiste, że niektóre wierzchowce są bliskie padnięcia, a większość jeźdźców u kresu sił. Luralyn nie wykazywała oznak zmęczenia, ale jej towarzysze zsunęli się z koni i, idąc, potykali się w stanie zbliżonym do snu.

– Przewaga urodzonych w siodle – powiedziała, zsiadając z konia. – Stahlhast śpi w siodle, jeśli jest taka potrzeba.

Vaelin skupił wzrok na uzdrowicielce. Sherin przez kilka mil wlokła się za resztą, a teraz zatrzymała kuca kilkanaście stóp od nich i zsiadła powoli z jego grzbietu.

– Nie! – wykrzyknęła Luralyn, kiedy Sherin odwiązała od plecaka wiązkę szczap i zaczęła rozpalać ogień. – Dym będzie widoczny na wiele mil.

– Dar twojego brata już mu powiedział, gdzie jesteśmy – stwierdził Vaelin.

– Ale nie jego zwiadowcom – odparowała Luralyn, rzucając czujne spojrzenie na horyzont.

– Zakładając, że nie przyjedzie osobiście.

Po jej twarzy przemknął niepokój.

– Z pewnością jest taka możliwość. A jednak wolałabym nie ryzykować.

Vaelin wyjął koc ze swojego plecaka, podszedł do Sherin siedzącej na ziemi i zarzucił go jej na ramiona. Ona apatycznie skinęła głową w podziękowaniu, ale się nie odezwała.

– Dotknęłaś go – powiedział Vaelin. – To nie było mądre.

– Ona próbowała mnie powstrzymać. – Sherin zerknęła na Luraly rozwijającą posłanie na ziemi. – Ale księżniczka uprzedziła mnie, że tak będzie. Po tym całym jej intrygowaniu miałam nadzieję, że to kolejne kłamstwo, ale kiedy ty... umierałeś, stwierdziłam, że to przez cały czas musiała być część jej planu. Dlatego kazałam Luralyn zaprowadzić się do kamienia i go dotknęłam. Musiałam. Tak jak księżniczka musiała zaśpiewać swoją pieśń, a ty walczyć z tym zwierzęciem.

– Przegrałem – zauważył Vaelin. Chciał ująć jej dłoń, ale się pohamował. Nawet biorąc pod uwagę to, co ryzykowała, żeby go uratować, wątpił, żeby w swoim obecnym nastroju dopuściła do takiej bliskości. – Teraz martwi mnie to, co straciłaś. Dary zawsze mają swoją cenę.

Sherin uniosła ręce i zaczęła zginać palce.

– Ból, jak przypuszczam. Uleczenie ciebie bardzo bolało i nie polegało na kładzeniu rąk na ranę i patrzeniu, jak się goi. Twoje ciało trzeba było stworzyć na nowo: skórę, mięśnie, nerwy i żyły utkać z powrotem. Wątpię, czy bez mojej wiedzy zdołałabym tego dokonać. Czułam, że lecę, że rana jest częścią mnie. To mnie... wykończyło.

– Przykro mi. Nigdy nie chciałbym...

Uciszyła go gestem ręki i pokręciła głową.

– Uzdrawianie nie było najgorsze. Kiedy dotknęłam kamienia... on mnie porwał. – Spochmurniała na to wspomnienie. – Było tak, jakbym została wciągnięta przez drzwi, właściwie zawleczona w inne miejsce, gdzie wszystko jest chaosem. Jak burza krzyków, niezliczonych głosów. Myślałam, że oszaleję, ale potem wszystko się zmieniło, znalazło formę. Zobaczyłam...

Sherin umilkła i zamknęła oczy, gdy przebiegł przez nią dreszcz. Vaelin nie próbował jej ponaglać, bo bał się tego, co ona może zaraz powiedzieć.

– Kiedyś, lata temu, gdy podróżowałam na zachodnie wybrzeże – mówiła dalej z zamkniętymi oczami – miałam szczęście ujrzeć tygrysa. Pomyślałam, że to najpiękniejsze stworzenie, jakie w życiu widziałam. Białe futro w czarne pręgi, oczy jak opale. Patrzyliśmy na siebie przez jakiś czas, a potem on obnażył zęby i skoczył w las, a ja nigdy go nie zapomniałam. Właśnie to zobaczyłam, Vaelinie. Cały ten wirujący chaos

i wściekłość tamtego miejsca uformowały się w tamtego tygrysa i tamten las. Sądzę, że cokolwiek się tu czai, wyrwało ten obraz z mojej głowy i uczyniło go prawdziwym. Bo to było prawdziwe. Miejsce za kamieniem jest równie prawdziwe jak wszystko na tym świecie. Tygrys podszedł do mnie, nie warcząc, tylko wężąc, wdychając zapach mojego przerażenia i zachwytu. Czułam jego głód jak bezdenne studnia, a kiedy odważyłam się spojrzeć mu w oczy, zobaczyłam w nich zrozumienie. On wiedział, kim jestem, wiedział, czego chcę. I nie miał ochoty mi tego dać, tylko po prostu chciał zapełnić pustkę w sobie. Potem... – Do jej głosu wkradł się ton zdziwienia z lekką nutą rozbawienia. – Chyba wyczuł coś, co mu się nie spodobało. Zawarczał i się cofnął. Oprócz głodu wyczułam w nim wtedy nienawiść i strach. Jakimś cudem sprawiłam, że on naprawdę zaczął się bać.

Sherin otworzyła oczy, zamrugła i szybko wytarła łzy.

– Potem zniknął, las, tygrys, wszystko nagle zniknęło, a ja znajdowałam się z powrotem w Grobowcu. Luralyn powiedziała mi, że minęło zaledwie kilka sekund. Ja... – Spojrzała znowu na swoje ręce. – Wyczułam zmianę w sobie. To było jak jasny, parzący płomień, a ja wiedziałam, co mogę zrobić, co muszę zrobić.

– Krwawiłaś? – spytał Vaelin, znowu dostrzegłszy bladość jej skóry.

– Trochę – odparła Sherin z nutą irytacji. – Dość, żeby znaleźć się w tym denerwującym stanie. Nie martw się, ciało z czasem dojdzie do siebie po utracie krwi.

– Twój dar jest niebezpieczny. Nie chodzi tylko o cenę, jaką za niego płacisz, ale o uczucia, które wzbudza w innych. Musisz być ostrożna, gdy go używasz...

– Dziękuję, milordzie. – Wróciło trochę znajomej niechęci, kiedy rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie. – Ale ten dar jest mój i ja będę decydować, jak najlepiej go użyć.

Vaelin z trudem zdusił impuls, żeby się spierać. Martwiło go jej współczucie. Jak ktoś taki będzie mógł się oprzeć używaniu daru mimo związanych z nim niebezpieczeństw?

– Ja tylko daję ci radę – powiedział jak najłagodniejszym tonem. – Przez większość życia miałem dar. Nie chciałbym, żebyś popełniła moje błędy. A było ich dużo, i to poważnych.

Sherin odwróciła wzrok i naciągnęła koc na ramiona.

– Muszę spać.

Vaelin patrzył, jak Sherin układa się na boku, plecami do niego, po czym wstał i ruszył do Derki. Zdjął uzdę, żeby ogier mógł skubać trawę, ale zostawił siodło, podejrzewając, że może będą musieli szybko odjechać. Czuł jedynie lekkie zmęczenie po tylu godzinach intensywnej jazdy, więc pełnił wartę, kiedy inni spali. Wiedział, że ten stan ożywienia jest skutkiem leczniczych zabiegów Sherin, i zaczął się zastanawiać, jak długo on potrwa. Wszystkie dolegliwości, które zaczynały go dopadać w ciągu ostatnich kilku lat, teraz minęły, a gdyby miał lusterko, pewnie zobaczyłby mniej zmarszczek wokół oczu.

– Młodość nie jest doceniana przez młodych – powiedział do Derki, głaszcząc go po chrapach. Ogier zarżał obojętnie, przeżuwając trawę, i opuścił łeb do ziemi.

\*\*\*

Jechali, aż zapadła noc. Luralyn przez cały czas utrzymywała kurs na zachód.

– Przypuszczam, że masz jakiś cel na myśli? – zagadnął ją Vaelin, kiedy cwałowali przez ciemną równinę.

– Step przechodzi w bagna na południowym brzegu jeziora Materhein – odpowiedziała. – Za jeziorem zaczynają się podnóża nadbrzeżnych gór.

– Zamierzasz przeprowić się przez moczary?

– Jest tam przejście znane tylko nielicznym ze skeldu Cova. Gdy już pokonamy bagna, skierujemy się na południe do Keshin-Kho. Mam nadzieję, że wyższy teren spowolni pościg. Mój lud to władcy stepu, a nie gór.

– Ta ścieżka przez moczary. Twój brat na pewno ją zna.

– Tak. – Luralyn zwolniła do kłusu, a Vaelin poszedł za jej przykładem. Zaczekała, aż inni znajdą się poza zasięgiem słuchu, i dopiero wtedy znowu się odezwała. – Mam pomysł, jak przeszkodzić w dalszym pościgu. – Mówiła szorstkim tonem kogoś, kto z wielką niechęcią dzieli się wiedzą. – Moja rodzina... ci ludzie, którzy z nami jadą, będą się sprzeciwiać, więc kiedy przyjdzie czas, będę cię potrzebować, żebyś ich poprowadził.

– Czy to znaczy, że nie pojedziesz z nami?

– Mój brat cię nie chce. Odpowiada mu, że jego wielki wróg jest poza zasięgiem, jako cel dla armii wyznawców. Ale mnie nigdy nie pozwoli uciec.

\*\*\*

Bagna okazały się jednym z najgorszych terenów, jakie Vaelin w życiu widział. Czarne chmury much unosiły się nad sadzawkami stojącej, pokrytej glonami wody z wysepkami wysokich trzcin, a wszystko to spowijała wieczna mgła. Nawet rzekomo bezpieczna ścieżka, którą prowadziła ich Luralyn, była nasiąknięta gąbką z mchu i torfu, tak że musieli zsiąść z koni. Dwa razy wyciągali jednego z towarzyszy Luralyn, gdy po nieostrożnym kroku wpadł do wody.

– Kiedy korzystaliśmy z tej ścieżki, wiedzieliśmy, że stracimy jednego jeźdźca albo dwóch – wyjaśniła Luralyn. – Przeprowa była czymś w rodzaju rytuału przejścia. Każdy Cova, któremu udało się pokonać tę drogę, żeby napadać na karawany wiozące rudę z gór, miał przed sobą wiele lat przechwałek.

– Czy Kehlbrand ją przebył? – zapytał Vaelin.

– Osiem razy. Dwa razy tyle co inni, jak można się spodziewać. Nigdy nie mógł się oprzeć przyćmiewaniu osiągnięć innych.

Jechali przez moczary przez cały dzień, aż w końcu zatrzymali się na dużej wyspie utworzonej z trochę twardszej ziemi. Na jej środku rośło samotne drzewo, wiotkimi gałęziami sięgając w zamglone niebo, jakby w rozpaczliwej nadziei na schwytanie odrobiny światła słonecznego.

– Kihlenie, myślę, że możemy zaryzykować ognisko – powiedziała Luralyn do pięknego bliźniaka. – Gdybyś był taki miły.

– Nie zdradzi nas przed zwiadowcami, pani? – zapytał chłopak, wymieniając zaniepokojone spojrzenie z siostrą.

– Och, wątpię. I nie nazywaj mnie tak.

Wyjęli pęki chrustu z plecaków, żeby rozpalić ognisko. Kihlen machnął ręką w stronę zgromadzonego drewna, posyłając w nie kulę ognia wielkości jajka. Płomienie buchnęły natychmiast, a ich ciepło przepędziło wilgotny chłód bagiennego powietrza.

Kiedy zapadła noc, spowijając ich nieprzeniknioną czarną zasłoną, zjedli posiłek złożony z suszonej wołowiny. Po kolacji Luralyn sięgnęła do kaftana i wyjęła z niego mały zwój. Podała go Vaelinowi. Rozwinąwszy go, Vaelin zobaczył mapę z drogą przez bagna prowadzącą w stronę serii wzgórz.

– Dwie mile dalej traficie na kolejne drzewo – powiedziała Luralyn. – To ważne, żebyście poszli ścieżką po prawej. Trzymajcie się wytyczonej trasy,

aż zobaczycie górę wyrastającą ponad mgłę. Kierujcie się prosto na nią, a dotrzecie do gór przed zapadnięciem nocy.

Eresa, drobna kobieta siedząca obok Luralyn, zmarszczyła brwi w całkowitej dezorientacji, która powoli zmieniła się w strach, kiedy dotarło do niej znaczenie tych słów.

– Czy to znaczy, że mamy cię zostawić? – spytała zdławionym głosem.

Luralyn na nią nie spojrzała, tylko odpowiedziała bezbarwnym tonem, wpatrując się w płomień ogniska:

– Tak.

Varij, krzepki młody mężczyzna siedzący po jej prawej stronie, wstał powoli, patrząc na nią z niedowierzaniem.

– Nie możesz mieć na myśli...

– Mogę. Muszę. – Luralyn wzięła głęboki wdech i oderwała wzrok od ogniska. Powiodła nim kolejno po swoich towarzyszach. – Podążacie za mną od lat. Ja rozkazuję, a wy słuchacie. Teraz mam dla was innego przywódcę. Idźcie z tym człowiekiem. – Wskazała skinieniem głowy na Vaelina. – Słuchajcie jego rozkazów, tak jak słuchalibyście moich. Moim życzeniem jest, żebyście pojechali do Keshin-Kho i zrobili wszystko, co w waszej mocy, by odeprzeć atak mojego brata, bo on z pewnością nastąpi.

– A ty? – zapytał Varij.

– Mój brat mnie nie skrzywdzi. Wiecie o tym. Przeprowadziłam was tutaj, żeby zorganizować waszą ucieczkę. Nigdy się nie łudziłam, że dla mnie będzie jakaś ucieczka. To mój ostatni rozkaz. Gdy nadejdzie ranek, zostawicie mnie tutaj i pojedziecie z tym człowiekiem.

– Nigdy nie podążaliśmy za tobą dlatego, że nam kazałaś – oświadczyła Eresa.

– Nie podążaliście za mną, bo byliście niewolnikami, bitymi i głodzonymi, wdzięcznymi za najmniejszą dobroć. Myśleliście, że was uwolniłam. Nie zrobiłam tego. To, że nie widzieliście łańcuchów, którymi was skułam, nie oznacza, że one nie były prawdziwe. To była tylko farsa, same kłamstwa. Ostrze Ciemności potrzebował was do swojej armii, potrzebował was, żeby przeciwstawić się władzy kapłanów. Byliście użyteczni, to wszystko.

– Jeśli to wszystko, dlaczego pozwalasz nam odejść? – zapytał Varij.

Vaelin zobaczył, że Luralyn szykuje się do wygłoszenia kolejnych okrutnych kłamstw, które miały zmusić ich, żeby ją znienawidzili, ale

słowa zamarły jej na ustach. Tak jak on zrozumiała, że nic, co powie, nie zniechęci do niej tych ludzi.

– Kiedy się pojawią, będą z nimi inni Obdarzeni, którzy naprawdę wierzą w boskość mojego brata – powiedziała.

– Więc będziemy z nimi walczyć – oświadczyły bliźnięta irytująco jednakowym tonem i z jednakowym przekonaniem.

– Tak jak walczyliśmy przedtem – dodała Eresa. – Stanęliśmy razem przeciwko armii króla, tak jak nas nauczyłaś.

– To beznadziejne! – krzyknęła Luralyn, wstając. – Nie rozumiecie? Będzie ich zbyt dużo. Stahlhastu i Obdarzonych. Za dużo, żeby ich pokonać. – Odwróciła się do Vaelina z rozpaczliwym błaganiem w oczach. – Powiedz im. Znasz wojnę. Wiesz, że jeśli tutaj zostaniemy, z pewnością spotkamy swój koniec.

Vaelin zacisnął wargi i się rozejrzył.

– Jeśli tu zostaniemy, tak. To kiepskie miejsce do obrony. Bagno przeszkodzi naszemu wrogowi, to pewne, ale przeszkodzi również nam. Tyłu Obdarzonych atakujących się nawzajem na wąskim skrawku gruntu przyniesie tylko katastrofę. – Podniósł mapę i wskazał miejsce na zachodzie, wśród gór. – Co to jest?

– Jedynie ponure ruiny – odpowiedziała Luralyn, zerkając na mapę. – Mój lud nazywa je Chatami Duchów. Kiedyś były domem dla ludzi, którzy pracowali w kopalni miedzi w pobliskich górach. Wszyscy lata temu padli ofiarą jakiejś zarazy. Po domach nadal walają się kości.

Vaelin wrócił spojrzeniem do ogniska i ściągnął brwi. Jego umysł rozpoczął znajomy proces planowania.

– Drewniane domy? – zapytał, patrząc na bliźnięta.

– Tak – odpowiedziała Luralyn ostrożnym tonem.

– Więc tam przygotowujemy się na atak. – Vaelin wstał i podniósł siodło Derki. – Możesz nas wyprowadzić z bagien po ciemku?

Luralyn milczała przez chwilę, patrząc na swoich towarzyszy; wszyscy mieli determinację na twarzy. W końcu westchnęła i powiedziała:

– Jeśli Kihlen i Jihla oświecą drogę, to tak.

– Zatem nie zwlekajmy. – Vaelin zarzucił siodło na grzbiet Derki. – Niech się pali – powiedział, widząc, że Varij szykuje się do zalania ogniska. – Nie można złapać lisa w pułapkę, jeśli on nie pójdzie za zapachem.

\*\*\*

Im dalej na zachód jechali, tym bardziej niebezpieczne stawały się bagna, a nogi wierzchowców z każdą milą coraz głębiej zapadały się w ziemię nasiąkniętą wodą. Bliźnięta oświetlały drogę pochodniami zrobionymi z nielicznych pozostałych patyków i czasami rzucały przed siebie płomienie, żeby przewodniczka mogła śledzić ich kurs. Mimo bolesnej powolności, z którą się poruszali, i ostrożnej nawigacji Luralyn, było pewne, że bagno spróbuje pochłonąć co najmniej jedną ofiarę.

Wystarczyło, że Juhkar zboczył ze ścieżki o kilka cali, a znalazł się w wodzie po pierś. Sądząc po bąbelkach, które otaczały jego szamoczącą się postać, i szybkości, z jaką tonął, trafił na łachę ruchomych piasków.

– Liny? – Vaelin szybko zdjął z siodła zwój sznura.

Było jednak za późno, bo głowa Juhkara zanurzyła się pod czarną oleistą wodę, podczas gdy jego długie ramiona jeszcze wymachiwały rozpaczliwie.

Głośny plusk przyciągnął wzrok Vaelina do końca kolumny, gdzie jeden z koni wskoczył do wody. Shuhlan stała na brzegu bez ruchu i w całkowitym skupieniu wpatrywała się w zwierzę. Wierzchowiec szybko dopłynął szybko do tonącego i chwycił go zębami za nadgarstek, zanim ten zniknął pod powierzchnią. Potem koń ruszył w stronę twardego gruntu. Juhkar wynurzył się na powietrze. Krztusząc się i plując, objął szyję zwierzęcia, które niosło go w bezpieczne miejsce. Blżej brzegu Vaelin i pozostali wyciągnęli ich z wody.

– Myślę – powiedział Vaelin, widząc, że Shuhlan wyciera strużkę krwi ciekącej z nosa – że byłoby pomocne, gdybym wiedział, jakie dary mają wszyscy w tym towarzystwie.

\*\*\*

Wydostali się z bagien o świcie cali i zdrowi i tylko Vaelinowi kiwała się głowa z wyczerpania. Pozwolił na krótki odpoczynek na łagodnym zboczu, przez cały czas zerkając w mgliste głębie moczarów i wypatrując oznak pościgu. Mimo pewności Luralyn musiał zobaczyć twarde dowody, że jej brat wysłał za nimi tropicieli. Teraz nie mógł żadnego dojrzeć. Widział tylko zielonoszary mrok bez blasku pochodni czy ludzkich sylwetek.

– Nadchodzą – powiedział Juhkar, zbliżając się do Vaelina. Jego twarz była pociemniała ze zmęczenia, ale oczy pozostały błyszczące i czujne, kiedy przeczesywał wzrokiem bagnisko. – Czuję to.

– Twoja... pieśń ci to mówi? – zaryzykował Vaelin.



Choć dostał krótki przegląd ich darów, prawdziwy charakter talentu tego człowieka do tropienia zdobyczy i wyczuwania niebezpieczeństwa został opisany bardzo ogólnie.

– Pieśń? – Juhkar zmarszczył brwi. – Nie. Ja to czuję. Jak wiatr na skórze albo żar ognia. Czasami mocniej, czasami słabiej. Dzisiaj – spojrzał Vaelinowi w oczy – to jest bardzo silne wrażenie.

– Wiesz, ilu ich jest? I jak daleko stąd są?

– Pół dnia jazdy po twardym gruncie, więc co najmniej dzień w tym błocku. Jeśli chodzi o to, ilu... – Wysoki mężczyzna wzruszył ramionami. – Więcej niż kilku, mniej niż armia.

Vaelin wskazał głową na łuk przytroczony do jego siodła.

– Jak dobrze potrafisz tego używać?

– Tak dobrze jak niewolnik, który dostawał chłostę, jeśli został przyłapany na ćwiczeniach. Ale poprawiłem się, odkąd Luralyn mnie przyjęła.

– Jeśli umiesz trafić w cel z pięćdziesięciu kroków, to wystarczy do naszych celów.

Zagonił ich do koni po zaledwie półgodzinnym odpoczynku i ruszył za Luralyn w stronę gór, które z każdą godziną robiły się coraz bardziej strome. Vaelin martwił się stanem Sherin, bo po zwieszanej głowie i przygarbionych ramionach widział, że opuszczają ją siły. Miał nadzieję, że powodem jest cuchnące powietrze bagien, a nie utrzymujące się skutki daru albo, co gorsza, konsekwencje dotknięcia kamienia.

Podróż do wsi, którą Luralyn nazywała Chatami Duchów, zabrała półtora dnia trudnej jazdy przez górzysty teren usiany kamieniami. Kiedy ukazała się osada, Juhkar stwierdził, że ich prześladowcy właśnie pokonali bagna i szybko zmniejszają dystans do swojej zdobyczy. Wioska składała się z dwunastu domów różnej wielkości, skupionych po zawietrznej, południowej stronie pasma. Budynki były stare, w większości bez dachów i drzwi, z pustymi oknami. Zgodnie z opisem Luralyn w każdym znajdowała się kolekcja ludzkich szkieletów. Na tle ruin kości wydawały się rażąco białe i czyste.

– Starzy i młodzi – zauważyła Sherin, kiedy razem z Vaelinem oglądała największy dom.

Była to jedyna dwupiętrowa budowla w wiosce, przypuszczalnie siedziba przywódcy albo urzędnika Kupieckiego Królestwa, które założyło tę osadę. Sherin patrzyła na dwa objęte szkielety leżące w dawnej kuchni, jak

przypuszczał Vaelin, dostrzegłszy zardzewiały żelazny piec, który stał w kącie. Obie czaszki, jedna duża, druga mała, były nachylone ku sobie, kości ramion splatały się w parodii uścisku.

Sherin ukucnęła, żeby spojrzeć na kręgosłup większej osoby, i skrzywiła się, mówiąc:

– Czerwona Ręka. Albo przynajmniej jakaś bardzo groźna jej odmiana. Infekcja zostawia na kościach karku ślady jak plaster miodu, ale nigdy nie widziałam ich tak wyraźnych.

– Czy nadal są niebezpieczne? – spytał Vaelin, zachowując bezpieczną odległość od szczątków, gdy nagle zaatakowały go wspomnienia Linesh.

– Kości nie są źródłem zarazy. – Sherin rozbawił jego lęk. – Obie kobiety. – Odwróciła się z powrotem do szkieletów i przesunęła dłonią po ich czołach. – Może matka i córka? Choroba musiała spustoszyć wieś w ciągu jednego albo dwóch dni. Szkoda, że nie ma czasu, żeby je zbadać.

– Rzeczywiście nie ma. – Vaelina trochę pocieszyło to, że z jej oczu nagle zniknęło otepienie i teraz błyszczały znajomym zaciekawieniem. Zawsze dziwiło go, że duszę tak bogatą we współczucie mogła fascynować śmierć z jej niezliczonymi przyczynami.

– Luralyn mówi, że kopalnia, w której pracowali ci ludzie, leży kilkaset kroków stąd – powiedział Vaelin. – Obie powinnyście się tam schronić, dopóki wszystko się nie skończy.

– Nie. – Sherin wstała i energicznie pokręciła głową. – Mogę być tutaj potrzebna.

– Właśnie to mnie martwi.

Sherin odwzajemniła jego spojrzenie spokojnym, ale równie nieustępliwym. Vaelin rozważał bardzo niemądry i jednocześnie wstydliwie kuszący pomysł, żeby ją związać i zanieść do kopalni, kiedy dobiegający z zewnątrz krzyk uczynił dalszą dyskusję zbędną.

– Idą! – zawołał Juhkar. – Są nie dalej niż godzinę drogi od nas. I jest ich więcej, niż myślałem.

## Rozdział dwudziesty szósty

Vaelin wspiął się po rozklekotanych schodach na piętro, spojrzął na zachodni szlak prowadzący do wioski i zmełł w ustach przekleństwo. Stahlhast zbliżał się pojedynczym rzędem, co ułatwiało policzenie go, kiedy Vaelin powiódł wzrokiem po kolumnie od końca do końca. Ponad stu wojowników w zbrojach. Obdarzeni zwolennicy Ostrza Ciemności jechali na czele razem z muskularną postacią w wysokim hełmie z piórem. Vaelin mógłby mylnie wziąć go za samego Kehlbranda, gdyby nie zapał, z jakim jeździec popędzał konia w górę zbocza, przez cały czas z irytacją poganiając tych, którzy jechali za nim.

Babukir, stwierdził Vaelin. Nadal wściekły z powodu złamanego nosa.

– Ilu?! – zawołała do niego z dołu Luralyn. Stała na ulicy otoczona ciasnym, ochronnym kręgiem przez swoją rodzinę.

– Za dużo.

Vaelin zszedł z piętra, dobywając miecza. Powiódł wzrokiem po wiosce umarłych, wypatrując kryjówek i osłoniętych nisz.

– Nie możemy ich pokonać – przyznał szczerze. – Ale możemy opóźnić na tyle, żeby uciec i zabić Obdarzonych, co, mam nadzieję, przeszkodzi w dalszym pościgu.

– Albo mogłabym do nich pójść i się poddać – rzuciła Luralyn. – Potargować się o wasze bezpieczne przejście...

– Nadchodzi twój młodszy brat – przerwał jej Vaelin. – Naprawdę myślisz, że możesz się z nim targować?

Luralyn westchnęła i wolno pokręciła głową.

– Mapa pokazuje wąski szlak biegnący górskim zboczem kilka mil na zachód stąd – powiedział Vaelin i zwrócił się do Varija: – Zabierz tam swoją panią i uzdrowicielkę. Jeśli nie dogonimy was w ciągu godziny, zrzuć tyle kamieni, ile zdołasz, żeby zablokować ścieżkę.

– Ja nie... – zaczęła Sherin.

– Dość! – warknął Vaelin. – Dzisiaj nie będzie tu żadnego uzdrawiania, tylko walka. Nie mogę walczyć i jednocześnie cię pilnować.

– On ma rację – stwierdziła Luralyn z niechętną akceptacją.

Wzięła Sherin za ramię i pociągnęła ją w stronę koni. Uzdrowicielka opierała się przez chwilę, patrząc na Vaelina z mieszaniną gniewu i troski, ale pozwoliła się zaprowadzić do wierzchowców. Wsiadła na kuca i odjechała, nie oglądając się, podczas gdy Varij i Luralyn jeszcze chwilę zwlekali, żegnając się z innymi Obdarzonymi.

– Nie traćmy ani sekundy więcej, niż to konieczne – powiedziała w końcu Luralyn i ruszyła.

Varij wymienił jeszcze jedno nieszczęśliwe spojrzenie z Eresą i przez chwilę wydawało się, że zsiądzie z konia, ale ona surowo pokręciła głową i wskazała na ich panią. Poblady tropiciel bez słowa pogalopował w ślad za Luralyn.

– Zaczynajcie od tamtego końca wioski i posuwajcie się naprzód – polecił Vaelin bliźniętom. – Odjedźcie, gdy tylko ostatni dom stanie w płomieniach. Wiatr wieje od grani, więc dmuchnie im dymem w oczy i zasłoni naszą ucieczkę. Shihlan, nastaw każdego konia, którego zobaczysz, przeciwko jeźdźcowi. Ereso, osłaniaj ją przez ten czas. Juhkarze, weź łuk i chodź ze mną.

– A jaka jest nasza rola? – zapytał Juhkar, sięgając po łuk i kołczan.

– Byłeś tropicielem – powiedział Vaelin. – Dzisiaj jesteś myśliwym, a my polujemy na Obdarzonych, jeśli potrafisz odnaleźć ich w dymie.

– Potrafię.

Ryk ognia przyciągnął wzrok Vaelina do wyżej położonej części wioski. Płomienie szalały w dwupiętrowym domu, wspinając się po ścianach w stronę dachu i produkując gęstą chmurę dymu.

– Ukryjcie się tam do czasu, aż się zbliżą – polecił Vaelin Shuhlan i Eresie, wskazując mieczem na studnie znajdujące się pośrodku wsi. – Kiedy zobaczycie, że biegniemy, zróbcie to samo.

Zaprowadził Juhlara do prostokątnej zagrody z luźnych kamieni, kiedyś przypuszczalnie chlewu albo innego pomieszczenia dla zwierząt. Ściany miejscami się zawaliły, tak że przez powstałe otwory Vaelin mógł zobaczyć dolną część wioski. W gęstniejących bagiennych wyziewach dostrzegł czterech jeźdźców z Babukirem w środku, rozpoznawalnym po zbroi, otoczonym przez trzech towarzyszy bez zbroi. Używa Obdarzonych jako straży przedniej, uznał Vaelin i sapnął z irytacją, gdy sobie uświadomił, że brat Kehlbranda nie jest kompletnym głupcem.

Znowu gwałtownie buchnął ogień i przez wioskę popłynęły świeże kłęby dymu, zasłaniając jeźdźców. Vaelin odczekał, aż połowa osady stanie

w płomieniach, i wtedy spojrzął na Juhkara, unosząc brew. Tropiciel wyciągnął strzałę z kołczanu i nasadził ją na cięciwę imponująco spokojnymi ruchami. W niskim przysiadzie ruszył do przodu i zatrzymał się na skraju muru, spuścił wzrok, a potem gwałtownie uniósł głowę w taki sposób, że Vaelinowi nasunął się obraz kota, który wyczuł mysz. Podążył za wzrokiem Juhkara, kiedy ten powoli uniósł łuk i naciągnął cięciwę. Był wdzięczny za ryk pożaru, który zagłuszył skrzypienie drzewca. Nie widział żadnych celów w szarej chmurze spowijającej teraz całą wieś, ale zauważył, że grot Juhkara przesuwają się równomiernie z lewa na prawo, a potem się zatrzymuje.

Tropiciel wypuścił strzałę i natychmiast wybiegł z osłony, a Vaelin tuż za nim. Dym zawirował wokół nich, a potem się rozwiął, odsłaniając krępego człowieka, który leżał na ziemi i oburącz ścisnął strzałę sterczącą z jego ramienia. Na ich widok wydał wściekłe warknięcie, a Vaelin rozpoznał w nim mężczyznę, który sparaliżował go w namiocie Kehlbranda po zamordowaniu Jadeitowej Księżniczki. Mamrocząc przekleństwa, ranny uniósł w ich stronę zakrwawioną drżącą rękę, ale umarł, kiedy Juhkar zrobił krok do przodu i przebił mu gardło drugą strzałą.

– Padnij! – krzyknął Vaelin, odpychając Obdarzonego na bok, gdy z dymu wyłoniła się duża sylwetka z szablą uniesioną do śmiertelnego ciosu.

Ostrze świsnęło tuż przy głowie Juhkara i zazgrzytało o klingę Vaelina, a on je odepchnął i wymierzył cios w twarz wojownika Stahlhastu. Mężczyzna jednak był szybki. Odskoczył do tyłu i sparował następne pchnięcie. Lord Wieży zamarkował uderzenie w ramię, a następnie w przysiadzie okręcił się w prawo, zakreślił mieczem duży łuk i wbił go w nogę przeciwnika.

Vaelin zostawił wrzeszczącego i krwawiącego wroga, pociągnął ze sobą Juhkara i razem wbiegli w dym. Ponad rykiem płomieni usłyszał wykrzykiwane rozkazy, a po nich głucho dudnienie kusz. Strzały przecinały powietrze, kiedy biegli w poszukiwaniu schronienia. Znaleźli je za zawaloną chatą, do której pożar jeszcze nie dotarł.

– Gdzie? – zapytał szeptem Vaelin, ale odpowiedź Obdarzonego zagłuszył donośny trzask pioruna.

Chwilę później Vaelin poczuł wilgotny pocałunek wilgoci na skórze i zobaczył ciemne chmury sunące ponad dymem.

– To ten stary drań Tuhla! – Juhkar zaklął, nasadzając na łuk następną strzałę.

Deszcz zaczął padać gęstymi strugami, dym wkrótce zrzedł i zmienił się w strzępiastą mgłę. Na szczęście ulewa była tak gwałtowna, że zapewniła trochę osłony, a Vaelin zobaczył, że trzech wojowników Stahlhastu biegnie nierozważnie obok ich kryjówek. Jednakże płomienie zmniejszyły się do pomarańczowego żaru, co oznaczało, że kończy im się czas.

– Biegnij na grań – rozkazał Vaelin. – Będę cię osłaniał.

Tropiciel chyba go nie usłyszał, bo znowu opuścił wzrok, kiedy dzięki swojemu darowi wypatrzył następną zdobycz.

– Zostaw – syknął Vaelin, wyciągając rękę, żeby go powstrzymać, ale było już za późno.

Juhkar uniósł głowę i już go nie było. Pochłoneła go przesuwająca się szara kurtyna deszczu. Vaelin mruknął z irytacją i rzucił się za nim w pościg, słysząc trzask kuszy kilka jardów przed sobą. Wypadłszy za róg, zobaczył, że tropiciel zatacza się do tyłu i rozpaczliwie próbuje nasadzić strzałę na łuk, a kobieta ze Stahlhastu idzie na niego, wymachując szablą. Za nimi leżało ciało starszego mężczyzny w niejednolitej skórzanej zbroi. Juhkar tym razem trafił go pierwszą strzałą, przeszywając mu szyję. Ranny zakaszłał krwią, zadrżał i znieruchomiał. Deszcz zmienił się w rzadką mżawkę.

Vaelin usłyszał krzyk i wrócił spojrzeniem do Juhkara. Tropiciel leżał na plecach z łukiem uniesionym jak kij i szykował się do odparowania śmiertelnego ciosu. Vaelin wyszarpnął zza pasa nóż myśliwski i rzucił nim w napastniczkę. Ostrze znalazło szczelinę z tyłu jej hełmu i zagłębiło się w niej po rękojeść.

Vaelin pociągnął Juhkara na nogi i popchnął go w górę wioski. Deszcz zupełnie ustał, nienaturalne chmury się rozwiały, zalewając scenę niemiłe widzianym światłem słonecznym. Wokół nich świstały strzały, ze wszystkich stron nadbiegali wojownicy Stahlhastu. Smugi dymu nadal unosiły się między szerniałymi domami, zapewniając im dostateczną osłonę, żeby mogli dotrzeć do studni.

Eresa i Shuhlan stały plecami do siebie pośrodku wsi, a błotnista ziemia wokół nich była zasłana trupami. Drżący ze strachu koń trącał chrapami stratowane ciało jeźdźcy. Kiedy Vaelin i Juhkar się zbliżali, zobaczyli, że wojownik Stahlhastu szarżuje na Eresę i wymierza pchnięcie lancą. Obdarzona uchyliła się przed wąskim ostrzem i chwyciła atakującego za

przedramię. Jasny pióropusz iskier sprawił, że Vaelinowi napłynęły do oczu łzy, a kiedy odpędził je mruganiem, stwierdził, że napastnik leży martwy, a ze szerniałej stali karwasza unosi się dym.

– Biegnijcie! – krzyknął. – Do koni!

Zanim kobiety zareagowały, powietrze wypełnił narastający ryk, a wioska zniknęła w chmurze żwiru i gruzu. Podcięty Vaelin zaczął koziółkować po ziemi, po czym nagle i gwałtownie zatrzymał się na cembrowinie studni. Wichura szalała jeszcze przez kilka sekund. Obok Vaelina przetoczyło się ciało Shuhlan z bezwładnymi kończynami i głową kołyszącą się na złamanej szyi.

Huragan ucichł równie szybko, jak się zaczął, gruz spadł na ziemię, rozwiały się resztki dymu. Vaelin zobaczył, że Eresa opiera się o brzeg studni, ale nigdzie nie ma śladu Juhkara.

– Gdzie jest moja cholerna siostra? – usłyszeli młody i wściekły głos.

Babukir z szablą w ręce prowadził konia przez ruiny. Za nim jechała nieuzbrojona kobieta odziana w strój z pogranicza. Wzrok miała utkwiony w Eresie. Jej twarz pokryta krwią po niedawnym użyciu daru była ściągnięta w nienawistną maskę, którą wszyscy prawdziwie wierzący rezerwowali dla heretyków.

– Zdrajczyń! – wykrzyknęła. – Jak mogłaś tak obrazić naszego pana?

– Och, idź się gzić z kozłem, Drehko – odpowiedziała Eresa ze znużonym westchnieniem.

– Zamknij się, ty zradziecka dziwko! – warknął Babukir, przenosząc wściekłe spojrzenie z Eresy na Vaelina. Konni i piesi podążali za nim, zalewając wioskę. – Gdzie ona jest? – zapytał, celując szablą w Lorda Wieży. – Nie będę pytał drugi raz, Złodzieju Imion.

Vaelin wstał i pokręcił szyją obolałą po kontakcie ze studnią.

– Więc nie pytaj – odparł, unosząc miecz.

Zobaczył, że na twarzy Babukira żądza krwi rywalizuje ze strachem. Brat Kehlbranda był świadkiem końca Obvara, zatem miał dość rozsądku, by ocenić prawdopodobny rezultat pojedynku, a duma nie pozwalała mu ryzykować.

– Zabić ich! – rozkazał. – Potem przeszukać to miejsce...

Podmuch żaru i świst powietrza zagłuszyły jego ostatnie słowa. Vaelin okręcił się błyskawicznie i zobaczył ognistą kulę wybuchającą wśród Stahlhastu. Wojownicy upadli, wijąc się w ogniu i krzycząc przeraźliwe. Następna kula pomknęła w stronę Babukira, ale on w samą porę uskoczył

w bok. Jadący za nim ludzie przyjęli na siebie główne uderzenie i kilkanaście postaci rozpoczęło szalony taniec w płomieniach.

Vaelin zobaczył, że Kihlen i Jihla nadchodzą z górnej części wioski, maszerując w idealnym zgraniu i miotając ogniste kule w szeregi Stahlhastu. Drehka, ze świeżą krwią ciekącą z nosa i oczu, popędziła konia i uniosła ręce. Niewidzialny bat zbił bliźnięta z nóg i otoczył wir, który wprawił je w ruch obrotowy. Gdy coś zabrzęczało w powietrzu blisko ucha Vaelina, rzucił się w bok i przykucnął, ale strzała nie była przeznaczona dla niego. Trafiła Drehkę w brzuch. Obdarzona zgięła się w pół i runęła z siodła, a wir, który pochłoniął bliźnięta, uspokoił się wraz z ostatnim uderzeniem jej serca.

– Szkoda – powiedział Juhkar, wychodząc z łukiem w ręce ze zburzonego chlewu. – Zawsze miałem wrażenie, że dość mnie lubiła.

– Pomóż mi. – Vaelin podbiegł, żeby pomóc Eresie wstać.

Razem z Juhkarem zanieśli ją w górę zbocza do koni. Kihlen i Jihla stali teraz na własnych nogach i odpierali Stahlhast ognistymi pociskami. Widząc ich coraz większą bladość i krew płynącą po twarzach, Vaelin wątpił, żeby jeszcze długo wytrzymali.

– Idźcie do koni – rozkazał. – Dość już zrobiliście.

Przebiegli obok dymiących zgliszczy dwupiętrowego domu, kierując się do zagrody, w której wcześniej zamknęli swoje konie, ale zatrzymali się na widok jeźdźców stojących na grani. Wiedział, że trzeba wysłać również siły na flankę, pomyślał Vaelin, a jego niechętny szacunek dla taktycznego zmysłu Babukira wrósł. Oceniał liczbę wojowników na blisko czterdziestu, za dużo, by liczyć na przedarcie się siłą, w każdym razie bez pomocy Obdarzonych, ale jedno spojrzenie na bliźnięta wystarczyło, by zrozumiał, że oboje są bliscy załamania.

– Możemy przynajmniej spróbować. – Jihla odczytała niewypowiedziane pytanie we wzroku Vaelina.

Ona i brat pokonali chwiejnie krótką drogę na szczyt, podtrzymując się nawzajem. Gdy unieśli ręce, jeźdźcy na grani najwyraźniej uznali to za jakiś sygnał, bo spięli konie i popędzili w dół zbocza w dwóch kompaniach uformowanych w wąski klin. Vaelin już miał pobiec do Derki, żeby zaatakować napastników z flanki, ale kiedy się zbliżyli, rozpoznał kolory ich zbroi.

– Nie! – wykrzyknął i pobiegł w stronę bliźniąt. – To przyjaciele.



Zdążył odciągnąć tych dwoje na bok, kiedy obok przemknęli pierwsi Czerwoni Zwiadowcy. W awangardzie dostrzegł kaprala Weia i Tsai Lina, a Sho Tsaia, Aluma i Nortaha tuż za nimi. Mijając go, brat uśmiechnął się szeroko i uniósł miecz w pozdrowieniu.

Prowadzący oddział Czerwonych Zwiadowców startł się bezpośrednio ze Stahlhastem, przejechał po pieszych i wprowadził zamieszanie w szeregi konnych, rozcinając ich już uszczuplone i poparzone siły na pół. Kiedy na środku wioski zapanował brzydki chaos, następni zwiadowcy rozdzielili się na dwa skrzydła, skręcając w lewo i w prawo, żeby przed przypuszczeniem właściwego ataku zasypać wroga gradem bełtów.

– Tęskniłeś za mną, wujku?

Obok niego pojawiła się Ellese i wraz z ostatnim słowem wypuściła strzałę w kotłującą się masę jeźdźców. Mógłby ją zbesztać za nieostrożność, gdyby nie był pewien, że pocisk trafi w cel.

– Mieliśmy towarzystwo – powiedział. – Sherin...

– Tam. – Ellese wskazała głową na grań. – Sehmon i Chien ich pilnują. Kamieniarz nas tu przyprowadził. To była ciężka jazda, muszę powiedzieć.

– Zabierz stąd tych ludzi – powiedział, wsiadając na Derkę.

Spodziewał się sprzeciwu, widząc, że dziewczyna jak zwykle pali się do walki. Zamiast tego krótko skinęła głową i zaczęła popędzać Obdarzonych na szczyt wzgórza, wykrzykując władcym tonem w dalekim od elegancji chu-shin, który świadczył o tym, że spędziła wiele dni w towarzystwie żołnierzy.

– Biegiem, leniwe dranie. Biegiem!

Potyczka właściwie się skończyła, kiedy Vaelin wjechał w jej środek. Zostało może dwudziestu przeciwników, walczących w trzech oddzielnych grupach z determinacją i zaciekłością, które świadczyły o pogodzeniu się z bliską śmiercią. Co najmniej dwunastu zwiadowców leżało martwych wśród ruin, ale Vaelin poczuł ulgę, kiedy zobaczył, że Alum i Nortah nadal walczą. Moreska, który nigdy nie był zapalonym jeźdźcem, w pewnym momencie zsiadł z konia, ale nie podziałało to na jego niekorzyść, sądząc po warstwie krwi pokrywającej jego włócznie. Vaelin poczuł przypływ dumy, gdy zobaczył, jak Nortah zręcznie uskakuje z drogi rozpaczliwie atakującego go wojownika Stahlhastu i zadaje precyzyjny i śmiertelny cios mieczem w szyję.

Inny przeciwnik o dzikich oczach i poparzonej twarzy chwiejnie zamachnął się na Vaelina żelazną maczugą. Derka, nieponaglany, stanął

dęba i przednimi kopytami rozbił nieszczęśnikowi czaszkę, nim ten zdążył zadać cios. Vaelin rozejrzał się za Babukirem. Dostrzegłszy cień w dolnej części wioski, popędził Derkę do galopu. Szybko przejechali przez wieś, ale luźne podłoże zmusiło ich do zatrzymania się. Babukir nie miał takich obaw, a Vaelina ogarnął podziw dla jego jeździeckiego kunsztu. Wojownik zjeżdżał po zboczu do doliny, nawet nie zwalniając. W ciągu paru sekund znalazł się poza zasięgiem pogoni, samotna postać galopująca w stronę wątpliwego bezpieczeństwa bagien.

– Co się stało z twoimi włosami?

Vaelin odwrócił się i zobaczył, że Nortah przygląda mu się ze zmarszczonymi brwiami.

– Moimi włosami?

– Była w nich siwizna, kiedy nas opuszczałeś. Nieduża, ale była. – Zmrużył oczy, podjechał bliżej i dotknął włosów Vaelina czubkiem miecza. – Teraz jej nie ma.

– Nie myłem ich od wielu dni, to wszystko. – Vaelin odepchnął miecz i odwzajemnił uśmiech Nortaha. – Dobrze cię widzieć, bracie.

– To miła odmiana. – Nortah wskazał skinieniem głowy malejącą postać Babukira. – Przyjaciół?

– Taki, którego spodziewam się znowu zobaczyć. – Razem ruszyli z powrotem w górę zbocza. – Pod warunkiem, że brat nie obedrze go ze skóry.

## Rozdział dwudziesty siódmy

Podróż do Keshin-Kho zabrała dwa dni wyteżonej jazdy. Wzgórza ciągnące się wzdłuż nadbrzeżnych gór były rzadko zaludnione, ale zaczęło się pojawiać więcej osad, kiedy skręcili na południowy wschód, a pagórki przeszły w zielone, trawiaste niziny poprzecinane licznymi plantacjami ryżu i pszenicy. Od Tsai Lina dowiedzieli się, że region jest nazywany Keshin-Ghol, Ogród Północy, i służy Północnej Prefekturze jako główne źródło żywności. Ludzie, których spotykali po drodze, byli w większości dobrze odżywieni i weseli, choć dobry humor opuszczał ich po ostrzeżeniach Sho Tsaia przed Stahlhastem.

– Ale oni nigdy się tutaj nie zapuszczali – zaprotestował pewien stary wieśniak, gdy kapitan zebrał mieszkańców, żeby go wysłuchali. – Tuhla czasami atakują karawany na wschodniej drodze, ale Stahlhast nigdy.

– Wszystko się zmieniło – odparł Sho Tsai. – Oni nie przybywają, żeby napadać. Przybywają, żeby podbijać. Zabijają każdego, kto odmówi kłaniania się ich fałszywemu bogu. I jeśli nawet darują wam życie, z pewnością nie oszczędzą waszych zbiorów. Armia musi jeść, a oni wiedzą, że w tej prowincji znajdują żywność.

– Co nam zrobią? – spytał starzec, przebijając się przez wystraszone trajkotanie innych wieśniaków.

– Zbierzcie tyle jedzenia, ile zdołacie, i wyślijcie je wozami do Keshin-Kho, gdzie będzie bardzo potrzebne. Resztę spalcie albo zniszczcie. Nie powinno zostać nic, co mogłoby pomóc wrogowi. – Sho Tsai zrobił pauzę i pozwolił, żeby przez jakiś czas rozbrzmiewały protesty, a potem rzucił twardym tonem: – Mówię z rozkazu króla Lian Sha i musicie mnie słuchać!

Te ostatnie słowa uciszyły protesty, ale widząc wyraz powątpiewania i nieufności na twarzach, Vaelin uznał, że perswazja nie poskutkowałą.

– Myślisz, panie, że to zrobią? – zapytał, kiedy opuścili wioskę. – Uciekną z domów, w których mieszkali całe życie, i spalą za sobą wszystko?

– Większość nie – przyznał kapitan. – A nie mam dość ludzi, żeby ich do tego zmusić. W naturze człowieka jest lekceważenie tygrysa u drzwi, póki

nie zobaczy go na własne oczy. Mogę jedynie ostrzegać i rozkazywać, w nadziei, że przynajmniej niektórzy mnie posłuchają.

Sho Tsai pobiegł spojrzeniem do Sherin, co często mu się zdarzało w czasie tej podróży. Krótka radość i ulga po znalezieniu jej żywej w krainie wzgórz zmieniły się w ostrożność, żeby nie rzec, że w zatroskanie. Według Vaelina Sherin odzyskała dużo swojej poprzedniej witalności, ale w jej oczach pozostał cień, a uśmiech był teraz rzadkością. Mimo jego protestów uparła się, żeby wykorzystywać swój dar i leczyć zwiadowców, którzy odnieśli poważne rany w potyczce ze Stahlhastem. Wszyscy doszli do siebie z wyjątkiem jednego człowieka z przeciętym kręgosłupem; jej umiejętności tym razem nie wystarczyły. Mimo to wciąż próbowała, a krew płynęła z jej oczu i nosa, kiedy zaciskała ręce na ziejącej ranie w plecach mężczyzny. Gdyby on i Sho Tsai jej nie odciągnęli, pewnie wykrwawiłaby się na śmierć, próbując go ocalić.

– Ona się zmieniła, to prawda – powiedział do Sho Tsaia, odczytując wyraz jego twarzy. – Ale nie tak bardzo, żeby stać się kimś zupełnie innym.

Po twarzy Sho Tsaia przemknął wyraz gniewu. Najwyraźniej kapitan nie chciał żadnych rad od dawnego kochanka kobiety, którą od dawna chciał uczynić swoją żoną, ale troska o nią powstrzymała go od wybuchu.

– To szczególne... błogosławieństwo – powiedział. – Widziałeś je wcześniej, panie?

– Tylko raz. U mężczyzny, którego znałem. Nie był wojownikiem, ale świetnie spisał się na wojnie.

– Zginął?

– Nie. Ale za dar zapłacił wysoką cenę. On... – Vaelin się zawahał, szukając słowa na opisanie tego, jaki stał się Tkacz, kiedy uzdrowił Sojusznika. Określenie „niehumaniczny” wydawało się okrutne, zważywszy na bezinteresowność tego człowieka. ale nie było również nieścisle. – Stał się niezdolny do życia wśród innych.

– Był taki niebezpieczny?

– Częściowo, choć w głębi serca był dobry. Ale chodziło o coś więcej niż tylko niebezpieczeństwo, które stanowił dla innych. Taka moc rodzi strach i zazdrość. Pragnienie władzy jest silne nawet wśród najmądrzejszych władców.

Zobaczył, że Sho Tsai robi się jeszcze bardziej zaniepokojony, bez wątpienia na myśl o prawdopodobnej reakcji swojego króla.

– Król jest mądry – powiedział Vaelin i nie dodał „ale również bezwzględny”, bo kapitan wiedział o tym dużo lepiej od niego. – Myślisz, że cię ukarze, panie? Przecież nie wieziemy mu Jadeitowej Księżniczki.

– Zrobi to, co trzeba zrobić – odparł Sho Tsai, prostując plecy. – A ja przyjmę jego niezrównaną mądrość i władzę pobłogosławioną przez niebiosy. Księżniczka umarła, ale Oświecone Królestwo nadal trwa i będzie trwać, póki starczy mi sił, by trzymać miecz.

\*\*\*

Żelazna krata zachodniej bramy Keshin-Kho uniosła się, odsłaniając trzy tysiące żołnierzy w pełnych zbrojach tłoczących się na dziedzińcu. Vaelin dostrzegł ich jeszcze więcej na ulicach dolnego poziomu miasta i na blankach kolejnych murów. Ich zbroje różniły się kolorami od szarości do zieleni, ale każdy oddział stał w równych szeregach pod chorągwią króla.

Kiedy Sho Tsai przejechał przez bramę, cała armia wydała okrzyk, oficjalne powitanie wyższego oficera. Świeżo mianowani gubernator Neshim i dowódca garnizonu Deshai wyszli na spotkanie kapitana, a on zatrzymał konia i z wyraźnym oszołomieniem spojrzął na zgromadzone wojsko. Gubernator miał na sobie ozdobną, ale źle dopasowaną zbroję, która trochę pobrzękiwała, kiedy on i Deshai ukłonili się Sho Tsaiowi.

– Generale Tsai. – Gubernator Neshim wyprostował się, ale głowę trzymał nadal opuszczoną, kiedy zbliżył się do Sho Tsaia i podał mu tubę z pieczęcią króla.

Kapitan wziął tubę i wyjął z niej zwój. Po krótkiej chwili głębokiego szoku błyskawicznie się opanował i przybrał maskę surowego oficera. Przywołał gestem Vaelina i Tsai Lina.

– Zdaje się – powiedział, podając zwój synowi – że król mianował mnie generałem północnej armii i przysłał trzydzieści tysięcy ludzi dla wzmocnienia garnizonu Keshin-Kho.

– Gratulacje – powiedział Vaelin w języku królestwa, żeby nie zrozumieli go zgromadzeni żołnierze. – Ale wie pan, generale, że trzydzieści tysięcy nie wystarczy.

– Król zapewnia nas, że więcej wojska jest w drodze – odezwał się Tsai Lin, podnosząc wzrok znad zwoju. – Zdaje się jednak, że były kłopoty w środkowych prowincjach. Tyle ludzi uciekło na południe, że nie ma dość jedzenia, by ich wykarmić. Wspomina się o rozruchach, a nawet o rebelii.

– Poza tym – dodał Sho Tsai, odbierając zwój – gdybym miał tylko pięćdziesięciu ludzi, i tak spróbowałbym utrzymać to miasto, bo tak rozkazuje król. – Skinieniem głowy wskazał na Luralyn i jej towarzyszy. – I nie zapominajcie o naszych nowych i bardzo użytecznych sojusznikach.

Odwrócił się z powrotem do Neshima i dowódcy garnizonu, którzy nadal stali z pochylonymi głowami.

– Gubernatorze, potrzebuję kompletnego spisu wszystkich zapasów oraz pełnego i dokładnego spisu wszystkich przebywających w tych murach. Proszę mi je dostarczyć do jutra w południe.

Neshim pokiwał głową.

– Oczywiście, generale.

– Komendancie Deshai – ciągnął Sho Tsai – niniejszym powierzam panu dowództwo trzech regimentów kawalerii i rozkazuję panu pilnie udać się do Keshin-Ghol. Mieszkańcy mają zgromadzić zbiory i przywieźć je tutaj. Wszystko, co mogłoby pomóc wrogowi, ma zostać spalone albo zniszczone. Wszystkie studnie trzeba zatruć. – Nowy generał zrobił minimalną pauzę, której pewnie nie zauważył nikt oprócz Vaelina i Tsai Lina. – Każdy poddany, który odmówi wykonania tego rozkazu, zostanie stracony na miejscu.

\*\*\*

– Mój brat wyśle Tuhłę do Keshin-Ghol – powiedziała Luralyn. – Kradzieże i terror to ich główne zajęcia. Stahlhast i jego armia wiernych zwolenników przyjdą tutaj.

– Kiedy? – zapytał Sho Tsai, nie podnosząc wzroku znad dużej mapy rozłożonej na stole. Znajdowali się w dawnej bibliotece gubernatora Hushana. Sądząc po zaskakująco małej liczbie książek na zwojach, ale za to obfitości map, Vaelin doszedł do wniosku, że Hushan bardziej interesował się kwestiami militarnymi niż literaturą.

– Gdy tylko będą mogli pomaszerować przez step – odpowiedziała Luralyn.

Vaelin odniósł wrażenie, że postarzała się od czasu potyczki w wiosce, a resztki dziewczęcości zastąpiły ściągnięte rysy kobiety pogrążonej w żalu. Podejrzewał, że chodziło nie tylko o śmierć Shuhlan, choć w jej oczach był widoczny ból po utracie osoby, którą traktowała jak członka rodziny.

Straciła brata, pomyślał. Wszystkie więzy z człowiekiem, który teraz uważa siebie za boga, zostały zerwane. Ona nie może wrócić do swoich.

– On nie ma powodu dłużej czekać – ciągnęła Luralyn z posępną miną, patrząc na południowe krańce Żelaznego Stepu. – Nie zostały już żadne twierdze do zdobycia, miasta do przejścia, rywalizujące plemiona do podbicia albo przekupienia. Poza tym... – Wzruszyła ramionami na pół przepraszająco, na pół z ubolewaniem. – On wie, że tu jestem. Może byłoby lepiej, gdybyście mnie odesłali.

– Nie. – Sho Tsai energicznie pokręcił głową. – Mając tutaj panią, możemy odczytywać jego zamiary. Oczywiście pod warunkiem, że pani zostanie.

Luralyn zamrugnęła zdziwiona.

– Puścilibyście mnie?

– Uważam, że byłoby najlepiej nie antagonizować pani przyjaciół pobłogosławionych przez niebiosa, a ich pomocy również będę potrzebował. Lepiej, żeby została udzielona dobrowolnie.

– Oni jej udzielą – zapewniła go Luralyn. – Podobnie jak ja.

Wargi Sho Tsaia drgnęły w grymasie, który mógł być uśmiechem wdzięczności. Potem generał odwrócił się do Vaelina.

– A ty, panie? Niezależnie od klęski twoja misja dla króla jest zakończona. Mogę wydać przepustkę gwarantującą panu wolny przejazd przez Czcigodne Królestwo. Za parę tygodni może pan być na statku płynącym do domu.

Zdumienie Vaelina dorównywało zaskoczeniu Luralyn. Zareagował na nie smutnym śmiechem. Szybko jednak się opanował, kiedy dostrzegł niewypowiedzianą sugestię w oczach Sho Tsaia: „Zabierz Sherin i jedź”.

– Ona nie pojedzie – stwierdził. – Wie pan o tym. Ja również. Widziałem dość, żeby mieć pewność, że tego człowieka trzeba pokonać. Jeśli nie zostanie zatrzymany tutaj, prawdopodobnie za kilka lat będę z nim walczył na murach mojej własnej wieży.

– Dobrze. – Sho Tsai przeniósł wzrok na zwój leżący na stole. – Gubernator Neshim może nie jest najbardziej stanowczym człowiekiem, ale jego talenty buchalteryjne są wyjątkowe. I okazał się dostatecznie bystry, żeby gromadzić zapasy podczas naszej nieobecności. Zgodnie z jego wyliczeniami możemy wytrwać tutaj przez co najmniej trzy miesiące. Dłużej, jeśli komendant Deshai wróci z Keshin-Ghol z żywnością.

– Kehlbrand nie będzie próbował wziąć nas głodem – odezwała się Luralyn. – Możecie wypełnić swoje magazyny po brzegi, a to i tak nie będzie miało znaczenia. Mój lud ma niewiele cierpliwości czy umiejętności oblężniczych. Kiedy on przyjdzie, będzie jak burza i nie zatrzyma się, póki nie zdobędzie tego miasta.

– Ilu Obdarzonych jeszcze ma? – zapytał Vaelin.

– Jeszcze tylko troje ze znalezionych przeze mnie. Segha to kobieta z pogranicza, która potrafi zasiewać kłamstwa w umysłach ludzi, a oni uważają je za całkowicie prawdziwe. Lehkis to Tuhla i ma dobrą rękę do metalu. Użyteczna, jeśli chodzi o rzemiosło, ale nic ponadto. Morheld to Stahlhast, który uchronił się przed kapłanami, przez całe życie udając szaleństwo, do tego stopnia, że stało się ono prawdą. Potrafi wyciągnąć krew z każdej żywej istoty, zostawiając tylko suche kości i skórę. Ale jest ich więcej, a ja nie brałam udziału w ich rekrutowaniu. Odkąd Kehlbrand ma własny dar, nie potrzebował mnie już do wyszukiwania innych z Boską Krwią. Ilu ich jest i co potrafią, nie wiem.

I ma kamień, dodał w duchu Vaelin. Ilu dotknęło go na rozkaz Ostrza Ciemności i jakie dary dostali, jeśli nie zginęli?

– Trzeba się z nimi rozprawić – stwierdził. – I to szybko, jeśli mamy mieć szansę utrzymać to miejsce.

– Zostawię tę kwestię w pani rękach – rzekł Sho Tsai. – Dai lo Tsai przejmie dowództwo nad Czerwonymi Zwiadowcami i zadba o pani bezpieczeństwo z pomocą lorda Vaelina.

– To nie wystarczy – powiedział Vaelin. – Kehlbrand zna wartość naszych Obdarzonych, tak jak my znamy jego.

– Będę potrzebował każdego wyszkolonego żołnierza na murach. Komendant Deshai był bardzo sumienny w rekrutowaniu i szkoleniu oddziałów milicji – generał znowu spojrzał na zwój od gubernatora – ale zdaje się, że jest tylko jedno źródło, z którego możemy czerpać. Lord Nortah miał dużo do opowiadania na szlaku. Jedna rzecz szczególnie zwróciła moją uwagę. Sądzę, milordzie, że jest pan doświadczony w robieniu żołnierzy z szumowin.

\*\*\*

– Dlaczego oni zawsze cuchną? – Nortah się skrzywił, kiedy otworzyły się ciężkie drzwi do mrocznych krypt, które służyły jako lochy Keshin-Kho.



– Z pewnością gdzieś na świecie musi być czyste więzienie.

– Cuchnie, bo ludzie w nim srają – powiedział Sehmon, najwyraźniej zaskoczony tym, że lord Nortah nie rozumie oczywistej rzeczy.

– Oczywiście. – Nortah poklepał go po ramieniu. – Chłopcze, najwyraźniej minąłeś się z powołaniem. Tak wielka wnikliwość czyni z ciebie doskonałego kandydata do Trzeciego Zakonu. Z pewnością napiszę list polecający, kiedy tylko wrócimy do królestwa.

– Nie chcę wstępować do Trzeciego Zakonu – oświadczył były wyrzutek, marszcząc brwi.

– Na tyłek ojca! – mruknęła Ellese, z rezygnacją kręcąc głową. – Dlaczego ładni zawsze muszą być cymbałami?

– Ilu ich jest? – zapytał Vaelin gubernatora, który wydawał się jeszcze mniej odporny na cuchnące wyziewy niż Nortah.

– Trzystu czterdziestu ośmiu – odparł Neshim z pobladłą twarzą. – Przy ostatnim liczeniu.

– Ich przestępstwa?

– Och, jak zwykle. Kilku bandytów, choć nie aż tak wielu, bo na ogół są natychmiast traceni. Reszta to złodzieje i żebracy, a do tego kilku przemytników. Ci są najgorsi. Wszyscy należą do tego samego bractwa, więc nigdy nie donoszą na siebie nawzajem i trzymają się razem, jeśli dochodzi do walk tutaj na dole. Na ogół zostawiamy ich samym sobie. Mniej pracy dla kata.

– Czy to bractwo ma jakąś nazwę?

– Zielone Żmije. Są plagą pogranicza, odkąd pamiętam. Niektórzy mówią, że istnieją od czasów Szmaragdowego Imperium.

Vaelin skierował pytające spojrzenie na Chien.

– Znasz te nazwę?

– Tak. Karmazynowa Banda robiła z nimi w przeszłości interesy i również z nimi walczyła, jak to często bywa.

Vaelin skinął głową i zwrócił się do gubernatora.

– Ma pan dokument?

Neshim wyciągnął z rękawa zwój i podał go Lordowi Wieży.

– Nie – powiedziała Chien. – Będą musieli usłyszeć, jak czyta go gubernator. – Posłała Vaelinowi przeproszający uśmiech. – Słowo cudzoziemskiego barbarzyńcy nie ma takiej wagi.

– Mam tam wejść? – Neshim zbladł jeszcze bardziej, zaglądając w mroczne zakamarki.

Tylko kilka promieni słońca przecinało ciemność, a jedynym dźwiękiem był szmer cichych oddechów. Mieszkańcy tego miejsca najwyraźniej starali się nie zwracać na siebie niczyjej uwagi.

– Będzie pan miał naszą ochronę – zapewnił go Vaelin.

Wszedł do lochów, zatrzymał się i spojrzał na gubernatora z wyczekującym uśmiechem. Jednakże Neshim zgodził się iść dopiero wtedy, gdy Alum i Nortah stanęli po jego bokach i popchnęli go do przodu uprzejmie, ale zdecydowanie.

W miarę jak szli w głąb piwnic, zmieszane oddechy stawały się głębsze. Słysząc też było szuranie nagich stóp na kamieniach. Vaelin widział w mroku tylko niewyraźne kształty, a tam, gdzie docierało skąpe światło, również podarte łachmany i niemytą skórę. Zaczekał, aż Nortah i Alum przyprowadzą gubernatora, a wtedy dał mu ręką znak, żeby odczytał zwój.

– Ja... – zaczął Neshim, ale głos mu się załamał, a na czoło wystąpił pot, zdradzając, że chodzi nie tylko o odór tego miejsca. – Ja... – spróbował znowu po przełknięciu śliny – mianowany gubernatorem tego miasta dzięki mądrej wspaniałomyślności króla Lian Sha...

– Powiedz nam, czego chcesz, ty chciwy kutasie! – zawołał głos z ciemności.

Były w nim moc i pewność siebie, które nie pasowały do tego miejsca. Odpowiedział mu krótki wybuch śmiechu niewidocznych współwięźniów. Ale był to rechot przestraszonych ludzi i szybko ucichł.

– Hm. – Zwój zaczął drzeć w rękach Neshima.

– Nadchodzi Stahlhast – odezwała się Chien, stając przed gubernatorem. – Psy chcą, żebyście walczyli w ich armii i bronili tego miejsca. Każdy, kto będzie walczył, zostanie ułaskawiony. Powiedzcie „nie”, a zostawię was tutaj, żebyście zgnili. I nie będzie więcej jedzenia.

– Spodziewacie się, że zaufamy słowu tego człowieka? – zapytał ten sam głos, uciszając falę szeptów. – Połowa z nas jest tutaj tylko dlatego, że nie może sobie pozwolić na łapówkę dla niego.

– Kłamstwa! – krzyknął Neshim, choć drżący głos i coraz bardziej spocone czoło wyjaśniały jego wcześniejszą niechęć. – Ja mówię, żeby zostawić tutaj te szumowiny, milordzie. – Wyprostował się i spróbował przybrać władczy ton. – Oni nie zasługują na zaszczyt walki za króla...

– Proszę milczeć – przerwał mu Vaelin. Wyjął zwój z jego ręki i wskazał głową na drzwi. – Proszę wyjść. Ja się tym zajmę.

Na twarzy gubernatora ulga przez chwilę walczyła z urażoną dumą, a potem Neshim odwrócił się i wymaszerował z krypty sztywnym krokiem stanowiącym marną próbę godnego wyjścia.

– Nie znacie mnie – zaczął Vaelin, a jego głos rozbrzmiał echem w piwnicach. – Jak widzicie, jestem cudzoziemcem. A to... – uniósł zwój – ...tylko kawałek papieru. Więc zadajcie sobie pytanie: dlaczego mielibyście mi zaufać?

– Właśnie, dlaczego?

Tym razem właściciel głosu się ujawnił. Vaelin był zaskoczony jego młodością. Rok albo dwa po dwudziestce, średniego wzrostu, ale niezwykle szczupły, o wyraźnie zarysowanych mięśniach widocznych przez dziury w łańchmanach, które miał na sobie.

– Należysz do Zielonych Żmij? – spytał Vaelin.

Szczupły mężczyzna zmrużył oczy, a jego usta drgnęły w grymasie wyzywającego rozbawienia.

– Nigdy o nich nie słyszałem.

– Słyszałeś o Karmazynowej Bandzie? – włączyła się Chien.

Uniosła ręce, jedną zacisnęła w pięść i postukała w nią dwoma palcami drugiej, po czym wolno przesunęła nimi do nadgarstka. Mężczyzna zachował obojętną minę, ale Vaelin dostrzegł w jego oczach błysk rozpoznania.

– Mówię jako ta, która przez całe życie chodziła bezimienną drogą – ciągnęła Chien, kierując głos w głąb lochów. – I mówię prawdę. To nie jest kłamstwo. Jaki byłby jego cel? Nie kocham tego człowieka. – Wskazała na Vaelina. – Jego przybycie do tego kraju spowodowało śmierć mojego ojca i upadek Karmazynowej Bandy. Ale on jest wojownikiem o wielkiej sławie na barbarzyńskim wschodzie, a ja widziałam, jak walczy, i jestem gotowa zaświadczyć o jego umiejętnościach i o tym, że nie złamie słowa. Przysięgam jako córka Pao Lena z Karmazynowej Bandy, że możecie mu zaufać. Wybór należy do was: zaryzykujcie i uwierzcie w jego słowo, a może przeżyjecie. Albo, co bardziej prawdopodobne, zginiecie w walce. Z pewnością nie umrzecie z głodu we własnych odchodach.

W mroku odezwały się liczne głosy i więcej więźniów pojawiło się w świetle. Wielu z nich kłaniało się w służalczym posuszeństwie, podczas gdy inni łypali podejrzliwie. Niezależnie od gotowości, wychudzenie i opłakany stan większości z nich kazał Vaelinowi się zastanowić, jaki może być z nich pożytek jako żołnierzy. Wypatrzył wśród nich kilku krzepkich

osobników, ale ci stali za chudzielcem, który pozostawał równie obojętny jak wcześniej.

– Zamknąć się, wy lizusowskie gnojki! – warknął mężczyzna, a więźniowie natychmiast ucichli. – Słyszałem o Pao Lenie – zwrócił się do Chien. – Słyszałem, że zginął z rozkazu króla.

– Tak – potwierdziła Chien. – A sam król powiedział mi, pod jakim był wrażeniem, że mój ojciec nie zdradził ani jednego imienia w czasie długich godzin tortur, zanim kat go dobił, nawet imion tych, których przez wszystkie swoje dni nazywał wrogami. Zapamiętajcie to i wiedźcie, że jego krew płynie we mnie. Karmazynowa Banda nigdy nie łamie słowa.

Przemytnik odwrócił się do grupy stojących za nim krzepkich mężczyzn i ściszył głos w czasie krótkiej rozmowy z nimi.

– Jeśli będziemy walczyć, dostaniemy zapłatę – oświadczył, zwracając się tym razem do Lorda Wieży. – Taką samą jak inni żołnierze. I... – na jego wargach zatańczył uśmiech – zostanę kapitanem.

– Tak co do zapłaty – powiedział Vaelin. – Nie co do stopnia kapitana. Możesz zostać kapralem.

Wytrzymał wzrok młodzieńca, szukając w nim śladów wyzwania. Gdyby je dostrzegł, więzień musiałby zostać pobity albo najprawdopodobniej zamordowany, żeby innych przywołać do porządku. Jak zauważył Sho Tsai, Vaelin robił to już wcześniej.

– A więc kapral – zgodził się przemytnik, udowadniając przynajmniej, że jego bunt nie oznacza głupoty.

– Masz jakieś imię? – zapytał Vaelin.

– Cho-ka.

„Sztylet albo nóż o cienkim ostrzu”, przetłumaczył Vaelin. Wątpił, czy ten człowiek urodził się z takim imieniem. Nie żeby to miało znaczenie.

– Kapralu Cho-ka, uformować tych ludzi w jaki taki porządek i wyprowadzić z lochów. Pójdziecie za mną do kanału. Czuję, że kąpiel jest bardzo potrzebna.

## Rozdział dwudziesty ósmy

– Utworzyć krąg!

Rozległ się brzęk zbroi i tupot, kiedy kompania próbowała wykonać manewr, którego uczyła się w ciągu trzech dni będących prawdziwą torturą. Vaelin zobaczył, że kilku rekrutów zderza się z kolegami, gubiąc przy okazji włócznie. Kontrast z innymi regimentami trenującymi musztrę na centralnym placu rzucał się w oczy. Nawet stosunkowo świeże oddziały milicji śmiały się z niezdarnych prób wyrzutków, żeby zostać żołnierzami. Ogólnemu wrażeniu bałaganu zdecydowanie nie pomagał wygląd tego wojska. Jako że garnizonowy magazyn był już ogołocony z ekwipunku, posłuchano rozkazu Vaelina, by zadowolić się tym, co zostało. W rezultacie ci ludzie maszerowali w zbrojach różniących się kolorami i w niejednakowych hełmach, od całkiem prostych po bogato zdobione. Identyczna była tylko broń: włócznie o wygiętych ostrzach i długości sześciu stóp, a do tego krótkie miecze. Vaelin miał nadzieję, że znajdzie wśród tej hałastry łuczników, ale w zbrojowni zabrakło kusz.

– Powiedziałbym, że to przypominało zaganianie kotów – rzucił kapral Wei z kwaśnym grymasem – gdybym nie uważał, że koty byłyby lepszymi żołnierzami.

Trzeba było pełnych dwóch minut, żeby oddział uformował jakiś rodzaj kręgu, i jeszcze dwóch, by stworzył coś, co mogłoby wytrzymać szarżę kawalerii.

Vaelin stłumił westchnienie, patrząc na spocone twarze. Mimo całej amatorskiej niekompetencji większość przynajmniej się starała. Widywał to już wcześniej: zdesperowane dusze czekające na pewną egzekucję często reagowały wdzięcznością i lojalnością, gdy proponowano im uwolnienie i szansę odkupienia, nie wspominając o regularnych posiłkach i łóżku do spania. Pewnego dnia mogliby być dobrymi żołnierzami. Gdybyśmy mieli czas, pomyślał. Ale czas działał przeciwko nim, a ci ludzie nie mieli zostać uratowani przez dowódcę o miękkim sercu.

– Za wolno – powiedział do Weia. – Dwa razy biegiem wokół placu. I chłosta dla każdego, kto odpadnie.

Został jeszcze godzinę, musztrując i karząc rekrutów, aż zaczęli się słać z wyczerpania.

– Jedna godzina na odpoczynek i jedzenie – rozkazał na koniec, zwracając się do kaprała. – Potem zabierzcie ich za mury i każcie maszerować na południe wzdłuż kanału przez dziesięć mil. Ten, kto nie wróci przed zapadnięciem nocy, będzie spał pod gołym niebem.

– Jest pan pewien, milordzie? – zapytał Wei. – Wśród nich jest dużo możliwych dezertersów.

– Dajcie im do zrozumienia, że zwiadowcy Stahlhastu urządzają sobie wielką zabawę ze zbiegami – odparł Vaelin. – Poza tym każdy, kto ucieknie, wyświadczy nam przysługę. Skoro tchórzają teraz, jest mała szansa, że wytrwają później.

Znalazł Ahm Lina pobierającego od Aluma lekcję posługiwania się włócznią. Kamieniarz zawsze mógł się poszczycić krzepą, a teraz mięśnie jego przedramion napinały się imponująco, kiedy wbijał włócznię w worek ziarna. Jednakże, choć był silny, to już nie młody i nie miał doświadczenia w wojaczce. Jego pierwsze pchnięcia były szybkie i celne, lecz po zaledwie kilku minutach wysiłku stały się wyraźnie wolniejsze i mniej dokładne.

– Naprawdę nie musisz tego robić – powiedział mu Vaelin. – Alum i Sehmon będą cię strzegli, kiedy przyjdzie pora.

Prawdę mówiąc, wolałyby trzymać Ahm Lina najdalej od walki, jak to możliwe, ale korzyści wynikające z jego pieśni były zbyt duże. Poza tym kamieniarz okazywał wyraźną awersję do unikania tego typu niebezpieczeństw.

– Mężczyzna powinien być zawsze otwarty na nowe umiejętności – powiedział Ahm Lin i uniósł włócznię do następnej próby, uśmiechając się i sapiąc.

– W jego duszy nie ma zabijania – rzucił po alpirańsku Alum do Vaelina. – On bardzo się stara, ale nie jest wojownikiem.

– I również mówi płynnie twoim językiem – powiedział Vaelin, widząc, że Ahm Lin się krzywi. Położył dłoń na jego ramieniu, a Alum zakaszłał zakłopotany. – Jakaś zmiana?

Kamieniarz pokręcił głową.

– Jedynie melodia, która mówi o zbliżaniu się kłopotów. Ale nie potrzebujesz mojej pieśni, żeby to wiedzieć. Jestem pewien.

Vaelin pokiwał głową i odszedł.

– Znajdź mnie, kiedy coś się zmieni.

Ellese i Nortah ćwiczyli na północnych blankach zewnętrznego muru. Obok nich leżał duży zapas strzał, a oni strzelali do celu ustawionego w odległości dwustu kroków na krzewiastej równinie, która otaczała miasto.

– Znowu nie trafiłeś, milordzie – stwierdziła Ellese z krótkim uśmiechem i szybko przywołała na twarz wyraz udawanej troski. – Może oczy cię zawodzą. To normalne u starszych, tak mi mówiono.

– Za bezczelność chłostałem trzcinką uczniów starszych od ciebie – odparł Nortah, ale jego ton pozostał łagodny.

Nasadził strzałę na cięciwę i ją wypuścił, poruszając się bez wysiłku z siłą i precyzją doświadczonego łuczника. Vaelin podążył wzrokiem za drzewcem, które zakreśliło łuk i wbiło się w środek tarczy.

– Dobrze – powiedział. – A teraz przesuniecie ją o kolejne pięćdziesiąt jardów.

– Nie możemy być pewni, że zabijemy z takiej odległości – zauważył Nortah. – Nie wspominając o trudności znalezienia konkretnego celu w bitewnym zamieszaniu.

– Będziecie mieli Juhkara do wskazywania celów – odparł Vaelin. – A jeśli chodzi o pewność, mam pewien pomysł.

\*\*\*

Na naleganie Sho Tsaia Sherin zorganizowała prowizoryczną lecznicę w największej ze świątyń, a pomogła jej w tym grupa miejscowych uzdrowicieli. W większości byli to mnisi i zakonnice z różnych niebiańskich zakonów. Jedna twarz okazała się znajoma.

– Proszę chwilę poczekać – powiedział Vaelin do Chien. Wzruszyła ramionami i znalazła ocieniony kąt, podczas gdy on podszedł do przystojnej kobiety niosącej kosz na pranie i rzekł z ukłonem: – Matka Wehn. Jest pani daleko od Wysokiej Świątyni.

Uśmiech, który mu posłała, był słaby, urodziwe rysy miała ściągnięte od hamowanego żalu.

– Po pańskiej wizycie mój zakon spędził wiele godzin na kontemplacji – powiedziała. – Uznałyśmy, że nie godzi się siedzieć bezczynnie w domu, skoro mogłybyśmy pojechać na północ w słabej nadziei, że w jakiś sposób jej pomożemy. – Opuściła głowę. – Za długo czekałyśmy.

– Sądzę, że Jadeitowa Księżniczka już wiele lat temu wytyczyła sobie drogę – rzekł Vaelin.

– Ale wszystko na nic. Nie udało się jej zatrzymać Stahlhastu, nie udało uzdrowić serca ich fałszywego boga. – Ton matki Wehn był taki sam jak kiedyś, głos duszy zbliżającej się do kresu swojej wiary.

– Ich fałszywy bóg jest nie do uzdrowienia – stwierdził Vaelin. – Myślę, że ona to wiedziała. Nie pojechała, żeby go powstrzymać, tylko pokazać innym, że muszą to zrobić.

Matka Wehn uśmiechnęła się, zgarnęła pranie do kosza i poszła do swoich zajęć.

Vaelin znalazł Sherin przy stole w świątynnym skryptorium, tnącą na pasy płócienne prześcieradło, żeby zrobić zapas bandaży.

– Nie mieszam trucizn – oświadczyła z twardym spojrzeniem, wykonując nożem kolejne precyzyjne cięcie. – Wojna to twoja dziedzina, nie moja.

Nie zaskoczyła go jej odpowiedź, tylko wywołany przez nią gniew.

– Chcesz, żeby to miasto padło? – zapytał gwałtownym tonem. – Widzisz, jak wszyscy w tej świątyni zostają zabici za to, że nie pokłonili się Ostrzu Ciemności? Jak sądzisz, jaki będzie los Sho Tsaia, jeśli Stahlhast zdobędzie to miejsce?

Ostrze wbiło się głęboko w blat stołu. Pięść ścisnęła rękojęść jeszcze przez jakiś czas, kostki zbieleły, nim Sherin szybkim ruchem zabrała rękę. Vaelinowi przyszło do głowy, że od przybycia do miasta spędziła stosunkowo mało czasu w towarzystwie generała, a wiedział, że miałyby dla niego przykre słowa za rozkaz wysyłający komendanta Deshaia do Keshin-Ghol.

Sherin wzięła głęboki wdech i stwierdziła:

– To było nie fair.

– Wojna nigdy nie jest fair – odparował Vaelin. – Widziałas jej dość, by to wiedzieć. Leczysz, żeby inni mogli żyć. Ja walczę o to samo. Właśnie to zawsze robiliśmy. Pomożesz mi czy nie?

Opuściła wzrok, a z jej ust wyrwał się gorzki śmiech.

– Byliśmy tacy wcześniej? – spytała głosem cichym i zamyślonym. – Czy ja źle zapamiętałam wszystkie tamte lata? Obsadzałam cię w roli zdrajcy tak długo, że być może to zamaskowało prawdę. Czasami myślę, że byliśmy zwykłymi dziećmi bawiącymi się w miłość.

Jego gniew zgasł równie szybko, jak się rozpałił, zostawiając po sobie małą, ale bolesną grudę żalu we wnętrzościach.



– Ja się nie bawiłem. – Odwrócił się i gestem ręki przywołał Chien. – Poprosiłem panią Pao, żeby zadbała o twoje bezpieczeństwo. Będzie u twojego boku przez całe obleżenie.

Sherin zerknęła na Chien, a ona odpowiedziała ostrożnym skinieniem głową.

– To nie brak szacunku wobec ciebie, ale nie potrzebuję ochrony – oświadczyła Sherin.

– Owszem, potrzebujesz – sprzeciwił się Vaelin. – Teraz jesteś Obdarzona, a to czyni cię celem.

Sherin westchnęła i posłała Chien wymuszony uśmiech.

– Ma pani jakieś umiejętności lekarskie?

– Potrafię zszyć ranę – odparła Chien. – Jeśli nie jest zbyt głęboka. I wiem, jak zmieszać esencję makową, żeby uśmierzyć ból bez zabijania pacjenta.

– Dobrze. Może pani zostać. Jeśli chodzi o pańską misję, milordzie...

– Mniejsza o to – przerwał jej Vaelin. – Znajdę gdzieś w mieście aptekę...

– Wróc jutro. – Sherin stęknęła, wyrywając nóż z blatu. – Koło południa będzie gotowe.

\*\*\*

Komendant Deshai wrócił dwa dni później. Patrząc, jak kawaleria zbliża się do zachodniej bramy, Vaelin ocenił, że żołnierzy jest może jedna trzecia z tych, którzy wyruszyli. Jechali w nierównym szyku, dwa skrzydła otaczały środkową kolumnę ludzi ciągnących wozy albo uginających się pod ciężarem tobołków. Kiedy dotarli do bramy, zobaczył, że twarze wieśniaków i żołnierzy są poczerniałe od dymu i ściągnięte z wyczerpania.

– Dotarliśmy do połowy prowincji, kiedy zjawili się Tuhla – zameldował Deshai. Zsiadł z konia na dziedzińcu i zsalutował generałowi Sho Tsaiowi, ale stał na niepewnych nogach, a jego głos zdradzał wielkie zmęczenie. – Z początku tylko kilkuset, więc przepędziliśmy ich szybko, ale dzień później sprowadzili mrowie swoich braci. Spaliliśmy wszystkie zbiory, jakie się dało, wrzuciliśmy trupy zwierząt do studni. Wątpię, czy wróg zdobędzie dużo zapasów w Keshin-Ghol. Ale to nas kosztowało, generale. – Skierował znużony wzrok na swoich ludzi, z których wielu padało na kolana w chwili, gdy zsuwali się z koni. – Jak pan widzi.

– Nie mógłbym prosić o więcej, komendancie – rzekł Sho Tsai. Popatrzył na obłożonych wieśniaków odkładających swoje ciężary na ziemię. Połowę z nich stanowili mężczyźni w wieku dwudziestu albo trzydziestu lat, reszta to były kobiety i kilkoro dzieci. – To wszyscy?

– Starsi postanowili zostać albo odpadli na szlaku – odparł Deshai. – Większość uciekła bezpośrednio na południe, ignorując naszą propozycję ochrony. Nie sądzę, żeby mieli duże szanse na odkrytym terenie. Tuhla nie byli w nastroju do oszczędzania kogokolwiek. Znaleźliśmy nawet dzieci... – Deshaiowi załamał się głos, a jego twarz zadrgała, ale szybko się opanował i zakaszał. – Przepraszam, generale.

– Proszę zająć się swoimi ludźmi – polecił mu Sho Tsai. – Potem niech pan odpocznie.

Komendant znowu zasalutował i odmaszerował niepewnym krokiem. Poderwał swoich żołnierzy rozkazami, żeby odprowadzili konie do stajni i wyczyścili sprzęt.

– A więc żadnych więcej dostaw – zauważył Vaelin, wskazując głową na wynędzniałych wieśniaków.

– Za to więcej gąb do wykarmienia. – W oczach Sho Tsaia pojawiło się zdecydowanie. – Moim zamiarem jest uczynić to miasto grobem Stahlhastu. W tym celu ono musi stać się pułapką, polem bitwy nieobciążonym bezużytecznymi osobnikami i tymi, którzy nie potrafią walczyć.

W serce Vaelina wkradło się ziarno niepokoju, kiedy dostrzegł surową determinację na twarzy Sho Tsaia.

– Co pan zamierza? – spytał.

Generał musiał usłyszeć ten niepokój w jego głosie, bo odpowiedział krótkim, kostycznym śmiechem.

– Oczywiście zabić wszystkich cywili w Keshin-Kho. Takiej odpowiedzi pan oczekuje? – Pokręcił głową. – Barbarzyński wschód musi być naprawdę strasznym miejscem. Nie, milordzie, mam inny plan.

\*\*\*

– Muszę powiedzieć, że chyba wolałbym iść.

Kiedy Erlin spojrział na barkę, ściągnął brwi w wyrazie powątpiewania. Vaelin musiał przyznać, że chyba tylko cudem barki utrzymują się na wodzie, tak były zatłoczone. W większości znajdowały się na nich kobiety:

matki z dziećmi i niezamężnymi córkami. Mężczyźni byli starzy i nieliczni. Wielki Północny Kanał kończył się w dolnej części Keshin-Kho w kolistej przystani dorównującej wielkością przeciętnym portom, które Vaelin widział w królestwie.

Bezużyteczne gęby do wyżywienia zgromadziły się na nabrzeżu w szlochającej, ale poza tym spokojnej masie, wiele kobiet pośpiesznie i łzawo zegnało się z mężami i synami przed wejściem na trapy. Gdy barka zanurzała się tak głęboko, że woda zakrywała białą linię namalowaną na kadłubie, rzucano liny i stawiano żagle, rozpoczynając podróż na południe.

– Przeszedłbyś nie więcej niż kilka mil, gdy dopadliby cię ich zwiadowcy – powiedział Vaelin. – Bardzo bym chciał, żeby nasi wrogowie tego nie przeczytali. – Wręczył mu zapieczętowaną tubę ze zwojem oraz przepustkę podpisaną przez Sho Tsai. – Pewnie masz schowane złoto?

– W obcasach butów i w podszewce kurtki – zapewnił go Erlin. – Jeśli bandyta znajdzie jedno, mam nadzieję, że przegapi pozostałe. Poza tym myślę, że wyrzutkowie poszukają łatwiejszych zdobyczy. – Wskazał na flotę mocno obciążonych barek.

Dzięki stopniowemu, ale stałemu exodusowi cywili w ostatnich miesiącach miasto miało teraz dwie trzecie swojej populacji sprzed kryzysu. W rezultacie na długich barkach o dużej wyporności znalazło się miejsce dla wszystkich, którzy musieli uciekać. Niektórym dano wybór, głównie mężczyznom uznanym za zbyt starych do służby wojskowej, ale nie tak niedołęznym, żeby byli bezużyteczni. Większość postanowiła zostać, a Sho Tsai utworzył z nich oddziały tragarzy, którzy mieli rozdzielać zapasy i znosić rannych z murów, kiedy zaczną się walki. Większość jednak musiała wyjechać z rozkazu króla i nikomu nie pozostawiono wątpliwości co do konsekwencji odmowy. Mimo to Vaelin uznał ich posłuszeństwo za dziwne. Gdyby czegoś takiego spróbował w Północnej Wieży albo dowolnym mieście Zjednoczonego Królestwa, z pewnością doszłoby do chaosu i gniewnych protestów, jeśli nie do buntu. Ale tutaj ludzie zegnali się, choć kroili się im serca, i potulnie wsiadali na statki, żeby odpłynąć na południe.

– Gdybym był odważniejszy, błagałbym, by zostać – powiedział Erlin, patrząc na Vaelina z grymasem samooskarżenia na twarzy.

– A gdybyś był mądrzejszy, już byś wyjechał – odparł Lord Wieży.

– Obawiam się, że to etap samooszukiwania się. Miałem wizje o przyłączeniu się do walki, odpieraniu dzikiej hordy, na ile pozwoliłyby

mi stare kości, aż spotkam waleczny koniec. To byłoby ładne epitafium, nie sądzisz?

– Zostałeś jako lojalny sługa królestwa wyznaczony przez Lorda Wieży Północnych Dorzeczy do bardzo ważnej i niebezpiecznej misji. Po prawdzie czuję wstyd, że nikogo z tobą nie wysyłam.

– Twoja siostrzenica odmówiła wyjazdu, domyślam się?

– Sehmon również.

– Samotnie przemierzałem te królestwa przez wiele lat, w czasach wojny i w czasach pokoju. Nie martw się o mnie, dotrę do portu i znajdę statek.

Erlin podniósł laskę i ruszył w stronę trapu łączącego nabrzeże z barką. Przed wejściem na pokład zatrzymał się i słabym głosem rzekł:

– Księżniczka powiedziała, że będę ostatnim z nas starych. Wiedziałem, że gdzieś na świecie muszą być inni, ale spotkałem tylko ją. Opowiedziała mi o innych takich jak my, że kolejno ją odnajdowali, podróżując z najodleglejszych zakątków świata, żeby posłuchać jej pieśni. Tylko ja wróciłem, bo tylko my dwoje zostaliśmy. I jeszcze coś dodała. Nie jestem pewien, czy to ma znaczenie w obecnej sytuacji, ale coś mi mówi, że tak. Powiedziała mi, że to, co trzymało śmierć z dala od naszych drzwi, nie zrodziło się z czarnego kamienia, bo ona już była stara, kiedy pierwszy kamień został wykopany z ziemi. – Uśmiechnął się i wzruszył ramionami. – Będzie o czym myśleć w podróży. – Cały humor zniknął z jego twarzy. – Tylko nie umieraj tutaj, bracie. – Odwrócił się i wszedł na barkę.

Vaelin patrzył, jak statek odpływa od przystani i dołącza do rzędu innych, a następnie przepływa pod żelazną kratą strzegącą wejścia do portu. Krata opuściła się, gdy tylko ostatnia barka odpłynęła, łańcuchy zagrzechotały, żelazo zaskrzypiało. Powstała wielka fala, kiedy krata opadła w wodę, tak że kilka ostatnich barek zakołysało się na swoich miejscach cumowania.

– Tuhla nie spróbują zablokować kanału? – spytał Vaelin.

– Komendant Deshai zapewnia mnie, że nie zdążą pokonać na czas tej odległości – odparł generał. – Zresztą po co, skoro mają do zabawy tylu innych uciekających z Keshin-Ghol?

Sho Tsai zawołał syna, a ten posłusznie przybiegł i stanął na baczność.

– Generale!

– Spal je. – Wskazał na barki podskakujące na wodzie. – Każdy sposób ucieczki może osłabić determinację ludzi.

– Według rozkazu, generale.

– Myślałem, że do tej pory go pan awansuje – powiedział Vaelin, kiedy młody oficer odbiegł i zaczął wydawać rozkazy Czerwonym Zwiadowcom, żeby zapalili pochodnie. – Przecież wypełnia obowiązki kapitana.

– Jest żołnierzem od niecałych dwóch lat – odparł Sho Tsai. – Król nakazuje co najmniej pięć lat służby, nim w ogóle zacznie się rozważać awans.

– Nadal przestrzega pan takich rzeczy? Nawet teraz?

– Wyrzuci pan rozkaz swojej królowej tylko dlatego, że czasy są trudne?

– Nie, ale spróbuję znaleźć pole do interpretacji.

– Bracie! – Vaelin odwrócił się i zobaczył, że Ahm Lin biegnie nadbrzeżem. – Melodia. – Kamieniarz zatrzymał się z ponurą twarzą. – Zmieniła się.

\*\*\*

– Ilu?

– Niech pan sam zobaczy.

Sho Tsai odsunął się od lunety i pokazał Lordowi Wieży, żeby zajął jego miejsce. Kiedy Vaelin spojrział przez okular, zaskoczyła go klarowność obrazu. Zbliżający się jeźdźcy wydawali się tak bliscy, że mógł dostrzec szczegóły ich zbroi. Trzymając za trójnóg, przesunął urządzeniem po szeregach Stahlhastu, zwracając szczególną uwagę na chorągwie.

– Naliczyłem sześć różnych skeldów – powiedział, zatrzymując lunetę na znajomym symbolu: jastrzębiu z rozpostartymi skrzydłami. – Oceniam, że razem ponad trzydzieści tysięcy. – I dodał, patrząc na Luralyn: – A wśród nich Ostra.

Razem z Ahm Linem wspięli się na wysoką wieżę wyrastającą pośrodku miasta, żeby obserwować przybycie Stahlhastu. Luneta, gigantyczne urządzenie w kształcie cylindra, dużo większe niż te, które Vaelin do tej pory widział, stała na mosiężnym trójnogu na środku pustego podwyższenia zakrytego dachem, ale otwartego ze wszystkich stron. W rezultacie stały północny wiatr owiewał pomieszczenie, chłoszcząc obecnych i zmuszając ich do rozmawiania podniesionymi głosami.

– Spodziewałem się całej hordy – stwierdził Sho Tsai.

– To tylko awangarda – powiedziała Luralyn. Jej warkocze powiewały na wietrze. – Przeszukają okolicę, zabiją patrole, które wyślecie za mury,

i będą wyglądać posiłków z południa. Możecie się spodziewać pełnej armii za jakiś dzień.

Vaelin uniósł pytająco brew i spojrzał na Ahm Lina. Kamieniarz, nadal odczuwając skutki wspinaczki na wieżę, rozmasował bolące plecy i stwierdził:

– Nie jestem pewien.

– Czego? – zapytał Sho Tsai z napięciem na twarzy.

Sukces kamieniarza w doprowadzeniu ich do Sherin najwyraźniej przekonał generała co do użyteczności jego daru.

– Pieśń mówi o bliskiej bitwie – odparł Ahm Lin. – I o oszustwie. Tu chodzi o coś więcej niż tylko o zwiad awangardy.

Vaelin odsunął się na bok, kiedy kamieniarz podszedł i przytknął oko do okularu, postępując cicho.

– Nie widzę ich, ale wyczuwam co najmniej jednego Obdarzonego w tej grupie.

– Oszustwo – powtórzyła Luralyn. – To mogłaby być Segha. Zwodzenie to jej sztuka. Ale ona musi mieć bliski kontakt z ofiarą, żeby jej dar zadziałał. Nie może po prostu rzucić nim jak strumieniem ognia.

– Więc kto? – zapytał Vaelin.

– Ktoś, kogo jeszcze nie znam. – Luralyn bezradnie wzruszyła ramionami.

– Jeśli zamierzają zaatakować, stanie się to dzisiaj w nocy. Mój lud walczy na otwartej przestrzeni w świetle dziennym, ale twierdzą zawsze zaatakują pod osłoną ciemności. I nie zrobią tego w jednym miejscu. Powinniście się spodziewać co najmniej trzech osobnych napaści, prawdopodobnie dokonanych w tym samym czasie.

Sho Tsai zbliżył się do brzegu platformy i ze zmarszczonymi brwiami spojrzał na miasto.

– Podwoimy regimenty na zewnętrznym murze. Panie kamieniarzu, sprawdzi pan blanki ze strażą, żeby ocenić miejsca ataku.

– Jakikolwiek podstęp uknuli, nadal muszą wspiąć się na mury – zauważył Vaelin. – Kawaleria nie pokona kamiennej bariery o wysokości dwudziestu stóp. I już nie mają daru Varija do kruszenia kamieni.

– Będą mieli zaczepy i liny – powiedziała Luralyn. – I najprawdopodobniej drabiny.

– Liny się palą, podobnie jak drabiny – odparł Vaelin, patrząc jej w oczy. – Ludzie również.

Luralyn z posępną miną pokiwała głową.

– Uprzedzę bliźnięta, żeby były gotowe.

– A co z pani zdolnościami? – zapytał Sho Tsai. – Mówiono mi, że widzi pani przyszłość.

– Widzę to, co postanawia mi pokazać Prawdziwy Sen, a on pokazuje mi zarówno przeszłość, jak i przyszłość. Ale zawsze był kapryśny. Próbowałam wzywać go co noc, odkąd tutaj przyjechaliśmy, ale widzę jedynie fragmenty, zwykle chaotyczne i bezsensowne. Jest tak, jakby przyszłość się wahała. Co może być dobrą rzeczą. Skoro wynik bitwy jest niepewny, to przynajmniej możemy mieć nadzieję.

– Proroctwo zbyt często jest kłamcą – stwierdził Vaelin. – Zwodzi zarówno proroka, jak i wierzącego.

– Będę nadal próbowała – obiecała Luralyn.

Sho Tsai skinął głową i ruszył do schodów.

– Lordzie Vaelin, proszę zebrać swoje szumowiny i pilnować naszych sojuszników.

– Czaszki – powiedział Vaelin, a jego twardy ton sprawił, że generał się zatrzymał. – Nie szumowiny.

– Co?

– Zaczęli nazywać siebie Czaszkami – wyjaśnił Vaelin. – Już uważają się za martwych. Żołnierze lubią nazwy, a właśnie tym oni są teraz. Żołnierzami. I byłbym wdzięczny, gdyby ich generał tak o nich mówił.

Sho Tsai przez chwilę mierzył się z nim wzrokiem, być może sądząc, że to rodzaj wyzwania, ale potem chrząknął i zaczął schodzić z wieży.

– Póki będą walczyć, będę ich nazywał tak, jak sobie życzę.

Luralyn została jeszcze chwilę na wieży i spojrzała na bezmiar Żelaznego Stepu na północy. Przez lunetę dojrzałyby swój zbliżający się lud, ale gdy patrzyła nieuzbrojonym okiem, horyzont wydawał się pusty.

– Ostra zawsze byli jego najmniej zagorzałymi wyznawcami – powiedziała. – Dziwne, że wybrał właśnie ich jako awangardę.

– Skeltir Varnko próbował namówić mnie do wyjazdu – przypomniał sobie Vaelin. – Przypuszczam, że na skutek pani nalegań.

– Nie, to był jego pomysł. Od dawna wiedział, że wyniesienie Kehlbranda oznacza dla Stahlhastu groźbę zniszczenia. Skoro Ostrze Ciemności chce pana, to nie może oznaczać nic dobrego.

– A jednak Ostra stawili się na wezwanie Ostrza Ciemności.

– Marzenie o marszu do Złotego Morza tkwi w sercu każdego członka Stahlhastu. Może nawet Varnko nie mógł mu się oprzeć.

Luralyn westchnęła ze smutkiem i ruszyła w dół po schodach. Vaelin poszedł za nią, ale zatrzymał się, gdy usłyszał cichy głos Ahm Lina.

– Ona kłamała, bracie.

Vaelin odwrócił się i zobaczył, że kamieniarz znowu patrzy przez lunetę.

– Cudowna rzecz – powiedział Ahm Lin, kręcąc głową. Odsunął się i z podziwem popatrzył na urządzenie. – Co ja bym dał, żeby je otworzyć. Soczewki muszą być wyszlifowane z niewiarygodną precyzją.

– Kłamała? – powtórzył Vaelin.

– Och, nie okłamała nas, tylko siebie co do Prawdziwego Snu. On pokazał jej dużo więcej niż tylko fragmenty.

– Co jej pokazał?

– Coś, czego jej umysł nie potrafi zaakceptować. Przynajmniej na razie. Ale mam wrażenie, że wszyscy wkrótce będziemy potrzebowali, żeby sobie przypomnieli.



## Rozdział dwudziesty dziewiąty

– Dotykajcie tego tylko przez rękawice. – Vaelin wręczył po jednej małej fiołce Nortahowi, Ellese i Juhkarowi. – Nawet najmniejsza kropla na gołej skórze może być śmiertelna. I nie powinniście tego wdychać, jeśli nie chcecie na zawsze stracić powonienia.

– Co to jest? – zapytał Nortah, unosząc fiołkę do gasnącego wieczornego światła. Płyn w środku miał lepkość zwykłej wody i był przezroczysty z żółtawym zabarwieniem.

– Nie chciała mi powiedzieć – odparł Vaelin. – Ale możesz być pewien, że każda głęboka rana od ostrza albo strzały zamoczonych w tym czymś bez wątpienia okaże się śmiertelna. Pamiętaj o instrukcjach. Zostań z Jukharem. On wskaże ci cele. Będzie cię strzegł oddział kaprala Weia. I żadnych wypadów na własną rękę, niezależnie od pokusy.

Ostatnie słowa były skierowane wyłącznie do Ellese, która już zaczęła przewracać oczami, ale kiedy dostrzegła twardość jego spojrzenia, bąknęła potulnie:

– Rozumiem, wujku.

Vaelin zostawił ich przy północnej bramie i odszukał Ahm Lina na zachodnich blankach. Kamieniarz miał po bokach Aluma i Sehmona, a za sobą całą kompanię Czaszek uformowaną w dwa szeregi. Vaelin zatrzymał się, żeby u kilku z nich poprawić postawę i włócznie. Pewną satysfakcję sprawił mu kontrolowany lęk na większości twarzy. Całkowity brak strachu byłby bardziej niepokojący od szczerzego przerażenia. Wbrew oczekiwaniom nikt nie zdezerterował w czasie forsownego marszu za murami, choć Vaelin podejrzewał, że wynikało to raczej z instynktu samozachowawczego niż z poczucia obowiązku. Zatrzymał się przed Choka.

– Kapralu.

Wyrutek zgrabnie stanął na baczność i zasalutował z wprawą.

– Milordzie!

– Znasz rozkazy?

– Zachować kamieniarza przy życiu za wszelką cenę.

Służbistość tonu i postawy kontrastowała z niedawnym wyzywającym zachowaniem przemytnika, którego Vaelin poznał w lochach, co nasunęło mu podejrzenie, że ten człowiek drwi sobie z niego w zawołowany sposób. Ale kiedy przyjrzał się jego poważnej twarzy, zobaczył na niej jedynie żołnierską determinację.

– Właśnie. Jeśli on zginie, to samo stanie się z tym miastem. Uświadom to swoim ludziom.

– Tak jest, milordzie.

– Jaką melodię masz dla mnie dzisiaj? – zapytał Vaelin, podchodząc do Ahm Lina, który stał w prześwicie między trójkątnymi blankami wieńczącymi mur i wpatrywał się w gęstniejący mrok.

– Cichy pomruk zbliżającej się burzy – odpowiedział Ahm Lin. Zamyślonym spojrzeniem powiódł ze wschodu na zachód. Jego dłoń zadrżała na drzewcu włóczni, którą uparł się nosić. – Wszędzie. Kobieta Stahlhastu miała rację. Oni nie zaatakują w tylko jednym miejscu.

– A Obdarzeni?

Ahm Lin pokręcił głową.

– Są gdzieś tam, ale jeśli chodzi o ich zdolności... – Przeprasząco wzruszył ramionami.

Usłyszeli wroga, kiedy zmierzch przeszedł w całkowitą ciemność. Niebo było pogodne, półksiężyc i mrowie gwiazd stanowiłyby w innym czasie urzekający widok, mrok za murami nie zdradzał żadnych śladów Stahlhastu. Ich zbliżanie się zapowiedziały dziwnie melodyjne pobrzękiwania zbroi licznych jeźdźców i tętent kopyt. Ahm Lin wyprostował się, kiedy odgłosy ucichły, i odwrócił głowę na zachód.

– O co chodzi? – zapytał Vaelin.

– Pieśń jest tam najgłośniejsza. – Ahm Lin wskazał w stronę zachodniej bramy. Jego rysy ściągnęły się jakby z bólu, gdy dodał syczącym głosem: – Jest w niej naprawdę brzydka nuta, bracie.

– Zostań tutaj – przykazał mu Vaelin i rzucił do Aluma: – Strzeżcie go dobrze.

Wysłał jednego z Czaszek, żeby przyprowadził Juhkara, Nortaha i Ellese. Reszcie kazał iść za sobą i ruszył w stronę zachodniej bramy. Ta część muru była obsadzona przez regularne oddziały miejskiego garnizonu, przez mężczyzn o twardych twarzach, którzy przeżyli niejedną bitwę. Znalazł komendanta na szczycie małego bastionu w kształcie rombu, do którego

prowadziła brama. Z dobytym mieczem Deshai patrzył na rząd światełek migoczących kilkaset kroków od muru.

– Pochodnie? – zapytał Vaelin, podchodząc.

– Na to wygląda. – Krzepki dowódca pomasował z konsternacją szeroką brodę, kiedy zapłonęło więcej pochodni i teraz w mroku podskakiwało ich co najmniej sto. – Nie rozumiem celu. Kamień się nie pali, a brama jest z żelaza.

Wzdłuż muru rozbrzmiała seria okrzyków, kiedy wszystkie pochodnie jednocześnie zapłonęły jaśniej i zmieniły się w duże kule ognia. W miarę jak ich blask rósł, Vaelin dostrzegł duże wiązki czegoś, co wyglądało jak splątany janowiec albo cienkie gałęzie, buchające płomieniami po dotknięciu pochodnią. Podpalone wiązki paliły się jasno tylko przez chwilę, a potem ogień przygasał w kłębach dymu. Dym wirował i falował gęstą chmurą, a jego widoczna odporność na silny północny wiatr przekonała Vaelina, że to, co widzi, jest dalekie od naturalnego zjawiska. Tymi miazmatami kierowała jakaś niewidzialna ręka.

– To komplikuje sprawy – stwierdził Nortah, zatrzymując się u jego boku.

Ellese i Juhkar zjawili się tuż za nim.

– Widzisz ich? – zapytał Vaelin.

– Są blisko. – Tropiciel skrzywił się wpatrzony w gęstniejący dym. – Ale nie dość.

Wzdłuż blanków poniosło się więcej krzyków, kiedy dym jął się skręcać, pulsować i rozszerzać jak żywy. Zbladł, łącząc się w postaci niewyraźne jak duchy, a one powoli sunęły w stronę murów. Zbliżając się, dym nabierał szybkości, kształty stawały się wyraźniejsze, zdawało się, że skaczą przez równinę z szybkością, drapieżną energią. Krzyki się nasiliły, pojawiła się w nich nuta paniki. Jedyne częściowo uciszyły ją warkliwe rozkazy Deshaia nakazującego ciszę. Sam dowódca wydawał się tylko trochę mniej przerażony od swoich ludzi, kiedy wpatrywał się w szybko nadciągającą armię. Z jego ust wyrwał się szept:

– Zwiastuny.

Teraz były w pełni uformowane, warczały, pędząc w stronę muru, każdy wielkości konia w czarne pasy, z oczami, które lśniły jak srebrne kule.

– To nie są Zwiastuny Niebios! – ryknął Vaelin, kiedy przez szeregi przetoczyła się nowa fala paniki. – To złudzenia! Nie mogą zrobić wam krzywdy!

Jego zapewnienie nie podziałało na żołnierzy, kiedy nadbiegające istoty dotarły do podstawy muru i zaczęły się na niego wspinać. Krzyki przerodziły się we wrzaski, ludzie zatoczyli się do tyłu przed atakującymi, warczącymi fantomami, uporządkowane oddziały rozpadły się w ciągu kilku sekund i zapanował chaos.

– Zostać na miejscu! – warknął Vaelin do Czaszek, gdy zobaczył, że rekruci zaczynają się wahać, a pierwszy szereg cofa się od muru. – Dym nie może przebić zbroi!

Vaelin odwrócił się i stanął przed tygrysem, który właśnie pojawił się na szczycie muru.

– Patrzcie! – zawołał i ruszył na niego.

Tygrys zawirował w jego stronę z rozdziawioną paszczą, ale zamiast ryku wydobył się z niej wyjący podmuch duszącego dymu. Widok na pozór solidnych kłów i zakrzywionych pazurów obudził w Vaelinie wątpliwości, ale było za późno, żeby uniknąć kolizji. Lorda Wieży otoczył dym, ciosy zjawy były niczym twarde podmuchy, ale nie powodowały żadnych ran. Kiedy Vaelin zatoczył mieczem wokół siebie, tygrys się rozplątał, a on rozkaszał się w rzednących oparach.

– Widzicie?! – zawołał do wpatrujących się w niego w osłupieniu czaszek. – To są zjawy. Zwykle oszustwo...

Umilkł raptownie, kiedy Ellese skoczyła do przodu z naciągniętą cięciwą łuku wycelowanego prosto w jego twarz. Vaelin natychmiast padł na kolana, a strzała śmignęła w powietrzu tuż nad jego głową. Obejrzał się gwałtownie i zobaczył wysokiego wojownika Stahlhastu ze strzałą sterczącą z wizury w hełmie. Trucizna Sherin szybko spełniła swoje zadanie. Spieniona krew buchnęła z ust napastnika, a on sam runął na blanki, drgnął i znieruchomiał.

Trupa szybko odciągnięto na bok, ale kolejny przeciwnik wspiął się na mur, używając żelaznego chwytaka zaczepionego o krenelaż. Widząc Vaelina, sięgnął po szablę na plecach i zeszywniał uderzenie serca później, z rozplątanym gardłem. Vaelin wyciągnął z rany ostrze i pozwolił ciału upaść. Rzucił spojrzenie w lewo i w prawo. Wszędzie na mury wdrapywali się wrogowie. Blanki były teraz całkowicie spowite dymem, żołnierze kręcili się w nim przestraszeni i zdezorientowani.

– Naprzód! – krzyknął do Czaszek, zatrzymując się, żeby odczepić od muru rękę wroga, który właśnie się na nim pojawił.

Zobaczył, że dawni wyrzutkowie wahają się i nadal wpatrują w dymne tygrysy siejące panikę wśród innych żołnierzy. Ale wtedy kapral Cho-ka opuścił włócznie, wydał krótki rozkaz i ruszył do ataku. Czaszki podążyły za nim. Starannie przeciwiczona taktyka odpierania atakujących zdyscyplinowaną szarżą dwóch uporządkowanych szeregów została zapomniana, kiedy rekruci rzucili się przed siebie bezładną masą. Mimo braku zgrania szybkość i gwałtowność ataku Czaszek wystarczyła, żeby odeprzeć dwudziestu albo więcej wojowników Stahlhastu pierwszymi pchnięciami włóczni.

– Przeciąć liny! – krzyknął Vaelin, strącając z muru kopniakiem następnego wroga i tnąc mieczem szur, po którym wspinała się wojowniczką.

Seria wściekłych okrzyków dobiegających z dołu świadczyła o tym, że co najmniej kilkunastu innych właśnie spadło na ziemię. Za nimi podążyli następni, kiedy Czaszki posłuchały jego rozkazu i w ciągu kilku sekund przecięły wszystkie znajdujące się w ich zasięgu liny, choć niektórzy zostali pociągnięci przez przeciwników na śmierć ostatnim rozpaczliwym chwytem.

Pozbawieni możliwości wspinania się na mur wrogowie czekali u jego podstawy i zaatakowali przeciwników na górze gradem strzał z kusz. Połowa Czaszek zatoczyła się do tyłu z grotami wbitymi w twarze albo szyje.

– Olej i kamienie! – krzyknął Vaelin do Cho-ka, a on szybko zorganizował grupę do rzucania koszy ciężkich głazów za mur i wylewania zawartości kilku dużych glinianych garnków z wrzącym olejem.

Krzyki wściekłości i bólu świadczyły o sukcesie tej taktyki, a po krótkim spojrzeniu w dół okazało się, że stu albo więcej przeciwników ucieka w ciemność, zostawiając za sobą dwa razy tyle ciał i rannych.

– Brama! – Juhkar pojawił się u boku Vaelina z łukiem w ręce.

Wskazał na podłogę bastionu. Cała budowla była teraz spowita dymem, a fantomowe tygrysy kontynuowały atak na blanki po obu stronach. Vaelin nigdzie nie widział komendanta Deshaia.

– Więcej niż jeden – dodał Juhkar, idąc do najbliższych schodów.

Vaelin krzyknął do Cho-ka, żeby utrzymał się na pozycji, i razem z Ellese i Nortahem ruszył za Juhkarem. Wysoki tunel, który prowadził do wnętrza bastionu, był tak wypełniony dymem, że nic nie było widać. W środku roіło

się od warczących drapieżników, do których niewielu żołnierzy miało ochotę się zbliżyć.

Vaelin nasłuchiwał turkotu kół, który mógłby wskazywać, że zbliża się taran wystarczająco duży, by wyważyć bramę, ale usłyszał jedynie bitewną wrzawę i krzyki paniki dobiegające z góry. Już miał poprosić Juhkara, żeby ich poprowadził, kiedy ten wszedł w ścianę dymu z uniesionym łukiem. Vaelin drgnął odruchowo przed skaczącym tygrysem, ale szybko się opanował i podążył za tropicielem w mgłę. Była tak gęsta, że ledwo widział cokolwiek przed sobą na stopę, a w gardle go szczypało, tak że wciąż kaszłał. Przeszedł kilkanaście kroków i uskoczył w bok, wpadając na ścianę tunelu, kiedy coś szybkiego i twardego drasnęło naramiennik jego kolczugi. Dym zadrgał, w powietrzu zaświszczały strzały.

Vaelin przykucnął i ruszył dalej, wyteżając wzrok, żeby przebić nim wirującą, cuchnącą mgłę. Syknął, kiedy strzała wyłobiła płytki rowek na wierzchu jego dłoni. Drgnął, kiedy kolejna odbiła się od cegieł cal od jego głowy. Z prawej strony dobiegło brzdęknięcie kuszy, a po nim odgłos grota uderzającego w metal. Usłyszał, jak Juhkar przeklina i wypuszcza następną strzałę, a zaraz potem głucho uderzenie drzewca wbijającego się w ciało.

Dym natychmiast zaczął rzednąć, skręcające się cienie wielkich kotów zmieniły się w smużki, ukazała się kratownica. Tunel za bramą był pełen wojowników Stahlhastu z kusznikami z przodu, celującymi przez małe otwory w żelaznej kratce. Przy bramie leżało ciało młodego mężczyzny z zakrwawioną twarzą przyciśniętą do jednej ze szczelin i strzałą sterczącą z ramienia. Obok niego stała krzepka kobieta w skórzanej zbroi i mocno ścisnęła pręty. Krew tryskała z jej nosa, twarz drżała z wysiłku. Zdawało się, że żelazo jaśnieje pod jej palcami, mięknie i się kurczy.

„Lehkis”, mówiła Luralyn. „Jej specjalność to metal”.

– Zabij ją! – krzyknął Vaelin do Juhkara.

Odwrócił się i zobaczył, że tropiciel siedzi oparty o mur, z jedną strzałą wbitą w nogę, drugą w ramię. Widząc, że silna kobieta wyrywa kawałek świecącego pręta z bramy, Vaelin wyciągnął z buta nóż i nim rzucił. Był to porządny rzut, ale najwyraźniej kobieta nie pierwszy raz brała udział w bitwie, bo uchyliła głowę, kiedy nóż, obracając się, wleciał przez szczelinę. Odciął jej kawałek ucha, a ona z okrzykiem jeszcze raz ścisnęła kratę. Metal rozjarzył się i zmiękł, jakby leżał w palenisku kuźni.

Bełty Stahlhastu ścigały Vaelina, kiedy biegł do Juhkara, podnosił jego łuk i sięgał po kołczan. Zanim zdążył nasadzić strzałę, obok niego śmignęły

dwa pociski i przeleciały przez szczeliny w kracie. Jeden trafił Obdarzoną w udo, drugi w brzuch. Tym razem skutki trucizny Sherin były spektakularne. Krew trysnęła z ust kobiety gęstym karmazynowym strumieniem, a ranna wpadła w tak silne drgawki, że Vaelin usłyszał, jak łamają się jej kości. Wydawało się, że zeszło z niej powietrze, kiedy upadła na żelazną barierę, a jej dłonie zsunęły się z częściowo stopionego metalu.

Nadleciało więcj strzał jedna po drugiej. Powaliły trzech kuszników Stahlhastu, ale było jeszcze wielu do zajęcia ich miejsca. Vaelin schylił się nisko, żeby uniknąć kolejnego gradu pocisków.

– Na wiarę, bracie, odsuń się! – rozbrzmiał głośny okrzyk Nortaha.

Vaelin obejrzał się i zobaczył, że on i Ellese kucają po obu stronach wlotu tunelu i wypuszczają kolejne strzały z typową dla siebie precyzją i szybkością. Dostrzegł również Luralyn zbliżającą się przez dziedziniec w towarzystwie bliźniąt i Czerwonych Zwiadowców w zwartym szyku.

Objąwszy Juhkara przez pierś, Vaelin zaciągnął go do wyjścia z tunelu. Nortah i Ellese skutecznie eliminowali kolejnych kuszników Stahlhastu, tak że tarcza z drgających trupów przeszkadzała innym wojownikom w zajęciu miejsc zabitych towarzyszy. Vaelin wyciągnął Juhkara z tunelu w chwili, gdy dotarły do niego bliźnięta z uniesionymi rękami. Na szczęście ryk ognia, który posłali w głąb przejścia, wystarczył, żeby zagłuszyć wrzaski znajdujących się w środku. Bliźnięta wpuszczały płomień do bastionu, aż osunęły się z wyczerpania, a ogień przygasł, odsłaniając poczerniały tunel i bramę lizaną przez resztki płomieni, ale poza tym nietkniętą. Dno tunelu za kratą było usłane zwęglonymi, parującymi ciałami.

– Zanieście go do świątyni – powiedział Vaelin, kładąc Juhkara na rękach dwóch Czerwonych Zwiadowców.

– Tam nadal trwa walka – powiedział Kihlen, chwiejąc się lekko i wycierając krew z twarzy.

Vaelin cofnął się, żeby spojrzeć na mur. Po zniknięciu widmowych zwiastunów żołnierze szybko odzyskali dyscyplinę. Kilku grupom Stahlhastu udało się wdrzeć na blanki, ale zostały energicznie zaatakowane ze wszystkich stron, a dziesiątki kuszników pobiegły do luk w linii obrony.

– Damy sobie radę bez ciebie – powiedział Vaelin do Kihlena. – Lepiej zachowaj siły na później.

– Zaatakowali również z północy i południowego wschodu – zameldował kapral Wei, kiedy zwiadowcy zabrali nieprzytomnego Juhkara. – Zdobyli

dużą część muru w pobliżu północnej bramy, ale generał poprowadził kontratak, który ich zmiotł.

Nagłe okrzyki przyciągnęły wzrok Vaelina z powrotem do muru. Regiment żołnierzy zadawał pchnięcia włóczniami, wznosząc dzikie, triumfalne wrzaski i depreczając ciała wrogów, które zaścielały blanki. Tylko jedna grupa atakujących nadal walczyła, ciemne skupisko ząartej obrony pośród fali włóczników. Jedna znajoma postać w centrum tego zamieszania cięła szablą na prawo i lewo z wściekłą energią, na pozór obojętna na pewną śmierć.

– Idźcie z nimi – polecił Vaelin kapralowi Weiowi i wskazał głową na wycofujących się Obdarzonych.

Razem z Ellese i Nortahem wspiał się po schodach na mur. Przekraczając wymieszane ciała wrogów i obrońców, zatrzymał się na widok komendanta Deshaia, który leżał martwy z szablą wbłą w szyję. Ręce dowódcy były zaciśnięte na szyi wojownika, który go zabił.

– Szkoda – powiedział Nortah. – Zdolny gość.

Słyszając kolejną falę krzyków, Vaelin spojrział w stronę bastionu i zobaczył, że znajoma postać klęczy, jedyny wojownik Stahl-hastu, który przeżył. Zbroję Varnko przebijało sześć bełtów, kamień pod nim był śliski od krwi. Ale miał jeszcze dość sił, by warczeć na żołnierzy, którzy się do niego zbliżali z włóczniami wycelowanymi do śmiertelnego ciosu.

– Stop! – zawołał Vaelin, rozganiając żołnierzy. – Ten człowiek jest moim jeńcem.

Ci nadal wpatrywali się we wroga, ale żądza krwi i bitewny szał na zdeorientowanych, brudnych twarzach słabły.

– Przestańcie się gapić – warknął Vaelin. – Zajmijcie się rannymi.

Wskazał na ciała żołnierzy, w większości martwych, choć kilku nadal czepiało się życia.

– Ja... – wychrypiał Varnko, kiedy żołnierze się cofnęli – ...nie złożę broni... póki jest we mnie oddech.

Vaelin kucnął obok niego.

– Nawet się nie łudzę, że bym ją odebrał.

Varnko skulił się z bólu, czubek jego szabli zazgrzytał o kamień, kiedy próbował się nią podeprzeć. Zanim skeltir upadł, Vaelin chwycił go i oparł o mur.

– Sherin tu jest – powiedział. – Uzdrowi cię, tak jak uzdrowiła twojego syna.



Varnko prychnął, krew splamiła mu usta.

– Mój syn... postanowił... mnie nienawidzić – powiedział, z trudem łapiąc oddech. – Mówi, że ukradłem mu... sławę, oszczędzając śmierci w bitwie. – Obnażył w uśmiechu czerwone zęby. – Niewdzięczny mały... gnojek, co?

– Niewdzięczny. Chodź. – Vaelin przywołał Nortaha, żeby pomógł mu dźwignąć skeltira. – Zabierzemy cię do niej.

– Nie! – Varnko odepchnął jego rękę. – Nie... skalasz mojej śmierci.

Jego wzrok był dziki i pełen determinacji, ale Vaelin dostrzegł w nim również błaganie. Wódz skeldu Ostra błagał, by pozwolono mu umrzeć.

– Jak sobie życzysz – powiedział, gestem odprowadzając Nortaha.

Varnko osunął się na kamienie i stęknął z wysiłkiem, kładąc szablę na kolanach.

– Należała... – powiedział, wodząc palcem po licznych rysach i wyszczerbieniach na jej ostrzu – do mojego ojca... Nie był skeltirem... umarł zbyt młodo, żeby rzucić wyzwanie... Ale... ja... żyłem za długo.

Rzucił spojrzenie na ciała zaścielające blanki.

– Och, mój skeldzie. Spójrz... co on z nami zrobił. Kiedyś byliśmy wielcy... teraz staliśmy się jedynie fanatyczną armią szaleńca...

– Dlaczego? – zapytał Vaelin. – Dlaczego za nim poszliście? Wiesz, że on nie jest żadnym bogiem.

Oczy Varkno zmętniały, kiedy odwrócił głowę w stronę równiny za murem.

– Pokusie Złotego Morza... trudno się oprzeć. Mimo wszystkich naszych walk... Stahlhast jest ze sobą związany... stałą. A on obiecał... sławę. W tym przynajmniej... nie kłamał.

Skeltir przeniósł wzrok z powrotem na Vaelina, a jego oczy pojaśniały, kiedy zebrał resztki sił.

– Mój syn... ukorzył się przed tym oszustem. – Zadrżał z wysiłku. – Błagał o wybaczenie... za słabość ojca. Teraz stoi zawsze... po stronie Ostrza Ciemności... jego najwierniejszy pies. To... – chwycił rękojeść szabli i próbował ją unieść – nie jest... dla niego. Dałem ci piękny... dar. Teraz proszę o odpłatę tym samym. Znajdź dla niej... odpowiednią rękę. – Drżąc, pchnął szablę w stronę Vaelina.

– Dobrze – powiedział Vaelin, dotykając głowicy. – Skeltirze – przysunął się bliżej – muszę wiedzieć, ilu ludzi z Boską Krwią ma Ostrze Ciemności. Jakie są ich dary?

– Więcej... – Varnko znowu obnażył karmazynowe zęby – niż tylko dym, mój przyjacielu...

Jego głowa opadła po raz ostatni, resztki oddechu rozpyliły czerwoną mgiełkę na ręce Lorda Wieży.

– Ellese – powiedział Vaelin, unosząc szablę.

– Wujku? – Dziewczyna z ciekawością spojrzała na broń, którą podawał jej rękojęścią do przodu.

– Twoja matka kiedyś miała coś podobnego, jak sobie przypominam – powiedział Vaelin. – Ten człowiek prosił o godną rękę do jej dzierżenia. Myślę, że twoja będzie odpowiednia.

Ellese uśmiechnęła się skąpo i ujęła szablę.

– Matka nauczyła mnie władania mieczem. – Zakaszła, by usunąć nagłą chrypkę z głosu. – Ale mnie zawsze lepiej szło z nożem i łukiem.

– Jej również.

– Wyślijmy go w podróż – powiedział Nortah, wskazując skinieniem głowy na ciało Varnko. – Wiesz coś o ich rytuałach pogrzebowych?

– Nie – przyznał Vaelin, przenosząc wzrok na równinę, gdzie ziemię zaścielało jeszcze więcej zabitych, trafionych przez bełty w czasie ucieczki.

Niełatwo było ich policzyć, co nasunęło mu wniosek, że tej nocy musiała zginąć większość wojowników należących do skeldu Ostra. Może właśnie tego chciał, pomyślał Vaelin, patrząc na nieruchome ciało Varnko. Uchronić ich przed tym, w co zamieniłby ich Kehlbrand.

– Po prostu zakopcie go razem z pozostałymi – rozkazał. – Myślę, że tak by wolał.

## Rozdział trzydziesty

Cała armia Ostrza Ciemności pojawiła się na północnym horyzoncie dwa dni później. Wielka masa jeźdźców zbliżyła się na milę do miasta, po czym rozdzieliła się na wschód i zachód, żeby rozbić tam obozy wielkości miasteczek. Piechota przybyła, kiedy dzień zmierzał ku wieczorowi. Poruszała się luźnymi szeregami, które świadczyły o braku wojskowej dyscypliny, podobnie jak różniące się od siebie zbroje i broń. Wielu nosiło kolczugi i włącznie zabitych żołnierzy Kupieckiego Królestwa, podczas gdy inni mieli na sobie ciemne napierśniki i pancerze wyrabiane przez Stahlhast.

– Uwolnieni – powiedziała Luralyn. – Byli rzemieślnicy z torów, mieszkańcy podbitych ziem i plemiona, wszyscy przekonani o boskości mojego brata.

– Najwyraźniej niedostatecznie przekonani, by maszerować w równym szyku – skomentował Sho Tsai.

Stali we troje na szczycie bastionu północnej bramy i obserwowali, jak armia zajmuje pozycje. Obozy pojawiające się na południowym wschodzie i na zachodzie wskazywały na to, że miasto wkrótce zostanie otoczone.

– Prawda, że większość to niedoświadczeni żołnierze – przyznała Luralyn. – Ale proszę nie popełnić błędu, bo wielu posmakowało bitwy i z radością umrą za swoje Ostrze Ciemności.

– Ich liczba? – zapytał generał.

– Mój lud nie jest taki chętny do liczenia jak wasz. – Luralyn wzruszyła ramionami. – Jest ich wielu.

– Oceniam ich liczbę na jakieś sześćdziesiąt tysięcy – powiedział Vaelin.

– Zatem razem ze Stahlhastem i Tuhlą mamy do czynienia z armią liczącą blisko trzysta tysięcy ludzi.

– Naliczyliśmy ponad dwa tysiące ciał wrogów po ich pierwszym ataku. Ale odpierając go, straciliśmy tyle samo żołnierzy.

Sho Tsai wymienił spojrzenie z Vaelinem i obaj przez chwilę zastanawiali się nad ponurą arytmetyką. Doszli do tego samego wniosku.

Obrońcy miasta będą się wykrwawiać przy każdym ataku, podczas gdy wróg nadal pozostanie silny.

– Armia takiej wielkości spustoszy Północną Prefekturę – stwierdził generał. – Może nawet zagrozi sercu królestwa.

– Kehlbrand nie jest zainteresowany pustoszeniem – powiedziała Luralyn. – Ani się nie zatrzyma, póki nie odbierze wszystkich ziem władcom Kupieckich Królestw. Jego armia będzie rosnąć w miarę podbojów. Wszędzie, dokąd idzie, znajduje więcej zwolenników, więcej Uwolnionych, którzy powiększają jego szeregi.

– No to musimy powstrzymać go tutaj. Albo przynajmniej tak osłabić jego horde, żeby nie miała szansy przeciwko całej sile kupieckiej armii.

– To znaczy, że każdy z nas musi zabić sześciu tamtych – wyliczył Vaelin. – Trudna sprawa.

– Ale nie niemożliwa. Widziałem, jak armie załamują się na mniej groźnych murach niż te. – Sho Tsai wyprostował się i skierował chytre spojrzenie na Luralyn. – Pani brat nie będzie zwlekał, jak sądzę? Zaatakuje dzisiaj w nocy.

Luralyn skinęła głową.

– Wszędzie, gdzie może.

– Zatem spotkamy się z nim wszędzie. Lordzie Vaelin, niniejszym mianuję pana komendantem w miejsce Deshaia. Przejmie pan dowództwo nad wszystkimi regimentami na zachodnim murze. Proszę uprzedzić swoich ludzi, że nie będzie odwrotu. Każdy, kto zrobi choć jeden krok w tył, ukłęknie przed katem, kiedy nadejdzie ranek.

– Miasto jest tak zbudowane, żeby pozwolić na kolejne odwroty. – Vaelin wskazał skinieniem głowy na drugi poziom Keshin-Kho. – Wiemy, że mają więcej Obdarzonych. Gdyby przedarli się przez zewnętrzny mur...

– Nasza taktyka już okazała się skuteczna. Nasi pobłogosławieni przez niebiosy dorównują ich Obdarzonym. Zgodził się pan słuchać moich rozkazów. – Jego wzrok stwardniał, kiedy dodał z naciskiem: – Ani kroku w tył.

Vaelin poczuł silny impuls, żeby się spierać, przypomnieć, że Juhkar jest ranny i nie dojdzie do siebie przez wiele dni. Żeby dostrzec Obdarzonych Ostrza Ciemności, musieliby polegać na pieśni Ahm Lina, a brakowało jej precyzji tropiciela. Nie ty jesteś tutaj Lordem Bitwy, przypomniał sobie. I zażarta obrona zawsze jest zaletą.

– Jak pan rozkaże, generale – powiedział z formalnym ukłonem.

\*\*\*

Jak przewidziała Luralyn, nie było ciszy przed burzą. Pierwsze ataki nastąpiły niecałą godzinę po zachodzie słońca. Na pierwszy ogień poszła wschodnia flanka. Z ciemności wylało się dziesięć tysięcy albo więcej Uwolnionych i z drabinami zaatakowało mury. Ostrzeżony o ataku przez Ahm Lina Sho Tsai wysłał posiłki do tego sektora. Vaelin usłyszał bitewną wrzawę nawet z drugiej strony miasta i w tej kakofonii wykrył dziwną rytmiczną nutę.

– Bojowe modlitwy – wyjaśniła Eresa. – Uwolnieni śpiewają je na chwałę Ostrza Ciemności, kiedy atakują.

Zaśmiała się z głupoty swoich dawnych towarzyszy i poprawiła kolczugę, która, choć bardzo zmodyfikowana i dopasowana do jej drobnej postaci, nadal wywoływała podrażnienia. Eresa została przydzielona do Czaszek, podczas gdy Jihla stacjonowała w północnym bastionie, a jej brat na wschodnim murze. Na naleganie Sho Tsaia Luralyn została na drugim wewnętrznym murze z Varijem i Czerwonymi Zwiadowcami. Vaelin nie pozostawił kapralowi Cho-ka żadnych wątpliwości, że głównym obowiązkiem Czaszek jest chronienie Pobłogosławionej przez Niebiosy.

– Tylko nie zbliżajcie się do niej za bardzo, kiedy będzie używać swojego daru – poradził.

Walka na wschodzie ciągnęła się przez blisko dwie godziny. Vaelin w każdej chwili spodziewał się, że jeden ze strażników, których umieścił na dachach, przybiegnie z wieścią, że Uwolnieni się przedarli. Ale kiedy wiadomość dotarła, przyniósł ją jeden z członków jego osobistej grupy biegaczy, zwerbowanych z królewskiej służby pocztowej.

– Kamieniarz ostrzega o ataku z zachodu, milordzie – zameldował posłaniec, zatrzymując się gwałtownie i opadając na jedno kolano.

Vaelin już miał zapytać, kiedy powinien spodziewać się ataku, gdy zza murów dobiegł świst licznych strzał. Chwycił za ramię posłańca, kiedy ten zaczął się podnosić z ukłonu, tak że strzała, która inaczej by go zabiła, jedynie zmierzwiła mu włosy.

Vaelin ukucnął przy blankach i zaryzykował spojrzenie na równinę. Zobaczył masę jeźdźców galopujących w odległości niecałych pięćdziesięciu kroków od muru, równoległe do niego. W galopie wypuszczali strzały z kusz z szybkością i dokładnością, która zrobiłaby

wrażenie na Eorhilach. Zanim grad pocisków zakończonych stalą zmusił go do ukrycia się za osłoną, zdążył rozpoznać skórzane zbroje napastników.

– Poinformuj generała, że atakują nas Tuhla – przykazał posłańcowi.

Goniec uklonił się i pobiegł do najbliższych schodów, by dalej popędzić ulicami miasta.

– Oszczędzać pociski! – warknął Vaelin do kuszników, którzy wychynęli zza muru, żeby strzelać do jeźdźców. – Głowy w dół.

Rzucił rozkazy, idąc wzdłuż blanków.

– To tylko niedogodność – mówił, starając się patrzeć w oczy jak największej liczbie obrońców. Celowo nie zerkał na leżących ze strzałami w twarzy albo szyi. Dawno się nauczył, że dowodzenie w bitwie wymaga pewnej dozy obojętności na takie widoki.

Nawałnica strzał trwała przez kolejną minutę, a potem osłabła. Vaelin zaryzykował kolejne spojrzenie za mur i zobaczył, że Tuhla zatrzymują się i tworzą luźne oddziały. Gdy kontynuowali atak, pomiędzy ich szeregów wylała się masa piechoty Uwolnionych z drabinami. Oszacowanie ich liczby było niemożliwe, bo Tuhla nadal zasypywali obrońców pociskami, ale Vaelin zobaczył dość, by wiedzieć, że atak jest porównywalny z tym przypuszczonym na wschodnią flankę.

– Kusznicy, wstać! – krzyknął, a jego rozkaz powtórzyli sierżanci i oficerowie wzdłuż muru. – Celować najpierw w jeźdźców, potem niżej, w piechotę!

Nie wystarczyło czasu, żeby jego rozkaz dotarł do uszu wszystkich kuszników, ale usłyszało go ich dość, żeby posłać grad bełtów w stojących Tuhla. Jeźdźcy i konie padali tuzinami, oddziały traciły zwartość i szły w rozsypkę, przeszkadzając w szarży Uwolnionych. Tuhla całkiem przestali strzelać, a między piechotą zbliżającą się do muru a jej następną falą powstał odstęp.

Vaelin przez chwilę obserwował kusznika ładującego broń z imponującą szybkością. Kusze z Dalekiego Zachodu różniły się od tych z królestwa dłuższym łożem, zwiększającym zasięg. Mężczyzna włożył stopę w strzemie i trzymając nowy bełt w zębach, oburącz naciągnął cięciwę do zamka. Uniósł broń, opierając łoże na ramieniu, nasadził bełt na cięciwę i wypuścił go jednym pociągnięciem za spust, po czym natychmiast rozpoczął nowy cykl. Vaelin śledził bełt lecący łukiem w Uwolnionych i zobaczył, że jeden z niosących drabinę pada na ziemię. Został szybko zastąpiony i drabinę przystawiono do muru.

Vaelin usłyszał teraz wyraźnie bitewne modły; słowa wypowiedziano w języku Stahlhastu, który w najlepszych chwilach zgrzytał w jego uszach, a stawał się jeszcze brzydszy w okrzykach wydobywających się z fanatycznych gardeł. Kiedy napastnicy zaczęli wchodzić po drabinach, oficerowie wydali rozkaz, żeby lać na nich olej i rzucać kamienie, tak że wkrótce modlitwy zostały zastąpione przez krzyki. Większość drabin upadła, kiedy kusznicy celowali jeszcze niżej. Niektórzy wychylali się za blanki, żeby strzelać prosto w masy piechoty. Z sześciu drabin, które zostały na miejscu, trzy szybko na rozkaz Vaelina odrąbali na wysokości dwóch stóp od góry sierżanci z toporami. Uwolnionych, którzy próbowali wejść po ocalałych drabinach, zaatakowali z obu stron kusznicy. Jedynie garstce udało się dotrzeć do blanków, ale natychmiast zostali przesygnięci włóczniami. Pozostałe drabiny szybko odrzucono, co oznaczało, że druga fala Uwolnionych nie miała po czym się wspinać, gdy już przedarła się przez kłębowisko wojowników Tuhla.

Mimo nieustających wysiłków kuszników Uwolnieni nie wycofali się, tylko podnieśli drabiny i ponowili atak. Przez cały czas wyśpiewywali swoje szalone bitewne modły. Vaelin zobaczył, że kilku przeszytych strzałami i zakrwawionych nadal porusza ustami. Gorący olej się skończył, ale każdy oddział dostał duży zapas ciężkich kamieni odłupanych z domów na dolnym poziomie. Vaelin przebiegł wzdłuż muru, rozkazując, żeby je rzucać. Wkrótce kaskada gruzu spadła na przeciwników, roztrzaskując drabiny i miażdżąc czaszki. Nawet wtedy Uwolnieni wykazali się niechęcią do odwrotu i zwlekali w tłumie stojącym w niedużej odległości od murów. Niektórzy odrzucali kamienie w górę, podczas gdy inni wrzeszczeli i wykrzykiwali irracjonalne wyzwania.

– Przypominają mi trochę Cumbraelczyków z Wysokiej Warowni – zauważył Nortah, wypuszczając strzałę prosto w otwarte usta krzyczącego Uwolnionego. – Przynajmniej tamci mieli na tyle dobre maniery, żeby umierać cicho.

Vaelin znalazł brata obok Ellese w miejscu, gdzie mur skręcał w stronę północnego bastionu. Sądząc po tym, że w ich kołczanach zostało po kilka strzał, oboje bardzo się zasłużyli tej nocy. Wkrótce zużyli wszystkie strzały oprócz zatrutych, dodając jeszcze kilka ciał do rosnącego stosu zabitych. Mimo to Uwolnieni nadal złorzeczyli z dołu zniechęconym niewiernym na murach, choć Vaelin zauważył, że na równinie już nie ma Tuhli. Oparł się impulsowi i nie wydał rozkazu, by kusznicy przerwali ogień. Choć

wrogowie już nie stanowili tej nocy zagrożenia, dostrzegł mądrość w taktyce Sho Tsaia. O rezultacie tego oblężenia miały przesądzić liczby, a im więcej wrogów zabili teraz, tym mniej zaatakują ich jutro.

– Oni chcą umierać? – dziwiła się Ellese, kręcąc głową, kiedy zgromadzenie Uwolnionych jeszcze bardziej się skurczyło.

– Może – powiedział Nortah ostrożnym szeptem, ze wzrokiem skierowanym w stronę północnego bastionu. – Albo chcą po prostu odciągnąć naszą uwagę od czegoś innego.

Idąc za jego wzrokiem, Vaelin dostrzegł jakiejś zamieszanie na szczycie bastionu w jednej ze stacjonujących tam regularnych kompanii. Wojsko rozmieszczone po obu jej stronach niczego nie zauważyło, a on nie słyszał żadnych krzyków ani śpiewów, które mogłyby oznaczać atak. Mimo to wiedział instynktownie, że patrzy na walczących ludzi. Już miał wezwać kogoś z oddziału Czaszek, żeby poszedł i sprawdził, co się dzieje, gdy nagle oddział otoczyły jasne płomienie. W noc wzbily się krzyki, ludzie padali i toczyli się wśród ognia, żołnierze po obu stronach zostali zmuszeni do wycofania się z powodu żaru.

– Przygotujcie zatrute strzały – powiedział Vaelin do Nortaha i ruszył biegiem wzdłuż murów. – Ellese, znajdź Eresę i przyprowadź ją do północnego bastionu.

Musieli przedzierać się przez nagle zdezorganizowany tłum żołnierzy, tarasujących drogę, gdy cofali się przed ognistym spektaklem, głusi na rozkazy Lorda Wieży, żeby wracać na pozycje. Vaelin odszukał oficerów i sierżantów, również wpatrujących się z przerażeniem w płomienie pochłaniające kompanię na szczycie bastionu, ale wszyscy zareagowali na jego władczy głos. Z ich pomocą szybko został przywrócony porządek, a Vaelin pośpieszył przez równe szeregi wojska, żeby odszukać w bastionie Jihłę. Kobieta klęczała z twarzą przerażoną i mokrą od łez, wpatrując się w dymiące szczątki.

– Musiałam – wyszeptała i spojrzała na Vaelina oczami błagającymi o zrozumienie. – Oni zaczęli zabijać się nawzajem. Niektórzy zaatakowali innych żołnierzy. Musiałam...

Vaelin zwalczył mdłości, gdy poczuł silny odór ciał upieczonych w zbrojach. Nortah wyszeptał imię, które obaj rzadko wymawiali.

– Caenis.

– Co?



– Widziałem, jak rozpętał takie samo piekło wśród Volarian. – Twarz Nortaha pociemniała od niechcianych wspomnień. – W dniu, kiedy zginął w tamtej przeklętej świątyni. Wykrwawił się, ratując nas. – Zmarszczył brwi, nadal przyglądając się strasznej scenie. – Musiał być blisko, żeby dar zadziałał. – Odwrócił się do Vaelina. – Dostatecznie blisko, żeby ich widzieć.

– Cofnąć się! – zawołał Vaelin do otaczających go żołnierzy. – Żaden człowiek nie może pokazać się ponad murem.

Długie szeregi żołnierzy posłusznie zaczęły się wycofywać, w miarę jak rozkaz przekazywano na tyły. Vaelin ukucnął z Nortahem za jedną z wysokich przypór w najdalej wysuniętym punkcie bastionu.

– Nie, bracie – powiedział Nortah, kiedy Vaelin zaczął posuwać się naprzód w nadziei, że wyśledzi Obdarzonego napastnika. – Jedno spojrzenie mogłoby wystarczyć.

Vaelin odwrócił się, słysząc tupot, i zobaczył, że to Ellese przybywa z Eresą na czele Czaszek. Drobną kobietą od razu ukłękła przy Jihli i przygarnęła jej zapłakaną twarz do ramienia.

– Zaczekaj chwilę – powiedział Vaelin do Nortaha i w kucki zbliżył się do Eresy. – Mam dla ciebie zadanie.

\*\*\*

– Razem wymyślaliśmy przez lata bardzo głupie rzeczy – stwierdził Nortah chwilę później. Stał oparty plecami o przyporę, z zatrutą strzałą nasadzoną na cięciwę. Na twarzy miał wyraz determinacji zmieszanej z głęboką niechęcią. – Ale chyba jeszcze żadnej aż tak głupiej jak ta.

– Taka moc mogłaby zniszczyć całą obronę – powiedział Vaelin. – Musimy zakończyć to teraz.

Zerknął przez ramię na Eresę.

– Bądź gotowa. I nie zważaj się.

Jej niechęć była niewiele mniejsza od niechęci Nortaha, twarz miała bladą, oczy szeroko otwarte, ale Obdarzona skinęła głową i przycisnęła rękę do jego okrytych kolczugą pleców. Vaelin wyczuł jej drżenie nawet przez metal i skórę. Wziął oddech i prostując się, wyszedł zza przypory, żeby pokazać się temu, co czekało za murami. Zamrugnął zaskoczony, kiedy stwierdził, że ziemia przed bastionem jest wolna od ciał wrogów. Dostrzegł

jednak ciemną masę armii czekającej w ciemności, bo stal i zbroje odbijały blask księżyca. Potem zobaczył chłopca.

Ubrany w strój ludzi pogranicza nie mógł mieć więcej niż dwanaście lat. Stał na ciemnej równinie w miejscu, gdzie nie sięgał blask pochodni palących się na murach. Ujrawszy Vaelina, przytknął ręce do ust i głośno zachichotał. Jego głos był wyraźnie słyszalny w nocnej ciszy. Nawet z tej odległości Vaelin mógł dojrzeć szaleńczy błysk w oczach chłopca, jak radosne oczekiwanie na nową zabawkę. Podskakując z podniecenia, chłopiec ruszył biegiem przed siebie, nadal chichocząc i wpatrując się błyszczącymi oczami w Lorda Wieży.

Vaelin poczuł, że dar chłopca wślizguje się w niego jak sztylet o wąskim ostrzu i zagłębia, rozpalając płomień wściekłości. Płonące nasiono w piersi sprawiło, że jego serce przyśpieszyło, a w skroniach zaczęło mu dudnić. Krzyknął cicho, gdy w jego głowie nagle ożyło gniazdo szerszeni i wspomnienia wszystkich bitew, w których brał udział, przemknęły przez umysł oślepiającym strumieniem. Przy każdym łomoczącym uderzeniu serca czuł ból wszystkich ran, które odniósł i zadał. Trzymał miecz w ręce, choć nie pamiętał, żeby go wyciągał. Poczuł, że z jego ust wydobywa się warczenie, kiedy furia całkiem go pochłonęła. Świat się skurczył, zmienił w karmazynową mgłę niewyraźnych postaci, których widok zrodził w nim nienawiść i potrzebę... potrzebę zabijania.

Zwalczył ją i przebił się przez mgłę, przywołując wszelkie wspomnienia radości i dobroci, jakie zdołał zgromadzić. Uśmiech Dahreny, opowieści Dentosa, aspekt Elera tamtego dnia w ogrodzie... Wzrok wyostrzył mu się na tyle, że dostrzegł Nortaha. Jego brat stał z naciągniętym łukiem i celował poza bastion. Ale na twarzy nie miał skupienia łuczника, który właśnie ma wypuścić śmiertelny pocisk. Zamiast tego Nortah wpatrywał się w chłopca z przerażeniem, a jego usta poruszały się w trwożnym szepcie:

– To jeszcze dziecko...

Wściekłość rozgorzała w nim na nowo, przywracając świat do stanu budzącego nienawiść. Vaelin zawarczał i rzucił się na brata z mieczem wyciągniętym do śmiertelnego ciosu...

Cały świat zniknął w najczystszej bieli. Jego plecy wygięły się w łuk tak ostry, że później nie mógł się nadziwić, że nie pękł mu kręgosłup. Szum mocy przeszył rdzeń, dotarł do kończyn, miecz wypadł ze spazmatycznie kurczących się palców. Kiedy spadał w ciemność, zobaczył, że Ellese porusza się, jakby brnęła przez zgęstniałe powietrze, odpycha Nortaha na

bok i z obnażonymi zębami napina cięciwę. Wszystko zgasło w chwili, kiedy strzeliła. A Vaelin, osuwając się w mrok, usłyszał rozpaczliwy krzyk brata.

## Rozdział trzydziesty pierwszy

Obudził się z metalicznym posmakiem krwi w gardle i bólem naciągniętych mięśni. Dławiąc się, przetoczył się po twardej podłodze i wykaszła czerwona grudę. Dyszał i wymiotował jeszcze przez chwilę, aż z jego ust zniknął kwaśny smak. Potem opadł na plecy i mruganiem odpędził łzy. Zobaczył ozdobną kratownicę świątynnego sklepienia.

– Masz, pij.

Zamrugął i ujrzał Sherin klęczącą przy nim z kubkiem wody w rękach. Wziął go od niej i napił się, splukując resztki krwi z języka. Jęcząc, usiadł i skrzywił się, kiedy zaprotestowało każde ścięgno w jego ciele.

– Eresa nie mogła uwierzyć, że przeżyłeś jej dotyk – powiedziała Sherin.  
– Zdaje się, że jesteś pierwszym, któremu się to udało.

Vaelin obejrzał się całego. Kolczuga i buty zostały z niego zdjęte, ale miał jeszcze koszulę i spodnie. Nie widział na sobie żadnej rany, a ból szybko ustępował.

– Czy ty...? – zaczął, ale umilkł, kiedy Sherin pokręciła głową.

– Nie tym razem. Mimo gwałtownych konwulsji twój puls pozostał silny, więc uznałam, że dojdiesz do siebie bez mojej pomocy. Na twoich plecach jest dziwny znak w kształcie dłoni, który, jak podejrzewam, będziesz nosił do końca życia. Ale poza tym...

Słyszając wystraszone skomlenie, podeszła do żołnierza, który leżał obok na łóżku. Miał zabandażowane oczy i wymachiwał rękami, szukając czegoś i mamrocząc ledwo zrozumiałe prośby, żeby jego żona zapaliła lampy.

Kiedy Sherin uspokajała żołnierza, szepcząc łagodne słowa otuchy, dopóki nie przestał się miotać, Vaelin wstał i zobaczył, że wszystkie łóżka są zajęte, podczas gdy mniej poważnie ranni leżeli na kocach na gołej podłodze, tak jak on. Między nimi bezustannie krążyli mnisi i zakonnice, wszystkie twarze wykazywały oznaki zmęczenia, które świadczyło o długiej i ciężkiej nocy. Chien przytrzymała nogę jakiegoś mężczyzny, a jeden z uzdrowicieli zszywał głęboką ranę na jego udzie.

– Ilu? – zapytał Vaelin.

Sherin przesunęła dłonią po czole oślepiętego żołnierza i sięgnęła do porządnego stosu zrolowanych bandażów.

– Generał rozkazał, żeby już nie liczyć ofiar – powiedziała z goryczą w głosie. – To podobno źle wpływa na morale. – Wzięła kosz i zaczęła napełniać go bandażami. – Pora na obchód. Musiałam powiedzieć innym, żeby czekali na zewnątrz. Twoja siostrzenica była szczególnie natrętna.

– Taka już jest. – Vaelin sięgnął po kosz. – Obchód może zaczekać. Potrzebuję czegoś od ciebie.

Juhkar leżał na pryczy w jednej z zakonnych cel, skórę miał zroszoną potem, oczy zamglone, kiedy spojrzał na Vaelina. Bandaż na jego udzie był czysty, z kilkoma kroplami krwi, ale opatrunek na ramieniu pociemniał. Nozdrza Vaelina drgnęły pod wpływem znajomego zapachu gnijącego ciała.

– Więc dopadliście następnego – odezwał się tropiciel, układając blade wargi w drżący uśmiech. – Zdaje się, że już mnie nie potrzebujecie.

Vaelin postanowił nie mówić mu, że Obdarzony, którego zabili w nocy, był dzieckiem, oszalałym i okrutnym, ale dzieckiem.

– Nonsens – powiedział, dotykając jego ramienia. – Potrzebujemy cię bardziej niż kiedykolwiek.

Podszedł do Sherin i zapytał ściszym głosem:

– Jego ramię?

– Gangrena. Miałam skuteczny lek, ale zużyłam większość na tamtego młodego wojownika Stahlhastu, a resztę w ciągu ostatnich dni. Próbowałam innych sposobów, ale żaden nie działa równie dobrze... – Umilkła, kiedy coś zaświtało jej w głowie. Roześmiała się. – Chcesz, żebym go wyleczyła. – Najpierw wyznaczyłeś tę kobietę, żeby pozbawiła mnie przytomności, kiedy spróbuję użyć swojego daru... Nie kłam. Powiedziała mi, po co naprawdę tu jest. A teraz to. Dlaczego?

– Bo wątpię, czy to miasto będzie miało szansę bez niego – odparł Vaelin, wiedząc, że szczerłość to jedyna taktyka, by ją przekonać.

Sherin westchnęła i pokiwała głową.

– Dobrze, poczekaj na zewnątrz. To nie potrwa długo...

– Jeszcze jedno – zatrzymał ją Vaelin, kiedy ruszyła w stronę łóżka. – On jest Obdarzonym.

– Wiem.

– Tkacz powiedział mi kiedyś, że za każdym razem, gdy kogoś wyleczył, oni dawali mu w zamian coś z siebie. Kiedy się rozstawaliśmy, był chyba

najpotężniejszą i najbardziej niebezpieczną żywą istotą. Jeśli uzdrowisz tego człowieka, możliwe, że będziesz miała nie tylko jeden dar.

Sherin skrzyżowała ramiona, patrząc na rozgorączkowaną twarz Juhkara.

– Dlaczego mi to mówisz? – zapytała słabym głosem.

– To musi być wybór dokonany z własnej woli – odparł Vaelin. – Z pełną świadomością konsekwencji.

– Już mi powiedziałeś o możliwych konsekwencjach, jeśli tego nie zrobię. Zawsze tak z tobą jest, same trudne wybory. – Opuściła rękę, usiadła na łóżku i ujęła dłoń Juhkara. – Poczekaj na zewnątrz.

\*\*\*

– Żyjesz. – Na drobnej twarzy Eresy malowało się zdumienie, kiedy patrzyła na niego od stóp do głów.

– Na to wygląda.

– Mówiłam ci – odezwała się Ellese, podchodząc i obejmując Vaelina. – Kilka iskier nigdy by go nie zabiło.

Vaelin zobaczył ulgę na jej twarzy, kiedy się odsunęła, ale w oczach były cienie, których wcześniej nie widział. Przypuszczał, że do tej pory poczucie winy stanowiło dla niej rzadkie doznanie.

– Chłopak? – zapytał.

– Szybkonogi mały gnojek, strzała tylko go drasnęła. – Ellese wzruszyła ramionami i zmusiła się do krótkiego uśmiechu. – To wystarczyło.

– Bracie, ja... – Nortah do nich podszedł, a Vaelin zobaczył na jego twarzy wstyd większy niż po najgorszych pijackich ekscesach.

– Stało się – przerwał mu Vaelin. – Przy odrobinie szczęście nie trzeba będzie tego więcej robić.

– Nikt nigdy nie przeżywa – wymamrotała Eresa, nadal wpatrując się w Vaelina, a do jej wzroku wkradła się odrobina strachu. Otrzeźwiło ją dopiero znaczące kaszlnięcie Luralyn. – Przepraszam, milordzie. – Obdarzona złożyła ukłon, który był niezdarną imitacją dalekozachodniego.

– Za co? – Vaelin chwycił ją za ramię i podniósł. – Zrobiłaś to, co kazałem.

Sehmon wystąpił do przodu z bronią i zbroją Lorda Wieży, podczas gdy Alum stał z boku z wyrazem lekkiej nagany na twarzy.

– Dużo ryzykujesz – stwierdził, kiedy Vaelin wkładał kolczugę. – Jeśli będziesz martwy, nie znajdę naszych dzieci.

– Mogłeś odejść – przypomniał mu Vaelin, przerzucając pas z mieczem przez ramię. – Kontynuować poszukiwania na własną rękę. Jak mówiłem, że nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań.

– Obaj wiemy, że to nieprawda – odparł Moreska. – A ja dotrzymuję słowa kuzynowi.

Wszyscy się wyprostowali, gdy świątynię wypełnił płaczliwy, ale mocny dźwięk wielu rogów sygnałowych grających jednocześnie.

– Atak w świetle dnia – powiedział Vaelin, patrząc na Luralyn. – Twój brat zmienia taktykę.

– Nie – odezwał się Ahm Lin, mrużąc oczy i przekrzywiając głowę w znajomej pozie, która świadczyła o nowym tonie w jego pieśni. – To nie jest atak.

– A co innego to może być? – zdziwił się Nortah.

– Rozejm – powiedziała Luralyn ze smutnym westchnieniem. Wzięła głęboki wdech i szybkim krokiem ruszyła do świątynnej bramy. – Mój brat chce rozmawiać.

\*\*\*

Kehlbrand Reyerik, mestra-skeltir Stahlhastu i Ostrze Ciemności Niewidzialnych jechał sam w stronę północnej bramy. Bez hełmu, tylko w prostej, czarnej zbroi, od której odbijało się południowe słońce; na emaliowanym metalu nie było żadnej skazy ani rysy. Armia stała za jego plecami, ciemna linia zakutych w stal ludzi i koni rozciągająca się na milę w każdym kierunku. Kiedy się zbliżał, całe wojsko śpiewało modlitwy, a Vaelin zauważył, że Luralyn przenosi skonsternowany wzrok z szeregów Tuhli na Stahlhast.

– Więc teraz podporządkował ich wszystkich – stwierdziła. – Ostrze Ciemności rządzi bez wyzwania czy ograniczeń.

Jechała na białym ogierze po lewej stronie Sho Tsaia, a Vaelin na Derce po jego prawej. Sądząc po tym, jak wierzchowiec podrzucał głowę i wciąż próbował przejść z galopu do cwału, nie przyjął dobrze długiego zamknięcia w garnizonowych stajniach.

Sho Tsai uniósł rękę i zatrzymał się w odległości strzału z kuszy od murów. Na blankach gęsto rozstawieni kusznicy czekali, by na znak

generała wypuścić śmiertelny grad bełtów.

Kehlbrand stanął nie więcej niż dziesięć kroków od generała i jego świty, ale poza zasięgiem kusz. Wyraz jego twarzy kontrastował z sardoniczną i wszechwiedzącą miną, którą Vaelin gardził. Teraz Reyerik wyglądał w każdym calu na poważnego, stanowczego wojownika, co w połączeniu z niechęcią w oczach przypuszczalnie miało świadczyć o tym, że oto czeka go straszny, ale konieczny obowiązek.

Modły ucichły, kiedy Kehlbrand uniósł dłoń. W jednej chwili w armii zapanowała całkowita cisza.

– Żrebaczku – przemówił do Luralyn sztywnym tonem, jakby nie chciał się zdradzić z silnymi emocjami. – Dobrze się miewasz?

– Nie – odpowiedziała siostra głosem ochrypłym od niehamowanego bólu. – Mój brat oszalał i zabił wielu ludzi, wyobrażając sobie, że jest bogiem. Zatem nie, Kehlbrandzie, nie czuję się dobrze.

Vaelin zobaczył przelotną zmianę na twarzy, krótki błysk w oczach, drgnięcie policzka, które mogły oznaczać prawdziwy ból albo gniew. Ale one zniknęły prawie natychmiast, a wróciła maska stanowczego wojownika.

– Przez tyle lat byliśmy dla siebie wszystkim – powiedział głosem pełnym żalu, choć całkowicie fałszywego. – Jedyna miłość, jaką znałem, to była miłość mojej siostry. Co zrobiłem, że się ode mnie odsunęłaś? Że doprowadziłem cię do stanu... – zamknął na chwilę oczy i z drżeniem wypuścił powietrze z płuc – ...zdradzieckiej herezji.

– Wszystko – odpowiedziała Luralyn. – Każde działanie, które podejmowałaś od dotknięcia kamienia, jeśli nie wcześniej. Jestem, jaka jestem, bo taką mnie uczyniłeś. Musiałam stać się twoim wrogiem, żeby świat przetrwał.

– Nie mogę się z tym pogodzić. – Kehlbrand uniósł ramię, wskazując na potęgę swojej armii. – Widzisz tutaj tysiące wyzwolonych dusz. Ostrze Ciemności szanuje każdą, wszystkie mogą wstąpić w objęcia Niewidzialnych. – Wyciągnął do niej rękę z rozpostartymi palcami, jakby chciał ją pochwycić. – Nawet kobieta, którą teraz nazywają zdrajczynią. Wśród naszego ludu twoje imię stało się przekleństwem, nieprzyzwoitą, wulgarną rzeczą. Ale ja na to nie pozwolę. Luralyn. Nie zostawię cię nieodkupioną. Chodź ze mną. Nie brukaj siebie wśród tych nikczemników.

– Dlaczego odgrywasz tę farsę? – zapytał Vaelin. – Na pewno wiesz, że ją przejrzelśmy.



Kehlbrand nadal wyciągał rękę do siostry, ale jego twarz drgnęła z gniewu. Kiedy znowu się odezwał, zrobił to w języku Stahlhastu, głosem cichym, błagalnym. Jedyłą odpowiedzią Luralyn było pokręcenie głową i wytarcie dłonią łez z oczu.

Reyerik westchnął i opuścił rękę, a potem rzucił Vaelinowi kwaśne spojrzenie.

– Zabójca Królowej Ognia nadal żyje, jak widzę. Twoja rola się skończyła, Złodzieju Imion. Dlaczego nie znajdziesz sobie spokojnego kąta, żeby w nim umrzeć?

– Jeśli chcesz mojej śmierci, rzuć mi wyzwanie – odparł Vaelin. – Bo już nie masz czempiona, który walczyłby za ciebie.

Kehlbrand się zaśmiał.

– Nadal nie wyczuwam w tobie pieśni, więc jesteś mnie niegodny. Mam zamiar pozostawić twoją śmierć Babukirowi, kiedy on już odbędzie pokutę. Generale... – przeniósł wzrok na Sho Tsaia – czy teraz ten cudzoziemski barbarzyńca przemawia w pańskim imieniu?

– Jego słowa są jego własnymi słowami, a moje należą do króla – odparł Sho Tsai.

– Obowiązkowy człowiek z pana, a zważywszy na to, jak walczyły pańskie wojska, godny mojego szacunku. – Ukłonił się w siodle, a Sho Tsai odwzajemnił gest z wyraźną niechęcią. – Proszę zatem, żeby w poczuciu obowiązku zabrał pan stąd swoich ludzi. Gwarantuję wam bezpieczne dotarcie do południowej granicy Północnej Prefektury. Weźcie ze sobą swoją broń i sztandary.

Rysy Sho Tsaia pozostały nieprzeniknione, nie licząc uniesionej brwi.

– I tak po prostu pozwoli nam pan odejść? Jako żołnierz uważam, że jest to wbrew wszelkiej militarnej logice.

– Walcząc z nami, stracił zbyt dużo Błogosławionych przez Niebiosa – wtrącił Vaelin. – I chce zachować resztę, żeby podbić Kupieckie Królestwa. – Posłał Reyerikowi beznamiętny uśmiech. – Prawda?

– Nie pozwolę, żeby ten cudzoziemski oszust doprowadził pana do klęski, generale – oświadczył Kehlbrand, nie zaszczycając Vaelina nawet spojrzeniem. – To miasto upadnie. Wiem, że pan to widzi. Nie ma pan ludzi, żeby mi się przeciwstawić, a pański opór nie przyniesie Czcigodnemu Królestwu nic oprócz śmierci żołnierzy, na których stratę nie może sobie pozwolić. Ja potrzebuję żołnierzy. Kiedy zdobędę Czcigodne Królestwo, do utrzymania porządku i łagodzenia obaw mieszkańców będą potrzebni

ludzie, którzy mówią ich językiem i znają ich zwyczaje. W ten sposób zostaną pokierowani w objęcia Niewidzialnych. Człowiek taki jak pan znajdzie się wysoko na dworze Ostrza Ciemności, poprowadzi armie przeciwko południowym królestwom. Chwała i sława będą nagrodą dla pana i pańskich żołnierzy. Lepszą, zgodzi się pan, od śmierci i hańby klęski, a to ich tutaj czeka.

Sho Tsai zacisnął usta i przeniósł wzrok na wojsko stojące za Kehlbrandem.

– Jak to możliwe, że człowiek, którego słowa są tak pozbawione prawdy, że nawet dziecko dostrzegłoby w nim oszusta, potrafił zebrać taki tłum?

Kehlbrand opuścił wzrok, a maska szczerości zmieniła się w rezygnację.

– Naprawdę zamierzasz mnie do tego zmusić? Wiesz, że mówię prawdę, Luralyn.

Jego siostra podniosła ręce do szyi i zdjęła przez głowę łańcuszek. Wisiało na nim coś, co wyglądało na długi ząb z wygrawerowanym napisem.

– Okłamałeś mnie na długo przed dotknięciem kamienia.

Rzuciła w niego łańcuszkiem. Kehlbrand go złapał, a w jego oczach na chwilę pojawił się smutek.

– Chciałem, żeby twoje życie było wolne od strachu – powiedział. – Nadal chcę. Chodź ze mną. Zostaw tych głupców ich własnemu losowi.

– Ich los jest teraz moim losem – oświadczyła Luralyn, zawracając konia.

– A ty dostałeś swoją odpowiedź.

Ruszyła cwałem w stronę miasta, a za nią Sho Tsai, który nie widział potrzeby oficjalnego pożegnania.

– Naprawdę powinieneś być dotknąć kamienia, wiesz – powiedział Kehlbrand do Vaelina, kiedy ten ścisnął boki Derki. – Nie mówię, że miałbyś szansę – dodał ze znajomym uśmiechem – ale przynajmniej wszystko byłoby o wiele bardziej interesujące.

– Czekam na murach – rzucił Lord Wieży. – A może jesteś zbyt tchórzliwy...

Jego słowa zagłuszył modlitewny śpiew armii. Vaelin zobaczył, że wszyscy dźgają powietrze lancami i mieczami do rytmu pieśni. Jego wzrok przyciągnęła wysoka, ciemna sylwetka wyrastająca ponad tłum. Przypominała zamkową wieżę, ale o bardziej postrzępionym zarysie i rosła w miarę zbliżania się. Z południowej mgiełki wkrótce wyłoniły się jeszcze dwie wieże po bokach pierwszej, a chwilę później następne.

Okrzyki stawały się coraz bardziej szalone. Szeregi wojska się rozstąpiły, odsłaniając zaprzęgi z pięćdziesięciu wołów, ciągnące wieże po równinie. Ich ogromne koła żłobiły rowy w ziemi. Od boków wielkich konstrukcji odbijało się światło. Nie był to przyćmiony połysk drewna, lecz twardy blask żelaza.

– Wyobrażałeś sobie, że nie mam nic oprócz Boskiej Krwi? – zapytał Kehlbrand, przekrzykując ryk swojej armii.

Przez głowę Vaelina przemknęła myśl o zdobyciu miecza, ale odległość między nimi była za duża. Kehlbrand miałby czas, by uniknąć ataku, a jego umiejętności wystarczyłyby do odparcia go, nim armia ruszy. Mógł więc jedynie spojrzeć mu w oczy i odkrzyknąć:

– Zmusiłeś dziecko, żeby dotknęło kamienia, i nas, żebyśmy je zabili! Rozliczę się z tobą za to!

Zawrócił Derkę i popędził do miasta. Śmiech Ostrza Ciemności, słyszalny nawet ponad fanatycznymi okrzykami, ścigał go przez całą drogę do bramy.

\*\*\*

– Budowle z żelaza się nie palą.

Sho Tsai nie zareagował na słowa Vaelina i tylko nadal wpatrywał się w wieże. Było ich dwanaście, ciągniętych przez długie zaprzęgi wołów w powolnym, ale nieustępliwym marszu przez równinę. W miarę jak się zbliżały, ujawniały swoją konstrukcję. Każda mierzyła osiem stóp wysokości i miała ściany z nakładających się na siebie płyt z kutego żelaza. Luralyn z nutą podziwu i lęku oświadczyła, że to najbardziej niezwykle maszyny, jakie wyszły z warsztatów Stahlhastu.

– Ich budowa musiała zabrać co najmniej rok – stwierdziła. – Kolejna tajemnica, którą przede mną ukrywał.

Wieże były pogrupowane w pary, trzy z nich już zatrzymały się szerokim łukiem na północy. Vaelin wiedział, że dotarcie na pozycje wokół miasta innym zajmie resztę dnia. Po nadejściu nocy przypuszczają jednoczesny atak, nie dając obrońcom możliwości skupienia sił. Nie przychodził mu do głowy fortel, który nie pozwoliłby na zdobycie zewnętrznego muru.

– Wycofajmy się na drugi poziom, generale – powiedział do Sho Tsai. – Oszczędzajmy siły. Oni nigdy nie zdołają przeprowadzić tych monstrów ulicami dolnego miasta.

– W ten sposób damy wrogowi łatwe zwycięstwo – zauważył generał. – Oni nabiorą odwagi, a nasi ludzie wycofają się w hańbie.

– Zhańbieni ludzie mogą odzyskać godność, walcząc następnego dnia. Martwi nie.

Oczy Sho Tsaia zabłyśły ostrzegawczo, ale Tsai Lin zapytał z głębokim ukłonem:

– Mogę prosić o pozwolenie na zabranie głosu, generale?

Sho Tsai przesunął wzrok z Vaelina na swojego adoptowanego syna i jeszcze bardziej zmrużył oczy.

– O co chodzi? – warknął.

– Wieże z żelaza nie palą się, to prawda, ale ludzie w środku tak. Sądzę... – Tsai Lin wziął głęboki wdech – że lord Vaelin ma rację. Zewnętrzny mur nie da się utrzymać, ale nie powinniśmy również pozwolić wrogowi na bezkrwawy triumf. – Odwrócił się i wskazał na puste domy na pierwszym poziomie miasta. – Powitajmy ich piekielnym ogniem wznieconym przez niebiosy.

## Rozdział trzydziesty drugi

Godziny do zachodu słońca były wypełnione gorączkową pracą, kiedy pośpiesznie zebrane grupy robocze wyważały drzwi i okna domów na dolnym poziomie miasta. Ich wnętrza wypełniono różnymi łatwopalnymi materiałami, nie licząc mebli pozostawionych przez ewakuowanych mieszkańców. Z dachów zerwano dachówki, żeby odsłonić drewniane szkielety, każdy dostępny kawałek drewna z domów na drugim poziomie zniesiono na dolny, na rogach ulic zgromadzono duże ilości węgla. Potem do pracy przystąpił Varij. Używając swojego daru, burzył starannie wybrane budynki na skrzyżowaniach, żeby w ten sposób powstały wąskie gardła. Okazał się nieustrudzony, choć krusząc fundamenty ostatniego domu, trochę się chwiał. Cała budowla zmieniła się w stos drewna i cegieł.

– Więcej? – zapytał, wycierając szmatką krew ciekącą mu obficie z nosa i oczu.

– Myślę, że to wystarczy – powiedział Vaelin. – Najlepiej idź i zostań przy swojej pani. Ona będzie potrzebowała twojej ochrony, kiedy się zacznie.

Młody Obdarzony ze znużeniem, ale i wdzięcznością skinął głową i ruszył na drugi poziom miasta. Odchodząc, zatrzymał się jeszcze i dodał:

– Wiele razy używałem tego daru, żeby Ostrze Ciemności mógł podbijać różne miejsca. Dobrze jest go użyć, by jakieś uratować.

Uśmiechnął się ze zmęczeniem i oddalił zdecydowanym, choć trochę nierównym krokiem.

Wnętrze każdej nietkniętej budowli obficie polano olejem, w wąskich gardłach dodatkowo rozstawiono gliniane garnki pełne paliwa, gotowe do rozbicia, kiedy przyjdzie pora. Mimo dyscypliny i energii, z jakimi żołnierze wykonywali swoje zadania, Vaelin był wdzięczny za długi letni dzień, bo dzięki temu wieże Ostrza Ciemności nie mogły zaatakować. Gdy olej został rozlany, oddziały wycofały się na drugi mur.

Wieże rozpoczęły powolny marsz do zewnętrznego muru tuż po tym, jak słońce schyliło się ku ziemi. Vaelin przypuszczał, że Kehlbrand albo jakiś bystry umysł pozostający w jego niewoli wyliczył dokładny moment, kiedy

po zapadnięciu ciemności maszyny opuszczą rampy na blanki. Za każdą wieżą podążała długa, wąska kolumna Uwolnionych, napierając na poprzeczki żerdzi o długości stu kroków. Pchając masywne konstrukcje, śpiewali rytmiczne bitewne pieśni. Za nimi maszerowali wielką masą pozostali Uwolnieni i spieszony Stahlhast. Zatrzymali się w odległości strzału z kuszy od miasta, natomiast maszyny jechały dalej. Vaelin przypuszczał, że piechota ruszy naprzód, kiedy wieże dotrą do muru i opuszczą rampy.

– Kuszownicy, wystąpić! – wykrzyknął.

Choć cielsko najbliższej maszyny zasłaniało pchających przed bezpośrednim atakiem, nadal można było ich zaatakować z flank. Vaelin stanął na przodzie zachodniego bastionu obok kuszników. Kiedy ci wypuścili bełty, padło kilku Uwolnionych, głównie tych przy końcu żerdzi, ale dziesiątki ich towarzyszy podbiegły i zajęły ich miejsca, a rytm śpiewów uległ jedynie chwilowemu zakłóceniu.

– Znacnie plan! – zawołał Vaelin do kuszników. – Kiedy zostaną wam dwa ostatnie bełty, biegnijcie na drugi poziom! Nie zwlekajcie!

Uchylił się, kiedy z najbliższej maszyny poleciała łukiem strzała. Stalowy grot odbił się od kamiennej przypory, krzesząc iskry. Na szczycie każdej wieży jechało dwunastu łuczników Stahlhastu. Na szczęście grad bełtów zmusił ich do chowania się za osłonę, co nie pozwalało im zobaczyć, jak rzadko obrońcami są tej nocy obsadzone mury. Rozstawiono na blankach około dziesięciu tysięcy żołnierzy i w miarę jak upływał dzień, kazano im maszerować tam i z powrotem z różnymi chorągwiami, by stworzyć złudzenie, że Sho Tsai postanowił bronić zewnętrznego muru wszystkimi siłami. Żołnierze dostali rozkaz natychmiastowego wycofania się na drugi poziom, kiedy wieże znajdą się w odległości dziesięciu jardów od miasta.

Vaelin znalazł Ellese i Jihłę na szczycie schodów. Czaszki tłoczyły się na niższych stopniach. Kihlen czekał z Czerwonymi Zwiadowcami w pobliżu wschodniej bramy, natomiast Eresa, której iskry mogły jak każdy inny płomień podpalić drewno nasączone olejem, zajęła pozycję na południu razem z Nortahem i grupą wybranych żołnierzy.

– Już niedługo – zapewnił Vaelin młodą Obdarzoną, a w odpowiedzi dostał wymuszony, niepewny uśmiech.

To, co zrobiła poprzedniej nocy, najwyraźniej mocno się na niej odbiło, ale Vaelin był pod wrażeniem, że nie zamierzała poddać się zmęczeniu.

– Pamiętaj – powiedział do Ellese – żeby się nie wahać, kiedy zobaczysz jakikolwiek znak...

– Wiem, wujku – przerwała mu z uśmiechem pewnym, ale tak samo wymuszonym jak u Eresy. – Zabiję każdego drania, którego uznam za Obdarzonego. Słyszałam to wystarczająco wiele razy.

Vaelin oparł się pokusie, żeby wciągnąć Juhkara do przedsięwzięcia. Choć tropiciel w pełni doszedł do siebie dzięki Sherin, jego wartość była zbyt duża, żeby ryzykować. Vaelin wiedział, że niezależnie od rzezi, którą spowodują tej nocy, obleżenie się nie skończy, a Kehlbrand bez wątpienia ma w zanadrzu dużo niespodzianek.

Cichy stukot butów na kamieniach zasygnalizował wycofywanie się dziesięciu tysięcy ludzi. Czaszki usunęły się na bok, żeby przepuścić kuszników. Żołnierze poruszali się szybko, ale Vaelin poczuł satysfakcję, gdy nie zobaczył ślady paniki na ich twarzach. Ukucnął na szczycie schodów i obserwował, jak za murem wyrasta wieża. Sekundy się rozciągały, w miarę jak przysuwała się coraz bliżej. Łucznicy na jej szczycie rozglądali się z wyraźną konsternacją po opustoszałych blankach. Jeden osłonił usta rękami i krzyknął coś do wnętrza maszyny, ale jakiegokolwiek ostrzeżenie wysłał, zostało ono zagłuszone przez dźwięk rogu.

Z maszyny wysunęła się rampa i opadła na blanki z brzękiem pękniętego dzwonu, kiedy żelazo zetknęło się z kamieniem. Ze środka gęstą masą wysypali się wojownicy Stahlhastu, pokrzykiwaniem dodając sobie animuszu przed bitwą. Vaelin odczekał, aż pierwszych sześciu wbiegnie na mur. Napastnicy zatrzymali się zaskoczeni nieobecnością wroga. Vaelin wbił wzrok w najbliższego i rzucił nożem w szczelinę w jego zbroi chroniącej udo. Ostrze zamoczone w truciźnie Sherin spowodowało znajomy ponury skutek. Kiedy wojownik runął w krwawej, choć krótkiej agonii, jego towarzysze wydali okrzyk wściekłości i mściwym tłumem rzucili się w stronę Lorda Wieży.

– Już czas – powiedział Vaelin, ruszając biegiem w dół po schodach.

Czaszki rozbiegły się, natomiast on, Ellese i Jihla zostali z tyłu. Biegając, żołnierze włóczniami rozbijali wszystkie gliniane naczynia, tak że olej zalał hałdy węgla i ulice. Po dotarciu do skrzyżowania, jakieś pięćdziesiąt jardów od zachodniej bramy Vaelin wywarczał rozkaz, a wtedy Jihla odwróciła się i uniosła ręce w stronę nadbiegających przeciwników, rozwścieczonych i nieświadomych pułapki.

Tuż przed rozpostartymi rękami Jihli buchnął ogień, dwa strumienie pomknęły w dół, podpalając olej i węgiel. Domy stanęły w płomieniach. Niemal natychmiast rozpętało się piekło. Czerwono-pomarańczowa kurtyna pochłoneła ulicę od końca do końca, wojownicy Stahlhastu zmieniali się w żywe pochodnie, padali na ziemię i, wijąc się, obracali w nicość.

– Chodź! – Vaelin chwycił za ramię Jihlę wpatrującą się w masakrę, którą spowodowała.

Gdy kula ognia przygasła, ukazała się aleja zasłana skulonymi, szerniałymi ciałami. Otaczały je płonące domy. Pożar już rozprzestrzenił się na sąsiednie ulice, nocne niebo przesłonił dym.

– Nie możemy zwlekać – powiedział Vaelin, ciągnąc młodą Obdarzoną.

Jihla roznieciła na mijanych skrzyżowaniach jeszcze cztery pożary, tym razem nie niepokojona przez ścigających ją wrogów. Vaelin wcześniej kilka razy przebiegł tę trasę z Czaszkami, żeby ją dobrze pamiętać, kiedy dym uniemożliwi orientację w przestrzeni. Plan zakładał, że trzy oddziały będą spiralą kierowały się do środka, żeby podłożyć ogień w maksymalnej liczbie miejsc. Jak zwykle plan szybko wziął w łeb w zderzeniu z rzeczywistością. Płomienie rozprzestrzeniały się znacznie szybciej, niż przewidywano, co wymuszało kolejne zmiany kursu w czasie ucieczki z płonących ulic. Widok płomieni łączących się w ognisty wir i pochłaniających drzewa w szalonym tańcu przez mały park przekonał Vaelina, że osiągnęli taki stopień destrukcji, o jaki im chodziło.

– Kapralu! – zawołał do Cho-ka. – Na drugi poziom!

Biegając, musieli uskakiwać przed płonącym gruzem roznoszonym przez wicher, której siła rosła z każdą chwilą. Mocne podmuchy już zbiły z nóg kilku żołnierzy. Vaelin zobaczył, że jeden pechowiec został ciśnięty do palącego się domu, nim towarzysze zdążyli złapać go za wymachujące ramiona. Cho-ka uprzedził wszelkie próby ratowania, wykrzykując rozkaz, by biec dalej, ponieważ było oczywiste, że każda zwłoka oznacza śmierć.

Dym trochę się rozwiął, a żar zelżał, kiedy zbliżyli się do północnej bramy drugiego poziomu. Żołnierze mieli twarze umazane mieszaniną potu i popiołu. Kaszleli, a kilku padło na bruk i zwymiotowało. Vaelin zmusił ich do wstania i popędził dalej kopniakami i ciosami pięści. To nie była pora na łagodność.

Wkrótce gęste kłęby zmieniły się w gryzącą mgłę, a przed nimi ukazała się otwarta brama. Vaelin zobaczył uzbrojone postacie wyłaniające się z dymu po prawej stronie, ale uspokoił się, gdy zobaczył czerwone zbroje.



– Gorąco, milordzie – wychrypiał kapral Wei i dodał, wskazując na swoich ludzi: – Straciłem kilku. Mogło być gorzej. Chyba upiekliśmy cały regiment drani.

– Kihlen? – zapytała Jihla z szeroko otwartymi oczami błyszczącymi w osmalonej twarzy.

– Tutaj! – Jej bliźniak prowadził Tsai Lina, trzymając jego ramię przełożone przez swoje barki.

Dai Lo szedł na chwiejnych nogach, brudną twarz miał obwisłą, oczy mętne.

– On też znalazł się zbyt blisko apteki – wyjaśnił Kihlen. – Siarka ma tendencję do wybuchania w pobliżu ognia.

– Wprowadź go do środka – polecił Vaelin, wskazując głową na bramę.

Obdarzony skinął głową, ale nagle zeszytniał i gwałtownie wciągnął powietrze, kiedy z dymu, wirując, wyleciał topór i uderzył go prosto w plecy. Rozpaczliwy krzyk Jihli wypełnił uszy Vaelina. Odwrócił się i ujrzał widok rodem z koszmaru.

Z kłębiącej się mgły wypadł wojownik Stahlhastu z uniesioną szablą i obnażonymi zębami. Był wysoki i mocno zbudowany. W każdej sytuacji stanowiłby imponujący widok, a teraz przerażał, bo od stóp do głów otaczały go płomienie. Vaelin widział surowe, lśniące ciało na szyi, spalone aż do krtani, tak że jego ryk brzmiał jak wilgotny charkot. Instynktownie sparował cios szabli i uchylił się przed następnym pchnięciem. Jeszcze jedna potworność, pomyślał, tnąc mieczem wyciągnięte ramię napastnika. Widziałem ich wiele.

Nawet kiedy płonąca kończyzna spadła na ziemię, Stahlhast nie przestał walczyć. Rzucił się na Vaelina, atakując go ocalałą ręką jak szponami. Kiedy Lord Wieży uskoczył, kapral Wei wbił włócznię w kark oszalałego wojownika i zakrzywionym ostrzem rozplatał go od kręgosłupa po gardło. Nieszczęśnik wydał ostatni, bezgłośny charkot i padł w drgawkach na ziemię.

– Musieli dodać coś specjalnego do jego grogu – stwierdził Wei, uwalniając włócznię.

– Wujku – odezwała się Ellese z łukiem wycelowanym w ciemne opary, które teraz pochłonęły cały dolny poziom.

Vaelin dostrzegł w mroku linię czerwonych plam, rosnących w miarę zbliżania się, aż zmieniły się w atakujących wrogów, co najmniej dwudziestu, wszystkich w płomieniach.

– Uformować szereg! – wykrzyknął do żołnierzy.

Mimo dymu Czaszki i Czerwoni Zwiadowcy szybko wypełnili rozkaz, tworząc razem barierę ze zbroi i włóczy. Vaelin zobaczył, że Jihla nadal zawodzi nad ciałem brata. Postawił ją na nogi.

– Idź! – Popchnął ją w stronę bramy.

Dziewczyna zrobiła kilka chwiejnych kroków, a potem zatrzymała się i ze ściągniętą twarzą spojrzała na szybko nadbiegających wrogów. Maskę smutku na jej twarzy zmieniła się w coś brzydkiego, wargi rozciągnęły się w warknięciu, w oczach rozjarzyła się furia.

Vaelin rzucił nowy rozkaz:

– Odsunąć się!

– Milordzie? – Zdumienie Weia szybko przerodziło się w strach, kiedy zobaczył, że Jihla kroczy przed siebie z uniesionymi rękami. – Ruszać się, leniwe psułaty!

Zwiadowcy i Czaszki rozbiegli się na boki, kiedy Jihla uwolniła swój dar. Krzyknęła w chwili, gdy ogniste strumienie wystrzeliły z jej rąk, a z oczu, nosa i uszu trysnęła krew. Pierwszy przeciwnik trafiony przez płomień rozsypał się w popiół, chwilę później taki sam los spotkał tych po jego bokach. Jihla rozpostarła ramiona i zaczęła nimi poruszać w przód i w tył, żeby objąć wszystkich wrogów. W ciągu paru chwil cały atakujący szereg wojowników został zredukowany do poczerniałych plam na bruku.

Jihla opadła na kolana, a ogień zgasł; skuliła się, mała szlochająca postać pośród zgliszczy. Zrobiła się bezwładna, kiedy Vaelin ją podniósł i poczuł chłód jej ciała mimo żaru płonącego miasta. Odwrócił się i pobiegł w stronę bramy z Obdarzoną w ramionach, krzycząc, żeby inni poszli w jego ślady. Brama zamknęła się za nim z donośnym hukiem.

\*\*\*

– Po Alltor miałem nadzieję, że nigdy więcej nie zobaczę płonącego miasta.

Twarz Nortaha była ponura, kiedy przyglądał się pożarom szalejącym w dole. Paliło się przez całą noc, trzy osobne piekła w końcu połączyły się w wielki ognisty pierścień. Krzyki były jedyną wskazówką co do skali szkód wyrządzonych wrogowi i osiągnęły crescendo, kiedy ogień całkiem otoczył drugi poziom miasta. Tu i ówdzie Vaelin widział postacie biegnące przez dym, niektóre w płomieniach, inne nie, lecz wszystkie oszalałe albo

w panice, sądząc po wrzaskach. Gdy nadszedł ranek, pożary trochę przygasły, ale duże części dolnego miasta nadal płonęły, kiedy żółta kula słońca przebiła się przez dym.

– Wygląda na to, że destrukcja – ciągnął Nortah z cieniem dawnego uśmiechu na ustach – jest naszym głównym darem dla świata, bracie.

Jego oddziałowi udało się zaprowadzić Eresę na drugi poziom po podpaleniu wschodniej dzielnicy, ale stracił przy tym dwudziestu ludzi, niektórych w pożarach, innych zabitych przez płonących wrogów.

– Czasami również wybawienie – odparł Vaelin, wskazując skinieniem głowy na niezniszczone ulice.

Żołnierze zebrali się na placach i w parkach, żeby uczcić wielkie, według nich, zwycięstwo. Generał po raz pierwszy zrezygnował z surowej dyscypliny i pozwolił im na kilka godzin swobody. W rezultacie noc była pełna pieśni, picia i zabaw, podczas gdy dolny poziom płonął. Hałasy ucichły o świcie, tłum pijanych odsypiał brak umiaru, a inni chwiejnie wracali do swoich kwater, żeby złapać kilka godzin odpoczynku, zanim oficerowie wezwą ich z powrotem pod sztandary.

– Co to było w nocy? – zapytał Nortah. – Widziałem wiele dzieł Ciemności, ale nigdy ludzi walczących, kiedy ogień trawi ich do kości.

– Juhkar i Ahm Lin stali na murach – powiedział Vaelin. – Nie wyczuli żadnych Obdarzonych wśród płomieni, oprócz jednego. On tam był.

– I to wystarczyło, żeby tamci nadal walczyli? – Nortah uniósł brew i pokręcił głową. – Może on jednak naprawdę jest bogiem. – Gdy zobaczył wzrok Vaelina, dodał pośpiesznie: – Żartuję, bracie. Spójrz na to z jaśniejszej strony. Jeśli on naprawdę był wśród nich – wskazał na zniszczoną dzielnicę w dole – może zabiliśmy drania.

Vaelin przesunął wzrokiem po ulicach zasnutych dymem i poczuł pewność, kiedyś czerpaną z pieśni. Ja nie mam pieśni, przypomniał sobie. Ogarnął go dawny, ostry żal, który, jak wiedział, nigdy nie zniknie. Mimo to pewność się utrzymywała.

– Nie, nie zabiliśmy.

Niedługo potem dotarli do świątyni, bo Vaelin chciał sprawdzić, co z Jihlą, którą powierzył opiece Sherin. Przechodząc przez bramę na najwyższy poziom miasta, zatrzymał się na widok Cho-ka i kilkunastu Czaszek sprzeczących się z oficerem miejskiego garnizonu. Oficer miał za sobą oddział włóczników. Na ich twarzach malował się taki sam wyraz pogardy, z jakim on zwracał się do byłych skazańców.

– Każę was wychłostać, słyszycie?! – wrzasnął, dźgając mięsistym palcem w pierś Cho-ka. – Bezwartościowe złodziejskie szumowiny!

Z wyrazem rozdrażnienia na twarzy kaprał opuścił dłoń do noża przy pasie, ale powstrzymał się na widok Lorda Wieży.

– Milordzie! – Stanął na baczność razem z pozostałymi Czaszkami.

Oficer garnizonu i jego ludzie poszli w ich ślady, ale z wyraźnie mniejszą skwapliwością.

– Jakiś problem? – zapytał Vaelin.

– Stwierdziłem, że ta banda wraca do starych zwyczajów, milordzie! – wyjaśnił oficer.

Vaelin rozpoznał w nim byłego sierżanta świeżo awansowanego na kapitana dzięki stracie wielu oficerów podczas pierwszych ataków. Ten człowiek zwykle miał marsową minę i sposób zachowania kogoś, kto więcej czasu spędzał na walce z przestępcami niż z wrogiem. Tacy ludzie zawsze byli użyteczni, ale bardziej w czasach pokoju niż wojny.

– Przyłapałem ich na plądrowaniu sklepu. – Kapitan wysunął brodę, wskazując na dom za plecami Czaszek.

– To stary sklep korzenny mojej babci – oświadczył Cho-ka. – Tylko sprawdzałem, czy jest nietknięty.

Vaelin przesunął wzrokiem po słojach i pojemnikach w rękach Czaszek oraz pękatyh workach przewieszonych przez ramiona.

– Świńskie łajno! – warknął kapitan. – Kobieta, która była właścicielką tego miejsca, znałem od lat, a ona nie miała za wnuka takiego gównojada.

Widząc niebezpieczny błysk w oczach Cho-ka, Vaelin wkroczył między tych dwóch i posłał kapitanowi uśmiech aprobaty.

– Należy się panu pochwała za czujność, kapitanie. Generał na pewno o niej usłyszy. Na razie byłbym wdzięczny, gdyby pan zostawił tę sprawę w moich rękach. Ci ludzie zostali zwerbowani przeze mnie, rozumie pan? Karanie ich to mój obowiązek, zważywszy na to, jak czuję się zhańbiony z powodu ich zdrady.

Kapitan wyprostował się i zacisnął zęby z frustracji. Vaelin widział, że ten człowiek tylko marzy o pofolgowaniu swoim instynktom, o chłóście albo nawet o wieszaniu. Jednakże wzmianka o generale posłużyła jako mocny argument, bo oficer ukłonił się sztywno i odmaszerował, burcząc na swoich ludzi.

– To naprawdę sklep twojej babki? – spytał Vaelin, kiedy oddział kapitana zniknął za rogiem.

– Właściwie mojej ciotecznej babki – odparł przemytnik, wzruszając ramionami. – Ale zawsze mnie lubiła. – Posłał Lordowi Wieży uśmiech, ale spoważniał, kiedy on go nie odwzajemnił.

– Odłóżcie to z powrotem – rozkazał Vaelin, wskazując na łupy.

– A jakie to ma teraz znaczenie? – zapytał jeden z rekrutów, przeciągając słowa. – To miejsce i tak zmieni się w ruinę...

Umilkł raptownie, kiedy Cho-ka odwrócił się i wymierzył mu mocny cios w twarz. Protestujący zatoczył się do tyłu z zakrwawionym nosem, ale ograniczył reakcję do twardego spojrzenia i stanął na baczność.

– Przepraszam, milordzie – powiedział Cho-ka, kłaniając się Vaelinowi.

W wyrazie jego twarzy była wystudiowana neutralność, która nie spodobała się Vaelinowi. Ten brak buntu świadczył o pilnej potrzebie zakończenia konfrontacji.

Pomknął wzrokiem do sklepu i wrócił nim do kaprała nadal zgiętego w ukłonie.

– Jest tam coś, o czym powinienem wiedzieć? – zapytał.

– Tylko dużo przypraw, milordzie. Zdobyliśmy parę części świni. Chcieliśmy doprawić mięso, rozumie pan.

Vaelina nadal dręczyło przeczucie, że chodzi o coś więcej, o jakiś sekret przestępczej braci, którego nie potrafił odgadnąć.

– Tak czy inaczej, odłóżcie to wszystko.

Cho-ka znowu się uklonił.

– Natychmiast, milordzie.

– Uważaj przy nim na plecy – poradził Nortah, kiedy ruszyli dalej w stronę świątyni. – Wyrzutkowie są uprzejmi tylko wtedy, gdy kłamią.

– Póki jego ludzie walczą tak, jak do tej pory, może sobie kłamać, ile chce.

\*\*\*

W świątyni matka Wehn zaprowadziła go do celi zakonnicy, do której zanesiono Jihłę. Vaelin zatrzymał się pod drzwiami, gdy usłyszał pełne napięcia głosy dobiegające ze środka.

– Mówiłam, że nie wiem! – Głos Luralyn brzmiał stanowczo.

– Moja pieśń śpiewa inną melodię – powtórzył Ahm Lin tonem bardziej opanowanym, ale równie upartym.

– Więc może ta pieśń jest przytłumiona z powodu twojego wieku. U mojego ludu męczyzna w twoich latach miałaby dość przyzwoitości, żeby dać się zabić w bitwie.

Umilkła, kiedy Vaelin wszedł do celi. Ci dwoje stali po dwóch stronach łóżka śpiącej Jihli. Luralyn odwróciła twarz i skrzyżowała ramiona na piersi w postawie zdradzającej wyraźne napięcie. Na twarzy Ahm Lina nie było żadnej urazy z powodu jej zniewagi, a jedynie determinacja.

– Pieśń jest jasna – powiedział do Vaelina. – Coś tkwi w jej umyśle jak cierń, ale ona nie chce go wyrwać.

– Och, daj mi spokój, stary głupcze! – wysyczała Luralyn z nadal odwróconą głową.

Ahm Lin zaczął coś mówić, ale umilkł, kiedy Vaelin pokręcił głową i wskazał na drzwi. Po wyjściu kamieniarza zbliżył się do łóżka i położył dłoń na czole Jihli. Jej skóra była chłodna, ale nie tak lodowata jak w nocy.

– Matka Wehn mówi, że jej serce zachowuje stały rytm – zwrócił się do Luralyn. – Jeśli chodzi o to, kiedy się obudzi...

– Jest drobna, ale silna – przerwała mu Luralyn. – Wkrótce się obudzi. Choć wolałabym, żeby pospała trochę dłużej. Ciężko będzie jej znieść smutek.

Vaelin podniósł na nią wzrok i stwierdził, że ma znużone spojrzenie.

– Ahm Lin słyszał swoją pieśń przez całe życie – rzekł, zachowując łagodny ton. – Dobrze ją zna, a ja ufam jego osądowi.

– A ja znam Prawdziwy Sen. Mówiłam wam, co mi powiedział.

– Widziałem wiele rzeczy, które każą mi kwestionować wartość proroctw. Ale legendy mojego kraju mówią o nich jako o rzeczach, które przychodzą jako nieproszony, niechciany dar. Zdaje się, że u ciebie jest inaczej. Bo potrafisz go wezwać, prawda?

– Zwykle. I jak już mówiłam, ten sen jest... niestały w tym, co postanawia mi pokazać.

– Próbowałaś, odkąd tu przybyliśmy?

Luralyn znowu się odwróciła i lekko pokręciła głową.

– Dlaczego? Skoro tyle od tego zależy?

Luralyn mocniej otoczyła się ramionami w pasie, jakby odgradzała się od niego tarczą.

– Pokazał mi dużo rzeczy, których wolałabym nigdy nie zobaczyć – wyszeptała.

– Boisz się, że znowu ci to pokaże?

Łza spłynęła po jej obojętnej twarzy.

– Kehlbrand tyle przede mną ukrywał. Przez lata kłamał, a ja go kochałam. – Zawahała się, przełknęła ślinę i mówiła dalej: – A jeśli jemu chodzi właśnie o to, co się teraz dzieje, jeśli do tego zawsze zamierzał? Czy to nie czyniłoby z nas wszystkich jego marionetek? On pociąga za sznurki, a my tańczymy jak głupcy, którymi jesteśmy.

– Nie jesteśmy marionetkami, tylko figurami na szachownicy do keschetu.

– Keschetu?

– To gra z Cesarstwa Alpirańskiego, ulubiona przez moją królową. Wątpię, czy jest na świecie ktoś, kto by ją w niej pokonał, nawet twój brat. Zapytałem ją kiedyś, jaki jest klucz do wygranej w keschet. Ona się roześmiała i powiedziała, że go nie ma, bo każda partia jest inna, ale klucz do klęski jest zawsze taki sam: przewidywalność.

– Chciałbyś, żebym poszukała innego snu, odgadła rezultat tego oblężenia.

– Chciałbym, żebyś wyrwała ten kolec ze swojego umysłu. – Vaelin odgarnął włosy z czoła Jihli. – Żeby jej ofiara, poświęcenie jej brata i tylu innych nie poszło na marne. Zrobisz to?

Luralyn opuściła ręce, wytarła łzy i coś wyszeptała w swoim języku.

– Co to znaczy?

– Miłosierdzie to słabość, współczucie to tchórzostwo, mądrość to fałsz. – Luralyn zaśmiała się i wzruszyła ramionami. – Mantra kapłanów Niewidzialnych, przez wieki recytowana jako prawda i odrzucona z kaprysu mojego brata. On nie widział w niej pożytku, bo bóg nie potrzebuje innych słów oprócz swoich własnych. Ale ja ją odrzuciłam, bo wiedziałam, że to kłamstwo. Miłosierdzie wymaga siły, współczucie wymaga odwagi, a mądrość zmusza do mówienia prawdy. – Spochmurniała i podeszła do stołka przy łóżku Jihli. Ujęła jej dłoń. – Poszukam snu, kiedy ona się obudzi. Inaczej mój umysł byłby zbyt niespokojny.

## Rozdział trzydziesty trzeci

Przez resztę tego dnia ani następnego nie przypuszczono żadnych ataków. Pożary nadal szalały w dolnym mieście, ale na szczęście krzyki dawno ucichły. Kiedy płomienie zaczęły przygasać, Tsai Lin, który już doszedł do siebie po wybuchu w aptece, użył lunety umieszczonej na szczycie wieży, żeby metodycznie policzyć martwych leżących na ulicach.

– Cztery tysiące trzystu osiemdziesięciu trzech – zameldował, kiedy generał wezwał jego, Vaelina i gubernatora Neshima do biblioteki, żeby zaplanować obronę drugiego poziomu miasta. – Sądzę jednak, że tę liczbę można bezpiecznie podwoić, jeśli doliczy się ciała tak spalone, że nierozpoznawalne.

– Powiedzmy więc, że osiem tysięcy – zaproponował Vaelin. Spędził rano na musztrowaniu swoich oddziałów i od czasu do czasu spoglądał na zwęglony obszar za murami. Tylko sześć miejsc jeszcze się paliło, a wiedział, że kiedy ogień zgaśnie, Kelhbrand z pewnością wykona swój następny ruch. – Poważny cios, to pewne, ale nie śmiertelny dla takiej armii.

– To musiało wyprowadzić ich z równowagi – stwierdził gubernator Neshim.

Nadal miał na sobie źle dopasowaną zbroję, choć teraz lepiej na nim leżała, ponieważ w ciągu ostatnich dni wydatnie zmniejszył się jego obwód w pasie. Ze strachem tak się nie stało, więc Vaelina zaatakował odór potu tego człowieka.

– Widok tylu towarzyszy ginących w taki straszny sposób mógł osłabić najsilniejsze serca – ciągnął gubernator.

– Zgodziłbym się – powiedział Sho Tsai – gdyby byli armią, która walczy za zapłatę albo łupy. Ale oni tacy nie są. Walczą dla człowieka, którego uważają za boga, a wątpię, czy on z nami skończył.

– Więc gdzie są nasze posiłki? – Neshim nie był w stanie pozbyć się płaczliwego tonu z głosu i wpatrywał się w generała z ledwie hamowaną rozpaczą. – Czcigodne Królestwo może powołać niezliczone włócznie, ale kiedy wstaje nowy dzień, ich nadal nie widać.



– Przypominam panu, że służymy ku zadowoleniu króla – oświadczył Sho Tsai beznamiętnym tonem. – A on działa w najlepszym interesie królestwa. Dlatego jeśli postanowił nie przysyłać posiłków, wierzę, że miał powód.

– Nie kwestionuję mądrości wielkiego Lian Sha. Ale apeluję do zdrowego rozsądku. Zrobiliśmy więcej niż nadto, by uczynić zadość honorowi. – Neshim próbował przyjąć zdecydowaną postawę i zapanować nad drżeniem w głosie. – Jako mianowany gubernator tego miasta sądzę, że już czas zaplanować ucieczkę.

– Ucieczkę? – powtórzył Vaelin.

– Tak. „Kiedy wszelka nadzieja na zwycięstwo wygasa, nie ma wstydu w odwrocie i zachowaniu pozostałych sił”. To słowa, muszę przypomnieć, generale, najszacowniejszego Kuan-Shi, największego filozofa Szmaragdowego Imperium.

– Istotnie wybitny umysł – przyznał Sho Tsai. – Tak wielki, że po ucięciu głowy Kuan Shi cesarz kazał ją zamarynować.

Neshim zaczerwienił się, ale brnął dalej z determinacją, którą Vaelin uznał za osobliwie godną podziwu.

– Niemniej jednak jego mądrości są powtarzane przez wieki i powinniśmy ich słuchać. Pozwoliłem sobie zajrzeć do ksiąg byłego gubernatora. – Neshim rozwinął zwój z mapą, na której linie nakreślono dość niepewną ręką. – Okazuje się, że historia dostarcza nam paraleli z naszym obecnym dylematem. Chodzi o upadek Juhlun-Kho pod koniec trzeciego stulecia Boskiej Dynastii. Dowódca miasta wykorzystał kawalerię, żeby osłonić swoje wojsko, które podzielił na dwie kolumny: jedną liczną, ale kiepsko uzbrojoną i składającą się z najśłabszych żołnierzy, i drugą mniejszą, ale złożoną z dobrze wyszkolonych weteranów. Tę pierwszą w akcie godnej pożałowania konieczności wysłano w kierunku, który miał ją doprowadzić bliżej wroga. Została rozbita, ale dzięki temu ucieczka cenniejszego wojska się udała.

Sho Tsai zachował spokój, kiedy wyjmował zwój z drżących rąk gubernatora.

– Rzeczywiście sprytny podstęp – przyznał po krótkim zastanowieniu. – Jestem gotowy go rozważyć. Jednakże – dodał, mroząc wzrokiem uśmiechającego się z ulgą Neshima – tylko jeśli zgodzi się pan osobiście poprowadzić słabszą kolumnę. Zapewniam, że wieść o pańskim poświęceniu rozejdzie się szeroko.

Neshim kilka razy przełknął ślinę, zanim odsunął się od stołu i uklonił nisko.

– Byłem nieodpowiedzialny – rzekł, nadal w ukłonie. – Sprawy militarne to oczywiście pańska dziedzina.

– Istotnie. – Sho Tsai odsunął mapę i niecierpliwym gestem pokazał gubernatorowi, żeby przestał się zginać w ukłonie. – Nasze zapasy?

– Nadal jesteśmy dobrze zaopatrzeni. Jeśli już, to może warto byłoby zwiększyć racje żołnierzy, ponieważ część żywności się zepsuje, jeśli nie zostanie wkrótce zjedzona.

Vaelin nie dostrzegł satysfakcji u Sho Tsaia, a powodu łatwo było się domyślić. Mieli dość jedzenia, ponieważ stracili wielu żołnierzy.

– Dobrze – powiedział. – Proszę teraz iść i się tym zająć.

Gubernator znowu się uklonił i ruszył do wyjścia, posapując z wyraźną ulgą.

– Z całym szacunkiem, generale – odezwał się Tsai Lin – ale tchórz na takim wysokim stanowisku...

– Był dostatecznie odważny, żeby zostać, choć byłoby mu łatwo uciec, nim zamknęliśmy bramy – przerwał mu Sho Tsai. – Żaden człowiek nie jest odporny na słabości, a myślałem, że tę lekcję już dawno przyswoiłeś.

Patrzył na syna, aż ten ze wstydu spuścił wzrok i zmarszczył czoło.

– Pomysł z ucieczką nie jest pozbawiony zalet – stwierdził Vaelin, biorąc ze stołu zwój z mapą. – Przynajmniej dla niektórych. Przy odpowiedniej dywersji kawaleria mogłaby się wyrwać z oblężenia.

– Razem z pańskimi towarzyszami, jak przypuszczam? – zapytał Sho Tsai.

Vaelin nie widział sensu w udawaniu.

– Wątpię, czyby pojechali, ale tak, jeśli zdołam ich przekonać. Już dostatecznie daleko za mną podążyli.

– Potrzebuję każdego ostrza na murach – oświadczył generał, kręcąc głową. – Poza tym kawaleria, którą uda się nam zorganizować, ujedzie najwyżej kilka mil, bo dogoni ją i zetrze Stahlhast albo Tuhla.

– Nie wspominając o tym, że możemy później potrzebować koni – dodał Tsai Lin. – Na mięso.

– Nasza Błogosławiona przez Niebiosy sojuszniczka – powiedział Sho Tsai. – Czy ona ma jakieś świeże informacje o zamiarach brata?

Cierń w jej umyśle pozostaje niewyrwany, pomyślał Vaelin, ale uznał, że ten szczegół nie wniesie niczego nowego do dyskusji.

– Tylko to, że on zaatakuje znowu. Prawdę mówiąc, wydawała się zaskoczona, że jeszcze tego nie zrobił.

– Mury na drugim poziomie są o dziesięć stóp wyższe od zewnętrznych – przypomniał Tsai Lin. – Może budują wyższe drabiny.

– Słabe punkty? – zapytał Vaelin. – Kiedyś zająłem miasto, bo gubernator zapomniał o pilnowaniu rury kanalizacyjnej.

– Keshin-Kho zostało zbudowane raczej jako forteca niż jako miasto – stwierdził Sho Tsai. – Ścieki tutaj są za małe, żeby zmieścił się w nich człowiek albo nawet dziecko. Jeśli Ostrze Ciemności chce zwycięstwa, będzie musiał wspiąć się na mury i je utrzymać, co oznacza, że potrzebuje do tego najlepszych wojowników. Wtedy pozbawimy jego armię najdzielniejszych i najwprawniejszych żołnierzy. Potem niech próbuje podbić Czcigodne Królestwo z bandą niewyszkolonych fanatyków.

\*\*\*

Został obudzony przez Aluma jakiś czas po wschodzie księżyca. Tropicielek przezornie odsunął się o krok, kiedy Vaelin zerwał się z nożem myśliwskim w ręce.

– Kamieniarz miał sen – powiedział Alum. – Zły sen.

Vaelin wstał z posłania i sięgnął po buty. Ułożyli się do snu na terenie świątyni, tworząc coś w rodzaju domu pod dachem liczącej sobie wieki kaplicy. Inni wstawali z wiązkami przekleństw albo westchnieniami rezygnacji, kiedy Moreska ich również obudził.

– Co zobaczyłeś? – zapytał Vaelin, podchodząc do Ahm Lina.

Kamieniarz siedział ze zgarbionymi plecami i nieobecny wzrokiem. Poruszył się, kiedy Vaelin położył dłoń na jego ramieniu.

– Tygrysa – odparł Ahm Lin. Vaelin poczuł jego drżenie, ale kamieniarz szybko się opanował i mówił dalej mocniejszym głosem: – Tygrysa, który zaatakował górę, rozrywając ją kłami i pazurami. Krwawił, miał połamane zęby, wyrwane pazury, ciało odarte ze skóry i całe poranione, ale nadal szarpał skałę. Wyhodował sobie nowe zęby, wypuścił nowe pazury, a na koniec góra upadła.

– Nie słyszeliśmy żadnych alarmów przez całą noc, milordzie – zameldował Sehmon, który pełnił wartę z Ellese.

Sądząc po ich rozchełstaniu, Vaelin doszedł do wniosku, że robili coś więcej, niż tylko czuwali, ale teraz nie miało to dużego znaczenia.

– Weźcie broń – rozkazał. – Zrobimy obchód murów. Sehmonie, znajdź Tsai Lina i powiedz mu, że chyba czeka nas trudna noc. Zostaw mu decyzję, czy chce to przekazać generałowi.

Mury drugiego poziomu miały tylko dwie bramy, jedną wychodzącą na północ, drugą na południe. Zamykały je grube drzwi z dębu wzmocnionego żelaznymi sztabami. Dodatkową ochronę stanowiły kraty, teraz stale opuszczone od chwili wycofania się armii na drugi poziom. Sho Tsai podjął również inne środki ostrożności, umieszczając przy nich dwa pełne regimenty. Oddziały te składały się z weteranów, a nie ze świeżo awansowanych żołnierzy poborowych, którzy wypełniali szeregi większości innych kompanii.

Vaelin sprawdził kolejno obie bramy, stwierdził, że niczego nie przeoczono, i obszedł mury do końca. Kazał regimentom zachować pełną gotowość bojową, rozstawił kuszników na blankach nad każdą bramą. Po godzinie przemierzania szeregów złożonych głównie z młodych mężczyzn, którzy najwyraźniej nie pragnęli niczego więcej niż wrócić na swoje przycze, tygrys Ahm Lina się nie pojawił.

– Co wyczuwasz? – zapytał Vaelin, podchodząc do Juhkara.

Tropiciel stał obok Ahm Lina nad północną bramą i obaj wpatrywali się w ponury zniszczony labirynt ulic w dole. Księżyc tej nocy był w pełni, srebrno-niebieski blask oświetlał zawalone mury i gruz, z którego miejscami nadal unosił się dym.

– Tylko Ostrze Ciemności – odparł Juhkar, błędząc wzrokiem po ruinach. Miał zatrutą strzałę nasadzoną na łuk. – Jest gdzieś tam, czeka.

– Nikogo innego? – naciskał Vaelin.

Tropiciel pokręcił głową.

– Cokolwiek poruszy się dziś w nocy, to z jego woli.

Po lewej rozbrzmiał chór oficjalnych powitań, wskazujących na przybycie generała.

– Ci ludzie nie mogą czuwać całą noc – stwierdził Sho Tsai, krocząc po blankach w stronę Vaelina. – Jeśli oczekujemy, że jutro będą walczyć.

– Coś nadchodzi – zapewnił go Vaelin, wskazując głową na dwóch Obdarzonych, którzy nadal uważnie wpatrywali się w mrok.

Sho Tsai westchnął i pomasaował brodę, wodząc wzrokiem po zgromadzonych żołnierzach. Bez wątplenia zauważył kiwające się głowy i krzywo trzymane włócznie.

– A zatem jeszcze jedna godzina – postanowił. – Potem warta zostanie zredukowana o połowę...

– Zaczyna się – przerwał mu Ahm Lin.

Wskazywał na coś w głębi ruin. Vaelin do niego podszedł i zobaczył dużą kolumnę piechoty zbliżającą się do murów. Wkrótce do uszu obrońców dotarły ich śpiewane modlitwy, ale tym razem głosy brzmiały o ton wyżej, co świadczyło o stanie bliskim hysterii.

– Dwa tysiące? – zapytał Sho Tsai.

– Ponad trzy, powiedziałyby. – Vaelin przyjrzał się uważniej i stwierdził zaskoczony: – Nie widzę żadnych drabin. Ani tarana.

Kolumna zatrzymała się dwieście kroków od bramy, za daleko, żeby najlepszy łucznik trafił w cel. Jej śpiewy, już fałszywe z powodu rozgorączkowania, teraz nabrały szaleńczego tonu. Przeciwnicy znajdowali się dostatecznie blisko, żeby Vaelin rozpoznał w nich Uwolnionych, mężczyzn i kobiety w najróżniejszych zbrojach, które ku jego zdumieniu nagle wszyscy zaczęli zrzucać. Napierśniki, kolczugi i nagołenniki fruwały w powietrzu, modły przypominały teraz wycie zwierząt. Obnażeni do pasa mieszały się ze sobą i obejmowali, aż w końcu złączyli ręce i uporządkowali szeregi, tym razem formując je w wąską czwórkową kolumnę skierowaną prosto w bramę niczym strzała.

– Nie potrzebują tarana – powiedział Ahm Lin. – Oni są taranem.

Kolumna ruszyła przed siebie biegiem, który wkrótce przeszedł w sprint. Kuszniczy na blankach zaczęli wypuszczać pociski, nim Lord Wieży wydał rozkaz. Vaelin zobaczył, że stu Uwolnionych pada po pierwszej salwie, ale inni biegli dalej mimo bełtów sterczących z ich rąk czy barków. Ci, którzy runęli na ziemię, gramolili się na nogi i pędzili przed siebie, żeby dołączyć do kolumny zbliżającej się do murów. Kolejny grad pocisków spadł na nich, zanim dotarli do dębowych drzwi. Napastnicy padali dziesiątkami. Drewno ugięło się pod naporem, belki zadrzały, ale nie pękły. Ocaleli cofnęli się, przekraczając ciała zabitych braci, a następnie przyłączyli się do tych, którzy szli z tyłu, i razem z nimi ponownie rzucili się na bramę.

– To czyste szaleństwo – stwierdził Sho Tsai z trwożnym zdumieniem, podczas gdy bełty nadal zbierały żniwo wśród Uwolnionych.

Taranując bramę, kolumna się kurczyła, rósł stos ciał. Niektórzy ranni wstawali, żeby dołączyć do ataku, mimo że przeszywały ich liczne pociski. Brama zadrzała, kiedy pięść ze stłoczonych ludzi uderzyła w nią raz

jeszcze, ale na razie się nie poddawała. Pośród tumultu Vaelin słyszał ostry trzask łamanych kości.

– Generale! – zawołał jeden z sierżantów, wskazując na drugą kolumnę zbliżającą się od północy.

Ta liczyła sobie tyle samo ludzi co pierwsza i również składała się z Uwolnionych. Oni też wykrzykiwali modlitwy i tak jak wcześniej ich towarzysze pozbyli się zbroi. Mimo oczywistego szaleństwa w czasie natarcia utrzymywali zwarty szyk. Biegli w deszczu bełtów, jakby to była drobna mżawka. Gdy wpadli na niedobitki pierwszej kolumny, drewno znowu zadudniło, rozległ się trzask łamanych kości. Gęsta masa ciał napierała na bramę. Atakujący nie przestawali śpiewać i ginęli.

Słyszając przekleństwo jednego z kuszników, Vaelin podniósł wzrok i zobaczył następną kolumnę wypadającą z mroku i jeszcze dwie za nią. Odwrócił się do Sho Tsaia, ale generał już wykrzykiwał rozkazy.

– Kapitanie, przesunąć wszystkie kusze z południowej bramy na północną! Sierzancie, podpalić olej i rzucać!

Trzecia kolumna poniosła takie same straty jak pierwsze dwie, z których została góra poskręcanych, zmiażdżonych ciał. Nie zważając na wrzący olej, który lał się z góry, Uwolnieni napierali na stos martwych i rannych. Nagle Vaelin usłyszał zgrzyt żelaza i trzask drewna.

– Proszę przejąć dowodzenie regimentami – rozkazał mu Sho Tsai. – Nie mogą się wedrzeć niezależnie od ceny.

Vaelin skinął głową i idąc do najbliższych schodów, zatrzymał się przy Alumie.

– Zabierz kamieniarza do świątyni – powiedział.

Moreska z powagą pokręcił głową i uniósł włócznię.

– Obawiam się, że możecie mnie potrzebować dziś w nocy. Kamieniarz może pójść z młodymi.

Sehmon i Ellese szybko zostali wyprawieni na trzeci poziom z Ahm Linem, choć nie bez protestów, które jednak Vaelin szybko zdusił.

– Będziesz miała mnóstwo celów, zanim noc się skończy – pocieszył Ellese i dodał: – Potrzebuję kogoś, kto będzie strzegł Sherin. Ostrze Chien może nie wystarczyć, jeśli ta brama zawiedzie.

Ellese skrzywiła się z niechęcią, ale pobiegła za Sehmonem i Ahm Linem, wołając przez ramię:

– Mam nadzieję, że ma pod ręką więcej tej trucizny!

Vaelin zajął pozycję w środku Czaszek, rozstawionych bezpośrednio przed bramą. Drugi regiment stał z tyłu, dwa kolejne po obu stronach bramy. Nortah i Juhkar stanęli przed nim z łukami gotowymi do strzału, Alum po jego prawej.

– Co to za bóg – zastanawiał się na głos Moreska, ze zdumieniem wpatrując się w drżącą bramę – który robi szaleńców ze swoich wyznawców?

– Niektórzy by powiedzieli, że wszyscy tak robią – odparł Vaelin i pozwolił sobie na uśmiech, gdy zobaczył pełne nagany spojrzenie Aluma. Jednakże humor szybko go opuścił, kiedy brama zadudniła jeszcze głośniejsze niż do tej pory.

Wielkie drewniane podwoje wybrzuszyły się, mocowania poluzowały się z przeciągłym jękiem protestującego metalu i wysunęły ze ścian. Drzwi wróciły na miejsce, kiedy nacisk na chwilę zelżał, po czym wygięły się jeszcze bardziej. Ciężkie nadproże zaczęło pękać, między dwiema częściami drzwi pojawiła się wąska szczelina, na chwilę się zamknęła, po czym znowu poszerzyła, najpierw o cal, potem o stopę.

W szczelinie pojawiła się wyszczerzona twarz Uwolnionego o dzikich oczach. Nortah uniósł łuk, ale zatrzymał się na widok krwi płynącej z ust i oczu tego człowieka. Modlitwy stały się głośniejsze, kiedy drzwi otworzyły się szerzej. W końcu zniknął wszelki rytm, a pieśń przerodziła się w szaleńczy, ciągły wrzask. Po ostatnim uderzeniu ludzkiego tarana nadproże pękło i drzwi stanęły otworem. Ciała martwych Uwolnionych uderzyły w kratę, strumienie krwi zalały bruk, popłamiły buty czekających obrońców.

– Spokój! – krzyknął Vaelin, gdy usłyszał, że kilku żołnierzy wymiotuje na ten widok.

Krata się wybrzuszyła jak sieć zrobiona ze zwykłych sznurków, napierające na nią martwe ciała pękały pod naciskiem, pozbywając się zawartości jelit i żył. Stos trupów sięgał tak wysoko, że Vaelin nie mógł zobaczyć, co się dzieje pod murami, ale niemilknący huk kusz i okrzyki z blanków wskazywały, że śmiertelny atak z góry nadal trwa. Jednakże napór Uwolnionych wciąż rósł, krew lała się rzekami, aż kratka w końcu została wyrwana z mocowań. Gdy się przewróciła, ciała ześliznęły się z niej jak ryby wyrzucone z sieci na nabrzeże, a za nimi pojawili się żywi.

Pierwsza była kobieta, prawie naga, nie licząc paru brudnych łachmanów przywierających do skóry umazanej krwią. Jej włosy i dużą

część głowy spalił wrzący olej, naga czaszka dymiła, ale napastniczka szarżowała, ze zręcznością drapieznika przeskakując przez ciała martwych towarzyszy. Nie miała żadnej broni oprócz rąk ułożonych w szpony, gdy sięgnęła do twarzy Juhkara, lecz padła nieżywa, kiedy zatruta strzała przeszła jej pierś.

Za nią natychmiast pojawiły się dziesiątki innych Uwolnionych. Wszyscy byli podobnie okaleczeni i szaleni. Większość szybko zabiły strzały Juhkara i Nortaha, pozostałych spotkał koniec na włóczniach żołnierzy.

Przez jedną krótką chwilę brama wydawała się pusta, nie licząc czerwonej masy ciał leżących u jej podstawy. Vaelin zaczął wydawać rozkazy Czaszkom, żeby zagroziły wejście, ale wtedy usłyszał dźwięk, który pamiętał z dnia, kiedy Varinshold została odzyskana dla królowej. Rycerze renfaelscy szarżowali ulicami, a stuk kopyt na bruku brzmiał jak łoskot tysięcy kowadeł.

– Przygotować się na kawalerię! – krzyknął i ustawił regimenty w innym szyku.

Żołnierze po obu stronach bramy, poruszając się z szybkością i precyzją potwierdzającymi ich status weteranów, uformowali falangi złożone z trzech szeregów. Pierwszy ukląkł z włóczniami trzymanymi prawie poziomo, drugi ustawił włócznie ukośnie, opierając je o ziemię, trzeci uniósł swoje na wysokość głowy, tak że wystawały między ramionami tych z drugiego rzędu. Czaszki, którym brakowało lat szkolenia, wolniej stworzyły żywopłot z włóczni, a trzeci szereg ledwo zdążył zająć swoje pozycje, kiedy pierwszy wojownik Stahlhastu wpadł przez bramę.

Jechał na wysokim siwym ogierze, który torował sobie drogę przez ciała, prawie nie zwalniając. Pokonawszy tę przeszkodę, jeździec zaszarżował prosto na Czaszki, wywijając nad głową maczugą na łańcuchu, groźnie najeżoną kolcami. Nortah stanął na jego drodze z wycelowanym łukiem, ale zdaniem Vaelina za długo zwlekał, nim wypuścił pocisk. Strzelił dopiero wtedy, gdy przeciwnik znajdował się niecałe dwadzieścia stóp od niego, i trafił w lewą szczelinę wzrokową hełmu. Z wizury trysnął gęsty karmazynowy strumień, jeździec runął z siodła. Jego koń jednak biegł dalej, co zmusiło Nortaha do uskokowania w bok. Zwierzę stanęło dęba przed barierą z włóczni Czaszek i zamachało przednimi nogami, a wtedy Alum wyskoczył do przodu i przeciął mu szyję szybkim ruchem ostrza.

– Wyrównać! – warknął Vaelin.



Nierówne szeregi uformowały się na nowo, kiedy kilkunastu następnych jeźdźców wpadło przez bramę. Nortah i Juhkar ruszyli w przeciwnie strony, wypuszczając strzały z zabójczą szybkością, tak że zatrute pociski powaliły czterech jeźdźców jednego po drugim. Pozostali rozjechali się na boki, żeby zaatakować oddziały stojące po obu stronach bramy. Większość szybko została zabita włóczniami, ale jednemu udało się utorować drogę do regimentu po prawej stronie i zaprowadzić nieporządek w jego szeregach, tak że żołnierze byli źle przygotowani na szarżę następnych wojowników Stahlhastów, która nastąpiła zaraz po pierwszej. W ciągu paru sekund oddział został rozbity, trzy szeregi się załamały, obrońcy walczyli w chaosie tratujących koni i siekących szabel.

Vaelin pobiegł wzrokiem na lewo i zobaczył, że drugi regiment jest w odrobinę lepszej sytuacji. Jego szeregi się utrzymały mimo wściekłego ataku, ale było jasne, że wkrótce osłabną. Kilkudziesięciu jeźdźców Stahlhastu wyrwało się z bitewnego zamieszania i ustawiło do szarży. Wiedząc, że Czaszki mają niewielką szansę na powstrzymanie takiej masy zbroi i koni, Vaelin dostrzegł tylko jedno wyjście.

– Formacja bojowa! – krzyknął i z uniesionym mieczem stanął przed pierwszym szeregiem.

Zaczekał, aż trzy szeregi połączą się w dwa, a wszyscy żołnierze zajmą pozycje z opuszczonymi poziomo włóczniami, i wtedy ruszył na bramę. Przez chwilę podejrzewał, że rekruci nie poszli za nim, i zastanawiał się, czy nie uciekli, gdy w decydującym momencie doszły do głosu ich przestępcze instynkty. Usłyszał jednak rozkaz kaprała Cho-ka do ataku i łoskot biegnących ludzi w zbrojach.

Wojownicy Stahlhastu szybko zauważyli atak i popędzili na ich spotkanie, ale udało im się pokonać zaledwie kilkanaście jardów, gdy Czaszki trafiły ich włóczniami. Vaelin uchylił się przed szablą i wymierzył cios w nogę jeźdźcy, tak że ostrze przecięło nie tylko jego kostkę, ale również końskie ciało. Przeciwnik wrzasnął z bólu i wściekłości, zmienił chwyt na szabli i próbował uderzyć nią Lorda Wieży w twarz jak sztyletem. Vaelin uskoczył w bok, chwycił wojownika za stalowe zarekawie i ściągnął z siodła. Zanim jeździec zdążył wstać, Vaelin ukląkł jednym kolanem na jego napierśniku, przyszpilił go do ziemi i wbił czubek miecza w szczelinę w hełmie.

Czując gorący oddech konia na karku, przetoczył się na bok i wyciągnął miecz z hełmu zabitego. Za nim na ciałach i bruku zadudniły kopyta.

Vaelin utrzymał się na nogach, głęboko wbijając ostrze w koński pysk. Zwierzę stanęło dęba, krew i piana buchnęły mu z warg, wojownik na jego grzbiecie uniósł wysoko topór, gotowy do ciosu, kiedy wierzchowiec opadnie na ziemię. Nim zdążył go zadać, zeszywniał, a pod jego brodą pojawił się czubek włóczni. Kiedy runął z siodła, Vaelin zobaczył, że Alum wyciąga włócznię z rany i odwraca się szybko, żeby ciąć w twarz innego wojownika.

Rozglądając się, Vaelin ocenił, że manewr się powiódł, bo zatrzymał wroga tuż za bramą, ale walka wcale nie zmierzała do końca. Jeźdźcy nadal cięli żołnierzy, którzy atakowali ich ze wszystkich stron, podczas gdy grupa wojowników bez koni walczyła z Czaszkami.

Widząc, że Cho-ka leży na plecach i połową złamanej włóczni broni się przed szablami dwóch spieszonych wrogów, Vaelin rzucił się w jego stronę. Ciął jednego przeciwnika przez plecy z taką siłą, że ostrze przebiło się przez kolczugę aż do kości. Drugi napastnik odwrócił się z imponującą szybkością na spotkanie nowego zagrożenia. Był bez hełmu. Vaelin zobaczył długie rude warkocze i wykrzywioną znajomą twarz.

Szabla odbiła się od jego miecza z głośnym szczękiem, kobieta uchyliła się przed kontrą Vaelina i zamierzyła do ciosu w brzuch, ale padła nieprzytomna na ziemię, kiedy Cho-ka uderzył złamaną włócznią w tył jej głowy.

– Nie! – krzyknął Vaelin, kiedy kapral wyciągnął sztylet, żeby dobić ranną.

– Milordzie?

Vaelin zwlekał przez chwilę, patrząc na zwiotczałe rysy Thirus. Nie zdawał sobie wcześniej sprawy, jaka powabna to twarz, tak była oszpecona gniewem i nienawiścią w czasie ich podróży przez step. Sądził, że cały klan Ostra zginął w czasie pierwszego ataku, tymczasem ona mogła być ostatnią ze swojego skeldu.

– Jesteśmy jej winni życie – powiedział do kaprała. – Zabiliśmy jej siostrę na stepie.

Rozejrzał się i zobaczył, że nieliczni pozostali wojownicy Stahlhastu giną od włóczni żołnierzy. Dziedziniec był wolny od wrogów, ale brama pozostawała otwarta, tak że mógł przez nią dojrzeć wielki zbliżający się zastęp Uwolnionych.

– Lordzie Vaelin!

Lord Wieży podniósł wzrok i zobaczył, że Sho Tsai patrzy na niego z blanków.

– Stahlhast wspiął się na południowy mur! – zawołał generał.

Vaelin pobiegł wzrokiem za jego wyciągniętym palcem i zobaczył, że na wschodnich blankach żołnierze toczą zacieklą walkę z setkami wojowników. Spojrzenie na zachód potwierdziło, że drugiego poziomu nie da się utrzymać.

– Wycofać się na trzeci poziom! – krzyknął Sho Tsai. – Ja zorganizuję odwrót! Niech brama będzie otwarta jak najdłużej!

Vaelin chciał się spierać, że generał powinien zadbać o własne bezpieczeństwo, ale nie zdążył zaprotestować, bo Sho Tsai już zniknął. Zebrawszy Czaszki i to, co pozostało z dwóch regimentów weteranów, kazał wszystkim iść na trzeci mur.

– Jukharze! – zawołał, gdy zobaczył, że tropiciel stoi na zasłanym trupami dziedzińcu. – Potrzebujemy twojego łuku na najwyższym murze!

Tropiciel go zignorował. Twarz miał zastygłą w wyrazie głębokiego skupienia, w oczach drapieżny błysk.

– Juhkarze – powtórzył Vaelin, łapiąc go za ramię. – Musimy iść.

– On jest tutaj – powiedział tropiciel z zębami obnażonymi w głodnym uśmiechu. – Tak blisko... Czuję jego odór. Jedno draśnięcie zatrutej strzały i wszystko się skończy.

– Jest ich zbyt wielu... – zaczął Vaelin, ale Juhkar wyrwał rękę i pobiegł przed siebie. Po chwili zniknął w pobliskim zaułku.

Vaelin patrzył za nim bezradnie, walcząc z impulsem, żeby go dogonić, ale w końcu odwrócił się i popędził w górę.

Trzeci poziom miał tylko jedną bramę, mniejszą od pozostałych i ukrytą w tunelu mierzącym sobie jakieś dwadzieścia stóp długości. Po jego przejściu Vaelin rozkazał jednemu z Czaszek, żeby przyprowadził Ellese ze świątyni. Wiedział, że jej łuk będzie bardzo potrzebny. Następnie zebrał tylu kuszników, ilu zdołał, i umieścił ich na blankach bezpośrednio nad bramą. Te mury były najwyższe ze wszystkich trzech i najgrubsze. Armia Ostrza Ciemności stała przed bardzo trudnym zadaniem, ale tylko pod warunkiem, że trafi na silną obronę.

W miarę jak opór na murach zaczynał słabnąć, ulicami drugiego poziomu napływały setki żołnierzy. Tylu ich tłoczyło się w bramie, że Vaelin zorganizował oddział z najsilniejszych sierżantów, by nie dopuścili do zablokowania przejścia. Kazał również rzucić liny, żeby ludzie mogli się

po nich wspiąć albo zostać wciągnięci. Słyszając, jak Nortah woła jego imię z blanków, szybko wszedł po najbliższych schodach i znalazł swojego brata obserwującego z ponurą rezygnacją to, co działo się na dole.

– Nie dadzą rady, bracie – powiedział.

Przyjrzawszy się sytuacji, Vaelin zgodził się z jego oceną. Mury drugiego poziomu znajdowały się teraz całkowicie w rękach Stahl-hastu, podczas gdy wciąż rosnąca liczba Uwolnionych wlewała się przez rozbitą bramę. Pozostał tylko jeden punkt oporu, tam, gdzie niedobitki przetrzebionych regimentów utworzyły krąg, który cały czas się obracał, a żołnierze próbowali wywalczyć sobie drogę na trzeci poziom. Pośrodku obok proporca generała widać było sztandar Czerwonych Zwiadowców. Krąg poruszał się w imponująco stałym tempie, mimo powtarzanych ataków na flanki, i z każdą chwilą zbliżał się do górnego muru, ale również przy każdym kroku tracił ludzi.

– Masz dla mnie zadanie, wujku? – zapytała Ellese, pojawiając się u boku Vaelina. – Gdzie Juhkar? – Rozejrzała się za tropicielem.

– Ma swoją misję. – Vaelin podszedł do muru, wskazał na środek okrążonej piechoty i polecił Nortahowi i Ellese: – Osłaniajcie generała. Nic innego się nie liczy.

Coraz bardziej kurcząca się formacja krok po kroku torowała sobie drogę do bramy, atakowana ze wszystkich stron przez coraz większą liczbę wojowników Stahlhastu i przez Uwolnionych. Kuznicy wypuszczali grad bełtów w atakujących, ale na miejsce każdego wroga trafionego przez ich pocisk nadbiegali trzej koleni. Nortah i Ellese strzelali w trochę wolniejszym tempie, zabijając każdego wojownika, który mógł przedrzeć się przez zwarte szeregi obrońców. Powodująca szaleństwo władza, którą Kehlbrand miał nad tymi ludźmi, nie osłabła. Trzeba było dwóch zatrutych strzał Ellese, żeby powalić niedźwiedziowatego mężczyznę, który, posługując się kowalskim młotem jak maczugą, próbował wedrzeć się do kręgu, zanim w końcu padł wykrwawiony.

Gdy krąg w końcu dotarł na odległość dwudziestu jardów od bramy, w jego środku zagrały rogi. We wcześniej zaplanowanym manewrze przeformował się w romb, tak że zwrócone na północ szeregi ruszyły przodem do bramy, podczas gdy pozostałe zaczęły iść tyłem w ich ślady. Żołnierze na froncie walczyli z zaciętością ludzi stojących przed nieuchronną śmiercią, wycinając sobie drogę w gęstej, ale

zdezorganizowanej masie wrogów. Kiedy dotarli do muru, szeregi za nimi rozbiegły się na boki, ustawiając się w półokrąg wokół bramy.

Vaelin kazał rzucać kamienie i lać olej na atakujących po obu stronach półokręgu, podczas gdy kusznicy nadal zasypywali pociskami tych z przodu. Gdy żołnierze zaczęli wyrąbywać sobie drogę przez tunel, na Vaelinie po raz kolejny zrobiła wrażenie ich dyscyplina. Każdy oddział walczył do chwili, gdy dostał rozkaz wejścia do bramy. Żołnierze wykonywali ostatecznie pchnięcia włóczniami, a ich towarzysze z obu stron zapełniali lukę.

Wkrótce półokrąg skurczył się do jednej trzeciej pierwotnej liczebności, ale nadal nie dał się rozerwać. Vaelin widział Sho Tsaia i Tsai Lina stojących ramię w ramię na wierzchołku łuku. Generał walczył oszczędnie i skutecznie, tnąc mieczem twarze i szyje napastników i przez cały czas wykrzykując rozkazy. Jego syn zdobył szablę Stahlhastu i teraz siekł nią i swoim mieczem na prawo i lewo z zabójczą precyzją, która, jak Vaelin wiedział, mogła być jedynie rezultatem całego życia ćwiczeń.

– Panie!

Vaelin odwrócił się i zobaczył, że jeden z kuszników odchodzi od muru, bezradnie wskazując na swój pusty kołczan. Jego towarzysze również wyczerpali zapas bełtów albo niewiele do tego brakowało.

– Generale! – Vaelin złożył dłonie wokół ust i zawołał do Sho Tsaia, mając nadzieję, że zostanie usłyszany w bitewnym tumultcie. – Nie ma już czasu!

Generał zerknął w jego stronę, a jeden z przeciwników wykorzystał tę chwilę nieuwagi i skoczył do przodu z uniesioną szablą, ale padł martwy ze strzałą Nortaha wbłą w ramię. Dowódca wywarczał serię rozkazów i pozostali żołnierze ruszyli biegiem do bramy. Zapomniano o uporządkowanym odwrocie, wszyscy szukali bezpieczeństwa. Sho Tsai i Tsai Lin nadal cofali się do bramy, przez cały czas walcząc pod osłoną strzał Nortaha i Ellese. Oboje zabili kolejne pół tuzina wojowników przez czas, który tym dwóm zabrakło dotarcie do tunelu. Wtedy grupa Uwolnionych utorowała sobie drogę do grupy wycofujących się żołnierzy, zabiła wielu z nich i wdarła się do przejścia.

Vaelin bez wahania wykrzyknął następny rozkaz. Nie miał wyjścia, jeśli chcieli utrzymać trzeci poziom.

– Zamknąć bramę!

Kiedy rozkaz przekazano żołnierzom pilnującym tunelu, Vaelin popędził do najbliższej liny i wyrzucił ją przez parapet. Jej koniec wylądował dokładnie między Sho Tsaiem i Tsai Linem. Obaj stanęli po lewej stronie tunelu plecami do ściany, otoczeni przez dwudziestu ocalałych żołnierzy, głównie Czerwonych Zwiadowców, wśród których był również kapral Wei. Vaelin zobaczył, że generał wpycha linę synowi do ręki, a kiedy dai lo pokręcił głową, wydał ostrą, zdecydowaną komendę. Tsai Lin sparował szablą pchnięcie Uwolnionego, a mieczem zatoczył łuk i odciął mu ramię na wysokości łokcia. Następnie rzucił szablę, schował miecz do pochwy, chwycił linę i zaczął się po niej wspinać.

Generał odwrócił się do kaprała Weia i skinieniem głowy wskazał na linę. Kapral zdzielił pięścią w twarz warczącego Uwolnionego, uklonił się nisko swojemu dowódcy, krzyknął coś do towarzyszy i rzucił się na szeregi wroga. Żołnierze uformowali tarczę wokół generała, ze wściekłą energią tnąc włóczniami i mieczami. Widząc, że Sho Tsai się waha, Vaelin krzyknął:

– Bez pana to miasto upadnie!

Spojrząwszy na swoich żołnierzy po raz ostatni, generał schował miecz i chwycił linę. Trzymał się jej razem z synem, podczas gdy Vaelin i dwudziestu kuszników ich wciągali.

– Brama zamknięta – zameldował Lord Wieży generałowi, kiedy pomógł mu przejść przez parapet. – Musiałem...

– Wiem. – Sho Tsai odwrócił się i spojrzał w dół, gdzie ostatni z Czerwonych Zwiadowców właśnie zginął pod falą atakujących Uwolnionych.

Gdy rzeź się skończyła, zastęp Ostrza Ciemności wydał triumfalne, dzikie wycie, od którego mogły rozboleć uszy. Zwycięzcy zajęli drugi poziom miasta od końca do końca, morze twarzy zwróconych ku górze, umazanych krwią i bitewnym pyłem. Wszyscy wykrzykiwali swoją nienawiść do milczących obrońców ostatniego muru. Potem ryczący tłum raptownie ucichł, tak że słyhać było tylko ciężkie oddechy.

– Jest tutaj – rozległ się głos Luralyn.

Stała obok Varija na parapecie, z twarzą pobladłą i bez wyrazu, kiedy armia rozdzieliła się i przepuściła samotnego jeźdźca, a on poprowadził swojego ogiera ulicami spływającymi krwią.

Kehlbrand zatrzymał wierzchowca dwieście kroków od muru, ponownie dowodząc, że ma bystre oko, jeśli chodzi o ocenę zasięgu strzał. Stał przez

jakiś czas z twarzą równie pustą jak u siostry i równie cichy jak armia, która go otaczała. Potem uniósł rękę i pokazał to, co w niej trzymał.

Vaelin usłyszał syk wściekłości Varija, natomiast Luralyn nie zareagowała w żaden sposób na widok głowy Juhkara huśtającej się w ręce jej brata. Kiedy Kehlbrand rzucił ją w stronę górnego muru, zostawiła za sobą czerwony łuk. Wylądowała tuż przed bramą, potoczyła się i zatrzymała, spoglądając w górę niewidzącymi oczami.

Kehlbrand i Luralyn patrzyli na siebie przez jedno uderzenie serca, ale Vaelin wiedział, że przynajmniej dla niej ta chwila musiała trwać cały wiek. W końcu brat zamrugał i uciekł wzrokiem, a następnie zawrócił konia i pogalopował z powrotem tam, skąd nadjechał. Jego armia wydała ryk głośniejszy i jeszcze bardziej dziki niż wcześniej.

## Rozdział trzydziesty czwarty

Po zapadnięciu nocy, gdy kolejny atak nie nastąpił, Sho Tsai rozkazał zasypać tunel prowadzący na najwyższy poziom. Ahm Lin pomógł w tym zadaniu, wynajdując kamienie, które można było bezpiecznie poluzować, nie naruszając muru. W ciągu paru godzin zgromadzono za bramą taką ich masę, że żadna liczba oszalałych Uwolnionych nie zdołałaby jej przesunąć.

– Teraz będzie musiał stracić trochę sił – stwierdził Sho Tsai. – Przekopać się przez starożytny bruk i fundamenty, a potem wydrążyć tunel. Nie ma sposobu, żeby zburzyć mury, a są zbyt wysokie, by się na nie wspiąć.

Siedział przy stole w pokoju, w którym Sherin opatrywała najciężej rannych. Wszystkie powierzchnie wyszorowano octem winnym, a na podłodze rozsypano trociny, ale w pomieszczeniu nadal utrzymywał się odór rozerwanych ciał i różnych wydzielin. Generał nawet się nie skrzywił, kiedy Sherin zajęła się zszywaniem jego licznych ran, z których najgorszą było głębokie rozcięcie na karku.

– Może i nas tutaj uwięził, ale zdobycie miasta będzie kwestią miesięcy – dodał Sho Tsai i zacisnął zęby, kiedy Sherin wiązała ostatni szew.

Generał mówił pewnym, choć zmęczonym tonem, ale Vaelin nie podzielał jego pewności.

– Wymyślał niespodzianki na każdym kroku – przypomniał. – Byłoby głupotą zakładać, że nie ma przygotowanej jeszcze jednej. A nasze straty...

– Nie potrzebuję żadnych przypomnień, milordzie. – We wzroku Sho Tsaia był cień.

Vaelin wiedział, że bardzo mu ciążyła na sercu strata Czerwonych Zwiadowców. On i Tsai Lin ocaleli z regimentu jako jedyni, a nie tylko ten pułk został starty w proch. Gubernator Neshim, bardzo sumienny w swoich wyliczeniach, zameldował, że obecnie wszystkie ich siły to niewiele ponad dziesięć tysięcy. Z pewnością zginęło dużo więcej wojowników Stahlhastu i Uwolnionych, ale armia Ostrza Ciemności była nadal silna, a jej nienaturalne oddanie pozostało niezachwiane.

– To pułapka również dla niego, proszę nie zapominać – rzekł generał. – Gdyby był rozsądnym człowiekiem, pomaszerowałby dalej albo



przynajmniej zostawił wystarczającą liczbę wojska pod murami, a sam ruszył na południe. Ale on zostaje z całą armią, a wszystko dlatego, że chce odzyskać siostrę, która go nienawidzi.

Siostrę z cierniem w głowie, pomyślał Vaelin. Może właśnie dlatego tak bardzo pragnie ją odzyskać? Boi się, jakie sekrety ona może wyjawić, kiedy cierń zostanie wyrwany?

– Proszę. – Sherin podała Sho Tsaiowi małą buteleczkę. – Na ból. Dwie krople na kubek wody trzy razy dziennie.

– Nie mogę mieć przytępionych zmysłów... – oświadczył generał, oddając buteleczkę.

– Proszę to wziąć i oszczędzić mi swojego bohaterstwa – rzuciła Sherin ze znużonym westchnieniem. Podeszła do miski z wodą i zaczęła szorować ręce. – Na noszach na zewnątrz leży sierżant z raną w brzuchu od topora. Potrzebuję tego pokoju.

Vaelin wyczuł, że ból na twarzy Sho Tsai'a ma niewiele wspólnego z jego ranami. Generał nie wstał z krzesła, tylko twardo odwzajemnił spojrzenie Sherin. Dla Vaelina stało się jasne, że w tym pokoju zaraz zostanie powiedziane coś więcej, a on nie miał ochoty być tego świadkiem. Wymamrotał, że musi sprawdzić warty, i wyszedł.

\*\*\*

Znalazł Eresę i Jihłę strzegące drzwi do celi Luralyn. Młodsza kobieta zaskoczyła Vaelina ciepłymi objęciami, podczas gdy Eresa nadal patrzyła na niego z zakłopotaniem, które stało się typowe, odkąd przeżył jej dotyk.

– Żałujemy, że nie możemy pana wpuścić, milordzie – powiedziała Jihła. Nie licząc ciemnych sińców pod oczami i nieco bladej twarzy, wydawało się, że już całkiem doszła do siebie, choć nieco wymuszony uśmiech świadczył o głębokim smutku. – Rozkaz naszej pani.

– Macie tak jej nie nazywać – przypomniał Vaelin, zerkając na zamknięte drzwi. – Szuka Prawdziwego Snu?

– Tak – potwierdziła Eresa. – To może potrwać godziny albo nawet cały dzień czy więcej. Trudno powiedzieć.

– Może pan zostać z nami – zaproponowała Jihła. – Varij poszedł po jedzenie.

Vaelin uprzejmie odmówił i ruszył do świątyni, gdzie jego towarzysze dzielili się upichconym przez Ellese gulaszem, który pachniał zaskakująco

apetycznie.

– Okazuje się, że mięso korzysta na nadmiarze przypraw – powiedziała Ellese, wręczając mu miskę.

– Koń? – Vaelin podejrzliwym wzrokiem łypnął na gulasz.

– Gubernator zapomniał przenieść soloną wieprzowinę na najwyższy poziom – wyjaśnił Nortah. – Mięsa jest mało. Bez obaw, bracie. Z pewnością jadaliśmy gorzej.

Widząc, że Tsai Lin siedzi z dala od innych, Vaelin kazał Ellese nalać jeszcze jedną miskę i mu ją zaniósł.

– Rany pańskiego ojca są lekkie – powiedział, wręczając dai lo jedzenie i siadając obok niego na stopniach kaplicy.

Tsai Lin skinął głową, popatrzył na gulasz, po czym odstawił miskę na bok. Nie zdjął zbroi, na której nadal był bitewny brud, podobnie jak na jego twarzy.

– Strata ludzi to trudna... – zaczął Vaelin.

– Życie stracone w słusznej sprawie należy celebrować, a nie opłakiwać – przerwał mu Tasi Lin. Vaelin wychwycił w jego głosie oficjalną nutę, która wskazywała na cytaty.

– Kuan-Shi? – rzucił.

Tsai Lin pokręcił głową.

– Wers z jednego z Mistycznych Zwojów, zbioru wiedzy datującego się na długo przed powstaniem Szmaragdowego Imperium. Mój nauczyciel zawsze lubił z nich korzystać na lekcjach. Mistyczne Zwoje wspominają o rasie ludzi o włosach i skórze dziwnego koloru, którzy przybyli przez zachodnie morza z potężną flotą. Podobno czcili bezimiennego boga i mieli tak dzikie zwyczaje, że inne plemiona z tamtej epoki uciekały przed nimi z przerażeniem. Z czasem osiedlili się na Żelaznym Stepie, zaczęli wydobywać metal z torów i stali się znani ludziom z południa jako Stalowa Horda. Stahlhast to tylko starożytny lud, tak jak my.

– Więc w Świątyni Włóczni uczą czegoś więcej niż tylko walki.

– Dużo więcej. „Nawet rzeźnik włada ostrzem, nie kierując się wiedzą”. To był Kuan-Shi. – Usta Tsai Lina ułożyły się w cień uśmiechu, ale ten szybko zniknął, a jego oczy pociemniały z poczucia winy. – Nie lubiłem swoich ludzi, lordzie Vaelin. Uważałem, że są brutalni i ignorancy. Ale bez wahania oddali życie za mojego ojca. Ich przykład mnie zawstydza.

– Zawstydzeni przywódcy nie kierują dobrze żołnierzami, a są inni bardzo potrzebujący przywództwa. Rano utworzy pan nowy regiment

z niedobitków.

– Tylko kapitan może dowodzić regimentem.

– To prawda. – Vaelin odpiął od pasa małą metalową gwiazdę pokrytą srebrem i podał ją Tsai Linowi. – Rozkaz pańskiego ojca. Gratulacje, dai shin. Będzie pan musiał wymyślić nazwę i chorągiew. Żołnierze potrzebują takich rzeczy... – Urwał, kiedy usłyszał brzęk miski roztrzaskującej się o kamienie.

Odwrócił się i zobaczył Ahm Lina. Twarz kamieniarza była pusta z szoku, oczy miał szeroko otwarte.

– Wcześniej nie mogłem go zobaczyć – powiedział. – Pieśń... on był przed nią ukryty. Nie sądzę, żeby wiedział...

– Kto? – Vaelin podszedł do niego, stawiając długie kroki.

Kamieniarz zamrugał, a Vaelin zobaczył straszliwą rezygnację na jego twarzy, pewność rychłej katastrofy.

– Łamacz kamieni. – Pokręcił głową i ściszył głos do szeptu: – Nie sądzę, żeby wiedział.

\*\*\*

– Gdzie jest Varij? – spytał Vaelin, a dwie Obdarzone stojące pod drzwiami celi Luralyn wymieniły zdumione spojrzenia.

– Jeszcze nie wrócił – powiedziała Eresa. – O co...

Vaelin minął ją i kopniakiem otworzył drzwi. Wszedł do środka i znalazł Luralyn na wąskim łóżku. Ogarnęło go przerażenie na widok jej otwartych ust i zwiotczalej twarzy, ale kiedy dotknął jej piersi, upewnił się, że żyje, choć oddech miała płytki i nie wydała żadnego dźwięku, kiedy nią potrząsnął.

– To nie jest Prawdziwy Sen – stwierdziła Eresa, podchodząc i przykładając dłoń do czoła Luralyn. Jej głos był zdławiony ze strachu i niedowierzania, kiedy wymawiała następne słowa. – Została uśpiona.

– Zabierzcie ją do Sherin – polecił Vaelin. – Powiedzcie, żeby zrobiła wszystko, co w jej mocy, żeby ją obudzić. – Następnie zwrócił się do Sehmona i Aluma: – Idźcie z nimi. Przekażcie generałowi, żeby postawił na nogi cały garnizon.

Wyszedł z celi i spojrzał pytająco na Ahm Lina.

– Tam – powiedział kamieniarz, wskazując na południowy odcinek murów. Jego twarz zachowała posępny wyraz.

– Dai shin przejmie dowództwo Czaszek. – Vaelin odwrócił się do Tsai Lina. – Proszę zaprowadzić ich i wszystkich dostępnych żołnierzy na południowy mur.

Kazał Ahm Linowi zostać z Alumem i ruszył biegiem w stronę muru. Ellese i Nortah podążali za nim z łukami gotowymi do użycia. Vaelin nie słyszał żadnych krzyków z blanków, kiedy się do nich zbliżali, co świadczyło, że wróg jeszcze nie nadciąga, ale on się nauczył, że pozory nic nie znaczą, jeśli chodzi o Ostrze Ciemności.

– Tam – powiedział Nortah, wskazując łukiem na samotną postać stojącą u podstawy muru.

Tropiciel z rękami po bokach wpatrywał się w kamienie, nie pokazując po sobie, że usłyszał ich przybycie.

– Variju! – zawołał Vaelin. – Odsuń się od muru.

Obdarzony lekko obrócił głowę, a Vaelin dostrzegł na jego twarzy żałosny uśmiech, zanim Varij z powrotem skierował wzrok na kamień.

– Złodziej Imion – powiedział. – Miałem nadzieję na śmierć z bardziej godnych rąk.

– Odsuń się od muru – powtórzył Vaelin.

Nortah i Ellese wycelowali łuki w Obdarzonego. Pokryte trucizną groty lśniły w blasku księżyca.

– Dlaczego próbujesz mnie oszczędzić, Złodzieju Imion? – zapytał Varij, tym razem odwracając do nich twarz. Malowała się na niej łagodna ciekawość, ale w oczach Vaelin dojrzał znajomy wyraz. Widywał go u każdego Uwolnionego, z którym walczył. Tropiciel należał do Ostrza Ciemności. – Martwisz się o moją panią? Jak jej zdradzieckie serce pęknie...

– Powiedziano mi, że nie wiedziałeś, że wypełniasz rozkaz Ostrza Ciemności – przerwał mu Vaelin. – Jesteś gotowy umrzeć za swojego fałszywego boga, którym gardziłeś jeszcze chwilę temu. Chciałbym zrozumieć, jak to się stało.

– Miłość – odparł po prostu Varij. – Zawsze należałem do niego. Od chwili, w której mnie uwolnił, uratował przed batem i pracą bez końca. Kiedy przemówił, wiedziałem, że mówi w imieniu opatrności. Człowiek, którego widzisz przed sobą, jest prawdziwy, to Varij kłamał. Kazano mi jej pilnować lata temu, powiedziano, że pewnego dnia ona zdradzi Ostrze Ciemności, ale że jej zdrada jest konieczna. Dlatego kazał Sehdze zasiać kłamstwa w mojej głowie i wątpliwości, które miały mi pomóc w zdobyciu

zaufania Zdrajczynie, a wszystko po to, żeby mnie tutaj przyprowadziła. – Varij uśmiechnął się. – A klucz do Kupieckich Królestw zostanie użyty, żeby wszyscy mogli poznać jego miłosierdzie. – Słyszając brzęczenie cięciwy Ellese, Varij się roześmiał. – Zabij mnie, pragnę tego. Bo wiem, że jedynym zbawieniem jest śmierć. Nie możecie zatrzymać tego, co już zostało zrobione.

I wtedy Vaelin zobaczył pajęczą sieć pęknięć w kamieniach brukowych u podstawy muru, rys, które się poszerzały.

– Zabij go! – warknął.

Dwie strzały trafiły Varija prosto w pierś i wyszły z tyłu, gdy upadł na ziemię. Nawet kiedy cały płyn opuścił ciało ciemną falą, zadowolony uśmiech przetrwał na jego ustach.

Na ich oczach pęknięcia u podstawy muru rozprzestrzeniały się z ogromną szybkością, trysnęła fontanna sproszkowanego kamienia, przez ziemię przebiegło potężne drżenie.

– Cofnąć się! – krzyknął Vaelin, odpychając Nortaha i Ellese, kiedy z dołu dobiegł grzmiący huk.

U podstawy muru otworzyła się szeroka szczelina i zaczęła wić się w górę szybciej, niż mogło nadażyć oko. Łoskot miażdżonych kamieni spotęgował się, kiedy część muru o średnicy co najmniej pięćdziesięciu stóp skruszyła się w kaskadę drobnego gruzu. Gęsta chmura dławiącego pyłu pełna ostrych odłamków zmusiła ich do zasłaniania twarzy.

Vaelin opuścił rękę i ujrzał wyłom, którego z pewnością nie dało się naprawić. Wśród domów na drugim poziomie miasta zobaczył jeźdźców Stahlhastu szykujących się do szarży i gęstą formację Uwolnionych tłoczących się na flankach.

– Lordzie Vaelin!

Sho Tsai zatrzymał się obok niego z trzema regimentami piechoty. Vaelin zobaczył, że inni żołnierze szybko schodzą z murów, żeby uformować szyki na ulicach. Generał doszedł do oczywistego wniosku, że decydująca bitwa zostanie stoczona przy wyłomie.

– Do świątyni. – Generał zbliżył się i spojrzał mu w oczy spokojnie i nieustępliwie. Dodał cicho: – Ratuj ją, jeśli możesz. Jeśli nie, oszczędź ją.

Odwrócił się i gestem ręki przywołał Tsai Lina.

– Idź z lordem Vaelinem.

– Generale, muszę...

– Nie ma czasu! – Oczy Sho Tsaia zapłonęły, a jego syn stanął na baczność. – Będzie chaos, kiedy się tu wedrą. – Jego twarz złagodniała i pojawił się na niej żal. – Może to wystarczy, żeby osłonić ucieczkę. To mój ostatni rozkaz, synu. Przeżyj i wróć do Świątyni Włóczni. Posłuchaj ich rad, bo widzę, że wiek królów się skończył. – Stał twarzą do wyłomu i wyciągnął miecz, słysząc łoskot kopyt Stahlhastu. – Idź już!

\*\*\*

Ich biegowi do świątyni towarzyszyła bitewna wrzawa, tak głośna, że Vaelin usłyszał okrzyk kaprała Weia dopiero, gdy ten wybiegł z cienia i stanął mu na drodze. Po bokach miał sześciu członków Czaszek, których Vaelin znał jako członków Zielonej Żmii.

– Milordzie – rzekł kapral ze zdawkowym ukłonem. – Chciałbym panu coś pokazać.

– Co? – Vaelin nie był specjalnie zaskoczony, że Cho-ka i jego wspólnicy nie postanowili zostać do końca z generałem, i wcale nie był zły z tego powodu. Czy on też nie okazał się tchórzem tej nocy?

– Coś w sklepie mojej ciotecznej babki – powiedział Cho-ka, rzucając wokół siebie czujne spojrzenia.

– Mów wprost! – warknął Vaelin, gdy jego cierpliwość się wyczerpała.

– Wyjście. Takie, którego do tej pory nie można było używać.

– Ale mogło nam pomóc wcześniej.

– Jestem winien lojalność tylko Zielonym Żmijom. Nie królowi, który mógłby mnie powiesić z kaprysu, ani generałowi, którego nazwiska nie słyszałem jeszcze miesiąc temu. Walczyliśmy o życie i nie zmarnujemy go w obronie kupy osmalonych cegieł. Ale między nami jest dług, który chcę spłacić.

Vaelin odwrócił się do Ellese i Nortaha.

– Idźcie z nimi. Dai lo i ja mamy sprawę w świątyni. Odgłosy bitwy się zmieniają, gdy tylko wyłom padnie. Kiedy tak się stanie, nie czekajcie ani sekundy dłużej.

Odwrócił się, nim zdążyli zareagować, i pośpieszył do świątyni. Znalazł Sherin w pokoju zabiegowym. Przesuwała buteleczką cuchnących soli pod nosem Luralyn, podczas gdy Chien trzymała głowę nieprzytomnej. Eresa i Jihla stały w kącie z twarzami ściągniętymi z troski, kiedy ich pani jęknęła i rozdeła nozdrza, ale się nie obudziła.

– Wychodzimy – powiedział Vaelin do Sherin. – Zabierz ją – rzucił do Chien, wskazując skinieniem głowy na Luralyn. – Kapitan ci pomoże.

– Dokąd? – spytała kobieta, zarzucając sobie jedno ramię Luralyn na szyję, podczas gdy Tsai Lin chwycił za drugie.

– Do sklepu z przyprawami po lewej stronie od bramy. Zielone Żmije miały swoje sekrety.

– Trzeba ufać szczurowi, że zawsze znajdzie rurę. – Chien stęknęła, podnosząc Luralyn razem z Tsai Linem.

– Idźcie już – ponaglił ich Vaelin, patrząc, jak Sherin nieśpiesznie chowa buteleczkę do skrzynki z lekami. – My zaraz przyjdziemy.

Chien i Tsai Lin wynieśli Luralyn z pokoju, a Eresa i Jihla podążyły za nimi.

– Już czas. – Vaelin stwierdził, że musi przełknąć ślinę, zanim będzie mógł mówić dalej. – Przepraszam.

– Zostawiłeś go – powiedziała Sherin beznamiętnym tonem, nie odwracając się.

– Rozkazał mi ciebie ratować. I uratuję.

– Mam pacjentów. – Zamknęła skrzynkę i przez chwilę patrzyła na swoje ręce, zginając i prostując palce. – I dar, którym mogę się dzielić...

– Jeśli będę musiał pozbawić cię przytomności, żeby wywlec z tego miasta, zrobię to!

Sherin zeszywniała, kiedy krzyknął. Jej oczy zrobiły się czerwone, zmarszczki uwydatniły się na twarzy, gdy walczyła z bólem.

– Widziałeś, jak ginie?

Vaelin podszedł do niej, objął ją w talii i pociągnął do drzwi.

– Nie ma czasu.

Sherin uwolniła rękę, a jej czerwone oczy zapłonęły oskarżycielsko.

– Widziałeś, jak on umiera?

Kłamstwo, kwestia wyższej konieczności, byłoby łatwe, ale zamarło na jego ustach. Już dość jej nakłamał.

– On walczy. I będzie to robił do śmierci, żebyś ty mogła żyć. Nie pozbaw znaczenia jego ofiary.

Sherin się odwróciła, biorąc urywany wdech. Bez słowa podniosła skrzynkę z lekami i wyszła z pokoju. Na zewnątrz Vaelin zobaczył Ahm Lina, Sehmona i Aluma.

– Trzymajcie się blisko – przykazał im. – I ruszajcie się szybko.

Kiedy pokonali pół drogi do sklepu, usłyszał, że odgłosy bitwy się zmieniają. Szczęk metalu uderzającego o metal przycichł na krótką chwilę, a następnie przeszedł w ryk tysięcy triumfalnych głosów.

– Co to było? – zapytał Sehmon.

– Przedarli się – odpowiedział Vaelin, spoglądając na południe.

Sherin zaszlochała, gdy ryk przycichł do szmeru przerywanego przez ostre krzyki, które świadczyły o rzezi.

– Mówiłem, żebyście nie czekali! – zawołał Vaelin do Nortaha, kiedy wybiegł z za rogu i zobaczył, że on i Ellese stoją na ulicy.

– I na pewno wiedziałeś, że czegoś takiego nie zrobimy – odparował Nortah. Zaprowadził ich do sklepu, gdzie na środku podłogi leżała duża otwarta kłapa. – Ale skazańcy nie mieli takich skrupułów. Tsai Lin i kobiety już przeszli.

– Dokąd to prowadzi? – spytał Sehmon, z powątpiewaniem zaglądając w mroczny otwór.

– A kogo to obchodzi, jeśli nie do tego miejsca, gamoniu? – rzuciła Ellese, wskakując w otwór.

Vaelin popchnął Sherin następną i zaczekał, aż inni podążą za nią. Wtedy chwycił za łańcuch po wewnętrznej stronie kłapy i zamknął ją za sobą.

Schody były strome, oświetlone przez jedną pochodnię umieszczoną na stemplu podpierającym z grubsza ociosany kamienny mur. Przypuszczalnie zostawił ją Cho-ka. Alum wziął pochodnię i ruszył w dół, a inni za nim tak szybko, jak się odważyli na wilgotnych, wąskich stopniach. W miarę opadania tunel zakręcał tyle razy, że nie dało się określić kierunku. Wreszcie skończył się w obszernej komorze o niskim zaokrąglonym sklepieniu. Blask księżyca odbijał się od wody przecinającego ją kanału i rzucał srebrne plamki na sufit i ściany. Światło wpadało przez liczne otwory w dachu i oświetlało podziemny ciek wodny ciągnący się na co najmniej milę.

– Milordzie! – Głos rozbrzmiał echem w komorze, kiedy Tsai Lin zawołał z łodzi. Stał na rufie z wiosłem w ręce, a trzy kobiety kulily się pośrodku.

Obok była przycumowana druga łódź z dwoma wiosłami.

– Szumowiny nie chciały czekać – powiedział Tsai Lin do wsiadającego do łodzi Vaelina. Sięgnął po zapasowe wiosło i stanął na dziobie.

Ahm Lin wskoczył za nim, pozostali zapełnili drugą łódź. Były to długie jednostki o płaskim dnie i wysokich burtach, przeznaczone, jak przypuszczał Vaelin, do szmuglowania towarów.



– Żyjemy dzięki tym szumowinom – przypomniał Tsai Linowi, odpychając się wiosłem od kamiennego brzegu.

Ruszyli równomiernym tempem. Vaelin obejrzał się, by sprawdzić, czy druga łódź płynie za nimi. Alum i Nortah chwycili za wiosła i dobrze sobie radzili. Vaelin wciąż wracał spojrzeniem do skulonej postaci Sherin, która siedziała z nisko opuszczoną głową i szczupłymi ramionami zgarbionymi z żalu.

– Varij? – Oczy Luralyn wyglądały jak czarne dziury w szarej masce.

Jakikolwiek narkotyk jej podano, najwyraźniej jego działanie minęło, ale Vaelin wiedział, że jej cierpienie jeszcze się nie skończyło.

– Nie żyje – odpowiedział, patrząc przed siebie.

– To on był cierniem – stwierdziła Luralyn. – Tak?

Vaelin tylko skinął głową i zagarnął wodę wiosłem.

– Coś powiedział? – Luralyn załamał się głos i minęło parę sekund, nim znowu się odezwała. – Czy on... coś wyjaśnił?

Kazano mi jej pilnować lata temu... Jej zdrada była konieczna.

– Nic, co miałyby jakiś sens – odparł Vaelin. – Był całkiem szalony, przykro mi.

Płynęli przez prawie godzinę, zanim dotarli do końca tunelu, którego wylot częściowo zasłaniała kurtyna z wiszących wodorostów. Vaelin i Tsai Lin zwolnili, zbliżając się do otworu, a kiedy powoli przedostali się przez zasłonę, ich oczom ukazał się długi srebrny pas Wielkiego Północnego Kanału. Ciągnął się na lewo i prawo przez całe mile, choć wydawało się, że południowy odcinek nie ma kresu, podczas gdy północny kończył się przy ciemnej sylwetce Keshin-Kho.

Vaelin ocenił, że znajdują się najwyżej pięć mil od miasta, ale hałas był słyszalny nawet tutaj: tysiące głosów rytmicznie śpiewających na chwałę zwycięstwa Ostrza Ciemności. Odwrócił wzrok od twierdzy i wizji spalonych domów, silnym pociągnięciem wiosła pchnął łódź do kanału i skierował ją na południe.

Wciąż przeczesywał wzrokiem mijane brzegi i odetchnął z wdzięcznością, kiedy zauważył mgłę napływającą z okolicznych pól. Wszystko, co mogło osłonić ich ucieczkę, było mile widziane. Jego ulga nie trwała długo, bo Ahm Lin przysunął się i wyszeptał:

– To nie jest naturalna mgła, bracie.

Energicznie wskazał głową, gdy zobaczył pytający wzrok Vaelin. Wystarczyło jednak kolejne spojrzenie, żeby potwierdziły się słowa

kamieniarza. Mgła wiła się grubymi mackami, na pozór odporna na silny wiatr. Vaelin wstał, odłożył wiosło i dał znak drugiej łodzi starym gestem Zakonu ostrzegającym, że wróg jest blisko. Zobaczył, że Nortah potwierdza wiadomość krótkim ruchem dłoni i sięga po łuk. Ellese zrobiła to samo.

Vaelin schylił się po wiosło, ale znieruchomiał, kiedy jego wzrok przyciągnęła blada zjawa stojąca na brzegu rzeki. Derka potrząsnął grzywą na znak rozpoznania i pokłusował po trawie, a jego oddech mieszał się z mgłą. Kiedy Vaelin próbował sobie wyobrazić, jak ogier zdołał uciec ze stajni Keshin-Kho, na jego ustach zaigrał uśmiech, ale szybko zgasł na widok siodła na jego grzbiecie: siodła Stahlhastu.

Thirus wstała z wysokiej trawy z już naciągniętym łukiem i wypuściła strzałę. Pocisk zakreślił idealny łuk. Silna ręka mocno pchnęła Vaelina w pierś, krzyk Ahm Lina zmieszał się z przekleństwem Thirus, a oba głosy ucichły jednocześnie, kiedy strzała trafiła w cel.

Vaelin zobaczył, że Thirus pada, brocząc krwią, a z jej szyi sterczy strzała Ellese. Potem przeniósł wzrok na Ahm Lina. Kamieniarz posłał mu słaby uśmiech i spojrzął na drzewce wbite w jego pierś. Chwilę później wypadł za burzę.

Vaelin natychmiast skoczył za nim do wody, otoczył ramieniem jego szamoczące się ciało i popłynął w stronę brzegu. Trzask wielu łuków wypełnił powietrze, a towarzyszyły mu głucho uderzenia żelaza w drewno i świst roju strzał.

– Nie! – krzyknął Vaelin, widząc, że Ellese zamierza skoczyć do wody pod stałym gradem pocisków.

Gdy zaczęła wstawać z łodzi, Nortah z niechętną miną rzucił się do przodu i chwycił ją w talii.

– Puść! – wrzasnęła Ellese.

Vaelin dostrzegł jej wierzgające kończyny, zanim mgła zrobiła się na tyle gęsta, żeby obie łodzie zmieniły się w cienie.

Ellese krzyknęła jeszcze kilka razy i ucichła, gdy Nortah przypuszczalnie zamknął jej usta ręką. Grad strzał ustał, z obu brzegów dobiegł tętent kopyt. Thirus nie była sama.

Vaelin dotarł do brzegu, chwycił za kępę trawy i wyciągnął ich obu z wody. Zawłókł Ahm Lina w wysokie zarośla i dobył miecza, nasłuchując odgłosów rozbrzmiewających we mgle. Tętent kopyt ucichł, dało się natomiast słyszeć parskanie i szuranie świadczące o tym, że konie się zatrzymały albo idą stępą. Nie można było stwierdzić, ile ich jest.

– Pieśń... – wykrztusił Ahm Lin.

Vaelin pokręcił głową i przysunął ucho do jego ust.

– Leż spokojnie.

Kamieniarz spojrział mu w oczy, a Vaelin zobaczył ten sam znużony uśmiech na jego wargach.

– Pieśń... – zaczął znowu ranny. Jego głos brzmiał jak ochryple krakanie, a na zębach pokazała się krew. – Była jasna, bracie. Od... początku...

– Oszczędzaj siły – szepnął Vaelin. – Sherin cię wyleczy...

– Nie... – Ahm Lin zaśmiał się z ironią. – Pieśń... była jasna. Dlatego odesłałem... Shoalę. Dlatego... czekałem na ciebie. Wszystkie pieśni... się kończą. Księżniczka... to wiedziała...

Sięgnął po dłoń Vaelina, ścisnął ją drżącymi palcami i przyciągnął do strzały wbitej w jego pierś, do krwi wzbierającej wokół rany.

– Mój dar – powiedział. – Dla ciebie.

Krew była ciepła, ale Vaelin chciał wyszarpnąć rękę, jakby się oparzył.

– Nie! – Wzrok Ahm Lina stał się rozgorączkowany, jego ręka zacisnęła się jak imadło na dłoni Vaelina, przytrzymała ją w miejscu. – Musisz! Żeby z nim walczyć... potrzebujesz pieśni. Jeśli nie... on wygra!

Ostatnie słowa zabrzmiały jak krzyk. Vaelin usłyszał rzenie spłoszonych koni, a po nim donośne głosy. Głosy Stahlhastu.

Przez umysł Vaelina przemknęły obrazy, kiedy patrzył w szeroko otwarte, błagalne oczy Ahm Lina. Zamordowani emisariusze w wieży. Cel księżniczki. Pojedynek z Obvarem. Oblężenie. Ukryta prawda Varija. Strzała Thirus. Gdyby nadal miał pieśń, ile z tego w ogóle by się wydarzyło?

„Walka z tobą takim, jaki jesteś teraz, byłaby jak walka z dzieckiem”, powiedział Kehlbrand. Ostrze Ciemności. I Vaelin wiedział, że przynajmniej w tym nie kłamał.

Ale powstrzymywała go niewłaściwość tego, co miałyby zrobić, budziła w nim niesmak. Właśnie w ten sposób Volarianie zostali niewolnikami Sojusznika. Co by się stało z nim?

Znowu usłyszał głos Ellese, dalekie, płaczliwe wołanie niosące się przez mgłę, wkrótce zagłuszone przez tętent galopujących koni. Okrzyki podniecenia wypełniły powietrze, kiedy wojownicy Stahlhastu się zbliżali, głodni sławy, a było jej wiele do zdobycia, gdyby podarowali głowę Złodzieja Imion ukochanemu bogu.

– Proszę, bracie... – Krew buchnęła z ust Ahm Lina, jego oczy zmętniały.  
– Proszę...

Słyszając syk stali wyciąganej z pochwy, Vaelin przytknął usta do śmiertelnej rany przyjaciela i zaczął pić.

## OSOBY DRAMATU

Północne Dorzecza Zjednoczonego Królestwa

Vaelin Al Sorna – Lord Wieży Północnych Dorzeczy.

Nortah Al Sendhal – były brat Szóstego Zakonu; Miecz Królestwa i bohater wojny wyzwoleniczej; ojciec Lohren i Artisa; brat Kerran; znany pijak.

Kerran Al Verin – właścicielka Czcigodnego Domu Handlowego Al Verin, szefowa Gildii Kupieckiej Północnych Dorzeczy; siostra Nortaha; matka Lohren i Artisa.

Erlin – były Obdarzony nieśmiertelny; mieszkaniec Nehrin Point.

Lohren Al Sendhal – córka Nortaha, siostra Artisa; Obdarzona wieszczka.

Artis Al Sendhal – syn Nortaha; brat Lohren.

Ellese Mustor – adoptowana córka i dziedziczka gubernatorki Cumbrael Revy Mustor.

Orven Al Melna – dowódca Gwardii Północnej.

Alum Vi Moreska – myśliwy z klan Moresków; przyjaciel Vaelina.

Sehmon Vek – były wyrzutek i przymusowy sługa Aluma.

Wysoka Włócznia – cumbrealski kusznik i adoptowany członek klanu Ludzi Niedźwiedzi.

Żelazne Oczy – szamanka klanu Ludzi Niedźwiedzi.

Brat Kehlan – brat Piątego Zakonu; uzdrowiciel Północnej Wieży.

Cara – Obdarzona mieszkanka Nehrin Point; żona Lorkana z separacji.

Lorkan Densah – mąż Cary w separacji; były Obdarzony mieszkaniec Nehrin Point.

Kohn Shen – ambasador Czcigodnego Królestwa w Zjednoczonym Królestwie.

Gian Niushin – dowódca Siódmej Kohorty Czcigodnej Armii i wysłannik do Zjednoczonego Królestwa.

Veiser Mortin – kapitan Morskiej Osy, statku Czcigodnego Domu Handlowego Al Verin.

Stahlhast

Kehlbrand Reyerik – wielki pan hordy.

Luralyn Reyerik – siostra Kehlbranda i Babukira; Obdarzona wieszczka Boskiej Krwi.

Babukir Reyerik – młodszy brat Kehlbranda i Luralyn.

Obvar Nagerik – wojownik Stahlhastu o wielkiej sławie; czempion Kehlbranda i jego brat od siodła; niedoszły zalotnik Luralyn.

Varnko Meterk – skeltir skeldu Ostra.

Eresa – Obdarzona była niewolnica i przyjaciółka Luralyn.

Varij – Obdarzony był niewolnik i przyjaciel Luralyn.

Juhkar – Obdarzony był niewolnik i przyjaciel Luralyn.

Jihla – Obdarzona była niewolnica i przyjaciółka Luralyn.

Kihlen – Obdarzony był niewolnik i przyjaciel Luralyn.

Czcigodne Królestwo

Lian Sha – król Czcigodnego Królestwa.

Sho Tsai – kapitan armii Czcigodnego Królestwa; dowódca Czerwonych Zwiadowców.

Tsai Lin – kandydat na oficera Czerwonych Zwiadowców, syn Sho Tsaia.

Jadeitowa Księżniczka – nieśmiertelna mieszkanka Wysokiej Świątyni.

Sherin Unsa – była pani leków Piątego Zakonu Wiary; uzdrowicielka o wielkiej sławie znana jako „Błogosławieństwo Niebios”; była kochanka Vaelina.

Ahm Lin – kamieniarz, Obdarzony pieśnią krwi; przyjaciel Vaelina i Sherin.

Pao Len – właściciel herbaciarni i przywódca Karmazynowej Bandy.

Chien – członkini Karmazynowej Bandy; córka Pao Lena.

Krab – przewoźnik i członek Karmazynowej Bandy.

Hushan Shi – gubernator Keshin-Kho, stolicy Północnej Prefektury Czcigodnego Królestwa.

Neshim Lhi – zastępca gubernatora Keshin-Kho, później mianowany gubernatorem.

Kapral Wei – kapral Czerwonych Zwiadowców.

Cho-ka – przemytnik i członek bandy wyrzutków Zielona Żmija; później kapral kompanii piechoty o nazwie Czaszki.

# Spis treści

Dedykacja

Część I

Relacja Luralyn

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Część II

Relacja Luralyn

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi

Rozdział dwudziesty trzeci

Rozdział dwudziesty czwarty

Część III

Relacja Luralyn

Rozdział dwudziesty piąty

Rozdział dwudziesty szósty

Rozdział dwudziesty siódmy

Rozdział dwudziesty ósmy

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Rozdział trzydziesty

Rozdział trzydziesty pierwszy

Rozdział trzydziesty drugi

Rozdział trzydziesty trzeci

Rozdział trzydziesty czwarty

OSOBY DRAMATU